

*Douglas Preston*

*Lincoln Child*

*Cykl Pendergast*

*tom pierwszy*

*Relikt*

Dla Charlesa Crumly'ego D.P.

Dla Luchie, na początek drogi.

Pamięci Nory i Gagi

L.C.

## *Podziękowania*

Autorzy pragną podziękować osobom, które poświęciły mnóstwo czasu i służyły pomocą w żmudnym procesie powstawania tej książki. Są to: Ken Goddard, Tom Doherty, Bob Gleason, Harvey Klinger, Anna Magee, Camille Cline, Denis Kelly, Georgette Piligian, Michael O'Connor, Carina Deleon, Fred Ziegler, Bob Wincott, Lou Perretti i Harry Trumbore.

## *Wstęp*

### *Rozdział pierwszy*

Dorzecze Amazonki, wrzesień 1987 roku

W południe chmury wiszące wokół szczytu Cerro Gordo rozproszyły się. Whittlesey mógł teraz dostrzec przeświecające przez splątane konary drzew, wysoko w górze, złociste promienie słońca. Zwierzęta, prawdopodobnie małe małpki, miały się dziko i zawodziły przeciągle nad jego głową, a w pewnej chwili tuż przed nim opuścił się z gałęzi szczerzący się obscenicznie, hałaśliwy makak.

Whittlesey przystanął przy zwałonej jacarandzie i patrzył na zbliżającego się ku niemu, ociekającego potem Carlosa, swego współpracownika.

— Tutaj się zatrzymamy — rzekł po hiszpańsku. — Baja la caja. Postaw skrzynię.

Whittlesey usiadł na zwałonym pniu i zdjął prawy but oraz skarpetę.

Zapaliwszy papierosa, zaczął przyżegać nim mrowie kleszczy na kostce i goleni.

Carlos zdjął wojskowy stelaż nośny, do którego nieudolnie przytroczona była drewniana skrzynia.

— Otwórz ją, proszę — powiedział Whittlesey.

Carlos rozwiązał sznury, zdjął kilka małych, mosiężnych klamer i usunął wieko.

Zawartość zabezpieczona była korzeniami pewnej miejscowej rośliny. Whittlesey rozgarnął je, odsłaniając kilka artefaktów, małą drewnianą wyciskarkę do roślin i stary, poplamiony dziennik w skórzanej oprawie. Zawahał się przez chwilę, po czym z kieszeni bluzy polowej wyjął niedużą, lecz misternie rzeźbioną figurkę zwierzęcia. Zważył ją w dłoni, ponownie podziwiając kunszt, z jakim ją wykonano; była niezwykle ciężka. Następnie z wahaniem schował figurkę w skrzyni, zakrył wszystko włóknami i korzeniami roślinnymi, po czym ponownie zamocował wieko.

Whittlesey wyjął z plecaka kartkę białego papieru i rozłożył ją na kolanie. Z kieszeni bluzy wydobył złote pióro i zaczął pisać:

Dorzecze Xingu 17 września 1987 roku Montague, postanowiłem odesłać Carlosa wraz z ostatnią skrzynią, a samemu wyruszyć na poszukiwanie Crockera. Carlos to człowiek godny zaufania, a ja nie mogę ryzykować utraty skrzyni, gdyby coś mi się przytrafiło. Zwróć szczególną uwagę na grzechotkę szamana i inne przedmioty rytualne. Wydają się unikatowe. Figurka wszelako, którą dołączyłem do zbioru, znaleziona w opuszczonej chacie, w owej osadzie, stanowi dowód, którego zawsze szukałem. Zauważ przzerośnięte pazury, typowo gadzie atrybuty i pewne cechy istot dwunożnych. Kothoga istnieją, a legenda Mbwuna nie jest

tylko mitem.

Wszystkie notatki z moich badań w terenie znajdują się w tym dzienniku. Zawiera on również pełny zapis zdarzeń, które doprowadziły do rozpadu naszej ekspedycji, o czym zapewne dowiesz się, zanim dotrze do ciebie ta wiadomość.

Whittlesey pokręcił głową, przypominając sobie scenę, która rozegrała się zaledwie dzień wcześniej. Ten cholerny idiota, Maxwell. Jedyne, na czym mu zależało, to aby dostarczyć zebrane przez niego okazy nietknięte do muzeum. Whittlesey zaśmiał się bezgłośnie. Starożytne jaja. Jakby były czymś więcej aniżeli nic niewartymi strąkami nasiennymi. Maxwell powinien być paleontologiem, a nie antropologiem. Cóż za ironia, że spakowali swoje rzeczy i wyruszyli w drogę powrotną zaledwie o tysiąc jardów od miejsca jego odkrycia. Tak czy inaczej, Maxwella już nie było, pozostali odeszli wraz z nim. Zostali jedynie Carlos i Crocker. A obecnie już tylko Carlos. Whittlesey powrócił do przerwanej listy.

Wykorzystaj mój dziennik i artefakty, jak uznasz za stosowne, by pomóc mi przywrócić dobre układy z muzeum. Przede wszystkim jednak zatroszcz się o tę figurkę. Jestem pewien, że przedstawia ona bezcenną wartość dla antropologii. Odkryliśmy ją wczoraj, zupełnie przypadkiem. Wydaje się, że natrafiliśmy na ośrodek kultu Mbwuna. Niemniej jednak okolica wygląda na nie zamieszkaną. Nigdzie żywego ducha. Wydaje mi się to dość dziwne.

Whittlesey przerwał. W swoich notatkach z wyprawy nie opisał odkrycia figurki. Nawet teraz jego umysł wypierał owe wspomnienia. Crocker zszedł ze szlaku, by lepiej przyjrzeć się jacamarowi; gdyby nie to, nigdy nie odnaleźliby ukrytej ścieżki, wiodącej stromo w dół pomiędzy

omszałymi murami. I wtedy natknęli się na tę chatę, na wpół przesłoniętą przez stare drzewa, w parnej dolinie, gdzie prawie nie dochodziło światło słoneczne... Dwaj przewodnicy, Indianie Botocudo, którzy wciąż szwargotali między sobą po tupijsku, natychmiast umilkli. Jeden z nich zapytany przez Carlosa wybąkał coś o strażniku chaty i klątwie ciężącej na każdym, kto skąła ukryte w niej tajemnice. Wtedy też Whittlesey usłyszał wymówione przez nich po raz pierwszy słowo kothoga. Kothoga. Ludzie-cienie.

Whitdesey był sceptykiem. Słyszał już wielokrotnie o różnego rodzaju klątwach, lecz zwykle chodziło o znacznie wyższe stawki. Kiedy wyszedł z chaty, przewodników już nie było... I wtedy z puszczy wyłoniła się ta staruszka. Najprawdopodobniej należała do plemienia Yanomamo, na pewno nie do Kothoga. Mimo to słyszała o nich. Widziała ich. Ona też dała mu do zrozumienia, co mu grozi... Klątwa wydawała się wyjątkowo okrutna. I to, jak zniknęła w puszczy... nieomal wtopiła się w cienie pośród drzew, bardziej jak jaguar niż jak siedemdziesięcioletnia kobieta.

Gdy odeszła, znów skupili swoją uwagę na chacie.

Chata. . Whittlesey pamiętał ją aż za dobrze. Po obu stronach chaty stały kamienne tablice z identycznymi wizerunkami siedzącej na tylnych łapach bestii. W szponach trzymała coś pomiętego, skurczonego i niewyraźnego. Za chatą rozciągał się wielki, zarośnięty ogród, dziwaczna oaza jaskrawych barw pośród wszechobecnej zieleni.

Klepisko chaty było zapadnięte na dobre kilka stóp. Crocker, wchodząc do środka, omal nie skrzył karku. Whittlesey wkroczył za nim, znacznie ostrożniej, podczas gdy Carlos tylko uklął w prog. Wewnątrz było

ciemno, chłodno, a powietrze przesycala woń gnijącej ziemi.

Zapaliwszy latarkę, Whittlesey ujrzał w jej świetle figurkę stojącą na wysokim ziemnym kopcu usypanym pośrodku chaty. U jego podstawy leżało kilka dziwnie rzeźbionych dysków I wtedy promień latarki padł na ścianę znajdującą się nieopodal nich.

Wzdłuż nich ułożone były jedne na drugich rzędy ludzkich czaszek. Przyglądając się kilku czerepom, znajdującym się najbliżej niego, Whittlesey spostrzegł widniejące na nich głębokie bruzdy, których pochodzenia zrazu nie potrafił wyjaśnić. W górnej części czaszek ziały postrzępione, nierówne otwory. W wielu przypadkach zdruzgotane były także kości potyliczne czerepów, w kilku brakowało ciężkich kości łuszczystych

Ręka zadrżała mu i latarka zgasła. Zanim znów ją zapalił, dostrzegł słabe, przyćmione światło przesączaające się przez tysiące oczodołów, w ciężkim powietrzu wirowały leniwie drobiny kurzu

Zaraz potem Crocker postanowił wybrać się na mały spacer, wyjaśnił Whittleseyowi, że chce pobyć przez chwilę sam. I już nie wrócił.

Roślinność jest tu niezwykła Sagowce i paprocie wyglądają jak relikty z czasów prehistorycznych. Szkoda, że nie mam czasu, by przeprowadzić bardziej szczegółowe badania. W charakterze wypełniacza do skrzyni użyliśmy roślin z gatunku najbardziej naszym zdaniem elastycznego i odpornego; pokaż je Jorgensenowi, gdyby był nimi zainteresowany.

Podejrzewam, że spotkamy się za miesiąc, w klubie Explorer, aby uczcić nasz sukces kieliszkiem wybornego martini i przedniego macanudo. Póki co, Twojej pieczy powierzam cały ten materiał i mą własną reputację.

Twój przyjaciel i kolega po fachu Whittlesey

Wsunął list pod wieko skrzyni.

— Carlos — powiedział. — Chciałbym, abyś zaniósł tę skrzynię do Porto de Mos i zaczekał tam na mnie. Jeżeli nie wrócę w ciągu dwóch tygodni, skontaktuj się z pułkownikiem Soto. Każ mu odesłać tę skrzynię, wraz z innymi, drogą lotniczą do muzeum, tak jak było ustalone. Od niego otrzymasz honorarium za swoje usługi.

Carlos spojrział na niego.

— Nie rozumiem — wykrztusił. — Chce pan zostać tu sam?

Whittlesey uśmiechnął się, zapalił drugiego papierosa i ponownie zajął się zabijaniem kleszczy.

— Ktoś musi stąd wywieźć tę skrzynię. Powinieneś dogonić Maxwella, zanim dotrze do rzeki. Ja potrzebuję kilku dni, aby odnaleźć Crockera.

Carlos klepnął się po kolanie.

— Es loco! Nie zostawię tu pana samego! Si te dejo atras, te moriras. Zginie pan w tej puszczy, senior, a wyjce rozwłóczą pańskie kości. Musimy wrócić razem, tak będzie najlepiej.

Whittlesey pokręcił głową ze zniecierpliwieniem.

— Daj mi chromian rtęci, chininę i suszoną wołowinę z twojego plecaka — rzekł, naciągając brudną skarpetę i zasznurowując but.

Carlos zaczął wypakowywać żądane rzeczy, ale mimo to wciąż protestował.

Whittlesey zignorował go, drapiąc się jakby od niechcienia w swędzące od ukąszeń insektów plecy i szyję; przez cały czas spoglądał w kierunku Cerro Gordo.

— Senior, oni będą się zastanawiać. Uznają, że pana zostawiłem. Narobię sobie kłopotów — rzucił pospiesznie Carlos, pakując plecak



Whittleseya. — Muchy cabouri pożrą pana żywcem — ciągnął, podchodząc do skrzyni i zabezpieczając wieko pasami. — Znów nabawi się pan malarii i tym razem już z tego nie wyjdzie. Zostanę z panem.

Whittlesey patrzył na kosmyki śnieżnobiałych włosów przyklepione do mokrego od potu czoła Carlosa. Jeszcze wczoraj były one kruczoczarne, zanim Carlos zajrzał do wnętrza chaty. Carlos odnalazł spojrzenie badacza i po krótkiej chwili spuścił wzrok.

Whittlesey wstał.

— Adios — powiedział i zniknął w gęstwinie krzewów.

Z nadejściem popołudnia Whittlesey zauważył, że nad Cerro Gordo nadciągnęły gęste, nisko zwieszające się chmury. Przez ostatnie kilka mil wędrował prastarym szlakiem nieznanego pochodzenia, wąską, prawie niewidoczną ścieżką ciągnącą się wśród zarośli. Szlak wiódł sprytnie przez teren bagien otaczających podnóże tepui, wilgotnego, porośniętego dzunglą płaskowyżu rozciągającego się w dali. Ścieżka wydawała się wytyczona przez człowieka, jej bieg krył w sobie pewną logikę — skonstatował Whittlesey. Prowadziła do konkretnego celu, szlaki zwierząt natomiast są zwykle pogmatwane. Wiodła w kierunku głębokiego parowu w odnodze tepui, do którego zmierzał.

Tam właśnie musiał udać się Crocker.

Przystanął, by przez chwilę pogłównać, mimowolnie obracając w palcach talizman — złotą strzałkę z nakładającą się na nią drugą, srebrną; nosił go na łańcuszku na szyi od dzieciństwa. Jeśli nie liczyć chaty, przez ostatnie kilka dni nie natknęli się na żaden ślad istot ludzkich, pomijając wymarłą wioskę, ma się rozumieć. Ścieżka, którą teraz kroczył, była z całą pewnością dziełem Indian Kothoga.

Zbliżając się do płaskowyżu, widział kilka strumyków spływających wartkimi kaskadami w dół jego stromych zboczy. Jeszcze tej nocy rozbije obóz u podnóża plateau, a rano wejdzie na jego szczyt. Tysiąc metrów wspinaczki po stromym, błotnistym, z całą pewnością niebezpiecznym stoku. Gdyby napotkał Kothoga, znalazłby się w pułapce.

Jak dotąd nic nie wskazywało, że plemię Kothoga było groźne i dzikie. Bądź co bądź miejscowe mity przypisywały winę za wszelkie zbrodnie i zabójstwa istocie, którą nazywano Mbwunem. To dziwne, nieznanne stworzenie, kontrolowane było rzekomo przez plemię, którego nikt nigdy nie spotkał.

Czy Mbwun w ogóle istnieje? — zastanawiał się. Cóż, w ostępach wielkich lasów deszczowych mogły kryć się pojedyncze okazy nieznanych nauce gatunków; obszar ten był właściwie nie zbadany przez biologów. Nie po raz pierwszy pożałował, że Crocker, opuszczając obóz, zabrał jego karabin. Mannlicher .30.06.

Whittlesey uznał, że najpierw musi odnaleźć Crockera. Potem zajmie się poszukiwaniem Kothoga. Udowodni, że nie wymarli wiele stuleci temu. Zyska sławę odkrywcy starożytnego ludu, żyjącego w ostępach amazońskiej dżungli niczym plemię z epoki kamiennej, na płaskowyżu wznoszącym się ponad dżunglą, jak ten opisany przez Arthura Conan Doyle'a w Świecie zaginionym. Nie ma powodu, aby musiał obawiać się Kothoga. I tylko ta chata wciąż nie dawała mu spokoju... ta chata...

Wtem jego nozdrza wypełnił drażniący, słodko-kwaśny, gnilny odór. Whittlesey przystanął. Nie ulegało wątpliwości, to jakieś martwe zwierzę, sądząc po smrodzie, całkiem pokaźnych rozmiarów. Postąpił kilka kroków, a woń przybrała na sile. Jego serce zabiło żywszym rytmem, może

Kothoga zabili gdzieś niedaleko jakieś zwierzę. Kto wie, możliwe, że zostawili tam jakieś artefakty, narzędzia, broń albo przedmioty rytualne.

Podkraść się bliżej. Słodka, mdląca woń była jeszcze silniejsza. Widział promienie słońca przebijające przez baldachim liści, wysoko w górze smugi światła były coraz większe, niechybny znak, że zbliżał się do polany. Przystanął i ściągnął paski plecaka, nie chciał, by krępowały mu ruchy, na wypadek, gdyby zmuszony był do szybkiej reakcji.

Wąski szlak, otoczony z dwóch stron ścianami zarośli biegł teraz prosto, prawie jak po sznurku, jeszcze jeden zakręt i Whittlesey ujrzał przed sobą niewielką przecinkę. Na drugim końcu polany leżały szczątki zwierzęcia. U podstawy pnia drzewa, gdzie spoczywało truchło, widniał rytualny ryt w kształcie spirali, a na ziejącym otworze w tłustej, brązowej klatce piersiowej położono pęk jasnozielonych, papuzich piór.

Podchodząc bliżej, Whittlesey zauważył, że truchło ma na sobie koszulkę khaki.

Nad rozdartą klatką piersiową unosiła się chmara tłustych, brzęczących much. Badacz zauważył, że oderwana lewa ręka przywiązana była do pnia kawałkiem liany, a na wewnętrznej stronie dłoni widniała głęboka rana cięta. Poszycie wokół ciała usłane było łuskami po nabojach. Po chwili Whittlesey zobaczył głowę trupa. Wcisnięto ją, odwróconą twarzą do góry, pod pachę zabitego, tył czaszki został oderwany, zamglone oczy wpatrywały się w niebo, policzki były obrzmiałe.

Whittlesey odnalazł Crockera.

Instynktownie zaczął się cofać. Dopiero teraz zauważył inne ślady — wielkich pazurów, które z brutalną, niehumanitarną siłą odrywały skórę od tkanek i mięso od kości. Trup wydawał się zeszywniały. Być może —

jeśli Bóg w istocie był miłosierny, Kothoga już odeszli.

Jeżeli to byli Kothoga.

I wtedy właśnie zorientował się, że w lesie deszczowym, gdzie zwykle było głośno niczym w ulu, zrobiło się cicho, jak makiem zasiał. Obrócił się nerwowo, spoglądając w stronę drzew. Pośród gęstych krzewów na skraju polany coś się poruszało, spomiędzy liści łypnęła nań para wąskich jak szparki oczu barwy płynnego ognia.

Tłumiąc szloch i przekleństwo cisnące mu się na usta, przetarł twarz rękawem i ponownie spojrział w tę stronę. Oczy zniknęły.

Nie było czasu do stracenia, musiał wrócić na szlak, oddalić się jak najszybciej od tego potwornego miejsca. Ścieżkę wiodącą w głąb lasu miał dokładnie przed sobą. Będzie musiał do niej dobiec.

W tej samej chwili dostrzegł na ziemi coś, czego wcześniej nie zauważył, a potem usłyszał stłumiony odgłos, gdy wielki, a jednak przeraźliwie cichy kształt jął przedzierać się przez gąszcz krzewów, tuż przed nim.



## *Rozdział drugi*

Belem, Brazylia, lipiec 1988 roku

Tym razem Ven był nieomal pewien, że brygadzysta z portu coś kombinuje.

Stał ukryty w zacienionej uliczce, przy której wznosiły się magazyny, i obserwował. Lekki kapuśniaczek przesłaniał masywne kształty cumujących u nabrzeża frachtowców i zawężał kręgi światła w doku do rozmiarów łebka szpilki. Z nagrzaných pokładów, zroszonych deszczem, unosiła się para przynosząca ze sobą słabą woń kreozotu. Gdzieś z tyłu dochodziły nocne, portowe odgłosy, szczekanie psa, czyjś śmiech i zduszone, niewyraźne słowa w języku portugalskim. Z barów na awenidzie przy nabrzeżu sączyła się muzyka calypso.

To był boski układ. Zjawiał się tu, gdy w Miami robiło się dlań zbyt gorąco, wybierając okreźną drogę. W tym porcie robota była lekka, prócz małych frachtowców nie zawijały tu inne statki. Na nabrzeżu zawsze potrzeba było rąk do pracy, a on najmował się już kiedyś przy załadunku i rozładunku statków. Powiedział, że nazywa się Ven Stevens i nikt nie podał tego w wątpliwość. Zresztą i tak nie uwierzyliby, gdyby powiedział, jak naprawdę ma na imię.

Miał tu doskonałe warunki. Wszystko, czego potrzebował. I okazję. W Miami nabrał doświadczenia, miał sporo czasu, by podszlifować swój

instynkt. Tu pobrane przez niego wcześniej nauki przynosiły owoce. Celowo kiepsko mówił po portugalsku, jąkał się, zacinał, aby mieć czas na rozszyfrowanie wyrazu oczu i wyłapanie spontanicznych odruchów mięśni twarzy. Ri-con, młodszy asystent komendanta portu, był ostatnim ogniwiem, którego Ven potrzebował.

Ven zaniepokoił się, gdy rzeką nadszedł kolejny transport. Zazwyczaj podawano dwie nazwy — miejsca, skąd pochodził towar, i tam, gdzie miał dotrzeć. Zawsze wiedział, czego szukać, skrzynie były jednakowe Jego zadaniem było dopilnować, aby bezpiecznie je rozładowano i przewieziono do magazynu. Następnie Ven zadbał, by stanowiły one ostatnie cargo, które zostanie załadowane na pokład wyznaczonego frachtowca zmierzającego do Stanów Zjednoczonych.

Ven był z natury ostrożny. Miał oko na tutejszego brygadzystę Raz czy dwa odniósł wrażenie, jakby w jego mózgu rozdzwonił się sygnał alarmowy, że brygadzista coś podejrzewał. Mimo to za każdym razem Ven w końcu rozluźniał się i po kilku dniach sygnał alarmowy zanikał zupełnie.

Spojrzał na zegarek. Jedenasta. Usłyszał odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, dochodzący zza rogu. Przyłgął plecami do ściany. Na drewnianych deskach rozległy się głośne kroki i po chwili w świetle latarni przemknęła znajoma postać. Kiedy kroki ucichły, Ven wyjrzał zza rogu.

W biurze było ciemno i pusto, dokładnie tak, jak się spodziewał.

Rozejrzawszy się raz jeszcze, wyszedł zza rogu budynku na przystań.

Przy każdym kroku o jego ramiona obijał się pusty plecak. Ven w marszu sięgnął do kieszeni, wyjął klucz i ścisnął go mocno w dłoni Był on

całym jego życiem. Sporządził jego odcisk, zanim jeszcze zatrudnił się do pracy na nabrzeżu

Ven minął niewielki frachtowiec cumujący przy nabrzeżu; z jego grubych cum na pordzewiałe polery spływały strugi czarnej wody. Okręt wydawał się opustoszały, na pokładzie nie było nawet wachtowego. Zwolnił Drzwi magazynu miał dokładnie przed sobą, przy końcu głównego pirsu. Obejrzał się przez ramię. Następnie zdecydowanym ruchem ręki przekręcił klucz w zamku, otworzył metalowe odrzwia i wszedł do środka.

Zamknąwszy je za sobą, odczekał chwilę, by jego oczy przyzwyczyły się do ciemności. Był na półmetku. Jeszcze tylko ostatnia prosta, finisz, i mógł się stąd zabierać.

Najszybciej jak to tylko możliwe. Ponieważ Ricon robił się coraz bardziej chciwy, cruzeiros jak woda przepływały mu przez ręce.

Ostatnim razem napomknął coś o wielkości swoich udziałów.

Zaledwie dziś rano Ricon i brygadzysta odbyli krótką i gorączkową rozmowę; mówili cicho, a brygadzysta w pewnej chwili spojrział na Vena. Instynkt podpowiadał Venowi, że już czas zwinąć żagle.

W mroczniejszym wnętrzu magazynu zauważył niewyraźny, jakby rozmyty landszaft kontenerów przewozowych i skrzyń załadunkowych. Nie mógł ryzykować i włączyć latarki, lecz to nie miało znaczenia; znał rozkład pomieszczenia na tyle dobrze, iż mógłby przejść przez nie z zamkniętymi oczami.

Ostrożnie postąpił naprzód, przemierzając ścieżkę pośród otaczających go stert pudeł i kontenerów.

Wreszcie spostrzegł to, czego poszukiwał — stos mocno poobijanych



skrzyń, sześć dużych i jedną małą, ustawiony sprytnie w ciemnym kącie. Na dwóch większych pakach widniał nadruk MHN. NOWY JORK.

Wiele miesięcy temu Ven wypytał się o te skrzynie. Opowiadał mu o nich chłopak od kwatermistrza. Najwyraźniej dostarczono je w dół rzeki z Porto de Mos ubiegłej jesieni. Miały zostać wysłane drogą lotniczą do muzeum w Nowym Jorku, lecz z ludźmi, którzy się nimi zajmowali, coś się stało. Uczeń nie potrafił powiedzieć co konkretnie. Zapłaty nie dostarczono na czas i tak oto skrzynie stały, oplecione czerwoną taśmą, opuszczone i najwyraźniej zapomniane.

Przez wszystkich, lecz nie przez Vena. Za skrzyniami było dość miejsca, by mógł ukryć tam swój łup, dopóki nie zostanie zakończony załadunek frachtowców czekających na odprawę.

Przez wybite okno do magazynu wpłynął podmuch ciepłej, nocnej bryzy, osuszając pot perlący się na czole Vena. Uśmiechnął się w mroku. Zaledwie tydzień temu dowiedział się, że już niebawem skrzynie zostaną w końcu odtransportowane do Stanów. Jednakże do tej chwili on zdążył się już ulotnić.

Zajrzał do swojej kryjówki. Tym razem tylko jedna skrzynia, której zawartość z łatwością zmieści się do jego plecaka. Znał miejsca, gdzie szybko można upłynnić towar, wiedział, co ma robić.

I zrobi to, gdzieś daleko stąd, już niebawem.

Już miał się wcisnąć za stertę ogromnych skrzyń, gdy nagle stanął jak wryty. W powietrzu czuć było dziwną woń, ziemisty, kozi odór, smród rozkładającego się ciała. Do portu trafiały różne, nierzadko dziwaczne towary, żaden jednak nie wydzielał takiego fetoru.

Jego instynkt włączył się samoczynnie, lecz mimo nagłego ożywienia

Ven nie zdołał dostrzec niczego niezwykłego czy niepokojącego.

Postąpił naprzód, wślizgując się w prześwit między cargo dla muzeum a ścianą.

Znów się zatrzymał. Coś tu było nie tak. Mimo wszystko coś było nie tak. I to bardzo.

Usłyszał raczej, niż zobaczył coś, co poruszało się w ciasnej, ograniczonej przestrzeni. Dławiący, gnilny odór napłynął nową falą, wdzierając się w jego nozdrza, ogarnęły go mdłości. Nagle coś z przeraźliwą siłą pchnęło go na ścianę. Jego piersi i trzewia eksplodowały bólem. Otworzył usta, żeby krzyknąć, lecz coś palącego zawrzało mu w gardle, a zaraz potem tępy ból, niczym uderzenie pioruna, przeszył mu czaszkę, pozostawiając tylko ciemność.

*Część pierwsza*

*Muzeum tajemnic nienaturalnych*

## *Rozdział trzeci*

Nowy Jork, obecnie

Rudowłosy chłopiec wspiął się na podwyższenie i nazywając młodszego brata tchórzem, wyciągnął rękę w stronę słoniowej nogi. Juan obserwował go w milczeniu i podszedł bliżej, gdy dłoń chłopca dotknęła eksponatu.

— Nie! — krzyknął Juan, zrywając się do biegu. — Nie wolno dotykać słoni! — Chłopiec, wyraźnie przestraszony, cofnął rękę; był jeszcze w tym wieku, że mundur robił na nim wrażenie. Starsi chłopcy — piętnasto, szesnastoletni — niekiedy pokazywali Juanowi obraźliwe gesty. Wiedzieli, że był jedynie strażnikiem w muzeum. Wszawa, pieprzona robota. Któregoś dnia rzuci ją w cholerę i spróbuje szczęścia z egzaminami do akademii policyjnej.

Patrzył podejrzliwie, jak rudowłosy i jego młodszy braciszek okrążają przeszklone gabloty stojące w ciemnawej sali i oglądają wypchane lwy. Przy gablocie z szympanсами chłopiec zaczął skrzeczeć i drapać się pod pachami; popisował się przed juniorem. Gdzie, u licha, byli ich rodzice?

Rudowłosy Billy zaciągnął brata do sali z eksponatami z Afryki. W jednej z gablot ujrzeli rząd drewnianych masek, szczerzących się do nich w dziwacznych grymasach.

— Ojej! — wykrzyknął młodszy braciszek Billy'ego.

— To głupie — burknął Billy. — Chodź, zobaczymy dinozaury.

— Gdzie mama? — spytał chłopiec, rozglądając się dokoła.

— Ee, gdzieś się zgubiła — odparł Billy. — No, chodź. Ruszyli w głąb rozległej, odbijającej głośnie echa sali, w której wystawiono słupy totemowe. Na jej drugim końcu kobieta o przenikliwym głosie, z czerwoną chorągiewką w dłoni, prowadziła ostatnią tego dnia wycieczkę. Młodszy braciszek Billy'ego miał wrażenie, że w sali czuć było dziwną, dość niesamowitą woń, przywodzącą na myśl dym i korzenie starego drzewa. Gdy grupa znikła za rogiem, w sali zapanowała cisza.

Billy przypomniał sobie, że kiedy byli tu po raz ostatni, widzieli największego na świecie brontozaura, tyranozaura i trachydenta. Tak go w każdym razie nazywali — trachydent. Tyranozaur miał zębiska długie chyba na dziesięć stóp. To była najwspanialsza rzecz, jaką Billy kiedykolwiek widział. Nie pamiętał jednak tych totemów. Nigdy wcześniej ich nie oglądał. Może dinozaury znajdowały się w sali obok. Nie, okazało się, że mieszczą się w niej eksponaty należące do ludów Pacyfiku, same nudy, jedwabie i figurki z nefrytu, spiżu oraz kości słoniowej.

— Spójrz, co narobiłeś — rzekł Billy.

— Co takiego?

— Przez ciebie się zgubiłem, ot co — mruknął Billy.

— Mamusia naprawdę się wścieknie — skomentował mały. Billy parsknął. Z rodzicami mieli się spotkać dopiero po zamknięciu muzeum, przed wejściem do tego wielkiego gmachu, na schodach. Znajdzie wyjście, nie ma sprawy.

Przeszli przez kilka dalszych sal, pełnych staroci i kurzu, pokonali kondygnację wąskich schodów i znaleźli się w długim, tonącym w

półmroku korytarzu. Na ścianach, od podłogi aż po sufit, wisiały rzędy niedużych, wypchanych ptaków, były ich tysiące, z niewidzących oczu tu i ówdzie wyłaziła wata. Korytarz był pusty i cuchnął kulkami na mole.

— Wiem, gdzie jesteśmy — rzekł Billy, z nadzieją wpatrując się w szarość.

Młodszy zaczął pochlipywać.

— Zamknij się — rzucił Billy. Chlipanie ustało.

Korytarz ostro zakręcał i kończył się mroczną, ślepią uliczką pełną kurzu i pustych gablot. Nie było stąd wyjścia, mogli jedynie wrócić tą samą drogą, którą tu dotarli, przez salę z martwymi ptakami. W korytarzu słyszeć było głucho echo kroków dwóch chłopców, inni niedzielni turyści znajdowali się daleko stąd. Pod przeciwległą ścianą sali stała ruchoma zaporą z drewna i płótna, nieudolnie udająca ścianę. Puszczając dłoń brata, Billy podszedł i zajrzał za nią.

— Już tu kiedyś byłem — rzekł z przekonaniem. — Teraz ta część jest zamknięta, ale wcześniej była otwarta. Założę się, że jesteśmy dokładnie pod salą z dinozaurami. Sprawdzę, może udałoby się stąd przejść na wyższy poziom.

— Nie powinieneś tam wchodzić — ostrzegł go młodszy.

— Posłuchaj, głąbie, i tak tam pójdę. A ty masz tu na mnie zaczekać!

Billy przeszedł pod zaporą i w kilka sekund później jego brat usłyszał metaliczny pisk otwieranych drzwi.

— Hej! — rozległ się głos Billy'ego. — Są tu schody. Prowadzą spiralnie w dół. Tylko na dół, ale mimo to sprawdzę je. Może być fajnie. No, to idę!

— Billy! Nieee! — zawołał młodszy, ale w odpowiedzi usłyszał tylko

odgłos niknących w oddali kroków.

Chłopiec rozplakał się, jego szloch rozbrzmiał echem w mrocznej, opuszczonej części korytarza. W kilka minut później dostał czkawki, pociągnął nosem i usiadł na podłodze. Zaczął skubać płatek gumy odłóżony z przedniej części trampka, oderwał go.

Wtem uniósł wzrok. W korytarzu panowała cisza i zaduch. Lampki w gablotach rzucały na posadzkę czarne cienie. W przewodach wentylacyjnych coś nagle załomotało. Billy zniknął na dobre.

Mały znów zaszlochał, tym razem głośniej.

Może nic złego by się nie stało, gdyby poszedł za Billym? Może to wcale nie było takie straszne? Może Billy natrafił na przejście, odnalazł rodziców i teraz wszyscy po drugiej stronie czekali już tylko na niego?

Musiał się pospieszyć. Muzeum zapewne było już zamknięte.

Wstał i wślizgnął się za przepierzenie. Znalazł się w drugiej części korytarza, pełnej wielkich, zakurzonych gablot; w niektórych z nich dostrzegł jakieś na wpół zapomniane, zapleśniałe eksponaty. Stare, metalowe drzwi w końcu korytarza były uchylone.

Chłopiec podszedł do nich i zajrzał przez szparę. Za nimi znajdował się kamienny podest spiralnych schodów, niknących hen, daleko, w mroku.

Kurzu było tu znacznie więcej niż gdziekolwiek indziej, a w powietrzu czuć było dziwną woń, od której aż kręciło w nosie.

Nie chciał nawet stanąć na tych schodach. Zmarszczył nos. Ale przecież gdzieś tam, na dole, był Billy.

— Billy! — zawołał. — Billy, wróć na górę. Proszę!

Jedyną odpowiedzią, jaką uzyskał w tej mrocznej, cuchnącej zgnilizną klatce schodowej, było echo jego własnego głosu. Chłopiec pociągnął

nosem, oparł dłoń na barierce i wolno, z wahaniem zaczął schodzić w ciemność.



## *Rozdział czwarty*

### Poniedziałek

Gdy Margo Green wyszła zza rogu 72 Zachodniej, promienie wczesnoporannego słońca oślepiły ją. Opuściła głowę i przez chwilę mrugała, po czym potrząsnąwszy głową i przeczesawszy włosy, przeszła przez ulicę. Gmach nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej majaczył przed nią niczym prastara forteca, gigantyczna fasada Beaux Arts wystawała wysoko ponad korony wielkich, rozłożystych buków.

Margo skrzyła na brukowany podjazd prowadzący do wejścia dla personelu. Minęła dok załadunkowy i skierowała się ku granitowemu tunelowi wiodącemu na wewnętrzny dziedziniec muzeum. Nagle, zaniepokojona, zwolniła. Na wprost niej, u wylotu tunelu, migotały czerwone światła. W oddali na dziedzińcu widać było karetki pogotowia, wozy policyjne i pojazd służb interwencyjnych.

Margo weszła do tunelu i podeszła do przeszklonej budki. Zwykle o tak wczesnej porze strażnik, stary Curly, drzemał na swoim fotelu, opierając głowę o ścianę kabiny, z fajką z poczerńiałej kalebasy spoczywającą na jego pulchnym kałdunie. Dziś jednak nie spał i nawet nie siedział w fotelu. Odsunął drzwi.

— Dzień dobry, pani doktor — powiedział. Wszystkim mówił per doktorze, od absolwenta studiów po dyrektora muzeum, czy zasługiwali na ten tytuł, czy też nie.

— Co się dzieje? — spytała Margo.

— Nie wiem — odrzekł Curly. — Zjawili się dwie minuty temu. Myślę, że lepiej będzie, jeśli dziś obejrzę twój identyfikator.

Margo zaczęła grzebać w torebce, zastanawiając się, czy w ogóle ma przy sobie identyfikator. Ostatni raz sprawdzano ją wiele miesięcy temu.

— Nie jestem pewna, czy go wzięłam — rzekła rozdrażniona, że nie wyrzuciła z torebki pozostałości z ubiegłej zimy. Zdaniem koleżanek z Wydziału Antropologii miała gwarantowane pierwsze miejsce w konkursie na najbardziej zagraconą torebkę.

Zadzwonił telefon w dyżurce i Curly podniósł słuchawkę. Margo tymczasem znalazła swój identyfikator i uniosła go w stronę szyby; Curly zignorował ją, z uwagą słuchał tego, co doń mówiono, a jego oczy coraz

bardziej się rozszerzały.

Bez słowa odłożył słuchawkę i przyjął postawę zasadniczą.

— No i jak? — spytała Margo. — Co się stało? Curly schował fajkę.

— Nie chcesz tego wiedzieć — odparł krótko.

Znów zadzwonił telefon. Curly natychmiast sięgnął po słuchawkę.

Margo nigdy dotąd nie widziała, by strażnik poruszał się równie szybko. Wzruszyła ramionami, schowała identyfikator do torebki i poszła dalej.

Musiała skończyć kolejny rozdział swojej dysertacji i nie mogła sobie pozwolić na utratę choćby jednego dnia.

Poprzedni tydzień zaważyła, pogrzeb ojca, formalności, telefony. Nie mogła zmarnować więcej czasu.

Przebiegła dziedziniec, dostała się do muzeum wejściem dla personelu, skręciła w prawo i przyspieszywszy kroku, długim, podziemnym korytarzem dotarła do Wydziału Antropologii. W mijanych gabinetach było ciemno, jak zawsze do 9.30 lub 10.00 rano.

Korytarz gwałtownie skręcał w prawo, pokonała zakręt i stanęła jak wryta. W poprzek rozciągnięta była żółta, plastikowa taśma.

Margo odczytała widniejący na niej napis:

N.D.P. MIEJSCE PRZESTĘPSTWA. WSTĘP WZBRONIONY.

Jimmy, strażnik zwykle pełniący służbę w peruwiańskiej Złotej Sali, stał przy taśmie z Gregorem Kawakitą, młodszym asystentem kustosza z Wydziału Biologii Ewolucyjnej.

— Co tu się dzieje? — zapytała Margo.

— To, co zwykle w muzeum — odrzekł z kwaśnym uśmiechem Kawakitą. — Zamknięte drzwi i kompletna cisza informacyjna.

Zostaliśmy odcięci.

— Nikt nic mi nie powiedział, polecono tylko, abym nikogo nie wpuszczał — wtrącił nerwowo strażnik.

— Posłuchaj — rzekł Kawakita. — Jutro mam prezentację dla NSF, a zapowiada się, że dziś będzie wyjątkowo długi dzień. Może jednak pozwoliłbyś mi...

Jimmy wydawał się skrepowany.

— Ja tylko wykonuję swoją pracę, jasne?

— Chodź — rzekła do Kawakity Margo. — Pójdziemy do sali klubowej na kawę. Może tam ktoś będzie wiedział, co się stało.

— Najpierw jednak chciałbym znaleźć czynną męską toaletę — odrzekł z irytacją Kawakita. — Spotkamy się w sali klubowej.

Drzwi do sali, nigdy wcześniej nie zamykane, były tego dnia zablokowane. Margo położyła dłoń na klamce, zastanawiając się, czy powinna poczekać na Kawakitę. Otworzyła je zdecydowanym ruchem.

Prędzej piekło zamarznie, aniżeli Kawakita stanie się jej ochroniarzem. Nie potrzebowała takiego wsparcia.

Wewnątrz rozmawiali dwaj policjanci, odwróceny do niej plecami. Jeden z nich spytał drwiąco:

— Który to już, szósty?

— Straciłem rachubę — odrzekł drugi. — Ale nie jadł śniadania i nie miał co zwracać.

Gdy funkcjonariusze zeszli jej z drogi, Margo rozejrzała się po sali.

Olbrzymie pomieszczenie było puste. W części kuchennej na drugim końcu sali ktoś nachylał się nad zlewem. Czknął, splunął, otarł usta i obejrzał się. Margo rozpoznała Charliego Prine'a, nowego konserwatora na

Wydziale Antropologii, zatrudnionego na zlecenie pół roku temu, w celu renowacji eksponatów na nową wystawę. Twarz miał szarą jak popiół i pozbawioną wyrazu.

Funkcjonariusze podeszli do Prine'a i łagodnie popchnęli go do przodu.

Margo odsunęła się na bok, pozwalając im przejść. Prine szedł sztywnym, mechanicznym krokiem, jak robot. Margo instynktownie spuściła wzrok.

Buty Prine'a były całe we krwi.

Obserwując ją kątem oka, Prine zauważył zmianę w wyrazie twarzy. Podązał za nią wzrokiem i nagle stanął tak gwałtownie, że idący z tyłu gliniarz z rozpędu wpadł na niego.

Oczy Prine'a wydawały się wielkie i białe. Policjanci chwycili go pod ramiona, a on zaczął stawiać opór, szarpiąc się i wierzgając w dzikiej panice. Stróże prawa pospiesznie wyprowadzili go z sali.

Margo oparła się o ścianę. Usiłowała uspokoić rozkołatane serce, gdy do pomieszczenia wszedł Kawakita i kilka innych osób.

— Musieli zablokować chyba połowę muzeum — powiedział, kręcąc głową i nalewając sobie kubek kawy. — Ludzie nie mogą dostać się do swoich biur.

W tej samej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, włączył się zamontowany w muzeum staroświecki radiowęzeł.

**PROSZĘ O UWAGĘ. CAŁY PERSONEL OBECNY W MUZEUM  
ZGŁOSI SIĘ NATYCHMIAST DO SALI KLUBOWEJ.**

Usiedli i po chwili zaczęli zjawiać się inni pracownicy muzeum. Przychodzili dwójkami i trójkami. Technicy laboratoryjni i asystenci, jeszcze za wcześnie, by przyszły naprawdę grube ryby.

Margo obserwowała ich kątem oka. Kawakita coś mówił, lecz nie słuchała go.

W przeciągu dziesięciu minut w sali zrobił się tłok. Wszyscy mówili jeden przez drugiego, byli wściekli, że nie mogli wejść do biur, skarżyli się na brak informacji, z trwogą wymieniali nowe plotki. Bez wątpienia w muzeum, gdzie najwyraźniej nigdy nie działo się nic ciekawego, było to wydarzenie bez precedensu.

Kawakita upił łyk kawy, skrzywił się.

— Spójrz tylko na te szumowiny. — Odwrócił się w jej stronę. — Co jest, odbiło ci? Odkąd usiedliśmy, nie odezwałaś się ani słowem

Z pewnym wahaniem opowiedziała mu o Prinie. Na twarzy Kawakity pojawił się mars.

— Mój Boże — wykrztusił w końcu. — Jak sądzisz, co się stało?

Usłyszawszy jego donośny baryton, Margo zorientowała się, że w całej sali ucichły rozmowy. W drzwiach stanął krępy, mocno zbudowany, łysiejący mężczyzna w brązowym garniturze, z jednej kieszeni jego źle dopasowanej marynarki wystawała policyjna krótkofalówka, w ustach miał nie zapalone cygaro. Wszedł do środka w asyście dwóch policjantów.

Stanął pośrodku sali, podciągnął spodnie, wyjął cygaro, zdjął z języka okruch tytoniu i chrząknął.

— Proszę o uwagę — zaczął. — Miało miejsce zdarzenie, które wymaga, byście państwo przez pewien czas znosili tutaj naszą obecność.

Wtem z końca sali rozległo się pytanie:

— Bardzo przepraszam, ale kim pan właściwie jest? Margo rozejrzała się, lustrując wzrokiem tłum.

— Freed — wyszeptał Kawakita. Margo słyszała o Franku Freedzie,

bezkompromisowym kustoszu Wydziału Ichtiologii.

Mężczyzna w brązowym garniturze odwrócił się, by spojrzeć na Freeda.

— Porucznik D'Agosta — zagrzemiał. — Nowojorski Departament Policji.

Ta odpowiedź większości ludzi skutecznie zamknęłaby usta. Freed, chudy jak szczapa mężczyzna o długich, siwych włosach, nie należał jednak do osób bojaźliwych.

— Może by tak — zaczął sarkastycznym tonem — ktoś nam łaskawie wyjaśnił, co się tu właściwie dzieje? Sądzę, że mamy prawo...

— Bardzo chciałbym wytłumaczyć państwu naturę tego, co się stało — odparował D'Agosta. — Jednakże na razie mogę tylko powiedzieć, że na terenie muzeum zostało znalezione ciało, obecnie zaś prowadzimy intensywne czynności śledcze, mające doprowadzić do ustalenia okoliczności śmierci ofiary. Jeżeli...

Gdy rozległ się gwar rozmów, D'Agosta uniósł prawą dłoń do góry.

— Mogę jedynie powiedzieć, że w miejscu przestępstwa znajduje się specjalna grupa dochodzeniowa i trwa postępowanie śledcze — ciągnął. — Od tej chwili muzeum jest zamknięte. Nikt nie może tu wejść ani stąd wyjść aż do odwołania. Spodziewamy się, iż sytuacja ta nie potrwa długo. — Przerwał.

— Jeżeli doszło tu do morderstwa, istnieje pewne prawdopodobieństwo, że zabójca wciąż jeszcze znajduje się w tym gmachu. Chcielibyśmy, aby państwo pozostali w tej sali przez najbliższą godzinę lub dwie, a my w tym czasie przeszukamy budynek. Funkcjonariusz policji spisze państwa dane.

W pełnej oszołomienia ciszy, jaka zapadła w sali, D'Agosta opuścił

pomieszczenie. Jeden z policjantów, którzy pozostali, przystawił krzesło do drzwi i ciężko na nim usiadł. Po chwili znów zaczęły się rozmowy.

— Zostaliśmy tu uwięzieni? — zawołał Freed. — To skandal.

— O Jezu — szepnęła Margo. — Chyba nie sądzisz, że Prine jest mordercą?

— Okropna myśl, nieprawdaż? — odparł Kawakita. Wstał i podszedł do automatu z kawą, ciosem pięści wymuszając od urządzenia ostatnie krople wonnego naparu. — Ale nie tak straszna jak to, że mógłbym pojawić się jutro na prezentacji nie przygotowany.

Margo знаła Kawakitę, młodego, bystrego i ambitnego naukowca, wiedziała, że nie było sytuacji, na którą nie byłby przygotowany.

— W dzisiejszych czasach wizerunek jest wszystkim — ciągnął Kawakita. — Samą czystą nauką nie zarobi się na dotacje.

Margo znów pokiwała głową. Słyszała go, podobnie jak gwar głosów dokoła, ale to nie miało znaczenia. Nie liczyło się nic, z wyjątkiem krwi na butach Prine'a.



## Rozdział piąty

— Proszę mnie posłuchać — rzekł w godzinę później policjant. — Jesteście państwo wolni. Proszę jednak nie zapuszczać się do miejsc odgradzonych naszą żółtą taśmą.

Margo gwałtownie uniosła głowę, gdy ktoś niespodziewanie położył jej dłoń na ramieniu. Wysoki, szczupły Bill Smithback ścisnął w drugiej dłoni dwa kołnотatniki, a jego brązowe włosy wyglądały tak jak zawsze, jakby dopiero wstał z łóżka. Za jedno ucho miał zatknięty obgryziony ołówek, guzik pod szyją był rozpięty, a brudny krawat mocno poluzowany. Doskonała karykatura dziennikarza z powołania. Margo podejrzewała, że starannie wypracował sobie ten wygląd. Smithback pracował nad książką o muzeum, koncentrując się zwłaszcza na wystawie Przesady, której otwarcie zaplanowano na przyszły tydzień.

— Nienaturalne zdarzenia w Muzeum Historii Naturalnej — wyszeptał jej posepnie wprost do ucha i usiadł obok niej na krześle. Na stole położył notesy.

Po chwili obok nich na blacie znalazła się też sterta odręcznie zapisanych kartek, kilka nie opisanych dyskietek oraz plik kserokopii artykułów prasowych.

— Cześć, Kawakita! — rzucił jowialnie Smithback, klepiąc go po ramieniu. — Widziałeś ostatnio jakieś tygrysy?

— Tylko kilka papierowych — odparł oschle Kawakita. Smithback odwrócił się do Margo.

— Chyba znacie już wszystkie krwawe szczegóły. Okropna historia, no

nie?

— Nic nam nie powiedzieli — odrzekła Margo. — Słyszeliśmy tylko, że doszło do jakiegoś zabójstwa. Podejrzewam, że to robota Prine'a.

Smithback wybuchnął śmiechem.

— Charlie Prine? Ten gość nie umiałby zabić muchy, a co dopiero człowieka. Nie, Prine jedynie znalazł ciało. A raczej powinienem rzec — ciała.

— Ciała? O czym ty mówisz? Smithback westchnął.

— Naprawdę o niczym nie wiecie? Miałem nadzieję, że jednak coś do was dotrze. Bądź co bądź siedzicie tu już jakiś czas. — Podniósł się i podszedł do automatu z kawą. Wrzucił monetę, załomotał w obudowę, zaklął i wrócił na miejsce z pustymi rękami. — Znaleźli żonę dyrektora, wypchaną, w szklanej gablocie, w Sali Naczelnych — rzucił, ponownie sadowiąc się na krześle. — Tkwiła w niej od dwudziestu lat i nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Margo jęknęła.

— Przejdź do właściwej historii, Smithback — poprosiła.

— No, dobra, dobra — westchnął. — Około wpół do ósmej rano w piwnicy Starego Gmachu odnaleziono zwłoki dwóch chłopców.

Margo przyłożyła dłoń do ust.

— Skąd o tym wiesz? — dopytywał się Kawakita.

— Podczas gdy wy siedzicie tu jak kwoka na jajach, reszta świata została odcięta od muzeum wzdłuż 72 Ulicy — ciągnął Smithback. — Gliny nabrały wody w usta. Na zewnątrz zebrał się niemały tłum, w tym wielu reporterów i dziennikarzy. O dziesiątej Wright zapowiedział w Wielkiej Rotundzie konferencję prasową, aby ukrećić łeb plotkom. Wiecie,

taka tam zoologiczna gadka. Mamy dziesięć minut.

— Zoologiczna gadka? — spytała Margo.

— Na zewnątrz jest prawdziwe zoo. O Boże. Ale bajzel. — Smithback wciąż nie chciał zdradzić, co wiedział i napawał się swoją przewagą. — Wygląda na to, że morderstw tych dokonano ze szczególnym okrucieństwem. Wiecie, jaka jest prasa — zawsze podejrzewała, że macie tu pod kluczem jakieś niebezpieczne zwierzęta.

— Mam wrażenie, że to wszystko bardzo cię cieszy. — Kawakita uśmiechnął się.

— Taka historia dodałaby smaczku mojej książce — ciągnął Smithback. — Może nawet stałaby się jej nowym, głównym wątkiem. Szokująca prawda o przerażającej zbrodni w muzeum. Napisał William Smithback junior. Dzika, żarłoczna bestia krążąca po opustoszałych korytarzach Starego Gmachu. To może być bestseller.

— To nie jest zabawne — ucięła Margo. Właśnie przyszło jej na myśl, że laboratorium Prine'a znajdowało się niedaleko jej gabinetu, w piwnicy Starego Gmachu.

— Wiem, wiem — rzucił pogodnie Smithback. — To jest straszne. Biedne dzieciaki. Niemniej jednak nadal nie potrafię w to wszystko uwierzyć. Podejrzewam, że może to być niesmaczny wybieg Cuthberta, mający zwrócić uwagę i przyciągnąć ludzi na wystawę. — Westchnął, po czym z wyraźnym trudem dodał: — Margo... wiesz, naprawdę przykro mi z powodu twojego ojca. Chciałem powiedzieć ci to już wcześniej.

— Dzięki. — W uśmiechu Margo brakowało ciepła.

— Posłuchajcie oboje — odezwał się Kawakita, wstając. — Naprawdę muszę...

— Słyszałem, że chciałaś odejść — ciągnął Smithback, zwracając się do Margo. — Zamierzałaś przerwać przewód doktorski i poprowadzić interes ojca czy coś takiego. — Spojrzał na nią z zaciekawieniem — Czy to prawda? Sądziłem, że w twoich badaniach wreszcie nastąpił przełom.

— No cóż — odparła Margo — tak i nie. Praca nad dysertacją ostatnio się przeciąga. Dziś o jedenastej miałam jak co tydzień spotkać się z Frockiem. Zapewne o tym zapomni, jak zawsze, i zajmie się czymś innym, zwłaszcza w obliczu tej tragedii. Mimo to mam nadzieję, że jednak się z nim zobaczę. Odkryłam nader ciekawą monografię na temat kiribitiańskiej klasyfikacji roślin leczniczych.

Zauważyła, że Smithback zaczął błędzić gdzieś wzrokiem, i upomniała się raz jeszcze, że większość ludzi nie interesowała się genetyką roślin i etnofarmakologią

— Dobra, muszę się przygotować. — Margo wstała.

— Zaczekaj — rzekł Smithback, próbując jak najszybciej pozbierać swoje papiery ze stołu — Nie chciałabyś wziąć udziału w konferencji prasowej?

Gdy wychodzili, Freed wciąż jeszcze narzekał, skarżąc się wszystkim, którzy zechcieli go wysłuchać. Kawakita, który wysforował się mocno do przodu, ponaglił ich machnięciem ręki i po chwili zniknął za załomem korytarza.

Gdy dotarli do Wielkiej Rotundy, okazało się, że konferencja prasowa już trwa. Dziennikarze otaczali dyrektora muzeum, Winstona Wrighta, kierując w jego stronę mikrofony i kamery. W rozległym pomieszczeniu głosy odbijały się szaleńczym echem. Ippolito, szef ochrony, stał u boku dyrektora.

Nieco na uboczu zgromadzili się inni pracownicy muzeum oraz kilka zaciekawionych toczącymi się wydarzeniami grup szkolnych.

Wright, pałając gniewem, w blasku kwarcowych lamp dzielnie odpowiadał na kolejne wykrzykiwane pytania. Jego zwykle nieskazitelny garnitur z Savile Row był pomięty, rzednące włosy zaczesane miał na jedną stronę, kilka kosmyków przesłaniało ucho. Jego oczy wydawały się przekrwione, a blada skóra nabrała szarawego odcienia.

— Nie — mówił Wright — najwyraźniej sądzili, że ich dzieci już opuściły muzeum. Nic nie wskazywało... Nie, nie przetrzymujemy w muzeum żywych zwierząt. To znaczy, są tu myszy i węże, wykorzystywane do celów badawczych, ale z pewnością nie ma lwów, tygrysów ani innych tego typu drapieżników... Nie, nie widziałem ciała... nie wiem, jak rozległe były obrażenia, ani jaki był stan ofiar... nie otrzymałem jeszcze stosownej ekspertyzy, będą musieli państwo poczekać na wyniki autopsji... chcę podkreślić, że jak dotąd policja nie wystosowała oficjalnego oświadczenia. Dopóki nie przestaną państwo krzyczeć, nie będę odpowiadać na żadne pytania. Nie, już mówiłem, że na terenie muzeum nie ma żadnych dzikich zwierząt... tak, niedźwiedzi także... Nie, nie podam państwu żadnych nazwisk... Jak, państwa zdaniem, miałbym odpowiedzieć na to pytanie? Na tym kończymy konferencję prasową... powiedziałem, kończymy... Tak, oczywiście że współpracujemy z policją, jak najbardziej... Nie, nie widzę powodu, dlaczego mielibyśmy opóźnić otwarcie wystawy. Powiem to wprost, otwarcie wystawy Przesady odbędzie się zgodnie z planem, w ustalonym terminie... Mamy wypchane lwy, tak, ale jeśli sugeruje pan... Na miły Bóg, one zostały ustrzelone w Afryce przed siedemdziesięcioma pięcioma laty! Zoo? Nie

nawiazywaliśmy żadnych stosunków z ogrodem zoologicznym... Nie zamierzam odpowiadać na dalsze pytania tego typu... to po prostu skandal... jak można w ogóle podejrzewać nas o coś podobnego?... Czy pan z „Post” mógłby przestać krzyczeć?... Policja przesłuchuje naukowca, który odkrył ciała, ale nie mam w związku z tym żadnych informacji... Nie, nie mam nic więcej do dodania, poza tym, że robimy, co w naszej mocy... Tak, to tragedia, oczywiście, wielka tragedia...

Dziennikarze, mijając Wrighta, zaczęli opuszczać salę, kierując się w głąb gmachu muzeum.

Wright odwrócił się gniewnie do swego szefa ochrony.

— Gdzie, u licha, podziała się policja? — Margo usłyszała jego cierpki komentarz. Po chwili rzucił przez ramię:

— Jeśli zobaczysz panią Rickman, każ jej natychmiast przyjść do mego gabinetu.

Rzekłszy to, opuścił Rotundę.



## *Rozdział szósty*

Margo weszła w głąb muzeum, oddalając się od bardziej uczęszczanych miejsc, dopóki nie dotarła do obszaru nazywanego „Broadwayem”. Rozciągający się wzdłuż całej długości muzeum, czyli sześciu miejskich przecznic, był to najprawdopodobniej najdłuższy korytarz w Nowym Jorku. Znajdowały się w nim wyłożone starą dębina gabinety, w ścianach co trzydzieści stóp umieszczono przeszklone szronioną szybą drzwi. Na większości z nich widniały wyryte złotymi literami na czarnym tle nazwiska kustoszów.

Margo jako magister miała dla siebie jedynie metalowe biurko i regał w jednym z piwnicznych laboratoriów. Przynajmniej mam własny gabinet — pomyślała, opuszczając korytarz i schodząc w dół po wąskich, żelaznych schodach. Jedna z jej koleżanek ze studiów dysponowała jedynie starym, poobijanym biurkiem wciśniętym pomiędzy dwie masywne zamrażarki na Wydziale Ssaków. Nawet w upalne letnie dni musiała przynosić do pracy gruby sweter.

Strażnik u podnóża schodów machnął ręką, pozwalając jej przejść.



Ruszyła dalej w głąb spowitego półmrokiem tunelu, gdzie po obu stronach w starych szklanych gablotach stały szkielety końskie.

Znalazłszy się w swoim gabinecie, Margo rzuciła torebkę obok biurka i usiadła. Laboratorium stanowiło w dużej mierze magazyn eksponatów z obszaru Mórz Południowych: tarcze Maorysów, łodzie bojowe i trzcinowe strzały wypełniały zielone, metalowe szafki sięgające od podłogi do sufitu. Stugalonowej

pojemności akwarium, symulator bagienny należący do Wydziału Zachowań Zwierzęcych, tkwił ustawiony na żelaznej konstrukcji ramowej, oświetlony całą baterią lamp. Wewnątrz było tyle alg i chwastów, że Margo z rzadka tylko dostrzegała jakąś rybę przecinającą tę mętną, mroczną toń.

Obok jej biurka umieszczono długi stół roboczy z całym rzędem zakurzonych masek. Konserwator, młoda, zgorzkniała kobieta, pracowała w gniewnym milczeniu, poświęcając swemu zadaniu niecałe trzy godziny dziennie. Margo doszła do wniosku, że praca nad każdą z masek w tym tempie zajmie jej około dwóch tygodni. Kolekcja masek, której renowację zlecono tej kobiecie, zawierała pięć tysięcy eksponatów, ale najwyraźniej nikt nie przejmował się drobnym faktem, że przy obecnym tempie robót, projekt zostanie ukończony za jakieś dwieście lat.

Margo uruchomiła komputer i zalogowała się w sieci.

Na ekranie pojawiły się zielone litery:

WITAJ MARGO GREEN@BIOTECH@STF PONOWNIE WITAMY  
W MUSENET DISTRIBUTED NETWORKING SYSTEM, RELEASE  
15-5 COPYRIGHT © 1989-1995 NYMNH I CEREBRAL SYSTEMS  
INC.

POŁĄCZENIE Z SIECIĄ GODZ. 10.24.06 03.27.95 DRUKARKA  
PODŁĄCZONA  
BRAK KOMUNIKATÓW

Weszła w tryb zapisu i zaczęła przeglądać swoje notatki przed spodziewanym spotkaniem z Frockiem. Jej promotor podczas tych cotygodniowych spotkań często wydawał się zajęty czymś innym, Margo zaś starała się w miarę możliwości zainteresować go ciekawymi nowinkami. Sęk w tym, że rzadko były one naprawdę nowe i interesujące, ot, kolejne artykuły, przeczytane, okrojone i wprowadzone do komputera. Teraz pojmowała już, jak można w nieskończoność podróżować na pokładzie intratnego pociągu badawczego zasilanego z rządowych dotacji, osiągając status, który naukowcy drwiąco określają skrótem WBND, Wszystko, Byle Nie Dysertacja.

Kiedy Frock dwa lata temu zgodził się zostać jej promotorem, odniosła niejasne wrażenie, że popełniła błąd. Frock, mózg kryjący się za Efektem Callisto, zajmujący fotel Cadwaladera na Wydziale Paleontologii Uniwersytetu Columbia, przewodniczący Wydziału Biologii Ewolucyjnej w muzeum, wybrał ją na swoją podopieczną; taki zaszczyt przytrafiał się co roku zaledwie garstce absolwentów.

Frock rozpoczął karierę jako antropofizyk. Przykuty do łóżka po przebytych w dzieciństwie polio osiągnął na wybranym polu badawczym tak wiele, że jego pionierskie dokonania stały się podstawą dla wielu współczesnych podręczników. Gdy po kilku przebytych atakach malarii Frock zmuszony był zarzucić dalsze badania w terenie, z zapałem zajął się teorią ewolucji. W połowie lat osiemdziesiątych wywołał nie lada burzę, prezentując swe radykalnie nowe poglądy. Łączące teorię chaosu i

darwinowską teorię ewolucji, hipotezy Frocka podały w wątpliwość powszechnie uznaną tezę o stopniowej ewolucji życia. Postulował on, że proces ten nie był wcale stopniowy i że pojawiające się niekiedy krótkotrwałe aberracje, „gatunki potworów”, stanowiły w rzeczywistości odnogi ewolucyjne. Frock postawił tezę, że ewolucja nie zawsze jest dziełem przypadku, lecz również samo środowisko może powodować nagłe, groteskowe zmiany u poszczególnych gatunków.

Choć teoria Frocka poparta była serią błyskotliwych artykułów i dokumentów, niemal cały świat naukowy podszedł do niej sceptycznie. Zapytywano — skoro rzekomo istnieją tak osobliwe formy życia, to gdzie się one ukrywają? Frock odparł, że jego teoria przewiduje gwałtowny rozwój gatunków, jak również ich podobnie nagły kres.

Im bardziej eksperci usiłowali udowodnić, że Frock się myli, a może nawet jest niespełna rozumu, tym bardziej prasa popularna podchwytywała jego idee. Teorię tę nazwano Efektem Callisto, imię to zaczerpnięto ze starego greckiego mitu, w którym młoda, piękna kobieta gwałtownie przemieniła się w dzikie stworzenie. Chociaż Frock ubolewał, iż jego dzieło nie jest pojmowane we właściwy sposób, równocześnie sprytnie wykorzystywał swą sławę, aby kontynuować i poszerzać pracę naukową.

Jak wielu błyskotliwych kustoszów, Frock był pochłonięty swoimi badaniami; czasami, jak podejrzewała Margo, nużyło go wszystko inne, włącznie z jej własną pracą.

Konserwator, siedząca po drugiej stronie pokoju, wstała i bez słowa wyszła na lunch, niechybny znak, że dochodziła już jedenasta. Margo wypisała na luźnej kartce kilka zdań, wyłączyła ekran i zabrała swój notatnik. Dysponowała garścią nowych danych na temat kiribitiańskiej

klasyfikacji roślin, które mogły zaintrygować Frocka.

Jego biuro mieściło się w południowo-zachodniej wieży, na samym końcu eleganckiego, edwardiańskiego korytarza, na czwartym piętrze; stanowiło prawdziwą oazę, z dala od laboratoriów i komputerowych stanowisk pracy charakteryzujących muzealne zaplecze. Na ciężkich, dębowych odrzwiach gabinetu widniała tabliczka z napisem DR FROCK.

Margo zapukała.

Usłyszała głośne chrząknięcie i cichy odgłos wózka. Drzwi otwały się powoli i jej oczom ukazała się znajoma, rumiana twarz ze złączonymi w wyrazie zaskoczenia krzaczastymi brwiami. Naraz jego spojrzenie pojaśniało.

— Oczywiście, dziś poniedziałek. Wejdz — powiedział cicho, dotykając pulchną dłonią jej nadgarstka i wskazując wielki, miękki fotel. Frock jak zawsze miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i gustowny krawat. Jego gęste, siwe włosy były w nieładzie.

Pod ścianami gabinetu stały stare, przeszklone regały na książki, na wielu półkach umieszczone były relikty i osobliwości z lat, kiedy prowadził badania naukowe w terenie. Pod ścianą piętrzyły się piramidy książek. Z dwóch łukowato sklepionych okien rozciągał się widok na rzekę Hudson. Obite skórą wiktoriańskie fotele stały na wyblakłym, perskim dywanie, na biurku Frocka zaś leżało kilka egzemplarzy jego ostatniej książki, zatytułowanej Ewolucja fraktalna.

Przy książkach Margo dostrzegła wielką bryłę szarego piaskowca. Na jego płaskiej powierzchni widniało wyraźne wgłębienie, dziwnie zniekształcone i wydłużone na jednym końcu, na drugim natomiast,

ozdobione aż trzema węższymi i ostrzejszymi otworami.

Zdaniem Frocka był to skamieniały odcisk istoty nie znanej nauce; jedyny fizyczny dowód na poparcie jego teorii aberracji ewolucyjnych. Inni naukowcy mieli na ten temat odmienne zdanie; wielu nie uważało nawet, że jest to skamielina. Nazywali ją Szaleństwem Frocka. Większość z nich nigdy nie widziała tego przedmiotu.

— Uprzątnij ten bałagan i usiądź — rzekł Frock, podjeżdżając na wózku w swoje ulubione miejsce, pod jedno z łukowych okien. — Sherry? Nie, oczywiście, ty nie pijesz. Na śmierć o tym zapomniałem.

Na wskazanym fotelu leżało kilka archiwalnych egzemplarzy „Nature” i nie dokończony, napisany na maszynie artykuł zatytułowany Przemiany filogenetyczne i trzeciorzędowe paprocie kolczaste. Margo przełożyła je na biurko i usiadła, zastanawiając się, czy doktor Frock wspomni choć słowem o śmierci dwóch małych chłopców.

Patrzył na nią przez chwilę w bezruchu. W końcu zamrugał powiekami i westchnął.

— No cóż, panno Green — powiedział. — Zaczynamy? Margo, rozczarowana, otworzyła swój notatnik. Przekartkowała notatki, po czym zaczęła wyjaśniać dokonaną przez siebie analizę kiribitiańskiej klasyfikacji roślin oraz jej związek z kolejnym rozdziałem dysertacji. Mówiła, podczas gdy Frock powoli opuścił głowę na piersi i przymknął powieki. Ktoś inny mógłby pomyśleć, że usnął, lecz Margo wiedziała, że uczony słuchał jej w głębokim skupieniu.

Gdy skończyła, powoli się ożywił.

— Klasyfikacja roślin leczniczych na podstawie ich wykorzystania, a nie wyglądu — odezwał się po chwili. — To ciekawe. Ten artykuł

przypomina mi coś, czego doświadczyłem wśród plemienia Ki z Bechuanalandu. — Margo czekała cierpliwie na dalsze wyjaśnienia.

— Jak zapewne wiesz — Frock zakładał zawsze, że jego interlokutor był równie dobrze jak on zaznajomiony z tematem — plemię Ki używało ongiś kory pewnego krzewu jako lekarstwa na migreny. Charriere prowadził nad nimi badania w roku 1869 i wspomniał o wykorzystaniu przez nich tego krzewu w swoich dziennikach. Gdy zjawiłem się wśród nich siedemdziesiąt pięć lat później, nie używali już tego lekarstwa. Wierzyli, że migreny są wywoływane czarami. — Poruszył się w fotelu. — Przyjętym onegdaj środkiem zaradczym dla ofiary dokuczliwej migreny było zidentyfikowanie czarownika i, rzecz jasna, zgładzenie go. Naturalnie rodzina zabitego czarownika domagała się zwykle zemsty za śmierć krewniaka i ogarnięta morderczym gniewem uśmiercała migrenowca. Możesz sobie wyobrazić, do czego to ostatecznie doprowadziło.

— Do czego? — zapytała Margo, sądząc, że Frock zamierza mimo wszystko wyjaśnić, jak jego wywód ma się do tematu jej dysertacji.

— To oczywiste — odrzekł Frock, rozkładając ręce — nastąpił przełom w medycynie. Istny cud. Ludzie przestali miewać migreny.

I zaniósł się gromkim śmiechem. Margo także się roześmiała, jak stwierdziła, po raz pierwszy tego dnia.

— No cóż, to tyle, jeżeli chodzi o prymitywną medycynę — dodał z lekką zadumą Frock. — W tamtych czasach badania naukowe w terenie były jeszcze prawdziwą przyjemnością.

Przerwał na chwilę.

— Wiesz, na tej nowej wystawie Przesady plemieniu Ki poświęcony

będzie cały sektor — ciągnął. — Niestety to, co się tam znajdzie, to tylko okropna, odmóżdżona papka dla mas. Przygotowaniem tej ekspozycji ma się zająć jakiś młodzik, świeżo po Harvardzie. Mówiono mi, że więcej wie o komputerach i masowym rynku niż o niektórych dziedzinach nauki.

Frock znów poruszył się w fotelu.

— Tak czy inaczej, panno Green, uważam, że to, co mi pani przedstawiła, będzie stanowić smakowity dodatek do pani pracy. Sugeruję, aby zdobyła pani z herbarium próbki kiribitiańskich roślin i pociągnęła ten temat dalej.

Margo zbierała już swoje papiery, gdy nagle Frock znów się odezwał.

— Kiepsko się zaczął ten dzień. Margo pokiwała głową.

Frock milczał przez chwilę.

— Obawiam się o muzeum — dokończył.

— To byli dwaj bracia — powiedziała ni stąd, ni zowąd Margo. — Wielka tragedia dla rodziny. Ale cała sprawa już wkrótce ucichnie... jak zawsze.

— Nie sądzę — odparł Frock. — Słyszałem co nieco na temat stanu ciał. Siła, z jaką dokonano tego czynu... była anormalna.

— Chyba nie sądzi pan, że to dzieło jakiegoś dzikiego zwierzęcia? — spytała Margo. Może Frock rzeczywiście był niespełna rozumu, tak jak mówiono.

Frock uśmiechnął się.

— Moja droga, nie zamierzam wyciągać pochopnych wniosków. Zaczekam na dalsze dowody. Na razie mam nadzieję, że to fatalne zdarzenie nie wpłynie na twoją decyzję w kwestii ewentualnego pozostania w muzeum. O tak, słyszałem i o tym, bardzo mnie zasmuciła

wiadomość o śmierci twego ojca. Masz trzy cechy, które charakteryzują każdego prawdziwego badacza z krwi i kości: wiesz, czego poszukujesz, wiesz, gdzie należy tego szukać, i najważniejsze, z całego serca pragniesz udowodnienia swoich teorii. — Podjechał do niej. — Zapał i gorliwość naukowca teoretyka są równie ważne jak zapał i gorliwość badacza prowadzącego prace w terenie. Proszę o tym nie zapominać, panno Green. Pani wiedza teoretyczna i osiągnięcia w laboratorium są doprawdy imponujące. Szkoda byłoby, gdyby nasze grono zostało uszczuplone o tak utalentowaną osobę jak pani. Margo poczuła mieszaninę wdzięczności i oburzenia.

— Dziękuję, doktorze Frock — odrzekła. — Doceniam pańskie życzliwe słowa... i pańską troskę.

Naukowiec machnął ręką, a Margo pożegnała się. Była już przy drzwiach, gdy znów usłyszała głos Frocka.

— Panno Green? — odezwał się.

— Tak?

— Niech pani będzie ostrożna.



## *Rozdział siódmy*

Na korytarzu omal nie zderzyła się ze Smithbackiem. Nachylił się ku niej i mrugnął zawadiacko.

— Może skoczymy na lunch?

— Nie — odparła. — Mam zbyt wiele pracy. — Dwa razy w ciągu jednego dnia; wątpiła, aby była w stanie znieść tak dużą dawkę jego obecności.

— No, chodź — nalegał. — Mam garść nowych, potwornych szczegółów na temat tych morderstw.

— Nie wątpię. — Przyspieszyła kroku, poirytowana, że obudził w niej

zaciekawienie.

Smithback chwycił ją za rękę.

— Słyszałem, że w barze podają twardą jak podeszwa i przepyszną lazanię. — Skierował ją w stronę windy.

W sali jadalnej jak zawsze roilo się od pracowników muzeum, kustoszy, otyłych, głośno rozmawiających strażników, techników i laborantów w białych kitlach. Jeden z kustoszy prezentował okazy siedzącym przy wspólnym stole kolegom naukowcom, którzy pomrukiwali z podziwem i zaciekawieniem. Margo przyjrzała się baczniej. W wielkich słojach z formaliną pływały jakieś pasożytnicze robaki.

Usiedli. Margo spróbowała odkroić kawałek lazanii.

— Widzisz, dokładnie tak jak obiecałem — rzekł Smithback, biorąc swój kawałek do ręki i odgryzając kęs z głośnym chrupnięciem. — Musiała stać pod lampą nagrzewającą co najmniej od dziewiątej.

Zaczął głośno żuć.

— Cóż, policja w końcu wydała oficjalne oświadczenie. Zeszłej nocy dokonano tu dwóch morderstw. Co za błyskotliwe umysły! Jak do tego doszli? A pamiętasz pytania dziennikarzy, te dotyczące dzikich zwierząt? Widzisz, okazało się, że istnieje prawdopodobieństwo, iż tych chłopców rozszarpał na strzępy jakiś drapieżnik.

— Nie przy jedzeniu — poskarżyła się Margo.

— Ale to prawda. Zostali niemal dosłownie rozdarci na kawałki.

Margo uniosła wzrok.

— Proszę.

— Ja nie żartuję — ciągnął Smithback. — Są naciski z góry, aby koniecznie rozwikłać tę sprawę, zwłaszcza że niebawem ma się odbyć

otwarcie nowej wystawy. Słyszałem, że gliny zatrudniły nawet specjalnego koronera. Kogoś, kto czyta z otwartych ran szarpanych równie płynnie, jak Helen Keller posługuje się brajlem.

— Niech cię szlag, Smithback — mruknęła Margo, upuszczając swój widelec. — Mam już dość zarówno twojego napuszonego stylu, jak i tych okropnych, krwawych szczegółów, zwłaszcza przy posiłku. Czy nie mogłabym najpierw zjeść w spokoju, a dopiero potem wysłuchiwać, co masz mi do powiedzenia?

— Jak już mówiłem — ciągnął Smithback, ignorując jej wybuch — ta kobieta jest rzekomo ekspertem od wielkich kotów. Doktor Matylda Ziewicz. Niezłe nazwisko, co? Brzmi wdechowo.

Pomimo rozdrażnienia, Margo niemal się uśmiechnęła. Smithback mógł być palantem, ale przynajmniej bywał zabawny. Odsunęła tacę.

— Skąd to wszystko wiesz? — zapytała. Smithback uśmiechnął się.

— Mam swoje źródła. — Odgryzł kolejny kęs lazanii. — Szczerze mówiąc, natknąłem się na kolegę, który pisuje dla „News”. Ktoś wydobył całą tę historię od informatora z policji. Wszystko to znajdzie się na pierwszych stronach wieczornych gazet. Wyobrażasz sobie twarz Wrighta, kiedy to zobaczy? O Boże. Smithback chichotał przez chwilę, po czym znów napełnił usta lazanią. Dojadł swoją i zabrał się za porcję Margo. Jak na takiego chudzielca obżerał się jak prosię.

— Jak to możliwe, żeby po naszym muzeum szwendało się dzikie zwierzę? — zastanawiała się Margo. — Przecież to absurd.

— Czyżby? To posłuchaj: ściągają tu kogoś z psami gończymi, żeby wytropiły tego skurwiela.

— Żartujesz sobie.

— Absolutnie. Zapytaj strażników. W tym gmachu jest milion stóp kwadratowych powierzchni, mnóstwo miejsca, gdzie może się kryć wielki kot czy jakaś inna paskuda; dodajmy jeszcze do tego pięć mil przewodów wentylacyjnych, dostatecznie dużych, by mógł się w nich zmieścić człowiek. Poza tym pod muzeum rozciąga się cała sieć opuszczonych tuneli. Potraktowali to bardzo poważnie.

— Tunele, powiadasz?

— Tak. Nie czytałaś mojego artykułu z zeszłego miesiąca? Pierwsze muzeum zostało wzniesione na bagnach artezyjskich, których nie sposób było całkowicie osuszyć. Dlatego też wybudowano te wszystkie tunele, aby odprowadzały wodę. Gdy pierwotne muzeum spłonęło w roku 1911, na jego fundamentach i pomieszczeniach piwnicznych wzniesiono obecny gmach. A podziemia są doprawdy ogromne, wielopoziomowe... spora ich część nie została po dziś dzień zelektryfikowana. Wątpię, czy żyje dziś jeszcze ktoś, kto znałby cały ich rozkład i umiałby się po nich poruszać.

Smithback przełknął ostatni kęs lazanii i odsunął tacę.

— No i jak zawsze pojawiły się znów plotki o Bestii z Muzeum.

Każdy, kto pracował w muzeum, słyszał tę historię. Pracownicy obsługi technicznej, zwłaszcza ci z nocnej zmiany, rzekomo widywali bestię przez mgnienie oka. Asystenci przemierzający mroczne korytarze prowadzące do magazynów z okazami dostrzegali ją poruszającą się wśród cieni. Nikt nie wiedział, czym była ani skąd się wzięła, lecz kilka osób twierdziło, że parę lat temu bestia zabiła człowieka.

Margo postanowiła zmienić temat.

— Czy Rickman wciąż sprawia ci kłopoty? — spytała.

Gdy wymówiła to nazwisko, Smithback aż się skrzywił. Margo

wiedziała, że Lavinia Rickman, tutejsza szefowa do spraw public relations, wynajęła Smithbacka do napisania książki. Rozwiązała także wielce palącą kwestię cięć w budżecie muzeum, dotyczących zaliczek i honorarium autorskiego. Choć Smithback nie był zbytnio zadowolony ze szczegółów kontraktu, planowana wystawa zapowiadała się na wielkie wydarzenie, a co za tym idzie, książka powinna sprzedawać się jak świeże bułeczki. Smithback na pewno tylko na tym zyska i to sporo — skonstatowała Margo, zważywszy na to, że jego poprzednia książka o bostońskim Akwarium cieszyła się umiarkowanym powodzeniem.

— Rickman? Kłopoty? — Smithback parsknął. — O Boże. Ona to chodzące kłopoty. A raczej jeden wielki kłopot. Posłuchaj, chciałbym coś ci przeczytać. — Wyjął z notatnika plik luźnych kartek.

— Kiedy doktor Cuthbert przedstawił swoją propozycję wystawy pod nazwą Przesady dyrektorowi muzeum, już sama idea wywarła na Wrightcie wielkie wrażenie. Zapowiadała się na gigantyczne przedsięwzięcie w rodzaju Skarbów króla Tutenchamona czy Siedmiu poziomów Troi. Wright wiedział, że oznacza to dla muzeum olbrzymi zastrzyk finansowy i bezprecedensową okazję pozyskania dotacji ze strony wielkich firm oraz sponsorujących podobne przedsięwzięcia instytucji rządowych. Jednakże niektórzy ze starszych kustoszy wyrażali się o pomysle nader sceptycznie. Ich zdaniem ta wystawa pachniała tanią sensacją.

Smithback przerwał.

— Spójrz, co zrobiła Rickman. — Podsunął jej kartkę. Cały akapit został przekreślony, a na marginesie grubym markerem napisano:  
USUNĄĆ!

Margo zachichotała.

— Co cię tak śmieszy? — spytał Smithback. — Ona okroiła mój manuskrypt. Spójrz na to. — Wskazał palcem fragment tekstu na innej stronie.

Margo pokręciła głową.

— Rickman chce, aby muzeum zostało przedstawione w nieskazitelny sposób. Żadnych czerni ani szarości, tylko śnieżna biel. Nigdy nie dojdziecie do porozumienia

— Ona mnie doprowadza do szału. Usuwa wszystko, co może budzić choćby cień kontrowersji. Chciałaby, abym cały swój czas poświęcał na rozmowy z tym młodym dupkiem zajmującym się przygotowaniem wystawy. Wie, że on powie mi tylko to, co mu każe jego szef, Cuthbert. — Nachylił się w jej stronę i wyszeptał: — W życiu nie spotkałaś takiego faceta. Mówię ci, dusza człowiek. — Uniósł wzrok i jęknął. — O Boże. Właśnie tu idzie.

Przy ich stoliku zmaterializował się młody mężczyzna z niedużym brzuszkiem i w okularach w rogowej oprawie. Na lśniącej skórzanej aktówce niósł swoją tacę.

— Mogę się przysiąść? — zapytał nieśmiało. — Obawiam się, że to jedyne wolne miejsce w całej sali.

— Jasne — odparł Smithback. — Siadaj. Właśnie o tobie rozmawialiśmy. Margo, poznaj George'a Moriarty'ego. To on nadzoruje wystawę Przesady.

Smithback machnął trzymanym w dłoni manuskrytem tuż przed nosem kustosza.

— Spójrz, co Rickman zrobiła z moją pracą. Jedyne, czego nie wycięła, to twoje cytaty.

Moriarty przejrzał maszynopis i z niemal dziecięcą powagą spojrział na Smithbacka.

— Wcale mnie to nie dziwi — oznajmił. — Po co wyciągać na światło dzienne wszystkie brudy muzeum?

— Ależ, George. Przecież to właśnie one czynią całą tę historię zajmującą!

Moriarty odwrócił się do Margo.

— To pani jest tą magister od etnofarmakologii, prawda?

— Zgadza się — odparła, mile polechtana jego pochlebstwem. — Skąd pan wie?

— Interesuję się tym tematem. — Uśmiechnął się i posłał jej krótkie spojrzenie. — Na wystawie znajdzie się kilka gablot poświęconych farmakologii i medycynie. Właściwie chciałbym pomówić z panią o jednej z nich.

— Jasne. O czym konkretnie? — Przyjrzała się Moriarty'emu uważnie.

Był wzorcem przeciętniaka, przeciętnego wzrostu, przeciętny szatyn z przeciętną nadwagą. Nosił przepisowy ubiór muzealny, czyli wrzosowego koloru tweedową marynarkę, obecnie dość mocno pomiętą. Jedyne co go wyróżniało, to wielki zegarek na przegubie dłoni w kształcie zegara słonecznego, a także jego przepiękne piwne oczy, skryte za szklami okularów, oczy przepelnione inteligencją i bystrością.

Smithback poruszył się niespokojnie na krześle i wychylił się nieznacznie do przodu. Spojrział na pozostałą dwójkę.

— No cóż — powiedział — chciałbym jeszcze zostać i poobserwować tę czarującą scenę, ale w środę mam przeprowadzić z kimś wywiad w Sali

Robaków. Mam zamiar jeszcze dokończyć zaczęty rozdział. George, nie podpisuj żadnych kontraktów na film dotyczący tej twojej sławetnej ekspozycji bez uprzedniego porozumienia ze mną.

Parsknął w głos, wstał i ruszył w kierunku drzwi, płynnie lawirując pomiędzy stolikami.

## *Rozdział ósmy*

Jonathan Hamm spojrział w głąb piwnicznego korytarza przez grube



szkła okularów, które należałoby porządnie wyczyścić. Wokół dłoni w czarnych rękawicach oplecione miał skórzane smycze, a u jego stóp siedziały potulnie dwa psy gończe. Tuż przy nim stał jego pomocnik. Obok niego z kolei porucznik D'Agosta, dzierżący w dłoni przybrudzone, mocno pomięte plany budynku. Za plecami szefa oparci o ścianę stali dwaj jego zastępcy. Byli uzbrojeni w strzelby śrutowe, remington .12. D'Agosta przewertował plany.

— Czy te psy nie mogłyby tak po prostu zwietrzyć śladu i pójść za nim? — zapytał z irytacją.

Hamm westchnął przeciągle.

— Ogary. To są ogary. I one nie mogą zwietrzyć śladu. Odkąd tu weszliśmy, nie możemy polegać na ich węchu. Za dużo tu różnych woni.

D'Agosta burknął, wyjął z kieszeni marynarki rozmokłe cygaro i zaczął unosić je do ust. Hamm pochwycił jego spojrzenie.

— A, tak — rzekł D'Agosta. Wsunął cygaro z powrotem do kieszeni.

Hamm zaczął węszyć. Powietrze było wilgotne, to dobrze. Ale to jedyny plus ich dzisiejszego pikniku. Po pierwsze, bezgraniczna głupota policji. Co to za psy?, wypytywali. Chcieliśmy psów gończych. To są ogary — wyjaśnił, blue-tick hound i podpalany coonhound. W sprzyjających warunkach te psy gończe mogły odnaleźć ślad zaginionego wędrowca po zimowej zawiei, gdzie grubość warstwy leżącego śniegu wynosiła do trzech stóp. Ale to nie są sprzyjające warunki — uznał Hamm.

Jak zwykle na miejscu przestępstwa narobiono niezłego bałaganu. Środki chemiczne, farba w sprayu, kreda, tysiące ludzi kręcących się w tę i z powrotem. Poza tym podest u podnóża schodów niemal dosłownie tonął we krwi; nawet teraz, około osiemnastu godzin po dokonaniu zbrodni, w

powietrzu czuć było silną, ciężką woń, która drażniła ogary.

Najpierw próbowali pójść z psami za tropem wiodącym od miejsca zbrodni. Gdy to się nie udało, Hamm zasugerował, aby zaczęli szukać śladów, okrążając miejsce przestępstwa, w nadziei, że psy podchwycą trop gdzieś na obrzeżu, w miejscu, z którego odchodził.

Ogary nie były szkolone do pracy wewnątrz budynków. To oczywiste, że czuły się nieswojo. To jednak nie była jego wina.

Gliniarze nie raczyli mu nawet powiedzieć, czy poszukiwali człowieka czy zwierzęcia. Może sami tego nie wiedzieli.

— Chodźmy tędy — zasugerował D'Agosta.

Hamm przekazał smycze pomocnikowi, który wysforował się naprzód; psy szły równo, z nosami tuż przy ziemi.

Wkrótce potem psy zaczęły ujadać przy wejściu do magazynu, gdzie przechowywano kości mastodontów; opary środka konserwującego, które wypłynęły na zewnątrz, kiedy otworzyli drzwi, zmusiły ich do zarządzenia półgodzinnej przerwy. Tyle bowiem potrzeba było czasu, aby psy odzyskały węch. A to było pierwsze z wielu pomieszczeń, gdzie składowano futra zwierząt, ciała goryli w formalinie i mnóstwo innych okazów zamkniętych w zamrażarkach. W jednym z magazynów znajdowało się też mnóstwo ludzkich szkieletów.

Dotarli do przejścia z otwartymi, metalowymi drzwiami, za którymi znajdowały się prowadzące w dół, kamienne schody. Ściany pokryte były warstwą spękanego wapna, a na klatce schodowej panowały egipskie ciemności.

— To chyba musi być jakiś loch — rzekł jeden z policjantów i zachichotał.

— Przejście prowadzi do sutereny — mruknął D'Agosta, zerkając na plany. Skinął na jednego z funkcjonariuszy, który podał mu długą latarkę.

Krótkie schody kończyły się ceglanym, łukowato sklepionym tunelem, w którym z trudem mógłby się wyprostować rosły mężczyzna. Tropiciel ruszył z psami pierwszy, D'Agosta i Hamm byli tuż za nim. Na samym końcu podążali dwaj policjanci.

— W korytarzu jest woda — rzekł Hamm.

— I co z tego?

— Jeśli płynie tędy woda, możemy pożegnać się z jakimikolwiek tropami.

— Mówiono mi, że mogę natrafić tu na większe lub mniejsze kałuże — odparł D'Agosta. — Woda stoi tu dłużej tylko po deszczu, a przecież nie padało.

— Uspokoił mnie pan — mruknął Hamm.

Dotarli do zbiegu czterech tuneli, gdzie D'Agosta zatrzymał się, by spojrzeć na plany.

— Tak mi się zdawało, że musisz pan na nie zerknąć — zauważył Haram.

— Czyżby? — mruknął D'Agosta. — Cóż, zaskoczę pana. Na tych planach nie ma zaznaczonego rozkładu sutereny.

Gdy jeden z psów zaczął nagle popiskiwać i gorączkowo węszyć, Hamm natychmiast się ożywił.

— Tędy. Szybko. Psy znów zaskomlały.

— Złapały trop! — rzekł Hamm. — Bez wątpienia mają jakiś ślad. Spójrz pan, jak się zjeżyły. I chodź pan tu z tą latarką, ni cholery w tych ciemnościach nie widzę.

Psy rwały się ze smyczy, gnały naprzód jak oszalałe, z nosami w górze, wężąc zawzięcie.

— Widzisz pan, widzisz! — rzekł Hamm. — Złapały jakąś woń. Czujesz pan na twarzy powiew świeżego powietrza? Powinienem był sprowadzić tu spaniele. Są nie do pobicia przy wychwytywaniu zapachów z powietrza!

Policjanci wysforowali się naprzód, jeden z nich świecił latarką, drugi trzymał broń w pogotowiu. W oddali tunel znów się rozwidłał, psy przeszły w trucht, kierując się ku prawej odnodze.

— Niech pan zaczeka, panie Hamm, tam może się czaić zabójca — ostrzegł D'Agosta.

Wtem psy zaczęły potwornie ujadać.

— Siad! — zawołał pomocnik tropiciela. — Do nogi! Kastor! Polluks! Do nogi, niech was wszyscy diabli!

Psy, nie zważając na komendy, wciąż rwały się z uwięzi.

— Hamm, musisz mi pomóc, sam nie dam rady.

— Co w was wstąpiło?! — krzyknął Hamm, podbiegając do oszalałych psów i usiłując chwycić je za obroże. — Do nogi, Kastor!

— Ucisz je! — rzucił D'Agosta.

— Zerwał się! — zawołał pomocnik, gdy jeden z psów pomknął w mrok. Co sił pobiegli za oddalającym się zwierzęciem.

— Czujesz pan to? — spytał Hamm, zatrzymując się gwałtownie. — Chryste Panie, czujesz ten smród?

Owionęła ich fala dławiącego, koziego odoru. Drugi pies szalał na uwięzi, podskakiwał, skręcał całym ciałem, rzucał się naprzód i nagle zerwał się ze smyczy.

— Polluks! Polluks!

— Zaczekaj! — krzyknął D'Agosta. — Zapomnij przez moment o tych pieprzonych psach. Zaprowadźmy tu choć odrobinę ładu. Wy dwaj zajmijcie znów pozycje na szpicy. Bądźcie gotowi do natychmiastowego otwarcia ognia.

Obaj mężczyźni przeładowali strzelby.

W pełnym ech mroku przed nimi szczekanie psa przycichło, po czym umilkło zupełnie. Nastąpiła chwila ciszy. Zaraz potem rozległ się potworny, nieziemski pisk, niczym jęk opon auta wyskakującego z czarnego jak smoła tunelu. Dźwięk urwał się równie nagle, jak się rozpoczął.

— Kastor! — zawołał Hamm. — Boże! Coś mu się stało!

— Do cholery, Hamm, cofnij się! — warknął D'Agosta.

W tej samej chwili z mroku w ich stronę wyprysnął jakiś kształt i obie strzelby plunęły ogniem, nastąpiły dwa błyski światła, którym towarzyszył przeraźliwy huk karabinowej salwy.

Grzmot wystrzałów przetoczył się echem w głąb tunelu i ucichł.

Znów zapadła cisza.

— Durnie, właśnie zabiliście mi psa — jęknął z wyrzutem Hamm.

Polluks leżał o pięć stóp od nich, z jego zmasakrowanego łba lała się krew.

— Biegł prosto na mnie... — zaczął jeden z funkcjonariuszy.

— Chryste Panie — westchnął D'Agosta. — Odpuść sobie te tłumaczenia. To coś wciąż tam jest.

Drugiego psa odnaleźli sto jardów dalej, w głębi tunelu. Został prawie rozerwany na pół, z rozprutego brzucha wylewały się wnętrzności.

— Jezu, spójrz tylko na to — rzekł D'Agosta. Hamm nie powiedział ani słowa.

Zaraz za zwłokami psa znajdowało się kolejne rozgałęzienie tunelu.

D'Agosta wciąż patrzył na rozszarpane truchło.

— Bez psów nie zdołamy ustalić, dokąd to poszło — odezwał się w końcu.

— Wynośmy się stąd, niech lekarze sądowi zajmą się całym tym bajzlem.

Hamm nie powiedział ani słowa.

## *Rozdział dziewiąty*

Moriarty, który nagle został sam w barze z Margo, wyglądał na jeszcze bardziej spiętego i zakłopotanego.

— No więc? — spytała Margo po krótkiej chwili ciszy.

— Właściwie to chciałem porozmawiać z tobą o twojej pracy — przerwał.

— Doprawdy? — Margo nie była przyzwyczajona, by ktokolwiek interesował się tym, co robiła.

— To znaczy, nie bezpośrednio. Gabloty do ekspozycji plemiennych metod i roślin leczniczych są już przygotowane. Wszystko, z wyjątkiem jednej. Chcieliśmy zaprezentować w niej niezwykle zbiór roślin i artefaktów szamańskich z terytorium Kamerunu, ale zostały źle opisane. Dokumentacja jest po prostu fatalna. Może zechciałabyś rzucić na to okiem...?

— Z wielką chęcią — odrzekła Margo.

— Świetnie! Kiedy?

— Choćby i teraz. Mam trochę wolnego czasu.

Wyszli z baru i przemaszerowali przez długi piwniczny korytarz pełen grzmiących rur centralnego ogrzewania i zamkniętych na kłódkę drzwi. Na jednych drzwiach widniała tabliczka z napisem MAGAZYN DINOZAUROW NR 4, GÓRNA JURA. Większość znajdujących się w muzeum kości dinozaurów przechowywano właśnie tu, w piwnicach, gdyż, jak słyszała, krążyły plotki, że olbrzymi ciężar skamieniałych kości groził zawaleniem wyższych pięter.

— Zbiór znajduje się w jednym ze skarbców na piątym piętrze — powiedział gwoli wyjaśnienia Moriarty, gdy wsiedli do windy towarowej. — Mam nadzieję, że uda mi się go odnaleźć. Wiesz, ile jest tam pomieszczeń magazynowych. To istny ul.

— Słyszałeś jakieś nowe wieści na temat Charliego Prine'a? — spytała Margo półgłosem.

— Niewiele. Najwyraźniej nie uznali go za podejrzanego. Myślę jednak, iż przez pewien czas nie będzie go razem z nami. Doktor Cuthbert przed lunchem wspomniał mi, że Prine doznał poważnego wstrząsu psychicznego. — Moriarty pokręcił głową.

— Cóż za straszna historia.

Na czwartym piętrze Margo podążyła za Moriartym wzdłuż szerokiego korytarza, po czym wspięła się po metalowych schodach. Wąski labirynt metalowych kładek składających się na tę część piątego piętra wzniesiony został dokładnie poniżej długich, spadzistych dachów muzeum.

Po obu stronach znajdowały się rzędy niskich, metalowych drzwiczek,

za którymi w skarbcach spoczywały zamknięte hermetycznie najcenniejsze i najbardziej podatne na zniszczenia eksponaty ze zbiorów antropologicznych. W dawniejszych czasach do owych skarbców wpompowywano mieszaninę cyjankali, mającą uśmiercić znajdujące się tam szkodniki i bakterie; obecnie artefakty konserwowano, używając subtelniejszych metod. Mężczyzna i kobieta, pokonując kolejne kładki, mijali całe mnóstwo ustawionych pod ścianami eksponatów — rzeźbioną dłubankę wojenną, kilka totemów, rząd tam-tamów. Mimo iż powierzchnia magazynowa wynosiła tu równo milion stóp kwadratowych, wykorzystano każdy jej cal, włącznie ze schodami, korytarzami i gabinetami młodszych kustoszy. Spośród pięćdziesięciu milionów artefaktów i eksponatów na wystawach prezentowano około pięć procent, do reszty dostęp mieli jedynie naukowcy oraz badacze.

Nowojorskie Muzeum Historii Naturalnej to nie jeden, lecz kilka ogromnych gmachów połączonych na przestrzeni lat w pojedynczą, gigantyczną budowlę. Kiedy Margo i Moriarty dotarli do drugiego budynku, znaleźli się w pomieszczeniach o wysokim sklepieniu, a metalową kładkę zastąpił rozgałęziający się korytarz. Z brudnych świetlików spływało w dół słabe, przefiltrowane światło, nieznacznie tylko rozjaśniając półki, na których spoczywały gipsowe odlewy twarzy aborygenów.

— Boże, jakie to wielkie miejsce — wyszeptała Margo, czując nagle pod sercem lodowate ukłucie trwogi; mimo to ucieszyła się, że znajdowała się o siedem pięter nad mrocznymi tunelami, gdzie poniosło śmierć dwóch małych chłopców.

— Największe na świecie — odparł Moriarty, otwierając drzwi z



napisem AFRYKA ŚRODKOWA, D-2.

Przekręcił kontakt, zapalając gołą, dwudziestopięciowatową żarówkę. Zaglądając do środka, Margo ujrzała nieduże pomieszczenie pełne masek, szamańskich grzechotek, pomalowanych i ozdobionych paciorkami skór, a także kilka tyczek ozdobionych szczyżącymi się ludzkimi czaszkami. Pod ścianą stały drewniane regały z wysuwanymi szufladami. Moriarty skinął w ich stronę.

— Tam są te rośliny. I oprócz tego rozmaite szamańskie parafernalia. To wspaniały zbiór, ale Eastman, facet, który zebrał kameruńską kolekcję, nie był na tyle skrupulatny, by sporządzić dokładną i przejrzystą dokumentację.

— Niewiarygodne — wyszeptała Margo. — Nie miałam pojęcia...

— Posłuchaj — przerwał jej Moriarty. — Gdy rozpoczęliśmy prace przygotowawcze do planowanej wystawy, natrafiliśmy na takie rzeczy, że mózg staje. Nie uwierzyłabyś, co znaleźliśmy. Tylko w tej sekcji mieści się około stu skarbców z eksponatami i okazami antropologicznymi i założę się, że niektórych z nich nie otwierano od czterdziestu lat.

Moriarty nagle ożywił się i nabrał pewności siebie. Margo uznała, że gdyby pozbył się tej marynarki, zrzucił parę funtów i wymienił okulary w rogowych oprawkach na szkła kontaktowe, mógłby wyglądać całkiem przystojnie.

Lecz on wciąż mówił

— Zaledwie w zeszłym tygodniu odkryliśmy jeden z dwóch istniejących wzorów jukagirskich piktogramów — i to w sali obok! Gdy tylko będę miał trochę czasu, napiszę w tej sprawie do JAA.

Margo uśmiechnęła się. Był tak podekscytowany, jakby opowiadał o

odkryciu nieznannej sztuki Szekspira. Wątpiła, by tą sprawą było zainteresowanych więcej niż tuzin czytelników „Journal of American Anthropology” Mimo to entuzjazm Moriarty'ego podziałał na nią orzeźwiająco

— Tak czy inaczej — ciągnął Moriarty, podsuwając wyżej na nos opadające okulary — potrzebny był mi ktoś, kto pomógłby mi uporządkować kameruńskie okazy i przygotować je do umieszczenia w gablocie wraz z odpowiednimi adnotacjami.

— Co miałabym zrobić? — spytała Margo, na pewien czas zapominając o kolejnym rozdziale dysertacji. Jego entuzjazm był zaraźliwy.

— To proste — odrzekł Moriarty — Mam przy sobie listę eksponatów, które powinny znaleźć się w gablocie.

Wyjął z teczki jakiś dokument

— Popatrzmy — mruknął, wodząc palcem w dół zadrukowanej strony — Na tej kartce znajdziesz krótką charakterystykę tego, co ma zostać przedstawione w danej ekspozycji. Taki zarys ogólny Do ciebie będzie należało wybranie, na podstawie niniejszej listy, kilku stosownych artefaktów i okazów roślinnych.

Margo przejrzała dokument. Sprawa wydawała się bardziej czasochłonna, niż przypuszczała.

— Jak sądzisz, ile ci to zajmie?

— Dziesięć do piętnastu godzin, maksimum. Wszystkie niezbędne papiery i opisy mam przy sobie. Ale musimy się pośpieszyć Otwarcie już za kilka dni.

Znów powróciło do niej wspomnienie rozpoczętego rozdziału

— Zaczekaj — powiedziała — To poważna robota, a ja muszę skończyć moją dysertację.

Wyraz konsternacji na twarzy Moriarty'ego wydawał się niemal komiczny. Nie przyszło mu w ogóle do głowy, że mogła mieć inne zajęcia.

— To znaczy, że mi nie pomożesz?

— Może spróbuję wykroić choć trochę czasu... — odrzekła. Jego twarz rozpromieniła się.

— Świetnie! Poczekaj. Skoro już tu jesteśmy, pokażę ci kilka ciekawostek, które tu składowano.

Zaprowadził ją do sąsiedniego skarbca i włożył klucz do zamka. Gdy otworzył drzwi, jej oczom ukazała się oszałamiająca kolekcja malowanych bawolich czerepów, grzechotek, pęków piór, a nawet rząd czegoś, co wyglądało jak powiązane rzemieniami szkielety kruków.

— Jezu! — wyszeptała Margo.

— Są tu wszystkie religie świata — mruknął Moriarty. — Zaczekaj, aż zobaczysz, co przygotowaliśmy na wystawę. To, co tutaj widzisz, zostało odrzucone. Mamy jedną z najlepiej zachowanych na świecie koszul rytualnych używanych do Tańca Słońca. I spójrz na to! — Wysunął jedną z szuflad. — Oryginalny wałek woskowy z nagraniami wszystkich pieśni towarzyszących Tańcu Słońca. Nagrany w 1901 roku. Przegraliśmy je na taśmę i będziemy ją puszczać w Sali Siuksów. Co o tym myślisz? Świetna wystawa, prawda?

— Bez wątpienia narobi sporo szumu w całym muzeum — odparła Margo dyplomatycznie.

— Budzi o wiele mniejsze kontrowersje, niż mogłoby się wydawać — powiedział Moriarty. — Nie widzę powodu, dlaczego nie można by

doprowadzić do ostatecznego zbratania nauki z rozrywką.

Margo nie mogła się pohamować.

— Założę się, że akurat ten pomysł podsunął ci twój szef, Cuthbert. Zapewne to również jego własne słowa.

— Zawsze uważał, że wystawy powinny być przystępniejsze dla przeciętnych ludzi. Ta może ich przyciągnąć z uwagi na tematykę, gusła, duchy, gobliny, diabły. Ludzie chcą się bać, poczuć dreszczyk emocji, a my im go zapewnimy. Poza tym odejdą stąd, wynosząc więcej, niż się spodziewali i jakby tego było mało, podreperują budżet naszego muzeum. Cóż w tym złego?

— Nic — Margo uśmiechnęła się. Pozostawiała ten temat Smithbackowi.

Moriarty jednak jeszcze nie skończył.

— Wiem, że Przesady mogą się ludziom źle kojarzyć — stwierdził. — To pachnie tanią sensacją i sugeruje zerowanie na ludzkich słabostkach. Prawdą jest, że niektóre z efektów przygotowanych na wystawę były... no cóż... robione pod publiczność. Ale przecież wystawa pod nazwą Religia aborygenów nie przyciągnęłaby do muzeum tłumów, prawda? — Spojrzał na nią pytająco.

— Nie wydaje mi się, by ktokolwiek miał pretensje co do nazwy wystawy — powiedziała Margo. — Powiedziałabym raczej, że niektórzy uczeni kwestionują twoje kwalifikacje naukowe i ogólne podejście do ekspozycji jako całości.

Pokręcił głową.

— Chyba tylko starzy, skostniaли kustosze, sam beton. Jak na przykład Frock. Zamiast wystawy na temat jego teorii ewolucji wybrano Przesady.

W tej sytuacji trudno byłoby posądzić go o życzliwość wobec ekspozycji.

Uśmiech Margo przygasł.

— Doktor Frock to wybitny antropolog — powiedziała.

— Frock? Doktor Cuthbert uważa, że do reszty mu odbiło. Temu facetowi brak piątej klepki, mawia. — Moriarty spróbował naśladować szkocki akcent Cuthberta. Dźwięki te zabrzmiały dość nieprzyjemnie w ciasnych, mrocznych korytarzach.

— Nie uważam, by Cuthbert był choć w połowie geniuszem, za którego go uważasz — odcięła się Margo.

— Daj spokój, Margo. On jest najlepszy.

— W porównaniu z doktorem Frockiem to zero. A co powiesz o Efekcie Callisto? — spytała Margo. — To jedna z najwybitniejszych współczesnych teorii naukowych. Przełomowe odkrycie.

— Czy istnieje choć jeden dowód na poparcie tych jego wydumanych teorii? Czy ktokolwiek widział nieznaną nauce zwierzę, potwora, przedstawiciela obcego gatunku, który żyłby w jakimś zakątku naszego globu?

Moriarty znów pokręcił głową, aż okulary zsunęły mu się niebezpiecznie na sam czubek nosa.

— Teoretyczne trele-morele. To znaczy, teoria jest bardzo istotna, ale musi zostać poparta fizycznymi dowodami. Na dodatek ten jego partner, Greg Kawakita, jeszcze zachęca Frocka do dalszej pracy, opracowując specjalny program ekstrapolacji. Przypuszczam, że Kawakita ma w tym jakiś ukryty cel. Niemniej jednak to smutne, że tak wielki umysł zszedł na manowce. Weźmy na to jego nową książkę, Ewolucją fraktalną. Nawet tytuł brzmi raczej jak nazwa gry komputerowej niż jak dzieło naukowe.

Margo była coraz bardziej wzburzona. Może jednak Smith-back miał rację co do Moriarty'ego.

— No cóż — powiedziała — biorąc pod uwagę moją obecną współpracę z doktorem Frockiem, chyba nie chciałbyś, abym mieszała się w przygotowania do wystawy. Mogłabym zburzyć twoją koncepcję artystyczną. — Odwróciła się i czym prędzej wyszła z pomieszczenia, kierując się w głąb korytarza.

Moriarty wydawał się wstrząśnięty. Zbyt późno przypomniał sobie, że Frock był jej promotorem. Pospieszył za nią.

— Nie, nie, ja nie chciałem... — wykrztusił. — Proszę, ja tylko... Wiesz, że Frock i Cuthbert są ze sobą skłóceni. Chyba i mnie się to po trosze udzieliło.

Wydawał się tak przerażony, że Margo momentalnie się rozluźniła.

— Nie wiedziałam, że aż do tego stopnia — odrzekła, pozwalając, aby Moriarty ją zatrzymał.

— O tak. Ich animozje ciągną się już od wielu lat. Wiesz, że odkąd Frock ogłosił swoją tezę Efektu Callisto, jego gwiazda w muzeum zaczęła przygasać. Obecnie jest już tylko tytularnym szefem wydziału, a za sznurki pociąga, rzecz jasna, Cuthbert. Ja, naturalnie, słyszałem tylko jedną wersję tej historii. Przepraszam, naprawdę bardzo mi przykro. Zrobisz dla mnie tę jedną gablotę, co? Bardzo cię proszę.

— Pod jednym warunkiem — odparowała Margo — że wyprowadzisz mnie z tego labiryntu. Muszę wracać do pracy.

— Och, oczywiście. Przepraszam — rzekł Moriarty. Popelniona gafa znów ujawniła jego nieśmiałość i przez całą drogę powrotną na czwarte piętro nie odezwał się ani słowem.

— Opowiedz mi coś więcej o tej wystawie. — Margo próbowała choć trochę go rozluźnić. — Słyszałam, że mają być na niej zaprezentowane naprawdę unikalne i niezwykle artefakty.

— Zapewne masz na myśli eksponaty należące do plemienia Kothoga — rzekł Moriarty. — Tylko jedna ekspedycja natrafiła na jakiegokolwiek ślady ich istnienia. Figurka przedstawiająca ich mityczną bestię, Mbwuna, stanowi... jedną z kluczowych pozycji całej wystawy. — Zawahał się. — A raczej powinienem powiedzieć — ma stanowić. Nie została jeszcze dołączona do ekspozycji.

— Doprawdy? — spytała Margo. — Czy to nie jawny przykład czekania na ostatnią chwilę?

— Sytuacja jest dość niezwykła — odparował Moriarty. — Powiem ci coś, Margo, ale to nie powinno dotrzeć do niepowołanych uszu.

Dotarli do żelaznych kładek, po czym Moriarty, mówiąc nieomal szeptem, poprowadził ją w głąb długich korytarzy.

— Ostatnio na wysokich szczeblach sporo osób zaczęło interesować się relikdami kultury Kothoga. Ludzie tacy jak Rickman, doktor Cuthbert... a nawet Wright. Pojawiły się spory, czy ten materiał powinien zostać włączony w poczet ekspozycji. Na pewno słyszałaś opowieści o klątwie ciężącej nad tą figurką, no wiesz, te duby smalone?

— Raczej nie — odrzekła Margo.

— Członków ekspedycji, którzy odkryli artefakty Kothoga, spotkała okropna tragedia — ciągnął Moriarty. — Od tamtego czasu nikt nie zbliżał się do tych eksponatów. Wciąż tkwią w tych samych skrzyniach, w których zostały tu dostarczone. Dopiero w zeszłym tygodniu skrzynie przeniesiono z pomieszczeń piwnicznych, gdzie przechowywano je przez

te wszystkie lata i zamknięto w Strefie Chronionej. Od tej pory nikt nie ma do nich dostępu, a ja nie zdążyłem przygotować ostatnich eksponatów do prezentacji na wystawie.

— Dlaczego je przeniesiono? — dopytywała się Margo. Wsiedli do windy. Moriarty odczekał, aż zamkną się drzwi, i dopiero wtedy odpowiedział.

— Najwyraźniej skrzynie zostały przez kogoś ostatnio naruszone.

— Co? Chcesz powiedzieć, że ktoś się do nich włamał? Moriarty spojrzał na Margo. Jego sówie oblicze przepelniał wyraz wiecznego zdziwienia.

— Tego nie powiedziałem — odparł krótko.

Przekręcił klucz i winda, szarpnąwszy lekko, zaczęła zjeżdżać w dół.



## *Rozdział dziesiąty*

D'Agosta pragnął gorąco, aby z jego żołądka znikł zjedzony niedawno podwójny chili cheeseburger. Nie, żeby miał się tym przejmować, przynajmniej na razie, niemniej kanapka pogłębiała w nim uczucie dyskomfortu.

To miejsce cuchnęło jak wszystkie inne. Można by rzec krótko —

śmierdziało. Wszystkie środki dezynfekcyjne świata nie mogły zabić odoru śmierci. Przywodząca na myśl wymiociny zieleń ścian gabinetu koronera nie mogła nikomu poprawić nastroju. Podobnie jak widok wózka na kółkach, obecnie pustego, stojącego jak nieproszony gość w jasnym świetle sali sekcyjnej.

Z zamyślenia wyrwało go pojawienie się w drzwiach postawnej kobiety. W ślad za nią do pokoju weszło dwóch mężczyzn. D'Agosta zauważył stylowe okulary i jasne włosy wysuwające się spod chirurgicznego czepka. Kobieta podeszła i wyciągnęła rękę; czerwono umalowane usta wykrzywił zawodowy uśmiech.

— Doktor Ziewicz — powiedziała, miażdżąc jego dłoń w silnym uścisku. — Pan musi być D'Agosta. To mój asystent, doktor Fred Gross.

Ziewicz wskazała niskiego, chudego mężczyznę.

— A to nasz fotograf, Delbert Smith.

Delbert skinął głową, przyciskając do piersi Deardorffa 4x5.

— Często tu pani przychodzi, pani doktor? — spytał D'Agosta, aby cokolwiek powiedzieć, a tym samym odwlec nieuniknione.

— To mój drugi dom — odparła Ziewicz, nadal uśmiechając się. — Patologia to, można by rzec, moja specjalność. Wykonujemy sekcje na zlecenia. Robimy, co do nas należy, i odsyłamy ciała z powrotem. Czytałam artykuły w prasie; te wszystkie spekulacje i w ogóle.

Przyjrzała mu się uważniej.

— Uczestniczył pan już kiedyś w czymś takim, prawda?

— O, tak — odparł D'Agosta. — Stale mam z tym do czynienia. — Kanapka w jego żołądku musiała chyba zmienić się w bryłę ołowiu. Dlaczego nie pomyślał, nie zastanowił się, co ma dziś w planie, zanim

spalaszował tego hamburgera.

— To dobrze. — Ziewicz zadrżała do swojego notatnika. — Mamy zgodę rodziców? Tak? Świetnie. Chyba wszystko gra. Fred, na początek 5-B.

Zaczęła nakładać lateksowe rękawice, trzy pary, potem włożyła maskę, gogle i plastikowy fartuch. D'Agosta zrobił to samo.

Gross przytoczył wózek do ściany z „lodówkami” na ciała i wysunął 5-B. Niewyraźny kształt pod plastykiem wydał się D'Agostie dziwny, zwłaszcza owo osobliwe wybrzuszenie na jednym końcu. Gross przełożył zwłoki wraz z „taczą”, na której leżały, na wózek, podtoczył go do kręgu światła, sprawdził plakietkę na paluchu stopy i zablokował koła. Pod otwór odpływowy wózka postawił blaszane wiadro.

Ziewicz skontrolowała mikrofon zwieszający się nad ciałem.

— Uwaga, próba głosu, raz, dwa, trzy... Fred, ten mikrofon nie działa. Fred nachylił się nad magnetofonem.

— Nie rozumiem, wszystko jest włączone jak trzeba. D'Agosta chrząknął.

— Nie jest podłączony — powiedział. Zapadła krótka cisza.

— Cóż — odezwała się Ziewicz. — Cieszę się, że mamy tu kogoś, kto nie jest naukowcem. Gdyby miał pan jakieś pytania lub komentarze, panie D'Agosta, proszę się przedstawić i mówić prosto do mikrofonu. W porządku? Wszystko jest nagrywane. Najpierw opiszę ogólny stan ciała, a potem zabierzemy się do krojenia.

— Zrozumiałem — odezwał się beznamiętnym tonem D'Agosta.

Urojenie. Gdy martwe ciało leży w kostnicy, to jedno. Ale kiedy zaczynają je ciąć, rozwarstwiać, nie, nigdy do tego nie przywyknie.

— Taśma włączona, magnetofon na chodzie? Świetnie. Tu doktor Matylda Ziewicz i doktor Frederick Gross, jest poniedziałek, 27 marca, godzina 14.15. Towarzyszy nam detektyw, sierżant...?

— Porucznik, Vincent.

— Porucznik Vincent D'Agosta z policji nowojorskiej. Mamy tu... Fred odczytał napis z plakietki.

— Williama Howarda Bridgemana, numer 33-A45.

— Zdejmuję plastik. — Rozległ się głośny szelest zsuwanego przykrycia.

Nastąpiła krótka chwila ciszy. D'Agosta oczyma duszy ujrzał psa z wyprutymi flakami, którego widział dziś rano.

Cały wic polega na tym, żeby za dużo nie myśleć. Nie myśl o swoim Vinniem, który w przyszłym tygodniu skończyłby osiem lat.

Doktor Ziewicz wzięła głęboki oddech.

— Mamy tu osobnika rasy białej, chłopca w wieku od dziesięciu do dwunastu lat, wzrostu, no cóż, z powodu dekapitacji trudno ocenić wzrost. Powiedzmy cztery stopy dziesięć cali, nie więcej niż pięć stóp. Waga około dziewięćdziesięciu funtów, w przybliżeniu. Stan ciała nie pozwala na ustalenie innych znaków szczególnych. Kolor oczu i rysy twarzy są niemożliwe do określenia z uwagi na rozległe uszkodzenia głowy.

Brak uprzednich obrażeń i śladów na stopach, nogach oraz genitaliach. Fred, przemyj, proszę, gąbką obszar brzuszny... dziękuję. Po lewej stronie klatki piersiowej w dół, pod kątem 190° ciągnie się w poprzek linii żeber i mostka bliżej nieokreślona liczba głębokich ran szarpanych, kończących się w górnej części brzucha. Jest to rozległa rana mierząca około dwu stóp długości i stopę szerokości. Wydaje się, że mostek piersiowy mniejszy i

piersiowy większy zostały wyrwane z jamy klatki piersiowej, żebra rozszczepiono, wypruto także część trzewi. Mostek uległ złamaniu, odsłonięta została część klatki piersiowej. Doszło chyba również do rozległego krwotoku z aorty, lecz trudno to stwierdzić przed oczyszczeniem ciała i przeprowadzeniem dokładniejszych badań.

Fred, oczyść krawędź jamy klatki piersiowej. Spośród widocznych tu, odsłoniętych trzewi można wyodrębnić żołądek oraz grube i cienkie jelito.

Organy retroperytonealne są na swoim miejscu.

— Przetrzyj szyję, Fred. Okolice szyi zdradzają ślady uszkodzeń, widoczne są silne zasinienia, może to dowodzić istnienia wybroczyn, jak również przemieszczeń kręgowych.

— A teraz głowa... Boże drogi. — Zapadła cisza. Fred chrząknął.

— Głowa została zdekapitowana pomiędzy kręgiem szczytowym a wyrostkiem osiowym. Cały obszar potyliczny czerepu i połowa części ciemieniowej została strzaskana lub raczej, powinnam powiedzieć, w bliżej nieokreślony sposób wbita do wnętrza czaszki, a następnie z niej wyrwana, dzięki czemu w czerepie powstał otwór o średnicy około dziesięciu cali. Czaszka jest pusta. Najwyraźniej cały mózg wypłynął lub został wyjęty przez ten właśnie otwór... Mózg, lub raczej to, co z niego zostało, znajduje się teraz na blacie stołu, przy głowie, lecz nie oddaje to rzeczywistego położenia, w jakim go znaleziono.

— Jego fragmenty walały się obok ciała — wtrącił D'Agosta.

— Dziękuję, poruczniku. Ale gdzie podziała się reszta?

— To wszystko, co znaleźliśmy.

— Nie. Czegoś brakuje. Na pewno zebrano wszystko, co pozostało na miejscu zbrodni?

— Oczywiście — odparł D'Agosta, usiłując nie okazywać rozdrażnienia.

— Mózg jest poważnie uszkodzony. Fred, podaj mi skalpel, dwójkę i wziernik. Mózg został oderwany na wysokości pnia, pons Varolii jest nietknięty, ale nastąpiło ewidentne rozdzielenie. Na powierzchni mózdzku widnieją płytkie zadrapania, ale generalnie jest on prawie nienaruszony. Dostrzegam też oznaki niezbyt obfitego krwawienia, świadczące o zaistnieniu urazu pośmiertnego. Mózg został całkowicie oddzielony od śródmózgo-wia, ono zaś rozpołowione i... spójrz, Fred, nie ma obszaru wzgórza. Ani przysadki mózgowej. Oto czego brakuje.

— To znaczy? — wtrącił D'Agosta.

Z trudem zmusił się, aby obejrzeć obiekt badań.

Mózg spoczywający w stalowym naczyniu bardziej przywodził na myśl galaretę aniżeli trwałą, ludzki organ. Odwrócił się. Baseball. Myśl o baseballu. Wybicie, trzask kija...

— Wzgórze i podwzgórze. Regulator ciała.

— Regulator ciała — powtórzył D'Agosta.

— Podwzgórze reguluje ciepłotę ciała, ciśnienie krwi, rytm serca oraz metabolizm tłuszczów i węglowodanów. Jak również cykl snu i jawy. Uważamy, że zawierają się w nim ośrodki bólu i przyjemności. To bardzo złożony organ, poruczniku. — Spojrzała na policjanta, oczekując kolejnego pytania. D'Agosta nie kazał jej długo czekać.

— Jak się to wszystko dzieje?

— Hormony. Podwzgórze wydziela do naszego mózgu i układu krwionośnego setki hormonów regulacyjnych.

— Aha — mruknął D'Agosta. Cofnął się.

Miotacz rzuca piłkę, pałkarz wybija, łapacz unosi dłoń z rękawicą...

— Fred, podejdź i spójrz na to — rzuciła ostro Ziewicz. Fred nachylił się nad rynką.

— To wygląda jak... Sam nie wiem.

— No, dalej, Fred — zachęcała go Ziewicz.

— Cóż, to wygląda, jakby... — Fred przerwał na chwilę — ...część tkanek została wygryziona.

— Otóż to! Zdjęcie! — Delbert podszedł do nich. — Sfotografuj to. Wygląda dokładnie tak samo jak tort, gdy dobiorą się do niego moje dzieciaki.

D'Agosta wychylił się do przodu, lecz nie zauważył w szarej, okrwawionej masie niczego szczególnego.

— Ślad jest półkolisty, przypomina ludzki, ale wydaje się większy i bardziej nierówny, bardziej postrzępiony, niż można by się spodziewać. Pobierzemy próbki. Tak na wszelki wypadek. Zrobi się test na obecność enzymów ślinowych. Fred, zajmij się tym. Zabierz to do laboratorium, powiedz, żeby go zamrozili i pobrali próbki stąd, stąd i stąd. Po pięć z każdego z tych miejsc. Oznacz przynajmniej jeden preparat eosinophilem. I jeden aktywatorem enzymów ślinowych. Jeśli przyjdzie ci do głowy jeszcze jakiś test, nie wahaj się, tylko go przeprowadź. Jeśli oni będą chcieli coś zrobić, niech robią. Daję im wolną rękę.

Kiedy Fred wyszedł, Ziewicz powróciła do przerwane go wywodu.

— Teraz przepołowię mózg. Płat tylny nosi ślady zasinień, powstałych zapewne podczas wydobywania go z puszki mózgowej. Zdjęcie. Na powierzchni widnieją trzy równoległe nacięcia lub zadrapania, oddalone od siebie o cztery milimetry i głębokie na pół cala. Rozchyłam brzegi

pierwszego nacięcia. Zdjęcie. Poruczniku, widzi pan, jak te ślady rozszerzają się i zwężają? Co pan o tym myśli?

— Nie wiem — rzekł D'Agosta, przyglądając się baczniej śladom. To tylko martwy mózg — pomyślał.

— Może długie paznokcie? Zaostrzone paznokcie? Czy mamy tu do czynienia z groźnym psychopata?

Fred wrócił z laboratorium, po czym wraz z panią doktor powrócił do badania mózgu. D'Agosta miał wrażenie, że trwa ono całe wieki. Wreszcie Ziewicz poleciła Fredowi wstawić mózg do lodówki.

— Teraz zbadam ręce — rzekła do mikrofonu. Zdjęła plastikową torebkę z prawej dłoni i starannie ją zamknęła. Następnie uniosła dłoń trupa, odwróciła ją, obejrzała paznokcie.

— Pod paznokciami kciuka, palca wskazującego i serdecznego znajduje się jakaś obca tkanka. Fred, trzy preparaty, poproszę.

— To tylko dzieciak — odezwał się D'Agosta. — Chłopcy często miewają brudne paznokcie.

— Bardzo możliwe, poruczniku — odparła Ziewicz. Pobrała próbki spod każdego paznokcia, przenosząc je starannie na szkiełka preparacyjne.

— Fred, stereozoom? Chciałabym się temu przyjrzeć. Ziewicz umieściła szkiełka pod mikroskopem, przyjrzała się im uważnie i wyregulowała urządzenie.

— Sądząc po wyglądzie, to zwyczajny brud. We wszystkich trzech przypadkach. Mimo to, Fred, na wszelki wypadek wykonaj pełną analizę. Na lewej dłoni również nie odkryli niczego interesującego.

— Teraz — ciągnęła Ziewicz — zbadam podłużne obrażenie ciała w jego przedniej, górnej części. Del, zdjęcia tu, tu i tutaj, zrób ich zresztą



więcej, pod takim kątem, by rana była możliwie jak najlepiej widoczna. Zbliżenia miejsca penetracji. Wygląda, jakby zabójca wykonał za nas cięcie igrekowe, prawda, poruczniku?

— Taa — rzekł D'Agosta, gwałtownie przełykając ślinę. Błysnął flesz.

— Kleszcze — ciągnęła Ziewicz. — Trzy postrzępione rany szarpane biorą swój początek tuż nad lewym sutkiem, skóra, tkanki i mięśnie zostały rozszczepione. Otwieram i sonduję pierwszą z ran w miejscu jej początku. Kleszcze, Fred.

— Sonduję ranę. Wewnątrz tkwi jakiś nie zidentyfikowany obiekt.

— Fred, przezroczysty papier z miazgi siarczynowej. Wygląda, że to strzęp materiału, możliwe, że pochodzi z koszuli ofiary. Zdjęcie.

Błysnął flesz, a Ziewicz uniosła w dłoni coś, co wyglądało jak okrwawione szarpie, i umieściła znalezisko w przezroczystej kopercie. Przez kilka chwil kontynuowała badanie w milczeniu.

— W mięśniach tkwi jeszcze jedno ciało obce, około cztery centymetry poniżej prawego sutka. Uwięzło w jednym z żeber. Wydaje się twarde. Zdjęcie. Zatknij tu chorągiewkę, Fred.

Wyjęła ciało obce i uniosła w dłoni. W trzymanyh przez nią kleszczach tkwił okrwawiony, nie zidentyfikowany obiekt. D'Agosta podszedł bliżej

— Co to takiego? Proszę to oczyścić. Czy moglibyśmy zobaczyć, co to jest?

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

— Fred, przynieś mi zlewkę ze sterylną wodą.

Gdy umieściła obiekt w zlewce i zamieszała, woda zmętniała i przybrała brunatnoczerwoną barwę.

— Nie wylewaj wody, sprawdzimy, może znajdzie się w niej coś

jeszcze — powiedziała, unosząc znalezisko do światła.

— Chryste Panie — rzekł D'Agosta. — To pazur. Pieprzony pazur.  
Ziewicz odwróciła się do swego asystenta.

— Idealny, choć może nieco zbyt dosadny komentarz do naszego nagrania, nieprawdaż, Fred?

## *Rozdział jedenasty*

Margo rzuciła swoje książki i papiery na sofę, po czym zerknęła na zegar stojący na telewizorze — kwadrans po dziesiątej. Pokręciła głową. Cóż za niewiarygodny, okropny dzień. Zmarnowała tyle czasu i napisała zaledwie trzy nowe akapity swojej pracy. I wciąż czekała ją praca. Musiała

wszak sporządzić listę eksponatów do gabloty na wystawę, dla Monarty'ego. Westchnęła; już zaczynała żałować, że zgodziła się mu pomóc.

Odbity blask neonu sklepu monopolowego po drugiej stronie ulicy wpływał przez pojedyncze okno do pokoju Margo, wypełniając go elektryczno-niebieskimi światłocieniami Zapaliła małą sufitową lampkę i oparłszy się o drzwi, powoli zlustrowała panujący w pomieszczeniu bałagan. Zwykle była schludna aż do przesady. Teraz wszelako, zaledwie po tygodniu zaniedbania, podręczniki, listy z kondolencjami, dokumenty prawne, buty i swetry walały się na wszystkich meblach. W zlewku leżały zapomniane, puste kartony z chińskiej restauracji Na parkiecie stała stara maszyna do pisania, royal, obok niej zaś leżały pliki materiałów, z których korzystała przy pisaniu pracy.

Fatalna okolica, nie całkiem jeszcze stetryczały górny odcinek Amsterdam Avenue, stanowiła dla jej ojca kolejny powód, dla którego powinna wrócić do rodzinnego Bostonu.

— To nie miejsce dla dziewczyny takiej jak ty, Midge — mawiał, nazywając ją przybranym imieniem z dzieciństwa. — A muzeum to najgorsze miejsce pracy, jakie można sobie wyobrazić Dzień po dniu przebywać wśród tych martwych, wypchanych istot i okazów w słojach. Co to za życie? Wróc i pracuj dla mnie. Znajdziemy ci dom w Beverly, białogłowo. Będiesz tam o wiele szczęśliwsza, Midge, jestem o tym przekonany.

Kiedy zauważyła mrugające światełko automatycznej sekretarki, wcisnęła guzik odtwarzania wiadomości.

— Mówi Jan. — Tak zaczynało się pierwsze nagranie. — Jestem w

mieście dopiero od paru godzin, ale już wiem o wszystkim. Przykro mi z powodu śmierci twojego ojca. Zadzwoń później, dobrze? Chcę z tobą pogadać. Cześć.

Czekała. Dał się słyszeć kolejny głos.

— Margo, mówi twoja matka. I trzask. Połączenie przerwane.

Na chwilę zmrużyła powieki i wzięła głęboki oddech. Jan może zaczekać. Nie oddzwoni również do matki, może zdobędzie się na to nazajutrz. Wiedziała, co usłyszałyby od matki:

— Musisz wrócić do domu i przejąć interes ojca. Na pewno pragnąłby tego. Jesteś to winna nam obojgu.

Odwracając się, usiadła po turecku przed maszyną do pisania i zerknęła na notatki kustoszy, dane katalogowe oraz krótką charakterystykę ekspozycji otrzymane od Moriarty'ego. Miała to zrobić na pojutrze, taki był termin, kolejny rozdział dysertacji zaś powinna dostarczyć dopiero w następny poniedziałek.

Patrzyła przez minutę lub dwie na papiery, zbierając myśl. Następnie zaczęła pisać. Kilka chwil później przerwała i skierowała wzrok w przestrzeń. Przypomniało jej się, jak ojciec robił omlety — jedyne, co potrafił przyrządzić — na niedzielne śniadanie.

— Hej, Midge — mawiał. — Nieźle jak na byłego starego kawalera, co?

Wraz z zamknięciem sklepów na zewnątrz wygaszono część światła. Margo patrzyła na graffiti i okna zabite deskami. Może jej ojciec miał rację.

Ubóstwo to nic zabawnego.

Ubóstwo. Pokręciła głową, przypominając sobie ostatni raz, kiedy

słyszała to słowo i wyraz twarzy matki, gdy je wymówiła. Siedziały obie w chłodnym, mrocznym biurze wykonawcy ostatniej woli jej ojca, który w zawiłych słowach tłumaczył, dlaczego nieźle skądinąd prosperujący interes należałoby postawić w stan likwidacji, chyba że któryś z członków rodziny zmarłego zechce stanąć na czele firmy.

Rozmyślała o rodzicach tych dwóch chłopców. Oni też na pewno żywili względem nich wielkie nadzieje — skonstatowała. Ale już nie będzie im dane zaznać goryczy rozczarowania. Jak również radości z ich potencjalnego sukcesu. Jej myśli powędrowały ku Prine'owi. I krwi na jego butach.

Wstała i zapaliła więcej świateł w mieszkaniu. Pora zabrać się za przyrządzanie kolacji. Jutro zamknie się w swoim gabinecie i dokończy zaczęty rozdział. I zajmie się zadaniem zleconym przez Moriarty'ego. Dokonanie jednego z ważniejszych kroków w jej życiu będzie musiała odłożyć — przynajmniej o jeden dzień. Postanowiła, że do czasu kolejnego spotkania z Frokiem podejmie ostateczną decyzję.

Zadzwonił telefon. Automatycznie podniosła słuchawkę.

— Halo — powiedziała. Nasłuchiwała przez chwilę. — A, cześć, mammo.

## *Rozdział dwunasty*

Noc przyszła wcześniej do Muzeum Historii Naturalnej. Dochodziła piąta, gdy wczesnowiosenne słońce zaczęło już zachodzić. Tłumy gości w gmachu znacznie się przerzedziły. Turyści, uczniowie i zatroskani rodzice ruszyli zwartą falą po wielkich marmurowych schodach w kierunku głównego wyjścia. Wkrótce echo ich głosów i tupot kroków rozbrzmiewające w przestronnym holu ucichły zupełnie. Oświetlenie w gablotach wygaszano, a gdy nadeszła noc, już tylko nieliczne, te same co zwykle lampy rzucały szalone cienie na marmurowe posadzki.

Korytarzem szedł samotny strażnik. Robił obchód jak każdego wieczora. Nucił pod nosem, kołysząc w dłoni łańcuszek z pękiem kluczy. Właśnie zaczynał zmianę; miał na sobie standardowy czarno-granatowy

mundur straży muzealnej. Niegdyś oryginalny, dziś wydawał się anachronizmem.

— Całe to miejsce napawa mnie grozą — pomyślał. Aż ciarki przechodzą po plecach. Na przykład to cholera, pieprzony tubylczy szajs. Kto, u licha, chciałby zapłacić za oglądanie takiego gówna? Na dodatek połowa z tych śmieci jest obłożona klątwami.

Z mrocznej gabloty szczyrzyła się doń murzyńska maska. Pospiesznie podszedł do sąsiedniego stanowiska, gdzie przekręcił klucz w skrzynce. Skrzynka zarejestrowała godzinę — 22.23. Gdy wszedł do sąsiedniej sali, odniósł, nie po raz pierwszy zresztą, niepokojące wrażenie, że wyczuwa w pobliżu czyjąś obecność.

Podszedł do następnego stanowiska i przekręcił klucz. Rozległ się cichy szcęk i skrzynka zarejestrowała 22.34.

Dotarcie do kolejnej skrzynki zajęło mu zaledwie cztery minuty. Miał jeszcze sześć minut, akurat tyle, ile wystarczy, by wypalić grasa.

Wyszedł na klatkę schodową, zamykając za sobą drzwi i przekręcając klucz w zamku, po czym spojrzał w dół, ku tonącej w mroku suterenie, gdzie znajdowały się drzwi prowadzące na dziedziniec wewnętrzny. Sięgnął dłonią w stronę włącznika światła, u szczytu schodów, lecz niemal natychmiast ją cofnął.

Nie chciał zwracać na siebie uwagi. Schodząc na dół, kurczowo trzymał się metalowej poręczy. Znalazłszy się w suterenie, ruszył dalej po ciemku, dotykając jedną dłonią ściany, aż w końcu natrafił na długą, poziomą klamkę zamocowaną na drzwiach. Pchnął je i na klatkę schodową wpłynął podmuch mroźnego, nocnego powietrza. Zablokował drzwi w pozycji półotwartej i wychyliwszy się na dziedziniec, zapalił skręta, z lubością

wdychając gorzkawy dym. Ruchy mężczyzny oświetlał słaby blask z opuszczonego klasztoru wznoszącego się nieopodal. Ciche odgłosy ruchu ulicznego, wytłumione niemałą liczbą dzielących je od strażnika murów, korytarzy i barier, zdawały się dochodzić z innej planety.

Mężczyzna, z niejaką ulgą, czując narastającą falę ciepła, pierwszy efekt działania trawki, uznał, że mimo wszystko zdoła jakoś dotrzeć do końca zmiany.

Dopaliwszy jointa, pstryknięciem palców posłał go w mrok, przeczesał dłonią krótko ostrzyżone włosy i przeciągnął się.

Był już w połowie schodów, gdy nagle usłyszał dochodzący z dołu głośny trzask zamykanych drzwi.

Przystanął i zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Czy zostawił otwarte drzwi? Nie. Cholera, a jeśli ktoś przyuważył go, jak palił grasa? Ale przecież na pewno nie poczuliby dymu, a w mroku nie sposób odróżnić skręta od zwykłej fajki.

W powietrzu czuć było dziwny, gnilny odór nie mający nic wspólnego z wonią palonej trawy. Jednakże jak dotąd nikt nie zapalił światła, nie było też słyhać odgłosu kroków na metalowych stopniach.

Znów ruszył w kierunku podestu piętra.

Ledwie tam dotarł, a wyczuł jakieś gwałtowne ruchy na schodach, tuż za nim. Odwrócił się i silne uderzenie w pierś odrzuciło go w tył, na ścianę. Ostatnią rzeczą, którą ujrzał, były jego własne, ciemne, parujące wnętrzności wylewające się z brzucha i spływające gorącą falą w dół schodów. Po chwili jednak przestał się zastanawiać, skąd wzięły się ta cała krew i wyprute trzewia.



## *Rozdział trzynasty*

## Wtorek

Bill Smithback siedział na krześle, obserwując ostrą, kanciastą sylwetkę Lavinii Rickman, która przy swoim fornirowanym brzozą biurku czytała jego wymiętoszony manuskrypt. Pomalowanymi na czerwono paznokciami stukała w brzegi kartek. Smithback wiedział, że to nie wróży nic dobrego. Za oknami budził się szary, wtorkowy dzień.

Pokój nie był typowym muzealnym gabinetem. Nie było tu piętrzących się stert papierów, gazet i książek, stanowiących nieodłączny element innych biur. Zamiast nich na półkach i biurku stały rozmaite cacuszka z najróżniejszych zakątków świata — bajarka z Nowego Meksyku, mosiężny Budda z Tybetu, kilka indonezyjskich lalek. Ściany pomalowano na seledynowo, a cały pokój pachniał sosnowym odświeżaczem.

Po obu stronach jej biurka stało kilka osobliwych drobiazgów, równie formalnych i rozłożonych symetrycznie jak krzewy we francuskim ogrodzie: przycisk do papieru z bryły agatu, wykonany z kości nóż do listów, japońskie netsuke. Pośrodku tej kompozycji zajmowała miejsce sama Rickman, nachylona lekko nad manuskrytem. Jej starannie ułożona fryzura barwy oranżu nie pasowała, zdaniem Smithbacka, do zieleni ścian.

Stukanie stało się szybsze, po czym w miarę jak przewracała kolejne strony, zwolniła tempo. Wreszcie dotarła do ostatniej, zebrała wszystkie kartki i złożyła je starannie pośrodku biurka.

— No cóż — zaczęła, uśmiechając się promiennie. — Mam kilka drobnych sugestii.

— Och — wyrwało się Smithbackowi.

— Na przykład ten fragment o azteckich ofiarach z ludzi. To nazbyt kontrowersyjne. — Pośliniła dyskretnie palec i odnalazła stronę, o której wspomniała. — O, tutaj.

— Tak, ale na wystawie...

— Panie Smithback, na wystawie ten temat zostanie zaprezentowany gustownie A to, co pan tu przedstawił, jest po prostu niesmaczne. — Przekreśliła flamastrem kilka kontrowersyjnych akapitów.

— Ale przecież temat został przedstawiony bardzo wiernie — rzekł Smithback, krzywiąc się w duchu.

— Nie zależy mi na wiernym przedstawieniu tematu, lecz na jego uwydatnieniu. Coś może być ukazane wiernie, ale bez należytego uwydatnienia i zakładany cel nie zostanie osiągnięty. Pozwól, że ci przypomnę, iż mamy w Nowym Jorku całkiem sporą populację Latynosów

— Nie rozumiem, jak mogłoby to urazić...

— Wystarczy, ten fragment musi zostać usunięty i basta! Podobnie jak ten dotyczący Gilbarga. — Przekreśliła kolejną stronę.

— Ale dlaczego? Odchyliła się lekko do tyłu.

— Panie Smithback, ekspedycja Gilbarga zakończyła się kompletną kląpą. Ci ludzie szukali wyspy, która nie istnieje. Jeden z nich, o czym pan bez wątpienia wie, gdyż nie omieszkał pan poświęcić temu zdarzeniu całego akapitu, zgwałcił tubylczą kobietę. Wolelibyśmy, aby nazwisko Gilbarga nie pojawiło się ani razu podczas tej wystawy, budzi ono złe skojarzenia. Czy uważa pan za konieczne udokumentowanie wszystkich porażek naszego muzeum?

— Jak to? Przecież jego zbiory są dla nas nieocenionym nabytkiem! —

zaprotestował słabo Smithback. — To wspaniała kolekcja!

— Panie Smithback, wydaje mi się, że nie do końca zrozumiał pan naturę zleconego mu zadania. — Nastąpiła długa cisza. Znow zaczęło się stukanie paznokciami. — Czy naprawdę sądzi pan, że został wynajęty i jest opłacany przez muzeum, aby w swojej pracy przedstawić wyłącznie same porażki i bulwersujące kontrowersje?

— Przecież porażki i kontrowersje są nieodłącznie związane z nauką. Kto sięgnie po książkę, która...

— Wiele korporacji, od których nasze muzeum otrzymuje fundusze, może być głęboko zbulwersowanych pewnymi fragmentami tej pracy — przerwała mu Rickman. — Równie dotknięci mogą się poczuć liczni przedstawiciele zamieszkujących nasze miasto grup etnicznych, a oni nie puszczają urazy płazem. Pańska praca może ściągnąć nam na głowy brutalne ataki z ich strony.

— Przecież mówimy tu o rzeczach, które miały miejsce ponad sto lat temu, podczas gdy...

— Panie Smithback! — Pani Rickman nieznacznie tylko podniosła głos, ale efekt był zdumiewający. Zapadła głucha cisza.

— Panie Smithback, powiem szczerze... — przerwała, podniosła się energicznie i obeszła biurko, by stanąć za plecami zdezorientowanego pisarza.

— Powiem szczerze, wydawało mi się, że przyjęcie naszego punktu widzenia na pewne sprawy zajmie panu o wiele mniej czasu. Nie pisze pan książki dla zwykłego, przeciętnego wydawcy. Powiem bez ogródek, zależy nam na równie łagodnym i przyjaznym potraktowaniu tematu, jak zrobił pan to w przypadku bostońskiego Akwarium... przy pańskim ostatnim...

uhm, hmm... zleceniu. — Stała przed Smithbackiem i przysiadła na brzegu biurka. — Oczekujemy pewnych rzeczy, ba, w rzeczy samej mamy prawo ich oczekiwać. Oto one. — I zaczęła odliczać na swych kościstych palcach. — Po pierwsze: żadnych kontrowersji. Po drugie: niczego, co mogłoby urazić grupy etniczne. Po trzecie: niczego, co mogłoby narazić na szwank reputację muzeum. Czy to tak trudno pojąć? — spytała nieco cichszym głosem i nachyliwszy się do przodu, uściśnęła swoją suchą dłonią rękę Smith-backa.

— N-no nie — wykrztusił Smithback, pragnąc w duchu, aby jak najszybciej uwolnić dłoń z uścisku.

— A więc wszystko mamy ustalone. — Wróciła za swoje biurko i przesunęła manuskrypt w jego stronę.

— Został tylko jeden mały drobiazg — dorzuciła oschłym tonem. — W pańskim tekście znajduje się kilka ciekawych komentarzy, cytatów zaczerpniętych z wypowiedzi osób „zblizonych do organizatorów wystawy”, lecz nie podał pan, zapewne przez zaniedbanie, ich personaliów. To nic istotnego, ale, rozumie pan, chciałabym prosić o listę tych pańskich „źródeł” do mojej prywatnej wiadomości, ma się rozumieć.

Uśmiechnęła się wyczekująco.

— Chciałabym włączyć ją do akt.

W umyśle Smithbacka zapaliła się lampka alarmowa

— Cóż — zaczął niepewnie — naprawdę chętnie udzieliłbym pani tych informacji, lecz nie zezwala mi na to etyka zawodowa.

Wzruszył ramionami.

— Wie pani, jak to jest.

Uśmiech pani Rickman zgasł w mgnieniu oka, jej usta otworzyły się,

jakby chciała coś powiedzieć. I właśnie wtedy, ku uciesze Smithbacka, zadzwonił telefon Pospiesznie wstał i zebrał swój manuskrypt. Już miał zamknąć drzwi, gdy usłyszał, jak gwałtownie zaczerpnęła tchu i nieomal zboląłym głosem jęknęła.

— Tylko nie kolejny! Drzwi zamknęły się z sykiem.

## *Rozdział czternasty*

D'Agosta nie mógł przywyknąć do Sali Wielkich Małp. Wszystkie te szczerzące się szympansy, wypchane i zwieszające się ze sztucznych drzew, z włochatymi łapskami, z zabawnie realistycznymi członkami i wielkimi ludzkimi dłońmi z prawdziwymi paznokciami. Zastanawiał się, dlaczego naukowcom tak dużo czasu zajęło domyślenie się, iż człowiek pochodzi od małpy. Przecież powinno to być oczywiste już na pierwszy rzut oka. Słyszał przy tym, że szympansy były jak ludzie, brutalne, porywcze, biły się między sobą, zabijały, a nawet zjadały własnych pobratymców. Jezu, pomyślał, musi być jakiś sposób na przejście przez muzeum z pominięciem tej sali.

— Tędy — rzekł strażnik — tymi schodami na dół. Widok jest raczej straszny, poruczniku. Przyszedłem właśnie, żeby...

— Później o tym porozmawiamy — rzekł D'Agosta. Po sekcji dzieciaka D'Agosta był gotów na wszystko. — Mówił pan, że ma na sobie mundur strażnika. Znał go pan?

— Nie wiem, sir. Trudno powiedzieć.

Strażnik wskazał ręką w dół schodów. Na klatce było ciemno. Schody prowadziły do wyjścia na wewnętrzny dziedziniec. Ciało leżało w cieniu, na samym dole. Wszystko, schody, ściany, posadzka, nawet lampa u góry, zbryzgane były plamami gęstej, lepkiej czerni D'Agosta wiedział, czym była owa czerń.

— Ty — zwrócił się do jednego z idących za nim policjantów — załatw tu oświetlenie. Chcę, aby natychmiast pobrano z tego miejsca odciski palców, jeżeli jakieś są, i próbki włókien. Pronto. Czy technicy już tu jadą? Facet bez wątplenia nie żyje, więc przez jakiś czas nie wpuszczać tu lekarzy ani pielęgniarzy. Nie chcę, aby szwendali się po miejscu zbrodni, mogliby zatrzeć potencjalne ślady.

D'Agosta znów spojrzał w dół schodów.

— Chryste Panie — powiedział. — Czyje to odciski stóp? Wygląda, jakby jakiś palant wdepnął w kałużę krwi. A może to morderca postanowił zostawić nam parę wyraźnych śladów?

Zapadła cisza.

— To twoje ślady? — Odwrócił się do strażnika. — Jak się nazywasz?

— Norris Eric Norris. Mówiłem właśnie...

— Tak czy nie?

— Tak, ale...

— Zamknij się. Czy to te buty?

— Tak. Widzi pan, ja...

— Zdejmij je. Brudzisz dywan. — Pieprzony ochroniarz, pomyślał D'Agosta. — Zabierz je do laboratorium medycyny sądowej. Niech je włożą do specjalnej torby na dowody, będą wiedzieli, co z nimi zrobić. Zaczekaj tam na mnie. Albo nie, nie czekaj. Później do ciebie zadzwonię.



Będę chciał ci zadać kilka pytań. Nie, zdejmij te cholerne buty tu i teraz.  
— Nie chciał mieć drugiego Prine'a. Co było nie tak z tym muzeum, że ludzie lubili tu brodzić po kostki we krwi?

— Będziesz musiał pomęczyć się przez pewien czas w samych skarpetkach.

— Tak jest, sir.

Jeden z gliniarzy za plecami D'Agosty zachichotał drwiąco. D'Agosta spojrzał na niego.

— Bawi cię to? Poroznosił ślady krwi po całej sali. To nie jest zabawne.

D'Agosta stanął w połowie schodów. Głowa leżała nieopodal w kącie, twarzą do posadzki. Stąd nie widział tego zbyt dobrze, ale wiedział, co zastanie na miejscu zbrodni — wierzchołek czaszki wyrwany, a pośród kałuż krwi rozwłóczone resztki mózgu. Boże, ciało ludzkie w niektórych sytuacjach może wyglądać naprawdę paskudnie.

Z tyłu, za nim, na schodach rozległy się czyjeś kroki.

— Technicy — rzekł niski mężczyzna, za którym podążali fotograf i kilku mężczyzn w białych kitlach.

— Nareszcie. Oświetlenie ma być tu, tu i tu, i wszędzie, gdzie zażyczy sobie fotograf. Całe to miejsce ma zostać odgrodzone, to ma być zrobione na już, na pięć minut temu, chcę, aby zebrano stąd każdą drobinę kurzu, każdy paproch, każdą nitkę, każdy włos. Użyjcie tracechemu w całej sieni. Chcę... no właśnie, czego jeszcze? Chcę, by przeprowadzono tu wszystkie znane ludzkości testy i by cały ten obszar był pod stałą obserwacją. Tym razem nie możemy zawalić sprawy.

D'Agosta odwrócił się.

— Czy zespół z laboratorium kryminalistyki jest już na miejscu? A koroner? A może poszli na kawę i pączki?

Poklepał się po kieszonce marynarki, szukając w niej cygara.

— Nakryjcie te ślady kartonowymi pudłami. Aha, jeszcze jedno, kiedy skończycie, obrysujcie leżące ciała, abyśmy mogli tędy przechodzić, nie roznosząc krwi po całym budynku.

— Doskonale. — D'Agosta usłyszał za sobą niski, miodo-płynny głos.

— Kim pan jest, u diabła? — spytał, odwracając się. Miał przed sobą wysokiego, szczupłego mężczyznę w eleganckim, czarnym garniturze, opartego plecami o ścianę klatki schodowej. Włosy, tak jasne, że nieomal wydawały się białe, miał zaczesane ku tyłowi; niebieskie oczy wpatrywały się przenikliwie w policjanta.

— Przedsiębiorca pogrzebowy?

— Pendergast — rzekł mężczyzna, schodząc niżej i wyciągając dłoń na powitanie. Fotograf niosący swój sprzęt zgrabnie go wyminął.

— Mam nadzieję, Pendergast, że potrafisz przekonująco wyjaśnić swoją obecność tutaj, bo w przeciwnym razie. .

Pendergast uśmiechnął się.

— Agent specjalny Pendergast.

— FBI? Zabawne, czemu mnie to nie dziwi? Witam, Pendergast. Tylko dlaczego, u licha, wy, chłopaki, nigdy nie zadzwonicie i nie powiadomicie, że wysyłacie do nas swoich ludzi? Zrozum, mam tu zdekapitowanego, odmóżdżonego sztywniaka. A gdzie reszta?

Pendergast cofnął rękę.

— Obawiam się, że jestem tu sam.

— Co? Żarty na bok. Przecież wy zawsze wędrujecie stadami.

Zapaliły się światła i scena krwawej zbrodni skąpana była w silnym blasku. Wszystko, co wcześniej wydawało się czarne, zostało nagle rozświetlone, oczom obecnych ukazały się wszystkie przeraźliwe szczegóły i sekrety martwego ciała. Wśród kałuż płynów ustrojowych widniało też coś, co z pewnością było nie przetrawionymi resztkami śniadania Norrisa. Szczeka D'Agosty poruszyła się mimowolnie. I nagle jego wzrok padł na fragment czaszki martwego strażnika, z krótkimi, obciętymi na jeża włosami, leżący dobre pięć stóp od ciała.

— Jezu — jęknął D'Agosta, cofając się, i nagle nie wytrzymał. W obecności agenta FBI, techników i fotografa zwymiotował śniadanie.

— Nie do wiary — pomyślał. — Pierwszy raz od dwudziestu dwóch lat i akurat w najgorszym momencie.

Na schodach zjawił się koroner, młoda kobieta w białym kitlu i plastikowym fartuchu.

— Kto tu dowodzi? — spytała, nakładając rękawice.

— Ja — odrzekł D'Agosta, ocierając usta. Spojrzał na Pendergasta. — Przynajmniej jeszcze przez kilka minut. Jestem porucznik D'Agosta.

— Doktor Collins — odparła lekarka. W towarzystwie asystenta zeszła na dół, by stanąć przy ciele w miejscu, gdzie nie było kałuż krwi. — Fotograf — odezwała się. — Odwróć teraz ciało. Proszę o całą serię zdjęć.

D'Agosta odwrócił wzrok.

— Pendergast, mamy robotę — odezwał się władczo. Wskazał na wymiociny. — Nie ścierać tego, dopóki technicy nie skończą z całym schodami, jasne?

Wszyscy pokiwali głowami.

— Chcę najszybciej jak to możliwe znać potencjalne drogi wyjścia i wejścia. Sprawdźcie, czy uda się zidentyfikować ofiarę. Jeżeli to strażnik, ściągnijcie tu Ippolito. Pendergast, chodź ze mną na górę do punktu dowodzenia, musimy skoordynować działania, ustalić metody współpracy, czy jak to tam u siebie nazywacie, a potem wrócimy tu, gdy zespół zakończy czynności zabezpieczające i obejrzymy sobie dokładnie miejsce zbrodni.

— Kapitalnie — rzekł Pendergast.

— Kapitalnie? — pomyślał D'Agosta. Facet wyglądał na południowca. Spotykał już takie typy, tu, w Nowym Jorku, byli bezradni jak dzieci.

Pendergast wychylił się do przodu i rzekł półgłosem:

— Ta krew rozbryźnięta na ścianie wygląda całkiem interesująco.

D'Agosta obejrzał się przez ramię.

— Co ty powiesz.

— Interesowałyby mnie badania tego śladu krwi.

D'Agosta spojrział prosto w jasne, nieomal blade oczy agenta.

— Świetny pomysł — odezwał się w końcu. — Fotograf, zrób zdjęcia tych rozbryzgów na ścianie. Zbliżenia A ty...

— McHenry, sir.

— Chcę pełnej analizy tego śladu krwi. Wygląda, jakby została rozbryźnięta z ogromną szybkością, pod ostrym kątem. Sporządzisz pełny raport, z podaniem źródła, szybkości, siły, kąta nachylenia, innymi słowy — ze wszystkim.

— Tak jest, sir.

— Oczekuję go na moim biurku za trzydzieści minut. McHenry wydawał się odrobinę niezadowolony.

— W porządku, masz jeszcze jakieś pomysły, Pendergast?

— Nie, tylko ten jeden.

— Chodźmy więc.

W tymczasowym punkcie dowodzenia wszystko było na miejscu.

D'Agosta zawsze umiał tego dopilnować. Nie było ani jednej leżącej luzem kartki papieru, żadnych powyjmowanych akt ani magnetofonu na biurku. Dzięki temu miejsce wyglądało jak należy i D'Agosta był z tego zadowolony. Każdy miał zajęcie, przy aparatach telefonicznych mrugały czerwone lampki, ale sytuacja znajdowała się pod kontrolą.

Pendergast usadowił swe smukłe ciało na krześle. Choć wyglądał na formalistę, poruszał się miękko niczym kot. D'Agosta pokrótce streścił mu dotychczasowy przebieg śledztwa.

— W porządku, Pendergast — skonkludował. — Jakie masz uprawnienia? Spieprzyliśmy sprawę? Wypadamy z gry?

Pendergast uśmiechnął się.

— Bynajmniej. O ile mogę stwierdzić, sam postąpiłbym dokładnie tak samo. Widzi pan, poruczniku, my również siedzimy w tym bigosie od samego początku, tyle że do tej pory nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

— Jak to?

— Przyjechałem tu aż z Nowego Orleanu. Pracowaliśmy tam nad serią zabójstw, skądinąd zabójstw nader osobliwych. Nie pora teraz, by wdawać się w szczegóły, ale ofiary miały usunięte fragmenty kości potylicznej i mózg wyjęty z czaszki. Ten sam modus operandi.

— Bez kitu. Kiedy to było?

— Kilka lat temu.

— Kilka lat? To...

— Tak. Sprawa nie została rozwiązana. Z początku zajmowała się nią agencja do spraw alkoholu, tytoniu i broni palnej, ponieważ sądzono, że w grę mogą wchodzić narkotyki, lecz gdy ich śledztwo utkwilo w martwym punkcie, przejęło je Federalne Biuro Śledcze. Nic jednak nie zwojowaliśmy, ślad ostygł. I nagle, wczoraj, przeczytałem służbową depeszę o podwójnym morderstwie, tu, w Nowym Jorku. Modus operandi jest aż nazbyt niezwykły, zatem te sprawy muszą być ze sobą jakoś powiązane, nie uważa pan? Dlatego przyleciałem tu wczoraj w nocy. Szczerze mówiąc, nawet nie przebywam tu oficjalnie. Niemniej jutro z pewnością tego dopilnuję.

D'Agosta rozluźnił się.

— Zatem pochodzi pan z Luizjany. Sądziłem, że jest pan po prostu nowy na nowojorskim gruncie, w tutejszej filii Biura.

— Zjawia się tu — odparł Pendergast. — Gdy dziś wieczorem złożę raport, na pewno zajmą się tą sprawą. Ale to ja przejmę prowadzenie śledztwa.

— Pan? Nie ma mowy. Nie w Nowym Jorku. Pendergast uśmiechnął się.

— Ja przejmę dowodzenie, poruczniku. Prowadziłem tę sprawę od wielu lat i szczerze mówiąc, bardzo mnie ona zaciekawiała.

Sposób, w jaki Pendergast wymówił słowo „zaciekawiała”, wywołał ciarki na plecach D'Agosty.

— Bez obaw, poruczniku, jestem gotowy i chętny do współpracy z panem, ramię w ramię, po partnersku, może w nieco inny sposób, niż mogłaby sobie tego życzyć nowojorska filia Biura. Naturalnie jeśli i pan okaże ze swej strony odrobinę dobrej woli. To nie jest mój teren i będę

potrzebował pańskiej pomocy. Co pan na to?

Wstał i wyciągnął do niego rękę. Chryste, pomyślał D'Agosta, chłopaki z nowojorskiego Biura rozerwą go na sztuki w dwie i pół godziny i odeślą w kawałkach do Nowego Orleanu.

— Zgoda — rzekł D'Agosta, ujmując jego dłoń. — Przedstawię pana, począwszy od szefa ochrony, Ippolito. Ale wpierw proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Mówił pan, że modus operandi zabójstw w Nowym Orleanie był taki sam. A co ze śladami ukąszeń odkrytymi w mózgu starszego z chłopców? I z fragmentem pazura?

— Z tego, co mówił mi pan na temat autopsji, rozumiem, poruczniku, że kwestia ukąszeń to jedynie czyste spekulacje koronera, które jak dotąd nie zostały w żaden sposób potwierdzone — odrzekł Pendergast. — Byłbym ciekaw, co wykazały testy na obecność enzymów ślinowych. Czy pazur został już przebadany?

Później D'Agosta przypomni sobie, że uzyskał jedynie połowiczną odpowiedź na swoje pytanie. Teraz odrzekł krótko.

— Testy mogą być przeprowadzone dzisiaj.

Pendergast odchylił się na krześle i złączył koniuszki palców obu dłoni; białoblond włosy opadały mu na czoło, wzrok miał wbity w przestrzeń.

— Będę musiał odwiedzić doktor Ziewicz, gdy przeprowadzi sekcję tego nieszczęśnika.

— Powiedz mi, Pendergast, czy nie jesteś czasem spokrewniony z Andym Warholem?

— Szczerze mówiąc, niespecjalnie przepadam za sztuką współczesną, poruczniku.

Na miejscu zbrodni było trochę tłoczno, lecz panował porządek, wszyscy poruszali się szybko i mówili szeptem, jakby przez szacunek dla zabitego. Zjawili się ludzie z kostnicy, lecz trzymali się na uboczu, cierpliwie obserwując przebieg prac. Pendergast stał w towarzystwie D'Agosty i szefa ochrony muzeum, Ippolito.

— Zechciałby pan zrobić coś dla mnie? — Pendergast zwracał się do fotografa. — Chciałbym jedno ujęcie stąd, o, takie. — Pokazał, o co mniej więcej mu chodzi. — A także serię ujęć ze szczytu schodów i z kolejnych stopni. Proszę się nie spieszyć, niech pan uchwyci tę subtelną grę światłocieni.

Fotograf spojrział na Pendergasta spod oka i oddalił się. Pendergast zwrócił się do Ippolito.

— Nurtuje mnie pewne pytanie. Co ten strażnik, jak on się nazywał, Jolley, tak? Fred Jolley? robił tu, na dole? Przecież podczas rutynowego obchodu nie miał obowiązku zapuszczać się aż tutaj. Zgadza się?

— To prawda — odrzekł Ippolito. Stał w suchym miejscu, nieopodal wejścia na podwórze, jego twarz miała chorobliwie zielonkawy odcień.

D'Agosta wzruszył ramionami.

— Któż to wie?

— W rzeczy samej — zgodził się Pendergast. Wyjrzał na nieduży dziedziniec, otoczony z trzech stron ceglanym murem. — I powiada pan, że zamknął za sobą drzwi. Musimy zakładać, że wyszedł na zewnątrz lub zmierzał w tym kierunku. Hmm. Zeszłej nocy o tej porze zapowiadano deszcz meteorytów. Może Taurydy go zaciekały. Może Jolley interesował się astronomią. Szczerze mówiąc, jakoś nie chce mi się w to



wierzyć. — Stał przez dłuższą chwilę w milczeniu, rozglądając się. I nagle znów odwrócił się w ich stronę. — Wydaje mi się, że potrafię powiedzieć wam, co go tu sprowadziło.

Chryste, prawdziwy Sherlock Holmes — pomyślał D'Agosta.

— Zszedł tu, aby dać upust nałogowi. Marihuanie. To podwórce jest odosobnionym miejscem o dobrej wentylacji. Idealna kryjówka, aby przypalić skręta.

— Marihuana? To tylko przypuszczenie.

— Wydaje mi się, że widzę peta — rzekł Pendergast, wskazując na dziedziniec. — W miejscu, gdzie drzwi łączą się z futryną.

— Nic nie widzę — mruknął D'Agosta. — Hej, Ed. Sprawdź no, drzwi u podstawy. O, właśnie w tym miejscu. Co to takiego?

— Skręt — odrzekł Ed

— Co jest z wami, chłopaki, nie potraficie nawet dostrzec cholernego jointa? Na miły Bóg, przecież kazałem wam wyzbierać stąd wszystko, od ziarenek piasku po drobiny kurzu!

— Jeszcze tego nie zrobiliśmy.

— W porządku. — Spojrzał na Pendergasta. Szczęściarz, psia jego mać. Zresztą zapewne i tak ten skręt nie należał do strażnika.

— Panie Ippolito — rzekł, przeciągając zgłoski Pendergast — czy dla pańskich ludzi jest rzeczą normalną zażywanie na służbie zabronionych prawem narkotyków?

— Ależ skąd, bynajmniej, a poza tym wcale nie mam pewności, czy to Fred Jolley...

Pendergast uciszył go machnięciem ręki.

— Zakładam, że potrafi pan wyjaśnić, skąd się wzięły tu te wszystkie

ślady stóp.

— Należą do strażnika, który odnalazł ciało — odparł D'Agosta.

Pendergast schylił się.

— Jeżeli były tu jakieś inne ślady, zostały dokładnie zdeptane — rzucił, marszcząc brwi. — Doprawdy, panie Ippolito — dokończył — powinien pan lepiej wyszkolić swoich ludzi, jak należy zabezpieczyć miejsce zbrodni

Ippolito otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz znowu je zamknął. D'Agosta uśmiechnął się półgębkiem.

Pendergast ostrożnie wszedł pod kondygnację schodów, gdzie znajdowały się na wpół otwarte, wielkie, metalowe drzwi.

— Proszę mnie oświecić, panie Ippolito. Dokąd prowadzi to wejście?

— Do korytarza.

— A ten korytarz?

— Na dole po prawej znajduje się Strefa Chroniona. Zabójca jednakże nie mógłby udać się w tamtą stronę, gdyż...

— Pan wybaczy, panie Ippolito, ale tu się z panem nie zgodzę. Jestem pewien, że zabójca udał się właśnie tam — odrzekł Pendergast. — Niech zgadnę. Za Strefą Chronioną znajduje się stara suterena, mam rację?

— Owszem, tak — potwierdził Ippolito.

— W której znaleziono tych chłopców.

— Bingo — wtrącił D'Agosta.

— Ta Strefa Chroniona bardzo mnie zaciekała, panie Ippolito. Może wybralibyśmy się na mały spacer?

Za pordzewiałymi, metalowymi drzwiami rozciągał się oświetlony zwykłymi, gołymi żarówkami długi, podziemny korytarz. Podłogę

wyłożono tu byle jakim linoleum, na ścianach widniały malowidła przedstawiające południowozachodnich Indian Pueblo, mielących kukurydzę, tkających i polujących na jelenie.

— Przepiękne — skomentował Pendergast. — Aż żal, że są tu, na dole. Wyglądają jak wczesny Fremont Ellis.

— Niegdyś wisiały w Sali Południowego Zachodu — odparł Ippolito. — Wydaje mi się, że zamknięto ją gdzieś w latach dwudziestych.

— Ach! — wykrzyknął Pendergast, przyglądając się jednemu z malowideł. — To jest Ellis. Wielkie nieba, toż to przepiękne dzieła. Spójrzcie na rozłożenie światła na fasadzie tej chaty zbudowanej z cegły suszonej na słońcu.

— No więc? — mruknął Ippolito. — Skąd pan to wiedział?

— To oczywiste — odrzekł Pendergast. — Każdy, kto zna Ellisa, jest w stanie natychmiast rozpoznać jego prace.

— Nie o to mi chodzi. Skąd pan wiedział, że zabójca musiał przedostać się tą drogą?

— Doszedłem do tego, jak sędzę, drogą dedukcji — odparł Pendergast, oglądając kolejne malowidło. — Widzi pan, mam taki fatalny nawyk. Kiedy ktoś mówi, natychmiast robię wszystko, co w mojej mocy, aby udowodnić, że się myli. To paskudny nawyk, przyznaję, ale nie potrafię go w sobie zwalczyć. Tak czy siak, teraz już wiemy, że zabójca faktycznie tędy przechodził.

— A to niby skąd? — Ippolito wydawał się zbity z tropu.

— Proszę spojrzeć na ten przepiękny obraz przedstawiający stare Santa Fe. Był pan kiedyś w Santa Fe?

Zapadła cisza.

— Ee, nie — wykrztusił po chwili Ippolito.

— Za miastem rozciąga się łańcuch górski noszący nazwę Sierra de Sangre de Cristo, co znaczy Góry Krwi Chrystusowej. To po hiszpańsku.

— A więc?

— O zachodzie słońca góry te wydają się czerwone, ale ośmielę się zauważyć, nie aż tak czerwone. To prawdziwa krew, w dodatku świeża. Szkoda, bo zniszczyła całkiem przyzwoity obraz.

— Do licha! — rzucił D'Agosta. — Spójrzcie tylko.

W poprzek obrazu na wysokości pasa ciągnęła się wyraźna, szeroka smuga krwi.

— Jak wicie, panowie, morderstwo to naprawdę brudna i mokra robota. Powinniśmy natrafić na ślady krwi na całej długości tego korytarza. Poruczniku, potrzebni nam będą tutaj technicy z laboratorium kryminalistyki. Wydaje mi się, że odnaleźliśmy pańskie wyjście — przerwał. — Skończmy nasz mały spacer i wezwijmy ekipę. Chciałbym pójść jeszcze kawałek dalej i poszukać dowodów, jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

— Proszę bardzo — rzekł D'Agosta.

— Niech pan uważa, gdzie stawia stopy, panie Ippolito. Polecimy im zbadać zarówno ściany, jak i podłogę.

Dotarli do zamkniętych drzwi z napisem WSTĘP WZBRONIONY.

— To Strefa Chroniona — wyjaśnił Ippolito.

— Rozumiem — powiedział Pendergast. — Zastanawia mnie tylko, jaki jest cel istnienia tej Strefy. Czyżby reszta muzeum nie była chroniona, panie Ippolito?

— Nie w tym rzecz — odparł pośpiesznie szef ochrony. — W Strefie

Chronionej składowane są szczególnie cenne i rzadkie przedmioty. To najlepiej strzeżone muzeum w kraju. Niedawno zainstalowaliśmy w całym budynku system specjalnych, przesuwanych metalowych drzwi. Są one połączone z naszym systemem komputerowym i w przypadku włamania możemy odciąć zagrożone sektory muzeum, tak jak grodzie wodoszczelne na...

— Bardzo dziękuję, panie Ippolito, już wiem, o co chodzi — uciał Pendergast.

— To ciekawe. Stare drzwi obite blachą miedzianą — mruknął, przyglądając się im z bliska.

D'Agosta zauważył na miedzianych arkuszach blachy płytkie wgłębienia.

— Sądząc po wyglądzie, są raczej świeże — rzekł Pendergast. — A co powie pan o tym? — Wskazał ręką w dół.

— Chryste Panie — wykrztusił D'Agosta, przenosząc wzrok na dolną część drzwi. Drewniana framuga była poorana głębokimi bruzdami i złobieniami, jakby drapało w nią pazurami jakieś zwierzę. Dokoła pełno było odłupanych drzazg i kawałków drewna.

Pendergast cofnął się.

— Jeśli można, poruczniku, chciałbym, aby całe te drzwi poddano gruntownej analizie. A teraz zobaczmy, co jest w środku. Panie Ippolito, byłby pan łaskaw otworzyć te drzwi, nie zostawiając na całej ich powierzchni odcisków swoich dłoni?

— Nie jestem upoważniony, aby wpuszczać do środka kogokolwiek bez specjalnego zezwolenia.

D'Agosta spojrzał na niego z niedowierzaniem.

— Chce pan powiedzieć, że mamy tu przyjść z cholernym nakazem?

— Och, nie, nie, ja tylko...

— Zapomniał klucza — odrzekł Pendergast. — Zaczekamy.

— Zaraz wracam — wykrztusił Ippolito. Tupot jego kroków rozbrzmiał w całym korytarzu.

Gdy szef ochrony znalazł się poza zasięgiem jego głosu, D'Agosta zwrócił się do Pendergasta.

— Mówię to niechętnie, Pendergast, ale podoba mi się twój styl działania. Najpierw ten numer z obrazem, a teraz jeszcze owinąłeś sobie Ippolito wokół palca. Powodzenia w konfrontacji z chłopakami z Nowego Jorku.

Pendergast wydawał się rozbawiony.

— Dziękuję I wzajemnie Cieszę się, że współpracuję z panem, poruczniku, a nie z którymś z tych twardogłowych formalistów. Sądząc po tym, co się stało na schodach, wciąż nie stracił pan serca. Nadal jest pan człowiekiem. Istotą ludzką z krwi i kości.

D'Agosta wybuchnął śmiechem.

— Nie, to trochę nie tak. Wszystko przez tę cholerną jajecznicę na szynce, z serem i keczupem, którą zjadłem na śniadanie. I ta fatalna fryzura „na zapałkę”. Nie znoszę krótko ostrzyżonych włosów.

## *Rozdział piętnasty*

Drzwi do herbarium były, jak zawsze zresztą, zamknięte, pomimo tabliczki z napisem NIE ZAMYKAĆ. Margo zapukała No, dalej, Smith,

wiem, że tam jesteś. Zapukała ponownie, tym razem głośniejszym i usłyszała drżący głos.

— Już dobrze, dobrze! Komu tak pilno? Już idę!

Drzwi się otworzyły, po czym Bailey Smith, starszy asystent kustosza herbarium, wzdychając z irytacją, wrócił do swojego biurka, przy którym przeglądał pocztę.

Margo zdecydowanie postąpiła naprzód. Bailey Smith wydawał się traktować swoją pracę jako zło konieczne, na dodatek narzucone odgórnie. Mimo to, kiedy już się do czegoś zabierał, trudno było go od tego odciągnąć. W normalnych okolicznościach Margo po prostu przysłałaby mu zamówienie, unikając spotkania twarzą w twarz. Musiała jednak zbadać okazy roślin Kiribitu najszybciej jak to możliwe, by powrócić do pracy nad dysertacją. Nie zrobiła jeszcze tego, o co prosił ją Moriarty, a doszły ją plotki o kolejnej potwornej zbrodni, której skutkiem mogło się okazać zamknięcie muzeum do końca dnia.

Bailey Smith nucił coś pod nosem, wyraźnie ją ignorując. Choć zbliżał się do osiemdziesiątki, Margo podejrzewała, że jedynie udawał głuchego, aby drażnić ludzi.

— Panie Smith! — zawołała. — Potrzebne są mi te okazy, bardzo proszę! — Przesunęła w jego stronę listę. — Natychmiast, jeśli można.

Smith chrząknął, podniósł się z krzesła, sięgnął po listę i przejrzał ją powoli, z jawną dezaprobatą.

— Odszukanie ich może trochę potrwać. Może być na jutro rano?

— Proszę, panie Smith. Słyszałam, że w każdej chwili mogą zamknąć muzeum. One naprawdę są mi potrzebne.

Wyczuwając okazję do poplotkowania, starszy stał się nagle



życzliwszy i bardziej otwarty.

— To okropna historia — rzekł, kręcąc głową. — Jak tu pracuję od czterdziestu dwóch lat nigdy jeszcze nie spotkałem się z czymś takim. Mimo to nie jestem ani trochę zaskoczony — dodał ze znaczącym skinieniem.

Margo nie chciała wdawać się z nim w dyskusję. Nie powiedziała ani słowa.

— To nie pierwszy taki przypadek, o ile mi wiadomo. I z pewnością nie ostatni. — Uniósł kartkę i zaczął czytać.

— Co to takiego? Muhlenbergia dunbarii? Nie mamy tu niczego takiego.

Wtem Margo usłyszała za sobą głos.

— To nie pierwszy taki przypadek?

Był to głos Gregory'ego Kawakity, młodszego asystenta, który poprzedniego dnia towarzyszył jej podczas przymusowego pobytu w sali klubowej. Margo zapoznała się z jego życiorysem — pochodził z zamożnej rodziny, wcześniej został sierotą, opuścił swą rodziną Jokohamę i dorastał u krewnych w Angin. Po ukończeniu Magdalene's College na Oxfordzie podjął studia na MIT, gdzie zrobił magisterium, potem rozpoczął pracę w muzeum i został asystentem. Był najbliżskotliwszym spośród protegowanych Frocka, co niekiedy przepełniało Margo oburzeniem. Jej zdaniem Kawakita nie należał do tych naukowców, którzy mogliby sprzymierzyć się z Frockiem. Instynktownie wyczuwał panujące w muzeum trendy, Frock natomiast był osobą kontrowersyjną, ikonoklastą. Tak czy inaczej, Kawakicie, mimo ułomności charakteru, nie można było odmówić bystrości i inteligencji.

Obecnie zaś współpracował z Frockiem nad modelem mutacji genetycznej, której w pełni nikt nie potrafił pojąć. Z wyjątkiem ich dwóch. Pod przewodnictwem Frocka Kawakita opracował ekstrapolator, program mogący porównywać i dokonywać kombinacji genów różnych gatunków. Kiedy wprowadzili swoje dane do potężnego komputera muzeum, pojemność systemu zmniejszyła się tak bardzo, iż ludzie żartowali, że to już nie komputer, a ręczny kalkulator.

— O co panu chodzi? — zapytał Smith, łypiąc na Kawakitę spode łba. Margo rzuciła tamtemu ostrzegawcze spojrzenie, on jednak niewzruszonym tonem kontynuował:

— Zastanawia mnie, co miał pan na myśli, mówiąc, że to nie pierwszy taki przypadek w związku z tymi zabójstwami?

— Greg, czy to konieczne? — jęknęła Margo. — Przez ciebie nie odbiorę moich okazów roślinnych.

— Wcale mnie to nie dziwi — ciągnął Smith. — Nie jestem człowiekiem przesadnym — rzekł, opierając się o blat. — Ale nie po raz pierwszy jakieś stworzenie wałęsa się po korytarzach tego muzeum. Tak przynajmniej mówią ludzie. Ja ze swej strony ani trochę w to nie wierzę, ale mówię, co słyszałem.

— Stworzenie? — spytał Kawakita. Margo lekko kopnęła go w goleń.

— Jak już mówiłem, powtarzam tylko to, co usłyszałem od innych. Nie zamierzam rozpowszechniać fałszywych plotek.

— Oczywiście — mruknął Kawakita, puszczając oko do Margo. Smith spiorunował go wzrokiem.

— Powiadają, że to jest tutaj już od dłuższego czasu. Mieszka w piwnicach, żywiąc się szczurami, myszami i karaluchami. Zauważyliście,

że w muzeum od dawna nie spotyka się żadnych gryzoni? A przecież powinny tu być, bądź co bądź jest ich pełno w całym Nowym Jorku. Lecz nie tutaj. Dziwne, nieprawdaż?

— Nie zauważyłem — odparł Kawakita. — Będę musiał to sprawdzić.

— Mieliliśmy tu naukowca, który hodował koty do jakiegoś eksperymentu — ciągnął Smith. — Nazywał się chyba Sloane, doktor Sloane z Wydziału Zachowań Zwierzęcych. Któregoś dnia uciekł mu tuzin kotów. I wiecie co? Nigdy nikt już ich nie ujrzał. Zniknęły. To dość dziwne, żeby nie powiedzieć zabawne. Można by się spodziewać, że przynajmniej jeden lub dwa z nich gdzieś się pokażą.

— Może uciekły, bo nie miały co łapać. Skoro me ma tu myszy... — zaczął Kawakita.

Smith zignorował go.

— Niektórzy twierdzą, że to wylęgło się z jednego z jaj, które pełnymi skrzyniami przywoziliśmy tu z Syberii.

— Rozumiem — mruknął Kawakita, powstrzymując uśmiech. — Dinozaury grasujące w muzeum.

Smith wzruszył ramionami.

— Mówię tylko to, co słyszałem. Inni uważają, że to coś wypełzło z jednego z grobów, które złupiono w przeszłości. Jakiś przeklęty artefakt. Wiecie, jak z klątwą Tutenchamona. Szczerze mówiąc, tamci faceci zasłużyli na to, co ich spotkało. Nie obchodzi mnie, jak to nazywają, archeologią, antropologią czy jakąś inną logią, moim zdaniem, to zwykłe ordynarne łupienie grobów. Nie rozkopują co prawda grobów własnych babek, ale nie mają oporów przed wdzieraniem się do cudzych grobowców i wykradaniem z nich wszystkiego, co się da. Mam rację?

— Absolutnie — odparł Kawakita. — Ale dlaczego mówi pan, że to nie pierwsze takie zabójstwo?

Smith spojrział na nich tajemniczo.

— Pamiętajcie — zastrzegł — jeżeli komukolwiek zdradzicie, że wam o tym mówiłem, wyprę się tego, ale pięć lat temu miało tu miejsce dziwne zdarzenie... — Przerwał na chwilę, jakby dla lepszego efektu. — Był tu wtedy ten kustosz, Morrissey, Montana czy jak mu tam. Związany był z tą feralną ekspedycją do Amazonii, która zakończyła się katastrofą. Wiecie, o czym mówię, o tej ekspedycji, w której wszyscy uczestnicy zginęli. Tak czy owak, któregoś dnia po prostu zniknął. Nikt go nigdy więcej nie widział. Ludzie zaczęli plotkować na ten temat. Podśluchano, jak pewien strażnik mówił, że w piwnicy znaleziono jego zwłoki, okrutnie zmasakrowane.

— Rozumiem — rzekł Kawakita. — I sądzi pan, że to robota Bestii z Muzeum?

— Ja nic nie sądzę — odparował natychmiast Smith. — Powtarzam tylko to, co słyszałem, ot i tyle. A słyszałem naprawdę wiele, mogę wam zaręczyć.

— Czy ktokolwiek widział to... stworzenie? — zapytał Kawakita, bezskutecznie usiłując stłumić uśmiech cisnący mu się na usta.

— Ale oczywiście. Kilka osób. Zna pan starego Carla Conovera z warsztatu? Twierdzi, że widział to coś trzy lata temu, przyszedł wcześniej do pracy, miał coś do zrobienia i ujrzał to czające się w kącie w suterenie. Widział je tak wyraźnie, jak ja teraz widzę was oboje.

— Naprawdę? — rzekł Kawakita. — A jak to coś wyglądało?

— Cóż... — zaczął Smith i nagle umilkł. Nawet on dostrzegł w końcu

rozbawienie na twarzy Kawakity. Wyraz twarzy staruszka zmienił się.

— Wydaje mi się, doktorze, że wyglądał kropka w kropkę jak Jaś Wędrowniczek — odparł z przekąsem.

Kawakita zdziwił się.

— Jaś? Nie rozumiem. Chyba nie wiem, o kim pan... Wtem Bailey Smith wybuchnął gromkim śmiechem. Margo również mimowolnie się uśmiechnęła.

— Gregory — odezwała się. — On chciał przez to powiedzieć, że Conover był pijany.

— Rozumiem — mruknął Kawakita. — Oczywiście. Spochmurniał.

— Nie lubi sam być obiektem żartów i drwin — uznała Margo. — Sam nabija się z ludzi, ale gdy ktoś odbije piłeczkę, natychmiast się obraża.

— No cóż... — zaczął Kawakita — właściwie wpadłem tu po parę rzeczy... Potrzeba mi kilku okazów...

— Chwileczkę! — zaprotestowała Margo, gdy Kawakita położył na biurku swoją listę. Staruszek przejrzał ją i spojrzął na naukowca.

— Niech pan przyjdzie po nie za dwa tygodnie, dobrze? — podsumował.



## *Rozdział szesnasty*

Kilka pięter wyżej porucznik D'Agosta rozsiadł się na dużej, skórzanej sofie w gabinecie kustosa. Oblizał z zadowoleniem wargi, założył nogę na nogę i rozejrzał się dokoła. Pendergast, pochłonięty oglądaniem tomu litografii, zagłębił się w fotelu za biurkiem. Nad jego głową wisiał oprawiony w złotą, rokokową ramę Audubon, przedstawiający rytuał godowy czapli białej. Wzdłuż ścian powyżej współczesnej, perełkowej boazerii dostrzec można było sfatygowane, wiekowe panele z dębiny. Tuż pod sufitem wyłożonym prasowaną blachą zwieszał się ozdobny, złożony kandelabr z abażurami z dmuchanego szkła. W jednym z kątów pokoju stał wielki kominek z wapienia z Dolomitów.

Miłe miejsce — pomyślał D'Agosta. Stare pieniądze. Stary Nowy Jork. To miejsce ma klasę, raczej nie byłoby wskazane palić tu byle jakich cygar.

Zapalił.

— Już po wpół do trzeciej, Pendergast — powiedział, wydmuchując niebieskawy dym. — Jak sądzisz, gdzie się podziewa ten cholerny Wright?

Pendergast wzruszył ramionami.

— Próbuje nas onieśmielić — rzekł, przewracając kolejną stronę.

D'Agosta przez dłuższą chwilę przyglądał się agentowi FBI.

— Znasz te grube ryby z muzeum. Sądzą, że mogą każdemu kazać na siebie czekać — rzekł w końcu, obserwując reakcję tamtego. — Wright i jego pierniki od wczoraj rano traktują nas jak obywateli drugiej kategorii.

Pendergast przewrócił kolejną stronę.

— Nie sądziłem, że muzeum posiada pełny zbiór szkiców Forum Piranesiego — mruknął pod nosem.

D'Agosta parsknął. To powinno być interesujące — pomyślał.

Podczas lunchu wykonał w sekrecie kilka telefonów do przyjaciół w Biurze. Okazało się, że nie tylko słyszeli o Pendergaście, lecz również znali wiele plotek na jego temat. Był honorowym absolwentem jednego z brytyjskich uniwersytetów, to zapewne prawda. Oficer sił specjalnych schwyty w Wietnamie, który powrócił do swoich po morderczej ucieczce przez dżunglę, jedyny ocalały z kambodżańskiego obozu śmierci, co do tego D'Agosta nie miał pewności. Mimo to zrewidował nieco swą opinię na jego temat.

Masywne drzwi otwarły się bezszelestnie i stanęli w nich Wright oraz szef ochrony Nagle Wright usiadł naprzeciwko agenta FBI.

— Pan Pendergast, jak sądzę? — westchnął dyrektor. — Miejmy to już za sobą.

D'Agosta usiadł wygodnie, by obejrzeć ten spektakl. Nastąpiła długa cisza, w tym czasie Pendergast spokojnie wertował album. Wright poruszył się.

— Jeżeli jest pan zajęty — rzekł z irytacją — możemy wrócić kiedy indziej.

Zza wielkiej księgi trudno było ujrzeć twarz agenta.



— Nie — odezwał się wreszcie. — Może być teraz. — Obrócił leniwie kolejną stronę. I jeszcze jedną.

D'Agosta patrzył z rozbawieniem, jak twarz dyrektora nabiega czerwienią.

— Na tym spotkaniu obecność szefa ochrony nie jest wymagana — dobiegło zza albumu.

— Pan Ippolito jest ściśle związany z prowadzonym...

W tej samej chwili nad grzbietem książki pojawiła się para oczu.

— Ja kieruję śledztwem, doktorze Wright — rzekł półgłosem Pendergast. — Panie Ippolito, byłby pan łaskaw...?

Ippolito spojrział nerwowo na Wrighta, który odprawił go ruchem ręki.

— Proszę posłuchać, panie Pendergast — zaczął Wright, gdy tylko drzwi się zamknęły. — Muzeum musi działać, mamy w planach otwarcie wystawy, termin zbliża się nieubłaganie. Mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

Pendergast położył przed sobą otwarty album.

— Wydaje mi się — powiedział, cedząc słowa — że klasyczne dzieła Piranesiego należą do jego najlepszych. Czy podziela pan moje zdanie?

Wright wydawał się zbity z tropu.

— Nie bardzo rozumiem — wykrztusił. — Co to ma wspólnego...

— Naturalnie jego późniejsze prace także są ciekawe, lecz jak na mój gust nazbyt fantastyczne — odrzekł Pendergast.

— Właściwie — odezwał się dyrektor, jakby szykując się do dłuższego naukowego wykładu — zawsze byłem zdania...

Książka została zamknięta z trzaskiem przypominającym wystrzał.

— Właściwie, doktorze Wright — wycedził Pendergast bez cienia

kurtuazji — najwyższy czas zapomnieć o tym, co było, i jakie miał pan zdanie do tej pory. Zabawimy się w taką małą grę. Ja będę mówić, a pan będzie słuchać. Czy to rozumiałe?

Wrighta zamurowało. Jego twarz poczerwieniała.

— Panie Pendergast, nie pozwolę, aby tak mnie traktowano...

Pendergast nie pozwolił mu dokończyć.

— Gdyby nie czytał pan ostatnio gazet, panie Wright, pragnę poinformować, że w ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin w tym muzeum miały miejsce trzy okrutne morderstwa. Zdaniem prasy odpowiedzialne jest za nie jakieś dzikie zwierzę. Od weekendu personel muzeum zmniejszył się o połowę. Pańscy ludzie boją się, mówiąc delikatnie. Miał pan okazję pospacerować dziś po muzeum, doktorze Wright? To mogłoby czegoś pana nauczyć. Atmosfera strachu jest nieomal namacalna. Ludzie, jeśli w ogóle opuszczają swoje biura, wędrują po gmachu dwójkami lub nawet trójkami. Robotnicy i konserwatorzy wymyślają Bóg wie jak bardzo wydumane powody, aby tylko nie zapuszczać się do Starych Piwnic. Pan jednak zachowuje się tak, jakby nie stało się nic złego. A dzieje się coś bardzo złego, może mi pan wierzyć, doktorze.

Pendergast wychylił się do przodu i powoli splótł dłonie na grzbiecie książki. W jego gestach było coś tak groźnego, a spojrzenie tak lodowate, że dyrektor mimowolnie się cofnął. D'Agosta mimo woli wstrzymał oddech. Pendergast tymczasem mówił dalej.

— Możemy uporać się z tą sprawą na jeden z trzech sposobów — oznajmił. — Do wyboru mamy możliwości — pańską, moją lub Biura. Jak dotąd pański sposób wykorzystywany był nazbyt często. Rozumiem, że

śledztwo prowadzone przez policję napotkało łagodny opór. Rozmowy telefoniczne opóźniano lub do nich nie dopuszczano. Pańscy ludzie mieli nawał zajęć lub byli nieosiągalni. Ci, których można było „złapać”, jak pana Ippolito, nie okazywali się tak użyteczni, jak by tego oczekiwano. Ludzie spóźniają się na spotkania. Sporo tych mankamentów. Można by zacząć coś podejrzewać. Od tej pory koniec z pańskimi metodami. Dla mnie są one nie do przyjęcia.

Pendergast czekał na odzew. Nie doczekawszy się go, mówił dalej.

— Zwykle pracując metodami Biura, zamknęlibyśmy muzeum, zablokowali wszystkie poczynania jego pracowników i odwołali potencjalne wystawy. To niestety przydaje nam złej sławy. I jest w dodatku bardzo kosztowne, tak dla was, jak i dla podatników. Moja metoda wydaje się znacznie bardziej cywilizowana. Jeżeli nic się nie zmieni, muzeum pozostanie otwarte, choć pod pewnymi warunkami. Po pierwsze — zaczął wyliczać — żądam pełnej współpracy ze strony wszystkich pracowników muzeum. Musi pan o to zadbać. Od czasu do czasu będziemy chcieli pomówić z panem oraz innymi wyższymi urzędnikami tej placówki, i to absolutne podporządkowanie jest po prostu niezbędne. Będę także potrzebował pełnej listy personelu. Trzeba będzie przesłuchać wszystkich, którzy znajdowali się lub mogli przebywać w pobliżu miejsca zbrodni. Bez wyjątków. To zadanie także będzie należeć do pana. Ustalimy wspólnie listę i wszyscy mają przychodzić na umówione spotkania punktualnie.

— Ale... pracuje tu dwa i pół tysiąca osób — zaczął Wright.

— Po drugie — ciągnął Pendergast — począwszy od jutra, ograniczymy liczbę personelu muzeum aż do czasu zakończenia śledztwa.

Dla bezpieczeństwa pańskich ludzi ogłosimy godzinę policyjną. Tak przynajmniej wyjaśni im pan powstałe ograniczenia.

— A nasze badania... prowadzimy tu bardzo ważne...

— Po trzecie — Pendergast wymierzył trzeci już palec w pierś Wrighta — od czasu do czasu będziemy zapewne zmuszeni do zamknięcia muzeum — całego lub jakiejś jego części. Zdarzyć się może, iż zakaz wstępu do gmachu obejmować będzie tylko gości, innym razem zaś także pracowników muzeum. Może się okazać, że trzeba będzie uporać się z tą sprawą w krótkim czasie. Liczę na pańską współpracę w tym względzie.

Gniew Wrighta narastał.

— To muzeum jest zamknięte tylko przez trzy dni w roku, w Boże Narodzenie, Nowy Rok i Święto Dziękczynienia — odparł. — To przypadek bez precedensu. Narobimy sobie kłopotów. — Spojrzał na Pendergasta z przejęciem. — Poza tym nie jestem pewien, czy ma pan do tego odpowiednie uprawnienia. Chyba powinniśmy... — przerwał.

Pendergast sięgnął po telefon.

— O co chodzi? — rzucił Wright z zakłopotaniem.

— Doktorze Wright, nudzi mnie już ta sytuacja. Może powinniśmy omówić tę sprawę z prokuratorem generalnym.

Pendergast zaczął wybierać numer.

— Chwileczkę — rzucił Wright. — Na pewno możemy jakoś się dogadać. Po co mieszać w to obcych ludzi?

— To zależy od pana — uciał Pendergast, wybierając ostatnią cyfrę.

— Na miłość boską, odłóż pan ten telefon! — warknął gniewnie Wright. — Jasne, że będziemy współpracować, naturalnie w granicach rozsądku.

— Świetnie — odparł Pendergast. — Gdyby zaś w przyszłości uznał pan, że jednak mamy zbyt wygórowane i niepoważne żądania, zawsze możemy to powtórzyć. — Delikatnie odłożył słuchawkę.

— Skoro mamy współpracować — ciągnął Wright — wydaje mi się, że powinienem być regularnie informowany o wszystkim, co się tu wydarzyło od ostatniego zabójstwa. O ile wiem, nie dokonał pan żadnych błyskotliwych postępów w śledztwie.

— Oczywiście, doktorze — odparował Pendergast. Spojrzał na leżące na biurku papiery. — Zgodnie z tym, co wskazują pańskie zegary do odbijania kart, ostatnia z ofiar, niejaki Jolley, zginął parę minut po wpół do jedenastej ubiegłej nocy. Autopsja zapewne to potwierdzi. Jak pan wie, również i ta ofiara, podobnie jak dwie poprzednie, miała na ciele długie rany szarpane. Strażnik zginął podczas obchodu, choć klatka schodowa, gdzie go znaleziono, nie należała do sprawdzanych przez niego rutynowo miejsc. Możliwe, że poszedł tam, aby zbadać źródło jakiegoś podejrzanego odgłosu lub coś w tym rodzaju. A może chciał po prostu zapalić trawkę. Przy wejściu znaleziono niedopałek skręta. Naturalnie przebadamy ciało na obecność narkotyków.

— Boże, tylko tego nam jeszcze trzeba — jęknął Wright. — Czy nie natrafił pan na żadne przydatne ślady? A co z tą poszlaką o dzikim zwierzęciu? Miał pan...

Pendergast uciszył go, unosząc prawą dłoń.

— Wolałbym nie wysuwać żadnych opinii, dopóki grupa ekspertów nie przeprowadzi szczegółowych badań posiadanego przez nas materiału dowodowego. Niektórzy z tych ekspertów wywodzić się będą spośród pańskiego personelu. Nawiasem mówiąc, nie odnaleźliśmy żadnych

śladów mogących sugerować obecność dzikiego zwierzęcia w tej okolicy.

— Ciało znaleziono u podnóża schodów, choć nie ulega wątpliwości, że atak nastąpił na podeście powyżej; na stopniach znaleziono ciągnące się z góry na dół rozmazane ślady krwi oraz resztki rozwłóczonych trzewi. Ofiara została zepchnięta lub też zwleczona po schodach na dół. Proszę jednak nie brać tego za pewnik, doktorze Wright — dokończył Pendergast, sięgając po leżącą na stole szarą kopertę. — Niech pan sam zobaczy. — Wyjął z koperty zdjęcie i delikatnie położył na biurku.

— O Boże — jęknął Wright, spoglądając na fotografię. — Boże, dopomóż.

— Ściana po prawej od schodów pokryta była krwawymi rozbryzgami — ciągnął Pendergast. — Oto zdjęcie.

Podał Wrightowi, który szybko położył je na poprzednim.

— Dokonanie analizy balistycznej tego rozprysku to betka — mówił Pendergast. — W tym przypadku można domniemywać, że był on skutkiem wyjątkowo silnego ciosu, skierowanego ku dołowi, który natychmiastowo wypruł ofierze wnętrzności.

Pendergast pozbiierał zdjęcia i spojrzał na zegarek.

— Porucznik D'Agosta skontaktuje się z panem, aby sprawdzić, czy wszystko idzie zgodnie z naszymi ustaleniami — rzekł. — Jeszcze ostatnie pytanie, doktorze. Który z pańskich kustoszy wie najwięcej o znajdujących się w muzeum zbiorach antropologicznych?

Doktor Wright zdawał się go nie słyszeć. Dopiero po chwili nieomal szeptem odparł:

— Doktor Frock.

— Doskonale — mruknął Pendergast. — Aha, doktorze, wcześniej

mówiłem, że muzeum może pozostać otwarte, ale tylko jeśli nic się nie zmieni. Gdyby w tych murach popełniono kolejną zbrodnię, muzeum zostanie zamknięte w trybie natychmiastowym. W takim przypadku nic nie mógłbym na to poradzić. Sprawę przejąłby ktoś inny. Czy to jest zrozumiałe? Po dłuższej chwili Wright pokiwał głową.

— Doskonale — odparł Pendergast. — Zdaję sobie sprawę, że w nadchodzący weekend ma się tu odbyć otwarcie pańskiej nowej wystawy i że zaplanował pan na piątek wieczorem swoistą prapremierę tych, jak im tam, Przesądów. Chciałbym bardzo, aby otwarcie przebiegło zgodnie z planem i w ustalonym terminie, jednakże wszystko zależeć będzie od tego, co odkryjemy w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin. Może się zdarzyć, że dla bezpieczeństwa konieczne będzie przesunięcie otwarcia wystawy.

Lewa powieka Wrighta zaczęła drgać.

— To niemożliwe. Cała nasza kampania marketingowa wzięłaby w łeb. Narobilibyśmy sobie złej sławy.

— To się jeszcze okaże — odparł Pendergast. — A teraz, jeśli nie ma innych spraw do omówienia, wydaje mi się, że nie powinienem pana dłużej zatrzymywać.

Wright, blady jak ściana, wstał i bez słowa mechanicznym krokiem opuścił gabinet.

Gdy drzwi zamknęły się, D'Agosta uśmiechnął się szeroko.

— Nieźle zmiękczyłeś tego łajdaka — podsumował.

— Że co, proszę, poruczniku? — spytał Pendergast, rozsiadając się na powrót w skórzanym fotelu i z nowym entuzjazmem sięgając po książkę.

— Daj spokój, Pendergast — rzucił D'Agosta, łypiąc z ukosa na agenta

FBI. — Przy kim jak przy kim, ale przy mnie nie musisz zachowywać się tak dystyngowanie. Zauważyłem, że kiedy trzeba, potrafisz pokazać pazury.

Pendergast mrugnął do niego niewinnie.

— Przepraszam, poruczniku. Proszę wybaczyć moje nieprzystojne zachowanie. Tak się składa, że nie cierpię pompatycznych, nadętych biurokratów. Bywam wobec nich dość surowy.

Otworzył książkę.

— To zły nawyk, zdaję sobie z tego sprawę, ale jakoś nie umiem się go pozbyć.

## *Rozdział siedemnasty*

Z laboratorium rozciągał się widok na East River i leżące na jej drugim brzegu magazyny oraz niszczące zabudowania przemysłowe Long Island City. Lewis Turow stał przy oknie, obserwując, jak ogromna barka z wielką stertą śmieci i krążącym powyżej stadem mew jest wyprowadzana na otwarte morze.

Prawdopodobnie to tylko drobny procent nowojorskich śmieci — pomyślał.

Odwrócił się od okna i westchnął. Nie cierpiał Nowego Jorku, ale w życiu trzeba dokonywać wyborów. W jego przypadku polegał on na wytrzymywaniu w znienawidzonym mieście i pracy w jednym z najlepszych laboratoriów genetycznych w kraju lub praca na wsi, w co



prawda miłym miejscu, lecz na marnym sprzęcie w jakimś zapyziałym instytucie. Jak dotąd wybierał miasto, lecz jego cierpliwość z wolna się wyczerpywała.

Usłyszał ciche buczenie, a potem syk minidrukarki. Nadeszły wyniki. Kolejny pisk urządzenia oznaczał zakończenie drukowania. Stojący pod jedną ze ścian sprzężony komputer Omega 9 za trzy miliony dolarów nie wydawał już żadnych odgłosów. Tylko kilka zapalonych lampek wskazywało, że cokolwiek się dzieje. Był to specjalny model z rozszerzoną pamięcią, opracowany w celu sekwencjonowania DNA i mapowania genów. Turow podjął pół roku temu pracę w tym laboratorium głównie ze względu na tę maszynę.

Wyjął kartki z pojemnika i zaczął przeglądać. Pierwsza strona zawierała ogólne podsumowanie wyników oraz porządek kwasów nukleinowych odkrytych w próbce. Obok nich umieszczono kolumny liter stwierdzających porządek kwasów i mapowanych genów z grupy docelowej.

W tym przypadku grupa docelowa była niezwykła: wielkie koty. Poproszono o analizę zgodności genetycznej z tygrysem azjatyckim, jaguarem, lampartem i rysiem amerykańskim. Turow dorzucił jeszcze geparda, gdyż struktura genowa tego drapieżnika została skrupulatnie zbadana. Przeciwwagą była oczywiście struktura genetyczna homo sapiens, której porównanie w przeprowadzonej analizie powinno posłużyć dla lepszego określenia zawartości próbki.

Przejrzał wyniki.

Badanie 3349 A5 990

Próbka lab. krym. NJBK LA-33

Wyciąg

	Grupa docelowa	
	stopień zgodności (w %)	stopień pewności (w %)
Panthera leo	5,5	4
Panthera onca	7,1	5
Felis lynx	4,0	3
Felis rufa	5,2	4
Acinonyx jubatus	6,6	4

	Grupa porównawcza	
Homo sapiens	45,2	33

Kompletna bzdura — pomyślał Turow. Próbka zdradzała większą zgodność z grupą porównawczą aniżeli z grupą docelową, a przecież powinno być dokładnie na odwrót. Zaledwie 4 procent szans, że materiał genetyczny pochodził od wielkiego kota, natomiast aż 33 procent, że jego źródłem była istota ludzka. Należało sprawdzić te dane w Genlabie. Była to ogromna, międzynarodowa baza danych DNA, dwieście giga i stale się powiększała, zawierająca sekwencje DNA, układy oraz mapy genów tysięcy organizmów, od bakterii E. coli po homo sapiens. Przepuści te dane przez bazę Genlabu i okaże się, skąd pochodzi to DNA. Wygląda na to, że było to coś bliskiego homo sapiens.

Na pewno nie małpa, już raczej lemur.

Ciekawość Turowa narastała. Do tej pory nie wiedział nawet, że jego laboratorium współpracowało z policją. Skąd, u licha, przyszło im do głowy, że ta próbka pochodzi od wielkiego kota? Wyniki zajmowały w sumie osiemdziesiąt stron wydruku. Sekwenter DNA wydrukował w kolumnach zidentyfikowane nukleotydy, ze wskazaniem gatunków rozpoznanych genów oraz sekwencji nie zidentyfikowanych. Turow wiedział, że większość sekwencji będzie nie rozpoznanych, gdyż jedynym organizmem z pełną mapą genetyczną była *E. coli*.

C — G*	G — C Niezidentyfikowane
G — C	G — C*
G — C Homo sapiens	T — A*
C — G	T — A*
A — TA-1 alele	T — A*
T — A znacznik	G — C*
C — G	C — G*
A — T A1	C — G*
A — T Polimorfizm	C — G*
A — T początek	G — C*
A — T*	T - A*
G — C*	G — C*
T — A*	T - A *
G — C*	T — A*
T — A —	T
A — T —	

T — A —

G — C —

C — G —

C — G A1 Poli koniec

Turow przejrzał wyniki i przeszedł z wydrukiem do swojego biurka. Kilka uderzeń w klawisze i mógł uzyskać dostęp do informacji z tysięcy baz danych. Jeśli Omega 9 nie posiadał żadnych informacji, automatycznie połączy się z Internetem i odnajdzie komputer, który będzie je miał.

Turow baczniej przyjrzał się wydrukowi i zmarszczył brwi.

Próbka musi być zwyrodniała, pomyślał. Za dużo niezidentyfikowanego DNA.

A — T Niezidentyfikowane

A — T Hemidactylus

A — T —

T — A turcicus

A — T —

C — G cd.

A — T —

T — A\*

A — T —

C — G\*

A — T —

T — A\*

T — A —

G — C\*

G — C —

G — C\*

G — C —

G — C\*

A — T\* Hemidactylus

G — C\*

T — A turcicus

G — C\*

C — G\*

G — C\*

G — C\*

G — C\*

G — C\*

G — C\*

T — A*	G — C*
C — G*	G — C*
A — T*	G — C*

Przestał kartkować strony. Natrafił na coś naprawdę dziwnego: program rozpoznał spory fragment DNA jako należący do zwierzęcia o nazwie *Hemidactylus turcicus*.

Co to takiego, u diabła? — pomyślał Turow.

Informację przesłała mu baza danych Terminologii Biologicznej:

Nazwa pospolita — gekon turecki

Co? — pomyślał Turow. Wstukał: rozszerz.

*Hemidactylus turcicus*: gekon turecki.

Pochodzenie: Afryka Północna

Obecnie występuje: Floryda, Brazylia, Azja Mniejsza, Afryka Północna.

Średniej wielkości jaszczurka z rodziny gekonów, Gekkonidae, nadrzewna, tryb życia: nocny, brak ruchomych powiek.

Turow przeglądał bazę danych, podczas gdy wciąż przychodziły kolejne informacje. To ewidentnie czysty nonsens. DNA człowieka i jaszczurki w jednej próbce? Cóż, nie po raz pierwszy zdarzało się coś takiego. Nie można winić za to komputera. Procedura była niedokładna, znamy wszak tylko drobne fragmenty układów DNA wszystkich żywych organizmów.

Zlustrował wydrukowaną listę. Mniej niż pięćdziesiąt procent zgodności z układem człowieka, bardzo niska proporcja, zakładając, że obiekt był istotą ludzką, lecz bez wątplenia próbka musiała być zwyrodniała. Poza tym zawsze istniało prawdopodobieństwo skażenia. Jedna lub dwie błędne komórki mogły zepsuć cały łańcuch. Turow był

coraz bardziej skłonny uwierzyć w tę właśnie wersję. Wydawała mu się najbardziej prawdopodobna. W sumie czego można się spodziewać po nowojorskiej policji? Nie potrafi nawet poradzić sobie z facetem, który jawnie handlował crackiem na rogu ulicy, opodal budynku, gdzie mieszkał Turow.

Kontynuował lustrowanie wydruku. Chwileczkę — pomyślał, jest tu jeszcze jedna długa sekwencja: *Tarentola mauritanica*. Wszedł do bazy danych, wpisał podaną nazwę. Na ekranie pojawił się napis:

*Tarentola mauritanica*: gekon murowy

Daj spokój, pomyślał Turow. To jakiś żart. Spojrzał na kalendarz. W sobotę wypadał pierwszy kwietnia.

Wybuchnął śmiechem. Dobry żart. Doprawdy, wyśmienity. Nie podejrzewał o to Buchholtza, a jednak ten typ, z pozoru ponurak, miał poczucie humoru. Podobnie jak on. Zaczął pisać raport.

Próbka LA 33 Wynik ekspertyzy: próbka zidentyfikowana ostatecznie jako pochodząca od *Homo Gekkopiens*, nazwa pospolita — Człowiek-Gekon...

Zakończywszy swój raport, natychmiast przesłał go na górę. Następnie, wciąż chichocząc pod nosem, poszedł na kawę. Był dumny ze swego dokonania. Zastanawiało go tylko, skąd Buchholtz wziął te jaszczurcze próbki. Prawdopodobnie kupił gekona w sklepie zoologicznym. Oczyma duszy widział Buchholtza pobierającego próbki komórek z jednego lub więcej gekonów, a potem mieszającego je w ultrablenderze z kilkoma kroplami własnej krwi. Zapewne myślał sobie — a teraz przekonajmy się, co z tego zdoła wysmażyć nasz nowy kolega, Turow. Turow, wracając z kawą, nieomal śmiał się w głos. Okazało się, że ma gościa. W

laboratorium czekał już na niego Buchholtz. I w przeciwieństwie do Turowa wcale się nie śmiał.

## *Rozdział osiemnasty*

Środa

Frock, siedząc w fotelu na kółkach, przetarł czoło chusteczką od Gucciego.

— Usiądź, proszę — rzekł do Margo. — Dziękuję, że tak szybko się zjawiałaś. To straszne. Po prostu straszne.

— Biedny strażnik — odrzekła. Nikt w muzeum nie mówił o niczym innym.

— Strażnik? — Frock uniósł wzrok. — O tak, to prawdziwa tragedia. Nie. Chodziło mi o to. — Uniósł w dłoni notatkę

— Cały spis nowych przepisów — wyjaśnił. — Bardzo kłopotliwy. Począwszy od dzisiaj, personel muzeum może przebywać w budynku od godziny dziesiątej do siedemnastej. Zabronione są prace po godzinach i w niedziele. Każdemu wydziałowi zostaną przydzieleni strażnicy. Każdego dnia trzeba się będzie wpisywać przy wejściu na wydział i przy jego opuszczaniu. Każdy z pracowników zobowiązany jest mieć przy sobie identyfikator. Bez plakietki nikt nie będzie mógł wejść ani też opuścić muzeum.

Czytał dalej.

— Popatrzmy... ach, tak. Należy w miarę możliwości pozostawać w wyznaczonym dla siebie miejscu pracy. Moim obowiązkiem jest poinformować cię, że nie powinnaś samotnie zapuszczać się do odleglejszych sektorów muzeum. Jeśli masz gdzieś pójść, idź tam z drugą osobą. Policja podda przesłuchaniom wszystkich, którzy pracowali w Starej Piwnicy. Ty jesteś zapisana na przyszły tydzień. Wiele sektorów muzeum zostanie zamkniętych nawet dla personelu. — Podsunął notatkę w jej stronę.



Margo ujrzała dołączony do ulotki plan gmachu z zaznaczonymi na czerwono obszarami zamkniętymi.

— Nie martw się — ciągnął Frock. — Zauważyłem, że twój gabinet znajduje się tuż poza granicą tej strefy.

Cudownie — pomyślała Margo. Mam biuro na pograniczu terytorium, gdzie rzekomo ukrywa się groźny morderca.

— To dość skomplikowane zalecenia, profesorze. Czemu po prostu nie zamkną całego gmachu?

— Nie wątpię, że próbowali, moja droga. Jestem pewien, że odradził im to Winston. Jeśli Przesady nie zostaną otwarte w planowanym terminie, muzeum napyta sobie biedy. — Frock wyciągnął rękę po okólnik. — Czy możemy uznać, że przedyskutowaliśmy już tę sprawę? Jest wiele innych rzeczy, o których chciałem z tobą pomówić.

Margo skinęła głową. Muzeum napyta sobie biedy. W jej mniemaniu już sobie napytało. Jej koleżanka z biura i połowa personelu od dzisiaj poszła na chorobowe. Ci, co pozostali, większość czasu spędzali przy automatach z kawą lub kserokopiarkach, wymieniając plotki i trzymając się w grupach. Jakby tego było mało, sale muzeum nieomal świeciły pustkami. Grup zwiedzających było tego dnia niewiele i zjawiały się w sporych odstępach czasowych. Obecnie muzeum przyciągało głównie amatorów posępnych osobliwości

— Zastanawiałem się, czy zdobyłaś już te rośliny do kolejnego rozdziału swojej dysertacji — ciągnął Frock. — Tego o Kiribitu. Uznałem, że przydatnym ćwiczeniem dla nas obojga mogłoby być, gdybyśmy przepuścili je przez ekstrapolator.

Zadzwonił telefon.

— Do licha — burknął Frock, podnosząc słuchawkę. — Tak? — zapytał oschle.

Zapadła długa cisza.

— Czy to konieczne? — zapytał Frock. Przerwał na chwilę — Skoro nalegasz — dorzucił, odkładając słuchawkę, i westchnął przeciągle. — Pan i władca życzy sobie, abym zszedł do podziemia. Bóg wie po co. To polecenie jakiegoś Pendergasta. Czy mogłabyś zawieźć mnie tam? Po drodze moglibyśmy porozmawiać

W windzie Margo podjęła przerwany temat.

— Udało mi się zdobyć z herbarium kilka okazów, choć nie tyle, ile sobie życzyłam. Jednego tylko nie rozumiem. Sugeruje pan, abyśmy przepuścili próbki przez ESG?

— Dokładnie — odparł Frock. — Naturalnie wszystko zależy od stanu roślin. Czy materiał nadaje się do tego typu badań?

ESG oznaczało Ekstrapolator Sekwencji Genetycznych, był to program opracowany przez Kawakitę i Frocka do analiz „odcisków” genetycznych.

— Rośliny są w większości nieźle zachowane — przyznała Margo. — Jednak nie pojmuję, czemu mielibyśmy przepuszczać je przez ekstrapolator.

Czy jestem zazdrosna o Kawakitę? — zastanawiała się. Czy dlatego tak się opieram?

— Moja droga Margo, to wręcz wzorcowa sytuacja! — wykrzyknął Frock, w podnieceniu zwracając się do niej po imieniu.

— Nie możesz odtworzyć ewolucji. Można jednak wykonać odpowiednią symulację na komputerze. Być może rośliny te są genetycznie ze sobą spokrewnione, według tych samych kryteriów,

których używali w swoich klasyfikacjach szamani Kiribitu. Czy to nie byłby interesujący dodatek do twojej dysertacji?

— Nie pomyślałam o tym — przyznała Margo.

— Obecnie testujemy cały program beta, a to idealna okazja, aby go sprawdzić. Właśnie takiego scenariusza poszukiwaliśmy — ciągnął Frock z ożywieniem. — Może udałoby ci się namówić do współpracy Kawakitę?

Margo skinęła głową. Osobiście uważała Kawakitę za człowieka, który nie lubił dzielić się z kimkolwiek sławą i wolał prowadzić wszelkie badania samodzielnie.

Drzwi windy rozsunęły się; w korytarzu za nimi trzymało straż dwóch policjantów uzbrojonych w śrutówki.

— Doktor Frock? — zapytał jeden z nich.

— Tak — odparł z irytacją Frock.

— Proszę z nami.

Margo pchająca wózek doktora pokonała kilka kolejnych rozwidleń korytarza, aż w końcu dotarła z nim do ostatniego punktu kontroli. Za zaporą z kozłów stało kolejnych dwóch gliniarzy i wysoki, chudy mężczyzna w smutnym, czarnym garniturze i z jasnymi, niemal białymi włosami zaczesanymi gładko do tyłu. Podczas gdy policjanci przesunęli drewniane kozły, mężczyzna postąpił naprzód.

— Pan doktor Frock, jak przypuszczam — rzekł, wyciągając dłoń. — Dziękuję, że zechciał pan zjechać tu, do nas. Jak już mówiłem, spodziewam się jeszcze jednego gościa i nie mogłem odwiedzić pańskiego biura. Gdybym wiedział, że jest pan... — ruchem głowy wskazał wózek — nigdy bym o to nie poprosił. Agent specjalny Pendergast.

Wyciągnął rękę na powitanie. Ciekawy akcent — uznała Margo. Z

Alabamy? Facet ani trochę nie wygląda jak stereotyp agenta FBI.

— Nic nie szkodzi — odparł Frock poruszony kurtuazją Pendergasta.  
— To moja asystentka, panna Green. — Dłoń Pendergasta wydała się Margo dziwnie chłodna.

— To zaszczyt móc spotkać tak wybitnego, jak pan, naukowca — ciągnął Pendergast. — Mam nadzieję, że czas pozwoli mi przeczytać pańską nową książkę

— Dziękuję. — Frock skinął głową.

— Czy to w niej włącza pan scenariusz Ruiny hazardzisty do swojej teorii ewolucji? Zawsze uważałem, że całkiem udanie wspiera on pańską hipotezę, zwłaszcza w połączeniu z tezą o wspólnych korzeniach gatunków.

Frock wyprostował się w swoim fotelu na kółkach.

— Cóż, zamierzałem umieścić pewne odniesienia do tej kwestii w mojej następnej książce.

Sprawiał wrażenie, jakby zabrakło mu słów. Pendergast skinął na policjantów, którzy postawili zaporę na poprzednie miejsce.

— Doktorze Frock, potrzebuję pańskiej pomocy — rzekł półgłosem.

— Oczywiście. — Frock niemal się uśmiechnął. Margo zdziwiła się, widząc, jak szybko Pendergast pozyskał zapewnienie Frocka o współpracy.

— Przede wszystkim muszę poprosić, aby wszystko, co zostanie tu powiedziane, przez pewien czas zachowane było w ścisłej tajemnicy — rzekł Pendergast. — Czy może mi pan to obiecać? I pani, panno Green?

— Oczywiście — odrzekł Frock. Margo skinęła głową.

Pendergast skinął na jednego z funkcjonariuszy, który przyniósł dużą

plastykową torbę z napisem „Materiał dowodowy”. Wyjął z niej mały, ciemny przedmiot i podał Frockowi.

— To, co trzyma pan w dłoni — powiedział — to lateksowy odlew pazura znalezionej w ciele jednego z dzieci zamordowanych w ostatni weekend.

Margo wychyliła się naprzód, aby móc mu się przyjrzeć. Miał około całej długości, może trochę mniej, był zakrzywiony i postrzępiony.

— Pazur? — spytał Frock, podnosząc przedmiot do oczu i przyglądając mu się z uwagą. — Bardzo niezwykle. Niemniej wydaje mi się, że to jakieś oszustwo.

Pendergast uśmiechnął się.

— Nie zdołaliśmy zidentyfikować jego pochodzenia, doktorze. Tak czy owak jestem pewien, że to nie żadne fałszerstwo. W kanale korzeniowym pazura odkryliśmy fragmenty materii, która jest obecnie poddawana badaniom DNA. Wyniki są wciąż niejasne, ale badania trwają.

Frock uniósł brwi.

— To ciekawe.

— A teraz to — rzekł Pendergast, sięgając do torby i wyjmując o wiele większy przedmiot. — Ma pan przed sobą rekonstrukcję narzędzia, które rozszarpało to samo dziecko. — Podał przedmiot Frockowi.

Margo z niesmakiem spojrzała na odlew. Z jednej strony lateks był cętkowany i nierówny, z drugiej dostrzec można było wyraźnie precyzyjnie odlane szczegóły. Przedmiot kończył się trzema długimi, haczykowatymi pazurami, środkowy był najgrubszy i najdłuższy, po bokach umieszczone były dwa mniejsze.

— Wielkie nieba! — zawołał Frock. — Wygląda mi to na zaura.

— Zaura? — spytał niepewnie Pendergast.

— Na dinozaura — wyjaśnił Frock. — Typowa przednia kończyna ornitynowca, z jedną wszakże różnicą. Proszę spojrzeć tutaj. Paluch środkowy jest niepomiarowo zgrubiały, podczas gdy same szpony wydają się w porównaniu z nim przymałe.

Pendergast uniósł brwi w wyrazie łagodnego zdziwienia.

— Muszę przyznać, że stawialiśmy raczej na wielkie koty lub jakiegoś innego drapieżnego ssaka.

— Niemniej jednak wie pan na pewno, panie Pendergast, że wszystkie drapieżniki należące do ssaków mają po pięć palców.

— Oczywiście, doktorze — odparł Pendergast. — Jeżeli pan pozwoli, chętnie podzielę się z panem naszymi obecnymi przypuszczeniami.

— Naturalnie — zgodził się Frock.

— Mamy taką teorię, że zabójca używa tego — uniósł w górę odlew łapy — jako broni, którą morduje swoje ofiary. Sądzymy, że może to być kopia jakiegoś artefaktu, czegoś, co prymitywne plemiona wykonały, dajmy na to, z przedniej łapy lwa lub jaguara. DNA wydaje się zwyrodniałe. Może to jakiś stary artefakt, zdobyty dawno temu przez muzeum, a następnie skradziony.

Frock spuścił głowę, opierając podbródek na piersi. Cisza przedłużała się, przerywana jedynie szuraniem stóp policjantów przy barierze.

Wreszcie Frock odezwał się:

— A strażnik, który został zabity? Czy w jego ranach odkryto ślad mogący wskazywać na brak lub uszczerbek któregoś z pazurów?

— Dobre pytanie — rzekł Pendergast. — Niech pan sam zobaczy.

Wsunął dłoń do torby i wyjął ciężki lateksowy odlew, długi prostokąt z

trzema postrzępionymi żłobieniami pośrodku.

— To odlew jednej z ran brzucha zabitego strażnika — wyjaśnił Pendergast. Margo wzdrygnęła się. Przedmiot wyglądał odrażająco.

Frock z przejęciem wlepił wzrok w głębokie bruzdy.

— Penetracja musiała być bardzo głęboka. Rany jednak nie noszą śladów złamanego szponu. Tak więc sugeruje to, iż morderca musi używać dwóch takich artefaktów.

Pendergast nieco spochmurniał, ale pokiwał głową. Frock znów opuścił głowę na piersi. Cisza trwała dobre kilka minut.

— Jeszcze jedno — rzekł nagle donośnym tonem. — Zauważył pan, że ślady pazurów nieznacznie się schodzą? Dostrzegł pan, że u góry odległość pomiędzy nimi jest większa niż u dołu?

— Tak. Więc? — rzekł Pendergast.

— Jak dłoń zaciskająca się w pięść. To wskazywałoby na sporą elastyczność narzędzia.

— Zgadza się — mruknął Pendergast. — Ludzkie ciało jest raczej miękkie i łatwo ulega zniekształceniom. Nie sposób wiele wyczytać z tych odlewów — przerwał — Doktorze Frock, czy z muzealnej kolekcji zniknął jakiś artefakt zdolny do zadania takich ran?

— Nie posiadamy w naszych zbiorach niczego podobnego — odparł Frock z lekkim uśmiechem. — Widzi pan, to nie pochodzi od żadnego żywego stworzenia, które miałem okazję badać. Czy zwrócił pan uwagę na stożkowaty kształt tego pazura i długość w pełni zakrytego korzenia? Takie cechy można dostrzec u zwierząt należących do dwóch gatunków — ptaków oraz dinozaurów. To jeden z powodów, dla którego część biologów uważa, że ptaki wywodzą się od dinozaurów. Gdyby nie to, że ten szpon

jest tak duży, powiedziałbym, że należy do jakiegoś ptaka. Wobec tego musi pochodzić od dinozaura.

Położył sobie lateksowy odlew szponu na podołku i ponownie uniósł wzrok

— Nie ulega wątpliwości, że sprytna osoba, znająca morfologię dinozaurów, mogłaby wykonać takie szpony i wykorzystać je jako narzędzie zbrodni Zakładam, że zbadał pan oryginalny fragment, by sprawdzić, czy składa się z prawdziwych substancji biologicznych, takich jak keratyna, a nie jest to odlew lub rzeźba wykonana z materii nieorganicznej.

— Tak, doktorze Ta rzecz jest prawdziwa.

— I jest pan pewien, że DNA było prawdziwe, że nie była to jedynie krew lub strzęp tkanek ofiary?

— Tak — odparł Pendergast — Jak już mówiłem, materiał pochodził z kanału korzeniowego, nie pobrano go spod pazura

— Co, u licha, wykazała analiza DNA?

— Nie otrzymałem jeszcze ostatecznych wyników. Frock uniósł do góry prawą dłoń.

— Jasne Proszę mi jednak powiedzieć, czemu nie mielibyśmy wykorzystać naszego własnego laboratorium badań DNA tutaj, w muzeum? Mamy tu placówkę mogącą konkurować z najlepszymi laboratoriami tego typu w całym kraju.

— Nie wątpię, doktorze. Niemniej musi pan zrozumieć, że zabraniają tego nasze procedury. Czy możemy oczekiwać wiarygodnych wyników, skoro badania zostaną przeprowadzone na miejscu zbrodni? Mając świadomość, że być może sprzęt testowy obsługuje morderca? —



Pendergast uśmiechnął się — Proszę wybaczyć moją natarczywość, doktorze, ale niech pan weźmie pod uwagę możliwość, że ta broń została zbudowana z eksponatów należących do tutejszych zbiorów antropologicznych i spróbuje wyobrazić sobie, który z potencjalnych artefaktów mogłaby przypominać?

— Skoro pan nalega — odparł Frock.

— Dziękuję. Możemy jeszcze przedyskutować tę sprawę za dzień lub dwa. Póki co, czy byłoby możliwe uzyskanie wydruku wszystkich eksponatów należących do zbiorów antropologicznych?

Frock uśmiechnął się.

— Sześć milionów pozycji? Może pan skorzystać z katalogu w komputerze. Może pan posłużyć się moim terminalem.

— Może później — odparł Pendergast, chowając lateksowy, prostokątny odlew do plastikowej torby. — Niemniej dziękuję za życzliwość, rozważę tę propozycję. Nasz punkt dowodzenia znajduje się obecnie w nie używanej galerii za reprografikami.

Z tyłu za nimi rozległy się czyjeś kroki. Margo odwróciła się, by ujrzeć wysoką postać doktora Iana Cuthberta, zastępcy dyrektora muzeum, któremu od windy towarzyszyło dwóch funkcjonariuszy policji.

— Przepraszam, chciałbym się dowiedzieć, jak długo to jeszcze potrwa? — poskarżył się Cuthbert. Zatrzymał się przy barierze. — A, Frock, ciebie też dopadli. Cała ta sytuacja staje się coraz bardziej nieznośna.

Frock niemal niedostrzegalnie pokiwał głową.

— Przepraszam, doktorze Frock — odezwał się Pendergast. — To właśnie dżentelmen, na którego czekałem, kiedy rozmawialiśmy po raz

pierwszy. Może pan zostać, jeśli tylko pan zechce.

Frock znów skinął głową.

— Doktorze Cuthbert — rzucił Pendergast, odwracając się do Szkota.

— Poprosiłem tu pana, ponieważ pragnę uzyskać garść szczegółowych informacji na temat obszaru rozciągającego się tam, dalej.

Wskazał na wielkie wejście.

— Strefy Chronionej? Ale o co właściwie chodzi? Przecież jest wiele innych osób, które mogłyby... — zaczął Cuthbert.

— Tak czy siak, chciałem zadać te pytania właśnie panu. — Pendergast przerwał, uprzejmie acz zdecydowanie. — Wejdziemy tam?

— Jeśli nie potrwa to zbyt długo — odparł Cuthbert. — Mam wiele zajęć. Przygotowania do wystawy, i w ogóle.

— W rzeczy samej — mruknął sardonicznie Frock. — Wystawa.

Skinął na Margo, aby popchała jego wózek.

— Doktorze Frock? — rzekł łagodnie Pendergast.

— Tak?

— Zechciałby pan oddać mi ten odlew?

Pokryte miedzianą blachą drzwi do Strefy Chronionej zostały zdjęte i w ich miejsce zamontowano nowe, ze stali. Po drugiej stronie korytarza widniały mniejsze drzwi z napisem „Gruboskórne (Pachydermae)”. Margo zastanawiała się, jak personel mógł wnieść do środka wielkie kości słoni.

Odwracając się, wtoczyła Frocka przez wąskie przejście do Strefy Chronionej. W niedużych skarbcach po obu stronach przechowywane były najcenniejsze artefakty: szafiry i diamenty, kość słoniowa i rogi nosorożca, ułożone w sterty jak drewno opałowe, kości i skóry zwierząt należących do wymarłych gatunków; zu-nijskie bożki wojenne. Dwaj mężczyźni w

ciemnych garniturach stali przy drugim końcu pomieszczenia, rozmawiając półgłosem. Gdy wszedł Pendergast, obaj wyprostowali się.

Pendergast przystanął przy jednym z otwartych skarbców; wyglądał całkiem zwyczajnie, czarna obrotowa gałka szyfrowa, mosiężna dźwignia i ozdobny front. Wewnątrz goła żarówka rzucała silny blask na metalowe ściany. Skarbiec był pusty, jeśli nie liczyć kilku skrzyń, dość dużych, z wyjątkiem jednej. Wieko tej mniejszej było zdjęte, a jedna z większych skrzyń zdawała się mocno uszkodzona, przez otwory widać było materiał wyściełający.

Pendergast zaczekał, aż wszyscy znajdą się w skarbcu.

— Pozwolicie państwo, że udzielę kilku niezbędnych wyjaśnień — oznajmił. — Zabójstwo strażnika miało miejsce niedaleko stąd. Wydaje się, że morderca oddalił się od miejsca zbrodni tym samym korytarzem, którym tu przyszliśmy. Próbował też sforsować drzwi prowadzące do Strefy Chronionej. Być może robił to już wcześniej. Jak wiemy, bez powodzenia. — Początkowo nie mieliśmy pewności, czego szukał zabójca. O co mu chodziło. Bądź co bądź jest tu wiele cennych precjozów. — Pendergast skinął na jednego z policjantów, który podszedł i podał mu kartkę papieru. — Zaczęliśmy zatem wypytywać i okazało się, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy ze Strefy Chronionej niczego nie wywożono ani też niczego nie dostarczono. Z wyjątkiem tych skrzynek. Ukryto je w skarbcu w ubiegłym tygodniu. Na pańskie polecenie, doktorze Cuthbert.

— Panie Pendergast, jeśli można, chciałbym wyjaśnić... — zaczął Cuthbert.

— Chwileczkę, bardzo proszę — uciał Pendergast. — Podczas kontroli tych skrzyń odkryliśmy coś bardzo ciekawego. — Wskazał na uszkodzoną

pakę.

— Proszę zwrócić uwagę na listwy, z których je zbito. Widać na nich wyraźne, liczne ślady pazurów. Są dość głębokie. Nasi specjaliści stwierdzili, że ślady na ciałach ofiar były dziełem tego samego przedmiotu lub narzędzia.

Pendergast przeszył Cuthberta wzrokiem.

— Nie miałem pojęcia... — wykrztusił. — Nic nie zginęło. Sądziłem, że... — Urwał nagle.

— Doktorze, zastanawiam się, czy mógłby pan oświecić nas i wyjaśnić, jaka jest historia tych skrzyń?

— To nietrudne — odparł Cuthbert. — Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Skrzynie te pochodzą z pewnej starej ekspedycji.

— To akurat wiem — mruknął Pendergast. — Co to za ekspedycja?

— Ekspedycja Whittleseya — odrzekł Cuthbert. Pendergast czekał. W końcu Cuthbert westchnął.

— To wyprawa do Ameryki Południowej, która miała miejsce przed ponad pięcioma laty. Ona... no cóż, nie całkiem się powiodła.

— To była katastrofa — wtrącił drwiąco Frock. Nie zwracając uwagi na gniewne spojrzenia Cuthberta, mówił dalej. — Wywołała podówczas w muzeum niemały skandal. Wyprawa rozpadła się wkrótce po jej rozpoczęciu z uwagi na niesnaski w zespole. Kilku jej członków zginęło z rąk wrogich tubylców, reszta poniosła śmierć w katastrofie samolotu w drodze powrotnej do Nowego Jorku. Co nieuniknione, wywołało to lawinę plotek o klątwie, i takie tam...

— To przesada — uciał Cuthbert. — Nie było żadnego skandalu.

— A skrzynie? — spytał łagodnie.

— Odesłano je oddzielnie — wyjaśnił Cuthbert. — Ale to wszystko jest bez znaczenia. W jednej ze skrzyń znajdował się osobliwy eksponat, figurka wykonana przez wymarłe południowoamerykańskie plemię. Ma ona być jedną z atrakcji wystawy Przesady.

Pendergast skinął głową.

— Proszę dalej.

— W zeszłym tygodniu, kiedy przyszedliśmy po tę figurkę, odkryłem, że ktoś włamał się do jednej ze skrzyń. — Wskazał na nią palcem. — Właśnie z tego powodu poleciłem przenieść skrzynie tymczasowo do Strefy Chronionej.

— Co zabrano?

— To właśnie może wydawać się dziwne — odparł Cuthbert — ale z uszkodzonej skrzyni nie zniknął żaden z artefaktów. Sama figurka jest warta fortunę. To unikat, dzieło jedyne w swoim rodzaju. Plemię Kothoga, które je wykonało, zniknęło przed wieloma laty.

— Chce pan powiedzieć, że nic nie zginęło? — zapytał Pendergast.

— To znaczy nic ważnego. Najwyraźniej zniknęły tylko strąki nasienne czy coś w tym rodzaju. Nie znam tych roślin. Maxwell, naukowiec, który je pakował, zginął w katastrofie lotniczej niedaleko Wenezueli.

— Strąki nasienne? — spytał Pendergast.

— Naprawdę nie potrafię powiedzieć, czym one były. Nie zachowała się żadna dokumentacja, z wyjątkiem materiału antropologicznego.

Mieliśmy co prawda dziennik Whittleseya, ale to w zasadzie wszystko.

Gdy przywieziono te skrzynie, podjęliśmy drobne prace rekonstrukcyjne, ale potem... — Przerwał.

— Proszę mi opowiedzieć bardziej szczegółowo o tej ekspedycji —

rzekł Pendergast.

— Właściwie nie ma za bardzo o czym mówić. Jej zadaniem było poszukiwanie śladów plemienia Kothoga, a także badanie i pobranie próbek roślinności z odleglejszych zakątków lasów równikowych. O ile mi wiadomo, wstępne badania wykazały, że dziewięćdziesiąt pięć procent tamtejszej flory jest nieznana nauce. Szefem wyprawy był antropolog, Whitdesey. Był on także, o ile mi wiadomo, paleontologiem, badaczem ssaków, antropofizykiem i entomologiem, towarzyszyło mu kilku asystentów. Whittlesey i jeden z asystentów, Crocker, zniknęli, prawdopodobnie ponieśli śmierć z rąk tubylców. Pozostali zginęli w katastrofie samolotu. Jedyna dokumentacja dotycząca tej figurki znajduje się w dzienniku Whittleseya. Reszta materiałów stanowi dla nas kompletną zagadkę, zero danych o miejscu ich pozyskania, nic.

— Dlaczego te materiały przeleżały w skrzyniach tak długo? Czemu ich nie wypakowano, nie skatalogowano i nie dołączono do zbiorów?

Cuthbert poruszył się nerwowo.

— Cóż... — zaczął niepewnie — proszę zapytać Frocka. On jest szefem wydziału.

— Posiadamy ogromne zbiory — odparł Frock. — Mamy kości dinozaurów z lat trzydziestych ubiegłego stulecia, które wciąż są przechowywane w skrzyniach, i odkąd tu trafiły, nikt nie pokwapił się, by je wypakować. Opieka nad takimi rzeczami wymaga mnóstwa pieniędzy i czasu.

Westchnął.

— W tym przypadku wszelako w grę nie wchodziło byle przeoczenie. O ile sobie przypominam, wydziałowi antropologii zabroniono otwierania

skrzyń aż do powrotu do Stanów członków ekspedycji.

Spojrzał wymownie na Cuthberta.

— To było wiele lat temu! — odparował Cuthbert.

— Skąd wiadomo, że w nie otwieranych skrzyniach nie ma żadnych rzadkich artefaktów? — spytał Pendergast.

— W dzienniku Whittleseya było wyraźnie napisane, że figurka w małej skrzyni to jedyny naprawdę cenny eksponat.

— Czy mógłbym zobaczyć ten dziennik? Cuthbert pokręcił głową.

— Zaginął.

— Czy skrzynie przeniesiono na pańskie osobiste polecenie?

— Zasugerowałem to doktorowi Wrightowi, gdy tylko dowiedziałem się, że próbowano się do nich włamać — wyjaśnił Cuthbert. —

Zachowaliśmy całą zawartość w oryginalnych skrzyniach i pozostaną w nich do czasu, gdy będziemy mogli zająć się nimi jak należy. To jedna z zasad muzeum.

— Zatem skrzynie przeniesiono pod koniec ubiegłego tygodnia — mruknął jakby do siebie Pendergast. — Tuż przed zabójstwem tych dwóch chłopców. O co mogło chodzić zabójcy? Czego szukał? — Przeniósł wzrok na Cuthberta. — Jak pan mówił, co zabrano ze skrzyń? Strąki nasienne?

Cuthbert wzruszył ramionami

— Tak jak powiedziałem, nie mam pewności, czym one były naprawdę. Wyglądały, przynajmniej jak dla mnie, jak strąki nasienne, aleja nie jestem botanikiem.

— Czy mógłby je pan opisać?

— Minęło kilka lat. Nie bardzo pamiętam. Duże, okrągłe, ciężkie. Z

wierzchu pomarszczone. Jasnobrazowego koloru. Zaglądałem do wnętrza tej skrzyni tylko dwukrotnie, raz gdy je nam przysłano i ponownie w zeszłym tygodniu, gdy szukaliśmy Mbwuna. To znaczy tej figurki.

— Gdzie znajduje się ona teraz? — spytał Pendergast.

— Jest przygotowywana do wystawy. Powinna już znaleźć się w gablocie, dziś zamykamy listę eksponatów do prezentacji.

— Czy wyjmował pan ze skrzyń coś jeszcze?

— Nie. Figurka to prawdziwy unikat. Postanowiliśmy, że ze zdobyczy tej ekspedycji tylko ona zostanie zaprezentowana na wystawie.

— Chciałbym ją zobaczyć — powiedział Pendergast. Cuthbert przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

— Zobacz pan na wystawie. Szczerze mówiąc, nie wiem, do czego pan zmierza. Po co marnować czas na uszkodzoną skrzynię, skoro po muzeum wałęsa się seryjny zabójca, którego jednak mimo, jak wy to mówicie, szeroko zakrojonych działań operacyjnych, jakoś nie możecie odnaleźć.

Frock chrząknął

— Margo, podprowadź mnie jeszcze bliżej, bardzo proszę — powiedział.

Margo podtoczyła go z wózkiem aż do skrzyń. Mężczyzna stęknął i nachylił się, by obejrzeć połamane deski. Wszyscy patrzyli na niego

— Dziękuję — rzekł, prostując się. Po czym kolejno powiódł wzrokiem po ich twarzach.

— Proszę zauważyć, że deski są poorane zarówno z zewnątrz, jak i od środka — odezwał się w końcu — Panie Pendergast, czy nie można by na tej podstawie wysnuć jakichś przypuszczeń? — zapytał.



— Ja nigdy nie wysnuwam przypuszczeń — odparł Pendergast, uśmiechając się.

— Ależ tak — upierał się Frock. — Wszyscy, jak tu stoicie, snujecie pewne przypuszczenia, że ktoś lub coś włamało się do wnętrza tej skrzyni.

W skarbcu nagle zapanowała grobowa cisza. Margo czuła w powietrzu zapach kurzu i słabą woń wełny drzewnej

Wtem Cuthbert wybuchnął ochryplym śmiechem; dźwięk ten rozbrzmiał nieprzyjemnym echem w całym pomieszczeniu.

Gdy znów zbliżali się do biura Frocka, kustosz wydawał się dziwnie ożywiony i podekscytowany.

— Widziałaś ten odlew? — zwrócił się do Margo — Ptasie cechy i morfologia dinozaurów. To może być prawdziwy przełom! — Nie potrafił się opanować.

— Ale, profesorze, pan Pendergast wierzy, że to narzędzie zostało wykonane przy użyciu jakiegoś starego artefaktu i zabójca z nieznanym nam powodów używa go jako broni — wtrąciła szybko Margo. Nagle zorientowała się, że ona również chciała w to uwierzyć.

— Bzdury! — parsknął Frock. — Czy, patrząc na ten odlew, nie odczułaś czegoś dziwnego, jakby zdumiewająco znajomego i równocześnie niewypowiedzianego obcego? Moja droga, przyszło nam zetknąć się z aberracją ewolucyjną, żywym potwierdzeniem mojej teorii. — Znalazłszy się w swoim gabinecie, Frock natychmiast wyjął z kieszeni marynarki notes i zaczął pisać

— Ale, profesorze, jak takie stworzenie mogłoby.. ? — Margo zamilkła, gdy poczuła na swojej dłoni dotyk ręki Frocka. Jego uścisk był niewiarygodnie silny

— Moja droga — powiedział — jak to zmyślnie ujął Hamlet, są na ziemi i w niebie rzeczy i tak dalej. Nie zawsze wiemy lub potrafimy stwierdzić, dlaczego tak się dzieje. Niekiedy musimy po prostu obserwować. Tylko, i nic więcej. — Mówił cicho, ale i tak głos drżał mu z podniecenia. — Nie możemy przegapić takiej okazji, rozumiesz? Niech diabli wezmą to moje stalowe więzienie! Ty, Margo, musisz być moimi oczami i uszami. Musisz być wszędzie, gdzie się da, szukać na górze i na dole, musisz stać się przedłużeniem moich palców. Nie wolno nam zmarnować takiej szansy. Zgadzasz się, Margo?

Ścisnął jej dłoń jeszcze mocniej.

## *Rozdział dziewiętnasty*

Stara towarowa winda w sektorze 28 muzeum zawsze cuchnęła, jakby coś w niej zdechło, pomyślał Smithback. Próbował oddychać ustami.

Winda była olbrzymia, wielkości pracowni na Manhattanie, operator ozdobił ją biurkiem, krzesłem i obrazkami wyciętymi z jednego z tutejszych czasopism. Zdjęcia były monotematyczne. Przedstawiały żyrafy

dotykające się szyjami, kopulujące owady, pawiana pokazującego zadek i tubylcze kobiety z obwisłymi piersiami.

— Podoba się panu moja galeria sztuki? — spytał windziarz, uśmiechając się znacząco. Miał ponad sześćdziesiąt lat i rudawy tupecik.

— Miło wiedzieć, że ktoś tak bardzo interesuje się historią naturalną — odparł sarkastycznie Smithback.

Gdy wysiadał, woń gnijącego mięsa uderzyła weń ze zdwojoną siłą, zdawała się wypełniać powietrze jak angielska mgła.

— Jak pan to znosi? — zwrócił się do windziarza.

— Niby co? — odparł tamten, zanim drzwi windy zamknęły się z sykiem.

Z głębi korytarza dobiegł czyjś radosny głos.

— Witam! — zawołał starszy mężczyzna, przekrzykując jęk wentylatorów, i mocno uściśnął dłoń Smithbacka. — Dziś niestety serwujemy wyłącznie zebreg. Ominął pana nosorożec. Mimo to proszę wejść, zapraszam! — Smithback wyraźnie słyszał silny, twardy, austriacki akcent tamtego.

Jost Von Oster prowadził preparatornię osteologiczną, gdzie truchła zwierząt zredukowane były do stadium szkieletów. Miał ponad osiemdziesiąt lat, ale był tak rześki, radosny, pulchny i rumiany, że większość ludzi dawała mu znacznie mniej.

Von Oster podjął pracę w muzeum pod koniec lat dwudziestych, przygotowując szkielety na wystawę. Jego koronnym osiągnięciem była w owym czasie seria szkieletów koni, stojących, idących stępa i uchwyconych w galopie. Powiadano, że owe szkielety zrewolucjonizowały sposób prezentacji zwierząt. Von Oster zaczął już

wtedy pracować nad odtworzeniem grup zwierzęcych ukazanych w ich środowisku naturalnym, które to prezentacje były w latach czterdziestych nader popularne, dopracowując pieczołowicie każdy szczegół, choćby strużkę śliny ściekającej z pyska zwierzęcia, aby wyglądały one jak żywe.

Niestety epoka takich wystaw minęła bezpowrotnie i koniec końców Von Oster został relegowany do Sali Owadziej.

Wzbraniając się najlepiej, jak potrafił przed przejściem na emeryturę, z radością przejął zwierzchnictwo laboratorium osteologicznego, gdzie zwierzęta, pozyskiwane teraz głównie z ogrodów zoologicznych, zmieniały się w czyste, białe szkielety, używane potem do badań lub prezentacji na wystawach. Mimo upływu lat starsuszek nie utracił swych niezwykłych zdolności i poproszono go do współpracy nad Przesądami, do których przygotować miał jedną z ekspozycji, przedstawiającą grupę szamanów. Smithback chciał, aby historia jej powstania stanowiła odrębny rozdział jego książki.

Zaproszony przez Von Oстера, Smithback wszedł do preparatorni. Nigdy dotąd nie widział tego sławnego pomieszczenia.

— Cieszę się, że mogę gościć pana w moim warsztacie! — rzekł Von Oster. — Od czasu tych okropnych zabójstw mało kto tu przychodzi. Bardzo się cieszę, naprawdę.

Warsztat na pierwszy rzut oka bardziej przypominał osobliwą przemysłową kuchnię niż cokolwiek innego. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęły się głębokie zbiorniki z nierdzewnej stali. Pod sufitem, powyżej zbiorników zwieszały się masywne bloki, łańcuchy i haki do obsługi większych ciał. Pośrodku posadzki biegł kanał odpływowy, w kratce którego utkwiała nieduża, złamana kość. W przeciwległym kącie stał

stalowy wózek na kółkach. Leżało na nim jakieś duże zwierzę. Gdyby nie sporej wielkości kartka przyklepiona do jednej z nóg wózka, Smithback nie domyśliłby się, że ma przed sobą okaz krowy morskiej z Morza Sargassowego, obecnie w stanie daleko posuniętego rozkładu. Wokół ciała wałały się szczypce, dłuta i nieduże nożyki.

— Dziękuję, że znalazł pan chwilę, by się ze mną spotkać —  
wykrztusił Smithback.

— Nie ma za co — wybuchnął Von Oster. — Bardzo chciałbym, aby mogły tu docierać wycieczki, ale, jak pan wie, cały ten obszar został zamknięty dla turystów. To wielka szkoda. Powinien pan znaleźć się tu, gdy robiłem nosorożca. To dopiero było coś!

Przeszedł szybkim krokiem przez pokój i pokazał Smithbackowi zbiornik maceracyjny z truchłem zebry. Pomimo okapu odprowadzającego opary wciąż czuć było drażniący odór. Von Oster uniósł wieko i cofnął się, robiąc zamaszysty gest ręką niczym dumny kucharz.

— Co pan o tym sądzi?

Smithback spojrzał na zawieszistą, brązową breję wypełniającą zbiornik. W głębi widać było macerujące się truchło zebry, jej ciało i tkanki miękkie powoli się roztopiały.

— Powiedziałbym, że jest dość dojrzałe — odparł cichym głosem Smithback.

— Dojrzałe, co też pan mówi? Jest wręcz idealne! Tu pod spodem jest palnik. Utrzymuje on stałą temperaturę wody, równo 95°. Widzi pan, najpierw pozbawiamy truchło trzewi i wrzucamy je do tego tu zbiornika. Tam gnije, a po dwóch tygodniach pojemnik opróżniany jest do ścieku. W naczyniu zostaje już tylko sterta tłustych kości. Napelniamy ponownie

zbiornik, dodajemy odrobinę ałunu i gotujemy kości. Ale niezbyt długo, żeby nie stały się zbyt miękkie.

Von Oster ponownie przerwał, aby zaczerpnąć tchu.

— Wie pan, to tak jak z kurczakiem, gdy zbyt długo trzymać go na gazie. Tfu. Robi się obrzydliwy. Jako że kości są nadal tłuste, myjemy je benzenem. Wówczas stają się śnieżnobiałe.

— Panie Von Oster — zaczął Smithback. Jeśli natychmiast nie zmieni tematu tej rozmowy, nadając jej inny bieg, nigdy stąd nie wyjdzie. A nie mógł już znieść tego smrodu. — Zastanawiałem się, czy mógłby pan opowiedzieć mi co nieco o tej gromadzie szamanów, nad którą pan pracował. Piszę książkę o Przesadach. Pamięta pan naszą rozmowę?

— Ja, ja! Naturalnie! — Podszedł do biurka i wyjął z niego jakieś szkice. Smithback włączył dyktafon.

— Po pierwsze, tło maluje się na podwójnie załamanej powierzchni. To wywołuje wrażenie głębi, rozumie pan.

Von Oster zaczął opisywać cały proces, jego głos drżał z podniecenia. To będzie świetne — pomyślał Smithback. Ten facet to marzenie każdego pisarza.

Von Oster mówił długo, żywo gestykulując, wykonując zamaszyste ruchy rękami, a pomiędzy każdą kolejną, mocno akcentowaną kwestią robił głęboki wdech. Gdy skończył, uśmiechnął się promiennie do Smithbacka.

— Czy chciałby pan teraz zobaczyć owady? — zapytał. Smithback nie potrafił się oprzeć. Owady cieszyły się sporą sławą. Proces, któremu je poddawano, został wymyślony przez samego Von Oстера, lecz obecnie stosowano go we wszystkich większych muzeach historii naturalnej w

całym kraju: owady pozbawiano tkanek, pozostawiając idealny, czysty szkielet.

W „bezpiecznym” pokoju, gdzie przechowywano żuki, było gorąco i parno, samo pomieszczenie zaś było niewiele większe od przeciętnej szafy. Żuki, zwane dermestydami, pochodziły z Afryki i magazynowano je w białych, ceramicznych pojemnikach o gładkich ścianach i z nakrętkami zaopatrzonymi w otwory, co gwarantowało stały dostęp powietrza. Żuki powoli pełzały po stertach martwych, obranych ze skór zwierząt.

— Co to takiego? — spytał Smithback, wskazując pokryte robakami ciała w pojemnikach.

— Nietoperze! — odrzekł Von Oster. — Dla doktora Huysmansa. Oczyszczenie tych gacków zajmie z dziesięć dni.

Odór i robaki sprawiły, że Smithback nie wytrzymał. Miał już dość. Wstał i wyciągnął dłoń do starego naukowca.

— Muszę już iść. Dziękuję za wywiad. Te owady są naprawdę świetne.

— Proszę bardzo — odparł Von Oster. — Ale, ale. Chwileczkę.

Wywiad, powiada pan. Dla kogo pisze pan tę książkę? — Dopiero teraz uświadomił sobie, że właśnie udzielił wywiadu.

— Dla muzeum — powiedział Smithback. — Wszystkim kieruje Rickman.

— Rickman? — Oczy Von Oстера zwięziły się nagle w szparki.

— Tak. A o co chodzi? — spytał Smithback.

— Pracuje pan dla Rickman? — rzucił von Oster.

— Niezupełnie. Ona przede wszystkim cenzuruje mój tekst, do wszystkiego się wtrąca.

Von Oster uśmiechnął się.

— To prawdziwa zaraza, ta Rickman. Czemu pan dla niej pracuje?

— Tak się jakoś złożyło — odparł Smithback, ciesząc się, że znalazł w staruszku bratnią duszę. — Nie uwierzyłby pan, ile krwi mi napsuła. Boże, ależ to zołza! Von Oster zaklaskał w dłonie.

— Wierzę panu, och, wierzę Wszystkim wchodzi w paradę. Są przez nią same kłopoty. Z tą nową wystawą również.

Smithback momentalnie się ożywił.

— Jak to? — zapytał.

— Przyłazi tu dzień w dzień, mówi das ist nicht gut, to niedobre, tamto niedobre. Co za babsztyl, mein Gott!

— To do niej podobne — mruknął Smithback, uśmiechając się szeroko. — Ale co właściwie jej się nie spodobało?

— Ta ekspozycja dotycząca plemienia Kothoga. Zajrzałem tam wczoraj po południu, akurat kiedy i ona tam była. Kazała alles raus, wynieść się z miejsca ekspozycji i przynieść ein zwei, raz dwa tę verdamt, figurkę.

— Figurkę? Jaką figurkę? Co jest w niej takiego szczególnego? — Smithback uświadomił sobie nagle, że to, co tak bardzo ubodło Rickman, mogło przydać mu się któregoś dnia.

— Figurkę Mbwuna, gwóźdź programu, clou ekspozycji. Niewiele o niej wiem. Ale ona była sehr zdenerwowana, słowo daję!

— Dlaczego?

— Już mówiłem, przez tę figurkę. Nie słyszał pan? Sporo się o niej mówi, wiele złego. Staram się nie słuchać.

— A co na przykład się mówi?

Smithback przez dłuższą chwilę słuchał monologu staruszka. Wreszcie



wyszedł z warsztatu. Von Oster odprowadził go aż do windy.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, mężczyzna wciąż jeszcze mówił.

— Ma pan pecha, że dla niej pracuje! — zawołał za Smithbackiem, zanim winda ruszyła w górę. Smithback już go jednak nie słyszał. Zbyt było zamyślony.

## Rozdział dwudziesty

Późnym popołudniem zmęczona Margo oderwała wzrok od komputera. Przeciągnęła się, przesłała polecenie do drukarki w holu i usiadła wygodnie, przecierając oczy dłońmi. Skończyła pracę dla Moriarty'ego. Może nie była ona zbyt wygładzona i trochę zbyt ogólnikowa jak na jej gust, ale nie mogła poświęcić jej już więcej czasu. W głębi serca była raczej zadowolona i chciała jak najszybciej zanieść wydruk do biura Moriarty'ego na trzecim piętrze obserwatorium Butterfielda, gdzie znajdowała się baza zespołu Przesądów.

Spojrzała na kartkę z numerami wewnętrznymi, szukając numeru Moriarty'ego. Następnie sięgnęła po telefon i wystukała czterocyfrowy numer.

— Centrala wystawy — rozległ się przeciągły głos. W tle ktoś się z kimś żegnał.

— Czy jest tam George Moriarty? — spytała Margo.

— Chyba jest na dole, przy ekspozycji — odparł głos. — Jesteśmy tu zamknięci. Przekazać coś?

— Nie, dziękuję — odrzekła Margo, odkładając słuchawkę. Spojrzała na zegarek, już prawie piąta. Godzina policyjna. Tylko że w piątek wieczorem otwierano wystawę, a ona obiecała, że przygotuje materiały dla Moriarty'ego.

Już miała wstać, gdy przypomniała sobie sugestię Frocka, aby skontaktowała się z Gregiem Kawakitą. Westchnęła i znów sięgnęła po telefon. Trzeba przynajmniej spróbować. Najprawdopodobniej nie było go

już w budynku, w takiej sytuacji zostawi mu wiadomość na automatycznej sekretarce.

— Greg Kawakita przy telefonie — usłyszała znajomy baryton.

— Greg? Tu Margo Green. — Tylko bez służalczego tonu. Nie jest szefem wydziału ani żadną grubą rybą.

— Cześć, Margo. Co słyhać? — Usłyszała w słuchawce stukanie klawiszy.

— Chciałam cię prosić o przysługę. W zasadzie ten pomysł wyszedł od doktora Frocka. Przeprowadzam analizę pewnych okazów roślin używanych przez plemię Kiribitu i doktor zaproponował, abym przepuściła je przez twój ekstrapolator. Może udałoby się w ten sposób odkryć w próbkach jakieś genetyczne podobieństwa. — Zapadła cisza. — Doktor Frock uznał, że dzięki temu mógłbyś skutecznie przetestować swój program, a przy okazji jeszcze byś mi pomógł — dodała. Kawakita wahał się.

— No wiesz, Margo, chętnie bym ci pomógł, naprawdę. Tyle tylko, że ekstrapolator nie jest jeszcze gotowy do użytku. Przynajmniej na razie osoby postronne nie mogą z niego korzystać. Nadal tępię wirusy i obawiam się, że w tej sytuacji wyniki nie mogłyby być uznane za wiarygodne.

— Osoby postronne? — dopytywała się Margo, czując, jak krew nabiega jej do twarzy.

— Przepraszam, źle się wysłowiłem. Wiesz, o co mi chodzi. Poza tym jestem ostatnio strasznie zajęty i w dodatku cała ta afera z godziną policyjną. To wszystko bynajmniej nie ułatwia mi pracy. Posłuchaj, może skontaktuj się ze mną za tydzień lub dwa, dobrze? Wtedy zobaczymy.

Połączenie zostało przerwane.

Margo wstała, wzięła swoją kurtkę i torebkę, po czym wyszła na korytarz, aby odebrać wydruk. Wiedziała, że zamierzał zbywać ją w nieskończoność. Do diabła z nim. Odnajdzie Moriarty'ego i przed wyjściem z muzeum przekaże mu kopię swojego raportu. Może przynajmniej zobaczy tę sławetną ekspozycję i przy okazji dowie się, o co było tyle hałasu.

Kilka minut później Margo przeszła powoli przez opustoszałą salę pamięci Selousa. Przy wejściu stało dwóch strażników, a w centrum informacyjnym jakiś docent zamykał na klucz szafki i przygotowywał pamiątki mające zainteresować gości, którzy zjawią się tu nazajutrz.

Naturalnie jeżeli przyjdą, pomyślała Margo. Pod wielkim spiżowym posągiem Selousa stało trzech policjantów rozmawiających ze sobą. Nie zwrócili na Margo uwagi.

Margo powróciła myślami do porannej rozmowy z Frockiem. Jeśli zabójca nie zostanie schwytany, środki bezpieczeństwa z konieczności trzeba będzie zaostrzyć. Kto wie, może nawet zamkną całe muzeum. Margo pokręciła głową. Gdyby tak się stało, na pewno wróci do Massachusetts.

Skierowała się do galerii Walkera i tylnego wejścia do sali wystawy Przesądów. Jakaż była jej konsternacja, gdy zastała wielkie żelazne drzwi zamknięte na głucho, a przed nimi dwa mosiężne pacholki z rozpiętą pomiędzy nimi aksamitną liną. Obok stał nieruchomy policjant.

— Czym mogę służyć? — zapytał.

Na kieszonce na piersi nosił plakietkę z napisem F. BEAUREGARD.

— Chciałam zobaczyć się z George'em Moriartym — odparła Margo.

— Podobno jest w sali ekspozycji. Mam mu coś przekazać. — Pokazała policjantowi wydruk, lecz to nie zrobiło na stróżu prawa żadnego wrażenia.

— Bardzo mi przykro — powiedział. — Jest już po piątej. Nie powinna tu pani przebywać. Poza tym — dorzucił nieco łagodniej — nikomu nie wolno wejść do tej sali aż do uroczystego otwarcia.

— Ale... — zaczęła Margo, po czym odwróciła się i z głośnym westchnieniem pomaszerowała w stronę Rotundy.

Minąwszy załom muru, przystanąła. Na końcu pustego korytarza widać było skąpany w szarości nadchodzącego zmierzchu hol główny. Funkcjonariusz F. Beauregard pozostał za zakrętem, z tyłu.

Pod wpływem nagłego impulsu skręciła w lewo i wąskim, nisko sklepionym przejściem dotarła do innego, równoległego korytarza. Może mimo wszystko nie było jeszcze za późno, aby odnaleźć Moriarty'ego.

Wspięła się po szerokich schodach na górę i rozglądając się uważnie, weszła do kopułowo sklepionej sali poświęconej owadom. Następnie skręciła w prawo i znalazła się na galerii okrążającej drugi poziom Sali Morskiej. Jak wszystko inne w całym muzeum ona także wydawała się dziwnie cicha i opustoszała.

Margo zeszła po biegnących szerokim łukiem schodach do głównego holu wyłożonego granitową posadzką. Idąc teraz wolniej, minęła ekspozycję przedstawiającą stado naturalnej wielkości morsów w ich środowisku naturalnym oraz pieczołowicie skonstruowany model podwodnej rafy. Takich dioram, których pomysł powstał na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych, już się nie robiło, były zbyt drogie i nieopłacalne.

Na drugim końcu holu znajdowało się wejście do galerii Wersmana, gdzie prezentowano większe, czasowe ekspozycje. To właśnie w salach jednej z tamtejszych galerii powstawała wystawa Przesądów. Przeszklone drzwi zalepiono od środka czarnym papierem, a przed wejściem ustawiono tablicę z napisem:

GALERIA NIECZYNNA PRZYGOTOWANIE NOWEJ WYSTAWY.  
PRZEPRASZAMY ZA UTRUDNIENIA I ZAPRASZAMY PO  
OTWARCIU.

Drzwi po lewej były zamknięte. Te po prawej jednak otwarły się bez trudu.

Jakby od niechcienia obejrzała się przez ramię — nikogo nie było.

Drzwi z sykiem zamknęły się za nią; znalazła się w wąskim przejściu pomiędzy zewnętrznymi ścianami galerii a tylną ścianą ekspozycji. Wokoło walały się kawałki sklejki, deski i wielkie gwoździe, po podłodze wiły się płątaniny grubych kabli elektrycznych, z lewej strony miała sporej wielkości ekspozycję z desek i papier mache, pozbijaną dość niezdarnie i podtrzymywaną drewnianymi przyporami, w sumie całość przypominała trochę hollywoodzkie dekoracje. Żaden z gości nigdy nie miał ujrzeć Przesądów z tej strony.

Krok za krokiem brnęła przez wąski przesmyk, wypatrując sposobu na przedostanie się na drugą stronę. Oświetlenie było słabe, gołe żarówki z metalowymi abażurami rozmieszczone co dwadzieścia stóp, wolała uważać, nie miała ochoty potknąć się i wywrócić. Wkrótce dotarła do wąskiej szczeliny pomiędzy drewnianymi panelami, przez którą jednak

powinna zdołać się precyzyjnie.

Znalazła się w ogromnym, sześciociennym przedpokoju. Gotyckie łuki trzech ozdobnych przejść w ścianach niknęły w półmroku. Światło napływało w większości od kilku zawieszonych na ścianach fotografii przedstawiających szamanów. Margo przez chwilę wpatrywała się kolejno w trzy mroczne wyjścia. Nie miała pojęcia, gdzie umiejscowiono ekspozycję, gdzie się zaczynała i gdzie kończyła wystawa, którą powinna pójść, chcąc odszukać Moriarty'ego.

— George? — zawołała półgłosem. Cisza i półmrok sprawiały, że nie chciała robić zbyt wielkiego hałasu.

Głównym przejściem dotarła do kolejnej, ciemnej sali, dłuższej niż poprzednia i wypełnionej eksponatami. W równych odstępach lampy punktowe oświetlały jakiś artefakt — maskę, kościany nóż, dziwną rzeźbę nabijaną gwoździami. Przedmioty te zdawały się pławić w otaczającej je ciemności. Na suficie kładły się osobliwe światłocienie.

Na drugim końcu galerii ściany zwężały się. Margo odniosła dziwne wrażenie, jakby zapuszczała się coraz dalej w głąb ciemnej jaskini. Niezły chwyt, pomyślała. Ewidentna manipulacja. Nic dziwnego, że Frock dostawał piany.

Wchodziła coraz dalej w półmrok, nie słysząc nic prócz własnych kroków na miękkim, grubym dywanie. Nie widziała eksponatów, dopóki się do nich nie zbliżyła, i w pierwszej chwili zaczęła się zastanawiać, jak ma wrócić do Sali Szamanów. Może natrafi gdzieś na nie zamknięte wyjście, dobrze oświetlone nie zamknięte wyjście, w jakimś innym punkcie wystawy.

Wąski korytarz przed nią rozgałęział się. Po chwili wahania Margo

wybrała prawą odnogę. W korytarzu po obu stronach odkryła niewielkie nisze, w każdej z nich umieszczony był groteskowy eksponat. Cisza była tak porażająca, że w pewnej chwili Margo mimowolnie wstrzymała oddech.

Na końcu korytarza znajdowała się kolejna sala, gdzie mocno już wystraszoną Margo powitały maoryskie tatuowane głowy. Nie były pomniejszone, najwyraźniej w środku wciąż znajdowały się czaszki, zachowane, jak głosił napis, dzięki specyficznej metodzie wędzenia. Oczodoły wypełniono włóknami, skóra koloru mahoni ułśniła w słabym świetle. Spod czarnych, podwiniętych warg wyzierały nierówne zęby. Czerepów było sześć, szczerząc się histerycznie, kołysały się pośród nocy. Sine tatuaże miały oszałamiająco złożony wzór: skomplikowane spirale łączące się i przecinające nawzajem wiły się w nie mających końca zwojach wokół obu policzków, nosa i podbródka. Zgodnie z informacją na tablicy tatuaże zostały wykonane za życia tubylców, głowy zaś zachowano na znak szacunku wobec nich.

Nieco dalej galeria zwężała się jeszcze bardziej. Margo ujrzała przed sobą masywny, gruby słup totemiczny, oświetlony od dołu bladopomarańczowym światłem. Cienie wilczych i ptasich łbów o drapieźnych dziobach wyrzeźbionych w palu rzucane były na sufit, gdzie odmalowywały się szaro pośród czerni. Uświadomiwszy sobie, że zabrnęła w ślepią uliczkę, Margo niechętnie podeszła do totemu. Stamtąd też ujrzała przed sobą po lewej stronie niewielki prześwit, wiodący do kolejnej niszy. Podeszła powoli w tę stronę, poruszając się możliwie najciszej. Nie próbowała już nawoływać Moriarty'ego. Nie miała na to najmniejszej ochoty. Bogu dzięki, że nie jestem w pobliżu Starej Piwnicy, pomyślała.



W niszy umieszczono fetysze. Niektóre z nich były wykonanymi z kamienia podobiznami zwierząt, inne zaś przedstawiały potwory uosabiające mroczniejszą stronę ludowych wierzeń. Przez następny prześwit Margo dostała się do następnej sali. Ta była długa i wąska Gruby, czarny filc pokrywał każdą z powierzchni, a z ukrytych wnek do sali sączyło się słabe, niebieskawe światło. Sufit zwieszał się nisko nad głową Margo. Smithback będzie musiał chyba poruszać się tu na czworakach, pomyślała.

Pomieszczenie przechodziło w oktagonalną salę o wysokim, krzyżowym sklepieniu. Z sufitu, gdzie umieszczono witraże przedstawiające według średniowiecznych wierzeń zaświaty i piekło, sączyły się strugi różnobarwnego światła.

Na każdej ze ścian znajdowały się ogromne okna.

Podeszła do najbliższego z nich i jej wzrok padł na grobowiec Majów. Pośrodku, pokryty grubą warstwą kurzu leżał szkielet.

Wokół miejsca pochówku walały się rozmaite przedmioty. Na klatce piersiowej trupa spoczywał złoty napierśnik, a jego kościste palce zdobione były w złote pierścienie. Wokół czaszki stały półokręgiem malowane naczynia. W jednym z nich znajdowała się ofiara w postaci małych, zasuszonych kolb kukurydzy.

Następne okno prezentowało ceremonialny sposób pochówku Eskimosów, z truchłem Eskimosa owiniętym jak mumia w grube, zwierzęce skóry.

Kolejna ekspozycja była jeszcze bardziej zdumiewająca — przegniła trumna w stylu europejskim, ze zdjętym wiekiem i zwłokami w środku. Trup miał na sobie mocno już nadgniły frak, a pod szyją zawiązany

elegancki krawat; zwłoki były w daleko posuniętym stadium rozkładu. Głowa przekrzywiona sztywno zwrócona była w stronę Margo, jakby trup chciał wyjawic jej jakiś sekret, bezokie oczodoły napuchnięte, usta zastygły w grymasie niewysłowionego bólu. Margo cofnęła się. Boże — pomyślała — toż to czyjś pradziadek. Na tabliczce pod oknem znajdowało się rzeczowe i chłodne wyjaśnienie procedury typowego dziewiętnastowiecznego amerykańskiego pochówku, zdające się przeczyć ohydzie prezentowanej sceny. To prawda, pomyślała, muzeum sporo ryzykuje, prezentując tego typu ekspozycję.

Postanowiła darować sobie zaglądnienie do kolejnych okien i przeszła przez nisko sklepione wejście po drugiej stronie oktagonalnej sali. Dotarła do rozwidlenia korytarza. Po lewej miała niedużą, ślepią uliczkę; po prawej długi, wąski korytarz wiodący w ciemność. Nie chciała tam wchodzić, jeszcze nie teraz. Zajrzała do sali po lewej i stanęła jak wryta. Po chwili podeszła bliżej, by baczniej przyjrzeć się jednej z gablot.

Ta ekspozycja poświęcona była koncepcji czystego zła w jego licznych, mitycznych formach. Znajdowało się tu wiele wizerunków średniowiecznego diabła, jak również eskimoski zły duch, Tornarsuk. To jednak, co zaciekało ją najbardziej, to prymitywny, kamienny ołtarz umieszczony pośrodku galerii.

Na ołtarzu, oświetlona złotym punktowcem, stała nieduża figurka wykonana tak precyzyjnie, że jej doskonałość zapała Margo dech w piersiach. Pokryta łuskami opierała się na wszystkich czterech łapach. Mimo to w jej wyglądzie, długich przedramionach i kącie nachylenia głowy było coś nieodparcie ludzkiego. To właśnie było niepokojące. Margo wzdrygnęła się. Jakaż wyobraźnia mogła zrodzić istotę posiadającą

zarówno łuski, jak i włosy? Spojrzała na tabliczkę poniżej.

MBWUN. Rzeźba ta przedstawia szalone bóstwo, Mbwuna, i prawdopodobnie jest dziełem Indian z plemienia Kothoga żyjącego w górnym biegu rzeki Xingu w Amazonii. Ów szalony bóg, zwany także Tym Który Chodzi na Czworakach, budził grozę wśród innych tubylczych plemion zamieszkujących tamten rejon. Wedle miejscowych legend plemię Kothoga miało dysponować mocą zdolną podporządkować sobie Mbwuna i wysyłać go na mordercze wypadki przeciwko sąsiednim plemionom. Po plemieniu Kothoga zachowało się niewiele pamiątek, ta figurka zaś jest najprawdopodobniej jedynym istniejącym dziś wizerunkiem Mbwuna. Z wyjątkiem śladowych odniesień w amazońskich legendach i podaniach niewiele wiadomo zarówno na temat plemienia Kothoga, jak również ich tajemniczego „diabła”.

Margo poczuła nagle na plecach lodowate ciarki. Przyjrzała się uważniej, ze wstrętem, gadzim rysom, małym, złośliwym ślepiom... i szponom. Każda z przednich łap miała po trzy palce, zakończone hakowatymi pazurami. Boże święty. To nie może być prawda.

Nagle uświadomiła sobie, że coś każe jej zastygnąć w absolutnym bezruchu. Jakiś głos, instynktu czy podświadomości, nakazywał jej zachować absolutną ciszę i spokój.

Minęła minuta, dwie.

I wtedy znowu to usłyszała, dźwięk, który zmroził ją do szpiku kości. Dziwny szelest, powolny, rozważny i przeraźliwie delikatny. Odgłos kroków na miękkim dywanie. Ktoś tu szedł. Był blisko. Bardzo blisko. Upiorny kozi smród sprawił, że żołądek podszedł jej do gardła.

Rozejrzała się dziko dokoła, zwalczając w sobie panikę i poszukując

najbezpieczniejszego wyjścia. Było ciemno. Najciszej jak potrafiła, wyszła z sali demonów i przebiegła na łeb, na szyję poprzez mrok, mijając upiorne ekspozycje i szczerzące się posagi, które zdawały się wyskakiwać z atlasowej czerni, pokonywała kolejne załomy korytarzy i przejścia, wybierając zawsze najmniej rzucające się w oczy.

W końcu całkiem zagubiona i bez tchu skryła się w sali poświęconej prymitywnej medycynie. Zasapana ukucnęła za gablotą, w której na żelaznym pręcie wisiała czaszka poddana zabiegowi trepanacji. Ukryła się w cieniu gabloty, nasłuchując.

Nie wychwyciła niczego, ani żadnego poruszenia, ani tym bardziej odgłosu. Czekwała, aż jej oddech wróci do normy, a wraz z nim rozsądek. Przecież niczego tam nie było. Nic nie usłyszała, to tylko wredna sztuczka jej własnej, wybujałej wyobraźni podsyczonej przez tę koszmarną wystawę. Głupio zrobiłam, zakradając się tutaj, pomyślała. Teraz nie jestem pewna, czy kiedykolwiek zechcę tu wrócić, nawet w najbardziej zatłoczoną niedzielę.

Tak czy inaczej musiała znaleźć stąd jakieś wyjście. Było już późno i miała nadzieję, że w pobliżu mimo wszystko wciąż przebywali ludzie, którzy usłyszą jej pukanie, w przypadku gdyby jednak natknęła się na drzwi zamknięte na klucz. Będzie się musiała gęsto tłumaczyć, czy to strażnikom, czy policji, ale przynajmniej się stąd wydostanie.

Wyjrzała zza gabloty. Nawet jeśli to, czego doświadczyła, było wyłącznie wytworem jej wyobraźni, nie chciała wracać tą samą drogą.

Wstrzymała oddech, powoli podniosła się i nasłuchując, wyszła zza gabloty.

Nic.

Skreśliła w lewo i powoli ruszyła w głąb korytarza, wypatrując potencjalnych wyjść z galerii. Przy kolejnym rozwidleniu przystanęła, wlepiając wzrok w ciemność i zastanawiając się, którą wybrać odnogę. Czy nie powinno tu być oznaczeń, strzałek i tabliczek z napisami — do wyjścia? Chyba ich jeszcze nie zainstalowali. Typowe. Korytarz po lewej prezentował się obiecująco, zdawał się prowadzić do wielkiego foyer, niestety cała reszta tonęła w mroku.

Wtem kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Niemal całe jej ciało momentalnie ogarnął paraliż, z wahaniem odwróciła głowę w prawo. Cień, czerń pośród czerni, podkradał się chyłkiem w jej stronę, przesuwał się niczym atramentowy wąż po szklanych ścianach gablot i odrażających artefaktach.

Strach sprawił, że śmignęła jak strzała w głąb korytarza. Pobiegnęła jak na skrzydłach. Bardziej poczuła, niż dostrzegła, jak ściany korytarza oddalają się od niej, rozszerzając się. Po chwili ujrzała przed sobą dwie pionowe smugi światła, układające się w zarys ogromnych, dwuskrzydłowych drzwi. Nie zwalniając kroku, rzuciła się na nie całym impetem. Drzwi otwarły się na oścież, z brzękiem przewracając coś, co znajdowało się po drugiej stronie. Słabe, przyćmione, czerwone światło wpłynęło do holu, włączane było nocą na terenie całego muzeum. Chłodne powietrze musnęło jej policzek.

Szlochając, zatrzasnęła drzwi i oparła się o nie; zamykając oczy i przytykając czoło do zimnego metalu, płakała, z trudem usiłując złapać oddech.

Z karmazynowej poświaty za jej plecami dobiegło nagle czyjeś głośnie, ochryple chrząknięcie.



*Część druga*

*Przesądy*

## *Rozdział dwudziesty pierwszy*

— Co tu się dzieje? — rozległ się srogi głos. Margo odwróciła się i omal nie zemdląła z ulgi.

— Panie policjancie Beauregard, tam... — zaczęła i przerwała gwałtownie.

F. Beauregard, ustawiając przewrócone przez otwierające się drzwi mosiężne pacholki, na dźwięk swego imienia uniósł wzrok.

— To pani próbowała tam wejść! — Zmrużył oczy. — Co jest, paniusiu, tak trudno zrozumieć, że nie wolno znaczy nie wolno?

— Panie policjancie... — ponownie zaczęła Margo, tym razem także bez powodzenia.

Funkcjonariusz cofnął się i splatając ręce na piersiach, czekał w milczeniu. Nagle na jego twarzy pojawił się grymas zdziwienia.

— Co się stało? Dobrze się pani czuje?

Margo osunęła się na podłogę, śmiejąc się — lub płacząc, nie miała pewności, i ocierając łzy z twarzy. Policjant rozłożył ręce i ujął ją za ramię.

— Pani pozwoli ze mną.

Ostatnie słowa, perspektywa spędzenia kolejnej godziny lub może nawet kilku w towarzystwie stróżów prawa, którym musiałaby raz po raz, bez końca opowiadać swoją historię, prawdopodobieństwo zawezwania do muzeum w trybie pilnym doktora Frocka albo, kto wie, także doktora Wrighta, oraz groźba, że mogłaby zostać zmuszona do powrotu na teren



wystawy, dodały jej sił Margo wyprężyła się jak struna. Pomyśleliby, że mi odbiło.

— Nie, to nie będzie konieczne — odparła, pociągając nosem. — Trochę się tylko wystraszyłam.

Funkcjonariusza Beauregarda to nie przekonało.

— Sądzę, że powinniśmy pomówić z porucznikiem D'Agostą. — Drugą ręką wyjął z tylnej kieszeni spory, oprawiony w skórę notes. — Jak się pani nazywa? — spytał. — Będę musiał sporządzić raport

Było oczywiste, że nie pozwoli jej odejść, dopóki nie uzyska żądanych informacji.

— Margo Green — odparła. — Współpracuję z doktorem Frockiem Wykonywałam zlecenie dla doktora Moriarty'ego, kustosza tej wystawy. Mimo to miał pan rację Nikogo tam nie ma. — To mówiąc, delikatnie uwolniła się z uścisku policjanta. Następnie powoli, krok za krokiem ją wycofywać się w stronę Sali Selousa. Funkcjonariusz Beauregard odprowadził ją wzrokiem, po czym wzruszył ramionami i otworzywszy notes, zaczął pisać

Znalazłszy się w wielkiej sali, Margo przystanąła. Nie mogła wrócić do swego biura. Dochodziła szósta, obowiązywała godzina policyjna. Nie chciała też wrócić do domu, nie mogła tam wrócić, jeszcze nie teraz.

Przypomniała sobie o kopii raportu dla Moriarty'ego Przycisnęła łokieć do boku. Nie, nie zgubiła torebki, mimo całego tego zamieszania wciąż miała ją na ramieniu. Jeszcze przez chwilę stała w bezruchu, po czym ruszyła w stronę opuszczonego stanowiska informacji. Podniosła słuchawkę telefonu linii wewnętrznej i wybrała numer

Jeden sygnał i nagle

— Moriarty przy telefonie

— George? — spytała — Tu Margo Green

— Cześć, Margo — odparł Moriarty. — Co słychać?

— Jestem w Sali Selousa — wyjaśniła. — Właśnie opuściłam teren wystawy

— Mojej wystawy? — zdziwił się Moriarty. — Co tam robiłaś? Kto cię wpuścił?

— Szukałam cię — odrzekła. — Chciałam dać ci kopię raportu kameruńskiego. Byłeś tam?

Znowu poczuła narastającą panikę.

— Nie. Ekspozycja ma pozostać zamknięta z uwagi na przygotowania do piątkowego otwarcia — rzucił Moriarty. — Czemu pytasz?

Margo oddychała głęboko, usiłując zapanować nad sobą. Jej dłonie drżały, słuchawka obijała się o ucho.

— Co o niej sądzisz? — zapytał z zaciekawieniem Moriarty.

— Przeróżająca. — Margo zachichotała nerwowo.

— Sprowadziliśmy kilku ekspertów od oświetlenia i efektów wizualnych. Doktor Cuthbert wynajął też projektanta Nawiedzonego Grobowca z Fantasyworld. Jak sama wiesz, oznacza to, że jest najlepszy na świecie.

Margo odzyskała wreszcie głos.

— George, ja nie byłam na tej wystawie sama. Prócz mnie było tam jeszcze coś. — Strażnik na drugim końcu sali dostrzegł ją i ruszył rażno w jej kierunku.

— Coś? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Dokładnie to, co powiedziałam! — Nagle znów znalazła się na

terenie wystawy, w ciemnościach, obok tej przerażającej figurki.

Przypomniała sobie gorzki smak zgrozy w ustach.

— Nie krzycz — powiedział Moriarty. — Spotkajmy się w Kościach. Tam będziemy mogli spokojnie o tym pogadać. I tak już dawno powinniśmy byli opuścić muzeum. Słyszałem, co mówiłaś, ale jakoś nie potrafię tego pojąć.

Kości, taką nazwę nadali wszyscy pracownicy muzeum karczmie znanej wszystkim innym jako Blarney Stone. Jej mało imponujący fronton mieścił się pomiędzy dwoma wielkimi, bogato zdobionymi budynkami biurowymi po drugiej stronie 72 Ulicy, dokładnie naprzeciw południowego wejścia do muzeum. W przeciwieństwie do większości typowych barów z Upper East Side w Blarney Stone nie serwowano potrawki z królika ani napojów gazowanych w pięciu różnych smakach. Można tu było natomiast zamówić klopsiki domowe i dzbanek piwa Harp za dziesięć dolarów.

Pracownicy muzeum nazwali ten bar Kości, gdyż Boylan, jego właściciel, wszędzie, gdzie się tylko dało, poprzybijał lub przymocował drutem całą masę rozmaitych kości. Zajmowały one każdy skrawek w miarę płaskiej powierzchni. Ściany obwieszane były kośćmi udowymi i piszczelami ułożonymi w równe, zgrabne rzędy niczym pręty bambusa. Spod sufitu zwieszały się kości śródstopia, łopatki oraz rzepki kolanowe, tworzące osobliwe mozaiki. W każdej z nisz spoczywały czerepy dziwacznych ssaków. Tajemnicą było, skąd brał wszystkie te kości, lecz niektórzy twierdzili, że nocą Boylan zakradał się do muzeum.

— Ludzie przynoszą — odpowiadał właściciel, gdy go o to pytano, wzruszając obojętnie ramionami. Rzecz jasna knajpka ta była ulubionym

miejszem spotkań personelu muzeum.

Kościom wiodło się niezgorzej i Moriarty wraz z Margo musieli przeciskać się przez tłum, aby dotrzeć do wolnego stolika. Rozglądając się dookoła, Margo dostrzegła kilkoro pracowników muzeum, w tym także Billa Smithbacka. Pisarz siedział przy barze, z ożywieniem rozmawiając z jakąś szczupłą blondynką.

— W porządku — rzekł Moriarty nieco podniesionym z uwagi na hałas głosem. — Co mówiłaś przez telefon? Nie bardzo zrozumiałem.

Margo wzięła głęboki oddech.

— Weszłam na teren wystawy, bo chciałam dać ci kopię mojego raportu. Było ciemno. I tam, w mroku coś było. Szło za mną. Goniło mnie.

— Znow to słowo „coś”. Czemu tak mówisz? Skąd ten dziwny dobór słów?

Margo ze zniecierpliwieniem pokręciła głową.

— Nie prosz mnie, bym to wyjaśniła. Usłyszałam jakieś dźwięki, jakby kroki. Były ciche, jakby ktoś celowo skradał się w moją stronę... — Przerwała i po chwili dodała: — No i jeszcze ten dziwny smród. Był po prostu potworny. Duszący...

— Posłuchaj, Margo — zaczął Moriarty, ale zamilkł, gdy przy stoliku zjawiała się kelnerka, aby przyjąć zamówienie. — Ta wystawa ma budzić grozę. Sama mówiłaś, że zdaniem Frocka i innych jest aż za bardzo ekstrawagancka. Mogę sobie wyobrazić, jak się czułaś, sama jedna, zamknięta w ciemnościach...

— Innymi słowy, to wszystko tylko mi się zdawało? — Margo parsknęła drwiąco. — Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałabym w to wierzyć.

Podano im piwa, jasne pełne dla Margo i pinta guinnessa dla Monarty'ego, zwieńczone wymaganą półcalową warstewką kremowej pianki. Moriarty skosztował.

— Te zabójstwa i plotki krążące po muzeum... — zaczął. —  
Podejrzewam, że ja również zareagowałbym w taki sam sposób.

Margo, już spokojniejsza, odezwała się z wahaniem.

— George, pamiętasz tę figurkę, dzieło plemienia Kothoga, która ma być jedną z atrakcji wystawy... ?

— Mbwuna? Owszem, i co z tego?

— Jego przednie łapy mają po trzy szponiaste palce. Moriarty smakował guinnessa.

— Wiem. To cudowne dzieło, klejnot naszej kolekcji. I choć przyznaję to niechętnie, największą atrakcją tej figurki jest ciężąca na niej rzekomo kłątwa

Margo upiła łyk piwa.

— George. Chciałabym, abyś powiedział mi możliwie jak najbardziej szczegółowo, co wiesz na temat kłątwy Mbwuna.

Pośród gwaru rozmów rozległo się czyjeś wołanie. Unosząc wzrok, Margo ujrzała Smithbacka, wyłaniającego się z oparów dymu i półmroku. Pod pachą niósł kilka notesów, włosy miał zmierzwione i sterczące we wszystkie strony. Kobiety, z którą rozmawiał przy barze, nigdzie nie było widać.

— Spotkanie wyrzutków — powiedział. — Ta godzina policyjna to prawdziwy wrzód na tyłku — Nie zaproszony położył swoje notatniki na stoliku i przysiadł się obok Margo. — Słyszałem, że policja zaczęła przesłuchiwać tych, którzy pracowali w pobliżu miejsc, gdzie popełniono

morderstwa — dodał. — Sądzę, że ciebie też to dotyczy, Margo.

— Moja kolej wypada w przyszłym tygodniu — odparła Margo.

— Nic o tym nie słyszałem — odezwał się Moriarty. Obecność Smithbacka najwyraźniej była mu nie w smak.

— Ty przynajmniej nie masz się czym przejmować, siedząc na tym swoim bocianim gnieździe — rzekł Smithback do Moriarty'ego. — Nie ma to jak porządna wieża. Poza tym Bestia z Muzeum i tak zapewne nie potrafi wspinać się po schodach.

— Jesteś dziś w kiepskim humorze — Margo zwróciła się do Smithbacka. — Czy Rickman znów okroiła twój tekst?

Smithback wciąż mówił do Moriarty'ego.

— Właściwie to właśnie z tobą chciałem się zobaczyć. Mam do ciebie kilka pytań.

Znów obok nich przeszła kelnerka, Smithback machnął ręką.

— Jeden Macallan.

— W porządku — ciągnął Smithback. — Interesuje mnie historia związana z figurką Mbwuna.

Zapadła głucha cisza.

Smithback wodził wzrokiem od Moriarty'ego do Margo.

— Co ja takiego powiedziałem?

— Rozmawialiśmy właśnie o Mbwunie — odparła niepewnie Margo.

— Doprawdy? — zdumiał się Smithback. — Jaki ten świat mały.

— Von Oster, ten stary Austriak z Sali Owadziej, powiedział mi, że Rickman narobiła niezłego rabanu w sprawie wystawienia Mbwuna na przygotowywanej ekspozycji. Chodziło rzekomo o kwestię wrażliwości. Dlatego poszperałem trochę na własną rękę.

Przyniesiono szkocką, Smithback uniósł swoją szklaneczkę w milczącym toaście i opróżniwszy, odstawił na stół.

— Jak dotąd nie udało mi się zdobyć wielu informacji na temat jej pochodzenia — ciągnął. — Rzekomo w Amazonii, w górnym biegu rzeki Xingu żyło plemię Kothoga. Paskudne typki, zajmowali się czarami, parali okultyzmem, składali ofiary z ludzi i Bóg wie co jeszcze. Jako że nie pozostawili po sobie wielu śladów, antropolodzy sądzą, że wymarli wiele wieków temu. Jedyne, co przetrwało, to kilka legend i mitów krążących wśród innych plemion z tamtego regionu.

— Coś o tym wiem — zaczął Moriarty. — Właśnie rozmawialiśmy o tym z Margo. Tyle tylko, że nie wszyscy czuli się...

— Wiem, wiem. Nie zaperzaj się tak.

Moriarty zamilkł, był wyraźnie rozdrażniony. Nie przywykł do wysłuchiwania wykładów, wolał raczej sam ich udzielać.

— Otóż kilka lat temu w muzeum pracował pewien facet nazwiskiem Whittlesey. Zorganizował on wyprawę nad Xingu w poszukiwaniu śladów istnienia Kothoga, pamiątek, pozostałości dawnych osad, czegokolwiek.

— Smithback nachylił się w ich stronę i konspiracyjnym tonem wyszeptał:

— Whitdesey wszelako nie zdradził nikomu, że jego wyprawa, prócz poszukiwania śladów istnienia rzekomo wymarłego plemienia, miała jeszcze jeden cel. Naukowiec pragnął odnaleźć samo plemię. Był przekonany, że Kothoga nadal istnieją i że potrafi ich odszukać.

Opracował coś, co określał mianem „triangulacji mitu”.

Tym razem Moriarty nie dał się uciszyć.

— Polega to na tym, że lokalizujesz wszystkie miejsca na mapie, gdzie zasłyszane zostały legendy na temat danego miejsca lub ludu,

identyfikujesz obszary, gdzie mity są najbardziej szczegółowe, zwarte i logiczne, po czym odnajdujesz środek tego mitologicznie bogatego regionu. Zazwyczaj tam właśnie znajduje się główny ośrodek powstawania mitów, innymi słowy, ich centrum.

Smithback przez chwilę przyglądał się Moriarty'emu.

— Bez kitu — mruknął. — Tak więc ten Whitdesey w 1987 roku wyruszył na wyprawę w lasy równikowe Amazonii i wszelki ślad po nim zaginął.

— Von Oster powiedział ci o tym wszystkim? — Moriarty wywrócił oczami. — Upierdliwy staruch.

— Może i bywa męczący, ale sporo wie o tym muzeum. — Smithback tęsknie zerknął w głąb swojej pustej szklaneczki. — Rzekomo w dżungli doszło do poważnego rozłamu i większość ekspedycji już niemal na samym początku zawróciła. Odkryli coś tak ważnego, że postanowili natychmiast wracać, lecz Whittlesey nie zgodził się na to. Został w dżungli wraz z niejakim Crockerem. Najprawdopodobniej obaj tragicznie zginęli. Kiedy jednak zapytałem Von Oстера o więcej szczegółów na temat figurki Mbwuna, ni stąd, ni zowąd nabrał wody w usta. — Smithback przeciągnął się leniwie i zaczął rozglądać się za kelnerką. — Chyba będę musiał dopaść kogoś, kto uczestniczył w tej wyprawie.

— Nie licz na to — wtrąciła Margo. — Wszyscy zginęli w drodze powrotnej do Stanów. Katastrofa lotnicza.

Smithback spojrzał na nią z uwagą.

— O, cholera. A skąd ty to wiesz?

Margo zawahała się, wspominając prośbę Pendergasta o zachowanie pełnej dyskrecji. Zaraz potem pomyślała o Frocku i jak ścisnęła ją za rękę



dziś rano. Nie możemy przegapić tej szansy. Nie wolno nam zmarnować takiej okazji.

— Powiem wam, co wiem — oświadczyła. — Ale musicie zachować to dla siebie. I obiecać, że pomożecie mi, najlepiej jak potraficie.

— Uważaj, Margo — ostrzegł Moriarty.

— Pomóc ci? Jasne, nie ma sprawy — odrzekł Smithback. — Nawiasem mówiąc, w czym?

Margo niepewnie, z wahaniem opowiedziała im o spotkaniu z Pendergastem w Strefie Chronionej, o odciskach pazura i ranach, o skrzyniach i opowieści Cuthberta. Następnie opisała widzianą na wystawie figurkę Mbwuna, pomijając jednak swój napad paniki i szaleńczą ucieczkę. Wiedziała, że Smithback nie uwierzyłby jej, podobnie jak Moriarty.

— Gdy się zjawiłeś — dokończyła — pytałam właśnie George'a, co wie na temat klątwy Kothoga.

Moriarty wzruszył ramionami.

— W gruncie rzeczy niewiele. Wedle miejscowej legendy Kothoga było widmowym plemieniem, mroczną, mało znaną społecznością szamańską. Mówiono, że potrafili sprawować władzę nad demonami i kontrolować je. Była pewna istota, możecie ją nazwać „bliskim przyjacielem”, którą wykorzystywali do zabijania na rozkaz, głównie gdy w grę wchodziła zemsta. Stworzeniem tym był Mbwun, Ten Który Chodzi na Czworakach. Whittlesey odnalazł tę figurkę wraz z kilkoma innymi przedmiotami, spakował je w skrzynie i odesłał do muzeum. Naturalnie tego typu zdarzenia, naruszenie obiektów sakralnych, w przeszłości często powtarzały się. Gdy jednak szef wyprawy pozostaje w dżungli, by nigdy

już nie powrócić, a reszta jej członków ginie w wypadku lotniczym w drodze do domu... — Wzruszył ramionami. — Klątwa.

— A teraz ludzie zaczęli ginąć tu, w muzeum — wtrąciła Margo.

— Czy sugerujesz, że klątwa Mbwuna, opowieści o Bestii z Muzeum i te zabójstwa są ze sobą jakoś powiązane? — spytał Moriarty. — Przestań, Margo, zbytnio fantazjujesz.

Przeszła go wzrokiem.

— Przecież sam powiedziałeś, że Cuthbert dopiero w ostatniej chwili zdecydował się na wystawienie tej figurki, zgadza się?

— Jak najbardziej — przytaknął Moriarty. — Zajmował się tym reliktem osobiście. Nic w tym niezwykłego, zważywszy na to, jak bardzo jest on cenny. Pomysł z odwlekaniem decyzji o włączeniu figurki do ekspozycji pochodził, jak sądzę, od Rickman. Zapewne uznała, że w ten sposób wzbudzi większe zainteresowanie.

— Szczerze wątpię — wtrącił Smithback. — To nie w jej stylu. Ona za wszelką cenę stara się uniknąć rozgłosu i nadmiernego zainteresowania. Zrób skandal, a ona szczególnie jak ćma w ogniu świecy — zachichotał.

— Co właściwie interesuje ciebie w tym wszystkim? — spytał ostro Moriarty.

— Twoim zdaniem nie jest w stanie mnie zaciekawić prastary, zakurzony i przeklęty artefakt?

Smithback zdołał wreszcie zwrócić uwagę jednej z kelnerek i zamówił następną kolejkę dla wszystkich.

— Rickman na pewno nie pozwoli ci o tym napisać — odezwała się Margo.

Smithback skrzywił się.

— To fakt. Mógłbym obrazić wszystkich członków plemienia Kothoga zamieszkałych w Nowym Jorku. Zainteresowałem się tym, bo Von Oster powiedział, że ta figurka spędza Rickman sen z powiek. Uznałem więc, że warto trochę popytać tu i tam. Przydałoby mi się choć kilka silniejszych argumentów przetargowych na nasze kolejne tete-a-tete. Wiecie, w rodzaju: Ten rozdział zostaje albo sprzedam historię wyprawy Whittleseya „Smithsonianowi”. Tego typu gierki.

— Chwileczkę — rzekła Margo. — Nie po to zdradzam ci swoje sekrety, abyś robił na nich pieniądze. Czy ty nic nie rozumiesz? Musimy dowiedzieć się więcej o tych skrzyniach. To, co zabija ludzi, chce dostać coś, co znajduje się wewnątrz tych pak. Musimy wiedzieć, o co mu chodzi. Czego chce.

— Wystarczy, że zdobędziemy dziennik Whittleseya — rzekł Smithback.

— Cuthbert twierdzi, że dziennik zaginął — powiedziała Margo.

— Sprawdzaliśmy bazę danych? — rzucił Smithback. — Może w tamtejszych informacjach znalazłoby się coś użytecznego. Zrobiłbym to sam, ale nie mam dostępu, wiecie, ja tu tylko sprzątam.

— Podobnie jak ja — dodała Margo. — Poza tym dziś nie jest mój dzień, jeżeli chodzi o komputery. — Opowiedziała im o rozmowie z Kawakitą.

— A może Moriarty? — zasugerował Smithback. — Jesteś, o ile mi wiadomo, specem od komputerów. A jako asystent kustosza masz dostęp do większości baz danych.

— Sądzę, że powinna zająć się tym policja albo federalni — rzekł Moriarty, wyraźnie zaniepokojony. — Nie wolno nam się w to mieszać.

— Nie rozumiesz? — rzuciła błagalnie Margo. — Nikt nie zdaje sobie sprawy, z czym mamy tu do czynienia. Gra idzie o ludzkie życie, a może również o przyszłość muzeum.

— Wiem, że kierują tobą słuszne pobudki, Margo — rzekł Moriarty. — Ale widzisz, nie ufam Billowi.

— Moje motywy są czyste jak świeżo spadły śnieg — odparował Smithback. — Rickman atakuje bastion dziennikarskiej prawdy i rzetelności. Ja szukam jedynie sposobu na odparcie z blanek jej kolejnego natarcia.

— Czy nie byłoby łatwiej, gdybyś zrobił to, czego żąda od ciebie Rickman? — zapytał Moriarty. — Uważam, że twoja wendeta jest cokolwiek dziecinna. I wiesz co? Nie wygrasz.

Podano drinki, Smithback opróżnił szklaneczkę jednym haustem i głośno wypuścił powietrze.

— Przyjdzie jeszcze taki dzień, że załatwię tę sukę — mruknął z uśmiechem.

## *Rozdział dwudziesty drugi*

Beauregard skończył pisać i włożył notes do kieszeni. Wiedział, że powinien donieść o tym incydencie. Do diabła z tym. Dziewczyna wyglądała na śmiertelnie przerażoną, wątpliwe, aby coś kombinowała. Sporządzi raport w wolnej chwili, przy najbliższej okazji.

Beauregard był w fatalnym nastroju. Nie lubił służby wartowniczej. Niemniej lepsze to niż kierowanie ruchem na skrzyżowaniu. I robiło dobre wrażenie u O'Ryana. Tak — potwierdzi. Zostałem przydzielony do pracy przy sprawie muzeum. Przykro mi, nic więcej nie mogę powiedzieć.

Jak na muzeum bardzo tu cicho — pomyślał Beauregard. Sądził, że zwykle w muzeum jest diabelnie tłoczno. Tylko że od niedzieli w muzeum nic nie było takie jak dawniej. Przynajmniej za dnia pracownicy muzeum wchodzili i wychodzili z sal, gdzie przygotowywano nową wystawę. Potem jednak zamknięto ją na głucho i tak miało pozostać aż do formalnego otwarcia. Bez pisemnej zgody od doktora Cuthberta do środka nie mógł wejść nikt z wyjątkiem funkcjonariusza policji lub ochrony, wykonującego polecenia służbowe. Bogu dzięki, zmiana kończyła się o

szóstej i nie mógł już doczekać się rozstania na całe dwa dni z tym ponurym miejscem. Zamierzał wybrać się na samotny wypad do Catskills, aby pomoczyć kij. Czekał na tę okazję od tygodni.

Uspokajającym gestem powiódł dłonią po kaburze swego S&W 38 specjal. Broń jak zawsze była gotowa do strzału. Przy drugim biodrze miał krótką strzelbę śrutową z ładunkiem, który mógł powalić na kolana nawet słonia.

Za plecami Beauregarda rozległ się cichy szmer.

Policjant odwrócił się, serce zabiło mu żywszym rytmem, gdyż jego wzrok padł na zamknięte drzwi do sali wystawowej. Sięgnął po klucz, otworzył nim drzwi i zajrzał do środka.

— Kto tam?

Chłodny powiew omiół mu policzek. I to wszystko.

Zamknął drzwi i sprawdził zamek. Z sali można było wyjść, lecz nie dało się wejść bez użycia specjalnego klucza. Ta dziewczyna musiała dostać się do środka frontowym wejściem. Ale czy i ono nie było zamknięte na klucz? Nigdy nic mu nie mówili.

Znów rozległ się ten dźwięk.

Co, u licha, pomyślał. Przecież nie płacą mi za zagładanie do środka. Grunt, abym nikogo tu nie wpuścił. Nie było mowy o wypuszczaniu kogokolwiek.

Beauregard zaczął nucić pod nosem, wystukując rytm dwoma palcami o udo. Jeszcze dziesięć minut i wyrwie się z tego mrocznego domu wariatów.

Odgłos powtórzył się.

Beauregard otworzył drzwi po raz drugi i zajrzał do sali. Dostrzegł

jakieś niewyraźne, ciemne kształty, gabloty muzealne, szare, ponure wejście.

— Tu policja. Jeśli ktoś tam jest, proszę się odezwać. Gabloty były ciemne, ściany niknęły wśród głębokich cieni.

Zero odpowiedzi.

Beauregard przymknął drzwi i odpiął od pasa krótkofalówkę.

— Beauregard do bazy, zgłoś się.

— Tu TDN. Co jest grane?

— Przy tylnym wyjściu z sali Przesądów słycać jakiś hałas.

— Jaki hałas, sprecyzuj.

— Trudno powiedzieć. Wydaje się, że ktoś tam jest. Dał się słyszeć gwar rozmów i zduszony śmiech.

— Ee... Fred?

— Co? — Beauregard był z każdą chwilą coraz bardziej poirytowany.

Dyspozytor w bazie był kompletnym kretynem.

— Lepiej tam nie wchodź.

— Dlaczego?

— To może być ten potwór. Jeszcze cię dopadnie, Fred...

— Idź do diabła — mruknął pod nosem Fred. Nie zamierzał niczego sprawdzać bez odpowiedniego wsparcia i dyspozytor dobrze o tym wiedział.

Zza drzwi dobiegło skrobanie, jakby jakieś stworzenie zaczęło drapać w nie pazurami. Beauregard uświadomił sobie, że oddycha coraz szybciej.

— Widziałeś już potwora? — dobiegło z głośnika krótkofalówki.

Starając się zachować niewzruszony ton głosu, Beauregard oznajmił:

— Powtarzam, zgłaszam nie zidentyfikowane odgłosy w sali

Przesądów. Proszę o wsparcie w celu zbadania ich źródła.

— Domaga się wsparcia. — Słowom tym towarzyszył zduszony śmiech.

— Fred, nie mamy żadnego wsparcia. Wszyscy są zajęci.

— Posłuchaj — burknął coraz bardziej rozeźlony Beauregard — kto tam jest z tobą?

— McNitt. Ma przerwę na kawę. No nie, McNitt? Znow dał się słyszeć śmiech.

Beauregard wyłączył radio. Pieprzyć ich, pomyślał. To ci dopiero profesjonalizm. Miał nadzieję, że porucznik prowadził akurat nasłuch na tej częstotliwości.

Czekał w mrocznym holu. Jeszcze pięć minut i już mnie tu nie ma.

— TDN do Beauregarda. Słyszysz mnie?

— Głośno i wyraźnie — odparł Beauregard.

— Dotarł do ciebie McNitt?

— Nie — odrzekł Beauregard. — Skończyła mu się przerwa na kawę?

— Daj spokój, ja przecież tylko żartowałem — odparł nieco zdenerwowany TDN. — Wysłałem go do ciebie natychmiast po otrzymaniu zgłoszenia.

— Wobec tego na pewno się zgubił — odparł Beauregard. — A ja za pięć minut kończę służbę. Potem mam czterdzieści osiem godzin tylko dla siebie, wyjeżdżam i nic mi w tym nie przeszkodzi. Lepiej wywołaj go przez radio.

— Nie włączył krótkofalówki — odparł TDN. Nagle pewna myśl zaświtała Beauregardowi w głowie.

— Jaką drogą miał dotrzeć tutaj McNitt? Windą z sektora 17? Tą, która



znajduje się tuż za naszą bazą operacyjną?

— Sam mu to doradziłem. Winda w sektorze siedemnastym. Mam tę samą mapę co ty.

— Wobec tego aby tu dotrzeć, będzie musiał przejść przez teren wystawy. To dopiero mądre posunięcie, nie ma co. Powinieneś był posłać go przez stołówkę.

— Hej, Freddy, odstosunkuj się ode mnie. To on się zgubił, nie ja. Skontaktuj się ze mną, kiedy się pojawi.

— Tak czy inaczej za pięć minut już mnie tu nie będzie — dokończył Beauregard. — Po tym czasie niech Effinger zamartwia się, gdzie podział się ten fajtłapa. Bez odbioru.

W tej samej chwili Beauregard usłyszał głośny hałas dochodzący z za drzwi sali wystawy Przesady. Dźwięk ten przypominał stłumione silne uderzenie. Jezu, McNitt — pomyślał. Kluczem otworzył drzwi i wszedł do środka, odpinając zatrzask przy kaburze swojej trzydziestki ósemki.

TDN włożył do ust kolejnego pączka i zaczął żuć, popijając łykiem kawy. Rozległ się syk krótkofalówki.

— McNitt do bazy. Zgłoś się, TDN.

— Zgłaszam się. Gdzie ty jesteś, u licha?

— Przy tylnym wyjściu. Beauregarda tu nie ma. Nie zgłasza się, gdy go wywołuję, nie wiem, co jest grane.

— Poczekaj, ja spróbuję. — Włączył przycisk nadawania. — TDN do Beauregarda. Zgłoś się, Fred. TDN do Beauregarda... Hej, McNitt, chyba nasz koleś wkurzył się i poszedł do domu. Nawiasem mówiąc, jak tam dotarłeś?

— Szedłem drogą, którą mi poleciłeś, ale okazało się, że frontowe

wejście na wystawę jest zamknięte na klucz, i musiałem obejść cały sektor. Nie miałem swoich kluczy. Trochę się pogubiłem.

— Nie odchodź stamtąd. Lada chwila powinien zjawić się jego zmiennik, Effinger. Zawiadom mnie, kiedy przyjdzie i wracaj tu zaraz.

— Jest już Effinger. Powiadomisz go, jaki numer wyciął Beauregard?  
— spytał McNitt.

— Żartujesz? Masz mnie za niańkę, czy jak?

### *Rozdział dwudziesty trzeci*

D'Agosta spojrział na Pendergasta rozpartego na podniszczonym tylnym siedzeniu buicka. Jezu — pomyślał — facet taki jak Pendergast powinien

rozbijać się najnowszym modelem town cara. Zamiast tego przydzielili mu czteroletniego buicka i kierowcę, który ledwie mówił po angielsku.

Powieki Pendergasta były półprzymknięte.

— Skręć w Osiemdziesiątą Szóstą i przejedź przez Central Park — zawołał D'Agosta.

Kierowca przeciął dwa pasma Central Park West i wjechał na żadaną drogę.

— Przejedź Piątą do Sześćdziesiątej Piątej i przetnij ją — polecił D'Agosta.

— Pięćdziesiątą Dziewiątą szybciej — rzekł kierowca z silnym, bliskowschodnim akcentem.

— Nie o tej porze. Wieczorem są tam korki — ryknął D'Agosta. Chryste, nie mogli nawet znaleźć kierowcy, który umiałby poruszać się po tym mieście.

Wóz, trzęsąc się i klekocząc, minął w pewnej chwili ulicę 65.

— Co ty wyprawiasz, u diabła? — rzucił D'Agosta. — Właśnie minąłeś Sześćdziesiątą Piątą.

— Przepraszam — bąknął kierowca, wjeżdżając w 61 i pakując się prosto w korek gigant.

— Nie do wiary — rzekł D'Agosta do agenta FBI. — Powinieneś był wyłączyć tego błazna.

Pendergast, wciąż nie otwierając oczu, uśmiechnął się leniwie.

— On był, jakby to rzec, prezentem od nowojorskiego Biura. Niemniej mamy dzięki temu trochę czasu, aby zamienić parę słów. — Ponownie rozsiadł się na podartym siedzeniu.

Pendergast spędził połowę popołudnia, biorąc udział w autopsji Jolleya.

D'Agosta zrezygnował z uczestnictwa w tym spektaklu.

— Laboratorium odkryło w naszej próbce kilka rodzajów DNA — ciągnął Pendergast. — Jedno ludzkie, a drugie gekonie.

D'Agosta spojrział na niego.

— Gekonie? A cóż to takiego, gekon?

— Rodzaj jaszczurki. Raczej niegroźnej. Lubią przesiadywać na murach i wygrzewać się w słońcu. Gdy byłem dzieckiem, jednego lata wynajęliśmy willę nad Morzem Śródziemnym i na murach było ich pełno. Tak czy owak rezultat okazał się na tyle zaskakujący, że technik prowadzący analizę sądził, że to żart.

Otworzył teczkę.

— To raport z autopsji Jolleya. Obawiam się, że nie wnosi nic nowego. Ten sam modus operandi, ciało potwornie zmasakrowane, brak części mózgu ze wzgórzem. W biurze koronera ustalono, że aby przy jednym uderzeniu powstały tak głębokie rany, wymagana jest siła... — spojrział na kartkę — dwukrotnie przewyższająca możliwości dorosłego, nadprzeciętnie krzepkiego mężczyzny. Naturalnie to tylko suche przypuszczenia.

Pendergast przerzucił kilka kartek.

— Przeprowadzono także testy na obecność enzymów ślinowych w tkankach mózgowych starszego z chłopców oraz Jolleya.

— I...?

— Oba testy dały wynik pozytywny, potwierdzając obecność śliny.

— Jezu. Chcesz powiedzieć, że zabójca wyžera mózgi swoich ofiar?

— Nie tylko je wyžera, ale na dodatek jeszcze się nad nimi ślini, poruczniku. Najwyraźniej on, ona lub ono nie ma za grosz dobrych manier.

Ma pan raport pańskiej ekipy? Mogę przejrzeć?

D'Agosta podał mu plik kartek.

— Nie znajdzie tam pan żadnych rewelacji. Krew na obrazie pochodziła od Jolleya. Odnalezione ślady krwi prowadziły obok Strefy Chronionej, po schodach w dół, aż do sutereny. Niestety po ulewie szalejącej ubiegłej nocy nie było szans na odnalezienie dalszych śladów.

Pendergast przejrzał dokument.

— A tu jest raport dotyczący drzwi do skarbcza. Ktoś długo i uporczywie próbował się do nich dobijać, używając przy tym zapewne jakiegoś narzędzia o tępych krawędziach. Na blasze odkryto także ślady biegnących równolegle, potrójnych rys, pasujących do ran odnalezionych na ciele ofiar. Tak jak w tamtych przypadkach, tak i tu uderzenia zadawane były ze znaczną siłą.

Pendergast podał raport policjantowi.

— Wygląda na to, że będziemy musieli zwrócić większą uwagę na piwnicę i suterenę. W gruncie rzeczy, Vincencie, obecnie naszą największą szansę na rozwikłanie tej sprawy stanowią posiadane próbki DNA. Jeśli uda się nam odkryć pochodzenie tego kawałka pazura, będziemy mieli pierwszy solidny trop. Dlatego poprosiłem o to spotkanie.

Samochód zatrzymał się przed jednym z kilkunastu ceglanych, porośniętych bluszczem budynków z widokiem na East River. Strażnik odprowadził ich do bocznego wejścia.

Znalazłszy się w laboratorium, Pendergast zajął miejsce przy stole pośrodku pokoju i podjął rozmowę z dwoma naukowcami, Buchholtzem i Turowem. D'Agosta nie mógł wyjść z podziwu, z jaką łatwością południowiec przejmował kontrolę nad sytuacją.

— Mój kolega i ja chcielibyśmy prosić o krótkie wyjaśnienie procesu sekwencjonowania DNA — mówił Pendergast. — Pragnęlibyśmy dowiedzieć się, w jaki sposób doszliście panowie do takich wyników i czy konieczna jest dalsza analiza. Na pewno to rozumiecie, panowie.

— Oczywiście — rzekł Buchholtz. Był nerwowy, drobny i łysy jak góra Monadrock. — Analizę przeprowadził mój asystent, doktor Turow.

Zdenerwowany mężczyzna postąpił naprzód

— Gdy otrzymaliśmy próbki — zaczął — poproszono nas, abyśmy sprawdzili, czy pochodzą one od dużego, drapieżnego ssaka. Konkretnie od któregoś z wielkich kotów. W takiej sytuacji przeprowadzamy analizę porównawczą próbki DNA z kodem genetycznym, dajmy na to, pięciu lub sześciu gatunków, u których możemy uzyskać zgodność wyników.

Wybieramy przy tym także zwierzę, od którego dana próbka definitywnie nie mogłaby pochodzić, grupę tę nazywamy grupą porównawczą. Dzięki temu test jest bardziej wiarygodny. Czy to jest zrozumiałe?

— Jak dotąd — odparł Pendergast. — Ale niech pan unika wdawania się w naukowe szczegóły. Te sprawy to dla mnie czarna magia

— Zwykle jako grupy porównawczej używamy ludzkiego DNA, gdyż sporo o nim wiemy. Przeprowadzamy także PCR, reakcję łańcuchową polimerazy na otrzymanej próbce. Powoduje to powstanie setek tysięcy kopii genów. Mamy z tym sporo roboty. I dzięki temu mamy mnóstwo materiału do badań.

Wskazał na sporych rozmiarów maszynę z długimi, przezroczystymi paskami pleksi po bokach. Za nimi widać było ciemne, pionowe wstęgi układające się w skomplikowane wzory

— To urządzenie służy do elektroforezy żelowej pola pulsacyjnego. Umieszczamy tu próbkę i jej fragmenty wędrują wzdłuż tych wstęg przez żel, w zależności od ich ciężaru cząsteczkowego.

Pokazują się w formie tych ciemnych pasków. W zależności od układu wstęg i za pomocą komputera jesteśmy w stanie określić obecność tych czy innych genów. Wział głęboki oddech.

— Wynik na obecność genów wielkich kotów był negatywny. Bardzo negatywny. Prawie żadnej zgodności. Otrzymaliśmy natomiast zdumiewająco wysoką zgodność z grupą porównawczą, czyli homo sapiens. Poza tym, jak panowie wiecie, zidentyfikowaliśmy pasma DNA jako należące do kilku gatunków gekonów, a przynajmniej tak mogłoby się wydawać.

Uśmiechnął się jakby z wymuszeniem.

— Sęk w tym, że większość genów w próbce była nieznana. Nie zdołaliśmy ich zidentyfikować.

— Dlatego uznał pan, że próbka uległa skażeniu.

— Tak. Skażeniu lub zwyrodnieniu. Spora ilość powtarzających się par podstawowych w próbce zdradzała wysoki poziom uszkodzeń genetycznych.

— Uszkodzeń genetycznych? — spytał Pendergast.

— Kiedy DNA ulega uszkodzeniu lub ma jakiś defekt, często w sposób nie kontrolowany replikuje długie, powtarzające się sekwencje tej samej pary podstawowej. Wirusy mogą uszkodzić DNA. Podobnie jak promieniowanie, pewne środki chemiczne, a także rak.

Pendergast zaczął spacerować po laboratorium, rozglądając się z zaciekawieniem na prawo i lewo.

— Te geny gekona bardzo mnie zainteresowały. Co to właściwie oznacza?

— Na tym polega cała zagadka — odparł Turow. — To bardzo rzadkie geny. Niektóre są bardzo pospolite, jak np. gen cytochrom B, obecny we wszystkich niemal organizmach, od pobrażka po człowieka. Jeżeli jednak chodzi o te geny gekona, właściwie nic o nich nie wiemy.

— Chce pan powiedzieć, że to DNA nie pochodzi od zwierzęcia, czy tak? — spytał D'Agosta.

— Na pewno nie od żadnego znanego nam wielkiego, drapieżnego ssaka — odrzekł Buchholtz — Wykonaliśmy wszystkie zwyczajowe badania. Wyniki nie są dość jednoznaczne, by można było stwierdzić, że próbka na pewno pochodzi od gekona. Zbyt mała zgodność. Na drodze eliminacji powiedziałbym raczej, że pochodzi od człowieka. Tyle tylko, że od osoby chorej, zakażonej lub może przechodzącej poważne zmiany mutacyjne. Rezultaty badań są zbyt niejasne.

— Próbka — rzekł D'Agosta — została znaleziona w ciele zamordowanego chłopca.

— Ach! — wykrzyknął Turow. — To by tłumaczyło jej skażenie ludzkim materiałem genetycznym. Naprawdę byłoby nam o wiele łatwiej, gdybyśmy wcześniej wiedzieli takie rzeczy.

Pendergast zmarszczył brwi.

— Próbka została pobrana z kanału korzeniowego pazura przez wykwalifikowanego patologa i, o ile mi wiadomo, poczyniono wszelkie starania, by nie doszło do jej skażenia.

— Wystarczy jedna komórka — rzekł Turow. — Pazur, powiada pan? Zamyślił się przez chwilę



— Coś mi przyszło do głowy. Pazur ten może pochodzić od jaszczurki w silnym stopniu zakażonej krwią swojej ludzkiej ofiary. Od jakiegokolwiek jaszczurki, nie tylko od gekona. — Spojrzał na Buchholtza.

— Powodem, dla którego zidentyfikowaliśmy partię DNA jako należącą do gekona, jest to, że kilka lat temu pewien facet w Baton Rouge przeprowadził szereg badań dotyczących genetyki tych jaszczurek i wprowadził uzyskane wyniki do bazy danych Genlabu. Gdyby nie to, otrzymalibyśmy wynik — DNA nieznane, jak w większości tej próbki.

Pendergast spojrział na Turowa.

— Jeżeli można, chciałbym prosić o przeprowadzenie dalszych testów i, jeśli to możliwe, ustalenie, co właściwie robią te jaszczurcze geny, na co mają wpływ i w ogóle.

Turow zmarszczył brwi.

— Panie Pendergast, szanse na przeprowadzenie udanej analizy są nikłe, a badania mogą trwać całymi tygodniami. Wydaje mi się, że zagadka już została rozwiązana .. Buchholtz poklepał Turowa po plecach.

— Nie próbuj odwieść agenta Pendergasta od jego planów. Bądź co bądź policja płaci za te badania, a to przecież bardzo kosztowna procedura.

Pendergast uśmiechnął się szerzej.

— Cieszę się, że wspomniał pan o tym, doktorze Buchholtz. Proszę przesłać rachunek dyrektorowi Wydziału Operacji Specjalnych FBI. — Napisał adres na odwrocie swojej wizytówki. — I proszę się nie martwić. Koszty są bez znaczenia.

D'Agosta uśmiechnął się mimowolnie. Wiedział, o co chodziło Pendergastowi — odgrywał się za rzęcha, którego mu przydzielono. Policjant pokręcił głową. Niezłe ziółko z tego agenta.

## *Rozdział dwudziesty czwarty*

### Czwartek

W czwartek, o 11.15 rano mężczyzna uważający się za żywą inkarnację egipskiego faraona Totha dostał szału w skrzydle Dziejów Starożytnych, przewracając dwie rzeźby w świątyni Azar-Nara, rozbijając jedną z gablot i wywlekając mumię z jej sarkofagu. Potrzeba było trzech policjantów, aby go poskromić, a przez resztę dnia kilku kustoszy sprzątało rozsypany na posadzce świątyni pradawny kurz i zajmowało się poprawianiem bandaży na ciele mumii.

Niecałą godzinę później z Sali Wielkich Małp wybiegła jakaś kobieta, krzycząc histerycznie, że w ciemnym kącie łazienki dostrzegła jakąś przyczajoną, łypiącą groźnie istotę. Ekipa telewizyjna, czekająca przy południowym wejściu na pojawienie się Wrighta, uwieczniła całą jej wrzaskliwą ucieczkę na taśmie filmowej.

W porze lunchu przed muzeum rozpoczęła pikietę grupa nazywająca siebie Sojuszem Przeciwko Rasizmowi, wzywająca do bojkotu Przesądów.

Wczesnym popołudniem Anthony McFarlane, światowej sławy

filantrop i łowca dzikich zwierząt, zaoferował nagrodę w wysokości pięciuset tysięcy dolarów za schwytanie żywcem Bestii z Muzeum.

Rzecz jasna muzeum natychmiast wyparło się jakichkolwiek związków z McFarlanem.

Prasa mniej lub bardziej szczegółowo donosiła o wszystkich tych wydarzeniach. Do wiadomości publicznej nie podano jednak kilku dość bulwersujących faktów. Informacje te nie wyszły poza mury muzeum.

Przed południem cztery osoby z personelu muzeum samowolnie porzuciły pracę. Trzydzieści pięć innych wzięło bezpłatne urlopy, blisko trzysta zawiadomiło swoich przełożonych o nagłej chorobie.

Tuż po lunchu młodsza preparatorka z Wydziału Paleontologii Kręgowców zemdląła przy stole laboratoryjnym. Została przewieziona do szpitala, gdzie poprosiła o długie, pełnopłatne zwolnienie lekarskie z uwzględnieniem premii za pracę w trudnych warunkach, ze względu na silny stres fizyczny i psychiczny.

O trzeciej po południu ochrona odebrała siedem telefonów z poleceniem zbadania podejrzanych hałasów w kilku różnych, odległych sektorach muzeum. Do czasu nadejścia godziny policyjnej funkcjonariusze w tutejszym punkcie dowodzenia cztery razy interweniowali w miejscach, gdzie rzekomo widziano tajemnicze stworzenie, jednak żadnej z owych obserwacji nie udało się potwierdzić ani zweryfikować.

W sumie przez cały dzień zarejestrowano w muzeum dokładnie sto siedem telefonów dotyczących pośrednio lub bezpośrednio bestii, w tym także kilka mało zabawnych żartów, gróźb o podłożeniu bomby oraz propozycji pomocy oferowanych przez najrozmaitszych dziwaków, od tępicielei począwszy, na jasnowidzach i wrózkach kończąc.



## *Rozdział dwudziesty piąty*

Smithback otworzył brudne, ciężkie drzwi i zajrzał do środka. To musiało być jedno z najokropniejszych miejsc w całym muzeum, skonstatował. Magazyny laboratorium antropofizyki albo, w tutejszej gwarze, Sala Szkieletów. Muzeum było w posiadaniu jednej z największych kolekcji szkieletów w całym kraju, porównywalnej jedynie

ze Smithoniańską, tylko w tej sali mieściło się ich dwanaście tysięcy. W większości należały one do Indian północno i południowoamerykańskich oraz Afrykanów. Zebrano je w XIX stuleciu, w okresie największego rozkwitu antropologii. Wzdłuż ścian ciągnęły się sięgające od podłogi po sufit rzędy metalowych „szuflad”. W każdej z nich znajdował się przynajmniej fragment ludzkich szczątków.

Każda z szuflad zaopatrzona była w pozólkłą już plakietkę, zawierającą datę, numer, nazwę plemienia, a niekiedy także krótką historię obiektu. Inne, znacznie bardziej skąpe opisy porażały uporczywą anonimowością.

Smithback spędził kiedyś całe popołudnie, wędrując pomiędzy rzędami metalowych regałów, otwierając szuflady i czytając notki opisowe wykonane w większości wyblakłym, lecz eleganckim pismem. Kilka z nich wpisał do swego notatnika.

Eksp. nr 1880-1770

Chodzący w Chmurach. Yankton Sioux. Poległy w bitwie pod Medicine Bow Creek, 1880.

Eksp. nr 1899-1206

Maggie Zagubiony Koń. Północni Cheyenne.

Eksp. nr 1933-43 469

Anasazi. Wąwóz Śmierci. Wyprawa Thorpe'a-Carlsona, 1900.

Eksp. nr 1912-695

Luo. Jezioro Wiktorii. Podarunek gen. mjr. Henry'ego Throck-mortona, Bar.

Eksp. nr 1872-10

Aleuty, poch. nie potw.

Był to doprawdy dziwny cmentarz.

Za obszarem magazynowym znajdowały się pokoje, w których mieściły się laboratoria antropofizyki. Dawniej tętniły one życiem, a ich pracownicy krzatali się, badając kości, usiłując określić związki pomiędzy rasami, pochodzenie człowieka i tym podobne. Obecnie w laboratoriach prowadzono o wiele bardziej skomplikowane badania biochemiczne i epidemiologiczne.

Przed kilkoma laty na usilną prośbę Frocka postanowiono, że w miejscu tym prowadzone będą również badania genetyczne oraz analizy DNA. Za pokrywającymi się kurzem pomieszczeniami magazynowymi starych szczątków ludzkich znajdowały się nieskazitelnie czyste, olbrzymie wirówki, syczące autoklawy, aparaty do elektroforezy, świecące monitory, urządzenia do destylacji oraz miareczkowania, innymi słowy, było to jedno z najnowocześniejszych laboratoriów tego typu w całym kraju. Na Ziemi Niczyjej, pomiędzy starym a nowym, swój warsztat otworzył Greg Kawakita.

Smithback spojrział pomiędzy regałami w stronę drzwi laboratorium. Minęła dziesiąta i prócz Kawakity nie było tu żywego ducha. Przez szczelinę pomiędzy szufladami Smithback dostrzegł Kawakitę stojącego dwa rzędy dalej, wykonującego lewą, uniesioną ręką energiczne ruchy nad głową, jakby się na coś zamachiwał. Wtem Smithback usłyszał świst żyłki i szelest kołowrotka. A niech mnie drzwi ścisną — pomyślał Facet łowił

ryby.

— Złapałeś coś? — zawołał donośnie. Usłyszał głośny krzyk i trzask upuszczanej wędki.

— Niech cię diabli, Smithback — mruknął Kawakita. — Zawsze się tak skradasz. W ostatnim czasie straszenie ludzi w tym budynku nie należy do dobrego tonu. Mógłbym mieć pistolet czy inną broń.

Wyłonił się zza rogu, zwijając żyłkę na kołowrotek i szczerząc się radośnie do Smithbacka.

Pisarz wybuchnął śmiechem.

— Mówiłem ci, że nie powinieneś pracować w otoczeniu tych wszystkich umarlaków. Robisz się przez to okropnie skostniały. I na dodatek chyba ci odbiło.

— Tak tylko ćwiczę. — Kawakita roześmiał się. — Spójrz. Trzecia półka. Bizoni Garb.

Machnął wędziskiem. Żyłka wystrzeliła do przodu, mucha trafiła w cel, odbijając się od szuflady w trzecim rzędzie regału znajdującego się na samym końcu przejścia. Smithback podszedł bliżej.

Rzeczywiście, wewnątrz znajdowały się kości kogoś, kto za życia był Bizonim Garbem.

Smithback zagwizdał.

Kawakita ściągnął trochę żyłkę, poluzowując ją lewą ręką, prawą natomiast ścisnął korkową okładzinę na końcu wędki.

— Piąta półka, drugi rząd. John Mboya — oznajmił. Żyłka znów przecięła powietrze pomiędzy wąskimi półkami, a mała mucha dosięgła plakietki z wymienionym przed chwilą nazwiskiem.

— Ustąp miejsca, Izaacku Waltonie — rzekł, kręcąc głową, Smithback.



Kawakita zwinął żyłkę i zaczął rozbierać bambusową wędkę na części.

— To nie do końca to samo, co łowienie w rzece — rzekł, nie przerywając zajęcia — ale świetny trening, zwłaszcza w tak ograniczonej przestrzeni. W czasie przerw pomaga mi się zrelaksować. Naturalnie jeśli żyłka nie zapłacze mi się pomiędzy regałami, ma się rozumieć.

Po podjęciu pracy w muzeum Kawakita odmówił przyjęcia proponowanego mu słonecznego gabinetu na czwartym piętrze, wybierając mniejszy, tu, w laboratorium, gdyż, jak sam stwierdził, wolał znajdować się jak najbliżej swojej pracy. Od tej pory opublikował więcej artykułów niż niektórzy kustosze przez cały okres swojej kariery naukowej. Studia interdyscyplinarne u Frocka pozwoliły mu w szybkim czasie osiągnąć stanowisko asystenta Wydziału Biologii Ewolucyjnej i od tej pory cały swój wolny czas poświęcał badaniom nad ewolucją roślin. Kawakita sprytnie wykorzystał sławę swego mentora, aby samemu osiągnąć sukces i awans. Ostatnio na pewien czas zrezygnował z badań nad ewolucją roślin, zajmując się projektem programu ekstrapolatora sekwencji genetycznych. Oprócz pracy jego jedyną życiową pasją było wędkowanie, a gdyby ktoś spytał o szczegóły, dowiedziałby się, że Kawakita z lubością oddawał się łowieniu „na muchę” szlachetnego i trudnego do złapania łososia atlantyckiego.

Kawakita włożył wędkę do starego, wysłużonego futerału i ostrożnie odstawił do kąta. Dając Smithbackowi znak, aby poszedł za nim, ruszył pomiędzy rzędami metalowych, trumiennych regałów w stronę okazałego biurka i trzech masywnych, drewnianych krzeseł. Na biurku, jak zauważył Smithback, wały się rozmaite papiery, jakieś mocno szcztane monografie oraz płytkie tace wypełnione piaskiem i zabezpieczone folią, zawierające

rozmaite kości ludzkie.

— Spójrz na to — rzekł Kawakita, podsuwając coś w stronę Smithbacka.

Był to bogato zdobiony wizerunek drzewa genealogicznego wykonany tuszem na papierze czerpanym. Gałęzie drzewa nosiły oznaczenia w języku łacińskim.

— Ładne — odparł Smithback, siadając na krześle.

— Można tak powiedzieć — odparł Kawakita. — Obraz ewolucji człowieka z połowy XIX stulecia. Artystyczny majstersztyk, lecz z drugiej strony trawestacja nauki. Pracuję nad artykułem dla „Human Evolution Quarterly” na temat dawnych szkiców ewolucyjnych.

— Kiedy zostanie opublikowany? — zapytał Smithback z zawodowym zaciekawieniem.

— Na początku przyszłego roku. Te pisma działają bardzo wolno.

Smithback odłożył tablicę genealogiczną na biurko.

— Co właściwie ma to wspólnego z twoją obecną pracą, ESP, SAT czy jak mu tam?

— ESG — poprawił Kawakita, śmiejąc się. — Właściwie nic. To takie moje małe przedsięwzięcie po godzinach. Robię to dla rozrywki, żeby zająć się innymi sprawami niż zawodowe. — Włożył tablicę genealogiczną do tekturowej teczki i ponownie spojrzął na pisarza.

— A jak tam twoje dzieło? — spytał. — Madame Rickman nadal zatruwa ci życie?

Smithback wybuchnął śmiechem.

— Sądzę, że wszyscy już wiedzą o mojej nieustającej walce z tą pijawką. To temat na osobną książkę. Właściwie przyszedłem tu, aby

pomówić z tobą o Margo.

Kawakita usiadł naprzeciw Smithbacka.

— O Margo Green? Dlaczego?

Smithback zaczął od niechcienia kartkować jedną z monografii leżących na biurku.

— O ile mi wiadomo, potrzebuje twojej pomocy w jakiejś sprawie.

Kawakita zmrużył powieki.

— Zadzwoiła wczoraj wieczorem, pytając, czy mógłbym przepuścić jakieś dane przez program ekstrapolacyjny. Powiedziałem jej, że nie jest jeszcze gotowy. — Wzruszył ramionami. — Właściwie to prawda. Nie mogę gwarantować stuprocentowej dokładności korelacji. Poza tym ostatnio mam mnóstwo pracy. Nie mam czasu, aby zajmować się czyimiś zleceniami czy prowadzić kogoś za rączkę.

— Ona nie jest ignorantką, którą musiałbyś się opiekować jak kwoka kurczęciem — odrzekł Smithback. — Wiem, że sama również prowadzi jakieś skomplikowane badania genetyczne. Na pewno często odwiedza twoje laboratorium. — Odsunął książkę i wychylił się do przodu. — Może warto byłoby trochę pomóc tej małej — powiedział. — Ostatnio wiele przeżyła. Było jej bardzo ciężko. Wiesz, że dwa tygodnie temu straciła ojca.

Kawakita wydawał się zdziwiony.

— Naprawdę? Czy o tym rozmawialiście w sali klubowej? Smithback skinął głową.

— Nie mówiła zbyt wiele, ale widać, że bardzo to przeżyła.

Zastanawiała się nad odejściem z muzeum.

— To byłby poważny błąd. — Kawakita zmarszczył brwi. Już miał coś

powiedzieć, ale nagle się pohamował. Usiadł wygodniej na krześle i przyjrzał się uważnie Smithbackowi. — To spory altruistyczny gest z twojej strony — powiedział. Wydał wargi i wolno pokiwał głową. — Bill Smithback, dobry samarytanin. To twój nowy image?

— William Smithback junior, jeśli łaska.

— Bill Smithback, harcerzyk co się zowie — ciągnął Kawakita.

Pokiwał głową. — Nie, to nie brzmi najlepiej. Wyczuwam jakąś fałszywą nutę. Nie przyszedłeś tu po to, by rozmawiać o Margo, zgadza się?

Smithback zawahał się.

— Cóż, to jeden z kilku powodów — przyznał.

— Wiedziałem! — wykrzyknął Kawakita. — No, to wal!

— No dobra. — Smithback westchnął. — Posłuchaj, próbuję zebrać możliwie jak najwięcej informacji na temat ekspedycji Whittleseya.

— Czego?

— Wyprawy do Ameryki Południowej, której zawdzięczamy figurkę Mbwuna. No, wiesz, tę atrakcję nowej wystawy.

Twarz Kawakity rozpromieniła się.

— Ach, tak. To zapewne o niej mówił tamtego dnia w herbarium stary Smith. Co z tą figurką?

— Sądzymy, że stanowi ogniwo łączące ekspedycję i te morderstwa.

— Co takiego? — rzucił z niedowierzaniem Kawakita. — Nie mów mi, że i ty uwierzyłeś w te brednie o Bestii z Muzeum.

I co ma znaczyć to „my”?

— Nie twierdę, że w to wierzę, jasne? — odparował Smithback. — Tyle tylko, że ostatnio sporo się dowiedziałem. Słyszałem wiele dziwnych rzeczy. I Rickman mocno się wahała przed wystawieniem tej figurki.

Zresztą nie jest ona jedynym reliktem pozyskanym podczas tej wyprawy z Amazonii, przysłano w sumie kilka sporych skrzyń z różnymi artefaktami. Chcę dowiedzieć się możliwie jak najwięcej na ten temat.

— Ale co ja właściwie mam z tym wspólnego? — zapytał Kawakita.

— Nic. Poza tym, że jesteś asystentem kustosza. Masz szerokie uprawnienia w dostępie do tutejszych baz danych. Mógłbyś trochę poszperać tu i tam, dowiedzieć się czegoś o tych skrzyniach.

— Wątpię, aby w ogóle zostały wprowadzone do bazy danych — mruknął Kawakita. — Tak czy inaczej, to bez znaczenia.

— A to dlaczego? — spytał Smithback. Kawakita wybuchnął śmiechem.

— Zaczekaj tu chwilkę. — Wstał i udał się do swego laboratorium. Wrócił po kilku minutach, trzymając w dłoni jakąś kartkę.

— Musisz mieć chyba zdolności telepatyczne — rzekł, podając ją pisarzowi. — Spójrz, co znalazłem dziś rano w swojej poczcie.

Nowojorskie Muzeum Historii Naturalnej

Do obiegu wewnętrznego

Do: kustosze i starsi pracownicy naukowci

Od: Lavinia Rickman

Do: Wright, Lewallen, Cuthbert, Lafore

Wskutek ostatnich nieszczęśliwych wypadków telewizja i prasa a przede wszystkim opinia publiczna zwróciły baczną uwagę na muzeum. W zaistniałej sytuacji zmuszona jestem do natychmiastowej zmiany polityki muzeum w jego kontaktach ze światem zewnętrznym, ze szczególnym uwzględnieniem mediów. Wszelkie kontakty z prasą prowadzone będą za pośrednictwem tutejszego biura do spraw public relations. Zabrania się

wszelkich komentarzy dotyczących spraw muzeum, zarówno do publikacji, jak również natury prywatnej, w tym także udzielania jakiegokolwiek pomocy osobom zajmującym się przeprowadzaniem wywiadów, prowadzeniem dokumentacji, pracujących nad książkami, artykułami prasowymi itp. Od dzisiaj osoby te mają we wszelkich sprawach dotyczących muzeum kontaktować się z wyżej wymienionym biurem. Niezastosowanie się do powyższych zaleceń grozić będzie poważnymi sankcjami dyscyplinarnymi egzekwowanymi bezpośrednio przez dyrektora muzeum

Dziękuję za współpracę w tych trudnych dla nas wszystkich chwilach.

— Chryste — mruknął Smithback. — Spójrz na to. „Osoby pracujące nad książkami”.

— Chodzi jej o ciebie, Bill. — Kawakita wybuchnął śmiechem. — Sam widzisz Mam związane ręce. — Wyjął z tylnej kieszeni chustkę i wydmuchał nos. — Mam alergię na pył kostny — wyjaśnił.

— Nie do wiary — rzekł Smithback, ponownie czytając okólnik.

Kawakita poklepał go po ramieniu

— Bill, przyjacielu, wiem, że ta historia to prawdziwy dynamit.

Chciałbym pomóc ci napisać najbardziej kontrowersyjną, bulwersującą i demaskatorską książkę, jaką tylko można sobie wyobrazić. Ale nie mogę. Muszę dbać o swoją karierę. — Wzmógł uścisk. — Zamierzam wkrótce wspiąć się o kolejny szczebel wyżej. Nie mogę sobie teraz pozwolić na wichrzycielstwo. Mącenie wody to kiepski pomysł na robienie kariery. Będziesz musiał znaleźć jakieś inne wyjście. Poradzisz sobie. W porządku?

Smithback pokiwał głową.

— W porządku.

— Powiedziałeś to bez przekonania. — Kawakita zaśmiał się.

— Ale mimo wszystko jestem pewien, że mnie rozumiesz. Delikatnie zmusił pisarza, aby podniósł się z krzesła.

— Coś ci powiem. Może wspólnie wybralibyśmy się w niedzielę na ryby? Zapowiadają nad Connetquot niezłe branie.

Smithback wreszcie się uśmiechnął.

— Odłóż dla mnie trochę robaków — rzucił pogodnym tonem. —  
Wchodzę w to.

## *Rozdział dwudziesty szósty*

D'Agosta był na drugim końcu muzeum, gdy otrzymał kolejne zgłoszenie. Znowu zauważono intruza w sektorze 18, w sali komputerów.

Westchnął, włożył krótkofalówkę do kabury przy pasie, myśląc o swoich bolących stopach. W tym cholernym budynku wszyscy widzieli duchy.



W holu przed Salą Komputerów tłoczyło się tuzin osób, dowcipkując nerwowo. Przy zamkniętych drzwiach stało dwóch mundurowych policjantów.

— W porządku — rzekł D'Agosta, odwijając celofan z cygara. — Kto to widział?

Młody mężczyzna postąpił naprzód. Biały fartuch laboratoryjny, obwisłe ramiona. Szkła okularów grubości denka butelki coca-coli, przy pasku kalkulator i pager. Rany boskie — pomyślał D'Agosta, skąd oni biorą tych facetów? Ten był doskonały.

— Tak naprawdę to ja nic nie widziałem — powiedział — ale usłyszałem głośny hałas, taki jakby łoskot, w Sali Systemów Elektrycznych. Straszny rumor, jakby ktoś próbował sforsować drzwi.

D'Agosta odwrócił się do dwóch policjantów.

— Sprawdźmy to.

Zaczął kręcić klamką i w tej samej chwili ktoś podał mu klucz z wyjaśnieniem:

— Zamknęliśmy je. Nie chcieliśmy, aby cokolwiek się stamtąd wydostało...

D'Agosta machnął ręką. To absurd. Wszystko stawało na głowie. Ludzie byli wystraszeni i przewrażliwieni. Jak to możliwe, że na jutrzejszy wieczór planowano wielkie otwarcie? Przecież powinni byli zamknąć całą tę budę już po pierwszym morderstwie.

Pokój, duży i okrągły, wyglądał całkiem normalnie. Pośrodku, na sporym podwyższeniu, skąpany w jasnym świetle stał półtorametrowej wysokości biały walec, zapewne muzealny eksponat — uznał D'Agosta. Urządzenie buczało cicho, otoczone terminalami, stanowiskami pracy,

biurkami i biblioteczkami.

W oddali dostrzec można było dwoje drzwi.

— Sprawdźcie te pomieszczenia — polecił policjantom, wkładając do ust nie zapalone cygaro. — Ja zajmę się papierkową robotą i pomówię z tym facetem.

Wrócił do holu.

— Nazwisko? — zapytał.

— Roger Thrumcap. Jestem kierownikiem zmiany.

— W porządku — rzekł ze znużeniem D'Agosta, robiąc notatki.

— Doniósł pan o dziwnym hałasie dochodzącym z Sali Przetwarzania Danych.

— Nie, proszę pana. Sala Przetwarzania Danych jest piętro wyżej. To Sala Komputerowa. Monitorujemy tu hardware, nadzorujemy pracę systemu.

— A więc Sala Komputerowa. — Zapisał kolejnych kilka słów.

— O której po raz pierwszy usłyszał pan ten hałas?

— Parę minut po dziesiątej. Właśnie skończyliśmy przeglądać gazety.

— Czytał pan gazetę, kiedy usłyszał ten hałas?

— Nie, sir. Przeglądaliśmy taśmy z artykułami z gazet. Codzienny przegląd. Rutynowa robota.

— Rozumiem. I o dziesiątej już kończył pan pracę?

— Backupów nie można robić w godzinach szczytu. Mamy specjalne polecenie, aby przychodzić tu już o szóstej rano.

— Szczęściarze. Gdzie konkretnie pan był, kiedy usłyszał pan ten hałas?

— Odgłosy dochodziły z pomieszczenia elektryki.

— A ono znajduje się...?

— Drzwi na lewo od MP-3. To znaczy od komputera, sir.

— Widziałem tam dwoje drzwi — powiedział D'Agosta. — Co znajduje się za drugimi?

— Właściwie nic ciekawego. Można tam wejść, tylko używając karty, nikt niepowołany nie dostałby się do środka.

D'Agosta spojrział na tamtego ze zdziwieniem.

— To magazyn, części zamienne, dyski komputerowe i takie tam. Wszystko jest tam zautomatyzowane i nikt nie wchodzi do środka, z wyjątkiem konserwatorów sprzętu. — Dumnie pokiwał głową. — Znajdujemy się w całkowicie zautomatyzowanym miejscu pracy. W porównaniu z nami DP jest nadal w epoce kamienia łupanego. Oni wciąż zatrudniają operatorów ręcznie ładujących taśmy, nie mają silosów i w ogóle.

D'Agosta wrócił do środka.

— Odgłosy dochodziły rzekomo zza tamtych drzwi, po lewej. Sprawdźmy to. — Odwrócił się. — Niech nikt tu teraz nie wchodzi — rzekł do Thrumcapa.

Drzwi do pomieszczenia elektryki otwarły się szeroko, w powietrzu rozeszła się woń ozonu i nagranych przewodów. D'Agosta przez chwilę gmerał po omacku, odnalazł włącznik światła i przekręcił go.

Na początek uważnie spenetrował całe pomieszczenie wzrokiem, jak każe regulamin. Transformatory. Kraty przesłaniające przewody wentylacyjne. Kable. Kilka urządzeń klimatyzacyjnych. Sporo gorącego powietrza. I nic więcej.

— Zajrzyjcie za ten sprzęt — rzekł D'Agosta. Funkcjonariusze

wykonali polecenie. Jeden z nich obejrzał i wzruszył ramionami.

— W porządku — powiedział D'Agosta, wracając do Sali Komputerowej. — Wygląda na to, że jest czysto. Panie Thrumcap?

— Tak? — Mężczyzna zajrzał do środka.

— Może pan wpuścić tu ludzi. Chyba wszystko jest w porządku, ale na wszelki wypadek przez najbliższe trzydzieści sześć godzin będzie wam towarzyszył policjant z bronią — Zwrócił się do jednego ze swoich ludzi, który właśnie wychodził z pokoju elektryki. — Waters, zostaniesz tu do końca zmiany. Tak pro forma, dobrze? Przyślę ci zmiennika.

Jeszcze kilka takich zgłoszeń i zabraknie mi ludzi.

— Tak jest — odparł Waters

— Doskonały pomysł — pochwalił Thrumcap. — Wie pan, że ten pokój stanowi serce muzeum. Raczej powinienem powiedzieć mózg. Obsługujemy tu telefony, maszyny, sieć komputerową, drukarki, pocztę elektroniczną, system ochrony...

— Jasne — rzekł D'Agosta. Zastanawiał się, czy to ta sama ochrona, która nie dysponowała dokładnymi, aktualnymi planami podziemi muzeum.

Personel wrócił do pokoju, zajmując miejsca przy swoich terminalach. D'Agosta otarł czoło. Gorąco tu jak w saunie. Odwrócił się, aby wyjść.

— Rog — usłyszał za sobą głos. — Chyba mamy problem. D'Agosta przystanął na chwilę.

— Boże — jęknął Thrumcap, spoglądając na monitor. — System padł. Co, u diabła..

— Czy terminal główny miał zapuszczone backupy, kiedy stąd wychodziłeś, Rog? — spytał niski facet o wielkich, wystających zębach.

— Kiedy skończył i nie załapał odpowiedzi, mógł wywalić tylko część danych.

— Miejmy nadzieję, że masz rację — rzekł Roger. — Oby wywalił tylko część.

— Nie reaguje.

— Czy SO padł? — spytał Thrumcap, nachylając się nad monitorem zębatego.

— Niech no spojrzę.

W pokoju rozległ się alarm, niezbyt głośny, ale piskliwy i natarczywy. D'Agosta ujrzał czerwoną lampkę w suficie nad smukłym eksponatem. Może lepiej będzie, jeśli tu zostanie.

— Co teraz? — spytał Thrumcap.

Jezu, ale gorąco — pomyślał D'Agosta. — Jak oni mogą wytrzymać w tym upale?

— Co to za kod się wyświetla?

— Nie wiem. Zajrzyj.

— Dokąd?

— Do podręcznika, durniu! Jest przy twoim terminalu. Masz. Sprawdź.

Thrumcap zaczął kartkować grubą księgę.

— 2291, 2291... mam. Alarm cieplny. Boże, maszyna się przegrzewa! Ściągnijcie tu ekipę naprawczą, migiem!

D'Agosta wzruszył ramionami. Ten łoskot, który usłyszeli, zwiastował zapewne awarię kompresorów klimatyzacji. Nie potrzeba naukowca, aby do tego dojść. Musi tu być z 90°. Na korytarzu minął dwóch pracowników ekipy naprawczej, biegnących w przeciwnym kierunku.

Jak większość współczesnych superkomputerów, ten znajdujący się w

muzeum MP-3 o wiele lepiej znosił gorąco niż jego poprzednicy, „wielkie żelazne szafy” sprzed dziesięciu czy dwudziestu lat. Jego krzemowy mózg, w przeciwieństwie do wcześniejszych, lampowych i tranzystorowych, był w stanie funkcjonować w temperaturach o wiele wyższych od optymalnej przez znacznie dłuższy czas, nie odnosząc poważniejszych uszkodzeń i nie tracąc danych. Jakkolwiek przyłączony doń interfejs muzealnego systemu ochrony zamontowany został przez osoby do tego nie powołane, wbrew zasadom bezpieczeństwa opracowanym przez producenta superkomputera. Gdy temperatura w sali komputerowej osiągnęła 94°F, mikroprocesory ROM obsługujące System Automatycznej Kontroli Sytuacji Zagrożenia uległy przeciążeniu. Wysiadły półtorej minuty później.

Waters stał w rogu pomieszczenia, rozglądając się smętnie dookoła. Ekipa naprawcza poszła sobie już godzinę temu, w pokoju panował przyjemny chłód. Wszystko wróciło do normy, jedynymi słyszalnymi odgłosami był szum komputera i mechaniczny klekot tysięcy klawiszy. Leniwie spojrzął na ekran monitora przy nie obsadzonym stanowisku pracy. Pośród czerni ekranu pojawiała się migająca wiadomość:

**USZKODZENIE SZYKU ZEWNĘTRZNEGO NA ROM 33B1 4A OE**

To brzmiało jak Chińszczyzna. Czy nie można było wyjaśnić tego w nieco bardziej cywilizowany i zrozumiały sposób? Nie znosił komputerów. Na dodatek te durne maszyny „zjadały” zwykle „s” w jego nazwisku na rachunkach. Nie przepadał też za jajogłowymi, którzy je obsługiwali. Banda przemądrzałych, czterookich kujonów. Jeśli coś tu było nie tak, niech oni się tym zajmą.



## *Rozdział dwudziesty siódmy*

Smithback podszedł do swojego ulubionego miejsca w prywatnej czytelni, rzucając obok całą stertę notesów. Wzdychając ciężko, usiadł w ciasnym kąciku, postawił na biurku laptop i włączył niedużą górną lampkę. Znajdował się o rzut kamieniem od głównej czytelni, ogromnego pomieszczenia z dębową boazerią na ścianach, fotelami obitymi czerwoną skórą i marmurowym kominkiem, którego nie używano od stu lat. Mimo to Smithback wolał nieduże, prywatne czytelnie. Zwłaszcza te, gdzie na stołach piętrzyły się stosy książek, gdzie mógł do woli przeglądać wypożyczone zaledwie na kilka godzin dokumenty i manuskrypty lub po prostu się zdrzemnąć, gdy akurat miał na to ochotę, w spokoju, ciszy i atmosferze niczym nie zmaconej prywatności.

Należący do muzeum zbiór rzadkich, nowych i starych ksiąg na temat historii naturalnej nie miał sobie równych. Przez lata włączono doń tak liczne i obszerne kolekcje prywatne, czy to na drodze darowizny, czy zapisu w testamencie, że nie nadążano za ich katalogowaniem i pomiędzy stanem faktycznym zbiorów a ich zawartością na papierze zawsze istniały spore rozbieżności. Mimo to Smithback znał bibliotekę lepiej niż większość bibliotekarzy. Potrafił odnaleźć żądany manuskrypt lub księgę w rekordowym czasie.

Obecnie wydał wargi, rozmyślając intensywnie. Moriarty był upartym biurokratą, a Kawakita wyłgał się za sprawą wewnętrznego urzędowego



okólnika.

Smithback nie znał nikogo innego, kto mógłby zapewnić mu dostęp do tutejszej głównej bazy danych. Cóż, musiały istnieć inne sposoby na rozwikłanie tej zagadki.

Zainteresował się mikrofizjami i zaczął przeglądać indeks „New York Timesa”. Cofnął się aż do roku 1975. Nie odnalazł tam niczego ciekawego, podobnie jak w sprawdzonych później przez niego pismach traktujących o antropologu i historii naturalnej.

Przejrzał wcześniejsze wydanie wewnętrznych periodyków muzeum, poszukując w nich informacji o wyprawie. Nic. W Kto jest kim w MHNNI dwie linijki poświęcone Whittleseyowi powiedziały mu dokładnie to, co już wiedział.

Zaklął pod nosem. Ten facet jest ukryty głębiej niż skarb z Oak Island.

Smithback powoli odłożył grube woluminy na półki i rozejrzał się dokoła. Następnie wyrwawszy z notesu kilka kartek, podszedł nonszalancko do punktu informacji, gdzie, jak już wcześniej sprawdził, pełniła dyżur bibliotekarka, której nigdy dotąd nie widział.

— Muszę zwrócić je z powrotem do archiwum — powiedział.

Bibliotekarka posłała mu srogie spojrzenie

— Jest pan tu nowy?

— Jestem z biblioteki naukowej, przeniesiono mnie tu w zeszłym tygodniu. No, wie pani, wymiana. — Uśmiechnął się pełen nadziei, że wyglądało to szczerze i przekonująco.

Zmarszczyła brwi, przyglądając mu się z niepewnością, i w tej samej chwili rozdzwonił się stojący na biurku telefon. Zawahała się, po czym podniosła słuchawkę i jakby od niechcienia podała mu listę na podkładce i

klucz na długim, niebieskim sznurku.

— Proszę się wpisać — powiedziała, zasłaniając dłonią mikrofon.

Archiwum mieściło się za szarymi, nie oznakowanymi drzwiami w odległej części biblioteki. To było pokerowe zagranie w pełnym tego słowa znaczeniu. Prawdziwy hazard.

Smithback był tu tylko raz, i to służbowo. Wiedział, że większość archiwaliów przechowywana jest gdzie indziej i że katalogi biblioteczne są, delikatnie mówiąc, dość specyficzne. Mimo to coś go tknęło. Jakiś impuls nakłaniał go do działania. Zamknął drzwi i ruszył naprzód, lustrując półki i stosy oznakowanych pudeł.

Przeszedł przez całą długość pomieszczenia i już miał zawrócić, gdy nagle stanął jak wryty. Ostrożnie sięgnął i zestawiał pudło opisane jako: ST.B.D. Półw. ODB. Przes. Lot. A. Śr.

Przykucnął i zaczął szybko przeglądać papiery.

Znów cofnął się aż do roku 1975. Rozczarowany raz jeszcze przejrzał papiery. Nic.

Odstawiwszy pudło na miejsce, jego wzrok padł na inne, z nalepką RACHUNKI FRACHTOWE, 1970-1990. Nie mógł zabawić tu dłużej niż pięć minut. Ryzyko było zbyt duże. Musiał wykorzystać ten czas najlepiej, jak potrafił.

Jego palec zatrzymał się niemal przy samym końcu grubego pliku papierów.

— Mam cię — wyszeptał, wyjmując z pudła pomięty, pokryty smugami rachunek. Wyłuskał z kieszeni dyktafon i cichym głosem odczytał najważniejsze słowa, daty i miejsca: Belem, port w Nowym Orleanie; Brooklyn. Strella de Venezuela — Gwiazda Wenezueli.

Dziwne — pomyślał — okropnie długo przeleżały w Nowym Orleanie.

— Wydaje się pan bardzo zadowolony — powiedziała bibliotekarka, kiedy oddawał jej klucz.

— Życzę miłego dnia. — Zakończył wpisywanie się na listę, gości odwiedzających archiwum: Sebastian Melmoth — wejście godz. 11.10, wyjście godz. 11.25.

Wróciwszy do katalogu mikrofilmów, Smithback przystanął i zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Wiedział, że wychodząca w Nowym Orleanie gazeta miała dziwną nazwę o przedwojennym brzmieniu — „Times-Picayune”, tak, właśnie tak. Szybko przejrzał katalog. Jest. — „Times-Picayune”, od 1840 roku do czasów obecnych.

Wrzucił do urządzenia taśmę z roku 1988. Gdy dotarł do mikrofisz z paździenika tego roku, zwolnił, a potem całkiem zatrzymał przeglądarkę. Na ekranie ujrzał pierwszą stronę nowoorleańskiej gazety z krzykliwym nagłówkiem, którego treść zaparła mu dech w piersiach.

— O Boże — wyszeptał. Jego wątpliwości rozwiały się w jednej chwili. Teraz wiedział już, dlaczego skrzynie należące do ekspedycji Whittleseya przeleżały tak długo w Nowym Orleanie.



## *Rozdział dwudziesty ósmy*

— Przepraszam, panno Green, jego gabinet jest nadal zamknięty. Przekażę mu wiadomość tak szybko, jak to będzie możliwe.

— Dzięki — powiedziała Margo, odkładając słuchawkę z rezygnacją. Jak mogła być oczami i uszami Frocka, skoro nie mogła nawet z nim porozmawiać?

Kiedy Frock nad czymś pracował, często zamykał się w swoim biurze. Sekretarka знаła go na tyle, że wiedziała, iż nie należy mu przeszkadzać. Margo już dwukrotnie dziś rano próbowała się z nim skontaktować. Bezskutecznie. Nie sposób było określić, kiedy znów się pojawi.

Spojrzała na zegarek, 11.20, już prawie południe. Włączyła terminal i spróbowała się zalogować.

WITAJ MARGO GREEN@BIOTECH@STF

WITAJ PONOWNIE W MUSENET

DISTRIBUTED NETWORKING SYSTEM,

RELEASE 15-5

COPYRIGHT © 1989-1995 NYMNH I CEREBRAL  
SYSTEMS INC.

POŁĄCZENIE O 11.20.45 03-30-95

DRUKARKA PODŁĄCZONA

\*DO WSZYSTKICH UŻYTKOWNIKÓW — WAŻNA  
INFORMACJA\*

Z UWAGI NA AWARIĘ SYSTEMU JEGO PONOWNE  
URUCHOMIENIE NASTĄPI DOPIERO W POŁUDNIE. ISTNIEJE  
PRAWDOPODOBIEŃSTWO USZKODZEŃ PLIKÓW. ZGŁOSZENIA O  
BRAKUJĄCYCH LUB USZKODZONYCH PLIKACH PRZYJMUJE  
ADMINISTRATOR SYSTEMU. O WSZELKICH BRAKACH NALEŻY  
POWIADAMIAĆ NATYCHMIASTOWO.

ROGER THRUMCAP @ ADMIN @ SYSTEMS

MASZ 1 WIADOMOŚĆ

Weszła do menu poczty elektronicznej i przeczytała treść depeszy.

WIADOMOŚĆ OD: GEORGE MORIARTY@EX-HIB@STF

WYSŁANA 10.14.07 03-30-95

DZIĘKI ZA KOPIĘ RAPORTU — WYGLĄDA DOSKONALE, NIE

WYMAGA ŻADNYCH ZMIAN. DOŁĄCZYMY GO PRZY  
OSTATNICH PRZYGOTOWANIACH PRZED UROCZYSTYM  
OTWARCIEM. MOŻE POSZLIBYŚMY DZIŚ RAZEM NA LUNCH?

— GEORGE

ODPOWIEDŹ/KASOWANIE/ZACHOWAĆ? (O/K/Z)?

Zadzwonił telefon, przerywając ciszę.

— Halo?

— Margo? Cześć. Tu George — rozległ się głos Moriarty'ego.

— Cześć — odparła. — Przepraszam, dopiero teraz otrzymałam twoją wiadomość.

— Tak myślałem — roześmiał się. — Jeszcze raz dzięki za pomoc.

— Cieszę się, że mogłam pomóc — odrzekła. Moriarty milczał.

— To... — zaczął niepewnie — co z tym lunchem?

— Przykro mi — powiedziała Margo. — Poszłabym chętnie, ale czekam na pilny telefon od doktora Frocka. Może oddzwonić za pięć minut, ale równie dobrze za tydzień.

Po ciszy, jaka nastąpiła, Margo zorientowała się, że Moriarty poczuł się rozczarowany.

— Mam propozycję — wtrąciła. — Gdy będziesz wychodził, zajrzyj tu do mnie. Jeśli do tego czasu Frock zadzwoni, najprawdopodobniej będę wolna. Jeżeli nie... no cóż, może posiedzisz ze mną choć przez chwilę, rozwiążemy wspólnie krzyżówkę z „Timesa” czy coś w tym rodzaju.

— Pewno! — rzucił Moriarty. — Znam wszystkie trzyliterowe australijskie ssaki, jakie istnieją.

Margo zawahała się.

— I może kiedy już tu będziesz, zajrzelibyśmy do bazy danych i poszukali informacji na temat skrzyń Whittleseya?

Zapadła głucha cisza. Moriarty westchnął.

— Cóż, skoro to dla ciebie tak ważne... W gruncie rzeczy czemu nie moglibyśmy tego zrobić? Zajrzę do ciebie około południa.

Pół godziny później rozległo się pukanie do drzwi.

— Wejdz! — zawołała.

— Drzwi są zamknięte! — To nie był głos Moriarty'ego. Otworzyła drzwi.

— Nie spodziewałam się tutaj ciebie.

— To szczęście, przypadek czy zrządzenie losu? — rzucił Smithback, szybko wchodząc i zamykając za sobą drzwi. — Posłuchaj, kwiecie lotosu, od wczorajszego wieczoru byłem bardzo zajęty.

— Ja również — odparła. — Moriarty zjawi się tu lada chwila, dzięki niemu będziemy mogli dostać się do bazy danych.

— Jak udało ci się...

— Nieważne — odparła krótko Margo.

Drzwi otworzyły się i do środka zajrzał Moriarty.

— Margo? — zapytał.

I nagle zobaczył Smithbacka

— Śmiało, profesorze, proszę wejść — rzekł Smithback. — Dziś nie gryzę. Nie jestem w nastroju.

— Nie przejmuj się nim — wtrąciła Margo. — Ma denerwujący zwyczaj zjawiania się bez uprzedzenia. Wejdziesz wreszcie.

— I czuj się jak u siebie — dorzucił Smithback, zamaszystym gestem wskazując krzesło przed stanowiskiem komputerowym Margo.



Moriarty usiadł powoli, spoglądając na Smithbacka, potem na Margo i znów na Smithbacka.

— O ile wiem, chciałaś, abym umożliwił ci dostęp do bazy danych — powiedział.

— Gdybyś był tak miły — rzekła półgłosem Margo. Obecność Smithbacka nadała całej sytuacji podejrzany charakter. Zupełnie jakby to wszystko zostało przez nich dwoje ukartowane.

— W porządku, Margo — Moriarty dotknął palcami klawiatury. — Smithback, odwróć się. Muszę wpisać hasło, chyba sam rozumiesz.

Muzealna baza danych zawierała informacje na temat milionów eksponatów znajdujących się w tutejszych zbiorach. Początkowo dostęp do niej mieli wszyscy stali pracownicy. Jednakże ktoś z czwartego piętra zaczął niepokoić się faktem, że właściwie każdy może poznać szczegółowe informacje na temat artefaktów oraz miejsca ich przechowywania. Obecnie dostęp mieli wyłącznie wyżsi pracownicy naukowcy, od asystenta kustosza, w rodzaju Monarty'ego, w górę.

Moriarty powoli stukał w klawisze.

— Wiesz, że mogę zarobić za to niezłą reprimendę — powiedział. — Doktor Cuthbert jest bardzo zasadniczy. Czemu nie poprosiłaś o to Frocka?

— Jak już wspomniałam, nie mogę się z nim skontaktować — odparła Margo.

Moriarty wcisnął ostatni klawisz enter.

— I już — powiedział. — Sprawdź, co chcesz, tylko szybko. Po raz drugi tego nie zrobię.

Margo i Smithback zbliżyli się do komputera. Na ekranie monitora

pojawiły się zielone litery.

PLIK WPROWADZONY, KOLEKCJA NUMER 1989-2006

DATA: 4 KWIETNIA 1989

ZEBRANA PRZEZ: JULIANA WHITTLESEYA, EDWARDA  
MAXWELLA I IN.

SKATALOGOWANA PRZEZ: HUGO C. MONTAGUE

ŹRÓDŁO: EKSPEDYCJA WHITTLESEYA/MAXWELLA DO  
AMAZONII

MIEJSCE SKŁADOWANIA: BUDYNEK 2, POZIOM 3, SEKTOR 6,  
SKARBIEC 144

INFORMACJE DODATKOWE: SKATALOGOWANE PONIŻEJ  
EKSPONATY OTRZYMANO 1 LUTEGO 1989 W 7 SKRZYNIACH  
PRZYSŁANYCH PRZEZ EKSPEDYCJĘ  
WHITTLESEYA/MAXWELLA Z REJONU GÓRNEGO BRZEGU  
RZEKI XINGU. 6 SKRZYŃ ZOSTAŁO SPAKOWANYCH PRZEZ  
MAXWELLA, 1 PRZEZ WHITTLESEYA. WHITTLESEY I THOMAS  
R. CROCKEY JR NIE POWRÓCILI Z WYPRAWY I UWAŻA SIĘ ICH  
ZA ZMARŁYCH. MAXWELL I RESZTA CZŁONKÓW WYPRAWY  
ZGINĘLI W KATASTROFIE LOTNICZEJ W DRODZE POWROTNEJ  
DO USA. JEDYNI ZAWARTOŚĆ SKRZYNI WHITTLESEYA NIE  
ZOSTAŁA DO KOŃCA SKATALOGOWANA. NINIEJSZA  
ADNOTACJA ZOSTAŁA SPORZĄDZONA PO ZAKOŃCZENIU SPISU  
ZAWARTOŚCI WSZYSTKICH SKRZYŃ MAXWELLA. W  
NIEKTÓRYCH PRZYPADKACH PRZY OPISIE POSIŁKOWANO SIĘ  
TREŚCIĄ DZIENNIKA.

HCM 4/89

— Widzisz? — odezwał się Smithback. — Ciekawe dlaczego nie dokończono katalogowania.

— Cii — syknęła Margo. — Daj mi się skupić i przeczytać do końca.

NR 1989-2006.1

DMUCHAWKA I STRZAŁKA, BRAK DANYCH

STATUS: S

NR 1989-2006.2

DZIENNIK OSOBISTY J. WHITTLESEYA OD 22 LIPCA (1987) DO  
17 WRZEŚNIA (1987)

STATUS: T.P.

NR 1989-2006.3

2 PEKI TRAW Z PRZYWIĄZANYMI PIÓRAMI PAPUGI, WYK. W  
CHAR. SZAMAŃSKIEGO FETYSZA, Z OPUSZCZONEJ CHATY

STATUS: S

NR 1989-2006.4

MISTERNIE RZEŹBIONA FIGURA ZWIERZĘCIA  
PRZEDSTAWIAJĄCA RZEKOMO „MBWUNA" (ZA DZIENNIKIEM  
WHITTLESEYA S. 56-59)

STATUS: D.E.

NR 1989-2006.5

DREWNIANA PRASA DO ROŚLIN, POCH. NIEZNANE, ZNAL. W  
POBLIŻU OPUSZCZONEJ CHATY

STATUS: S

NR 1989-2006.6

DYSK POKRYTY SYMBOLAMI

STATUS: S

INFORMACJE DODATKOWE: WSZYSTKIE SKRZYNI  
PRZENIESIONE TYMCZASOWO DO STREFY CHRONIONEJ,  
POZIOM 2B, POL. IANA CUTHBERTA

3/20/95 D. ALVAREZ S.O.

— Co oznaczają te kody? — zapytał Smithback.

— Obecny status danego obiektu — wyjaśnił Moriarty. — S oznacza, że przedmiot znajduje się nadal w skrzyni, czyli nie został oficjalnie włączony do zbiorów muzealnych. D.E. oznacza „przeznaczony do ekspozycji”, T.P. „tymczasowo pobrany”. Są jeszcze inne...

— Tymczasowo pobrany? — spytała Margo. — I to wszystko? Tylko tego potrzeba, żeby coś zabrać? Nic dziwnego, że dziennik zaginął.

— Oczywiście, że to nie wszystko — odparł Moriarty. — Każdy kto pobiera jakąś rzecz, musi się zarejestrować. Baza danych ma układ hierarchiczny. Wystarczy zejść poziom niżej, aby sprawdzić szczegóły dotyczące konkretnej pozycji. Spójrzcie, pokażę wam. — Uderzył w kilka klawiszy.

Wyraz jego twarzy zmienił się.

— To dziwne. — Na ekranie pojawiła się wiadomość następującej treści:

BRAK DANYCH / DZIAŁANIE WSTRZYMANE

Moriarty zmarszczył brwi.

— Dziennik Whittleseya nie ma rozwinięcia. Brak dalszych informacji na jego temat. — Wyczyścił ekran i znów zaczął stukać w klawisze. — Inne je mają. Widzicie? Tu są informacje szczegółowe dotyczące tej figurki.

**\*\*INFORMACJE SZCZEGÓŁOWE\*\***

Pozycja: 1989-2006.4

#####

Pobranie przez: Cuthbert, I. 40123

Zaaprobowane przez: Cuthbert, I. 40123

Data pobrania: 3.17.95

Miejsce docelowe: Wystawa Przesady

Gablota 415, poz. 1004

Powód pobrania: prezentacja na wystawie

Data zwrotu:

#####

Pobranie przez: Depardieu, B. 72412

Zaaprobowane przez: Cuthbert, I. 40123

Data pobrania: 10.1.90

Miejsce docelowe: 2 lab. antropologii

Powód pobrania: Badanie naukowe/rejestracja

Data zwrotu: 10.5.90

#####

spis zakończony

=:?

— I co to oznacza? Wiemy, że dziennik zaginął — rzekła Margo.

— Nawet jeśli zaginął, informacja na ten temat powinna znaleźć się w bazie danych — odparł Moriarty.

— Czy dane zostały zastrzeżone?

Moriarty pokręcił głową i wystukał coś na klawiaturze.

— Oto rozwiązanie — rzekł w końcu, wskazując na ekran. — Dane wykasowano.

— Usunięto dane o miejscu przechowywania dziennika? — spytał Smithback. — Czy ktoś w ogóle mógłby zrobić coś takiego?

Moriarty wzruszył ramionami.

— To wymaga wysokiego priorytetu dostępu.

— Istotniejsze jest, po co ktoś miałby to zrobić — wtrąciła Margo. — Czy może mieć z tym coś wspólnego poranna awaria systemu?

— Nie — odrzekł Moriarty. — Z tego co właśnie zdołałem ustalić, dane zostały usunięte znacznie wcześniej. Niestety nie potrafię bliżej sprecyzować daty.

— Wykasowane, co? — burknął Smithback. — Usunięte na zawsze. Czysto i miło. Cóż za zbieg okoliczności. Zaczynam dostrzegać tu pewną zasadę, skądinąd dość paskudną.

Moriarty wyłączył komputer i odsunął się od biurka.

— Nie interesują mnie twoje spiskowe teorie — warknął groźnie.

— Czy to mógł być przypadek? Albo jakaś usterka? — zapytała

Margo.

— Wątpię. Baza danych ma sporo skomplikowanych zabezpieczeń.

— W takim razie co się stało? — naciskał Smithback.

— Nie mam pojęcia... — Moriarty wzruszył ramionami. — Ale to z pewnością jakaś błahostka.

— Tylko tyle możesz powiedzieć? — parsknął Smithback.

— To ci dopiero geniusz komputerowy.

Moriarty, urażony, podsunął okulary wyżej na nosie i wstał.

— Naprawdę nie muszę tego wysłuchiwać — powiedział. — Chyba pójdę coś przekąsić. — Ruszył w stronę drzwi. — Margo, tę krzyżówkę odłożymy chyba na jakiś inny, słotny dzień.

— No to pięknie — rzekła Margo, gdy zamknęły się drzwi.

— Smithback, jesteś subtelny jak młot kowalski. A przecież George wyświadczył nam przysługę, udostępniając nam bazę danych.

— Tak, i czego się właściwie dowiedzieliśmy? — spytał Smithback.

— Niczego. Nul. Zero Poza tym, że nie skatalogowano zawartości jednej ze skrzyń A dziennika Whittleseya jak nie było, tak nie ma.

Spojrzał na nią zawiadacko.

— Choć muszę przyznać, że ja dowiedziałem się ostatnio tego i owego.

— Włącz to do swojej książki. — Margo ziewnęła. — Wtedy to przeczytam. Naturalnie jeśli w naszej bibliotece znajdzie się choć jeden egzemplarz.

— Et tu, Brute? — Smithback uśmiechnął się i podał jej złożoną kartkę

papieru. — Przeczytaj teraz.

Była to kserokopia artykułu z nowoorleańskiego „Times-Picayune”, z dnia 17 października 1988 r.

## U WYBRZEŻY NOWEGO ORLEANU ODNALEZIONO STATEK WIDMO

Antony Anastasia, specjalnie dla „Times-Picayune”

Bayou Grove

16 października, (przyp)

Ubiegłej nocy u wybrzeży Nowego Orleanu osiadł na mieliźnie mały frachtowiec zmierzający do tego właśnie niedużego, portowego miasta. Szczegóły pozostają mgliste i niejasne, jednakże wstępne doniesienia wskazują, iż wszyscy członkowie załogi zostali w brutalny sposób wymordowani podczas rejsu. Straż Przybrzeżna pierwsze doniesienie o statku stojącym na mieliźnie przekazała o godzinie 23 45 w poniedziałek, w nocy

Wspomniany statek „Strella de Venezuela”, pływający obecnie pod banderą Haiti, to frachtowiec o wyporności osiemnastu tysięcy ton, odbywający rejsy po wodach Karaibów i pływający na szlakach handlowych pomiędzy Ameryką Południową a Stanami Zjednoczonymi. Uszkodzenia jednostki określa się jako nieznaczne, nie ucierpiał także przewożony ładunek

Nie wiadomo jeszcze, co doprowadziło do śmierci załogi i czy ktokolwiek z jej członków zdołał opuścić statek Henry La Plage, cywilny pilot śmigłowca, który zauważył stojący na mieliźnie statek, doniósł, ze



„ciała członków załogi rozwłócone były po całym pokładzie, jakby zaatakowała ich jakaś dzika bestia. Zauważyłem jednego mężczyznę zwisającego przez wybitą szybę mostka, miał zmasakrowaną czaszkę To była istna jatka, nigdy jeszcze nie widziałem czegoś takiego”.

Miejscowe i federalne władze współpracują przy tej sprawie, usiłując zrozumieć tło tego mordy, bez wątpienia jednej z najbrutalniejszych masakr w historii współczesnego żeglarstwa

— Mamy już kilka hipotez, lecz nie chcielibyśmy wyciągać przedwczesnych wniosków — oznajmił rzecznik policji, Nick Lea. Choć nie podano oficjalnego komentarza, źródła federalne są skłonne przyznać, że mamy tu do czynienia z zabójstwem z zemsty, dziełem przewoźników z jakiejś konkurencyjnej firmy przewozowej na Karaibach; nie wyklucza się także aktu piractwa morskiego

— Jezu! — jęknęła Margo. — Opisane tutaj rany...

— ...wydają się identyczne z tymi, które odkryto na ciałach trzech ofiar odnalezionych w naszym muzeum. — Smithback posepnie pokiwał głową. Margo zmarszczyła brwi.

— To wydarzyło się ponad siedem lat temu Niewątpliwie to tylko dziwny zbieg okoliczności.

— Czyżby? — spytał Smithback. — Może bym się z wami zgodził, gdyby nie fakt, że na pokładzie tego statku przewożono skrzynie Whittleseya.

— Co?

— To, co powiedziałem Sprawdziłem rachunki za fracht. Skrzynie te wysłano z Brazylii w sierpniu 1988 roku, czyli, o ile mi wiadomo, nieomal rok po fiasku ekspedycji. Po tej aferze w Nowym Orleanie skrzynie

przeleżały na cle aż do zakończenia śledztwa. W sumie dotarły do muzeum prawie po półtora roku.

— Rytualne morderstwa towarzyszyły skrzyniom przez całą drogę z Amazonii do Stanów! — rzekła Margo. — Ale to oznacza...

— To oznacza — przerwał jej ponuro Smithback — że od tej pory nie będę się już śmiał, gdy usłyszę, że na jakiejś ekspedycji ciąży przekleństwo. Oraz że powinnaś odtąd zamykać drzwi na klucz.

Zadzwonił telefon. Dźwięk rozległ się tak nagle, że oboje drgnęli.

— Margo, moja droga — usłyszała w słuchawce głos Frocka. — Co nowego?

— Doktor Frock! Czy mogłabym zajrzeć na chwilę do pańskiego gabinetu? Kiedy tylko będzie panu pasowało.

— Doskonale — rzekł Frock — Daj mi parę minut, abym pozbierał papiery z mojego biurka i wrzucił je do kosza. Powiedzmy o pierwszej. Może być?

— Dziękuję — powiedziała Margo. — Smithback — odwróciła się — musimy.

Ale pisarza już nie było.

Za dziesięć pierwsza rozległo się głośnie pukanie.

— Kto tam? — zapytała Margo przez zamknięte drzwi.

— To ja, Moriarty. Margo, mogę wejść? Chciałem przeprosić, że wcześniej wyszedłem — rzekł Moriarty, obniżając fotel. — Bill czasami działa mi na nerwy. Nie wie, kiedy należy przestać.

— To ja powinnam przeprosić, George — odezwała się Margo. — Nie sądziłam, że tak się zachowa. — Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powiedzieć mu o artykule, zmitygowała się jednak i zaczęła pakować

torebkę

— Jest coś jeszcze, o czym chciałem ci powiedzieć — ciągnął Moriarty. — Podczas lunchu przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Może mimo wszystko uda się dzięki temu dowiedzieć czegoś więcej na temat wykasowanych plików. Tych dotyczących dziennika Whittleseya.

Margo gwałtownie odłożyła torebkę i spojrzała na Moriarty'ego, który zasiadł przy komputerze.

— Czy kiedy się wcześniej logowałaś, widziałaś jakąś informację? — zapytał.

— Tę o awarii systemu? Wielka mi niespodzianka. Dziś rano komputer dwa razy mi się zawiesił.

Moriarty pokiwał głową.

— Podano przy tym, że system zostanie uruchomiony ponownie w południe. Z backupów. Pełne jego przywrócenie zabiera około trzydzieści minut. To znaczy, że do tej pory powinni już skończyć.

— No i?

— Na taśmach backupowych znajdują się pliki archiwalne z ostatnich dwóch, trzech miesięcy. Jeśli pliki dotyczące dziennika Whittleseya zostały skasowane w ciągu ostatnich dwóch miesięcy i jeśli backupy są wciąż zapuszczone, powinno udać mi się jakoś je odzyskać.

— Naprawdę? Moriarty skinął głową.

— Wobec tego zrób to' — ponagliła Margo.

— Istnieje pewne ryzyko — odparł Moriarty. — Jeśli operator systemu zauważy, że ktoś dobrał się do taśmy... może dojść tym tropem do twojego komputera.

— Zaryzykuję — odrzekła Margo. — George — dodała — wiem, że

twoim zdaniem to tylko polowanie na duchy. W gruncie rzeczy wcale ci się nie dziwię. Mimo to, jestem przekonana, że wyprawa Whittleseya jest w jakiś sposób związana z tymi zabójstwami. Nie wiem, na czym polega ów związek, ale może moglibyśmy dowiedzieć się tego z zaginionego dziennika. Poza tym nie wtem, z czym mamy do czynienia, z seryjnym zabójcą, jakimś zwierzęciem lub może potworem. Ta niewiedza mnie przeraża. — Delikatnie ujęła i ścisnęła dłoń Monarty'ego. — Może moglibyśmy jakoś pomóc. Musimy spróbować.

Zauważywszy, że Moriarty zaczerwienił się, cofnęła dłoń.

— Do dzieła — powiedział.

Zabrał się do pracy, Margo zaś spacerowała nerwowo po pokoju.

— I jak, udało się? — spytała po chwili, podchodząc do komputera.

— Jeszcze nie wiem — odrzekł Monarty, wpisując kolejne komendy.

— Mam taśmę, ale coś jest me tak. Nie wiem, czy uda się cokolwiek ściągnąć, a jeżeli nawet, na pewno nie tyle, ile byśmy sobie życzyli. Próbuję dostać się do środka przysłowiowymi „tylnymi drzwiami”, aby nie wzbudzać niczyjej uwagi. Między innymi dlatego przeszukiwanie idzie tak wolno.

Nagle przestał uderzać w klawisze.

— Margo — rzekł półgłosem. — Mamy coś. Na ekranie pojawiły się informacje.

**\*\* INFORMACJE SZCZEGÓŁOWE \*\***

Pozycja: 1989-2006.2

#####

Pobrana przez: Rickman, L. 53210

Aprobowane przez: Cuthbert, I. 40123

Data pobrania: 3.15.95

Miejsce docelowe: Nadzór osobisty

Powód pobrania:

Data zwrotu:

#####

Pobrana przez: Depardieu, B. 72412

Aprobowane przez: Cuthbert, I. 40123

Data pobrania: 10.1.90

Miejsce DS.\*-@2e34 5WIFU

==++ET2 34h34!

~błąd bd

— Cholera! — wykrzyknął Moriarty. — Tego się właśnie obawiałem. Dane są niekompletne, przekaz uszkodzony. Widzisz? Końcówka to same śmieci.

— Tak, ale popatrz! — zawołała podekscytowana Margo. Moriarty spojrział na ekran.

— Dziennik został pobrany dwa tygodnie temu przez panią Rickman, za zgodą doktora Cuthberta. Brak daty zwrotu.

Margo parsknęła.

— Cuthbert powiedział, że dziennik zaginął.

— Wobec tego dlaczego wykasowano ten plik? I kto to zrobił?

Nagle jego oczy rozszerzyły się.

— Boże, muszę przerwać połączenie, zanim ktoś zorientuje się, że przeszukiwaliśmy taśmę. — Jego palce zaczęły śmigać po klawiszach.

— George — rzekła Margo — wiesz, co to oznacza? Że wyjęli ten dziennik ze skrzyni, zanim zaczęły się te morderstwa. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Cuthbert zlecił przeniesienie pak do Strefy Chronionej. A teraz ukrywają dowody przed policją. Dlaczego?

Moriarty zasepił się.

— Zaczynasz mówić jak Smithback — mruknął. — A przecież wyjaśnień może być tysiąc

— Podaj choć jedno — naciskała Margo.

— Najbardziej oczywiste brzmi następująco — ktoś inny skasował ten plik, zanim Rickman zdążyła dołączyć adnotację o zaginięciu dziennika.

Margo pokręciła głową.

— Nie wierzę. Za dużo tu zbiegów okoliczności

— Margo — zaczął Moriarty i westchnął. — Posłuchaj — ciągnął cierpliwie — to dla nas wszystkich czas wielkiej próby, a zwłaszcza dla ciebie. Wiem, że starasz się podjąć wyjątkowo trudną decyzję... do tego jeszcze ta kryzysowa sytuacja...

— Tych morderstw nie popełnił zwykły świr. — Margo ze zniecierpliwieniem weszła mu w słowo. — A ja nie jestem szalona.

— Wcale tego nie powiedziałem — ciągnął Moriarty. — Sądzę tylko, że powinna się tym zająć policja. To bardzo, ale to bardzo niebezpieczna gra. A ty powinnaś obecnie skupić się na istotniejszych sprawach, ułożyć sobie życie. Mieszanie się w tę aferę nie pomoże ci podjąć ostatecznej decyzji co do twojej dalszej przyszłości. — Przełknął ślinę. — Poza tym to nie przywróci życia twojemu ojcu.

— Tak sądzisz? — wybuchnęła Margo. — Nie masz pojęcia...

Urwała, gdy jej wzrok padł na wiszący na ścianie zegar.

— Jezu. Jestem już spóźniona na spotkanie z doktorem Frockiem.

Zabrała torebkę i ruszyła do drzwi. Jeszcze w korytarzu odwróciła się i powiedziała:

— Jeszcze porozmawiamy. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Boże — pomyślał Moriarty, siedząc przed wygaszonym monitorem i podpierając dłońmi podbródek. Jeśli stażystka zajmująca się genetyką roślin sądzi, że gdzieś w zakamarkach muzeum czai się krwiożerczy Mbwun, jeżeli nawet Margo Green zaczyna wietrzyć wszędzie spiski i podwójną grę, to co z resztą muzeum?

## *Rozdział dwudziesty dziewięty*

Margo patrzyła, jak Frock zalewa sobie przód koszuli wiśniówką.

— Do licha — mruknął, wycierając materiał swymi pulchnymi dłońmi. Z przesadną ostrożnością odstawił szklaneczkę na biurko i skierował wzrok na Margo.

— Dziękuję, że się zjawiałaś, moja droga. To niewiarygodne odkrycie. Powiedziałbym, że powinniśmy natychmiast zjechać na dół i raz jeszcze obejrzeć tę figurkę, ale wkrótce zjawi się tu ten agent, Pendergast, aby dodatkowo utrudnić nam życie.

Niech pana Bóg błogosławi, agencie Pendergast — pomyślała Margo. Ostatnią rzeczą, na którą miała ochotę, to powtórne wejście na teren wystawy.

Frock westchnął.

— Nieważne, wkrótce się okaże. Gdy tylko Pendergast wyjdzie, poznamy prawdę. Ta figurka Mbwuna może być dodatkowym dowodem, którego tak poszukiwałem. Jeżeli to prawda i jeśli jest tak, jak mówisz, układ pazurów powinien pasować do ran na ciałach ofiar.

— Ale jakim cudem taki stwór mógł znaleźć się tu, w muzeum? — spytała Margo.

— Ach! — wykrzyknął Frock; miał błyszczące oczy. — Oto jest pytanie, czyż nie? Pozwól, że odpowiem na nie innym pytaniem. Co, według ciebie, oznacza termin „pofałdowany”?

— Bo ja wiem — zastanawiała się Margo. — Nierówny, karbowany?

— Tak. To regularny wzór wypukłości, fałd lub karbów. Jaja gadów są pomarszczone. Podobnie jak jaja dinozaurów.

Całe ciało Margo przeszedł dziwny dreszcz, wspomnienie powióciło.

— Tego właśnie słowa...



— ...użył Cuthbert, opisując strąki nasienne, które znikły z jednej ze skrzyń — dokończył za nią Frock. — I oto pytam cię — czy to na pewno były strąki nasienne? Jakie strąki mogą wyglądać na pokryte łuskami i pomarszczone? Co innego jajo...

Frock poprawił się na swoim wózku.

— Następne pytanie. Gdzie się podziały? Czy zostały skradzione? A może stało się z nimi coś innego?

Nagle naukowiec umilkł, zagłębiając się w swoim fotelu na kółkach, i pokręcił głową.

— Jeżeli przyjąć, że coś... jeśli coś się z nich wykluło i wydostało się z tych skrzyń — powiedziała Margo — jak to tłumaczy rzeź marynarzy na pokładzie frachtowca, którym przewożone były te skrzynie z Ameryki Południowej?

— Margo — powiedział Frock, chichocząc — mamy tu do czynienia z sekretem w otoczce tajemnicy przyprawionej zagadką. Aby nie marnować więcej czasu, musimy poznać możliwie jak najwięcej faktów.

Rozległo się ciche pukanie.

— To zapewne Pendergast — rzekł Frock, odwracając głowę. I nieco głośniejszym głosem rzucił: — Proszę wejść!

Agent wszedł do pokoju, niosąc w dłoni aktówkę. Miał na sobie jak zwykle nieskazitelny, czarny garnitur, a jego jasne, nieomal białe włosy zaczesane były gładko do tyłu. W oczach Margo wydawał się jak zawsze spokojny i opanowany. Kiedy Frock wskazał mu jeden z wiktoriańskich foteli, Pendergast niezwłocznie się w nim usadowił.

— Miło znów pana widzieć — rzekł Frock. — Pannę Green już pan zna. Prowadziliśmy akurat dość istotną rozmowę, więc mam nadzieję, że

nie będzie panu przeszkadzać, jeżeli zostanie tu z nami.

Pendergast machnął ręką.

— Oczywiście, że nie. Wiem, że oboje państwo w dalszym ciągu będziecie przestrzegać mojej prośby o zachowanie tego, co tu zostanie powiedziane, w tajemnicy.

— Naturalnie.

— Doktorze Frock, wiem, że jest pan zajęty, więc będę się streszczał — zaczął Pendergast. — Mam nadzieję, że udało się panu odszukać artefakt, o którym rozmawialiśmy. Artefakt, który mógł zostać użyty jako broń do popełnienia tych morderstw.

Frock poruszył się w fotelu.

— Prosił mnie pan o to, więc rozważyłem raz jeszcze całą tę sprawę. Przejrzałem naszą bazę danych, zarówno w poszukiwaniu pojedynczych obiektów, jak również elementów, z których można byłoby złożyć takie narzędzie. — Pokręcił głową. — Niestety, nie znalazłem niczego, co choć odrobinę mogłoby przypominać odlew, który nam pan zaprezentował. W zbiorach naszego muzeum nigdy nie było niczego podobnego.

Wyraz twarzy Pendergasta był nieodgadniony. Po chwili agent uśmiechnął się.

— Oficjalnie nigdy tego nie potwierdzimy, ale muszę przyznać, że ta sprawa jest, delikatnie mówiąc, dość trudna. — Wskazał na swoją aktówkę. — Mam do czynienia z fałszywymi obserwacjami, raportami laboratoryjnymi i raportami z przesłuchań. Sporo tego. A mimo to jakoś nie możemy natrafić na użyteczny ślad.

Frock uśmiechnął się.

— Panie Pendergast, wydaje mi się, że to, co obecnie robimy, pan i ja,

niewiele różni się od siebie. Byłem już w podobnej sytuacji. Nie wątpię, że Jego Eminencja zachowuje się, jakby nie działo się nic niezwykłego.

Pendergast pokiwał głową.

— Wright upiera się, że otwarcie wystawy musi nastąpić zgodnie z planem, jutro wieczorem. Dlaczego? Bo muzeum wydało na jej przygotowanie miliony dolarów, których faktycznie nie posiada. Trzeba zwiększyć liczbę gości odwiedzających progi tego gmachu, w przeciwnym razie muzeum znajdzie się w poważnych tarapatach finansowych, przy których obecny kryzys to betka. Ta wystawa to najlepszy sposób na zarobienie sporej gotówki.

— Rozumiem — rzekł Pendergast. Podniósł leżącą obok fotela skamielinę, obracając ją leniwie w dłoni.

— Amonit? — zapytał.

— Zgadza się — odparł Frock.

— Doktorze Frock... — zaczął Pendergast — pojawiły się naciski z pewnych, wiadomych panu źródeł. W rezultacie zmuszony jestem zachować wzmożoną ostrożność, aby móc dalej prowadzić regulaminowo moje dochodzenie. Nie mogę dzielić się wynikami śledztwa z osobami z zewnątrz, takimi jak pan, nawet w sytuacji, gdy konwencjonalne metody dochodzeniowe okazałyby się zawodne i bezowocne.

Ostrożnie odłożył skamielinę i splótł ramiona na piersiach.

— O ile mi wiadomo, jest pan ekspertem w dziedzinie genetyki?

Frock skinął głową.

— Po części jest to prawda. Prowadziłem dość rozległe badania nad wpływem genomu na morfologię, to jest kształt organizmu. Ponadto nadzoruję projekty niektórych stażystów, w tym tu obecnej Margo i Grega

Kawakity, dotyczące między innymi badań DNA.

Pendergast sięgnął po aktówkę, otworzył ją i wyjął gruby plik wydruków komputerowych.

— Mam tu raport z analizy DNA pazura znalezionego w ciele pierwszej ofiary. Naturalnie nie mogę go wam pokazać. To byłoby sprzeczne z przepisami. I na pewno nie spodobałoby się miejscowemu federalnym.

— Rozumiem — rzekł Frock. — Nadal wierzy pan, że ten pazur to pański najlepszy trop.

— To nasz jedyny, istotny trop, doktorze Frock. Proszę pozwolić, że wyjaśnię, jakie są moje przypuszczenia. Sądzę, że w muzeum ukrywa się groźny szaleniec. Zabija swoje ofiary w rytualny sposób, usuwając część potyliczną czaszek i obszar wzgórza z mózgu.

— W jakim celu? — spytał Frock. Pendergast zawahał się.

— Sądzymy, że je zjada. Margo jęknęła.

— Zabójca może ukrywać się w piwnicach muzeum — ciągnął Pendergast. — Jest wiele śladów świadczących, że powrócił tam po dokonaniu zabójstwa, lecz jak dotąd nie udało nam się ściślej określić miejsca jego pobytu ani pozyskać żadnych dowodów. Podczas poszukiwań zabite zostały dwa psy. Jak wam zapewne wiadomo, to istny labirynt tuneli, galerii i korytarzy ciągnących się na kilku podziemnych poziomach, z których najstarszy liczy sobie ponad sto pięćdziesiąt lat. Muzeum zaopatrzyło mnie w plany zaledwie drobnej części całego tego obszaru. Mówię o zabójcy „on”, gdyż siła użyta przy dokonaniu mordów wskazuje na mężczyznę i to naprawdę krzepkiego. Ten ktoś jest niemal nadludzko silny. Jak wiecie, używa on czegoś w rodzaju trójpalczastej łapy, aby

wypruwać trzewia swoim ofiarom, wybieranym, jak się wydaje, całkiem przypadkowo. Nie mamy żadnego motywu. Jak dotąd przesłuchania wybranych pracowników muzeum nie dostarczyły nam nowych tropów. — Spojrzał na Frocka. — Widzi pan, doktorze, nasz najlepszy i jedyny trop to broń, ten pazur. Właśnie dlatego kontynuuję badania nad ustaleniem jego pochodzenia.

Frock powoli pokiwał głową.

— Wspominał pan o DNA?

Pendergast pomachał trzymanym w dłoni wydrukiem.

— Najogólniej mówiąc, wyniki badań laboratoryjnych okazały się nieprzekonywające — przerwał. — Mogę wam chyba powiedzieć, że analiza pazura wykazała obecność kodu genetycznego kilku gatunków gekonów oraz chromosomów człowieka. Stąd nasze przypuszczenia, że próbka mogła ulec skażeniu.

— Gekon, powiada pan? — wymamrotał Frock z lekkim zdziwieniem. — I wyjada obszar wzgórza... doprawdy niesamowite. A skąd pan to właściwie wie?

— Odkryliśmy ślady śliny oraz zębów.

— Ludzkich zębów?

— Nie wiadomo.

— A ślina?

— Nieokreślona.

Frock opuścił głowę. Po kilku minutach uniósł wzrok.

— W dalszym ciągu określa pan pazur mianem broni — powiedział. — Zakładam więc, że wciąż uważa pan, iż zabójca jest człowiekiem.

Pendergast zamknął aktówkę.

— Nie widzę innej możliwości. Czy sądzi pan, doktorze Frock, że zwierzę mogłoby zdekapitować ciało z chirurgiczną precyzją, wybić w czaszce dziurę i odnaleźć organ wewnętrzny wielkości orzecha, który jest w stanie rozpoznać jedynie osoba znająca się na anatomii? Poza tym ten zabójca jest jak duch. Wymyka się naszym ekipom przeszukującym podziemia, a jest to, muszę przyznać, wielkie osiągnięcie samo w sobie.

Frock znów pochylił głowę. Gdy sekundy zamieniały się w kolejne minuty, Pendergast siedział w bezruchu, obserwując Naraz Frock uniósł głowę

— Panie Pendergast — zagrzmiał. Margo drgnęła. — Wysłuchałem pańskiej teorii. Czy teraz pan zechce wysłuchać mojej?

Pendergast skinął głową.

— Oczywiście.

— Doskonale — odparł Frock. — Czy słyszał pan o łupkach ilastych z Transwalu?

— Chyba nie — przyznał Pendergast.

— Odkrył je w 1945 roku Alistair Van Vrouwenhoek, paleontolog z południowoafrykańskiego uniwersytetu Witwatersrand. Pochodziły z kambru, czyli sprzed około sześciuset milionów lat. Pełno w nich było osobliwych form życia, jakich nigdy dotąd ani nigdy potem nie widziano. Asymetryczne formy życia, nie wykazujące cech symetrii bilateralnej, która cechuje wszystkie istoty żyjące na tej planecie. Występowały one, dziwnym zbiegiem okoliczności, w okresie masowego wymierania gatunków, właśnie w okresie kambryjskim. Większość ludzi, panie Pendergast, uważa, że łupki ilaste z Transwalu przedstawiają ślepą uliczkę ewolucji: że życie eksperymentowało z każdą potencjalnie możliwą formą,

zanim postawiło na formy obustronnie symetryczne, takie jakie znamy dzisiaj.

— Pan jednak nie podziela tego poglądu — wtrącił Pendergast.  
Frock chrząknął.

— Zgadza się. Wśród tych łupków przeważa pewien organizm. Miał on potężne płetwy, długie przyssawki i ogromne, miążdżące otwory gębowe. Paszcze te były dość silne, by kruszyć kamienie, a płetwy pozwalały owym istotom na pływanie z prędkością dwudziestu mil na godzinę. Bez wątpienia był to wysoce skuteczny i dość dziki drapieżca. Wydaje się, że był aż nazbyt skuteczny: wytrzebił wszystkie swoje ofiary, doprowadzając do wymarcia gatunku, i wkrótce sam do niego dołączył. W ten sposób dokonano się pomniejsze masowe wyginięcie gatunków u kresu ery kambryjskiej. To coś, nienaturalna selekcja, wybiło wszystkie inne formy życia w łupkach ilastych z Transwalu.

— No i? — Pendergast zamrugął.

— Przeprowadziłem symulację komputerową ewolucji na podstawie nowej matematycznej teorii zaburzeń fraktalnych. Wynik? Co około sześćdziesiąt, siedemdziesiąt milionów lat życie zaczyna na dobre przystosowywać się do swego środowiska. Może aż nazbyt dobrze. Następuje eksplozja populacji tych dobrze przystosowanych form życia. I nagle, jakby znikąd, pojawia się nowy gatunek. Jest to prawie zawsze drapieżca, istna maszyna do zabijania. Atakuje wiodącą populację, zabija, żeruje i rozmnaża się. Z początku powoli, potem znacznie szybciej.

Frock skinął na leżącą na biurku płytę piaskowca.

— Pozwoli pan, że coś panu pokażę, Pendergast. — Agent wstał i podszedł bliżej.

— To ślady istoty żyjącej w górnej kredzie — ciągnął Frock. — Na pograniczu K-T, jeśli chodzi o ścisłość. To jedyna taka skamielina, jaką odnaleźliśmy, nie ma drugiej.

— K-T? — spytał Pendergast.

— Kreda — trzeciorzęd. Granica określająca kres ery dinozaurów. Właśnie wtedy wyginęły.

Pendergast skinął głową, lecz wciąż wyglądał na zbitego z tropu.

— Istnieje tu pewien związek, na który jednak nikt wcześniej nie zwrócił uwagi — ciągnął Frock. — Figurka Mbwuna, ślady pazurów pozostawione przez zabójcę i te ślady w skamielinie.

Pendergast spuścił wzrok.

— Mbwun? Ta figurka, którą doktor Cuthbert wyjął ze skrzyni i dołączył do ekspozycji?

Frock skinął głową.

— Hmm. Ile lat mają te czaszki?

— Około sześćdziesiąt pięć milionów lat. Pochodzą z formacji, gdzie znaleziono ostatnie ślady tych wielkich gadów. Zanim nastąpiła ich masowa zagłada, ma się rozumieć.

Nastąpiła długa cisza.

— Ach. A ten związek...? — zapytał po chwili Pendergast.

— Jak już wspomniałem, nie ma w zbiorach antropologicznych śladów, które można by przyrównać do tych tutaj. Nie powiedziałem jednak, że nie istnieją odciski ani odlewy pasujące doń jak ulał. Wiemy, że przednia łapa Mbwuna, widać to dokładnie na figurce, ma trzy palce zakończone pazurami, przy czym środkowy jest grubszy od pozostałych. A teraz proszę spojrzeć na te ślady — rzekł Frock, wskazując na skamielinę. — Proszę



przypomnieć sobie odlew pazura i śladów szponów z ciała ofiary.

— Sądzi pan — rzekł Pendergast — że zabójca może być tym samym zwierzęciem, które pozostawiło te ślady? Że to dinozaur?

Margo odniosła wrażenie, że w głosie agenta pobrzmiwa nuta rozbawienia.

Frock spojrział na Pendergasta i energicznie pokręcił głową.

— Nie, panie Pendergast, to nie dinozaur. To coś ani trochę nie przypomina zwykłego dinozaura. Mówimy tu o dowodzie potwierdzającym moją teorię ewolucji aberracyjnej. Zna pan moje prace. Według mnie to właśnie ta istota wybiła dinozaury.

Pendergast milczał.

Frock nachylił się bliżej ku niemu.

— Wierzę — zaczął — że ta istota, ten wybryk natury, jest prawdziwą przyczyną wyginięcia dinozaurów. Nie meteoryt, nie zmiany klimatyczne, lecz jakiś przerażający drapieżca, istota, która pozostawiła ślady zachowane w tej skamielinie. Uosobienie Efektu Callisto. Nie był duży, lecz wyjątkowo szybki i silny. Prawdopodobnie polował w stadach i był inteligentny. Ponieważ jednak superdrapieżcy mają krótki żywot, nie są zbyt dobrze udokumentowani w skamielinowym archiwum. Z wyjątkiem łup-ków ilastych z Transwalu. Oraz w skamielinach z Tzun-je-jin. Nadaża pan za mną?

— Tak.

— W obecnych czasach to my jesteśmy dominującą rasą i przeżywamy eksplozję populacyjną.

Pendergast milczał.

— Istoty ludzkie, panie Pendergast! — ciągnął Frock, podnosząc głos.

— Pięć tysięcy lat temu było nas na tej planecie zaledwie dziesięć milionów. Dziś jest sześć miliardów! Stanowimy najbardziej udaną formę życia, jaka kiedykolwiek pojawiła się na naszym globie! — Stuknął palcami w leżące na biurku egzemplarze Ewolucji fraktalnej. — Wczoraj pytał mnie pan o następną książkę. Będzie ona niejako rozwinięciem mojej teorii Efektu Callisto w przełożeniu na życie współczesne. Moja teoria przewiduje, że właściwie w każdej chwili może się pojawić jakaś groteskowa mutacja, istota, która zacznie żerować na ludziach.

Nie twierdzę, że zabójca to ta sama istota, która wybiła dinozaury. Niemniej coś bardzo podobnego... proszę raz jeszcze przyjrzeć się tym śladom. Wyglądają jak trop Mbwuna! Nazywamy to ewolucją konwergentną, gdzie dwie istoty wyglądają podobnie nie dlatego, że są ze sobą w jakiś sposób spokrewnione, lecz dlatego, że ewoluowały do tych samych celów. To istota, która ewoluowała, by zabijać. Podobieństwa są zbyt liczne, panie Pendergast.

Agent położył sobie aktówkę na kolanach.

— Obawiam się, że straciłem wątek, doktorze Frock.

— Nie rozumie pan? Coś przybyło w tamtej skrzyni z Ameryki Południowej tu, do Stanów. I grasuje w naszym muzeum. To wielce skuteczny drapieżca. Dowodem tego jest figurka Mbwuna. Tamtejsze plemiona wiedziały o istnieniu tego stworu i utworzyły wokół niego kult religijny. Whittlesey nieświadomie przysłał to w obszary cywilizowane.

— Widział pan tę figurkę na własne oczy? — spytał Pendergast. — Doktor Cuthbert nie chciał mi jej pokazać.

— Nie — przyznał Frock. — Ale wiem to z wiarygodnego źródła. Zamierzam przyjrzeć się jej osobiście przy pierwszej lepszej okazji.

— Doktorze Frock, wczoraj zajęliśmy się sprawą tych skrzyń — rzekł Pendergast. — Doktor Cuthbert zapewnił nas, że nie było w nich niczego cennego, i nie mamy powodu, by mu nie wierzyć.

— Wstał, a jego oblicze wyglądało jak beznamiętna maska. — Dziękuję za poświęcony mi czas i pomoc. Pańska teoria jest bez wątpienia fascynująca i szczerze chciałbym ją podzielać. — Wzruszył ramionami. — Jakkolwiek na razie pozostanę przy własnych hipotezach. Proszę wybaczyć moją bezpośredniość, ale mam nadzieję, że będzie pan w stanie oddzielić fikcję od chłodnych faktów naszego śledztwa i wszelkimi dostępnymi środkami dopomóc nam w jego dalszym przebiegu.

Ruszył w stronę drzwi.

— Państwo pozwolą, że już ich opuszczę. Gdyby coś sobie państwo przypomnieli albo doszli do nowych, ekscytujących wniosków, proszę o szybki kontakt.

I wyszedł.

Frock, siedząc w swoim fotelu na kółkach, kręcił głową.

— Jaka szkoda — wymamrotał. — Liczyłem na jego współpracę, ale wygląda na to, że jest taki sam jak oni wszyscy.

Margo spojrzała na biurko obok fotela, który zwolnił właśnie Pendergast.

— Proszę spojrzeć — rzekła. — Zostawił wydruk analizy DNA.

Frock podążył za spojrzeniem Margo. I zachichotał.

— Podejrzewam, że to właśnie miał na myśli, mówiąc o nowych, ekscytujących wnioskach. — Przerwał. — Może jednak nie jest taki jak inni. Cóż, Margo, chyba na niego nie doniesiemy, prawda? — Sięgnął po telefon.

— Doktor Frock, chciałbym mówić z doktorem Cuthbertem. — Chwila przerwy. — Halo, Ian? Tak, dobrze, dziękuję. Nie, chodzi o to, że chciałbym już, teraz, zaraz odwiedzić nową wystawę. Co ty na to? Tak, wiem, że jest zamknięta, ale... Nie, z tym całkiem się już pogodziłem, nie mam nic przeciwko niej, tylko że... rozumiem.

Margo zauważyła, że oblicze doktora poczerwieniało.

— W tym przypadku, Ianie — ciągnął Frock — powinienem ponownie zbadać skrzynie z ekspedycji Whittleseya. Tak, te ze Strefy Chronionej. Wiem, że widzieliśmy je wczoraj.

Nastąpiła długa cisza. Margo słyszała cichy, niezrozumiały głos płynący ze słuchawki.

— Posłuchaj — rzekł Frock. — Jestem szefem tego wydziału i mam prawo... Nie mów do mnie tym tonem. Nie waż się tak do mnie mówić.

Margo jeszcze nigdy nie widziała Frocka równie rozwścieczonego. Jego głos przeszedł nieomal w szept.

— Drogi panie, nie ma pan uprawnień, by mi rozkazywać na moim wydziale. Złożę formalną skargę do dyrektora.

Frock powoli odłożył słuchawkę na widełki, jego dłoń drżała. Odwrócił się do Margo, sięgając po chustkę.

— Wybacz, proszę.

— Zdziwiłam się — rzekła Margo. — Sądziłam, że jako prezes... — nie dokończyła.

— Miałem pełną kontrolę nad zbiorami? — Frock uśmiechnął się, powoli odzyskując panowanie nad sobą. — Owszem, miałem. Ale ta nowa wystawa i te zabójstwa obudziły w ludziach instynkty, istnienia których nawet się nie spodziewałem. Teoretycznie Cuthbert piastuje wyższe

stanowisko niż ja. Nie jestem pewien, dlaczego to robi. To musiałoby być coś wielce kłopotliwego, co spowodowałoby opóźnienie, a może nawet przesunięcie terminu otwarcia jego cennej wystawy. — Zamyślił się. — Może wie o istnieniu tego stworzenia. Bądź co bądź to on przeniósł te skrzynie. Może odkrył wyklute jaja, dodał dwa do dwóch i ukrył je. A teraz chce odebrać mi prawo ich gruntownego przebadania! — Wychylił się lekko do przodu, zaciskając dłonie w pięści.

— Doktorze Frock, nie sądzę, aby to było możliwe — zaproponowała Margo.

Nie była w stanie powiedzieć Frockowi, że to Rickman zabrała dziennik Whittleseya. W każdym razie nie teraz. Frock rozluźnił się.

— Naturalnie masz rację. To jeszcze nie koniec, możesz być pewna. Teraz jednak nie mamy na to czasu, poza tym ufam twoim spostrzeżeniom, jeżeli chodzi o Mbwuna. Jednakże, Margo, musimy dostać się do tych skrzyń.

— Jak? — spytała Margo.

Frock wysunął szufladę w swoim biurku i gmerał w niej przez chwilę. Wreszcie wyjął z szuflady formularz, który Margo rozpoznała w oka mgnieniu jako 10-14 — Prośba o udostępnienie.

— Popełniłem błąd — ciągnął — że w ogóle poprosiłem. — Zaczął odręcznie wypełniać formularz.

— Czy nie powinien zostać zatwierdzony przez pańskich zwierzchników?

— Oczywiście — odparł Frock — wyślę im egzemplarz zwyczajową drogą służbową. A ja tymczasem wybiorę się z nie podpisanym egzemplarzem do Strefy Chronionej i tak czy siak dostanę się do środka.

Na pewno nie pozwolą mi pobrać tych rzeczy na górę. Mimo to będę mieć dość czasu, aby uważnie obejrzeć te skrzynie. I poznać odpowiedzi.

— Doktorze Frock, nie może pan tego zrobić! — odparła Margo wstrząśnięta.

— A to dlaczego? — Frock uśmiechnął się kwaśno. — Frock, filar muzealnego establishmentu działający w nieortodoksyjny sposób? To zbyt ważne, byśmy przejmowali się byle procedurą.

— Nie o to mi chodziło — ciągnęła Margo. Spojrzała na wózek, w którym siedział naukowiec.

Frock podążył za jej spojrzeniem i jego oblicze spochmurniało.

— No tak — rzekł powoli. — Rozumiem, co masz na myśli. — Wyraźnie przybity sięgnął ręką, aby odłożyć dokument na biurko.

— Doktorze Frock — rzekła Margo. — Proszę dać mi ten formularz. Zaniosę go do Strefy Chronionej.

Ręka Frocka znieruchomiała. Otaksował Margo wzrokiem.

— Prosiłem, abyś była moimi oczami i uszami, nie wymagam od ciebie chodzenia po rozżarzonych węglach — odparł. — Jestem znanym kustoszem, względnie ważną personą. Nie ośmielą się mnie usadzić. Ale ciebie... — wziął głęboki oddech, uniósł brwi — załatwią pokazowo, nie pozwolą, abyś dokończyła swoją dysertację i zrobiła doktorat, a ja nic nie będę mógł na to poradzić.

Margo zamyśliła się przez chwilę.

— Mam przyjaciela, który jest specjalistą od tego typu działań. Sądzę, że byłby w stanie poradzić sobie nawet w najtrudniejszej sytuacji. Jest po prostu złotousty.

Frock przez chwilę trwał w kompletnym bezruchu. Wreszcie oderwał

kopię i podał Margo.

— Oryginał dostarczę na górę. To konieczne, musimy zachować niezbędne pozory. Strażnik może skontaktować się z moimi przełożonymi, aby potwierdzić ważność zezwolenia. Nie będziesz miała dużo czasu. Kiedy to do nich dotrze, staną się wyjątkowo czujni. Do tej pory ciebie już ma tam nie być.

Wyjął z szuflady biurka kartkę żółtego papieru i klucz. Pokazał je Margo.

— Na tej kartce są szyfry do skarbców w Strefie Chronionej — wyjaśnił. — A tu masz klucz do głównego skarbcza. Mają je wszyscy dyrektorzy. Jeśli mamy szczęście, Cuthbert nie pomyślał o zmianie kombinacji.

Podał Margo kartkę i klucz.

— Dzięki nim przedostaniesz się do środka. Czeka cię tylko przeprawa ze strażnikami — mówił szybko, nie odrywając wzroku od Margo. — Wiesz, czego masz szukać w skrzyniach. Wszelkich dowodów, jaj, żywych organizmów, a nawet przedmiotów kultu, związanych z tą istotą. Innymi słowy wszystkiego, co mogłoby stanowić potwierdzenie mojej teorii. Najpierw sprawdź mniejszą skrzynię, tę Whittleseya. To w niej znajdował się posążek Mbwuna. Jeśli wystarczy ci czasu, zajrzyj też do innych, ale, na miłość boską, nie ryzykuj. Idź już, moja droga, i niech cię Bóg prowadzi.

Ostatnią rzeczą, którą ujrzała, wychodząc, był Frock siedzący pod łukowato sklepionymi oknami, odwrócony do niej plecami, raz po raz tłukący zapamiętałe pięściami w poręcze wózka inwalidzkiego.

— Niech to szlag! — mówił. — Niech to wszyscy diabli!

## *Rozdział trzydziesty*

Pięć minut później w swoim gabinecie, parę pięter niżej, Margo sięgnęła po słuchawkę telefonu i wybrała numer. Smithback był, jak rzadko, w doskonałym nastroju. Gdy opowiedziała mu o odkryciu przez Moriarty'ego wykasowanego zapisu i, już mniej szczegółowo, o wypadkach w gabinecie Frocka, jego nastrój jeszcze bardziej się poprawił.

Usłyszała jego chichot.

— Czyżbym miał rację co do Rickman? Zatajanie dowodów. Już ja dopilnuję, aby książka ukazała się w takim kształcie, w jakim ja chcę ją widzieć, bo jeżeli nie...

— Ani mi się waż, Smithback — ostrzegła Margo. — Nie wolno ci



wykorzystywać tych informacji dla własnych korzyści. Nie znamy historii tego dziennika i nie możemy teraz zawracać sobie nim głowy. Musimy dostać się do tych skrzyń i mamy na to zaledwie kilka minut.

— Nie sądziłem, że Frock to taki radykał — rzekł Smithback. — Zyskał dzięki temu kolejne dwa punkty na mojej liście.

Pisarz schodził po długich, metalowych schodach. Oboje wybrali dłuższą drogę okrężną, w nadziei na ominięcie policyjnych punktów kontrolnych ustawionych przy każdej z wind.

— Masz klucz i kombinację? — spytał, stojąc u dołu schodów. Margo zajrzała do torebki i poszła za nim.

Rozejrzała się pospiesznie dokoła.

— Pamiętasz te oświetlone nisze w korytarzu przy Strefie Chronionej? Idź pierwszy, ja odczekam minutę i pójdę za tobą. Pogadaj ze strażnikiem, spróbuj odciągnąć go do jednej z tych nisz, gdzie jest lepsze oświetlenie, pod pretekstem, że chcesz pokazać mu ten formularz. Niech będzie odwrócony przez kilka minut, a ja tymczasem otworzę drzwi i wejść do środka. Po prostu postaraj się go zająć Jesteś urodzonym mówcą, poradzisz sobie.

— To twój plan? — parsknął Smithback — W porządku.— Obrócił się na pięcie, przeszedł w głąb korytarza i po chwili znikł za rogiem.

Margo czekała, odliczając do sześćdziesięciu. Gdy skończyła, ruszyła przed siebie, nakładając lateksowe rękawiczki.

Niebawem usłyszała głos Smithbacka, podniesiony i pełen słusznego oburzenia

— Ten dokument podpisał osobiście szef wydziału! Czy mam przez to rozumieć ..?

Wyrzała zza załomu muru. Jakieś pięćdziesiąt jardów dalej znajdowało się skrzyżowanie korytarzy z odnogą, w której stały policyjne zapory. Za barierą znajdowały się drzwi do Strefy Chronionej, za nimi zaś Margo dostrzegła strażnika. Był do niej odwrócony plecami, w dłoni trzymał jej formularz.

— Proszę wybaczyć — usłyszała jego głos — ale to pismo nie zostało zatwierdzone odgórnie...

— Strasznie tu ciemno — odparł Smithback. — Może obejrzy pan to pismo raz jeszcze, tam dalej, gdzie jest trochę jaśniej.

Przeszli w głąb korytarza, oddalając się od Margo, i weszli do oświetlonej niszy. Gdy znikli jej z oczu, Margo wyszła zza rogu i szybko przemaszerowała przez korytarz. Dotarłszy do drzwi Strefy Chronionej, użyła klucza i pchnęła je z całej siły. Zawiasy były dobrze naoliwione, drzwi otwały się gładko i bezszelestnie. Margo wyrzała zza załomu muru, by upewnić się, że jest sama; ciemne pomieszczenie wydawało się puste. Zamknęła za sobą drzwi.

Jej serce tłukło się w piersi jak szalone, krew pulsowała w uszach. Wstrzymując oddech, namacała włącznik światła. Na wprost niej po obu stronach rozciągały się rzędy skarbców. Ujrzawszy trzecie drzwiczki po prawej, z żółtą, przyklejoną skoczem kartką z napisem MATERIAŁ DOWODOWY, zacisnęła jedną dłoń na pokrętło szyfrowego zamka, a drugą ręką wyjęła z kieszeni świstek papieru otrzymany od doktora Frocka. 56-77-23. Wzięła głęboki oddech i zabrała się do dzieła, przypominając sobie zamek szyfrowy na szafce, gdzie przechowywała obój, w liceum, na zajęciach z muzyki

W prawo, w lewo, w prawo ..

Rozległ się głośny szcęk. Natychmiast schwyciła dźwignię i szarpnęła w dół. Drzwiczki otworzyły się.

Wewnątrz, pod tylną ścianą stała sterta skrzyń. Margo zapaliła światło i spojrzała na zegarek. Upłynęły trzy minuty

Musiała działać szybko. Widziała wyraźnie postrzępione dziury ziejące z jednej ze skrzyń. Deski były porozłupywane, jakby rozszarpane pazurami. Widok tych śladów sprawił, że Margo poczuła na grzbiecie lodowate ciarki. Uklękła przy mniejszej skrzyni, zdjęła z niej wieko i zagłębiwszy dłonie w materiale ją wyściełającym, rozgarnęła sztywne włókna, by odsłonić znajdujące się tam artefakty.

Jej dłoń natrafiła na coś twardego Wyjęła to coś — jak się okazało, meduzy kamień pokryty dziwnymi rytami Niezbyt obiecujące znalezisko Odsłoniła zbiór czegoś, co wyglądało jak nefrytowe ozdoby twarzy, krzemienne groty strzał, w tym kilka z drzewcami oraz dmuchawka z długimi ostrymi strzałkami, końce których pokrywała jakaś szerniała, zaschnięta substancja. Nie chciałabym się tym ukłuć — pomyślała. Wciąż nic godnego zabrania. Zaczęła grzebać głębiej Następna warstwa skrywała niedużą zamkniętą prasę do roślin, uszkodzoną szamańską grzechotkę pokrytą groteskowymi wzorami oraz przepiękną raję wykonaną z tkaniny i piór.

Pod wpływem wewnętrznego impulsu włożyła do torby prasę do roślin pokrytą włóknami wyściełającymi, a także kamienny dysk i grzechotkę.

Na samym dnie natrafiła na kilka słoików, wewnątrz których znajdowały się nieduże gady. Ciekawostka, ale w sumie, jak dla Margo, nic niezwykłego.

Upłynęło sześć minut. Usiadła, nasłuchując, w każdej chwili

spodziewała się usłyszeć kroki wracającego strażnika. Jak dotąd nic. Cisza i spokój.

Pospiesznie włożyła resztę artefaktów z powrotem do skrzyni i przykryła wyściółką. Podniosła wieko, zauważając, że jego wewnętrzne obicie jest naderwane i obluzowane. Gdy odchyliła brzeg materiału, ujrzała kruchą, uszkodzoną przez wodę kopertę, która spadła jej na podolek. Wrzuciła ją do torebki.

Osiem minut. Jej czas się kończył.

Wróciwszy do sali głównej, wyteżyła słuch, usiłując się zorientować, co działo się na zewnątrz. Uchyliła lekko drzwi.

— Jaki jest numer pańskiej odznaki ? — dopytywał się głośno Smithback.

Margo nie dosłyszała odpowiedzi strażnika. Wyśliznęła się na korytarz, zamykając za sobą drzwi, błyskawicznie zdjęła rękawiczki i wrzuciła do torebki.

Wyprostowała się, rozejrzała na lewo i prawo, po czym przeszła obok niszy, gdzie stali strażnik i Smithback.

- Hej!

Odwróciła się. Strażnik, cały czerwony, spoglądał na nią.

— A, tu jesteś, Bill — powiedziała, zastanawiając się gorączkowo. Miała nadzieję, że strażnik nie widział, jak wymykała się ze Strefy.

— Spóźniłam się? Byłeś już w środku?

— Ten facet nie chce mnie wpuścić! — poskarżył się Smithback.

— Posłuchaj pan — rzekł strażnik, odwracając się w jego stronę. — Powtarzam to po raz tysięczny i ostatni. Abym mógł pana wpuścić, formularz musi przejść odpowiednią drogę urzędową. Czy to jasne?

Pora się zbierać.

Margo zajrzała w głąb korytarza. W oddali dostrzegła zbliżającą się wysoką postać: Iana Cuthberta.

Ujęła Smithbacka za rękę.

— Musimy iść. Pamiętaj, mamy umówione spotkanie. Zbiory obejrzymy kiedy indziej.

— Rzeczywiście. Masz rację. Jasne — rzucił Smithback.

— Jeszcze tu wrócę — rzekł do strażnika.

Przy końcu korytarza Margo wepchnęła Smithbacka do pobliskiej niszy.

— Szybko, za regały — wyszeptała.

Ukryli się za szafkami i po chwili usłyszeli odgłos kroków przechodzącego tuż obok Cuthberta. Nagle ucichły, a w korytarzu dał się słyszeć donośny głos Cuthberta.

— Czy ktokolwiek próbował się dostać do skarbca? — zapytał.

— Tak, sir. Pewien mężczyzna. Dopiero co tu byli, oboje.

— Kto? — warknął Cuthbert. — O kim mówisz?

— No, o tym mężczyźnie. Mężczyzna miał formularz, ale nie dopełnił niezbędnej procedury, więc go nie wpuściłem.

— Nie wpuściłeś go?

— Tak jest, sir.

— Kto wypełnił formularz? Frock?

— Tak jest, sir. Doktor Frock.

— I nie wiecie, jak się ten mężczyzna nazywa?

— Chyba miał na imię Bill. Imienia kobiety nie znam, ale...

— Bill? Bill? Świetnie, po prostu świetnie. Pierwsze, co powinienes zrobić, to sprawdzić jego tożsamość.

— Przepraszam, sir. On był taki natarczywy... Cuthberta jednak już tam nie było. Jego kroki ucichły w głębi

korytarza. Na znak Smithbacka Margo czym prędzej się podniosła i otrzepała z kurzu. Oboje wyszli na korytarz.

— Hej, wy! — zawołał strażnik. — Chodźcie tu, muszę zobaczyć wasze dokumenty! Zaczekajcie!

Smithback i Margo pobiegli co sił w nogach. Pokonali zakręt, wpadli na schody i po szerokich, betonowych stopniach dostali się na górę.

— Dokąd teraz? — spytała Margo.

— Żebym to ja wiedział.

Na następnym podeście Smithback przystanął i wyjrzał ostrożnie na korytarz. Rozejrzał się w lewo i w prawo, po czym bezceremonialnie sforsował drzwi z napisem SSAKI. MAGAZYN PONGIDAE.

Wewnątrz przystanęli, by zaczerpnąć tchu. W pomieszczeniu było cicho i chłodno. Gdy oczy Margo przywykły do słabego oświetlenia, dostrzegła wypchane goryle i szympansy stojące w szeregach jak wartownicy oraz sterty kosmatych futer wiszące na drewnianych kozłach. Pod jedną ze ścian umieszczono półki, na których rzędami ustawiono czerepy naczelnych.

Smithback przez chwilę bacznie nasłuchiwał pod drzwiami. Następnie zwrócił się do Margo.

— Sprawdźmy, co znalazłaś — powiedział.

— Niewiele — odparła mocno zasapana Margo. — Zabrałam parę nic nie znaczących drobiazgów i to wszystko. Ale znalazłam to. — Sięgnęła do torebki. — Było wsunięte pod spód wieka skrzyni.

Otwarta koperta zaadresowana była następująco: R.H. Montague,

MHNNJ.

Pozółkły papier listowy ozdobiony był osobliwym motywem podwójnej strzały. Gdy Smithback zajrzał jej przez ramię, Margo ostrożnie uniosła kartkę do światła i zaczęła czytać.

Dorzecze Xingu

17 września 1987 roku

Montague,

postanowiłem odesłać Carlosa wraz z ostatnią skrzynią, a samemu wyruszyć na poszukiwanie Crockera. Carlos to człowiek godny zaufania, a ja nie mogę ryzykować utraty skrzyń, gdyby coś mi się przytrafiło. Zwróć szczególną uwagę na grzechotkę szamana i inne przedmioty rytualne. Wydają się unikatowe. Figurka wszelako, którą dołączyłem do zbiorów, znaleziona w opuszczonej chacie, w owej osadzie, stanowi dowód, którego zawsze szukałem. Zauważ przerośnięte pazury, typowo gadzie atrybuty, i pewne cechy istot dwunożnych. Kothoga istnieją, a legenda Mbwuna nie jest tylko mitem.

Wszystkie notatki z moich badań w terenie znajdują się w tym dzienniku...

*Rozdział trzydziesty pierwszy*

Lavinia Rickman siedziała w skórzanym fotelu klubowym barwy starego wina, w gabinecie dyrektora. Pokój przepełniała grobowa cisza. Nawet hałas z ulicy dwa piętra niżej nie był w stanie przedrzeć się przez grube okna wieży. Sam Wright siedział za biurkiem, nieomal niknąc za połacią mahoni.

Zza jego pleców wyłaniał się portret Ridleya A. Davisa, założyciela muzeum, pędzla Raynoldsa.

Doktor Ian Cuthbert zajmował miejsce na sofie, pod przeciwległą ścianą. Wychylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach, w luźnym, przydużym garniturze wyglądał jak strach na wróble. Był zasepiony. Zwykle chmurny i skory do gniewu, tego popołudnia wyglądał wyjątkowo ponuro.

Wreszcie ciszę przerwał dyrektor Wright.

— Dziś po południu dzwonił dwa razy — zwrócił się oschle do Cuthberta. — Nie mogę tak go zwodzić w nieskończoność. Prędzej czy później zaczniesz robić awantury, że zabraniamy mu dostępu do skrzyń. Może też połączyć tę aferę ze sprawą Mbwuna. Wtedy zrobiliby się naprawdę niewesoło.

Cuthbert pokiwał głową.

— Lepiej później niż wcześniej. Grajmy na zwłokę. Gdy ekspozycja ruszy, a do kasy wpłyną pieniądze za bilety wykupywane dziennie przez czterdzieści tysięcy zwiedzających, może wszczynać awanturę, o co tylko zechce. Zapadła kolejna długa cisza.

— Nie chcę odgrywać roli adwokata diabła — podjął swój wywód Cuthbert — ale kiedy kurz w końcu opadnie i sprawa przycichnie,



będziesz musiał, Winstonie, wydatnie zwiększyć liczbę personelu. Plotki o kłątwie mogą być teraz dla nas uciążliwe, ale gdy znów zrobi się bezpiecznie, ludzie zaczną walić tu drzwiami i oknami w poszukiwaniu sensacji i skandalu. Wszyscy będą chcieli odwiedzić nasze muzeum i na własne oczy obejrzyć miejsce tych krwawych wydarzeń. Zbrodnia pomogła w rozkręceniu niejednego interesu. Mówię ci, Winstonie, sami nie mogliśmy tego lepiej zaaranżować.

Wright zmarszczył brwi i łypnął na zastępcę dyrektora.

— Plotki o kłątwie. Może to prawda. Weź pod uwagę wszystkie nieszczęścia, które zdają się podążać śladem tej szkaradnej, małej figurki przez pół świata.

Zaśmiał się ponuro.,

— Nie mówisz serio — odezwał się Cuthbert.

— Powiem ci coś całkiem serio — uciał Wright. — Nie chcę nigdy więcej usłyszeć takich słów z twoich ust. Frock ma wielu znamienitych przyjaciół. Grube ryby. Gdyby się im poskarżył... wiesz, jak to zwykle bywa... takie historie zataczają szerokie kręgi i bardzo się rozrastają. Pojawiają się pogłoski, że zatajamy informacje. Że zależy nam tylko na zyskach i dla tej wystawy jesteśmy gotowi narazić ludzi na śmiertelne niebezpieczeństwo. Jak, twoim zdaniem, to wpłynęłoby na obroty muzeum?

— Masz rację — przyznał Cuthbert, uśmiechając się krzywo. — Ale nie muszę ci chyba przypominać, że jeśli wystawa nie zostanie otwarta w terminie, to wszystko stanie się kwestią czysto akademicką. Musimy trzymać Frocka na krótkiej smyczy. Właśnie wysłał najemników, aby wykonali za niego brudną robotę. Jeden z nich usiłował niespełną godzinę

temu dostać się do Strefy Chronionej.

— Kto? — spytał Wright.

— Strażnik wykazał się nie lada niekompetencją — odparł Cuthbert — ale zapamiętał imię tego mężczyzny: Bill.

— Bill? — Rickman wyprostowała się.

— Wydaje mi się, że tak — rzekł Cuthbert, odwracając się w stronę szefowej do spraw public relations. — Czy nie tak ma na imię dziennikarz piszący książkę o mojej wystawie? To twój człowiek, nieprawdaż? Słyszałem, że zadaje mnóstwo pytań.

— Zgadza się — potwierdziła Rickman, uśmiechając się promiennie.

— Mieliśmy z nim parę przepraw, ale teraz tańczy tak, jak mu gramy.

Kontroluj źródła, a będziesz mieć kontrolę nad dziennikarzami, stale to powtarzam.

— Tańczy, jak mu gramy? — rzucił Wright. — Czemu więc rozesłałaś dziś rano po całym muzeum okólnik z zaleceniem, by pracownicy wyższego szczebla nie rozmawiali z obcymi?

Rickman uniosła w górę swą wymanikiowaną dłoń.

— Już się nim zajęliśmy.

— Zrób, co w twojej mocy, aby faktycznie tak było — rzekł Cuthbert.

— Siedzisz w tym bigosie od samego początku, Lavinio. Jestem pewien, że nie chcesz, aby ten pismak wywlókł na światło dzienne jakieś twoje brudy.

W interkomie coś zasyczało i rozległ się głos.

— Pan Pendergast do pana.

— Niech wejdzie — rzekł Wright. Spojrzał kwaśno na pozostałych. — To by było wszystko.

W drzwiach pojawił się Pendergast z gazetą pod pachą. Przystanął na chwilę.

— Rety, cóż za czarujący widok — powiedział. — Sama śmietanka. Doktorze Wright, bardzo dziękuję, że zechciał pan znaleźć dla mnie chwilę. Pani Lavinia Rickman, nieprawdaż?

— Tak — odparła Rickman, uśmiechając się niewinnie.

— Panie Pendergast — rzekł Wright z surowym, oficjalnym uśmiechem. — Proszę usiąść, gdzie panu wygodnie.

— Dziękuję, doktorze, postoję. — Pendergast podszedł do wielkiego kominka i splatając ramiona, oparł się o jego ozdobne obramowanie.

— Przyszedł pan złożyć raport? Mniemam, iż poprosił pan o to spotkanie, by poinformować o schwytaniu zabójcy.

— Nie — odrzekł Pendergast. — Niestety jeszcze go nie aresztowaliśmy. Szczerze mówiąc, doktorze Wright, sprawa nie posuwa się tak szybko, jak moglibyśmy sobie tego życzyć. Pomimo zapewnień udzielonych prasie przez panią Rickman.

Pokazał dyrektorowi krzykliwy nagłówek: **BESTIA Z MUZEUM JUŻ WKRÓTCE ZNAJDZIE SIĘ ZA KRATKAMI.**

Zapadła krótka cisza. Pendergast złożył gazetę i starannie położył ją na obramowaniu kominka.

— W czym problem? — spytał Wright. — Nie pojmuję, czemu tak długo to trwa.

— Problemów jest wiele, o czym panu bez wątpienia wiadomo — odparł Pendergast. — Nie przyszedłem tu jednak, by składać panu raport z przebiegu śledztwa. Wystarczy, że przypomnę, iż gdzieś na terenie muzeum ukrywa się groźny, seryjny morderca. Nie mamy powodów

przypuszczać, że skończył z mordowaniem. O ile wiemy, zabija nocą. Innymi słowy, po siedemnastej. Jako agent specjalny oddelegowany do prowadzenia tej sprawy, z żalem informuję, że zarządza przez nas godzina policyjna musi obowiązywać nadal aż do chwili odnalezienia i pojmania zabójcy. Nie będzie żadnych wyjątków.

— Ale otwarcie... — wykrztusiła Rickman.

— Trzeba będzie przełożyć je na inny termin. Przesunąć o tydzień, a może nawet o miesiąc. Obawiam się, że nie mogę państwu niczego obiecać. Bardzo mi przykro.

Wright wstał, twarz miał czerwoną jak burak.

— Mówił pan, że otwarcie będzie można przeprowadzić zgodnie z planem, jeśli tylko nie wydarzą się kolejne zabójstwa. Taka była umowa.

— Nie zawierałem z panem żadnych umów, doktorze — powiedział łagodnie Pendergast. — Niestety, ale od początku tygodnia śledztwo utknęło w martwym punkcie. Nie potrafię powiedzieć, czy i kiedy schwytamy tego psychopatę. — Wskazał ręką gazetę. — Takie nagłówki czynią ludzi lekkomyślnymi i nieostrożnymi. Tysiące ludzi w muzeum, po zmroku... — Pokręcił głową. — Nie mam wyboru.

Wright z niedowierzaniem patrzył na agenta.

— Przez pańską nieudolność i niekompetencję mielibyśmy przełożyć termin otwarcia wystawy i narazić naszą reputację na szwank, a muzeum na niewyobrażalne straty i kłopoty natury finansowo-prawnej? Odpowiedź brzmi — nie.

Pendergast niewzruszony stanął pośrodku pokoju.

— Pan wybaczy, doktorze Wright, być może nie wyraziłem się dość jasno. Nie przyszedłem tu prosić o pańskie zezwolenie. Pragnę jedynie

poinformować o podjętej przeze mnie decyzji.

— Ach, tak — odezwał się dyrektor drżącym głosem. — Rozumiem. Nie robi pan tego, co do niego należy, i jeszcze próbuje pouczać mnie. Czy zdaje pan sobie sprawę, co może znaczyć dla naszej wystawy przesunięcie terminu otwarcia? Wie pan, jak na to zareagują media? Nie, Pendergast, nie mogę na to pozwolić.

Agent ze stoickim spokojem wpatrywał się we Wrighta.

— Każda osoba przebywająca bez odpowiedniego upoważnienia na terenie muzeum po godzinie siedemnastej zostanie aresztowana i oskarżona o wtargnięcie i bezprawne przebywanie na miejscu zbrodni. To tylko wykroczenie. W przypadku recydywy każdej z takich osób postawiony zostanie zarzut umyślnego przestępstwa. A to poważna sprawa, doktorze Wright. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

— Jasne jest tylko to, że właśnie pan wychodzi — odparł Wright, podnosząc głos. — Jeśli nie chce pan, abym popełnił przestępstwo, proszę opuścić ten gabinet.

Pendergast skinął głową.

— Żegnam państwa. — I odwróciwszy się, bezszelestnie opuścił gabinet.

Zamykając za sobą drzwi, Pendergast przystanął na chwilę w sieni gabinetu dyrektora. Spoglądając na drzwi, wyrecytował cicho:

*So I return rebuk'd to my content*

*And gain by ills thrice more than I have spent.*

Sekretarka Wrighta na chwilę przerwała żucie gumy.

— Co pan powiedział? — spytała.

— Nie ja. Szekspir — odparł Pendergast, kierując się ku windzie.

W gabinecie Wright drżącą dłonią podniósł słuchawkę telefonu.

— Cholera, i co teraz będzie? — wybuchnął Cuthbert. — Pierwej piekło zamarznie, niż jakiś pieprzony glina wywali nas z naszego własnego muzeum.

— Zamknij się, Cuthbert — uciszył go Wright. I rzucił do słuchawki.

— Łącz mnie natychmiast z Albany.

Przez chwilę, nim połączenie zostało zrealizowane, w pokoju panowała głucha cisza. Wright patrzył na Cuthberta i Rickman; oddech miał przyspieszony i chrapliwy.

— Pora sięgnąć po naszą tajną broń — rzekł półgłosem. — Na szczęście są ludzie, do których możemy zwrócić się po pomoc. Nadchodzi czas, że trzeba spłacić zaciągnięty dług. Zobaczymy, kto ma tutaj ostatnie słowo: jakiś mieszaniec, natrętny albinos z bagien, czy dyrektor największego na świecie Muzeum Historii Naturalnej.

## *Rozdział trzydziesty drugi*

Roślinność jest tu bardzo niezwykła. Sagowce i paprocie wyglądają jak relikty z czasów prehistorycznych. Szkoda, że nie mam czasu, by przeprowadzić bardziej szczegółowe badania. W charakterze wypełniacza do skrzyni użyliśmy roślin z gatunku najbardziej naszym zdaniem elastycznego i odpornego. Pokaż je Jorgensenowi, gdyby był nimi zainteresowany.

Podejrzewam, że spotkamy się za miesiąc, w klubie Explorer, aby uczcić nasz sukces kieliszkiem wyborowego martini i przedniego macanudo. Póki co, twojej pieczy powierzam cały ten materiał i mą własną reputację

Twój przyjaciel i kolega po fachu Whittlesey

Smithback uniósł wzrok znad listu.

— Nie możemy tu zostać. Wracajmy do mego gabinetu.

Jego samotnia znajdowała się w głębi labiryntu biur na parterze muzeum. Płatanina korytarzy, pełnych gwaru, hałasu i ludzi, wydawała się Margo przyjemną odmianą po wilgotnych, niosących echa tunelach

piwnicznych wiodących do Strefy Chronionej Minęli wielki, zielony śmietnik, z którego wysypywały się stare egzemplarze wydawanego w muzeum pisma. Przed gabinetem Smithbacka, na dużej, korkowej tablicy, dla uciechy zespołu redakcyjnego wywieszano wycinki z licznych, ociekających jadem listów subskrybentów.

Margo dotąd tylko raz odwiedziła samotnie Smithbacka, poszukując we wszechobecnym bałaganie jednego z przetrzymywanych przez pisarza numerów pisma „Science”. Na pierwszy rzut oka stwierdziła, że nic się tu nie zmieniło biurko zasłane było stertą kserokopii artykułów, nie dokończonych listów, pudełek od Chińczyka, całą masą książek oraz czasopism, których zwrotu bez wątpienia domagała się tutejsza biblioteka.

— Usiądź — rzekł Smithback, bezceremonialnie zrzucając z krzesła okazałą stertę gazet. Zamknął drzwi i ominąwszy biurko, podszedł do starego, bujanego fotela z giętego drewna.

— W porządku — mruknął. — Jesteś pewna, że dziennika tam nie było?

— Mówię ci, że nie miałam czasu się rozejrzeć. Zdążyłam tylko przeszukać jedną uszkodzoną skrzynię, tę spakowaną przez Whittleseya. Ale gdyby miał tam być, to właśnie w niej

Smithback znów spojrzał na list.

— Kim jest ten Montague, no wiesz, adresat listu? — zapytał.

— Nie mam pojęcia — odparła.

— A Jorgensen?

— O mm również nie słyszałam. Smithback zdjął z półki listę telefonów muzeum.

— Nie ma tu żadnego Montague — powiedział, kartkując kolejne



strony. — Choć, rzecz jasna, może to być nie nazwisko, lecz imię. Aha! Mam Jorgensena. Botanik. Emerytowany, jak się wydaje. Jakim cudem wciąż ma tu swój gabinet?

— W tym miejscu to nic niezwykłego — odrzekła Margo. — Zwłaszcza dla niezależnych, zamożnych ludzi, którzy nie mają nic innego do roboty. Gdzie jest jego gabinet?

— Sektor czterdziesty pierwszy, trzecie piętro — oznajmił Smithback, zamykając spis i odkładając na biurko. — W pobliżu herbarium. — Wstał. — Chodźmy.

— Chwileczkę, Smithback Już prawie szesnasta. Powinnam zadzwonić do Frocka i powiedzieć mu, co...

— Później — uciał Smithback, kierując się ku drzwiom. — Chodź, mój Kwiecie Lotosu. Mój dziennikarski nos przez całe popołudnie stęsknił się za przyjemnymi zapachami.

Biuro Jorgensena było niskim, pozbawionym okien laboratorium o wysokim sklepieniu. Brakowało w nim roślin lub okazów botanicznych, które Margo spodziewała się ujrzeć w takiej placówce.

W sumie całe pomieszczenie urządzone było po spartańsku, znajdował się tu tylko duży stół roboczy, krzesło i wieszak na ubrania. Jedna z szuflad była wysunięta, wewnątrz wały się jakieś narzędzia. Jorgensen nachylony nad stołem roboczym gmerał w niedużym silniku.

— Doktor Jorgensen? — spytał Smithback.

Staruszek odwrócił się i spojrzał na pisarza. Był prawie całkiem łysy, a krzaczaste, siwe brwi podkreślały jego oczy barwy spranego dżinsu. Był chudy, kościsty i przygarbiony, lecz zdaniem Margo, musiał mierzyć dobre sześć stóp cztery cale.

— Tak? — odezwał się cicho.

Zanim Margo zdążyła go powstrzymać, Smithback podał Jorgensenowi list.

Mężczyzna zaczął czytać i nagle się ożywił. Nie odrywając wzroku od listu, sięgnął po stojące obok stare krzesło, przysunął je i usiadł.

— Skąd to macie? — zapytał, gdy skończył. Margo i Smithback wymienili niepewne spojrzenia.

— List jest autentyczny — rzekł Smithback. Jorgensen spojrział na nich. I oddał list Smithbackowi.

— Nic o tym nie wiem — oświadczył. Zapadła cisza.

— Pochodzi ze skrzyni, którą Julian Whittlesey przysłał siedem lat temu z wyprawy do Amazonii — rzucił Smithback.

Jorgensen wciąż na nich patrzył. Po chwili wrócił do pracy nad silnikiem.

Stażystka i pisarz obserwowali go przez pewien czas.

— Przepraszamy, że przeszkodziliśmy panu w pracy — powiedziała Margo. — Może to nie jest najwłaściwsza pora na wizytę.

— W jakiej pracy? — burknął Jorgensen, nie odwracając się.

— No, w tym, co pan teraz robi — dorzuciła Margo. Jorgensen wybuchnął śmiechem.

— W tym? — Odwrócił się do nich. — To żadna praca. Naprawiam odkurzacz. Odkąd umarła mi żona, muszę sam wykonywać wszystkie prace domowe. To cholerstwo wysiadło parę dni temu. Przyniosłem je tutaj, bo mam tu wszystkie potrzebne narzędzia. Ostatnio nie mam zbyt wiele do roboty.

— A jeżeli chodzi o ten list... — wtrąciła Margo. Jorgensen poruszył

się na skrzypiącym krześle i wbił wzrok w sufit.

— Nawet nie wiedziałem, że istnieje. Symbol podwójnej strzały to herb rodowy Whittleseyów. Pismo także jest jego. Rozpoznałem je od razu. To przywołuje wiele wspomnień.

— Jakiego rodzaju? — dopytywał się Smithback. Jorgensen spojrział na niego z irytacją. Jego siwe, krzaczaste brwi połączyły się w pojedynczą kreskę.

— Nie pańska rzecz — odburknął. — A w każdym razie nie widzę powodu, dlaczego miałbym panu o tym mówić.

Margo spiorunowała Smithbacka wzrokiem.

— Doktorze Jorgensen — rzekła. — Jestem stażystką, pracuję z doktorem Frockiem. Mój kolega jest dziennikarzem. Doktor Frock sądzi, że wyprawa Whittleseya i odesłane przez niego skrzynie są w jakiś sposób powiązane z morderstwami w muzeum.

— Kłątwa? — spytał Jorgensen, teatralnym gestem unosząc brwi.

— Nie, nie chodzi o kłatwę — zapewniła Margo.

— Cieszę się, że nie kupiła pani tego kitu. Nie ma żadnej kłątwy.

Chyba że jako kłatwę rozumie się mieszaninę chciwości, ludzkiej głupoty i naukowej zawiści. Nie potrzeba Mbwuna, by wyjaśnić... — Przerwał. — Czemu tak was to interesuje? — zapytał podejrzliwie.

— Co wyjaśnić? — wtrącił Smithback. Jorgensen spojrział nań z niesmakiem.

— Młody człowieku, jeśli jeszcze raz się odezwiesz, poproszę cię o opuszczenie tego pokoju.

Smithback zmrużył oczy, ale nie powiedział nic więcej.

Margo zastanawiała się, czy powinna wyjawzić naukowcowi szczegóły

związane z hipotezami Frocka, śladami pazurów i uszkodzoną skrzynią, lecz w końcu nie zdecydowała się na to.

— Interesujemy się tym, bo sądzimy, że istnieje wyraźny związek, a jednak nikt nie próbuje tego zbadać. Ani policja, ani władze muzeum. W liście pada pańskie nazwisko. Mieliśmy nadzieję, że opowie nam pan coś więcej o tej wyprawie.

Jorgensen wyciągnął pomarszczoną, starczą dłoń.

— Czy mógłbym raz jeszcze spojrzeć na ten list? Smithback podał mu go, lecz nie bez wahania. Jorgensen ponownie przeczytał treść listu, chłonąc łapczywie kolejne słowa, jakby odgrzebywał wspomnienia.

— Kiedyś... — zaczął — wahałbym się o tym mówić. A może raczej powinienem powiedzieć: bałbym się. Pewne osoby mogłyby chcieć usunąć mnie ze stanowiska.

Wzruszył ramionami.

— Jednakże jestem już stary i niewiele rzeczy mnie przeraża. Z wyjątkiem może samotności.

Powoli skinął głową do Margo, trzymając w ręku list.

— Gdyby nie Maxwell, ja także uczestniczyłbym w tej wyprawie.

— O nim też jest wzmianka w liście! Kto to taki? — spytał Smithback. Jorgensen spiorunował go wzrokiem.

— Nie takich pismaków załatwiałem w swoim życiu — warknął. — Milcz, powiadam. Rozmawiam z tą panią.

Znów odwrócił się do Margo.

— Maxwell był jednym z szefów wyprawy. Maxwell i Whittlesey. To był pierwszy błąd, jaki popełniono. Pozwolono Maxwellowi na uczestnictwo w ekspedycji i powierzono mu tak wysoką funkcję. Ci dwaj

mieli ze sobą współpracować jako przywódcy wyprawy, ale od początku zaczęły się między nimi niesnaski i nieporozumienia. Żaden z nich nie miał pełnej kontroli. Wygrana Maxwella oznaczała moją porażkę, uznał on, że w grupie nie ma miejsca dla botanika i wykluczył mnie z udziału. Whittlesey przejął się tym bardziej ode mnie. Obecność Maxwella stanowiła ryzyko dla sekretnego celu ekspedycji.

— Co nim było? — spytała Margo.

— Odnalezienie plemienia Kothoga. Krążyły plotki o nie odkrytym dotąd szczepie żyjącym na tepui, rozległym płaskowyżu rozciągającym się ponad lasem równikowym. Choć obszar ten nie został naukowo zbadany, powszechnie uznano plemię za wymarłe i sądzono, że można jedynie natrafić na pamiątki po nim. Whittlesey nie podzielał tej teorii. Chciał odkryć ten tajemniczy lud. Problem w tym, że miejscowy rząd zabronił mu prowadzenia badań na tepui. Rzekomo teren ten był zarezerwowany do badań dla tamtejszych uczonych. Jankesi do domu.

Jorgensen parsknął i pokręcił głową.

— W rzeczywistości teren ten miał zostać zwyczajnie zagrabiony. Naturalnie miejscowe władze znały te same plotki co Whittlesey. Jeżeli tam, na górze, faktycznie żyli Indianie, rząd nie chciał, by przeszkadzali w ścinie drzew i wydobywaniu bogactw mineralnych. Tak czy owak ekspedycja miała nadejść od północy. To mniej uczęszczany szlak, oddalony wszelako od terenów zakazanych. Wyprawa otrzymała formalny zakaz wejścia na teren tepui.

— Czy Kothoga jeszcze istnieją? — spytała Margo. Jorgensen wolno pokręcił głową.

— Tego już się nie dowiemy. Władze odkryły coś na wspomnianym

płaskowyżu. Złoto, może platynę lub złoża okruchowe. W naszych czasach nietrudno je wykryć z użyciem satelitów. Wiosną osiemdziesiątego ósmego cały teren tepui został zbombardowany.

— Zbombardowany? — rzuciła Margo.

— Na płaskowyż zrzucano napalm — wyjaśnił Jorgensen. — To dość niezwykła i kosztowna operacja. Wygląda na to, że pożary wydostały się spod kontroli. Pożoga trwała przez kilka miesięcy. Później wybudowano tam wielką drogę, prace prowadzono od południa, od łatwiejszej strony. Ściągnięto japoński sprzęt wydobywczy i dosłownie wyplukano ze ściany płaskowyżu co wartościowsze złoża. Bez wątpienia użyto do tego roztworów cyjanku, a potem całą tę truciznę spuszczoneo do rzek. Nie zostało tam już nic. Dosłownie. Właśnie dlatego muzeum nie wysłało w te rejony drugiej ekspedycji, by odnalazła jakiegokolwiek ślady lub pozostałości pierwszej wyprawy.

Chrząknął.

— To potworne — jęknęła Margo.

Jorgensen utkwił w niej spojrzenie swych niewzruszonych niebieskich oczu.

— Tak. To potworne — przyznał. — Naturalnie nie przeczyta pani o tym w oficjalnych informacjach o Przesądach.

Smithback uniósł dłoń, podczas gdy drugą ręką wyjął z kieszeni maleńki dyktafon.

— Bardzo przepraszam, czy mógłbym...?

— Nie. Nie mógłby pan tego nagrać. To informacje poufne. Nie do rozpowszechniania. Nie wolno ich wykorzystywać. W ogóle nic nie wolno z nimi robić. Dziś rano otrzymałem odgórny okólnik, o czym panu bez

wątpienia wiadomo. Robię to, co robię, wyłącznie dla siebie: nie mówiłem o tym przez tyle lat i uznałem, że już najwyższy czas przerwać milczenie. Jeden jedyny raz. Proszę więc nic nie mówić i słuchać. Zapadła cisza.

— Na czym to ja skończyłem? — podjął Jorgensen. — Ach, tak.

Whitdesey miał zakaz wchodzenia na płaskowyż. Maxwell zaś był biurokrata z krwi i kości. Zamierzał uczynić wszystko, by Whittlesey postępował zgodnie z obowiązującymi regułami. Cóż jednak począć, gdy znajdujesz się o dwieście mil od najbliższej osady, w dżungli, gdzie nie ma urzędników państwowych i gdzie nie obowiązują żadne zasady...? — Zaczekał. — Wątpię, czy ktokolwiek wie, co się tam naprawdę zdarzyło. Usłyszałem tę historię od Montague, a on posklecał ją w całość z depesz Maxwella. Nie powiedziałbym, aby było to w pełni wiarygodne źródło.

— Montague? — wtrącił Smithback.

— Tak czy inaczej... — ciągnął Jorgensen, ignorując Smithbacka — wygląda na to, że Maxwell natknął się na jakiś niewiarygodny okaz roślinności. Otóż dziewięćdziesiąt dziewięć procent roślin rosnących u podnóża tepui było zupełnie nieznanymi nauce. Odkryto tam dziwne, prymitywne paprocie i rośliny jednoliścienne, które wyglądały jak relikty z ery mezozoicznej. Choć Maxwell był antropofizykiem, dostał bzika na punkcie tych osobliwych roślin. Wypełniali kolejne skrzynie, jedną po drugiej, dziwacznymi okazami. Właśnie wtedy Maxwell natrafił na te strąki nasienne.

— Jak ważne było to znalezisko?

— Porównałbym je do odkrycia żywej skamieliny. Od czasu odnalezienia coelacantha w latach trzydziestych nauka nie zaznała podobnego przełomu, to gromada, która, jak powszechnie uważano,

powinna przestać istnieć jeszcze w karbonie. Cała gromada.

— Czy te strąki nasienne wyglądają jak jaja? — zapytała Margo.

— Nie potrafię powiedzieć. Ale Montague je widział i mówił, że były diablo twarde. Aby wykiełkować, musiałyby zostać zagrzebane bardzo głęboko w silnie kwaśnej glebie lasów deszczowych. Podejrzewam, że nadal znajdują się w tych skrzyniach.

— Doktor Frock sądził, że to jaja.

— Frock powinien trzymać się swojej paleontologii. To wielki umysł, ale popełnia sporo błędów. Wracajmy ad rem. Maxwell i Whittlesey rozstali się. Nic w tym niezwykłego. Można się było tego spodziewać. Może Maxwell nie był wielkim botanikiem, ale to trzeba mu przyznać, jak mało kto potrafił zwietrzyć naukową sensację. Chciał wracać do muzeum z próbkami tych strąków. Dowiedział się, że Whittlesey zamierza wejść na płaskowyż w poszukiwaniu Kothoga, i wpadł w panikę. Bał się, że skrzynie zostaną zarekwirowane w porcie i nie uda mu się wywieźć swoich cennych okazów. Rozstali się więc. Whittlesey zapuścił się w głąb dżungli, wspiął się na tepui i wszelki ślad po nim zaginął.

Gdy Maxwell wraz z resztą wyprawy dotarł do wybrzeża, zaczął słać gorączkowe depesze do muzeum, w czambuł potępiając Whittleseya i przedstawiając własną wersję wydarzeń. Wkrótce potem on i jego ludzie zginęli w katastrofie samolotowej. Na szczęście skrzynie miały dotrzeć do Stanów drogą morską. Może to fart, a może pech. Dopiero po roku muzeum zdołało odzyskać skrzynie z policyjnego depozytu i dostarczyć je do Nowego Jorku. Nikomu jakoś nie spieszyło się, aby dowieźć je tu w przyzwoitym terminie.

Wywrócił oczami z niesmakiem.



— Wspomniał pan nazwisko Montague... — wtrąciła Margo.

— Montague — rzekł Jorgensen, wpatrując się w przestrzeń. — To był młody doktor, kandydat do pracy w muzeum na Wydziale Antropologu. Protegowany Whittleseya. Chyba nie muszę mówić, że popadł w niełaskę, gdy do muzeum zaczęły docierać pierwsze depesze z Amazonii. Uznano, że nikomu, kto był zaprzyjaźniony z Whittleseym, nie można ufać.

— Co stało się z Montague? Jorgensen zawahał się.

— Nie wiem — odparł w końcu. — Któregoś dnia po prostu zniknął. Jakby się zapadł pod ziemię.

— A skrzynie? — naciskała Margo.

— Montague bardzo chciał je zobaczyć, zwłaszcza tę przygotowaną przez Whittleseya. Jak już jednak wspomniałem, znalazł się w niełasce i odsunięto go od projektu. Właściwie cały projekt został zawieszony. Wyprawa zakończyła się tak wielkim fiaskiem, że nasi decydenci chcieli o niej jak najszybciej zapomnieć. Gdy w końcu skrzynie dotarły do muzeum, umieszczono je, nawet nie otwarłszy, w magazynie. Większość dokumentacji i szczegółów dotyczących pochodzenia okazów spłonęła w katastrofie samolotu. Rzekomo dziennik Whittleseya ocalał, ale ja nigdy go nie widziałem. Montague pisał skargi i prośby, aż w końcu pozwolono mu dokonać wstępnego skatalogowania i oględzin nadesłanych okazów. Zrobił swoje i poszedł sobie.

— Jak to, poszedł sobie? — spytał Smithback. Jorgensen spojrzał na niego, jakby się zastanawiał, czy odpowiedzieć na to pytanie.

— Zwyczajnie, wyszedł z muzeum i odtąd nikt go już więcej nie widział. O ile wiem, jego mieszkanie zastano puste, nie zabrał też żadnych rzeczy ani ubrań. Rodzina wszczęła poszukiwania, które jednak nie

przyniosły rezultatu. To był dziwny chłopak. Większość ludzi uznała, że wyjechał do Nepalu albo Tajlandii w poszukiwaniu ostatecznego oświecenia.

— Pojawiły się również plotki — rzekł Smithback. To nie było pytanie. Jorgensen wybuchnął śmiechem.

— Oczywiście, że się pojawiły! Jak zawsze. Mówiono, że zdefraudował mnóstwo pieniędzy, że uciekł z żoną gangstera, że został zamordowany, a jego ciało spoczywa na dnie East River. W muzeum był jednak na tyle mało popularny i znaczący, że większość ludzi zapomniała o nim w ciągu kilku tygodni.

— A plotki jakoby pożarła go Bestia z Muzeum? — dopytywał się Smithback.

Jorgensen przestał się uśmiechać.

— To nie tak. Nie całkiem. Mimo to jego zniknięcie sprawiło, że ponownie zaczęły pojawiać się pogłoski o domniemanej klątwie. Mówiono, że wszyscy, którzy mieli kontakt z tymi skrzyniami, zginęli. Strażnicy i parę osób twierdziło, jakoby Whittlesey ograbił świątynię, że w skrzyni znajdował się jakiś artefakt, na którym ciążyła szczególnie silna klątwa. Ich zdaniem, klątwa ta dotarła za owym reliktem aż do naszego muzeum.

— Nie miał pan ochoty zbadać roślin przesłanych przez Maxwella? — zapytał Smithback. — Przecież jest pan botanikiem, nieprawdaż?

— Młody człowieku, nie ma pan zielonego pojęcia o nauce. Nie istnieje ktoś taki jak botanik per se. Nie interesuje mnie paleobotanika roślin okrytonasiennych. To nie moja działka. Specjalizuję się w koewolucji roślin i wirusów. A raczej specjalizowałem się — dodał z

ironią w głosie.

— Ale Whittlesey chciał, aby obejrzał pan rośliny, które przesłał w charakterze materiału wyściełającego — ciągnął Smithback.

— Nie pojmuję dlaczego — odrzekł Jorgensen. — Po raz pierwszy o tym słyszę. Nigdy dotąd nie widziałem tego listu. — Z niejakim wahaniem oddał go Margo. — Gdyby nie charakter pisma i ten symbol, powiedziałbym, że jest sfałszowany.

Zapadła cisza.

— Nie powiedział pan, co sądzi o zniknięciu Montague — odezwała się po chwili Margo.

Jorgensen podrapał się po nosie i wbił wzrok w podłogę.

— To mnie przeraża.

— Dlaczego?

Chwila ciszy trwała jeszcze dłużej niż poprzednio.

— Nie jestem pewien — odparł naukowiec. — Montague znalazł się kiedyś w poważnych tarapatach finansowych i pożyczył ode mnie sporą sumę. Mimo to, choć z wielkim trudem, spłacił pożyczkę co do centa. Takie znikanie bez śladu to po prostu do niego niepodobne. Nie pasuje do jego charakteru. Montague był sumienny, pracowity i uczciwy. Ostatni raz gdy go widziałem, miał zabrać się do skatalogowania zawartości skrzyń. Był bardzo przejęty. — Spojrzał na Margo. — Nie jestem człowiekiem zabobonnym Jestem naukowcem. Jak już mówiłem, nie wierzę w kłątwy ani tego typu rzeczy. — urwał.

— Ale .. — naciskał Smithback. Staruszek łypnął nań spode łba.

— No, dobrze — mruknął Usiadł wygodniej na krześle i wbił wzrok w sufit. — Mówiłem już, że Julian Whittlesey był moim przyjacielem —

powiedział. — Zanim wyruszył na wyprawę, Whittlesey zebrał możliwie jak najwięcej legend dotyczących plemienia Kothoga. Głównie od szczepów z nizin, żyjących w dolnym biegu rzeki, Yanomami i tym podobnych. Pamiętam zwłaszcza jeden z mitów, który opowiedział mi tuż przed wyjazdem. Według Yanomami, Kothoga zawarli pakt z istotą zwaną Zilashkee. To stwór w rodzaju naszego Mefistofelesa, ale jeszcze bardziej perfidny, ucieleśnienie zła i zepsucia, potwór siejący śmierć i zniszczenie, żyjący na szczycie tepui Tak przynajmniej głosi legenda. Wedle tej umowy Kothoga mieli najać na służbę dziecię Zilashkee w zamian za zabicie i pożarcie swoich własnych oraz złożenie przysięgi, że odtąd zawsze już będą czcić tylko jego jednego. Kiedy Kothoga zakończyli swe upiorne dzieło, Zilashkee zesłał do nich swoje dziecię. Bestia wszelako zaczęła nękać plemię, zabijając i pożerając ludzi. Gdy Kothoga poczuli się skarżyć, Zilashkee tylko się zaśmiał i odrzekł: — Czegóż się spodziewaliście! Wszak jestem zły! Jestem samym złem! W końcu, używając magicznych zaklęć, a może ziół czy czegoś takiego, plemieniu udało się przejąć kontrolę nad bestią. Bo widzicie, tego stwora nie można było zabić. Odtąd więc dziecię Zilashkee pozostawało pod kontrolą Kothoga, plemię zaś wykorzystywało je do swych własnych mrocznych i okrutnych celów. Jednakże działania takie zawsze wiązały się z ogromnym ryzykiem. Legenda głosi, że od tamtej pory Kothoga szukali sposobu na ostateczne pozbycie się swego brzemienia.

Jorgensen wlepił wzrok w rozebrany silnik.

— Taką właśnie opowieść usłyszałem od Whittleseya. Gdy dowiedziałem się o katastrofie samolotu, o śmierci Whittleseya i zniknięciu Montague... mimowolnie przyszło mi na myśl, że być może

Kothoga zdołali w końcu pozbyć się dziecięcia Zilashkee.

Naukowiec sięgnął po jedną z części silnika i zaczął obracać ją w dłoniach z nieobecnym wyrazem twarzy.

— Whitdesey powiedział, że imię dziecięcia Zilashkee brzmiało Mbwun. Ten Który Chodzi na Czworakach. — To rzekłszy, upuścił metalowy przedmiot na stół i uśmiechnął się.

## *Rozdział trzydziesty trzeci*

Gdy zaczęła zbliżać się pora zamknięcia muzeum, zwiedzający skierowali się ku wyjściom. Sklepek z pamiątkami umieszczony przy wejściu południowym miał tego dnia niezły utarg.

W marmurowych korytarzach prowadzących od południowego wejścia słyhać było gwar głosów i tupot kroków. W Sali Niebiańskiej przy wejściu zachodnim, gdzie miał odbyć się bankiet, hałas był cichszy, echa rozbrzmiewały wewnątrz olbrzymiej kopuły niczym mgliste wspomnienia ulotnego snu. Nieco dalej, w głębi muzeum, gdzie mieściły się laboratoria, stare sale wykładowe, magazyny i gabinety, nie było słyhać żadnych odgłosów. W długich korytarzach panowały cisza i mrok.

W Obserwatorium Butterfielda hałas i ruch wydawały się równie odległe, jakby pochodziły z całkiem innej planety.

Większość tutejszych pracowników z uwagi na godzinę policyjną udała się do domów wcześniej niż zazwyczaj. W gabinecie George'a Moriarty'ego, podobnie jak na pozostałych sześciu piętrach obserwatorium, panowała grobowa cisza.

Moriarty stał za biurkiem, przytykając do ust dłoń zaciśniętą w pięść.

— Cholera — wymamrotał.

W przypiływie frustracji kopnął na oślep, trafiając piętą w stojącą za nim szafkę i przewracając na podłogę stertę papierów.

— Cholera! — zawył, tym razem z bólu, i osunąwszy się na fotel,

zaczął rozcierać bolącą stopę.

Ból powoli minął, a wraz z nim frustracja. Wzdychając ciężko, rozejrzył się po pokoju.

— Jezu, George, zawsze wszystko spieprzysz, no nie? — mruknął pod nosem.

Nie umiał dogadywać się z ludźmi, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Wszystko, co uczynił, by zwrócić na siebie uwagę Margo, cokolwiek zrobił, by zyskać jej przychylność, obracało się przeciw niemu. To, co powiedział o jej ojcu, miało w sobie tyle delikatności i taktu, co słoń w składzie porcelany.

Odwrócił się do komputera i wstukał polecenie. Wyśle jej e-mail, może tym naprawi choć część wyrządzonych szkód. Zastanawiał się przez chwilę, dobierając słowa, po czym zaczął pisać.

## CZEŚĆ MARGO! ZASTANAWIAŁEM SIĘ, CZY...

I nagle, uderzając w jeden klawisz, wykasował cały zapis. To zapewne tylko pogorszyłoby całą sprawę.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ciemny ekran. Znał tylko jeden pewny sposób na złagodzenie swojego bólu: poszukiwanie skarbów. Wiele spośród najcenniejszych artefaktów na wystawie Przesady stanowiło bezpośredni rezultat jego poszukiwań. Moriarty uwielbiał nieprzebrane zbiory, które znajdowały się w muzeum, i znał je o wiele lepiej niż niejeden tutejszy pracownik z wieloletnim stażem.

Moriarty, z natury nieśmiały, miał niewielu przyjaciół i często dla „zabicia czasu” wyszukiwał i odnajdywał zapomniane relikty pogrzebane

w przepastnych zakamarkach muzealnych skarbców. Podbudowywało to jego poczucie własnej wartości i mile łechtało ego, gdyż ze strony współpracowników nie mógł raczej liczyć na wyrazy uznania.

Powrócił do komputera, wszedł do bazy danych i zaczął ją przeszukiwać. Umiał się po niej poruszać, znał wszystkie skróty i obejścia, był niczym kapitan żeglugi rzecznej pewnie i śmiało prowadzący swą łajbę pośród mielizn i dziesiątków najróżniejszych pułapek.

Po kilku minutach jego palce znieruchomiały. Dotarł do obszaru bazy danych, do którego nigdy wcześniej się nie zapuszczał: zbioru sumeryjskich artefaktów, odkrytego na początku lat dwudziestych, lecz nigdy w pełni nie skatalogowanego. Ostrożnie wszedł najpierw w zbiór, następnie w podzbiór, po czym zaczął przeglądać poszczególne artefakty. Wydawały się całkiem ciekawe: kolekcja glinianych tabliczek, wczesne przykłady sumeryjskiego pisma. Osoba, która je zgromadziła, sądziła, że zapisy dotyczyły ceremonii religijnych. Moriarty przeczytał opisy do poszczególnych przedmiotów i powoli skinął głową. Może warto byłoby dołączyć je do ekspozycji. W jednej z pomniejszych galerii z pewnością znalazłoby się dla nich miejsce.

Spojrzał na swój „słoneczny” zegarek: już prawie piąta. Wiedział, gdzie składowane były te tabliczki. Gdyby uznał, że się nadają, mógłby pokazać je jutro rano Cuthbertowi do zaakceptowania. Na pewno by się zgodził. Dołączenie ich do ekspozycji nie zajęłoby George'owi dużo czasu, uporałby się z tym pomiędzy piątkową galą a otwarciem wystawy dla zwiedzających. Szybko sporządził krótką notatkę i wyłączył komputer.

Towarzyszący temu odgłos zabrzmiał w niedużym gabinecie jak huk wystrzału. Moriarty znieruchomiał na chwilę, nie odrywając palca od



wyłącznika komputera. Wreszcie wyprostował się, powtykał koszulę do spodni i lekko utykając, gdyż pięta wciąż mu dokuczała, wyszedł z gabinetu, nieomal bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.

### *Rozdział trzydziesty czwarty*

Znajdujący się w tymczasowym punkcie dowodzenia D'Agosta zamarł w bezruchu, zanim zdążył zapukać w szybę gabinetu Pendergasta. Zajrzał do środka, aby lepiej się przyjrzeć.

W biurze Pendergasta szarogęsił się jakiś wysoki facet w brzydkim, fatalnie skrojonym garniturze. Wydawał się opalony, a jego twarz nosiła ślady oparzeń słonecznych; krzątał się po pokoju, jakby był u siebie, przekładając papiery na biurku i brzęcząc monetami, które miał w kieszeni.

— Hej, kolego — rzekł D'Agosta, otwierając drzwi i wchodząc do środka — to własność FBI. Może zaczekasz na pana Pendergasta na zewnątrz?

Mężczyzna odwrócił się. Oczy miał małe, przymrużone i pełne gniewu. Był nieelicho wkurzony.

— Od tej pory... ee... poruczniku... — rzekł, spoglądając na blachę przy pasku D'Agosty, jakby próbował odczytać widniejący na niej numer — będzie pan odnosił się z szacunkiem do wszystkich pracowników naszego Biura znajdującego się na terenie tego gmachu. Od tej pory ja tu dowodzę. Agent specjalny Coffey.

— Agencie Coffey, o ile wiem i dopóki nie dowiem się, że jest inaczej, dochodzenie na terenie muzeum prowadzi pan Pendergast, a pan robi mu bałagan na biurku.

Coffey uśmiechnął się krzywo, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kopertę.

D'Agosta wyjął z niej list i przejrzał pobieżnie. Było to pismo z Waszyngtonu, przekazujące prowadzenie sprawy nowojorskiej filii Biura i agentowi specjalnemu Spencerowi Coffeyowi. Do pisma dołączone był dwa listy polecające. Jeden, z Biura Gubernatora, zawierał formalne żądanie przyjęcia decyzji o zmianie kierownictwa dochodzenia i udzielenia śledczym wszelkiej możliwej pomocy. Drugiego, z nadrukiem Senatu Stanów Zjednoczonych, D'Agosta nawet nie przeczytał, lecz od razu złożył i z powrotem schował do koperty.

Oddał kopertę agentowi.

— A więc w końcu udało się wam tu wśliznąć kuchennymi drzwiami.

— Poruczniku, kiedy wróci Pendergast? — spytał Coffey, wkładając

kopertę do kieszeni.

— Skąd niby miałbym wiedzieć? — mruknął D'Agosta. — Skoro i tak przetrząsa pan jego biurko, może zajrzy pan do jego notesu i sprawdzi kalendarz spotkań.

Zanim Coffey zdążył odpowiedzieć, zza drzwi dobiegł głos Pendergasta.

— Ach, agent Coffey. Cieszę się, że pana widzę! Coffey znów sięgnął po kopertę.

— To nie będzie konieczne — rzekł Pendergast. — Wiem, co pana tu sprowadza. — Usiadł za biurkiem. — Poruczniku D'Agosta, niech się pan rozgości.

D'Agosta, zauważywszy, że w pokoju było jeszcze tylko jedno krzesło, zajął je z promiennym uśmiechem. Obserwowanie Pendergasta w akcji sprawiało mu coraz większą przyjemność.

— Panie Coffey, wszystko wskazuje na to, że w muzeum grasuje niebezpieczny psychopata — rzekł Pendergast. — Dlatego też obecny tu porucznik D'Agosta i ja doszliśmy do wniosku, że nie wolno dopuścić do rozpoczęcia gali zaplanowanej na jutrzejszy wieczór. Ten morderca działa nocą. Dostatecznie długo nie dawał o sobie znać, by można było spodziewać się, że wkrótce znowu zaatakuje. Nie możemy brać na siebie odpowiedzialności za śmierć kolejnych osób, wywołaną, rzekłbym, przyczynami materialnymi, czyli, mówiąc krótko, potrzebami finansowymi muzeum.

— Taak — mruknął Coffey. — Wy już nie weźmiecie na siebie żadnej odpowiedzialności. Moje rozkazy są jasne i wyraźne. Otwarcie odbędzie się zgodnie z planem, o ustalonej porze. Bezpieczeństwa gości, prócz

policji, strzec będą agenci federalni. To miejsce będzie strzeżone lepiej niż toaleta w Pentagonie. I, Pendergast, powiem panu coś jeszcze, kiedy przyjęcie dobiegnie końca, a grube ryby rozjadą się do domów, dopadniemy tego skurwiela. Mówią, że jest pan dobry, ale wie pan co? Nie robi to na mnie żadnego wrażenia. Miał pan cztery dni, ale nie zrobił pan nic. Zupełnie. Dość już marnowania czasu.

Pendergast uśmiechnął się.

— Spodziewałem się tego. Skoro taka jest pańska decyzja, pozostaje mi tylko pogodzić się z nią. Mimo to powinien pan wiedzieć, że wyślę do dyrektora oficjalny list, w którym przedstawię mój własny pogląd na tę sprawę.

— Niech pan robi, co zechce — odparł Coffey — ale w swoim czasie. Moi ludzie tymczasem zaczną się tu rozlokowywać. Oczekuję do siedemnastej raportu z przebiegu pańskich dotychczasowych działań.

— Jest już prawie gotowy — powiedział łagodnym tonem Pendergast.  
— Panie Coffey, czy ma pan mi coś jeszcze do powiedzenia?

— Tak — rzucił Coffey. — Oczekuję z pańskiej strony pełnej współpracy.

Nie zamknął za sobą drzwi. D'Agosta odprowadził go wzrokiem.

— Wygląda na jeszcze bardziej wkurzonego, zanim tu przyszedłeś — oznajmił. Odwrócił się do Pendergasta. — Chyba nie zamierzasz przekazać śledztwa temu pajacowi?

Pendergast uśmiechnął się.

— Vincencie, obawiam się, że to nieuniknione. Dziwię się, że stało się to dopiero teraz. Nie po raz pierwszy w tym tygodniu nadepnąłem Wrightowi na odcisk. Czemu miałbym z tym walczyć? Przynajmniej

dzięki temu nikt nie będzie mógł nas oskarżyć o brak współpracy.

— Sądziłem, że masz fazę. — D'Agosta starał się zatuszować nutę rozczarowania brzmiącą w jego głosie.

Pendergast rozłożył ręce.

— Mam, jak to mówisz, fazę. Oczywiście, że mam. Tyle tylko, że działałam na obcym terenie. Ponieważ zabójstwa te są podobne do zbrodni w Nowym Orleanie, nad którymi pracowałem przed kilkoma laty, miałem powód, by tu przebywać, dopóki nie pojawiły się kontrowersje i nie zostały wezwane lokalne służby federalne. Wiedziałem, że Wright spotkał się z gubernatorem. Gdy gubernator złożył formalne podanie o interwencję FBI, rezultat mógł być tylko jeden.

— A co ze sprawą? — spytał D'Agosta. — Coffey skorzysta z twoich dotychczasowych osiągnięć i sam spije całą śmietankę.

— Jeżeli w ogóle będzie co spijać — rzekł Pendergast. — Mam złe przeczucia co do tego otwarcia, poruczniku. Bardzo złe. Znam Coffeya od dawna i wiem jedno, ten facet ma talent do psucia wszystkiego, czego się dotknie. Jeżeli sytuacja jest zła, można się spodziewać, że za jego sprawą będzie jeszcze gorsza. Zauważ jedno, Vincencie, nie kazał mi spakować manatków i wynieść się stąd. Nie może tego zrobić.

— Nie mów mi, że cieszysz się, iż pozbawiono cię odpowiedzialności i uprawnień — powiedział D'Agosta. — Moim głównym celem w życiu było wymigiwanie się od odpowiedzialności, ale sądziłem, że w twoim przypadku jest dokładnie na odwrót.

— Zdziwiło mnie, co powiedziałeś — mruknął Pendergast. — To nie ma nic wspólnego z unikaniem odpowiedzialności. Jakkolwiek taki układ daje mi pewną dozę swobody. Prawdą jest, że Coffey ma ostatnie słowo,

ale jeżeli chodzi o moje poczynania, nie jest mnie w stanie powstrzymać. Sam rozumiesz, przepisy. Skoro zjawiłem się tu, musiałem mieć odpowiednie uprawnienia, musiałem prowadzić śledztwo w tej sprawie. W tej sytuacji zalecana jest szczególna ostrożność. Od tej pory będę musiał bardziej opierać się na instynkcie. — Rozsiadł się wygodnie na krześle, wbijając w D'Agoste spojrzenie bladych oczu. — Byłbym wdzięczny, mogąc liczyć na dalszą pańską pomoc. Możliwe, że będę potrzebować kogoś z wydziału, aby pomógł mi zdobyć kilka rzeczy.

D'Agosta przez kilka chwil sprawiał wrażenie zamyślnego.

— Jest coś, co mógłbym powiedzieć na temat Coffeya, bo rzuciło mi się w oczy, odkąd go tylko ujrzałem.

— Co takiego?

— Ten facet to jedna wielka cuchnąca kupa gówna.

— Vincencie — rzekł Pendergast — jestem pod wrażeniem. Twoja elokwencja i spostrzegawczość są doprawdy niezwykle.

## Rozdział trzydziesty piąty

Piątek

Biuro, jak Smithback stwierdził z posepną miną, wyglądało dokładnie tak samo, wszystko na swoim miejscu, jak poprzednio. Osunął się na fotel, przepełniony uczuciem dziwnego deja vu.

Rickman wróciła z gabinetu swojej sekretarki, niosąc cienką teczkę, jej wargi wykrzywiały lodowaty uśmiezek.

— To już dziś! To nasz wielki wieczór! — rzuciła radośnie. — Weźmiesz udział?

— Taa. Oczywiście — przytaknął Smithback. Podała mu teczkę.

— Przeczytaj to, Bill — dodała poważniejszym tonem.

### NOWOJORSKIE MUZEUM HISTORII NATURALNEJ OKÓLNIK WEWNĘTRZNY

Do: William Smithback jr

Od: Lavinia Rickman

Dot.: Pracy (tyt. nieznany) na temat wystawy *Przesady*.

Niniejszym aż do odwołania wszelkie pańskie prace i działania na terenie muzeum wykonywane będą według następujących procedur:

1. Wszystkie wywiady związane z pisaną książką mają być prowadzone w mojej obecności.

2. Nagrywanie wywiadów przez Pana lub sporządzanie podczas ich prowadzenia notatek zostaje zakazane. W interesie Pańskiego dzieła wszelkie notatki zobowiązuję się sporządzać osobiście, dostarczając je, już w formie maszynopisu, do załączenia do książki.

3. Rozmowy na tematy związane z muzeum, z tutejszymi pracownikami lub osobami znajdującymi się na terenie tej placówki zostają ściśle zakazane bez uprzedniego pozyskania mojego zezwolenia na piśmie. Uprasza się o złożenie podpisu w miejscu do tego wyznaczonym na znak zapoznania się z treścią dokumentu i przyjęcia zawartych w nim zaleceń do wiadomości.

Smithback przeczytał okólnik dwukrotnie, po czym uniósł wzrok.

— No i? — spytała, przekrzywiając głowę. — Co o tym sądzisz?

— Wyjašnjmy to sobie — rzekł Smithback. — Nie wolno mi nawet pogadać z kimś przy obiedzie bez pani pisemnego zezwolenia?

— Na tematy dotyczące muzeum. Na inne możesz rozmawiać do woli — powiedziała Rickman, poprawiając chustkę na szyi.

— Dlaczego? Czy okólnik rozesłany przez panią wczoraj nie stał się dla mnie dostatecznie ciężką kulą u nogi?

— Bill, przecież wiesz dlaczego. Nie można na tobie polegać.

— Jak to? — wykrztusił Smithback.

— Doszły mnie słuchy, że uganiaasz się po całym muzeum, rozmawiając z osobami, z którymi w ogóle nie powinieneś się spotykać, zadając absurdalne pytania dotyczące spraw nie związanych z naszą nową wystawą. Jeśli wydaje ci się, że zdołasz zgromadzić pewne dane dotyczące... ee... okoliczności niedawnych wydarzeń, przypominam ci o paragrafie siedemnastym twojego kontraktu, zabraniającym wykorzystania



nie autoryzowanych przeze mnie informacji. A ja nie autoryzuję niczego, powtarzam, niczego, co mogłoby mieć związek z tą niefortunną sytuacją.

Smithback wyprostował się.

— Niefortunna sytuacja? — wybuchnął. — Nazwijmy to po imieniu — morderstwo!

— Proszę o niepodnoszenie głosu w moim gabinecie — rzekła Rickman.

— Wynajęła mnie pani, abym napisał książkę, a nie trzy-stustronicowy pean pochwalny na cześć wystawy. W tygodniu poprzedzającym największe w historii tego muzeum otwarcie wystawy doszło do serii brutalnych morderstw. Czy, według pani, nie stanowią one elementu całej tej historii?

— Ja, i tylko ja decyduję, co ma znaleźć się w tej książce, a co nie. Czy to jasne?

— Nie. Rickman wstała.

— Zaczyna mnie to nudzić. Albo podpiszesz tu i teraz ten dokument, albo kończymy.

— Kończymy? Zamierza mnie pani wykończyć, ciekawe jak? Ostrzegawczy strzał w tył głowy czy wypadnięcie przez okno?

— Nie zamierzam dłużej znosić twoich impertynencji. Albo podpiszesz to pismo, albo natychmiast przyjmę twoją rezygnację.

— Doskonale — rzekł Smithback. — A ja zaniósę mój maszynopis do któregoś z komercyjnych domów wydawniczych. Potrzebuje pani tej książki tak samo jak ja. Oboje wiemy, że mógłbym otrzymać spory zadatek za wnikliwą analizę nieznanych opinii publicznej faktów dotyczących zbrodni w muzeum. I proszę mi wierzyć, ja je znam.

Wszystkie. Co do jednego.

Twarz Rickman pobladła, lecz wciąż się uśmiechała. Kłykcie jej palców zaciśniętych na brzegu biurka zbieleły

— To byłoby pogwałceniem twojego kontraktu — rzekła powoli. — Muzeum korzysta z pomocy prawnej znanej kancelarii adwokackiej z Wall Street — Daniels, Soller i McCabe. Na pewno o nich słyszałeś. Gdybyś zdecydował się na taki krok, moi prawnicy natychmiast pozwaliby do sądu ciebie, jak również nierozważnego wydawcę, który zdecydowałby się podpisać z tobą umowę Wytoczylibyśmy przeciwko tobie wszystkie nasze działa i wcale by mnie nie zdziwiło, gdybyś po sromotnej klęsce już nigdy nie znalazł pracy w swoim zawodzie.

— To poważne pogwałcenie moich praw wynikających z Pierwszej Poprawki — wychrypiął Smithback.

— Bynajmniej. Z naszej strony to jedynie próba zapobieżenia zerwania kontraktu. Nie ma w tym nic heroicznego, nawet nie trafiłbyś dzięki temu na łamy „Timesa”. Jeżeli naprawdę myślisz o podjęciu takich kroków, radziłabym ci najpierw, abyś skontaktował się z dobrym prawnikiem i pokazał mu kontrakt, który z nami podpisałeś. Na pewno powie ci, że nie zawiera żadnych luk ani słabych punktów. Wybieraj, lub jeśli chcesz, mogę już teraz przyjąć twoją rezygnację. — Wysunęła szufladę i wyjęła drugi dokument.

Rozległ się brzęczyk interkomu.

— Pani Rickman? Doktor Wright na pierwszej linii.

Rickman sięgnęła po telefon.

— Tak, Winstonie? Co? Znów „Post”? Tak. Pomówię z nimi. Posłałeś po Ippolito? Świetnie.

Odłożyła słuchawkę i podeszła do drzwi.

— Dopilnuj, by Ippolito dotarł do gabinetu dyrektora — zwróciła się do sekretarki. — Jeżeli chodzi o ciebie, Bill, mam dość tych ceregieli. Albo podpiszesz to pismo, albo zabieraj swoje rzeczy i fora ze dwora.

Smithback stał się nagle bardzo cichy i spokojny. Uśmiechnął się.

— Pani Rickman, rozumiem pani sytuację.

Odwróciła się ku niemu. Jej oczy błyszczały, na wargach znów wykwił uśmiech.

— I...?

— Zgadzam się na proponowane restrykcje — odrzekł pisarz. Rickman z triumfalną miną wróciła za biurko.

— Bill, bardzo się cieszę, że nie będę musiała zrobić z tego użytku.

Włożyła drugie pismo do szuflady i zamknęła ją.

— Przypuszczam, że jesteś dość inteligentny, by wiedzieć, że nie miałeś innego wyjścia.

Napotykając jej wzrok, Smithback sięgnął po teczkę.

— Mam nadzieję, że zanim złożę swój podpis, wolno mi będzie jeszcze raz to przeczytać?

Rickman zawahała się.

— Oczywiście. Czemu nie. Choć z pewnością nie znajdziesz w treści nic, czego tam nie było, gdy czytałeś to pismo po raz pierwszy. Możesz sobie darować czytanie między wierszami. — Rozejrzała się dokoła, zabrała swój notes i ruszyła w stronę drzwi. — Ostrzegam cię, Bill. Nie zapomnij tego podpisać. Wyjdź stąd zaraz i przekazaj podpisany dokument mojej sekretarce. Wyślemy ci kopię.

Smithback wyduł wargi, z niesmakiem patrząc na jej kołyszące się

pośladki, opięte materiałem kraciastej spódnicy. Jeszcze raz ukradkiem spojrzął w stronę gabinetu sekretarki. Następnie szybko wysunął szufladę zamkniętą przed chwilą przez Rickman i wyjąwszy z niej nieduży przedmiot, schował go do kieszeni marynarki. Zasuńawszy szufladę, znów rozejrzał się dokoła i skierował się ku wyjściu.

Po chwili przystanął, wrócił do biurka i nagryzmoliwszy na egzemplarzu okólnika nieczytelny podpis, opuścił gabinet. Przy wyjściu oddał dokument sekretarce.

— Niech pani dobrze zatroszczy się o to pismo. Któregoś dnia ono i mój podpis będą warte fortunę — rzucił przez ramię i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Margo właśnie odłożyła słuchawkę, kiedy zjawił się Smithback. Znów miała cały gabinet dla siebie, jej współtowarzyszka od konserwacji masek nagle przedłużyła sobie urlop.

— Właśnie rozmawiałam z Frockiem — oznajmiła. — Był rozczarowany, że w skrzyni nie znaleźliśmy nic więcej i że nie zdążyłam poszukać ocalałych strąków nasiennych. Chyba liczył na odkrycie dowodów istnienia tego stwora. Chciałam opowiedzieć mu o liście i Jorgensenie, ale stwierdził, że nie może teraz rozmawiać. Chyba był u niego Cuthbert.

— Pewnie przyszedł spytać go o podanie, które do niego dotarło — rzekł Smithback. — Wielki Inkwizytor zjawił się, aby zadać kilka pytań.

Skinął w stronę drzwi.

— Czemu nie zamknęłaś ich na zasuwkę? Margo sprawiała wrażenie zdziwionej.

— Doprawdy? Chyba znów zapomniałam.

— Pozwolisz, że ja je zamknę? Tak na wszelki wypadek? — Przekreślił zasuwkę, po czym uśmiechając się, sięgnął do kieszeni i wolno wyjął nieduży, mocno sponiewierany notes, którego skórzaną okładkę zdobił symbol dwóch nakładających się na siebie grotów strzał. Uniósł go w górę niczym trofeum.

Ciekawość Margo przerodziła się w zdumienie.

— Boże? Czy to dziennik? Smithback z dumą pokiwał głową.

— Skąd go masz? Jak go zdobyłeś?

— Z gabinetu Rickman — odparł. — Sporo mnie to kosztowało.

Musiałem podpisać dokument zakazujący mi dalszych kontaktów z tobą.

— Żartujesz.

— Niezupełnie. W pewnej chwili podczas tej sesji tortur otworzyła szufladę i zobaczyłem ten dziennik. A w każdym razie coś, co wyglądało jak dziennik. Zdziwiło mnie, że Rickman trzyma w swoim biurku taki stary, wyświechtany notes. I wtedy przypomniałem sobie twoją historię i przypuszczenie, że to właśnie ona „pożyczyła” ten dziennik.

Pokiwał głową z uśmiechem.

— Moje przypuszczenia potwierdziły się. Dlatego też wychodząc z jej gabinetu, podwędziłem ten notes.

Otworzył go.

— A teraz, mój Kwiecie Lotosu, przez chwilę nic nie mów. Tatuś opowie ci bajkę do poduszki.

Margo słuchała, podczas gdy Smithback zaczął czytać; zrazu powoli, potem zaś nieco szybciej, kiedy zapoznał się już z dość niechlujnym charakterem pisma i nauczył się odczytywać liczne skróty. Większość wpisów była bardzo krótka, oschle, rzeczowe informacje dotyczyły zwykle

pogody danego dnia oraz obecnego miejsca pobytu ekspedycji.

31 sierpnia. Padało całą noc. Na śniadanie wołowina z puszki. Rano coś się stało ze śmigłowcem, zmarnowaliśmy cały dzień. Maxwell jest nie do wytrzymania. Carlos ma coraz więcej kłopotów z Hosta Gilbao, żąda dodatkowych opłat za...

— To nudne — rzekł Smithback, przerywając lekturę. — Kogo obchodzi, co jedli na śniadanie?

— Czytaj dalej — nalegała Margo.

— Niewiele już zostało — odparł Smithback, przerzucając strony. — Chyba Whitdesey był bardzo rzeczowym i małomównym facetem. Boże. Mam nadzieję, że warto było sprzedać za to całe moje życie.

Dziennik opisywał dalszy ciąg wędrówki ekspedycji w głąb lasu deszczowego. Pierwszą część podróży pokonali dżipem. Następnie członkowie wyprawy zostali przewiezieni śmigłowcem dwieście mil w głąb dżungli w obszar górnego biegu Xingu. Stamtąd najemni przewodnicy łodziami pomogli naukowcom dostać się niemal do podnóża tepui Cerro Gordo.

Smithback czytał dalej.

6 września. Zostawiliśmy dżubanki na brzegu. Dalej pójdziemy pieszo. Dziś po południu po raz pierwszy ujrzelśmy Cerro Gordo, korony tutejszych drzew zdają się sięgać chmur. Ptaki tutaj skrzeczą donośnie, złapaliśmy kilka sztuk. Strażnicy mamrocą coś między sobą.

12 września. Na śniadanie zjedliśmy resztę peklowanej wołowiny. Dziś jest mniej parno niż wczoraj. Kontynuujemy wędrówkę ku tepui — w

południe chmury rozwiały się — płaskowyż mierzy około ośmiu tysięcy stóp wysokości — las deszczowy umiarkowany, zauważyłem kilka rzadkich *candelaria ibex* — zdobyliśmy dmuchawkę oraz strzałki, stan bardzo dobry — moskity są bardzo dokuczliwe — na kolację befszytk z pekari — niezłe, smakuje jak wędzonka, Maxwell pakuje do skrzyń jakieś bezużyteczne śmieci.

— Dlaczego Rickman to zawłaszczyła? — zastanawiał się Smithback.  
— Nie ma tu żadnych brudów. W czym rzecz? O co tyle hałasu?

15 września. Wiatr z płd. zach. Na śniadanie owsianka. Trzy razy musieliśmy dziś wyciągać łódź na brzeg, na rzece zapory z gałęzi, nie dało się przepłynąć, woda do piersi, ogromne pijawki. W porze kolacji Maxwell natknął się na jakieś okazy flory, które wzbudziły w nim szczególne zainteresowanie. Tutejsze rośliny faktycznie wydają się niezwykle, dziwna symbioza, sprawiają wrażenie bardzo starych. Pewien jestem jednak, że prawdziwie wielkie odkrycia dopiero przed nami.

16 września. Dziś rano zostałem w obozie dłużej, przepakowując sprzęt. Maxwell nalega, abyśmy wracali z jego „znaleziskiem”. Co za kretyn, najgorsze jest to, że spośród pozostałych większość również opowiada się za powrotem. Zaraz po lunchu wyruszyli w drogę powrotną, ze mną zostało tylko dwóch przewodników. Crocker, Carlos i ja idziemy dalej. Niemal natychmiast musieliśmy zrobić postój, aby przepakować skrzynię. Jeden ze znajdujących się w niej słoików z okazami pękł. Podczas gdy zajmowałem się skrzynią, Crocker zszedł ze szlaku i natknął się na starą,

zniszczonej chatę...

— Chyba wreszcie coś mamy — ucieszył się Smithback.

— ...pozostawiwszy sprzęt i wszystkie nasze rzeczy, ponownie otworzyłem skrzynię, wyjąłem z niej torbę z narzędziami, ale zanim zdążyliśmy spenetrować chatę, z gęstwiny krzewów wyszła staruszka, Indianka, chwiała się na nogach, była pijana lub może chora, trudno to stwierdzić; wskazała ręką na skrzynię i zaczęła głośno zawodzić. Piersi sięgały jej do pasa, była prawie całkiem łysa i bezzębna, na plecach miała wielką jątrzącą się ranę, może to wrzód. Carlos nie chciał przetłumaczyć, co mówiła, lecz uparłem się i postawiłem na swoim:

Carlos: Ona mówi, diabeł, diabeł.

Ja: Spytaj ją, co za diabeł?

Carlos tłumaczy, kobieta nieomal wpada w histerię, zawodzi, przyciska dłonie do piersi.

Ja; Carlos, zapytaj ją o Kothoga.

Carlos: Mówi, ty przybyć, aby zabrać stąd diabła.

Ja: A co z Kothoga?

Carlos: Ona mówi, Kothoga udali się na szczyt góry.

Ja: Na szczyt góry! Dokąd?

Kobieta wciąż szaleje. Miotają ją spazmy. Wskazuje na otwartą skrzynię.

Carlos: Ona mówi, ty zabrać diabła.

Ja: Jakiego diabła?

Carlos: Mbwuna. Ona mówi, ty zabrać w skrzyni diabła Mbwuna.

Ja: Zapytaj ją jeszcze o Mbwuna Niech powie więcej. Co to takiego?



Carlos mówi do kobiety, ta nieco się uspokaja, rozmawia z nim przez dłuższą chwilę.

Carlos: Mówi, Mbwun to syn diabła. Nieroztropny czarownik Kothoga poprosić diabła Zilashkee o jego syn, by pomógł im pokonać ich wrogów. Diabeł zmusić ich, by zabili i zjedli wszystkie swoje dzieci, po czym zesłać im w darze Mbwuna. Ten pomóc Kothoga pokonać ich wrogów, lecz później zwrócić się przeciw nim i zacząć mordować kogo popadnie. Kothoga uciec na tepui, Mbwun ruszyć za nimi. Mbwun nigdy nie umrzeć Kothoga pragną pozbyć się Mbwuna. Teraz biały człowiek przybyć i zabrać Mbwuna daleko. Strzec się, klątwa Mbwuna cię zniszczyć! Ty sprowadzić śmierć na swój lud!

Jestem zdumiony i podekscytowany, ta historia potwierdza treść poznanych dotąd przeze mnie mitów. Proszę Carlosa, by wydobył jak najwięcej szczegółów na temat Mbwuna, lecz kobieta ucieka, jak na tak podeszły wiek ma w sobie sporo siły, i znika w gęstwinie. Carlos biegnie za nią, ale zaraz wraca, sam. Jest przerażony. Nie podejmuję tematu. Badamy wnętrze chaty. Po powrocie na szlak okazuje się, że nasi przewodnicy zniknęli.

— Wiedziała, że zabiorą figurkę! — rzekł Smithback. — Z pewnością to ją miała na myśli, mówiąc o klątwie! — Czytał dalej.

17 września. Crocker zaginął. Nie ma go od ubiegłej nocy. Obawiam się najgorszego. Carlos bardzo się boi. Odeślę go z powrotem w ślad za Maxwelllem, który do tej pory pokonał już pewnie połowę drogi do rzeki. Nie mogę sobie pozwolić na utratę tego reliktu, który jest, moim zdaniem, bezcenny. Będę kontynuował poszukiwania Crockera. W tych lasach są

szlaki, bez wątpienia wytyczone przez Kothoga — nie pojmuję, jak cywilizacja mogłaby ujarzmić tak dzikie terytorium — może mimo wszystko to tajemnicze plemię ocaleje.

Na tym dziennik się kończył.

Smithback zamknął notatnik i zaklął.

— Nie do wiary! Nie ma tu nic nowego, o tym wszystkim wiedzieliśmy już wcześniej. I pomyśleć, że za coś takiego zaprzedałem Rickman własną duszę!

## *Rozdział trzydziesty szósty*

Siedząc za biurkiem w swoim punkcie dowodzenia, Pendergast bawił się starą, chińską łąmigłówką z mosiądzu i jedwabnego sznurka pełnego węzłków. Wydawał się nią całkiem pochłonięty. Ze stojącego za nim magnetofonu kasetowego płynęły dźwięki muzyki klasycznej. Gdy wszedł D'Agosta, Pendergast nie uniósł wzroku.

— Kwartet smyczkowy F-dur Beethovena, opus 135 — powiedział. — Ale, jak sądzę, pan doskonale to wie, poruczniku. To allegro znane jako Der schwer gefaßte Entschluß — Trudne rozwiązanie. Ten tytuł idealnie pasuje do naszej sprawy, podobnie, być może, jak ta muzyka.

Zdumiewające, jak sztuka potrafi naśladować życie.

— Już jedenasta — rzekł D'Agosta.

— Ach, tak. Jasne. — Pendergast odsunął fotel i wstał. — Szef ochrony jest nam winien wycieczkę z przewodnikiem. Idziemy?

Drzwi do sektora ochrony otworzył im sam Ippolito. D'Agosta stwierdził, że miejsce to wygląda jak pomieszczenie kontrolne w elektrowni atomowej, cała masa guzików, wskaźników, pokręteł i dźwigni. Jedną ze ścian zajmowała rzęsiście oświetlona siatka geometryczna przedstawiająca włączone układy zabezpieczeń.

Dwaj strażnicy czuwali przy ekranach monitorów kamer przemysłowych. Pośrodku sali D'Agosta ujrzał konsolę nadawczo--odbiorczą obsługującą krótkofalówki używane przez policję i pracowników ochrony muzeum.

— To — rzekł Ippolito, rozkładając szeroko ręce i uśmiechając się — jeden z najnowocześniejszych systemów bezpieczeństwa, jakie istnieją na świecie. Został opracowany specjalnie dla nas. I dość sporo kosztował.

Pendergast rozejrzał się dokoła.

— Robi wrażenie — stwierdził.

— To dzieło sztuki — zapewnił Ippolito.

— Bez wątpienia — odparł Pendergast. — Teraz jednak najbardziej interesuje mnie bezpieczeństwo pięciu tysięcy gości spodziewanych na wieczornej gali. Proszę mi wyjaśnić, jak działa ten system.

— Został opracowany głównie z myślą o zapobieżeniu kradzieżom — ciągnął szef ochrony. — Wiele spośród naszych najcenniejszych eksponatów ma przymocowane w niewidocznych miejscach maleńkie mikroprocesory. Każdy z tych chipów transmituje sygnały do kilkunastu odbiorników rozmieszczonych w różnych częściach muzeum. Gdyby eksponat został przesunięty choćby o cal, włączyłby się alarm, równocześnie namierzając obecne położenie obiektu.

— I co wtedy? — wtrącił D'Agosta.

Ippolito uśmiechnął się. Stał przy konsoli, naciskając kilka guzików. Na wielkim ekranie pojawił się plan poszczególnych pięter gmachu.

— Wnętrze muzeum — mówił dalej Ippolito — podzielone jest na pięć sektorów. Każdy z nich mieści pewną liczbę sal wystawowych i pomieszczeń magazynowych. Większość z nich obejmuje wszystkie piętra, od parteru po dach, lecz z uwagi na szczególną budowę architektoniczną muzeum obwody sektorów drugiego i trzeciego są nieco bardziej złożone. Przełączając przełącznik na tym oto panelu, opuszczę wmontowane w sufit grube, stalowe drzwi, odcinając wewnętrzne przejścia pomiędzy sektorami. Okna w muzeum są okratowane. Po odcięciu określonego sektora włamywacz znajdzie się w pułapce. Może co prawda przemieszczać się w obrębie pomieszczeń sektora, lecz nie jest w stanie

stamtąd wyjść. Układ wrót został zaprojektowany w taki sposób, by można było po zamknięciu otworzyć je wyłącznie od zewnątrz, co w pewnym sensie ułatwia monitorowanie. — Podeszedł do planu ściennego. — Powiedzmy, że ktoś zdoła ukraść jakiś eksponat i opuścić salę, zanim zjawią się tam strażnicy. To niczego nie zmienia. W ciągu kilku sekund mikroprocesor prześle sygnał do komputera, polecając mu odcięcie całego sektora. Cały ten proces następuje automatycznie. Włamywacz zostaje uwięziony w jednym z sektorów muzeum.

— A co, jeśli zdoła odkryć mikroprocesor i pozbyć się go, zanim ucieknie z łupem? — zapytał D'Agosta.

— Chipy mają specjalne zabezpieczenia, wychwytyują każdy ruch — ciągnął Ippolito. — To także uruchomiłoby alarm i spowodowało natychmiastowe opuszczenie metalowych zapór. Żaden włamywacz nie byłby dość szybki, aby się wydostać.

Pendergast skinął głową.

— Jak otworzy pan drzwi po schwytaniu złodzieja?

— Z tego pomieszczenia można otworzyć każde z nich, a poza tym wszystkie drzwi można odblokować na miejscu, ręcznie. Naturalnie w tym celu trzeba znać specjalny szyfr. Wystarczy wstukać kod i drzwi się podniosą.

— Świetnie — mruknął Pendergast. — Jednakże, jak widzę, cały system jest zorientowany na uniemożliwienie potencjalnemu intruzowi wydostanie się z budynku. My natomiast mamy tu do czynienia z zabójcą, który chce pozostać wewnątrz. Jak pański system może zapewnić bezpieczeństwo gościom obecnym na wieczornej gali?

Ippolito wzruszył ramionami.

— To nic trudnego. Wykorzystamy system do utworzenia specjalnej strefy ochronnej wokół sali bankietowej i pomieszczeń wystawy. Otwarcie i gala mają odbyć się w sektorze drugim. — Wskazał na schemat. — Przyjęcie zaplanowane jest w Sali Niebiańskiej, tutaj. Tuż przy wejściu na teren wystawy, która w całości mieści się w sektorze drugim. Wszystkie stalowe drzwi do tego sektora zostaną opuszczone. Zostawimy otwartych tylko czworo drzwi — wschodnie w Wielkiej Rotundzie, prowadzące wprost do Sali Niebiańskiej oraz troje drzwi w charakterze wyjść awaryjnych. Wszystkie będą ściśle strzeżone.

— Które z pomieszczeń muzeum składają się na sektor drugi ? — spytał Pendergast.

Ippolito wcisnął kilka guzików na konsoli. Centralny fragment na planie muzeum zapłonął zielonkawym światłem.

— Oto sektor drugi — rzekł Ippolito. — Jak panowie widzicie, sięga od piwnicy po dach i na każdym z pięter umieszczone są przegrody. To Sala Niebiańska. Laboratorium komputerowe i pomieszczenie ochrony, w którym się obecnie znajdujemy, także mieszczą się w tym sektorze. Podobnie jak Strefa Chroniona, archiwum główne oraz kilka innych ściśle strzeżonych pomieszczeń. Z muzeum nie będzie się można wydostać, jedynie przez wyznaczone przejścia, o których już wspomniałem. Na godzinę przed rozpoczęciem bankietu zabezpieczymy cały obwód, opuszczając pozostałe wrota, i postawimy przy wyjściach uzbrojone straże. Powiadam panom, to miejsce będzie bezpieczniejsze niż skarbiec bankowy.

— A co z resztą muzeum?

— Myśleliśmy o zamknięciu wszystkich pięciu sektorów, ale

ostatecznie zrezygnowaliśmy z tego.

— Świetnie — rzekł Pendergast, lustrując kolejny panel. — W razie sytuacji kryzysowej lepiej, żeby grupy wspomagające nie napotykały niepotrzebnych przeszkód na swojej drodze.

Wskazał na oświetlony fragment planu.

— A co z piwnicami? Czy one także nie przynależą do tego sektora? Bądź co bądź te podziemne korytarze mogą prowadzić Bóg wie dokąd.

— Nikt nie ośmieliłby się tam schodzić. — Ippolito parsknął. — To istny labirynt.

— Nie mówimy tu o zwykłym włamywaczu czy złodziejaszku, lecz o zabójcy na tyle sprytnym, że był w stanie wymknąć się zarówno pańskim ludziom, jak i policjantom obecnego tu porucznika D'Agosty. Wydaje się, że te piwnice są dla niego domem.

— Tylko jedna klatka schodowa łączy Salę Niebiańską z innymi piętrami — wyjaśnił cierpliwie Ippolito. — Będzie ona strzeżona przez moich ludzi, podobnie jak wyjścia awaryjne. Mówiłem już, wziąłem pod uwagę każdą ewentualność. Rozpatrzyliśmy każdy wariant potencjalnej sytuacji kryzysowej. Cały sektor zostanie odpowiednio zabezpieczony.

Pendergast przez dłuższą chwilę przyglądał się w milczeniu planowi.

— Skąd pan wie, że ten schemat jest dokładny? — spytał w końcu.

Ippolito wydawał się zbity z tropu.

— Oczywiście, że jest dokładny.

— Pytałem: skąd pan wie?

— System został opracowany na podstawie planów architektonicznych z okresu rekonstrukcji budynku w roku 1912.

— I odtąd nie wniesiono już żadnych zmian? Nie przebito gdzieś



nowych drzwi, nie zamurowano starych?

— Wszystkie zmiany zostały wzięte pod uwagę.

— Czy te plany obejmują obszar Starych Piwnic i sutereny?

— Nie. To o wiele starsze obszary. Jednakże, jak już mówiłem, albo zostaną one zabezpieczone, albo odcięte grodziami.

Nastąpiła długa cisza, Pendergast wciąż oglądał plany budynku. W końcu westchnął i odwrócił się do szefa ochrony.

— Panie Ippolito, powiem krótko: to mi się nie podoba. Z tyłu za nimi ktoś chrząknął.

— Co nie podoba mu się tym razem?

D'Agosta nawet nie musiał się odwracać. Głos o silnym akcencie z Long Island mógł należeć jedynie do agenta specjalnego Coffeya.

— Dyskutujemy z panem Pendergastem na temat skuteczności naszego systemu bezpieczeństwa — odparł Ippolito.

— Panie Ippolito, będzie pan musiał przedyskutować tę sprawę jeszcze raz, tyle że ze mną. — Spojrzał spod półprzymkniętych powiek na Pendergasta. — W przyszłości niech pan nie omieszka zapraszać mnie na swoje przyjęcia — rzekł z irytacją w głosie.

— Pan Pendergast... — zaczął Ippolito.

— Pan Pendergast przybył tu z dalekiego Południa, by służyć nam wsparciem i pomocą, gdybyśmy go potrzebowali. Odtąd ja kieruję całą operacją. Czy to jasne?

— Tak jest, sir — odparł Ippolito. Powtórzył cały swój monolog o procedurach bezpieczeństwa, podczas gdy Coffey siadł w fotelu operatora, bawiąc się przewodem od słuchawek. Pendergast słuchał szefa ochrony z takim przejęciem, jakby robił to po raz pierwszy. Gdy Ippolito skończył,

Coffey rozsiadł się wygodniej w fotelu, chrząknął i rzekł:

— Dostrzegam w pańskim planie cztery słabe punkty. — Przerwał dla lepszego efektu. — Obwód sektora drugiego ma cztery dziury. Chciałbym, aby trzy z nich zostały załatane. Żądam, by pozostawiono tylko jedno wejście i wyjście.

— Panie Coffey, przepisy przeciwpożarowe wymagają... Coffey machnął ręką.

— Przepisy przeciwpożarowe biorę na siebie. Pańskim zmartwieniem są luki w obwodzie zabezpieczającym. Im więcej dziur, tym więcej potencjalnych kłopotów.

— Śmiem twierdzić, że to nie jest najlepsze rozwiązanie — wtrącił Pendergast. — Jeśli zamknie pan te trzy wyjścia, goście zostaną uwięzieni wewnątrz sektora. Gdyby coś się wydarzyło, będą mieć tylko jedną drogę wyjścia.

Coffey rozłożył ręce w geście frustracji.

— I o to chodzi, Pendergast. Nie możesz mieć jednego i drugiego. Albo strefa jest zabezpieczona, albo nie. Poza tym, jak mówi pan Ippolito, każde z tych drzwi można otworzyć ręcznie. W czym zatem problem?

— To prawda — odezwał się Ippolito — drzwi można otworzyć, używając ręcznej klawiatury awaryjnej. Trzeba tylko znać specjalny szyfr.

— Co steruje klawiaturami awaryjnego otwierania drzwi? — spytał Pendergast.

— Komputer główny. Sala Komputerów znajduje się tuż obok.

— A gdyby komputer wysiadł?

— Mamy systemy awaryjne i pomocnicze. Odpowiedzialne są za nie te oto panele. Każdy z nich ma własny alarm.

— Oto kolejny problem — rzekł półgłosem Pendergast. Coffey głośno westchnął i wbijając wzrok w sufit, rzekł:

— Stale coś mu się nie podoba.

— Naliczyłem osiemdziesiąt jeden lampek alarmowych tylko na tym jednym panelu kontroli — ciągnął Pendergast, ignorując Coffeya. — W razie prawdziwej sytuacji kryzysowej większość z tych lampek będzie migać jak światła na choince. Żaden zespół operatorów sobie z tym nie poradzi.

— Pendergast, zabiera mi pan czas — uciął Coffey. — Chciałbym omówić z Ippolito szczegóły, a pan mi w tym przeszkadza. Do imprezy zostało niecałe osiem godzin.

— Czy system został przetestowany? — spytał Pendergast.

— Sprawdzamy go regularnie raz na tydzień — odparł Ippolito.

— Czy jednak poddano go testom w sytuacji prawdziwego zagrożenia? Usiłowania kradzieży czy czegoś podobnego?

— Nie i mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

— Mówię to z przykrością — rzekł Pendergast — ale wydaje mi się, że system nie podoła temu zadaniu. Jest niejako z założenia skazany na porażkę. Uważam się za wielkiego zwolennika postępu, lecz w tym przypadku, panie Ippolito, zalecałbym wdrożenie starych i sprawdzonych procedur. Radziłbym na czas trwania bankietu wyłączyć cały system. Tak byłoby najlepiej. System jest zbyt złożony i nie sądzę, aby zdał egzamin w sytuacji realnego zagrożenia. Nam, natomiast, potrzeba sprawdzonego planu działania, czegoś, co dobrze znamy i jesteśmy w stanie kontrolować. Uzbrojone patrole i strażnicy przy każdym wyjściu i wejściu. Jestem pewien, że porucznik D'Agosta przydzieli nam kilku swoich ludzi.

— Wystarczy poprosić — odparł D'Agosta.

— Nie zgadzam się — wtrącił Coffey i wybuchnął śmiechem. — Jezu, on chce wyłączyć system w chwili, gdy ten jest naprawdę niezbędny.

— Chciałbym wyrazić swój otwarty i uzasadniony sprzeciw wobec pańskiego planu — oznajmił Pendergast.

— Może pan nawet sporządzić go na piśmie — warknął Coffey — i przesłać go do swojego biura w Nowym Orleanie. Trochę potrwa, zanim tam dotrze. Ostatnimi czasy żegluga rzeczna nieco szwankuje. Jeżeli chodzi o mnie, uważam, że pan Ippolito w pełni panuje nad sytuacją.

— Dziękuję. — Ippolito nie posiadał się z dumy.

— Mamy do czynienia z nietypową i niezwykle groźną sytuacją — ciągnął Pendergast. — Nie czas pokładać zaufanie w złożonym i nie sprawdzonym systemie.

— Pendergast — rzekł Coffey. — Usłyszałem już dość. Może wróci pan do swego gabinetu i zje kanapkę z wędzoną rybą, którą bez wątpienia przygotowała pańska wsiowa żoneczka?

D'Agosta zdumiał się, widząc zmianę, jaka zaszła na twarzy Pendergasta. Coffey instynktownie cofnął się o krok. Pendergast jednak tylko odwrócił się na pięcie i wyszedł. D'Agosta pospieszył za nim.

— Dokąd to? — rzucił Coffey. — Proszę zostać, nie omówiliśmy jeszcze wszystkich szczegółów.

— Zgadzam się z Pendergastem — odparł D'Agosta. — Nie pora teraz bawić się gierkami elektronicznymi. Mówimy tu o ludzkim życiu.

— Posłuchaj no, D'Agosta. Jesteśmy z FBI, znamy się na rzeczy. Jesteśmy fachowcami. Nie obchodzi nas zdanie byle krawężnika z Queens.

D'Agosta spojrział na spocone, poczerwieniałe oblicze Coffeya.

— Przynosi pan hańbę policji i służbom federalnym — powiedział.  
Coffey zamrugał powiekami.

— Dziękuję za uznanie, nie omieszkam wspomnieć o tej obeldze w raporcie do mego dobrego przyjaciela, komendanta policji, Horlockera, który z pewnością podejmie w związku z nią stosowne kroki.

— Może pan dorzucić jeszcze jedno: jest pan żalonym gówniarzem.  
Coffey wybuchnął śmiechem.

— Uwielbiam ludzi, którzy sami ukrecają sobie stryczek, oszczędzając innym zachodu. Właściwie już jakiś czas temu uznałem, że ta sprawa jest zbyt ważna, by rolę łącznika między policją a FBI pełnił jakiś podrzędny porucznik. W ciągu dwudziestu czterech godzin, D'Agosta, zostanie pan odsunięty od tego śledztwa. Wiedział pan o tym? Zamierzałem powiedzieć panu o tym dopiero po bankiecie, aby nie psuć panu zabawy, ale chyba pora jest jak najbardziej odpowiednia. Niech pan dobrze wykorzysta ostatnie popołudnie przy tej „niecodziennej” sprawie. Spotkamy się na odprawie o szesnastej. Niech się pan nie spóźni.

D'Agosta nie odezwał się ani słowem. W gruncie rzeczy ani trochę go to nie zdziwiło.

## *Rozdział trzydziesty siódmy*

Kichnięcie było tak głośne, że w laboratorium botanicznym aż zabrzęczały zlewki i zagrzechotały zasuszone okazy roślin.

— Przepraszam — rzekł Kawakita, pociągając nosem. — Alergia

— Proszę, masz tu chusteczkę — rzekła Margo, sięgając do torebki.

Słuchała właśnie Kawakity opowiadającego o swoim nowym programie ekstrapolacyjnym. Jest wspaniały, pomyślała, ale podejrzewam, że

większość tych teorii pochodzi od Frocka.

— Zaczynasz od sekwencjonowania genomu dwóch roślin lub zwierząt — rzekł Kawakita — Taki jest program wstępny Otrzymujesz natomiast ekstrapolację, czyli opracowaną przez komputer hipotezę potencjalnego ogniwa więzi ewolucyjnej pomiędzy dwoma gatunkami. Program automatycznie porównuje fragmenty DNA, dokonuje sekwencjonowania, po czym przechodzi do ekstrapolacji. Dajmy na to, przeprowadzam test DNA człowieka i szympansa. To, co otrzymamy, będzie opisem formy pośredniej pomiędzy nimi.

— Zaginione ogniwo. — Margo pokiwała głową. — Nie mów mi, że tworzy też szkic takiego zwierzęcia?

— Nie! — Kawakita roześmiał się. — Gdyby był do tego zdolny, Nagrodę Nobla miałbym właściwie w kieszeni. Zamiast tego otrzymujesz listę zawierającą potencjalny rys morfologiczny i behawioralny takiej istoty lub rośliny. Nie jest stuprocentowo pewny, ale prawdopodobny. Lista nie jest, rzecz jasna, pełna. Przekonasz się sama, gdy skończymy ten test.

Wprowadził szereg poleceń i przez ekran komputera zaczęły przepływać dane: szybka, zapierająca dech parada zer i jedynek. — Możesz to wyłączyć — rzekł Kawakita. — Ja jednak lubię patrzeć na przepływ danych z sekweniera genomu. To piękne, jak obserwowanie rzeki. Albo raczej strumienia pełnego pstrągów.

Mniej więcej po pięciu minutach przepływ danych ustał i ekran zmatowiał, przyjmując łagodny odcień błękitu. Po chwili pojawiło się na nim oblicze Moego z Trzech Oferm, a z głośnika dobiegł jego głos:

— Myślę i myślę, ale nic się nie dzieje!

— To znaczy, że program pracuje — rzekł Kawakita, chichocząc rozbawiony tym małym żarcikiem. — Może to potrwać nawet z godzinę, w zależności od tego, jak odległe są od siebie oba gatunki.

Na ekranie pojawiła się informacja:

PRZEWIDYWANY CZAS ZAKOŃCZENIA OPERACJI: 3.03.40 min.

— Szympansy i ludzie są sobie nawzajem tak bliscy — posiadają dziewięćdziesiąt osiem procent tych samych genów, że ta operacja powinna zakończyć się bardzo szybko.

Naraz na ekranie nad głową Moego pojawiła się żarówka.

— Koniec! — rzekł Kawakita. — Zobaczmy teraz wyniki. Wcisnął klawisz. Na ekranie pojawiła się lista.

#### PIERWSZY GATUNEK

Gatunek: *Pan troglodytes*

Rodzaj: *Pan*

Rodzina: *Pongidae*

Rząd: *Primata*

Typ: *Mammalia*

Gromada: *Chordata*

Królestwo: *Animalia*

#### DRUGI GATUNEK

Gatunek: *Homo sapiens*

Rodzaj: *Homo*



Rodzina: *Hominidae*

Rząd: *Primate*

Typ: *Mammalia*

Gromada: *Chordata*

Królestwo: *Animalia*

Ogólne podobieństwo genetyczne: 98,4 procent

— Uwierz w to lub nie — rzekł Kawakita — ale identyfikacja tych dwóch gatunków została dokonana wyłącznie na podstawie genomów. Nie powiedziałem komputerowi, z jakimi organizmami ma do czynienia. To doskonały sposób na przekonanie niedowiarków, że ekstrapolator nie jest tylko drogą zabawką czy humbugiem. A teraz przejdźmy do opisu gatunku pośredniego, w tym wypadku „brakującego ogniwa”.

Charakterystyka budowy morfologicznej formy pośredniej:

Smukła

Pojemność mózgu: 750 cm<sup>3</sup>

Dwunożna, postawa wyprostowana

Przeciwstawny kciuk

Brak przeciwstawności palucha stopy

Dymorfizm płciowy poniżej przeciętnej

Waga, samiec, dorosły: 55 kg

Waga, samica, dorosła: 45 kg

Okres ciąży: 8 miesięcy

Agresywność: od niskiej po umiarkowaną

Cykl miesięczkowy u samic: skrócony

Lista zdawała się nie mieć końca i była coraz bardziej niejasna. Z „budowy kostnej” Margo prawie nic nie zrozumiała.

Atawistyczne otwory ciemieniowe

Poważna redukcja wyrostków grzebieniastych kości biodrowej

10-12 kręgów piersiowych

Częściowo ruchomy krętarz większy

Wystające górne brzegi oczodołów

Atawistyczne cechy wałów nadoczodołowych oraz kości jarzmowych

Czoło wysokie, niska inteligencja — pomyślała Margo.

Dzienny tryb życia

Skłonności do monogamii

Żyje w gromadach

Wykazuje umiejętności współżycia i współpracy w grupie

— Daj spokój, jak twój program może określić coś takiego? — spytała Margo, wskazując na hasło dotyczące monogamii.

— Hormony — odrzekł Kawakita. — W genomie zawarty jest kod pewnego hormonu obecnego u tych gatunków ssaków, wśród których panuje monogamia i który nie występuje u gatunków poligamicznych. U ludzi hormon ten jest w pewnym stopniu odpowiedzialny za łączenie się w pary. Nie mają go szympansy jako zwierzęta typowo poligamiczne. Poza

tym skrócony okres miesięczkowy występuje wyłącznie u gatunków monogamicznych. Program używa całego arsenału narzędzi, od algorytmów poprzez logikę, w celu dokonania interpretacji całego genomu i utworzenia zarówno potencjalnego wyglądu, jak i specyficznych zachowań szacowanego organizmu.

— Algorytmy? Logika? Jakoś nie potrafię sobie tego wyobrazić — rzekła Margo.

— Nic nie szkodzi. Nie musisz znać wszystkich sekretów.

Najkrócej mówiąc, wszystko sprowadza się do tego, że program myśli bardziej jak człowiek niż jak zwyczajny komputer. Dokonuje oszacowań, wyciąga wnioski, korzysta z intuicji. Wzmianka o umiejętności współpracy w grupie to wynik obecności lub braku około osiemdziesięciu różnych genów.

— To wszystko? — zażartowała Margo.

— Nie — odparł Kawakita. — Możesz również wykorzystać program, by określić przypuszczalny kształt pojedynczego organizmu oraz jego zachowanie, wchodząc zamiast w dwa, w DNA jednego stworzenia i powodując wyłączenie logiki ekstrapolacyjnej. Zakładając, że otrzymam nowe fundusze, zamierzam dołączyć do tego programu dwa kolejne moduły. Jeden będzie ekstrapolował jeden gatunek w czasie, w przeszłości, drugi natomiast w przyszłości. Innymi słowy, będziemy mogli dowiedzieć się więcej o wymarłych gatunkach i określić potencjalny wygląd istot, które pojawią się za iks lat.

Uśmiechnął się.

— Niezłe, co?

— Zdumiewające — odparła Margo. Obawiała się, że jej własny

projekt w porównaniu z tym wyda się drobny i mało znaczący. — Jak do tego doszedłeś?

Kawakita zawahał się i spojrzał na nią podejrzliwie.

— Gdy zacząłem pracować z doktorem Frockiem, powiedział, że braki w charakterystykach skamielin doprowadzają go do białej gorączki. Stwierdził, że chciałby jakoś wypełnić te luki, poznać formy pośrednie i przejściowe. No i napisałem ten program. Frock bardzo mi w tym pomógł. Zaczęliśmy od testowania programu na różnych gatunkach. Na szympanсах i ludziach, ale również rozmaitych bakteriach, o których sporo wiemy. I wtedy zdarzyło się coś niewiarygodnego. Frock, ten stary diabeł, spodziewał się tego, ja nie. Porównaliśmy oswojonego psa z hieną i to, co otrzymaliśmy, nie było uładowym gatunkiem pośrednim, lecz osobliwą formą życia, całkiem odmienną od obu tych zwierząt. To samo powtórzyło się później kilkakrotnie przy analizie par innych gatunków. Wiesz, co powiedział na to Frock?

Margo pokręciła głową. Uśmiechnął się i rzekł:

— Teraz sam możesz zobaczyć prawdziwą wartość tego programu. — Kawakita wzruszył ramionami. — Widzisz, mój program potwierdził teorię Frocka o Efekcie Callisto, ukazując, że niewielkie zmiany w DNA mogą niekiedy wywołać drastyczne anomalie w wyglądzie lub zachowaniu organizmów. Trochę zbiło mnie to z tropu, ale tak właśnie działa Frock. To przykład jego typowego zachowania.

— Nic dziwnego, że tak mu zależało, abym skorzystała z tego programu — rzekła Margo. — Może on zrewolucjonizować badania nad procesem ewolucji.

— Taa, tylko że nikt nie zwraca na niego uwagi — mruknął z

rozgoryczeniem Kawakita. — Obecnie wszystko, co ma związek z Frockiem, jest omijane z daleka jak nieczyste lub zadżumione. Można popaść we frustrację, gdy wkładasz w coś całe serce i duszę, a potem jesteś ignorowany przez ogół środowiska naukowego. Wiesz, Margo, tak między nami mówiąc, zastanawiam się nad rezygnacją z opieki Frocka i przyłączeniem się do grupy Cuthberta. Sądzę, że pod jego zwierzchnictwem mógłbym osiągnąć znacznie więcej. Może ty także powinnaś to rozważyć.

— Dzięki, ale raczej zostanę u Frocka — odparła Margo urażona. — Gdyby nie on, w ogóle nie zajęłabym się genetyką.

— Jak chcesz — rzekł Kawakita. — Choć w gruncie rzeczy kto wie, czy w ogóle pozostaniesz w muzeum, zgadza się? Podobno zastanawiałaś się nad odejściem. Tak przynajmniej powiedział mi Smithback. Ja ulokowałem tu cały swój kapitał. Moja filozofia to: nikomu nic nie jesteś winien, wszystko zawdzięczasz jedynie sobie samemu. Rozejrzyj się dokoła, spójrz na Wrighta, na Cuthberta i innych. Czy zależy im na kimkolwiek prócz nich samych? Ty i ja jesteśmy naukowcami. Wiemy, że wygrywa zawsze najsilniejszy, w naszym świecie też obowiązuje prawo dżungli. Ta reguła dotyczy także naukowców.

Margo spojrzała w błyszczące oczy Kawakity. W pewnym sensie miał rację. Mimo to, Margo czuła, że ludzie, poznawszy i określiwszy brutalne prawa natury, mogli je niekiedy łamać, a gdyby to się nie udało, w sprytny sposób ominąć. Zmieniła temat.

— A zatem ESG działa w ten sam sposób z DNA zwierząt, jak i roślin?

— Identycznie — odrzekł Kawakita ze swadą rasowego biznesmena.

— Wprowadzasz sekwencje dwóch genomów roślinnych i załadowujesz

dane do ekstrapolatora. Dzięki temu dowiesz się, jak blisko są one spokrewnione, po czym poznasz formę pośrednią. Nie zdziw się, jeśli program zacznie zadawać pytania lub udzielać komentarzy. Dodałem do programu sporo przerywników w postaci obcych dźwięków, brzęczenia dzwonek, gwizdów itp., aby go dodatkowo ubarwić.

— Chyba już rozumiem — mruknęła Margo. — Dzięki. Dokonałeś naprawdę zdumiewającego dzieła.

Kawakita mrugnął i nachylił się w jej stronę.

— Od teraz jesteś mi coś winna, mała.

— Się wie — przytaknęła Margo. Mała. Jestem mu coś winna. Nie znosiła ludzi, którzy tak mówili. A Kawakita zwykle mówił to, co myślał.

Kawakita przeciągnął się i znów kichnął.

— Spadam stąd. Idę coś przekąsić, a potem do domu po smoking na dzisiejsze przyjęcie. Zastanawiam się, po co tu dziś w ogóle przyszedłem? Wszyscy są w swoich domach, szykując się do wieczornej gali. Spójrz tylko, w laboratorium ani żywego ducha.

— Smoking, co? — zagadnęła Margo. — Ja, idąc dziś rano do pracy, zabrałam ze sobą sukienkę. Właściwie nic wielkiego, nie jest to ani oryginalny chiński jedwab, ani dzieło jednego z wielkich projektantów mody...

Kawakita nachylił się w jej stronę.

— Szata zdoła człowieka sukcesu. Pamiętaj, Margo, jak cię widzą, tak cię piszą. Decydenci nigdy nie zgodzą się obsadzić na stołku dyrektora muzeum kogoś, kto na co dzień chodzi w podkoszulku, choćby nawet ten ktoś był prawdziwym geniuszem.

— A ty chcesz zostać dyrektorem?

— Oczywiście — odparł zdumiony Kawakita. — Ty nie?

— Nie wystarczy ci rzetelne prowadzenie badań dla rozwoju nauki?

— To może robić każdy. Ja chciałbym któregoś dnia dokonać czegoś więcej. Jako dyrektor możesz zrobić dla nauki o wiele więcej aniżeli byle badacz, użerający się z projektami w zapyziałym, małym laboratorium, takim jak to. Badania naukowe to dziś niestety nie wszystko. — Poklepał ją po plecach. — Baw się dobrze. I niczego nie zepsuj.

Wyszedł. W laboratorium zapanowała głucha cisza.

Margo przez chwilę siedziała w bezruchu. Następnie otworzyła teczkę z próbkami roślin Kiribitu. Mimo to jakiś głos podpowiadał jej, że powinna zrobić coś o wiele ważniejszego. Kiedy w końcu dodzwoniła się do Frocka i opowiedziała mu, jak niewiele znalazła w skrzyni, uczone stał się bardzo cichy i spokojny. Zupełnie jakby do reszty utracił wolę walki. Wydawał się tak przygnębiony, że nawet nie poinformowała go o odnalezieniu dziennika, którego treść okazała się równie rozczarowująca.

Spojrzała na zegarek: już po pierwszej. Sekwencjonowanie każdego z okazów roślin Kiribitu było czasochłonne, a ona musiała zakończyć sekwencjonowanie, zanim skorzysta z ekstrakcyjatora Kawakity. Była to wszelako, jak podkreślił Frock, pierwsza próba systematycznego badania systemu klasyfikacji roślin wśród ludów prymitywnych. Za pomocą tego programu mogła potwierdzić, że Kiribitu, posiadając ogromną wiedzę o roślinach, klasyfikowali je biologicznie. Dzięki programowi pozna rośliny pośrednie, hipotetyczne gatunki, których prawdziwe odpowiedniki istniały, być może, w lasach deszczowych, gdzie zamieszkiwali Kiribitu. Taki był w każdym razie zamiar Frocka.

Aby dokonać sekwencji DNA z rośliny, musiała pobrać część z każdego

okazu. Po długiej wymianie e-maili dziś rano pozwolono jej pobrać 0,1 grama z każdej próbki. Z ledwością, ale to powinno wystarczyć.

Spojrzała na delikatne okazy roztaczające słabą woń korzeni i traw. Niektóre z nich były silnymi halucynogenami, stosowanymi przez Indian przy świętych rytuałach, innych używali do celów leczniczych i z całą pewnością mogły mieć one ogromną wartość dla współczesnej medycyny.

Ujęła szczypczykami pierwszą z roślin, odcinając nożykiem górny fragment liścia. Ubiła go w moździerz z dodatkiem łagodnego enzymu, który rozpuści celulozę i doprowadzi do rozpadu jąder komórek, uwalniając DNA. Pracowała szybko, lecz starannie, dodając odpowiednie enzymy, odwirowując efekt ich działań, dokonując miareczkowania, po czym powtarzając cały proces z innymi roślinami.

Ostatnie odwirowanie zabrało dziesięć minut, a gdy wirówka kręciła się w swoim metalowym, szarym pancerzu, Margo usiadła wygodnie, rozmyślając. Zastanawiała się, jak radził sobie Smithback w nowej roli muzealnego pariasa. Z pewnym niepokojem zastanawiała się, czy pani Rickman odkryła już zniknięcie dziennika. Myślała o słowach Jorgensena i opisie Whittleseya jego ostatnich dni na tym padole. Wyobraziła sobie staruchę wskazującą chudym jak patyk palcem na posążek w skrzyni, ostrzegającą Whittleseya przed klątwą. Wyobraziła sobie całe to miejsce, ruiny chaty tonącej wśród pędów winorośli, muchy krążące leniwie w powietrzu. Ich brzęczenie i złociste promienie słońca. Skąd się wzięła ta stara kobieta? Dlaczego uciekła? I wtedy wyobraziła sobie Whittleseya, biorącego głęboki oddech i po raz pierwszy wchodzącego do tej mrocznej, pełnej tajemnic chaty...

Chwileczkę, pomyślała. W dzienniku napisano, że spotkanie z kobietą



miało miejsce, zanim badacze weszli do opuszczonej chaty. A przecież w liście odkrytym przez nią pod wiekiem skrzyni wyraźnie napisane było, że Whittlesey odnalazł posążek w chacie. Do chaty zaś uczony wszedł dopiero po ucieczce Indianki. Stara kobieta nie wskazywała posążka, gdy krzyczała, że w skrzyni jest Mbwun! Musiała patrzeć na coś innego i właśnie owo coś nazywała Mbwunem! Nikt jednak na to nie wpadł, ponieważ nie znano treści listu Whittleseya. Korzystano wyłącznie z zapisków w dzienniku i na ich podstawie uznano, że Mbwun to znajdująca się w skrzyni figurka.

A to błąd.

Wszyscy się mylili.

Mbwun, prawdziwy Mbwun to nie posążek. Co powiedziała ta kobieta? Teraz biały człowiek przyjdź i zabrać Mbwun, strzec się, klątwa Mbwuna was zniszczyć! Ty przynieść śmierć swojemu ludowi!

I tak się też stało. Śmierć przybyła do muzeum. Co miała na myśli ta kobieta? Co jeszcze znajdowało się w skrzyni?

Wyjęła z torebki notes i szybko odtworzyła listę rzeczy odkrytych dzień wcześniej w skrzyni Whittleseya.

Prasa do roślin, z roślinami Dmuchawka i strzałki Dysk zdobiony (znaleziony w chacie) Ozdoby twarzy

Pięć lub sześć słoików z zakonserwowanymi żabami i salamandrą (chyba?) Ptasie skórki

Krzemień groty strzał i ostrza włóczni Grzechotka szamańska Raja

Co jeszcze? Sięgnęła do torebki. Prasa do roślin, dysk i szamańska grzechotka wciąż tam były. Wyłożyła je na stół.

Uszkodzona grzechotka wydawała się całkiem ciekawa, lecz w gruncie

rzeczy nie miała w sobie nic niezwykłego. Margo widziała kilka bardziej egzotycznych eksponatów na wystawie Przesady.

Dysk był dziwny. Ukazano na nim jakąś ceremonię, ludzi stojących w wodach płytkiego jeziora, nachylonych, niektórzy z nich mieli w dłoniach rośliny, na plecach zaś wielkie kosze. Bardzo dziwne. Mimo to z całą pewnością nie był to przedmiot kultowy.

Lista niewiele jej pomogła. W skrzyni nie było nic, co choć trochę przypominałoby diabła lub coś na tyle przerażającego, by wzbudzić tak wielką trwogę w starej Indiance.

Margo ostrożnie rozkręciła niedużą, zardzewiałą prasę do roślin, śruby i sklejka przytrzymały znajdujące się pod nimi arkusze bibuły.

Rozłożyła je i uniosła pierwszy arkusz bibuły.

Znajdowała się tam łodyga rośliny i kilka niedużych kwiatów. Nigdy wcześniej nie widziała takiej rośliny, lecz mimo to okaz nie wydawał się na pierwszy rzut oka zbyt interesujący.

Pod kolejnymi arkuszami bibuły natrafiła na kwiaty i rośliny. Margo uznała, że nie był to zbiór dokonany przez prawdziwego botanika.

Whittlesey był antropologiem i prawdopodobnie wybierał te rośliny, które uznał za osobliwe lub dziwaczne z wyglądu. Czemu je w ogóle zgromadził? Przejrzała wszystkie okazy i na samym końcu natrafiła na opis, którego poszukiwała.

— Zbiór wybranych roślin odkrytych w zaniedbanym, opuszczonym ogrodzie w pobliżu chaty (Kothoga?) szesnastego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku. Możliwe, że je tu hodowano, a może to chwasty, które pojawiły się po odejściu tutejszych mieszkańców. — Na kartce widniał nieduży szkic mający ukazywać

zapuszczony ogródek wraz z miejscami, gdzie rosły poszczególne okazy botaniczne. Antropologia — pomyślała Margo — na pewno nie botanika. Mimo to szanowała zainteresowanie Whittleseya związkami pomiędzy Kothoga a ich roślinami.

Kontynuowała przegląd. Jej wzrok przykuła jedna z roślin; miała długą, włóknistą łodygę z pojedynczym, okrągłym liściem u szczytu. Margo uznała, że była to jakaś roślina wodna, podobna trochę do lilii. Zapewne pochodzi z terenów, które często nawiedzają powodzie — skonstatowała.

Naraz uświadomiła sobie, że zdobiony dysk odkryty w chacie ukazywał tę samą roślinę. Przyjrzała mu się uważniej; wizerunek przedstawiał ludzi zbierających ową roślinę na bagnach, podczas swego rodzaju osobliwej ceremonii. Twarze ludzi były powykrzywiane, przepełnione smutkiem. Bardzo dziwne. Mimo to ucieszyła się z dokonanej obserwacji. Mógł z tego powstać ciekawy artykuł do pisma branżowego zajmującego się etnobiologią.

Odłożywszy dysk, ponownie złożyła prasę i mocno skręciła. Rozległ się głośny brzęczyk, wirówka zakończyła cykl, materiał był gotowy.

Otworzyła urządzenie i używając szklanego pręta, zanurzyła go w cienkiej warstewce materii na dnie pojemnika testowego. Starannie przeniosła próbkę na tackę z żelem, a tę z kolei umieściła w maszynie do elektroforezy.

Jej palec powędrował w stronę włącznika urządzenia. Myślami wciąż była przy starej kobiecie, tajemnica Mbwuna nie dawała jej spokoju.

Czy mogło jej chodzić o strąki nasienne, te wyglądem przypominające jaja? Nie, Maxwell sam się nimi zajął. Nie było ich w skrzyni Whittleseya. A może chodziło o którąś z żab lub salamander w słojach albo o skórę

ptaka? Nie, żaden z tych okazów nie przywodził na myśl syna samego diabła. Nie mogły to być także rośliny ogrodowe, te bowiem ukryte były w prasie.

O co zatem chodziło? Czyżby starucha plotła androny? Czy to możliwe, że mówiła o niczym?

Margo westchnęła, uruchomiła urządzenie i usiadła. Schowała prasę do roślin wraz z dyskiem do torebki, strzepując kilka włókien wypełniacza, które przylepiły się do prasy, gdy wyjmowała je ze skrzyni.

Zostało ich też trochę na dnie torebki.

Jeszcze jeden powód, aby wreszcie zrobić w niej porządek.

Włókna wypełniacza.

Z zaciekawieniem wzięła jedno z nich pęsetą, położyła na szkiełku mikroskopowym i umieściła pod stereozoomem. Było długie, nieregularne, jak włóknista żyła rośliny o twardej, łykowatej łodydze. Może kobiety Kothoga rozcierały je na miazgę i wykorzystywały je w jakimś celu. Przez mikroskop widziała połyskujące mętnawo poszczególne komórki; ich jądra były jaśniejsze niż otaczająca je ektoplazma.

Powróciła myślami do dziennika Whittleseya. Czy uczony nie wspominał, że stłukł mu się jeden ze słoików i musiał przepakować skrzynię? Tak więc zapewne w pobliżu chaty pozbył się starego wypełniacza, przesiąkniętego formaliną i nazbierał do skrzyni materiału roślinnego obecnego w pobliżu opuszczonej chaty. Włókien być może spreparowanych przez Kothoga, przeznaczonych prawdopodobnie do produkcji lin lub może prostych tkanin.

Czy to możliwe, aby tamta kobieta miała na myśli te włókna?

Wydawało się to nieprawdopodobne. A jednak Margo nie mogła wyzbyć

się wzbudzonej zawodowej ciekawości. Czy Kothoga uprawiali tę roślinę?

Zebrała kilka włókien i wrzuciwszy do moździerza, po dodaniu kilku kropel enzymu starannie je ubiła. Gdyby dokonała sekwencji DNA, mogłaby wykorzystać program Kawakity, dzięki któremu poznałaby genom i rodzinę rośliny.

Wkrótce odwirowane DNA z włókien było gotowe do analizy w urządzeniu do elektroforezy. Wykonała niezbędne czynności i włączyła prąd. Wkrótce na wstęgach żelu pod wpływem prądu zaczęły pojawiać się ciemne pasma. Pół godziny później na maszynie do elektroforezy zgasła czerwona lampka. Margo wyjęła nazelowaną tacę i zaczęła rejestrować układy kropek oraz wstęg wędrujących nukleotydów, wprowadzając wyniki do komputera.

Zakończywszy tę czynność, poleciła programowi Kawakity odnaleźć podobieństwa ze znanymi organizmami, podłączyła drukarkę i czekała. W końcu maszyna zaczęła wypluwać z siebie kolejne zapisane strony.

Na pierwszej z nich widniał następujący tekst:

Gatunek: nieznany, 10 procent przypadkowej zbieżności genetycznej ze znanymi gatunkami

Rodzaj: nieznany

Rodzina: nieznana

Rząd: nieznany

Typ: nieznany

Gromada: nieznana

Królestwo: nieznane.

Rety, Margo! Coś ty tam wrzuciła? Nie wiesz nawet, czy to zwierzę, czy roślina. Nie zdajesz sobie sprawy, jak długo trwało, zanim udało się ustalić choćby to jedno!

Margo musiała się uśmiechnąć. A więc to w taki sposób skomplikowane dzieło Kawakity, eksperymentalny twór w dziedzinie sztucznej inteligencji porozumiewał się ze światem zewnętrznym. Rezultaty były absurdalne i bezsensowne. Królestwo: nieznane? Ten cholerny program nie potrafił nawet określić, czy miał do czynienia z rośliną, czy ze zwierzęciem. Margo wiedziała już, dlaczego Kawakita tak bardzo wahał się, by zaprezentować jej ten program, i czemu potrzeba było dopiero telefonu od Frocka, aby puścić tę maszynę w ruch. Natrafiając na rubieżę nieznanego, program całkiem się gubił.

Przejrzała wydruk. Komputer zidentyfikował zaledwie drobną cząstkę genomu. Margo odnalazła tu kilka elementów powszechnych niemal dla każdej istoty żyjącej, proteiny odpowiedzialne za cykl oddychania, cytochrom Z, parę innych uniwersalnych genów. A także kilka genów zwierzęcych z celulozą, chlorofilem i cukrami, typowe dla genomu roślinnego.

Wystukała na klawiaturze:

Jak to możliwe, że nie wiesz nawet, czy to roślina, czy zwierzę?

Dostrzegam tu sporą ilość genów roślinnych.

Chwila przerwy.

A nie zauważyłaś też genów zwierzęcych? Przepuść dane przez Genlab.

Trafna uwaga — pomyślała Margo. Połączyła się przez modem z Genlabem i niebawem na ekranie pojawiło się znajome, niebieskie logo. Załadowała dane o DNA włókien i przepuściła przez tamtejszy suboddział

botaniczny. Wynik był identyczny — prawie żaden. Niewielkie zgodności z cukrami prostymi i chlorofilami.

Wiedziona jakimś impulsem przepuściła posiadane informacje przez cały bank danych.

Nastąpiła długa przerwa, po czym ekran zalał potok informacji. Margo szybko uderzyła w kilka klawiszy, aby przechwycić dane. Informacje dotyczyły licznych zbieżności z różnymi genomami, o niektórych z nich nigdy nawet nie słyszała.

Wylogowawszy się z Genlabu, wprowadziła przejęte dane do programu Kawakity z zaleceniem, by wyjaśnił jej, do jakich protein należą zidentyfikowane geny.

Wkrótce na ekranie pojawiła się cała lista konkretnych protein tworzonych przez każdy z rozpoznanych genów.

Kolagenoid glikotetraglicyny

hormon Wernsteina, 2,6 adenozyne (gram pozytywny.)

hormon tłumiący 1,2,3 oxytocin 4 monoxytocin

pierścień 2,4 diglicerydu dietyloglobuliny — alaniny

gammaglobulina A, x-y left-positive

hormon kortykotropiny podwzgórza, left negative

sulfagen 1-1-1 (2,3 myszy) keratynoid łączący

III-IV involucja

powłoka proteinowa heksagonalnego reowirusa ambyloidalnego

Enzym kontraskryptazy

Lista miała wiele pozycji. Sporo tu hormonów — pomyślała, ale

hormonów jakiego rodzaju? Odnalazła na półce zakurzoną encyklopedię biochemii i wyszukała hasło: kolagenoid glikotetraglicyny.

Proteina powszechna u wszystkich kręgowców. Wiąże tkankę mięśniową z chrząstkami.

Poszukała hormonu Weinsteina.

Hormon wzgórza obecny u ssaków wzmagający uwalnianie neurotransmitera epinefryny z gruczołu tarczycy. Odgrywa istotną rolę w znanym syndromie „walcz lub uciekaj”, powodując przyspieszenie tętna, wzrost temperatury ciała, a także prawdopodobnie wzmagając czujność umysłową organizmu.

W jej mózgu zaczęła się formułować przerażająca myśl. Odnalazła kolejne hasło: hormon tłumiący 1,2,3 oxytocin 4 monoxytocin

Hormon wytwarzany przez ludzki gruczoł podwzgórza. Jego funkcja nie jest w pełni znana. Ostatnie badania dowodzą, że może on regulować poziom testosteronu we krwi w sytuacjach silnego stresu (Bouchard, 1992; Dennison, 1991).

Margo aż usiadła z wrażenia, wypuszczona z rąk książka z głuchym trzaskiem wylądowała na podłodze. Sięgając po telefon, spojrzała na zegar. Było wpół do czwartej.



## *Rozdział trzydziesty ósmy*

Kiedy kierowca buicka odjechał, Pendergast wszedł po schodach wiodących do bocznego wejścia do muzeum i trzymając pod pachą dwie długie, kartonowe tuby, pokazał strażnikowi legitymację.

Dotarłszy do tymczasowego punktu dowodzenia, zamknął się w swoim gabinecie i wyjąwszy z tub kilka pożółkłych planów, rozłożył je na biurku.

Przez blisko godzinę trwał nieomal w bezruchu z głową opartą na złączonych dłoniach, lustrując plany. Od czasu do czasu zapisał coś w notesie lub sięgał po plik kartek leżący na skraju biurka.

Nagle wstał. Raz jeszcze spojrzął na wyginające się ku górze plany i wolno powiódł palcem z jednego punktu do drugiego, wydymając przy tym usta. Następnie zebrał większość planów, włożył je starannie do kartonowych tub i schował w szafie na ubrania. Pozostałe ostrożnie zwinął i włożył do leżącej na biurku otwartej, płóciennej torby. Wysunąwszy szufladę, wy dobył z niej colta anacondę 45, wąską, długą i złowieszczo wyglądającą broń Pasowała idealnie do skórzanej kabury, którą nosił pod lewym ramieniem. Do kieszeni wrzucił garść naboarów. Z szuflady wyjął także sporej wielkości pękaty, żółtawy przedmiot, który umieścił w płóciennej torbie. Następnie, poprawiwszy garnitur i krawat, zabrał torbę i opuścił gabinet. Nowy Jork miał krótką pamięć, gdy chodziło o przemoc i brutalność, toteż w rozległych salach i holu muzeum znów roiło się od

tłumów zwiedzających.

Wokół eksponatów tłoczyły się gromady dzieci, przyciskających nosy do szklanych ścian gablot, pokazujących palcami rozmaite artefakty i śmiejących się radośnie. Rodzice znajdowali się w pobliżu, zaopatrzeni w mapy i aparaty fotograficzne. Korytarzami wędrowali przewodnicy, recytując jak litanie swoje codzienne kwestie, przy wejściach stali czujni strażnicy. Pendergast przemknął pomiędzy nimi wszystkimi niepostrzeżenie jak duch.

Wszedł powoli do Sali Niebiańskiej. Po obu jej stronach ciągnęły się rzędy palm; mały, ale sprawny oddział robotników dokonywał ostatnich przygotowań. Dwaj technicy sprawdzali ustawioną na podium mównicę, na stu białych, lnianych obrusach ustawiono imitacje plemiennych fetyszów. Spoza kolumn w stylu korynckim do rozległej, kopułowo sklepionej sali dobiegał szum i gwar.

Pendergast spojrział na zegarek: punkt 16.00. Wszyscy agenci powinni być teraz na odprawie u Coffeya. Przeszedł szybkim krokiem przez Salę Niebiańską ku zamkniętym drzwiom, za którymi znajdowała się nowa wystawa. Wymiana zdań była krótka i ożywiona, po czym pełniący przy wejściu wartę funkcjonariusz ubrany po cywilnemu kluczem otworzył drzwi.

W kilka minut później Pendergast opuścił teren wystawy. Przez chwilę stał w bezruchu, rozmyślając. Następnie równie szybkim krokiem ponownie przemaszerował przez Salę Niebiańską i znikł w jednym z odchodzących od niej korytarzy.

Kierował się ku zapleczu muzeum, gdzie było teraz znacznie ciszej i spokojniej. Obecnie znajdował się wśród pomieszczeń magazynowych i

laboratoryjnych niedostępnych dla turystów.

Wysokie sklepienie, rozległe i bogato zdobione galerie zostały tu zastąpione przez surowe, żuźlowe korytarze, pod ścianami których stały większe lub mniejsze gabloty. Wysoko w górze ciągnęły się syczące i łomoczące przewody centralnego ogrzewania. U szczytu metalowych schodów Pendergast przystanął, rozejrzał się uważnie przez chwilę, po czym sprawdził coś w swoim notesie i załadował broń. To uczyniwszy, zaczął schodzić po żelaznych stopniach w głąb labiryntu ciasnych, wąskich tuneli wiodących wprost do mrocznego serca muzeum.

## *Rozdział trzydziesty dziewiąty*

Drzwi do laboratorium otworzyły się z trzaskiem i powoli się zamknęły. Margo uniosła wzrok, by ujrzeć wjeżdżającego tyłem do środka Frocka; jego wózek piszczał niemiłosiernie. Wstała i pomogła mu podjechać do komputera. Zauważyła, że miał na sobie frak. Prawdopodobnie włożył go jeszcze dziś rano — pomyślała. Z kieszeni na piersi wystawała jak zwykle markowa chustka od Gucciego.

— Nie pojmuję, dlaczego laboratoria zawsze muszą znajdować się na takim zadupiu — burknął gniewnie. — Czy to taka wielka tajemnica? I po co musiałem tam pojechać? Nie dowiedziałem się niczego naprawdę interesującego. Niedługo rozpocznie się wielka błazenada i obawiam się, że moja obecność na podium jest nieodzowna. Naturalnie to tylko pusty gest, wynik popularności wywołanej moją nową książką. Ian Cuthbert dał mi to dziś rano wyraźnie do zrozumienia. — W jego głosie pobrzmiwały gorycz i rezygnacja.

Pospiesznie wyjaśniła, w jaki sposób przeprowadziła analizę włókien z amazońskiej skrzyni. Pokazała mu grawerowany dysk z przedstawioną na nim sceną żniw. Opisała odnalezienie i treść zarówno dziennika, jak i listu Whittleseya, a także rozmowę z Jorgensenem. Wspomniała również o rozhisteryzowanej starej kobiecie opisanej w dzienniku Whittleseya i swym własnym przekonaniu, iż ostrzegając naukowca przed Mbwunem, starucha nie mogła mieć na myśli posążka.

Frock słuchał z uwagą, obracając w dłoniach kamienny dysk.

— To ciekawa historia — powiedział. — Ale skąd ten pośpiech? Całkiem możliwe, że twoja próbka również nie jest czysta. Poza tym wszystko wskazuje, że ta kobieta była niespełna rozumu, a może po prostu pamięć Whittleseya zaczęła nieco szwankować.

— Początkowo też tak myślałam. Ale proszę spojrzeć na to — rzekła Margo, podając Frockowi wydruk.

Przejrzał go szybko.

— Ciekawe — powiedział. — Mimo to nie sędzę, aby... Urwał, gdy jego pulchne palce zatrzymały się przy kolumnie protein.

— Margo — rzekł, unosząc wzrok. — Zbyttnio się pospieszyłem.

Faktycznie doszło do skażenia, lecz nie ze strony istoty ludzkiej.

— Co chce pan przez to powiedzieć? — spytała Margo.

— Widzisz ten heksagonalny ambyloid reowirusa proteinowego? To proteina z powłoki wirusa atakującego rośliny i zwierzęta. Spójrz, ile tu tego jest. Mamy tu również kontraskryptazę, enzym niemal zawsze towarzyszący wirusom.

— Nie bardzo rozumiem.

Frock odwrócił się do niej zniecierpliwiony.

— Mamy tu roślinę silnie zarażoną wirusem. Twój Sekwenter DNA mieszał je, poszukując ich kodu. Wiele roślin zawiera w sobie wirusy. Fragmenty DNA lub RNA w osłonie proteinowej. Zarażają roślinę, przejmują niektóre z jej komórek, po czym wprowadzają swój materiał genetyczny do genomu rośliny. Genom, zamiast tego co powinien, zaczyna produkować kolejne wirusy. Wirus galasa jest odpowiedzialny za powstawanie na liściach dębu tych małych, brązowych kulek, lecz poza tym jest raczej niegroźny. Węzły na sosnach i klonach to także dzieła wirusów. Są one tak pospolite u roślin, jak i u zwierząt.

— Wiem, doktorze Frock, ale...

— Czegoś tu nie rozumiem — powiedział, odkładając wydruk. — Wirus ma cechy typowe dla wirusów. Skąd tyle tu ludzkich i zwierzęcych protein? Spójrz na nie. W większości to hormony. Skąd u roślin ludzkie hormony?

— Właśnie to chciałam panu wyjaśnić — rzekła Margo. — Sprawdziłam niektóre z nich. W większości są to hormony pochodzące z ludzkiego mózgu, ściślej mówiąc, z gruczołu podwzgórza.

— Z podwzgórza? — Frock ożywił się. Jego oczy rozbliły.

— Zgadza się.

— Stwór grasujący w tym muzeum wyżera swoim ofiarom kawałki mózgu z podwzgórzem! Musi zatem potrzebować tych hormonów, może nawet jest od nich uzależniony — rzucił Frock. — Pomyśl, istnieją tylko dwa źródła: rośliny, które dzięki temu niezwykłemu wirusowi są najprawdopodobniej przesycone hormonami, oraz ludzkie podwzgórze. To stworzenie, nie mogąc dostać się do roślin, zabija ludzi, by wyżerać ich mózgi!

— Jezu, to straszne! — jęknęła Margo.

— To niesamowite. I przekonująco tłumaczy motyw tych zbrodni. Teraz gdy mamy już wszystkie elementy, możemy zacząć układać nasze puzzle. W muzeum grasuje jakieś stworzenie mordujące ludzi, wrywające im część kości potylicznej czaszki, usuwające mózg i wyżerające obszar wzgórza, gdzie znajduje się największe stężenie hormonów.

Wciąż na nią patrzył, jego dłonie nieznacznie drżały.

— Cuthbert powiedział, że odszukał skrzynie, aby pobrać z nich figurkę Mbwuna, i wtedy właśnie stwierdził, że jedna z pak została naruszona, a wyściełające ją włókna rozsypane. Obecnie byłbym raczej skłonny przypuszczać, że jedna z większych skrzyń została niemal w całości opróżniona z włókien. Wynika z tego, że ten stwór musiał żywić się nimi już od jakiegoś czasu. Maxwell bez wątplenia użył tych samych włókien jako wyściółki do swoich skrzyń. Całkiem możliwe, że to stworzenie nie je zbyt wiele, lecz z pewnością musi jadać regularnie, a poziom stężenia hormonów musi być bardzo wysoki.

Frock usiadł wygodniej w fotelu.

— Dziesięć dni temu skrzynie przeniesiono do Strefy Chronionej, a

trzy dni później zamordowano dwóch chłopców. Dzień później ginie strażnik. Co się stało? To proste: bestia nie może dostać się do włókien, morduje więc człowieka i wyjadając fragment mózgu z podwzgórzem, zaspokaja trawiący ją głód. Niestety podwzgórze nie zawiera dostatecznie silnego stężenia hormonów, stanowi ono marny substytut w porównaniu z tymi roślinami. Biorąc pod uwagę poziom stężenia podany w tym wydruku, zaryzykowałbym stwierdzenie, że pięćdziesiąt ludzkich mózgow stanowi równowartość pół uncji tych roślin.

— Doktorze Frock — rzekła Margo. — Wydaje mi się, że Kothoga uprawiali tę roślinę. Whittlesey zebrał kilka okazów w swojej prasie do roślin, a na dysku widzimy wyraźnie scenę żniw. Jestem pewna, że te włókna to utarte łodygi jednej z odmian lilii, zebranych przez Whittleseya, rośliny przedstawionej na dysku. Teraz już wiadomo: to właśnie te włókna miała na myśli owa kobieta, kiedy krzyczała: — Mbwun. Mbwun, syn diabła: taką nazwę nosi ta roślina!

Wyjęła roślinę z prasy. Była ciemnobrązowa i pomarszczona, poprzecinana siateczką czarnych żył. Liść był gruby, skórzasty, a czarna łodyga twarda jak zasuszony korzeń. Margo powąchała roślinę. Poczowała silny, piżmowy zapach.

Frock spojrzał na roślinę z mieszaniną lęku i fascynacji.

— Margo, to niesamowite — powiedział. — Kothoga utworzyli wokół tej rośliny wiele rytuałów, włącznie z jej zbiorami i przygotowaniem — zapewne aby w ten sposób ułagodzić istotę. To z całą pewnością tę bestię przedstawia nasza figurka. Ale jak się tu dostała? I po co?

— Chyba się domyślam — rzekła Margo. Tysiące myśli przebiegały jej przez głowę. — Wczoraj przyjaciel, który pomagał mi w przeszukaniu



skrzyń, powiedział, że czytał o serii dziwnych morderstw przed kilkoma laty w Nowym Orleanie. Dokonano ich na frachtowcu przypluwającym z Belem. Mój przyjaciel odnalazł rachunki frachtowe skrzyń z muzeum, okazało się, że przyplłynęły właśnie tym statkiem.

— Zatem istota podążała śladem skrzyń — powiedział Frock.

— I dlatego dotarł tu do nas ten agent z Luizjany, Pendergast — dodała Margo.

Frock zmarszczył brwi; w jego oczach płonął ogień.

— Boże kochany. Zwabiliśmy krwiożercze monstrum do muzeum w samym centrum Nowego Jorku. To Efekt Callisto z przyspieszaczem w postaci silnego motywu; mamy do czynienia z dzikim drapieżcą, który tym razem przyniesie zgubę naszemu gatunkowi. Módlmy się, aby był tylko jeden.

— Co to może być za istota? — spytała Margo.

— Nie wiem — odparł Frock. — Coś, co dotąd żyło na tepui, żywiąc się tymi roślinami. Osobliwy gatunek, być może relikw z czasów, gdy na tej planecie królowały dinozaury. A może efekt jakiejś anomalii ewolucyjnej. Widzisz, tepui ma wysoce kruchy ekosystem, stanowi biologiczną enklawę niezwykle gatunków, otoczoną lasem deszczowym. W takich miejscach rośliny i zwierzęta mogą rozwinąć osobliwe paralele, dziwne zależności międzygatunkowe. Wspólne DNA, pomyśl tylko! I wtedy...

Frock zamilkł.

— Wtedy! — zawołał, uderzając dłonią w poręcz wózka. — Na tym tepui odkryto złoża złota i platyny. Tak powiedział ci Jorgensen, czyż nie? Wkrótce po rozpadzie wyprawy wypalono tepui, wybudowano drogę, sprowadzono ciężki sprzęt górniczy. Zniszczono cały ekosystem tego

miejsca, a wraz z nim plemię Kothoga. Rzeki i bagna zatruto rtęcią i cyjankami.

Margo gorliwie pokiwała głową.

— Pożary trwały wiele tygodni, ogień wydostał się spod kontroli. W ten sposób roślina, będąca podstawą pożywienia tego stworzenia przestała istnieć.

Frock zamilkł, opuścił głowę na piersi.

— Doktorze Frock — odezwała się półgłosem Margo. — Skąd to coś wiedziało, że skrzynie wysłano do Belem?

Frock spojrział na nią i zamrugał.

— Nie wiem — odrzekł w końcu.

— To dziwne, nieprawdaż?

Nagle Frock zacisnął dłonie na poręczach wózka i podźwignął się, silnie podekscytowany.

— Margo! — zawołał. — Możemy dowiedzieć się, czym dokładnie jest owo stworzenie. Mamy po temu odpowiednie środki i możliwości. Ekstrapolator! Mamy DNA tej istoty, przepuścimy je przez program i otrzymamy hipotetyczny opis.

Margo zamrugęła.

— Ma pan na myśli pazur?

— Dokładnie! — Podjechał do komputera i zaczął uderzać w klawisze. — Wskanowałem wydruk pozostawiony przez Pendergasta — powiedział. — Teraz załaduję te dane do programu Gregory'ego. Pomóż mi, dobrze? W ten sposób to krócej potrwa.

Margo zajęła miejsce Frocka przy komputerze. W chwilę później na ekranie pojawiła się kolejna informacja:

PRZYBLIŻONY CZAS ZAKOŃCZENIA OPERACJI: 55 min. 30 sek.

— Hej, Margo, chyba trochę tu posiedzimy. Może zamówimy pizzę?  
Najlepsza jest od Antonia. Polecam pizzę z zielonym chili i pepperoni.  
Czy mam im przefaksować zamówienie?

Była dokładnie 17.15.

## Rozdział czterdziesty

D'Agosta patrzył z rozbawieniem, jak dwóch ogorzałych, krzepkich robotników rozwija czerwony dywan pomiędzy dwoma rzędami palm w Wielkiej Rotundzie przez całą jej długość, próg podwójnych, spiżowych drzwi i po schodach frontowych na dół.

Będzie padać — pomyślał. Zmierzchało, a na północnym i zachodnim niebie zbierały się burzowe chmury, wznoszące się niczym góry ponad chłostanymi wiatrem drzewami przy Riverside Drive. Dochodzący z oddali grzmot sprawił, że zatrzęsły się artefakty w jednej z gablot w rotundzie, a na taflach szkła zdobiących spiżowe drzwi pojawiły się pierwsze kropelki deszczu.

Zapowiadała się potworna ulewa, zdjęcia satelitarne z porannej prognozy pogody nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości. Ten fikuśny, czerwony kobierzec nieźle przemoknie A wraz z nim sporo zabawnych osobistości.

Drzwi muzeum miały pozostać zamknięte dla zaproszonych do godziny 17.00. Najznamienitsi goście zaczną zjeżdżać się około 19.00. Prasa już była na miejscu, podobnie telewizja z łączami satelitarnymi, fotografowie rozmawiali głośno między sobą, wszędzie porozstawiany był sprzęt.

D'Agosta zaczął wydawać rozkazy przez krótkofalówkę. Miał blisko dwustu ludzi rozstawionych strategicznie wokół Sali Niebiańskiej i w innych miejscach zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz muzeum.

To prawdziwe szczęście, że przynajmniej jako tako umiał poruszać się po tym gmachu. Dwóch jego ludzi już się tam zgubiło i trzeba było użyć krótkofalówek, by ich stamtąd wyciągnąć.

D'Agosta nie był zadowolony. Podczas odprawy o 16.00 zażądał ostatniego przeglądu wystawy. Coffey sprzeciwił się temu, odmówił także wydania broni większego kalibru funkcjonariuszom mundurowym i cywilnym mającym ochraniać gości na bankiecie. Coffey stwierdził, że to mogłoby wystraszyć gości. D'Agosta spojrzał w stronę czterech bramek z wykrywaczami metalu i urządzeniami prześwielającymi.

Dzięki Bogu i za to — pomyślał.

D'Agosta odwrócił się i ponownie zaczął wypatrywać Pendergasta. Nie było go na odprawie Właściwie D'Agosta nie widział go od czasu spotkania z Ippolitem dziś rano

Z głośnika krótkofalówki dobiegły trzaski

— Poruczniku? Tu Henley. Jestem przed wypchanymi słoniami, ale ni cholery nie mogę znaleźć Sali Morskiej. Wydawało mi się, że mówił pan...

D'Agosta nie pozwolił mu skończyć, obserwując, jak obsługa techniczna sprawdza oświetlenie, większe chyba niż podczas kręcenia Przemineło z wiatrem.

— Henley? Widzisz tam takie wielkie drzwi z ciosami słoni? Tak? To przejdź przez nie i skręć dwa razy ostro w prawo. Skontaktuj się ze mną, gdy znajdziesz się na pozycji. Twoją partnerką jest Wilson.

— Wilson? Przecież wie pan, że ja nie lubię pracować z kobietami.

— Henley? To wyjątkowa sprawa.

— To znaczy?

— Wilson będzie uzbrojona w strzelbę dwunastkę.

— Chwileczkę, poruczniku, przecież... D'Agosta wyłączył się.

Z tyłu za nim coś zgrzytnęło i z sufitu przy północnym krańcu Wielkiej Rotundy zaczęły opuszczać się grube, stalowe drzwi. Zaczęto zamykać

obwód. Dwóch agentów FBI stało w półmroku tuż przy wejściu, spod ich luźno skrojonych marynarek wystawały strzelby śrutowe. D'Agosta parsknął.

Rozległ się głośny, metaliczny łoskot, gdy stalowa płyta opadła na posadzkę. Przez dłuższą chwilę w wielkiej sali rozbrzmiewało donośne echo. Zanim ucichło, dał się słyszeć identyczny rumor towarzyszący opuszczanym drzwiom na południowym krańcu rotundy. Tylko jedne drzwi zostaną podniesione, od wschodu, te, w których rozwinięto czerwony dywan.

Chryste — pomyślał D'Agosta — nie chciałbym być świadkiem pożaru tej budy.

Z drugiego końca sali dobiegł oschły, nieprzyjemny głos. D'Agosta odwrócił się w tę stronę, by ujrzeć Coffeya rozstawiającego swoich ludzi na pozycje.

Coffey spostrzegł go.

— Hej, D'Agosta! — zawołał, przywołując go ruchem ręki. Policjant zignorował go. W końcu Coffey ruszył w jego stronę kołyszącym się krokiem, twarz miał mokrą od potu. Przy jego grubym pasie zwieszały się broń oraz szpeje, jakich D'Agosta nigdy dotąd nie widział.

— Ogłuchłeś czy jak, D'Agosta? Wyślij dwóch ludzi, niech popilnują tamtych drzwi. Nikt nie może tu wejść ani stąd wyjść.

Jezu — pomyślał D'Agosta. Przecież w rotundzie jest obecnie pięciu agentów FBI, którzy tylko podpierają ściany.

— Moi ludzie są zajęci, Coffey. Weź jednego z tych tam Rambo. Sam zdecydowałeś, że większość twoich ludzi będzie rozstawionych na zewnątrz budynku. Moi muszą pilnować gości wewnątrz i na dodatek

kierować ruchem przy wejściu. Reszta muzeum będzie prawie pusta, mam za mało ludzi do ochrony bankietu. Szczerze mówiąc, wcale mi się to nie podoba.

Coffey podciągnął pas i łypnął spode łba na D'Agostę.

— Wiesz co? Gównu mnie obchodzi, co ci się podoba lub nie. Rób swoje i już. I bądź na stałym nasłuchu. Skontaktuję się. — To rzekłszy, odszedł.

D'Agosta zaklął. Spojrzał na zegarek. Jeszcze sześćdziesiąt minut. Odliczanie trwa.

## *Rozdział czterdziesty pierwszy*

Ekran monitora szerniał i po chwili pojawiła się na nim kolejna informacja.

ZAKOŃCZONO: CZY CHCESZ WYDRUKOWAĆ DANE,  
PRZEJRZEĆ DANE CZY OBA POWYŻSZE (W/P/O)?

Margo nacisnęła klawisz O. Gdy przez ekran zaczęły przepływać kolumny danych, Frock zatrzymał wózek i przybliżył twarz do ekranu, aż szkło pokryła warstewka pary z jego oddechu.

GATUNEK: Nie zidentyfikowany

RODZAJ: Nie zidentyfikowany

RODZINA: 12 procent zgodności z Pongidae, 16 procent zgodności z Hominidae

RZĄD: Prawdopodobnie naczelne, braki 66 procent pospolitych wskaźników genetycznych, duże odchylenie standardowe

TYP: 25 procent zgodności ze ssakami, 5 procent zgodności z gadami

GROMADA: Strunowce

KRÓLESTWO: Zwierzęta

Charakterystyka morfologiczna: Znaczna siła

Pojemność mózgu: 900-1250 cm<sup>3</sup>

Czworonóg, daleko posunięty dymorfizm sylwetki

Potencjalnie wysoki dymorfizm płciowy

Waga, dojrzały samiec: 240-260 kg

Waga, dojrzała samica: 160 kg

Okres ciąży: od 7 do 9 miesięcy

Poziom agresywności: ekstremalny

Cykl miesięczkowy u samic: wzmożony

Prędkość poruszania się: 60-70 km/h



Powłoka epidermalna: skóra pokryta futrem oraz miejscami pancerzem kostnym

Tryb życia: nocny

Frock przejrzał listę, wodząc po niej palcem.

— Gady! — powiedział. — Znów pojawiają się te geny gekona!

Wygląda na to, że ta istota zawiera w sobie połączone geny gadów i naczelnych. I ma fragmenty ciała pokryte płytami kostnymi. Ma również łuski. To pewnie także dziedzictwo gadzich genów.

Margo przeczytała charakterystykę do końca. To, czego się dowiedziała, jeszcze bardziej zagmatwało jej i tak już poważnie zmaćony obraz sytuacji.

Znaczny rozrost i połączenie kości śródrecznej w kończynie tylnej.

Prawdopodobnie atawistyczny zrost przydatków 3 i 4 w kończynie przedniej.

Zrost małego i serdecznego palca w kończynie przedniej.

Silne zgrubienie kości czerepu.

Prawdopodobna utrata 90% (?) sprawności ruchowej w kości kulszowej.

Silne zgrubienie i rozszczepienie wzdłużne kości udowej.

Powiększenie jamy nosowej.

Trzy (?) mocno zwinięte małżowiny.

Ponadprzeciętny zmysł powonienia, powiększony obszar mózdzku.

Prawdopodobne istnienie zewnętrznych, śluzowych gruczołów nosowych.

Redukcja chiazmy wzrokowej, redukcja nerwów wzrokowych.

Frock powoli cofnął się od monitora.

— Margo — rzekł — oto opis najwyższego gatunku maszyny do zabijania. Spójrz wszelako, ile mamy tu niewiadomych i znaków zapytania. To, w najlepszym wypadku, opis czysto hipotetyczny.

— Mimo to — odparowała Margo — nieodparcie przywodzi mi na myśl figurkę Mbwuna z wystawy.

— Bez wątpienia. Chciałbym, abyś zwróciła szczególną uwagę na wielkość mózgu.

— Od 900 do 1250 cm<sup>3</sup> — powiedziała Margo, posiłkując się danymi z komputera. — To sporo, czyż nie?

— Sporo? To niewiarygodne. W górnych granicach dorównuje człowiekowi ! Ta bestia, czymkolwiek jest, zdaje się posiadać siłę niedźwiedzia grizzly, szybkość charta i ludzką inteligencję. Powiadam — zdaje się, te wyniki są w dużej mierze hipotetyczne, powstałe dzięki obliczeniom zadanego programu. Mimo to spójrz na tę grupę cech.

Wskazał palcem listę.

— Nocny tryb życia. Zewnętrzne śluzowe gruczoły nosowe, to znaczy, że to coś ma mokry nos, jak zwierzęta odznaczające się doskonałym węchem. Mocno zwinięte małżowiny to także cecha zwierząt o wysoko rozwiniętym zmyśle węchu. Zredukowana chiazma optyczna to część mózgu odpowiedzialna za proces widzenia. Mamy do czynienia z istotą o ponadprzeciętnym powonieniu i słabym wzroku, polującą w nocy.

Frock zamyślił się przez chwilę, jego brwi połączyły się w jedną kreskę.

— Margo, to mnie przeraża.

— Jeżeli mamy rację, to przeraża mnie sama myśl o tej istocie — odrzekła Margo. Wzdrygnęła się na wspomnienie o włóknach, z którymi pracowała.

— Nie, mam na myśli grupę cech związaną ze zmysłem węchu tego stwora. Jeśli wierzyć programowi ekstrapolacji, to stworzenie żyje dzięki węchowi, poluje, posługując się węchem i myśli węchem. Wielokrotnie słyszałem, jak mówiono, że psy postrzegają całą gamę zapachów tworzących niejako osobny świat, równie barwny i złożony jak ten, który my oglądamy, posługując się wzrokiem. Niemniej jednak zmysł węchu jest o wiele bardziej prymitywny aniżeli wzrok i w rezultacie posługujące się nim istoty muszą mieć prymitywny, choć niezwykle silny instynkt reagujący na bodźce węchowe. Właśnie to tak bardzo mnie przeraża.

— Nie bardzo rozumiem.

— Za kilka minut do muzeum zjedzie tysiące gości. Zostaną zebrani w stosunkowo niedużej, zamkniętej przestrzeni. Nasza istota zwierzy połączoną hormonalną woń tych wszystkich ludzi. Podejrzewam, że zapach ten ją zirytuje, a może nawet rozwścieczy.

W laboratorium zapadła cisza.

— Doktorze Frock — powiedziała Margo — wspomniał pan, że minęło kilka dni od zamknięcia skrzyń w Strefie Chronionej do pierwszego zabójstwa. Następne zaś miało miejsce dzień później. Od tego czasu upłynęły już całe trzy dni.

— Mów dalej — rzucił ponagłajaco Frock.

— Wydaje mi się, że to stworzenie może być „na głodzie”. Efekty działania hormonów podwzgórza z pożartych przez bestię fragmentów mózgu na pewno już ustąpiły, bądź co bądź stanowią one marny substytut

dla tej osobliwej rośliny. Jeżeli ma pan rację, tego stwora można przyrównać do narkomana, który nie jest w stanie zaspokoić trawiącego go głodu. Jak na razie to stworzenie zaszyło się gdzieś, zapewne spłoszone nieustanną obecnością policji w całym gmachu. Pytanie brzmi — jak długo jeszcze wytrzyma? Ile może czekać?

— Mój Boże — jęknął Frock. — Już dziewiętnasta. Musimy ich ostrzec. Margo, musimy przerwać tę uroczystość. Nie wolno do niej dopuścić. To tak, jakbyśmy sami zapraszali tę istotę na uroczystą kolację.

Skierował się w stronę drzwi, ruchem ręki dając znak, aby poszła za nim.

*Część trzecia*

*Ten Który Chodzi Na Czworakach*

*Rozdział czterdziesty drugi*

Przed dziewiętnastą pod zachodnim wejściem do muzeum stał już sznur taksówek i limuzyn. Elegancko odziani pasażerowie dystyngowanie wysiadali z aut, mężczyźni w niemal identycznych frakach, kobiety w futrach. Rozkładano parasole; goście spiesznie maszerowali po czerwonym dywanie ku markizie nad wejściem, usiłując chronić się przed deszczem, który z zacinającego kapuśniaczka przerodził się w prawdziwe oberwanie chmury. Potoki wody spływały chodnikami, zamieniając rynsztoki w rwące, pełne wirów strumienie.

Wnętrze Wielkiej Rotundy, zwykle o tej porze ciche i spokojne, rozbrzmiewało echem kroków tysięcy drogich butów stąpających po marmurowych posadzkach między rzędami palm, wytyczającymi drogę do Sali Niebiańskiej. Wewnątrz sali ustawiono donice z bambusami, ozdobione girlandami fioletowych lampek. Do bambusów przymocowano pęki artystycznie ułożonych orchidei, mających nadać wnętrzu charakteru tropikalnego, wiszącego ogrodu.

Gdzieś dalej, w środku, niewidoczna orkiestra grała szybszą wersję New York, New York. Zastępy kelnerów w białych muchach wprawnie przedzierały się przez tłum, roznosząc na ogromnych, srebrnych tacach kieliszki z szampanem oraz przystawki. Rzesze gości dołączyły do grup naukowców i personelu muzeum, którzy bez najmniejszych oporów raczyli się już w najlepsze podawanymi hors d'oeuvres. W świetle lamp błyszcząły zdobione cekinami długie suknie balowe, kolie i naszyjniki z brylantami, polerowane złote spinki oraz diademy.

Niemal z dnia na dzień otwarcie wystawy Przesady stało się największym wydarzeniem w kręgach nowojorskiej śmietanki towarzyskiej. Niemal każdy chciał tutaj przybyć. Stali bywalcy rautów i dobroczynnych gal także nie pozostali obojętni i pragnęli przekonać się na własne oczy, co wywołało tyle zamieszania. Wydano trzy tysiące zaproszeń, choć chętnych do wzięcia udziału w bankiecie było niemal dwa razy tyle.

Smithback, w niedoprasowanym, niemodnym smokingu i koszuli z żabotem, wszedł do Sali Niebiańskiej, wypatrując znajomych twarzy. Na drugim końcu pomieszczenia ustawiono podwyższenie. Po jednej jej stronie znajdowało się wykwintnie zdobione wejście do sal wystawowych, obecnie zamknięte i pod strażą. Na wielkim parkiecie tanecznym w szybkim tempie pojawiało się coraz więcej par.

Po wejściu do sali Smithbacka natychmiast ze wszystkich stron zaatakował gwar dziesiątków prowadzonych donośnym tonem rozmów.

— ...ta nowa psychohistoryk, Grant? Wczoraj wreszcie się przemogła i powiedziała mi, nad czym pracowała od tak dawna. Posłuchaj. Stara się udowodnić, że wędrówki Henryka IV po drugiej krucjacie były w rzeczywistości stanem chorobowym, fugą wynikłą z reakcji psychofizycznej na silny i długotrwały stres. Już miałem jej powiedzieć, co o tym myślę, ale ostatecznie...

— ...wyobraź sobie, według niego Łaźnie Stabijskie były faktycznie stajniami dla koni! Facet nigdy nie był w Pompejach. Nie potrafiłby odróżnić Osady Tajemnic od Pizzy Hut. Ale ma za to czelność uważać się za eksperta od papirusów...

— ...ta moja nowa asystentka? No, wiesz, ta z wielkimi balonami.

Wczoraj, rozumiesz, stała przy autoklawie i upuściła naczynie z...

Smithback wziął głęboki oddech i ruszył najkrótszą drogą w stronę stołu z przystawkami. Zapowiada się świetnie — pomyślał.

Przed głównym wejściem do Wielkiej Rotundy D'Agosta ujrzał kolejną grupę błyskających fleszami fotografów oraz następnego VIP-a, pedalsko przystojnego gogusia z uwieszonymi u ramion jasnowłosymi anorektyczkami.

Stał w miejscu, skąd miał dobry widok na bramki wykrywaczy metali, kolejnych gości i tłumy przechodzące przez jedyne wejście do Sali Niebiańskiej. Posadzka rotundy była mokra od deszczówki, liczba oddawanych do szatni parasoli zaś stale się zwiększała.

Nieopodal miała swoje stanowisko ochrona FBI. Coffey chciał zająć miejsce tuż pod samą sceną, skąd mógłby obserwować wydarzenia wieczornej gali. D'Agosta nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Agenci starali się nie rzucać w oczy, ale sieć kabli elektrycznych, telefonicznych i światłowodowych, wypełzająca niczym macki ośmiornicy z ich punktu dowodzenia, była równie trudna do przeoczenia jak studolarówka na ulicy murzyńskiego getta.

Zagrzmiało. Wierzchołki drzew wzdłuż promenady nad rzeką Hudson zakołysały się pod wpływem silnych podmuchów wiatru.

W krótkofalówce D'Agosty coś zasyczało.

— Poruczniku, mamy kolejną awarię przy bramce wykrywacza.

D'Agosta usłyszał w tle piskliwy głos.

— Chyba mnie pan poznaje.

— Weź ją na bok. Musimy odblokować ten zator. Nie możemy pozwolić, aby w kolejce do wejścia czekały takie tłumy. Jak nie przejdą,



po prostu odciągnij ich na bok. Niech nie tamują ruchu.

Gdy D'Agosta włożył krótkofalówkę do kabury, zjawił się Coffey wraz z szefem ochrony.

— Sytuacja? — rzucił oschle Coffey.

— Wszyscy na pozycjach — odparł D'Agosta, wyjmując cygaro i przyglądając się rozmokniętemu końcowi. — Mam na sali czterech tajników. Czterech mundurowych patroluje obwód wraz z pańskimi ludźmi. Pięciu dyryguje ruchem na zewnątrz, pięciu obsługuje wykrywacze metalu oraz wejście. Mam także mundurowych w korytarzu. Dwóch z nich będzie towarzyszyć mi na terenie wystawy, po uroczystym przecięciu wstęgi. Mam jednego człowieka w Sali Komputerów, jednego w pokoju ochrony...

Coffey zmrużył powieki.

— Mundurowi na wystawie? Tego nie było w planie.

— To nic formalnego. Nie będą rzucać się w oczy. Chodzi o to, aby tam byli, niech się trochę rozejrzą. Nie pozwolił nam pan przecież sprawdzić pomieszczeń wystawy, pamięta pan?

Coffey westchnął.

— Niech pan robi swoje, ale nie chcę, by na czele zwiedzających szła szpica pańskich ludzi. Mogą sobie być, ale niech nie blokują dojścia do kolejnych sal i nie rzucają się w oczy. W porządku?

D'Agosta pokiwał głową. Odwrócił się do Ippolito.

— A pan?

— Moi ludzie także są na pozycjach. Dokładnie tam, gdzie pan sobie życzył.

— Świetnie. Moja baza operacyjna na czas ceremonii znajdować się

będzie tu, w rotundzie. Później się ją przemieści. Na razie, Ippolito, chcę, aby pan i D'Agosta trzymali się z przodu. W pobliżu dyrektora i burmistrza. Znacie procedurę. D'Agosta, pan niech się nie wychyla. Żadnej bohaterzczyzny, niech pan nie spieprzy swojego ostatniego dnia pracy przy tej sprawie. Rozumiemy się?

Waters stał w chłodnym pomieszczeniu komputerowym, skąpanym w świetle neonówek, od ciężkiej strzelby bolało go ramię. To chyba najnudniejsze zadanie, jakie mu się przytrafiło. Spojrzał na jajogłowego, od jakiegoś czasu tak go w myślach nazywał, który stukał w klawisze komputera. Robił to od dobrych paru godzin. I pił dietetyczną colę.

Waters pokręcił głową. Może rano pierwsze co zrobi, to poprosi D'Agoste o zmianę przydziału. Zaczynał już dostawać świra.

Jajogłowy podrapał się po karku i przeciągnął się.

— Długi dzień — rzekł do Watersa.

— Taa — mruknął Waters.

— Już prawie skończyłem. Nie uwierzyłbyś, co potrafi ten program.

— Pewno tak — odparł Waters bez entuzjazmu. Spojrzał na zegarek.

Jeszcze trzy godziny do końca zmiany.

— Spójrz. — Jajogłowy wcisnął jakiś klawisz. Waters przybliżył się nieco do komputera. Wbił wzrok w ekran. Przelatywały po nim obłędne rzędy jakichś cyfr, zapewne program.

I nagle na ekranie pojawił się robal. Początkowo nie poruszał się. Wreszcie przeciągnął zielone odnóża i zaczął wędrować w poprzek ekranu. Po chwili na ekranie zjawił się kolejny robal. Oba owady dostrzegły siebie nawzajem i podeszły bliżej. A potem zaczęły kopulować.

Waters spojrział na jajogłowego.

— Co to jest? — spytał.

— Patrz — rzucił jajogłowy.

Niebawem narodziły się cztery owady i one również zaczęły kopulować. Wkrótce było ich pełno. Zajmowały cały ekran. Gdy to nastąpiło, zaczęły zjadać widoczne w tle litery i cyfry. Uporały się z tym w kilka minut, a potem jęły walczyć i zjadać jeden drugiego. Po kolejnych paru minutach pozostał tylko czarny ekran.

— Fajne, co? — spytał jajogłowy.

— Taa — burknął Waters. Przerwał. — A co robi ten program?

— On... ee... — jajogłowy lekko się zmieszał. — To tylko taki fajny programik. W zasadzie nie robi nic.

— Ile czasu zajęło ci napisanie go? — zapytał Waters.

— Dwa tygodnie — odrzekł z dumą jajogłowy, wciągając powietrze przez zęby. — Naturalnie pracowałem nad nim w wolnym czasie.

Jajogłowy wrócił do terminalu i znów zaczął stukać w klawisze. Waters rozluźnił się i oparł o ścianę przy drzwiach do Sali Komputerów. Słyszał dochodzące z góry dźwięki orkiestry, dudnienie perkusji, niską wibrację gitar basowych, zawodzenie saksofonów. Wydawało mu się, że słyszy szuranie i tupot tysięcy stóp na parkiecie. A on musiał tu tkwić ze świrem, jakby żywcem wyjętym z wariatkowa, który godzinami bębnił w klawiaturę komputera. Przełomowym wydarzeniem było dlań, gdy jajogłowy sięgał po kolejną puszkę dietetycznej coli.

Nagle usłyszał jakiś hałas dobiegający z pomieszczenia elektryki.

— Słyszałeś to? — zapytał.

— Nie — odparł komputerowiec.

Nastała kolejna długa cisza. I naraz znowu łubudu! Wyraźnie.

— Co to było, u licha? — rzucił Waters.

— Nie wiem — odrzekł jajogłowy. Przerwał swoją pracę i rozejrzał się wokoło.

— Może powinieneś to sprawdzić.

Waters przesunął dłonią po gładzi kolby swojej dwunastki i wlepił wzrok w drzwi do sąsiedniego pomieszczenia.

Pewnie to nic wielkiego, ostatnim razem, z D'Agosta, okazało się, że nic tam nie ma. Powinien wejść tam i sprawdzić. Naturalnie zawsze mógł wezwać posiłki z centrali ochrony. Znajdowała się niedaleko, na końcu korytarza. Powinien tam być jego kumpel, Garcia, czyż nie...?

Pot wystąpił mu na czoło. Instynktownie uniósł rękę, aby je wytrzeć. Mimo to nie zbliżył się ani o krok w stronę drzwi do pomieszczenia obok.

## *Rozdział czterdziesty trzeci*

Wchodząc do Wielkiej Rotundy, Margo ujrzała przed sobą istne pandemonium ludzi otrząsających z deszczu parasole, rozmawiających w mniejszych i większych grupach, ich gwar wzmagał jeszcze ogłuszający hałas napływający z holu. Skierowała Frocka ku aksamitnemu sznurowi rozpiętemu obok bramek wykrywaczy metali i stojącemu obok mundurowemu policjantowi. Z tyłu, za nim, Sala Niebiańska tonęła w powodzi żółtego światła. Z sufitu zwieszał się ogromny kandelabr rozsiewający dokoła tęczowe błyski.

Pokazali policjantowi identyfikatory, a ten posłusznie odpiął sznur z pachołka i przepuścił ich, uprzednio przejrzawszy zawartość torebki Margo. Gdy go mijala, gliniarz spojrzal na nią ze zdziwieniem. Dopiero gdy się sobie przyjrzała, zrozumiała dlaczego: wciąż miała na sobie dzinsy i sweter.

— Szybciej — ponaglił Frock. — Naprzód, do pulpitu. Pulpit i podium znajdowały się na drugim końcu holu, przy wejściu na wystawę. Ręcznie rzeźbione odrzwia zablokowano łańcuchem, a ponad nimi litery stylizowane na kości układały się w słowo: *PRZESĄDY*. Po obu stronach

wznosiły się drewniane stele przypominające wielkie słupy totemiczne lub kolumny w pogańskiej świątyni. Margo widziała stojących na podwyższeniu Wrighta, Cuthberta i burmistrza; rozmawiali i żartowali, podczas gdy dźwiękowiec sprawdzał mikrofony. Za nimi stał Ippolito w towarzystwie gromady organizatorów i pomocników, rozmawiając przez krótkofalówkę i gniewnie gestykulując w stronę kogoś, kto znajdował się poza zasięgiem jej wzroku. Hałas był ogłuszający.

— Przepraszam! — ryknął Frock. Ludzie, choć z pewnym wahaniem, zaczęli ustępować mu z drogi.

— Spójrz na tych wszystkich ludzi! — odkrzyknął do Margo. — Poziom feromonów w tym pomieszczeniu musi być astronomicznie wysoki. Bestia nie zdoła mu się oprzeć. Musimy ją powstrzymać, i to natychmiast. — Wskazał ręką w bok. — Zobacz, jest Gregory!

Przywołał Kawakitę, stojącego na skraju parkietu z kieliszkiem w dłoni. Asystent kustosza ruszył w ich stronę.

— Jest pan, doktorze Frock. Szukali pana. Lada moment rozpocznie się ceremonia.

Frock chwycił Kawakitę za rękę.

— Gregory! — krzyknął. — Musisz nam pomóc. Trzeba odwołać tę galę i natychmiast usunąć tych ludzi z muzeum!

— Co? — rzucił Kawakita. — To jakiś żart? — Spojrzał pytająco na Margo, a następnie na Frocka.

— Greg — rzekła Margo na tyle głośno, by pomimo potwornego hałasu zdołał ją usłyszeć — odkryliśmy, co zabija ludzi. To nie jest człowiek. To jakiś stwór, zwierzę, potwór. Nie przypomina niczego, z czym mieliśmy dotąd okazję się zetknąć. W rozpoznaniu go dopomógł

nam twój program ekstrapolacyjny. To coś zerowało na włóknach wypełniacza ze skrzyń Whittleseya. Ponieważ nie może się do nich dostać, korzysta w formie substytutu z hormonów ludzkiego podwzgórza.

Uważamy, że musi odżywiać się regularnie...

— Zaraz, zaraz! Powoli. Margo, o czym ty mówisz?

— Do licha, Gregory! — zagrmiał Frock. — Nie mamy teraz czasu na wyjaśnienia. Trzeba usunąć stąd tych ludzi. I to już!

Kawakita cofnął się o krok.

— Doktorze Frock, z całym szacunkiem...

Frock ścisnął jego rękę mocniej i powoli, z rozmysłem, powiedział:

— Posłuchaj, Gregory. Po naszym muzeum krąży przerażająca bestia.

To stworzenie musi i będzie zabijać. Zabije znowu. Tej nocy. Trzeba wyprowadzić stąd wszystkich ludzi.

Kawakita cofnął się jeszcze o krok i spojrzał w stronę podwyższenia.

— Przepraszam — rzekł, przekrzykując hałas. — Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale jeśli użyliście mojego ekstrapolatora dla jakiegoś niewybrednego żartu... — Uwolnił rękę z uścisku Frocka. — Naprawdę, doktorze, uważam, że powinien pan już znaleźć się na tej platformie. Oni wszyscy czekają na pana.

— Jedziemy tam — rzekł Frock. — Do podwyższenia. Wright może to zarządzić. Może rozkazać natychmiastową ewakuację wszystkich gości i personelu.

Nagle usłyszeli donośne fanfary i werble.

— Winstonie! — krzyknął Frock, wjeżdżając przed samo podium. — Winstonie, posłuchaj! Musimy natychmiast ewakuować stąd wszystkich!

Ostatnie słowa Frocka zawisły w powietrzu, gdy przebrzmiało echo

fanfar.

— Na terenie muzeum znajduje się niebezpieczna bestia! — wrzasnął Frock, gdy w sali zapadła głucha cisza.

Tłum zaczął szemrać. Ci, którzy stali najbliżej Frocka, zaczęli się cofać, wymieniając niepewne spojrzenia i ciche komentarze.

Wright łypnął na Frocka, podczas gdy Cuthbert szybko odłączył się od reszty grupy.

— Frock — wysyczał. — Co ty, u licha, wyprawiasz? — Zeskoczył z platformy i podszedł do nich. — Co z tobą, Frock? Odbiło ci? — wyszeptał zjadliwie.

Frock wyciągnął rękę w jego stronę.

— Ian, w muzeum grasuje szczególnie groźna bestia. Wiem, że w wielu kwestiach mamy odmienne zdanie, ale proszę, zaufaj mi. Powiedz Wrightowi, że trzeba usunąć stąd tych ludzi. Natychmiast.

Cuthbert spojrział na Frocka z przejęciem.

— Nie wiem, co ci chodzi po głowie — wysyczał Szkot — ani w co próbujesz pogrywać. Może chcesz w ten sposób, rzutem na taśmę, dopiąć swego, doprowadzając do fiaska ekspozycję i wystawić mnie na pośmiewisko. Wiedz jedno, jeśli spróbujesz zakłócić spokój gościom swoimi wyssanymi z palca teoriami, osobiście polecę panu Ippolito, aby usunął cię z terenu muzeum i dopilnuję, by twoja noga nigdy tu więcej nie powstała.

— Ian, błagam cię...

Cuthbert odwrócił się i wrócił na podwyższenie. Margo położyła dłoń na ramieniu Frocka.

— Może pan sobie darować — rzekła półgłosem. — Nie uwierzą nam.



Chciałabym, aby był tu George Moriarty. Z pewnością pomógłby nam. Przecież to jego wystawa, dziwię się, że go nie ma.

— Co możemy teraz zrobić? — spytał Frock, który aż dygotał z wściekłości.

Goście podjęli przerwane rozmowy, uznawszy najwyraźniej, że to, czego byli przed chwilą świadkami, to tylko drobny żart organizatorów.

— Chyba powinniśmy poszukać Pendergasta — powiedziała Margo. — Tylko on ma dość oleju w głowie i siły przebicia, aby coś z tym zrobić.

— On także nam nie uwierzy. — Frock był wyraźnie załamany.

— Może nie od razu — przyznała Margo, wyprowadzając wózek z uczniem. — Ale na pewno nas wysłucha. Musimy się pospieszyć.

Z tyłu, za nimi Cuthbert dał znak, by ponownie rozbrzmiały fanfary i werble. Po chwili podszedł do pulpitu, unosząc obie ręce w górę.

— Panie i panowie! — zawołał. — Mam zaszczyt przedstawić państwu dyrektora nowojorskiego Muzeum Historii Naturalnej, Winstona Wrighta!

Margo obejrzała się przez ramię. Wright stanął przy pulpicie, uśmiechając się i machając do tłumu.

— Witam państwa! — zawołał. — Witam moich przyjaciół, nowojorczyków i obywateli świata! Oto przed wami największa z wystaw w historii naszego i wszystkich innych muzeów tego świata!

Donośny głos Wrighta, wzmocniony przez mikrofony, rozbrzmiał gromkim echem w rozległych wnętrzach Sali Niebiańskiej. Burza oklasków, jaka nagrodziła tę przemowę, przepelniła cały hol aż po sklepienie.

— Powiadomimy ochronę — powiedziała Margo. — Oni muszą wiedzieć, gdzie jest Pendergast. W rotundzie są telefony.

Zaczęła toczyć wózek inwalidzki w stronę wejścia. Za jej plecami z głośników wciąż dobiegał głos Wrighta, mówiącego: — Ta wystawa mówi o tym, w co wierzymy, ukazuje najgłębiej skrywane lęki i najmroczniejszą ze stron ludzkiej natury...

## *Rozdział czterdziesty czwarty*

D'Agosta stał obok podium, obserwując Wrighta zwracającego się do zebranych. Po chwili sięgnął po krótkofalówkę i rzucił półgłosem:

— Bailey? Kiedy nastąpi przecięcie wstęgi, ty i McNitt zajmijcie pozycję na szpicy. Macie iść na samym przodzie grupy zwiedzających. Czy to rozumiałe? Wtopicie się w tłum na tyle, na ile to możliwe, ale nie

dajcie się zepchnąć do tyłu.

— Taa jest.

— Kiedy umysł ludzki ewoluował, by zrozumieć, jak działa wszechświat, pierwszym pytaniem, jakie sobie zadał, było: Czym jest życie? A następnym — czym jest śmierć? O życiu wiemy już sporo. Jednakże mimo całej naszej technologii niewiele dowiedzieliśmy się o śmierci. O tym, co następuje po niej...

Tłum zamilkł, nasłuchując.

— Zabezpieczyliśmy wystawę, byście to wy właśnie, nasi szanowni goście, mogli ujrzeć ją pierwsi. Zobaczycie tam wiele rzadkich i niezwykłych eksponatów, w większości po raz pierwszy prezentowanych szerszej publiczności. Zobaczycie rzeczy piękne i odrażające, najwyższe dobro i zło w najczystszej postaci, symbole ludzkiej walki o zgłębienie i zrozumienie tej najbardziej skomplikowanej spośród zagadek...

D'Agosta zastanawiał się, o co chodziło w tej kłótni ze starym kustoszem na wózku. Frock, nazywał się Frock, krzyczał coś, ale Cuthbert, głównodowodzący całej imprezy, radykalnie go spławił. Polityka muzeum w jeszcze gorszym wydaniu niż na komendzie policji.

— ...mamy szczerą nadzieję, że ta wystawa zapoczątkuje nową erę dla naszego muzeum, erę, w której innowacje technologiczne i renesans metod naukowych połączą swe siły dla odnowienia zainteresowania naszymi wystawami wśród rzesz...

D'Agosta zlustrował pomieszczenie, wypatrując rozstawionych wśród tłumu swoich ludzi. Wszyscy byli na swoich miejscach. Skinął głową do strażnika przy wejściu, nakazując mu zdjąć łańcuch zawieszony na ciężkich, drewnianych odrzwiach.

Gdy przemowa dobiegła końca, ogromna sala znów rozbrzmiała burzą oklasków. Cuthbert stanął przy pulpicie.

— Chciałbym podziękować wielu osobom...

D'Agosta spojrział na zegarek, zastanawiając się, gdzie podziewał się Pendergast. Gdyby był na sali, D'Agosta wiedziałby o tym. Pendergast raczej wyróżniał się w tłumie.

Cuthbert podał burmistrzowi wielkie, ozdobne nożyce. Ten ujął je za jedną rączkę, drugą natomiast przekazał Wrightowi, po czym obaj mężczyźni zeszli po stopniach podwyższenia i podeszli do szerokiej wstęgi przed drzwiami wiodącymi do sal wystawowych.

— Na co czekamy? — spytał burmistrz z rozbawieniem, wywołując burzę śmiechu. Gdy przecięli wstęgę, błysnęły dziesiątki fleszy, a strażnicy muzealni powoli otworzyli ciężkie wie-rzeje. Orkiestra zagrała *The Joint is Jumpin'!*

— Teraz — rzucił D' Agosta do mikrofonu krótkofalówki. — Zajmijcie pozycje.

Sala rozbrzmiała echem śmiechu i braw, podczas gdy D'Agosta ruszył naprzód, pod ścianę i przestąpiwszy próg, wszedł na teren ekspozycji.

— Czysto. — Tuż za nim pojawił się Ippolito, łypiąc spode łba na D'Agostę. Burmistrz i dyrektor stanęli ramię w ramię w wejściu, pozując do zdjęć. Następnie, uśmiechając się szeroko, weszli do pierwszej z sal wystawy.

W miarę jak D'Agosta oddalał się coraz bardziej od tłumu gości, ich gwar i śmiech cichły, niknęły w oddali. W salach wystawowych panował chłód, czuć było zapach kurzu, nowych dywanów i drażniący, słodkawy odór rozkładu.

Wright i Cuthbert oprowadzili burmistrza. D' Agosta dostrzegł tuż za nimi swoich dwóch ludzi, za którymi podążała reszta zwiedzających, żywo gestykułujących, dyskutujących i rozglądających się na wszystkie strony. W oczach D'Agosty zdawali się stanowić jedną potężną, nieprzepartą falę. Jedno wyjście. Cholera.

Przemówił do krótkofalówki.

— Walden, każ strażnikom, aby trochę przyhamowali przepływ gości. Robi się tu zbyt wielki ścisk.

— Tak jest, poruczniku.

— A to — rzekł Wright, wciąż trzymając burmistrza za ramię — jest bardzo rzadki stół ofiarny z Mezoameryki. Z przodu widzimy wizerunek Boga Słońca strzeżonego przez jaguary. Kapłani układali ofiarę na tym oto stole, wycinali jej bijące jeszcze serce i unosili ku słońcu. Krew spływała tymi rynienkami i zbierała się o tu, u dołu.

— Robi wrażenie — rzekł burmistrz. — Przydałby mi się taki stół w Albany.

Wright i Cuthbert Wybuchnęli śmiechem, którego echo potoczyło się w głąb komnat pełnych nieruchomych artefaktów i gablot wystawowych.

Coffey pełnił straż na stanowisku ochrony. Stał pewnie na szeroko rozstawionych nogach, z dłońmi opartymi o biodra i twarzą pozbawioną wyrazu. Zjawiła się już większość gości, a ci co nie przybyli, raczej już się nie pojawią. Lało jak z cebra, strugi wody spływały po chodniku. Patrząc na przestrzał przez Wielką Rotundę i wschodnie drzwi, Coffey widział wytworne wnętrze Sali Niebiańskiej. Było to przepiękne pomieszczenie, którego aksamitne, czarne sklepienie sześćdziesiąt stóp nad ziemią zdobiły migoczące gwiazdy. Wirujące galaktyki i mgławice połyskiwały delikatnie

wzdłuż ścian. Wright stał przy pulpicie, niebawem miało nastąpić przecięcie wstęgi.

— I jak sytuacja? — spytał jednego z agentów.

— Nic ciekawego — odparł tamten, zerkając na tablicę systemu zabezpieczeń. — Żadnych naruszeń obwodu ani alarmów. Spokojnie jak w grobowcu.

— I to mi się podoba — odrzekł Coffey.

Gdy znowu zjrzał do Sali Niebiańskiej, dwaj strażnicy otwierali właśnie ogromne odrzwia wiodące na teren wystawy. Przeoczył ceremonię przecięcia wstęgi. Tłum ruszył naprzód zwartą ławą, całe pięć tysięcy osób, a przynajmniej tak to wyglądało.

— Jak sądzisz, co może kombinować Pendergast? — spytał Coffey innego ze swoich agentów. Z jednej strony cieszył się, że choć na pewien czas pozbył się tego uciążliwego wrzodu na tyłku, ale na myśl, że Południowiec krążył teraz Bóg wie gdzie i po co, robiło mu się dziwnie nieswojo.

— Nie widziałem go — padła odpowiedź. — Mam sprawdzić na stanowisku ochrony?

— Nie — burknął Coffey. — Obejdziemy się bez niego. Tak będzie lepiej. I o wiele spokojniej.

Coś zasyczało w krótkofalówce D'Agosty.

— Tu Walden. Potrzebujemy pomocy. Strażnicy nie radzą sobie z tłumem. Ludzi jest po prostu za dużo.

— Gdzie Spenser? Powinien tu gdzieś być. Niech zablokuje wejście, ludzie mogą wychodzić, ale nie wpuszczajcie już więcej nikogo, weź paru strażników ochrony i zróbcie porządek z tą ciżbą. Niech się ludzie ustawiają

w kolejce i spokojnie czekają na wejście. Trzeba zapanować nad tłumem.

— Tak jest.

Salę ekspozycji zapełniły się w szybkim tempie. Upłynęło dwadzieścia minut, Wright i burmistrz znajdowali się teraz w samym sercu labiryntu sal wystawowych, w pobliżu zablokowanego tylnego wejścia. Z początku szli szybko głównymi przejściami, omijając te węższe, boczne. Obecnie Wright zatrzymał się przy jednej z gablot, tłumacząc coś burmistrzowi, i mijający ich ludzie wchodzili coraz dalej w głąb wystawy.

— Trzymajcie się z przodu — rzekł D'Agosta do Bailey'a i McNitta, dwóch swoich podkomendnych przydzielonych do ochrony gości ekspozycji.

Ruszył szybkim krokiem i zajrzał do dwóch bocznych nisz. Dziwna ta wystawa — pomyślał. Aż ciarki przechodzą. Jak gabinet grozy albo nawiedzony dom ze wszystkimi ich atrybutami. Choćby to przyćmione światło. Słabe, lecz nie na tyle, by nie można było w nim dostrzec wszystkich, nawet najokropniejszych szczegółów.

Choćby ta figurka mocy z Konga, z wylupiastymi oczami i torsem poprzebijanym gwoździami. Lub mumia w wolno stojącym sarkofagu, tuż obok, pokryta strużkami zakrzepłej krwi.

To już chyba drobna przesada — pomyślał D'Agosta.

Tłum jak rzeka wlewał się do kolejnych przejść, sal i nisz. D'Agosta sprawdził następną wnękę. Wszystko w porządku.

— Co u ciebie, Walden? — zapytał przez radio.

— Nie mogę znaleźć Spensera. Nigdzie go nie ma, a z uwagi na tłumy nie mogę opuścić posterunku, żeby go poszukać.

— Cholera. Dobra, zaraz wezwę Drogana i Franera, aby ci pomogli.

D'Agosta wywołał jednego z cywilnych wywiadowców obecnych wśród gości.

— Drogan, słyszysz mnie? Przerwa.

— Tak, poruczniku.

— Weź Franera i pomóżcie Waldenowi przy wejściu, bo sobie nie radzi. Migiem.

— Tak jest.

Rozejrzał się dokoła. Kolejne mumie, ale żadna z nich nie była zakrwawiona.

D'Agosta stanął jak wryty. Mumie nie krwawią.

Odwrócił się wolno i zaczął przeciskać się pomiędzy zwiedzającymi. To pewnie jakiś poroniony pomysł kuratora tej wystawy. Część ekspozycji.

Mimo to musiał się upewnić.

Tę, jak i inne gabloty, otaczała gromada ludzi. D'Agosta przecisnął się pomiędzy nimi i spojrzał na tablicę informacyjną: Typowy rodzaj pochówku Indian Anasazi z Jaskini Mumii, Kanion del Muerto, Arizona.

Strużki zaschniętej kiwi na głowie i torsie mumii wyglądały, jakby spłynęły z góry. Usiłując nie zwracać na siebie uwagi, porucznik zbliżył się na ile to było możliwe do gabloty i spojrzał w górę.

Gablota ponad głową mumii była otwarta, policjant dostrzegł w tle rury centralnego ogrzewania i przewody wentylacyjne. Nad krawędzią gabloty zwisała dłoń, widać było nadgarstek z zegarkiem oraz mankiet niebieskiej koszuli. Ze środkowego palca zwieszał się sopel zakrzepłej krwi.

D'Agosta wycofał się w kąt, rozejrzał wokoło i rzucił do głośnika krótkofalówki:

— D'Agosta wzywa centralę ochrony.



— Tu Garcia, słucham, poruczniku.

— Garcia, mam tutaj trupa. Trzeba natychmiast wyprowadzić gości na zewnątrz. Jeśli go zobaczą i wpadną w panikę, będziemy ugotowani.

— O Jezu — szepnął Garcia.

— Powiadom strażników i Waldena. Nikt więcej nie może wejść na teren ekspozycji. Czy to jasne? Chcę także, by natychmiast usunięto ludzi z Sali Niebiańskiej, na wypadek gdyby wpadli w popłoch. Wyprowadźcie wszystkich, ale nie róbcie zamieszania. A teraz daj mi Coffeya.

— Tak jest.

D'Agosta rozejrzał się, wypatrując Ippolita. Z krótkofalówki dobiegł cichy trzask.

— Tu Coffey. Co się tam, u diabła, dzieje?

— Mamy tu trupa. Leży na jednej z gablot. Tylko ja go zauważyłem, ale lada chwila ludzie mogą się zorientować. Trzeba ewakuować gości póki czas.

Zanim zdążył powiedzieć coś więcej, za plecami D'Agosty ktoś zawołał:

— Ta krew wygląda jak prawdziwa!

— Tam jest czyjaś ręka — dodał ktoś inny.

Dwie kobiety zaczęły oddalać się od gabloty, jednocześnie spoglądając ku górze.

— To ciało! — zawołała jedna z nich.

— Nie jest prawdziwe — odparła druga. — Jestem pewna, że to tylko taki bajer z okazji otwarcia wystawy.

D'Agosta, unosząc obie ręce w górę, ruszył w stronę gabloty.

— Proszę wszystkich o ciszę! — powiedział donośnym tonem. Zapadła

krótka, pełna napięcia i zgrozy chwila ciszy.

— Trup! — rozległ się czyjś krzyk.

Tłum zafalował, po czym nagle wszyscy znieruchomieli. Naraz ktoś wrzasnął na całe gardło:

— Morderstwo!

Tłum ruszył w dwóch kierunkach, kilka osób straciło równowagę i upadło. Potężna kobieta w koktajlowej sukni runęła w tył na D'Agoste, przewracając go na gablotę. Uderzenie wycisnęło mu powietrze z płuc, gdy naparły nań kolejne ciała. Policjant poczuł, że gablota zaczyna się przechylać.

— Zaczekajcie! — jęknął.

Z ciemności powyżej ześlizgnęło się coś wielkiego i spadło w zwartą ciżbę ludzi, przewracając kolejne osoby. D'Agosta kątem oka dostrzegł, że to, co spadło z dachu gabloty, było zakrwawione i musiało być kiedyś człowiekiem. Chyba miało jeszcze głowę.

To była kropla, która przepełniła czarę. W sali rozpętało się prawdziwe piekło. Pomieszczenie wypełniło się krzykami i wrzaskami, ludzie rzucili się do ucieczki, przepychając się, potykając i tratując bez pardonu tych, co upadli. D'Agosta poczuł, że gablota przechyla się groźnie. Wiedział, że lada moment runie. Nagle mumia przewróciła się na posadzkę. D'Agosta wylądował na niej z głuchym stęknieniem. Sięgając bocznej ściany gabloty, poczuł, jak szkło rozcina mu dłoń. Próbował wstać, lecz napierający tłum znów zwałił go z nóg.

W jego krótkofalówce coś zasyczało, a że wciąż miał ją w ręku, uniósł radio na wysokość twarzy.

— Tu Coffey. Co się tam dzieje, u diabła?

— Wybuchła panika. Coffey, musisz natychmiast ewakuować ludzi z Sali Niebiańskiej, w przeciwnym razie...

— Cholera! — ryknął, gdy kolejna fala ogarniętych paniką gości wytrąciła mu krótkofalówkę z ręki.

*Rozdział czterdziesty piąty*

Margo z rosnącą konsternacją patrzyła, jak Frock wrzeszczy do telefonu linii wewnętrznej wmontowanego w granitową ścianę Wielkiej Rotundy. Z głośników wciąż dobiegał głos Wrighta, więc Margo nie usłyszała ani słowa z tego, co mówił Frock. Wreszcie skończył i cisnął słuchawkę na widełki. Odwrócił się do Margo.

— To absurd. Wygląda na to, że Pendergast jest gdzieś w tunelach piwnicznych. A przynajmniej był tam. Zgłosił się mniej więcej godzinę temu. Odmawiają skontaktowania nas z nim bez autoryzacji.

— W piwnicach? Ale gdzie? — spytała Margo.

— Mówią, że w sekcji dwudziestej dziewiątej. Nie chcą powiedzieć, dlaczego tam jest lub był. Chyba sami nie wiedzą. Sekcja dwudziesta dziewiąta jest dość rozległa.

— Ruszamy? — spojrzał na Margo.

— Dokąd?

— Do piwnic, ma się rozumieć — odparł Frock.

— No, nie wiem. — W głosie Margo brzmiało powątpiewanie. — Może powinniśmy jednak postarać się o tę autoryzację i nawiązać z nim kontakt?

Frock poruszył się niecierpliwie na wózku.

— Nawet nie wiemy, kto mógłby nam jej udzielić. — Znów na nią spojrzał, zauważył malującą się na jej twarzy niepewność. — Moja droga, nie sądzę, byśmy musieli martwić się, że przyjdzie nam spotkać się z tą istotą — odparł. — O ile się nie mylę, zostanie przywabiona właśnie tu, gdzie jest w tej chwili największe skupisko ludzi. Naszym obowiązkiem jest uczynić wszystko, co możliwe, aby zapobiec katastrofie, przyjęliśmy

na siebie tę odpowiedzialność z chwilą, gdy dokonaliśmy naszego odkrycia.

Margo wciąż się wahała. Frockowi łatwo było mówić. Nie był na tej wystawie. Nie słyszał tego przerażającego odgłosu skradających się stóp. Nie biegł na oślep pośród dławiącej czerni...

Wzięła głęboki oddech.

— Naturalnie, ma pan rację — odparła. — Ruszajmy.

Ponieważ sekcja 29 znajdowała się wewnątrz sektora drugiego, Margo i Frock po drodze do właściwej windy musieli dwukrotnie okazać służbowe identyfikatory. Najwyraźniej godzina policyjna została na ten wieczór zawieszona, strażnicy i policja zwracali większą uwagę na podejrzane osoby lub te, które nie posiadały identyfikatorów, niż na kręcących się po gmachu pracowników muzeum.

— Pendergast! — zawołał Frock, gdy Margo wprowadziła jego wózek z kabiny windy do mrocznego piwnicznego korytarza. — Tu doktor Frock! Słyszysz mnie?

Echo jego głosu ucichło po chwili.

Margo niewiele wiedziała o historii sekcji 29. Gdy w pobliżu mieściła się zasilająca cały gmach elektrownia, w miejscu tym przechodziły przewody centralnego ogrzewania, tunele zaopatrzeniowe, tu także mieściły się podziemne pomieszczenia dla robotników. Gdy w latach dwudziestych muzeum przyłączono do innej, nowocześniejszej siłowni, stare urządzenia rozmontowano, pozostawiając istny labirynt korytarzy i nisz pełniących dziś rolę składzików.

Margo pchała wózek z doktorem w głąb nisko sklepionych korytarzy. Co pewien czas Frock walił pięścią w mijane drzwi i wykrzykiwał

nazwisko Pendergasta. Za każdym razem bez rezultatu.

— Nic z tego — mruknął Frock, gdy Margo przystanęła, aby przez chwilę odpocząć. Uczony miał siwe włosy w nieładzie, a jego smoking był okropnie pognieciony.

Margo nerwowo rozejrzała się dokoła. Wiedziała mniej więcej, gdzie się znajdowali, gdzieś tam, na końcu labiryntu tuneli rozciągały się ogromne, milczące przestworza starej elektrowni, mroczny podziemny panteon, w którym dziś składowano kości waleni. Pomimo zapewnień uczonego co do znajomości wzorca zachowań bestii Margo czuła się nieswojo.

— To może potrwać wiele godzin — rzekł Frock. — A kto wie, czy on wciąż jeszcze tu jest. Może w ogóle tu nie schodził. — Westchnął głęboko. — Pendergast był naszą ostatnią nadzieją.

— Może hałas i zamieszanie spłoszą tę istotę, sprawią, że będzie się trzymać z dala od sali bankietowej — rzekła Margo, choć bez większego przekonania.

Frock ukrył twarz w dłoniach.

— Wątpię. Ona kieruje się węchem. Może i jest sprytna oraz inteligentna, ale jak seryjny morderca, gdy wzbiera w nim żądza krwi, nie jest w stanie nad sobą zapanować.

Frock wyprostował się, jego oczy wypełniły dziwne błyski. Znow się ożywił.

— Pendergast! — zawołał raz jeszcze. — Gdzie jesteś?

Waters stał nasłuchując, jego ciało zeszywniało. Czuł bicie serca i miał wrażenie, że nie jest w stanie dać płucom dostatecznie dużo tlenu.

Bywał już w niebezpiecznych sytuacjach, strzelano do niego,

atakowano nożem, raz nawet próbowano oblać go kwasem. Za każdym razem udawało mu się zachować spokój, niemal beznamiętne opanowanie i zimną krew. A teraz wystarczy, że coś gdzieś stuknie i wpadam w panikę. Rozluźnił kołnierzyk. Ależ tu duszno. Zmusił się, by oddychać powoli i głęboko. Skontaktuję się z Garcia. Wspólnie to sprawdzimy. Ale rzecz jasna i tak nic tam nie będzie.

Wtem zwrócił uwagę, że odgłosy stóp, dochodzące z góry, zmieniły rytm. Zamiast szurania i stukania dochodził go teraz donośny łoskot, jakby setek uciekających stóp. Wydawało mu się, że usłyszał również słaby krzyk. Poczł narastającą zgrozę. W pokoju elektryki znów coś stuknęło.

Jezus Maria, coś się dzieje. To poważna sprawa. Sięgnął po krótkofalówkę.

— Garcia? Słyszysz mnie? Potrzebuję wsparcia. Zgłaszam podejrzone odgłosy w pomieszczeniu elektryki i chciałbym to sprawdzić.

Waters przełknął ślinę. Garcia nie odpowiadał na zwykłej częstotliwości. Gdy wsunął krótkofalówkę do kabury, zauważył, że jajogłowy wstał i kierował się do pokoju obok.

— Co robisz? — spytał Waters.

— Chcę sprawdzić, co to za hałas — rzekł jajogłowy, otwierając drzwi. — Wydaje mi się, że znów szwankuje klima. — Sięgnął po omacku, poszukując włącznika światła.

— Zaczekaj... — wykrztusił Waters. — Nie powinieneś .. Z krótkofalówki Watersa dobiegły szумы.

— Mamy tu prawdziwy popłoch! Ludzie wpadli w panikę! — Znów szумы .

— Wszystkie jednostki przygotować się do awaryjnej procedury

ewakuacyjnej! — Znowu szumy.

— Nie możemy opanować tłumu, potrzebujemy wsparcia, i to już...  
Natychmiast...

Jezu. Waters sięgnął po krótkofalówkę, wcisnął guzik. Wszystkie linie były zajęte. Na górze działo się coś strasznego. Słyszał wyraźnie te przeraźliwe odgłosy Cholera.

Waters uniósł wzrok. Jajogłowy zniknął, drzwi do pokoju elektryki były otwarte, w środku jednak wciąż panowały egipskie ciemności. Dlaczego ten gnojek nie zapalił światła? Nie odrywając wzroku od otwartych drzwi, Waters zdjął z ramienia strzelbę, wprowadził pocisk do komory i ruszył naprzód.

Ostrożnie stanął tuż przy wejściu i zajrzał do środka. Ciemno.

— Ej, ty — rzucił. — Jesteś tam?

Gdy wszedł do środka, nagle poczuł w ustach dziwną suchość.

Coś głośno stuknęło z lewej strony; Waters instynktownie opadł na kolano i oddał trzy strzały, jeden po drugim, którym towarzyszył oślepiający błysk i rozdzierający huk.

Buchnęły iskry, w górę strzelił jęzor płomieni, przez chwilę rozświetlając pokój pomarańczowym blaskiem. Jajogłowy klęczał, wbijając wzrok w Watersa.

— Nie strzelaj! — rzekł łamiącym się głosem. — Proszę, nie strzelaj już więcej.

Waters wstał, choć trzęsły mu się nogi, a w uszach dźwięczało.

— Usłyszałem jakiś hałas! — wrzasnął. — Czemuś nie odpowiedział, ty głupi gnoju?

— To klimatyzator — odparł jajogłowy, po twarzy którego spływały



strużki łez. — Znow siadła pompa klimatyzacyjna, tak jak poprzednio.

Waters cofnął się, szukając po omacku włącznika światła. Chmura dymu prochowego unosiła się w powietrzu niczym niebieska mgła.

W sporych rozmiarów skrzynce wiszącej na przeciwległej ścianie ziały trzy wielkie, dymiące, strzępiaste dziury.

Waters opuścił głowę i oparł się plecami o ścianę.

Rozległ się głośny trzask i zaraz potem po zniszczonej skrzynce przemknął łuk elektryczny. Znow buchnął snop iskier. W powietrzu rozeszła się kwaśna woń palonej instalacji. Światła w sali komputerów zamigotały, przygasły i ponownie się rozjarzyły. Waters usłyszał uruchamiane kolejne alarmy.

— Co się dzieje? — zawołał. Światła znowu zaczęły gasnąć.

— Zniszczyłeś główną skrzynkę rozdzielczą — krzyknął jajogłowy, podnosząc się i wybiegając z powrotem do sali komputerów.

— O, cholera — jęknął Waters. Światła zgasły zupełnie.



## *Rozdział czterdziesty szósty*

Coffey znów wrzasnął do krótkofalówki.

— Zgłoś się, D'Agosta! — Odczekał chwilę. — Cholera! Przełączył na kanał centrali ochrony.

— Garcia, co jest grane?

— Nie wiem, sir — odrzekł nerwowo Garcia. — Porucznik D'Agosta mówił coś o jakimś trupie w... — Przerwał. — Sir, otrzymałem doniesienie o wybuchu paniki na terenie wystawy. Strażnicy są...

Coffey nie pozwolił mu skończyć, przełączał nerwowo kanały, nasłuchując.

— Goście wpadli w popłoch! — dał się słyszeć czyjś głos. Agent ponownie przełączył się na kanał centrali ochrony.

— Garcia, przekaż innym. Natychmiast. Wszystkie jednostki przygotować się do wdrożenia awaryjnych procedur ewakuacyjnych. — Odwrócił się, by spojrzeć przez Wielką Rotundę i wschodnie wejście do Sali Niebiańskiej.

Tłum jakby zafalował, gwar w tle ucichł. Poprzez szumy z radia Coffey

słyszał teraz wyraźnie stłumione krzyki i grzmiący odgłos biegnących stóp. Ruch w kierunku wejścia na wystawę ustał. Nagle tłum gwałtownie się cofnął, jakby pod naporem silnej przeciwnej fali. Dały się słyszeć gniewne okrzyki i wrzaski przepełnione zdziwieniem. Coffey wychwycił także czyjś płacz. Tłum ponownie znieruchomiał.

Coffey rozpiął marynarkę i zwrócił się do agentów znajdujących się po drugiej stronie sali. Procedura awaryjna kontroli tłumy. Do dzieła!

Wtem tłum znów zaczął się cofać, od strony otwartych drzwi Sali Niebiańskiej dobiegały donośne krzyki i przeraźliwe wrzaski.

Orkiestra zgubiła rytm, po czym ucichła zupełnie. W jednej chwili wszyscy rzucili się do ucieczki, biegnąc ku wyjściu do Wielkiej Rotundy.

— Ruszaj, sukinsynu! — warknął Coffey, popychając w plecy jednego ze swych ludzi ręką, w której wciąż trzymał krótkofalówkę.

— D'Agosta, słyszysz mnie?

Gdy do sali wdarły się tłumy spanikowanych gości, agenci, którzy wyszli im naprzeciw, nie byli przygotowani na tak gwałtownie prącą żywą falę i zostali zmuszeni do odwrotu.

Uwalniając się ze skotłowanej masy sunących jak burza ciał, Coffey wycofał się na bezpieczną odległość, dysząc i klnąc na czym świat stoi.

— Oni są jak fala przyboju! — wrzasnął jeden z jego ludzi. — Nie zdołamy nad nimi zapanować.

Nagle przygasły światła. W krótkofalówce Coffeya coś zatrzeszczało.

— Tu Garcia. Sir, wszystkie światła alarmowe na konsoli rozjarzyły się jak lampki na choince. Włączyły się alarmy sygnalizujące przerwanie obwodu.

Coffey znów postąpił naprzód, usiłując nie dać się ponieść sunącemu w

przeciwnym kierunku tłumowi. Nie widział już innych agentów. Światła po raz drugi zamigotały, a zaraz potem od strony sali dobiegł cichy łoskot. Coffey uniósł wzrok i ujrzał, że z otworu w suficie zaczęła osuwać się gruba płyta stalowych drzwi zabezpieczających.

— Garcia! — krzyknął Coffey do krótkofalówki. — Wschodnie drzwi zamykają się! Wyłącz je! Podnieś je, na miłość boską!

— Sir, urządzenia kontrolne pokazują, że drzwi są nadal otwarte. Jednakże coś jest tu nie tak. Coś się dzieje. Wszystkie systemy są...

— Nie obchodzi mnie, co mówią urządzenia kontrolne. Drzwi się zamykają! — Niepohamowana ludzka fala obróciła go jak lalkę.

Wrzaski nie ucichły ani na chwilę, brzmiały dziwnie, jak przeciągłe zawrozczenie banshee, którego dźwięk wywołuje na plecach lodowate ciarki. Coffey nigdy jeszcze nie widział czegoś podobnego. Mrugające lampki alarmów, ludzie tratujący nawzajem jeden drugiego, szkliste oczy przepelnione paniką. Wykrywacze metalu zostały poprzewracane, urządzenia rentgenowskie bezlitośnie stratowano, gdy ludzie we frakach i sukniach balowych przebiegli po nich, by wypaść na skąpany deszczem plac przed muzeum. Aby tego dokonać, nie wahali się przed niczym, szarpiąc i rozpychając się nawzajem, pełzli po tych pechowcach, którzy stracili równowagę i upadli, a potem oni sami także potykali się i padali na czerwonym kobiercu, wilgotnych schodach i mokrym od deszczu chodniku Coffey dostrzegł błyski fleszy na stopniach przed muzeum, najpierw kilka, potem coraz więcej.

— Garcia! — wrzasnął do krótkofalówki. — Połącz się z glinami na zewnątrz. Niech przywrócą porządek i usuną sprzed wejścia reporterów. I podnieś w końcu te drzwi, do cholery!

— Robimy, co możemy, sir, ale systemy siadły. Tracimy moc. Drzwi zabezpieczające zamykają się niezależnie od głównego zasilania i uruchomienie systemów awaryjnych nie spowoduje ich automatycznego podniesienia! Włączyły się wszystkie alarmy...

Jakiś mężczyzna omal nie przewrócił Coffeya na podłogę i w tej samej chwili Gaicia krzyknął.

— Sir, awaria całego systemu! Wszystko siadło!

— A gdzie są, kurwa, systemy awaryjne? — Coffey cofnął się aż pod ścianę. Nic z tego, nie przedostanie się do środka, nie miał szans przebić się pod prąd tej spanikowanej tłuszczy. Drzwi były już na wpół opuszczone.

— Daj mi technika! Niech mi poda kod ręcznego obejścia! Światła zamigotały po raz trzeci i zgasły, pograżając całą

Rotundę w ciemnościach. Pośród głośnych krzyków wciąż słyhać było metaliczny łoskot opuszczanych drzwi.

Pendergast przesunął dłonią po szorstkim, kamiennym murze ślepego zaułka, w kilku miejscach postukał w ścianę kłykciami. Tu i ówdzie tynk był spękany i odłaził płatami, żarówka wisząca pod sufitem nie działała

Otworzywszy torbę, wyjął z niej żółty przedmiot, kask górniczy, nałożył go delikatnie i zapalił lampkę. Przekrzywiając głowę, oświetlił silnym snopem światła mur przed sobą. Następnie wyjął zrolowane plany, rozłożył i przyjrzał się im przy świetle. Potem powoli zaczął się cofać, odliczając kroki. Wyjął z kieszeni scyzoryk, wbił ostrze w tynk i lekko przekręcił. Ze ściany odpadł płat tynku wielkości talerza obiadowego, ukazując słaby zarys starego wejścia.

Pendergast zapisał coś w notesie, wyszedł ze ślepego zaułka i ruszył

wzdłuż korytarza, licząc pod nosem. Przystanął naprzeciw popękanego splachcia tynku i powtórzywszy czynność z użyciem scyzoryka, oderwał go od ściany. Buchnęły kłęby białego pyłu. W świetle lampy Pendergast ujrzał nisko osadzoną w ścianie starą, drewnianą wstawkę. Dawne przejście. Przyjrzał się mu z uwagą. Panel wydawał się mocny. Kopnął w niego z całej siły; ze zgrzytem otworzył się. Wąski tunel roboczy wiódł ukośnie w dół, zaglądając do środka, można było ujrzeć sufit znajdujący się niżej sutereny. Piętro niżej niczym atramentowa wstęga wiła się wąska stróżka wody.

Pendergast wstawił panel na poprzednie miejsce, zaznaczył kolejne miejsce na planie i pomaszerował dalej.

— Pendergast! — dobiegł go słaby krzyk. — Tu doktor Frock. Słyszysz mnie?

Pendergast przystanął, jego brwi połączyły się w jedną grubą kreskę. Zdziwił się. Już miał odpowiedzieć, gdy nagle zamarł w bezruchu. W powietrzu czuć było dziwną woń. Postawiwszy otwartą torbę na podłodze, agent dał nura do składziku, zamknął za sobą drzwi i unosząc dłoń, zgasił lampkę.

W drzwiach znajdowało się nieduże, brudne, wzmocnione siatką, a jednak pęknięte okienko.

Sięgając do kieszeni, wyjął chusteczkę, splunął na nią, przetarł szybkę i wyjrzał na zewnątrz

W jego polu widzenia pojawiło się nagle coś wielkiego i ciemnego. Pendergast usłyszał głośnie sapanie przywodzące na myśl oddech konia wyścigowego po długim, wyczerpującym biegu. Woń przybrała na sile. W słabym świetle Pendergast ujrzał umięśniony kłęb, pokryty szorstką,

czarną szczecina.

Wykonując powolne ruchy i oddychając przez nos, Pendergast sięgnął za pazuchę i wyjął swoją czterdziestkę piątkę. W mroku powiódł palcem po bębenu, sprawdzając, czy komory były załadowane. Następnie ujmując broń podwójnym chwytem Weavera i kierując ją w stronę drzwi, powoli zaczął się cofać. Gdy oddalił się od okna, ciemny kształt znikł mu z oczu. Mimo to agent wiedział, że stworzenie nadal tam jest.

Usłyszał lekkie uderzenie, a zaraz potem coś zaskrobało do drzwi. Pendergast mocniej zacisnął dłonie na kolbie rewolweru i ujrzał, a może tylko mu się wydawało, że klamka zaczyna się obracać. Mimo zasuwę stare, rozklekotane drzwi nie mogły zatrzymać tego, co czaiło się za nimi. Znow rozległo się głucho uderzenie, po czym zapadła cisza.

Pendergast błyskawicznie wyjrzał przez szybkę. Nie dostrzegł niczego. W jednej ręce trzymał skierowany ku górze rewolwer, drugą dłoń oparł o drzwi. W przedłużającej się ciszy odliczył do pięciu. To uczyniwszy, szybko odsunął zasuwę i otworzył drzwi, wypadając na korytarz i natychmiast dając susa za załom muru. Na drugim końcu korytarza ciemny kształt przystanął przy kolejnych drzwiach. Nawet w słabym świetle ruchy czworonoga wydawały się pewne i szybkie. Pendergast, choć z natury racjonalny, wybuchnął śmiechem pełnym niedowierzania, widząc, jak istota sięga jedną łapą do klamki. Światła w korytarzu przygasły i znow się rozpały. Pendergast wolno opadł na jedno kolano, przyjmując klasyczną pozycję strzelecką, i starannie wymierzył. Światła przygasły powtórnie. Agent zobaczył, jak stworzenie przysiada na tylnych łapach i podnosi się, a potem odwraca w jego stronę. Wymierzył w bok łba istoty i powoli wypuścił powietrze.



Następnie równie wolno ściągnął spust.

Błysnęło, rozległ się huk wystrzału, Pendergast rozluźnił ręce, aby zminimalizować „kopnięcie” broni. Przez ułamek sekundy widział białą smugę mknącą ku górze, wzdłuż boku czerepu stwora. A w chwilę potem istoty już nie było, znikła za załomem korytarza, rozplynęła się jak pustynny miraż.

Pendergast wiedział, co się stało. Widział już kiedyś podobną białą smugę podczas polowania na niedźwiedzia: kula zrykoszetowała od czaszki zwierzęcia, zrywając pas skóry i tkanek i odsłaniając tkwiącą pod nimi kość. Idealnie mierzony strzał, lecz kula .45 o stalowym płaszczu i czucie ze stopu chromu odbiła się od czaszki stwora jak ziarnko grochu. Pendergast ciężko pochylił się do przodu, dłoń, w której trzymał rewolwer nieomal sięgnęła posadzki i w tej samej chwili światła zamigotały po raz trzeci, aż w końcu zgasły zupełnie.

## *Rozdział czterdziesty siódmy*

Ze swego miejsca przy stole z przystawkami Smithback widział wyraźnie stojącego przy mikrofonie Wrighta; grzmiący głos dyrektora dobiegał z wszechobecnych głośników. Smithback nie zawracał sobie głowy słuchaniem jego, był święcie przekonany, że Rickman i tak przekaże mu potem kopię przemówienia. Dyrektor skończył wreszcie, a tłum zebranych rażno wkroczył do sal wystawowych. Od tego czasu

upłynęło równo pół godziny. Smithback jednak nie ruszył się ze swego miejsca, wydawał się jakby nieobecny. Znów spojrzał na stół, zastanawiając się, czy zjeść tłustą krewetkę czy może małą tartinkę z kawiozem. Wybrał to drugie, na swój talerzyk położył pięć tartinek i zaczął pałaszować. Kawior, jak zauważył, był szary i niesłony, prawdziwa bielega, nie te tanie podróbki, które serwowano na wielu rautach, które miał okazję uświetnić swą obecnością.

W końcu zdecydował się także na krewetki, w sumie dwie, i trzy krakersy z wędzonym szkockim wąłuszem, kaparami i cytrynką oraz kilka cienkich jak papier plastrów czerwonej wołowiny kobe, nie substytutu na steki, lecz prawdziwego rarytasu, lepszego niż jakiegokolwiek sushi.

Powiódł wzrokiem po mnogościach smakołyków wystawionych na z górą pięćdziesięciu stołach. Nigdy dotąd nie widział czegoś podobnego i nie zamierzał przepuścić takiej okazji. Bądź co bądź to darmowy poczęstunek.

Nagle orkiestra zgubiła rytm i niemal natychmiast ktoś silnie szturchnął go łokciem w żebra.

— Hej! — jęknął Smithback, unosząc wzrok, a w następnej chwili otoczyła go masa owładniętych paniką, przepychających się i przeraźliwie krzyczących ludzi. Został pchnięty na stół bankietowy, z trudem zdołał utrzymać równowagę, zaraz jednak poślizgnął się i upadł, po czym wturlał się pod stół. Przykucnął tam, obserwując przebiegające obok nogi setek ludzi. Słysząc było przeraźliwe wrzaski i upiorne odgłosy ciał wpadających z impetem jedno na drugie.

Dobiegły go urywki zdań.

— ... trup! ... to morderstwo!

Czyżby zabójca uderzył ponownie pośród tysięcy gości? Nie, to przecież niemożliwe.

Czarny damski pantofel o piekielnie wysokim obcasie wpadł pod stół i zatrzymał się tuż przed jego nosem. Odtrącił go zde gustowany, a zauważywszy, że wciąż trzymał w dłoni krewetkę, czym prędzej ją spałaszował. Cokolwiek się działo, działo się bardzo szybko. To zdumiewające, w jakim tempie tłumem może owładnąć panika.

Stół zakołysał się i lekko przesunął, jedna z tac z brzękiem runęła na posadzkę. Krakery i tartinki rozsypały się wokoło. Smithback zdjął kilka, które wylądowały mu na żabocie i zjadł pospiesznie. Kilkanaście cali od jego twarzy dziesiątki stóp przemykało w panice, rozgniatając na posadzce rozsypane horsd'oeuvres. Kolejna taca runęła na ziemię, rozbryzgując dokoła szarą mgiełkę kawioru.

Światła przygasły. Smithback włożył do ust kawałek camem-berta i nagle uświadomił sobie, że zajmuje się jedzeniem, podczas gdy tuż obok trwa być może najważniejsze z wydarzeń jego życia. Sięgnął do kieszeni po dyktafon, podczas gdy światła przygasły i znowu się rozjarzyły.

Smithback mówił najszybciej, jak tylko potrafił, ustami niemal dotykając mikrofonu, w nadziei, że jego głos przebije się przez otaczający go ogłuszający rwetes i wrzaski. To była jego szansa. Jedna na milion.

Do diabła z Rickman. Wszyscy będą chcieli poznać tę historię. Miał nadzieję, że jeśli na bankiecie byli jeszcze jacyś inni dziennikarze, to właśnie wzięli nogi za pas.

Światła ponownie zamigotały.

Sto tysięcy zaliczki, ani grosza mniej. Był na miejscu, znał tę historię od początku. Nikt inny nie mógł wiedzieć więcej od niego.

Światła zamrugały po raz trzeci, po czym zgasły zupełnie.

— Kurwa mać! — ryknął Smithback. — Niech ktoś zapali światło!

Margo i Frock pokonali kolejny zakręt i zatrzymali się. Uczony znów zaczął nawoływać Pendergasta. W echu jego głosu pobrzmiwał smutek i przygnębienie.

— To coraz bardziej traci sens — mruknął Frock w przyływie rozdrażnienia. — W tej sekcji jest kilka większych magazynów. Może wszedł do któregoś z nich i nie może nas usłyszeć. Zajrzyjmy do niektórych z nich. To wszystko, co nam pozostało. — Chrząknął i sięgnął do kieszeni marynarki.

— Nie wychodź bez niego z domu — uśmiechnął się, wskazując specklucz, który posiadali wszyscy kustosze.

Margo otworzyła pierwsze drzwi i zajrzała do ciemnego pomieszczenia.

— Panie Pendergast? — zawołała. Z mroku zaczęły wyłaniać się metalowe półki pełne ogromnych kości. Czerep dinozaura wielkości volkswagena garbusa stał na drewnianych sankach tuż obok drzwi, wciąż na wpół zastygły w bryle skamieniałej materii; czarne zębiska połyskiwały matowo.

— Następne! — rzucił Frock. Następny magazyn także był pusty.

— Jeszcze jeden — rzekł Frock. — Ten po drugiej stronie korytarza.

Margo przystanęła przed wskazanymi drzwiami oznaczonymi napisem PLEJSTOCEN — 12B, dostrzegając kątem oka drzwi na klatkę schodową, mieszczące się na drugim końcu korytarza. Już miała je otworzyć, gdy po raz drugi zamigotały światła.

— To... — zaczęła.

Nagle w wąskim przejściu dał się słyszeć głośny huk. Margo uniosła

wzrok, serce załomotało jej w piersi. Usiłowała zlokalizować źródło hałasu. Zdawał się dochodzić zza załomu korytarza, dokąd, jak na razie, nie dotarli.

Wtedy zgasły światła.

— Poczekajmy chwilę — odezwał się Frock. — Zaraz powinno się włączyć oświetlenie awaryjne.

Ciszę, jaka wtedy zapadła, mąciły tylko ciche odgłosy samego budynku. Sekundy rozciągnęły się w minutę, potem w dwie.

Naraz Margo wychwyciła dziwny, koźli odór, jakby gnijącego mięsa lub zjełczałego tłuszczu. Pociągnęła nosem, czując ogarniającą rozpacz i przypomniała sobie, gdzie wcześniej spotkała się z tym fetorem, w mrocznych salach wystawy Przesady.

— Czy czuje pan... ? — wyszeptała.

— Tak — syknął Frock. — Wejź do środka i zamknij drzwi na klucz.

Z przyspieszonym oddechem Margo namacała framugę drzwi. Woń przybrała na sile. Margo rzuciła cicho.

— Doktorze Frock, czy mógłby pan tu podjechać, kierując się moim głosem?

— Nie ma na to czasu — odpowiedział uczony. — Proszę, nie myśl o mnie, tylko wejź do środka.

— Nie — zaproponowała Margo. — Proszę wolno kierować się w moją stronę.

Usłyszała zgrzyt wózka. Smród dławiał w gardle, przywodził na myśl gnilny odór moczarów, zmieszany ze słodko-mdłym fetorem zepsutego mięsa. Margo usłyszała wilgotne mlaśnięcie.

— Jestem tutaj — wyszeptała do Frocka. — Proszę się pospieszyć.

Ciemność zdawała się napierać na nich ze wszystkich stron, dławić, zapierać dech. Margo przywarła plecami do ściany, nie odrywając dłoni od drzwi. Z trudem tłumiała w sobie paniczną chęć ucieczki.

Pośród nieprzeniknionej czerni rozległ się zgrzyt wózka inwalidzkiego, jego ostra krawędź uderzyła ją lekko w nogę. Margo sprawnie i szybko wtoczyła wózek z Frokiem do magazynu. Odwróciła się na pięcie, zatrzasnęła drzwi, przekręciła zasuwę i osunęła się na podłogę, szlochając bezgłośnie. Całym jej ciałem wstrząsały gwałtowne spazmy. Ciemne pomieszczenie wypełniała nieprzenikniona cisza.

Zaraz jednak rozległo się drapanie do drzwi, zrazu delikatne, potem głośniejsze i coraz bardziej natarczywe. Margo cofnęła się, uderzając ramieniem o poręcz wózka. W ciemności Frock odnalazł jej dłoń i delikatnie ujął w swoją.

## *Rozdział czterdziesty ósmy*

D'Agosta usiadł wśród potłuczonego szkła, sięgnął po krótkofalówkę i obserwował ucieczkę ostatnich gości, ich krzyki i wrzaski cichły powoli.

— Poruczniku? — Bailey, jeden z jego ludzi, podniósł się spod innej, zniszczonej gabloty. Sala została zdemolowana, po podłodze wały się rozsypane i pogruchotane eksponaty, wszędzie leżały odłamki szkła, buty, torebki, fragmenty odzieży. Galerię opuścili wszyscy z wyjątkiem D'Agosty, Baileya i martwego mężczyzny. D'Agosta rzucił okiem na bezgłowe ciało, dostrzegając ziejące rany w klatce piersiowej, zeszywniałe od krwi ubranie i wypływające z otworu w ciele nabrzmiące wnętrzności. Człowiek ten nie żył już od jakiegoś czasu. Policjant odwrócił wzrok, po czym raz jeszcze przyjrzał się zwłokom. Miały na sobie policyjny mundur.

— Bailey! — zawołał. — Mamy tu trupa jednego z naszych! Kto to może być?

Bailey podszedł bliżej, w słabym świetle jego twarz wyglądała bardzo blado.

— Trudno powiedzieć. Sądzę, że to Fred Beauregard, on nosił taki sygnet. To stary pierścień Akademii.

— Cholera. — D'Agosta zagwizdał pod nosem. Nachylił się i spojrzał na numer odznaki. Odczytał na głos.

Bailey skinął głową.



— Tak jest, panie poruczniku. To Beauregard.

— Chryste — D'Agosta wyprostował się. — Czy nie miał mieć czterdziestu ośmiu godzin wolnego po służbie?

— Zgadza się. Ostatnią służbę miał w środę po południu.

— Zatem jest tu od... — D'Agosta drgnął. Skrzywił się. — Ten pieprzony Coffey zabronił nam przeszukania terenu wystawy. Rozerwę sukinsyna na strzępy.

Bailey pomógł mu wstać.

— Jest pan ranny.

— Opatrzę to później — rzucił oschle D'Agosta. — Gdzie McNitt?

— Nie wiem. Gdy widziałem go ostatnio, był w tłumie gości, a raczej płynął z prądem.

Z przeciwległego rogu pomieszczenia wyłonił się Ippolito, rozmawiając przez krótkofalówkę. W oczach D'Agosty szef ochrony zarobił kolejny punkt. Policjant szanował ochroniarza. Może nie jest najbystrzejszy, ale w sytuacjach kryzysowych widać, że facet ma jaja.

Światło przygasło.

— W Sali Niebiańskiej wybuchła panika — rzekł Ippolito z krótkofalówką przyłożoną do ucha. — Mówią, że zaczęły się opuszczać drzwi ochronne.

— Co za idioci! To przecież jedyne wyjście! — Sięgnął po własne radio.

— Walden, słyszysz mnie? Co się tam dzieje?

— Mamy tu kompletny chaos, sir! McNitt właśnie opuścił teren wystawy. Nieźle go poturbowali. Jesteśmy przy wejściu na wystawę, próbujemy spowolnić napór tłumu, ale jak na razie bez powodzenia. Sporo

ludzi zostało stratowanych.

Światła znów przygasły.

— Walden, czy drzwi awaryjne przy wejściu do Rotundy zaczęły się opuszczać?

— Chwileczkę. — Przez chwilę z radia dobiegały tylko szумы. — Cholera, tak! Są już opuszczone do połowy i opadają dalej! Ludzie ugrzęźli w nich jak sardynki, gródź zmiażdży z tuzin osób, a może nawet więcej...

Nagle na wystawie zrobiło się całkiem ciemno. Głośny trzask czegoś, co runęło na ziemię, zagłuszył na moment krzyki i wrzaski. D'Agosta wyjął latarkę.

— Ippolito, może pan podnieść drzwi ręcznie, zgadza się?

— Tak. Ale lada chwila powinno włączyć się zasilanie awaryjne...

— Nie możemy na to czekać, ruszajmy tam natychmiast. I, na miłość boską, zachowajmy ostrożność.

Zwawym krokiem pomaszerowali w stronę wejścia na wystawę; Ippolito przeprowadził ich poprzez rumowisko potłuczonego szkła, potrzaskanego drewna i uszkodzonych ekspozycji. Wokoło walały się kawałki bezcennych ongiś artefaktów. Wrzaski i krzyki, w miarę jak zbliżali się do Sali Niebiańskiej, przybierały na sile. Stojąc za Ippolito, D'Agosta nic nie był w stanie dostrzec pośród ciemności panujących w Sali Niebiańskiej. Zgasły nawet świece wotywnie. Ippolito poświecił latarką przy wejściu. Dlaczego nie idzie dalej?, zastanawiał się poirytowany D'Agosta. Nagle Ippolito targnął całym ciałem w tył i czknął, jakby miał zwymiotować. Upuszczona latarka potoczyła się w mrok. Po chwili dały się słyszeć charakterystyczne odgłosy torsji.

— Co, u diabła? — ryknął D'Agosta, podbiegając z Baileyem do przodu.

Wtem stanął jak wryty.

Wnętrze ogromnej sali wyglądało jak pobojuwisko. Świecąc latarką w mrok, D'Agosta skojarzył ten widok z oglądanym w telewizji reportażem z miejsca trzęsienia ziemi. Podest był w kilku miejscach załamany, pulpit rozłupany na dwoje i pogruchotany. Na podium dla orkiestry nie było nikogo, krzesła powywracano, wszędzie leżały zniszczone instrumenty. Podłoga usłana była resztkami jedzenia, strzępami ubrań, rozsypanymi programami, tu i ówdzie dostrzec można było powywracane bambusowe dekoracje i podeptane orchidee, piękno obrócone wniwecz setkami bezlitosnych stóp ogarniętych paniką ludzi.

D'Agosta skierował latarkę w stronę wejścia. Wielkie drewniane stele po obu stronach wejścia zawaliły się. D'Agosta widział wystające spod misternie rzeźbionych kolumn zwiotczałe ramiona i nogi.

Bailey podszedł bliżej.

— Zmiażdżonych zostało co najmniej osiem osób, panie poruczniku. Chyba wszyscy nie żyją.

— Są wśród nich nasi? — spytał D'Agosta.

— Obawiam się, że tak. Chyba dostrzegłem wśród nich McNitta, Waldena i jednego z naszych wywiadowców. A także kilku mundurowych strażników i troje gości.

— Wszyscy nie żyją? Co do jednego?

— O ile mogę to stwierdzić. Nie dam rady dźwignąć żadnej z tych kolumn.

— Cholera. — D'Agosta odwrócił wzrok i podrapał się w czoło.

Z drugiego końca sali dobiegło głucho łupnięcie.

— Zamykają się drzwi zabezpieczające — rzekł Ippolito, ocierając usta.

Ukląkł obok Bailey'a

— Och, nie, Martine .. Chryste. Nie do wiary. — Odwrócił się do D'Agosty. — Martine pilnował tylnych schodów. Musiał przybyć tu, by pomóc w opanowaniu tłumów. Był jednym z moich najlepszych ludzi.

D'Agosta przeszedł pomiędzy zwalonymi, rozłupanymi kolumnami i wszedł do Sali Niebiańskiej, omijając powywracane stoły i potrzaskane krzesła. Jego dłoń wciąż krwawiła. Dookoła leżało kilka nieruchomych postaci, policjant nie wiedział, czy byli wśród nich jacyś żywi ludzie. Gdy usłyszał krzyk dochodzący z przeciwległego końca sali, poświecił w tę stronę latarką.

Metalowa gródź została opuszczona do końca, tłum ludzi napierał na nią, wrzeszcząc i tłukąc w nią pięściami. Niektórzy z nich odwrócili się, gdy padł na nich promień światła.

D'Agosta podbiegł do nich, nie zwracając uwagi na szумы z krótkofalówki.

— Niech wszyscy zachowają spokój i odsuną się od drzwi! Jestem porucznik D'Agosta z policji nowojorskiej

Tłum nieco się uspokoił, D'Agosta przywołał Ippolita.

Lustrując grupę wzrokiem, D'Agosta spostrzegł dyrektora Wrighta, Iana Cuthberta, szefa całej tej farmy, oraz równie grubą rybę nazwiskiem Rickman, innymi słowy pierwsze trzydzieści czy czterdzieści osób, które weszły na teren wystawy. Weszli pierwsi, wychodzą ostatni.

— Posłuchajcie! — zawołał. — Szef ochrony otworzy te drzwi ręcznie.

Proszę wszystkich, aby się cofnęli.

Ludzie rozstąpili się, a D'Agosta mimowolnie jęknął. Spod ciężkich metalowych drzwi wystawało kilka kończyn. Podłoga była śliska od krwi. Jedna z kończyn poruszała się lekko, zza grodzi dochodził cichy krzyk.

— Jezus Maria — wyszeptał. — Ippolito, otwórz to cholerstwo.

— Proszę tu poświecić. — Ippolito wskazał na niedużą klawiaturę przy drzwiach, po czym ukucnął i wprowadził kilkanaście cyfr.

Czekali.

Ippolito wyglądał na zaskoczonego.

— Nie rozumiem, dlaczego... — Znów wprowadził kod, tym razem wolniej.

— Nie ma zasilania — rzekł D'Agosta.

— To nie powinno mieć żadnego znaczenia — mruknął Ippolito, gorączkowo wpisując kod po raz trzeci. — System ma odpowiednie zabezpieczenia.

Tłum zaczął szemrać.

— Jesteśmy w pułapce! — krzyknął jakiś mężczyzna. D'Agosta odwrócił się, omiatając zebranych światłem latarki.

— Proszę wszystkich o spokój. Człowiek, którego zwłoki odkryliśmy w jednej z sal, nie żyje od dwóch dni. Czy to jasne? Od dwóch dni. Mordercy już dawno tu nie ma.

— Skąd ta pewność? — zapytał ten sam mężczyzna.

— Zamknij się pan i słuchaj — uciął D'Agosta. — Wydostaniemy się stąd. Jeśli nie zdołamy otworzyć tych drzwi, zrobią to inni, od zewnątrz. To może potrwać parę minut. Póki co odsuńcie się wszyscy od drzwi, trzymajcie się razem, znajdźcie nie uszkodzone krzesła i usiądźcie. Jasne?

Nie możecie nam w niczym pomóc.

Wright stanął w świetle.

— Niech pan posłucha, poruczniku — rzucił. — Musimy się stąd wydostać. Na miłość boską, Ippolito, otwórz wreszcie te drzwi!

— Chwileczkę! — D'Agosta niemal krzyknął. — Doktorze Wright, proszę dołączyć do grupy. — Zlustrował wzrokiem przerażone, skonsternowane twarze. — Czy jest tu może lekarz?

Cisza.

— Pielęgniarka? Ktoś, kto zna się na udzielaniu pierwszej pomocy?

— Ja znam podstawy pierwszej pomocy. — Ktoś zgłosił się na ochotnika.

— Świetnie, panie...

— Arthur Pound.

— Pound. Proszę wziąć do pomocy jednego lub dwóch ochotników. Są tu osoby, które wyglądają na solidnie poturbowane. Muszę znać ich liczbę oraz stan. Przy wejściu czeka jeden z moich ludzi, niejaki Bailey. Ma latarkę. Będziemy także potrzebować ochotnika do pomocy przy zbieraniu świec.

Z półmroku wyłonił się młody, wychudzony mężczyzna w pomiętym smokingu. Skończył przeżuwać i przełknął, co miał w ustach.

— Ja pomogę — oświadczył.

— Nazwisko?

— Smithback.

— Dobra, Smithback. Masz zapalki?

— Jasne.

Burmistrz postąpił naprzód. Twarz miał utyłaną krwią, a pod jednym

okiem wielkiego, puchnącego jeszcze siniaka.

— Ja też chciałbym pomóc — powiedział. D'Agosta spojrzał nań ze zdumieniem.

— Burmistrz Harper! Może obejmie pan nad wszystkim kontrolę. Niech pan uspokoi tych ludzi.

— Oczywiście, poruczniku.

Z krótkofalówki D'Agosty znów dobiegły piski. Podniósł ją do ucha.

— D'Agosta, tu Coffey. D'Agosta, słyszysz mnie? Co się tam dzieje, u licha? Zдай mi natychmiast raport!

D'Agosta mówił szybko.

— Proszę posłuchać uważnie, bo nie będę powtarzać. Mamy tu co najmniej ośmioro zabitych, może nawet więcej, oraz bliżej nie określoną liczbę rannych. O tych, co uwięzli pod grodzia, już chyba wiesz. Ippolito nie może otworzyć tych cholernych drzwi. Jest nas tu w sumie ze trzydzieści, czterdzieści osób. W tym także Wright oraz burmistrz.

— Burmistrz! Cholera. Posłuchaj, D'Agosta, nastąpiła awaria całego systemu. Ręczne obejścia grodzi z tej strony także nie funkcjonują. Sprowadzą ekipę z palnikami, aby rozcięła drzwi i wydostała was stamtąd. To może trochę potrwać, grodzie są grube jak wrota bankowego skarbcza. Czy burmistrz czuje się dobrze?

— Tak. Gdzie Pendergast?

— Nie mam pojęcia.

— Kto prócz nas został uwięziony w sektorze?

— Jeszcze nie wiem — odparł Coffey. — Zbieramy właśnie raporty. Powinno być kilka osób w sali komputerów, a w centrali ochrony Garcia z garstką strażników. Prócz tego zapewne jeszcze parę osób na innych

piętrach. Mamy tu kilku wywiadowców i strażników. Niektórzy z nich są mocno poturbowani. Co, u diabła, tam się stało, D'Agosta?

— Na jednej z gablot odkryto zwłoki policjanta. Wyprute trzewia, jak u pozostałych. — Przerwał i dodał z rozgoryczeniem: — Gdyby pozwolił mi pan przeszukać sale, jak sobie tego życzyłem, to wszystko by się nie zdarzyło.

W krótkofalówce znów coś zapiszczało, po czym zapadła cisza.

— Pound! — zakrzyknął D'Agosta. — Jaki jest stan rannych?

— Jeden w stanie krytycznym, ledwo zipie — odparł Pound, unosząc wzrok znad nieruchomego ciała. — Reszta nie żyje. Zostali zatratowani na śmierć. Jedna lub dwie osoby mogły umrzeć na atak serca, ale nie potrafię stwierdzić tego na sto procent.

— Zrób, co się da dla tego, który przeżył — rzekł D'Agosta. Jego radio znowu ożyło.

— Poruczniku D' Agosta? — rozległ się ochryply głos. — Tu Garcia z centrali ochrony. Mamy... — Głos urwał się nagle, zastąpiły go szумы.

— Garcia? Garcia? Co się dzieje? — wrzasnął D'Agosta.

— Przepraszam, sir, baterie przenośnego nadajnika, z którego korzystam, są bardzo słabe. Mamy na linii Pendergasta. Już go przełączam.

— Vincent — dał się słyszeć znajomy, zaciągający głos.

— Pendergast! Gdzie jesteś?

— W piwnicach, sekcja dwudziesta dziewiąta. Jak rozumiem, w całym muzeum nie ma prądu i zostaliśmy uwięzieni w sektorze drugim. Obawiam się, że ja także nie mam dobrych wieści. Czy mógłbyś stanąć w takim miejscu, gdzie nikt nie usłyszałby, o czym rozmawiamy?



D'Agosta oddalił się od pozostałych.

— O co chodzi? — spytał półgłosem.

— Vincent, słuchaj uważnie. Tu na dole coś jest. Nie wiem co konkretnie, ale jest olbrzymie i nie sądzę, aby to był człowiek.

— Pendergast, nie pogrywaj ze mną. Nie teraz.

— Vincent, mówię absolutnie poważnie. To nie była zła wiadomość. Zła jest taka, że to coś prawdopodobnie kieruje się w waszą stronę.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Co to za zwierzę?

— Zorientujesz się, gdy znajdzie się w pobliżu. Tego odoru nie sposób nie wyczuć. Jaką macie broń?

— Sprawdźmy. Trzy strzelby dwunastki, parę służbowych rewolwerów, dwa pistolety na naboje gumowe, no i to, co znalazłoby się akurat pod ręką.

— O broni na gumowe naboje możesz od razu zapomnieć. A teraz słuchaj, musimy się sprężyć, czasu jest niewiele. Wyprowadź stamtąd wszystkich. Ten stwór przeszedł obok mnie tuż przed wygaśnięciem światła. Widziałem go przez okno jednego ze składzików i wydał mi się naprawdę wielki. Porusza się na czworakach. Oddałem do niego dwa strzały, po czym ten bydlak wszedł na klatkę schodową przy końcu korytarza. Mam przy sobie stare plany i uważnie je przejrzałem. Wiesz, dokąd prowadzą te schody?

— Nie — odparł D'Agosta.

— To jedyne schody mające połączenie z innymi piętrami. Wiodą w dół, do piwnic, ale musimy założyć, że to coś raczej nie zejdzie do tuneli. Drugie wyjście znajduje się na trzecim piętrze. Kolejne tuż za Salą Niebiańską, na zapleczu na tyłach platformy.

— Pendergast, nie bardzo nadażam za twoim tokiem rozumowania. Co właściwie chcesz, abyśmy zrobili?

— Weź swoich ludzi — tych ze strzelbami — i ustaw ich pod tymi drzwiami. Jeśli to coś zechce się przebić, poczęstujecie je ołowiem. Kto wie, może już jest w środku. Vincent, wpakowałem mu w czerep kulę z czterdziestki piątki, w stalowym płaszczu i ze wzmocnionym czubkiem, ale pocisk odbił się od niego rykoszetem.

Gdyby te słowa padły z ust kogoś innego, D'Agosta uznałby, że żartuje. Albo jest niespełna rozumu.

— Jasne — mruknął. — Jak dawno temu cię minął?

— Kilka minut, tuż przed zgaśnięciem świateł. Strzeliłem do niego raz, a potem podążyłem za nim wzdłuż korytarza, już po zaciemnieniu. Strzeliłem ponownie, ale trudno mi było dobrze wymierzyć i chybiłem. Obecnie badam teren. Jediną drogą wyjścia dla tej istoty są schody prowadzące do ciebie. Korytarz kończy się ślepo, a to coś po prostu zniknęło. Może ukrywa się na klatce schodowej albo, jeśli dopisuje ci szczęście, wybierze inne piętro. Wiem tylko, że nie wróciło tą samą drogą, którą uciekło.

D'Agosta przełknął ślinę.

— Jeśli możesz zejść do piwnic, zrób to. Tam się spotkamy. Chyba na starych planach znalazłem wyjście z budynku. Pogadamy znowu, gdy znajdziesz się w bezpiecznym miejscu. Zrozumiałeś?

— Tak — odparł D'Agosta.

— Vincent? Jest jeszcze coś.

— Co takiego?

— To stworzenie potrafi otwierać i zamykać drzwi. D'Agosta włożył

krótkofalówkę do kabury, oblizwał wargi i spojrzał w stronę gromadki gości. Większość z nich oszołomiona siedziała na podłodze, kilku pomagało chudzielcowi w zbieraniu świec.

D'Agosta odezwał się najspokojniej, jak tylko potrafił.

— Podejdźcie tu wszyscy i usiądźcie pod ścianą. Zgaście świece.

— Co się dzieje? — zawołał ktoś. D'Agosta rozpoznał po głosie Wrighta.

— Cisza! Róbcie, co każe. Ty, jak ci tam, Smithback, rzuć to i podejdź tu.

Z radia D'Agosty dobiegł czyjś głos, podczas gdy policjant szybko omiół światłem latarki wnętrze sali. Odległe kąty nikły w tak gęstym mroku, że zdawał się on pochłaniać wąty promień. Pośrodku sali przy leżącym nieruchomo ciele paliło się kilka świec. Nad rannym nachylali się Pound i ktoś jeszcze.

— Pound! — zawołał. — I ty obok niego! Wracajcie tu natychmiast!

— Ale on jeszcze żyje...

— Wracać tu, migiem! — Odwrócił się do zebranej tuż za nim reszty grupy.

— Niech nikt się nie rusza i ani mru-mru. Bailey, Ippolito, weźcie strzelby i chodźcie za mną.

— Słyszeliście to? Po co im broń? — zawołał z przerażeniem Wright.

Rozpoznając dochodzący z radia głos Coffeya, D'Agosta wyłączył je jednym ruchem. Powoli, oświetlając sobie drogę latarkami, całą grupę skierował ku środkowi sali. D'Agosta omiatał promieniem latarki ścianę naprzeciwko, aż w końcu znalazł zaplecze i ciemny obrys drzwi prowadzących na klatkę schodową. Były zamknięte. Wydawało mu się, że

w powietrzu unosiła się jakaś dziwna woń, gnilny odór, którego nie potrafił zidentyfikować. Jednakże w całej sali okropnie śmierdziało. Gdy zgasły światła, połowie gości musiały puścić zwieracze.

Wyszedł na zaplecze i przystanął.

— Pendergast twierdzi, że to coś, to zwierzę, może być na tych schodach — wyszeptał.

— Pendergast tak twierdzi — burknął sarkastycznie Ippolito.

— Nie kpij sobie, Ippolito. Posłuchajcie. Nie możemy tu tak czekać po ciemku. Lepiej tu nie zostawać. Zejdziemy na dół, do piwnic. Zrobimy to powoli i spokojnie. W porządku? Jak w regulaminie. Broń odbezpieczona, naboje w komorach. Bailey, otworzysz drzwi, a potem oświetlisz nam drogę. Zrobisz to szybko. Ippolito, zabezpieczysz schody na górę, ja ubezpieczam odcinek wiodący na dół. Jeżeli kogoś zobaczycie, zażądajcie, aby się przedstawił i okazał dokumenty, w razie odmowy lub braku reakcji, strzelajcie. Jeśli ujrzycie coś innego, strzelajcie natychmiast. Ruszamy na mój znak.

D'Agosta zgasił latarkę, włożył do kieszeni i zacisnął dłonie na kolbie i łożysku strzelby. Następnie skinął na Bailey'a, aby ten skierował światło na drzwi klatki schodowej. D'Agosta zamknął oczy i w ciemności odmówił krótką modlitwę. Następnie dał znak.

Ippolito stanął z boku drzwi, podczas gdy Bailey otworzył je na oścież. D'Agosta i Ippolito wypadli na zewnątrz, za nimi Bailey, szybko zataczając promieniem latarki półokrąg.

Na klatce schodowej w nozdrza uderzył ich potworny fetor. D'Agosta postąpił kilka kroków w ciemność, wyczuł nad sobą jakiś ruch i usłyszał nieziemski, gardłowy warkot, od którego zmiękły mu kolana, później zaś

rozległ się wilgotny, przeciągły odgłos, przypominający uderzenie mokrym ręcznikiem o podłogę. Zaraz potem coś mokrego uderzyło w ścianę wokół niego i ciepłe krople opryskały mu twarz. Obrócił się na pięcie i wypalił do czegoś wielkiego i ciemnego. Światło zawirowało dziko.

— Cholera! — usłyszał jęk Bailey'a. — Bailey! Nie pozwól mu wdrzeć się do sali! — Raz po raz strzelał w mrok, w górę i w dół klatki schodowej, aż w końcu zabrakło mu naboju. Kwaśna woń prochu strzelniczego zmieszała się z drażniącym odorem, a w Sali Niebiańskiej rozległy się przeraźliwe wrzaski.

D'Agosta wbiegł po schodach na podest, niemal potknął się o coś i wszedł do sali.

— Bailey, gdzie to jest? — zawołał, ładując strzelbę, chwilowo oślepiony rozbłyskiem wystrzałów.

— Nie wiem! — odpowiedział Bailey. — Nic nie widzę!

— Zszedł na dół czy zdołał się przedrzeć? — Dwa pociski w strzelbie... trzy...

— Nie wiem! Nie wiem!

D'Agosta wyjął latarkę i poświecił na Bailey'a. Policjant od stóp do głów zbryzgany był krwią. Miał we włosach strzępy tkanek, pasemka skóry zwieszały mu się z brwi. Ocierał oczy. W powietrzu czuć było odrażającą woń.

— Nic mi nie jest — zapewnił porucznika Bailey'a. — Tak sędzę. Tyle tylko, że przez to świństwo na twarzy nic, cholera, nie widzę.

D'Agosta omiół promieniem latarki wnętrze pomieszczenia, kolbę strzelby oparł o udo. Pozostali, zbici w zwartą gromadkę pod ścianą,

wydawali się kompletnie sparaliżowani strachem. Skierował snop światła w stronę schodów i ujrzał Ippolita lub raczej to, co z niego zostało, leżące w kawałkach na podeście, czarna posoka z rozprutych trzewi rozlewała się szybko po betonie. To coś czekało na nich zaledwie kilka stopni powyżej podestu. Ale gdzie było teraz, do jasnej cholery? Gorączkowo omiatał snopem światła wnętrze sali. Stwór zniknął.

Nie. Pośrodku sali coś się poruszało. Z tej odległości trudno było dostrzec to wyraźnie, ale D'Agosta zobaczył wielki, ciemny kształt przykucnięty nad rannym mężczyzną leżącym na parkiecie i wykonujący dziwne, gwałtowne, krótkie ruchy. D'Agosta usłyszał jęk rannego, a potem słaby chrzęst i zapadła zupełna cisza. D'Agosta włożył latarkę pod pachę, uniósł strzelbę, wymierzył i ściągnął spust.

Błysnęło i huknęło. Ktoś z gości pod ścianą zaczął krzyczeć. Kolejne dwa strzały i komora broni znów była pusta.

Porucznik sięgnął po naboje, lecz okazało się, że nie ma już amunicji do strzelby, upuścił bezużyteczną broń i wyjął służbowy rewolwer.

— Bailey! — krzyknął. — Biegiem do mnie, zbierz wszystkich i bądź gotów do ich wyprowadzenia.

Omiótł światłem latarki parkiet sali, ale ciemny kształt zniknął. Ostrożnie zbliżył się do ciała. Już z odległości dziesięciu stóp ujrzał to, czego nie chciał zobaczyć, rozłupaną czaszkę i mózg rozwleczony po parkiecie. Krwawy ślad wiódł w głąb wystawy. Czymkolwiek to było, wystrzały musiały to spłoszyć. Niemniej na pewno niedługo wróci.

D'Agosta poderwał się i pobiegł, omijając kolumny, po czym szarpnął jedno z otwartych, ciężkich drzwi wiodących na teren wystawy. Zatrzęsnał je, stękając z wysiłku i podbiegł do drugiego skrzydła wieży. Z wnętrza

wystawy dobiegł miękki odgłos szybkich kroków. D'Agosta zatrzasnął drugie skrzydło wrót i usłyszał trzask zamykającego się zamka zatraskowego. W chwilę potem drzwi zatrzęsy się, jakby uderzyło w nie coś ciężkiego.

— Bailey! — krzyknął. — Wyprowadź wszystkich na schody! Łomotanie przybrało na sile, policjant cofnął się odruchowo.

Drewno zaczęło pękać. Wymierzył broń w drzwi, a z tyłu za nim dały się słyszeć przeciągłe zawodzenia i wrzaski. Wychodzący ujrzeli Ippolito. Drzwi zatrzęsy się w posadach, u dołu pojawiła się wielka szczelina.

D'Agosta przebiegł przez salę.

— Na dół, po schodach, szybko! Nie oglądać się!

— Nie! — zawołał Wright, blokując wejście na schody. — Spójrzcie na Ippolito. Ja tam nie pójdę.

— Stąd jest wyjście! — zaproponował D'Agosta.

— Nie ma. Możemy wydostać się stąd tylko przez teren wystawy, a...

— Ale tam coś jest! — ryknął D'Agosta. — Ruszać się, ale już! Jazda!

Bailey odepchnął Wrighta z drogi i zaczął wypychać kolejne osoby na klatkę schodową, nie zważając na ich histeryczny płacz i krzyki, wywołane widokiem zwłok Ippolita.

Przynajmniej burmistrz zachowuje spokój, pomyślał D'Agosta. Pewno widział o wiele gorsze rzeczy na ostatniej konferencji prasowej.

— Nie zejdę tam! — krzyknął Wright. — Cuthbert, Lavinio, posłuchajcie. Piwnice to śmiertelna pułapka. Ja to wiem. Pójdziemy na górę, na trzecie piętro, ukryjemy się tam i wrócimy, gdy ten stwór sobie pójdzie.

Ludzie wolno zaczęli schodzić po schodach. D'Agosta usłyszał kolejny

trzask pękającego drewna. Przystanął na chwilę. Na dół schodziło około trzydziestu osób, na podeście pozostała trójka wahających się.

— Macie ostatnią szansę, aby pójść z nami — oznajmił.

— Idziemy z doktorem Wrightem — oznajmiła Lavinia. W świetle latarki wyglądała jak topielica.

D'Agosta odwrócił się bez słowa i podążył za resztą grupy. Zbiegając na dół, usłyszał jeszcze przeciągłe, rozpaczliwe wołanie Wrighta namawiającego, by wrócili i udali się z nim na wyższe piętro.



## *Rozdział czterdziesty dziewiąty*

Coffey stał pod łukowym sklepieniem zachodniego wejścia do muzeum, patrząc, jak deszcz chłoscze ozdobne drzwi ze szkła i spizu. Donośnym głosem wzywał przez krótkofalówkę D'Ago-stę, lecz ten nie zgłaszał się.

I co to za kit o potworze, który chciał mu wcisnąć Pendergast? Jego zdaniem ten facet był kompletnie stuknięty, a zaciemnienie w muzeum sprawiło, że do reszty stracił kontakt z rzeczywistością. Jak zawsze wszyscy spieprzyli sprawę i znów to on, Coffey, musiał naprawiać powstały bałagan. Pod wejście do muzeum podjechały dwa wozy interwencyjne. Wsiadły z nich dwie drużyny policji w pełnym rynsztunku bojowym i natychmiast rozstawiły bariery z drewnianych kozłów w poprzek Riverside Drive. Słyszał zawodzenie syren karetek usiłujących przebić się przez stalowy kordon wozów strażackich, prasy, radia i telewizji.

Wokół było pełno ludzi, płaczących, dyskutujących, stojących w deszczu lub leżących pod wielkimi muzealnymi markizami. Dziennikarze usiłowali przedostać się przez kordon z mikrofonami i kamerami, lecz policja stanowczo zmuszała ich do powrotu za barierki.

Coffey, mimo silnej ulewy, podbiegł do wielkiego srebrnego wozu Ruchomego Punktu Dowodzenia. Otworzył tylne drzwi i wskoczył do środka.

Wewnątrz RPD panował chłód i mrok. Kilku agentów siedziało przy monitorach, ich twarze skąpane były w upiornej, zielonkawej poświacie.

Coffey sięgnął po słuchawki i usiadł.

— Przegrupować się! — ryknął do mikrofonu nastawionego na kanał dowodzenia. — Cały personel FBI natychmiast zgłosi się do RPD!

Zaczął przełączać kanały.

— Punkt Ochrony! Jak przedstawia się obecnie sytuacja? Dał się słyszeć głos Garcii, przepełniony zmęczeniem i napięciem.

— System wciąż nie działa, sir. Padło absolutnie wszystko. Nie wiem dlaczego, ale nie włączyło się zasilanie awaryjne. Mamy tylko latarki i baterie do przenośnego nadajnika, z którego obecnie korzystamy.

— No więc? Uruchomcie system ręcznie.

— Jest uruchamiany komputerowo, sir. Najwyraźniej nie da się tego zrobić w inny sposób.

— A grodzie zabezpieczające?

— Gdy nastąpiła awaria zasilania, cały system bezpieczeństwa zaszwankował. Podobno wysiadł główny komputer. Wszystkie grodzie bezpieczeństwa zostały opuszczone.

— Co to znaczy wszystkie?

— Grodzie zostały zamknięte we wszystkich pięciu sektorach, a nie tylko w dwójce. Całe muzeum jest odcięte od świata.

— Garcia, kogo tam masz, kto zna się najlepiej na systemie zabezpieczeń?

— Allen, sir.

— Daj go do mikrofonu. Nastąpiła krótka przerwa.

— Mówi Tom Allen.

— Allen, co z ręcznymi obejściami? Dlaczego nie działają?

— Jakiś problem z komputerem głównym. System bezpieczeństwa zakładali Japończycy. Próbujemy skontaktować się z przedstawicielem firmy, ale to niełatwe, mamy tu cyfrowy system telefoniczny, który wysiadł wraz z komputerem głównym. Wszystkie rozmowy prowadzimy za pomocą nadajnika Garcii. Wysiadła nawet linia T1. Kiedy skrzynka przekaźnikowa została rozwalona w drobny mak, sypnęło się wszystko, jedno po drugim. Reakcja łańcuchowa, cholera.

— Kto ją rozwalił? Nic mi o tym...

— Jakiś glina, jak mu tam? Waters? Pełniący służbę w sali komputerów. Wydawało mu się, że coś zobaczył i oddał kilka strzałów z karabinu w główną skrzynkę przekaźnikową.

— Posłuchaj, Allen, zamierzam wysłać drużynę, aby ewakuowała osoby uwięzione w Sali Niebiańskiej. Burmistrz też tam ugrzązł, niech to szlag! Jak możemy dostać się do środka? Czy powinniśmy przebić się przez wschodnie wejście?

— Drzwi zostały zaprojektowane w taki sposób, by nie można ich było rozbić ani rozciąć. Możecie spróbować, ale zajmie to mnóstwo czasu.

— A co z piwnicami? Słyszałem, że podziemia to prawdziwe katakumby.

— Możliwe, że dałoby się dostać do środka z zewnątrz, ale nie potrafię powiedzieć panu, gdzie znajdują się wejścia. Nie posiadam takich informacji. Poza tym nie mamy aktualnych map systemu piwnicznych korytarzy.

— A ściany? Może dałoby się przebić przez którąś ze ścian?

— Mury są specjalnie wzmocnione ołowiem, grubości około trzech

stóp, a starsze ściany uzbrajano stalowymi prętami. Sektor drugi ma okna jedynie na drugim i trzecim piętrze, wszystkie zabezpieczone stalowymi prętami. Większość z nich zresztą i tak jest za mała, by przecisnąć się przez nie.

— Cholera. A dach?

— Wszystkie sektory zostały odcięte i diabelnie trudno byłoby...

— Niech to szlag. Allen, pytam cię o najlepszy sposób na dostanie się do środka.

Zapadła cisza.

— Najlepszy sposób to wejście przez dach — padła odpowiedź.

— Grodzie zabezpieczające na górnych piętrach nie są tak grube i mocne jak te na dole. Sektor trzeci rozciąga się nad Salą Niebiańską. To czwarte piętro. Tylko że nie uda się wam tam wejść — dach jest pokryty specjalną warstwą ochronną z uwagi na laboratoria radiologiczne.

Moglibyście dostać się przez dach do sektora czwartego. W kilku węższych korytarzach moglibyście wysadzić grodzie zabezpieczające do sektora trzeciego, używając tylko jednego ładunku. Po przejściu do trójki powinniście bez trudu przedostać się przez sufit do Sali Niebiańskiej. Jest tam kłapa uchylna dla obsługi i konserwatorów wiszącego pod sufitem kandelabru. Niemniej jednak od podłogi do sufitu jest aż sześćdziesiąt stóp.

— Jeszcze się zgłoszę. Bez odbioru. Wcisnął guzik krótkofalówki i wrzasnął.

— Ippolito! Słyszysz mnie?

Co, u licha, dzieje się wewnątrz sali? Przełączył się na częstotliwość D'Agosty.

— D'Agosta! Tu Coffey! Słyszysz mnie? Nerwowo przełączał kanały.

— Waters!

— Waters, zgłaszam się, sir.

— Co się stało, Waters?

— W sali elektryków słyhać było podejrzane odgłosy, oddałem strzałę zgodnie z regulaminem i...

— Zgodnie z regulaminem? Ty skończony durniu, w regulaminie nie ma słowa o oddawaniu strzałów w razie usłyszenia podejrzanych odgłosów!

— Przepraszam, sir. To był bardzo głośny dźwięk, a na dodatek słyhać było krzyki i odgłosy paniki dochodzące z sal wystawowych, pomyślałem więc...

— Już po tobie, Waters. Jesteś skończony. Za to, co zrobiłeś, zapłacisz głową. Już ja się o to postaram. Masz to u mnie jak w banku.

— Zrozumiałem, sir.

Na zewnątrz dało się słyszeć głuchoe kasznięcie, pyrkot i głośny ryk, co zwiastowało uruchomienie przenośnego generatora. Tylne drzwi RPD otworzyły się i do środka weszło kilku agentów w mokrych od deszczu garniturach.

— Pozostali są już w drodze, sir — rzekł jeden z nich.

— W porządku. Powiedźcie im, że za pięć minut odbędzie się tu narada kryzysowa.

Wyszedł na deszcz. Pracownicy służb miejskich wnosili po schodach sprzęt i żółte zbiorniki z acetylenem i ustawiali je przed drzwiami muzeum.

Coffey przebiegł przez plac i wbiegł po kamiennych stopniach do

rotundy, której wewnątrz wyglądało jakby przeszedł przez nie huragan.

Pod metalowymi drzwiami awaryjnymi, zabezpieczającymi wejście do Sali Niebiańskiej, zgromadzili się lekarze i pielęgniarze. Coffey usłyszał jęk piły do cięcia kości.

— Mówcie, co tam macie — rzucił Coffey do szefa zespołu medycznego.

W oczach lekarza, widocznych ponad okrwawioną maseczką chirurgiczną, malowało się zmęczenie.

— Nie wiem, jaki jest stan wszystkich rannych, ale mamy tu kilka osób w stanie krytycznym. Przeprowadzamy parę amputacji na miejscu. Sądzę, że kilkoro innych osób można będzie ocalić, jeśli te drzwi zostaną otwarte nie później niż za pół godziny.

Coffey pokręcił głową.

— To raczej mało prawdopodobne. Będziemy musieli się przez nie przebijać.

Odezwał się jeden z techników:

— Mamy kilka żaroodpornych koców, którymi można by nakryć tych ludzi, podczas gdy będziemy pruć drzwi.

Coffey cofnął się o kilka kroków i sięgnął po krótkofalówkę.

— D'Agosta, Ippolito! Zgłoście się! Cisza. I biały szum.

— Tu D'Agosta — rozległ się pełen napięcia głos. — Posłuchaj, Coffey...

— Gdzie się podziewałeś? Mówiłem ci, żebyś...

— Zamknij się i posłuchaj. Robiłeś taki hałas, że musiałem się na pewien czas wyłączyć. Znajdujemy się teraz w podziemiach, nie wiem gdzie dokładnie. Po sektorze drugim grasuje jakieś mordercze stworzenie.

To nie żarty, Coffey, mamy tu prawdziwe monstrum. Zraniło Ippolito i wpadło do sali. Musieliśmy wiać.

— Że co? Chyba tracisz zmysły, D'Agosta. Weź się w garść, jasne? Wysyłamy grupę specjalną. Wejdą do środka przez dach.

— Taa? Mam nadzieję, że będą mieć ze sobą ciężki sprzęt na wypadek spotkania z tym potworem.

— D'Agosta, poczekaj, niech to sobie wszystko poukładam. Co z Ippolito?

— Nie żyje, rozpruty i wybebeszony jak wszyscy inni, których zabił.

— I zrobił to jakiś potwór. Dobra, jasne. Są z tobą jacyś inni gliniarze?

— Tak, Bailey.

— Czuj się zwolniony. Daj mi Baileya.

— Pierdol się. Masz Baileya.

— Sierzancie — warknął Coffey. — Obejmiesz dowodzenie. Jak się przedstawia sytuacja?

— Panie Coffey, jest tak, jak mówi porucznik. Musieliśmy opuścić Salę Niebiańską. Zeszliśmy do piwnic tylnymi schodami. Jest tu z nami ponad trzydzieści osób, w tym także burmistrz. To nie żarty, sir, tam naprawdę coś jest.

— Daj spokój, Bailey. Widziałeś to coś?

— Nie jestem pewien, co zobaczyłem, D'Agosta ujrzał go wyraźniej, a poza tym, sir, żeby pan widział, co ten potwór zrobił z Ippolito...

— Posłuchaj, Bailey, uspokój się. Przejmujesz dowodzenie czy nie?

— Nie, sir, podlegam rozkazom porucznika.

— Przed chwilą pozbawiłem go uprawnień i przekazałem dowodzenie tobie!

Coffey parsknął i uniósł wzrok, rozwścieczony.

— Ten sukinsyn przerwał połączenie!

Greg Kawakita stał nieruchomo w deszczu przed budynkiem, nasłuchując kakofonii krzyków, przekleństw i szlochów. Nie zwracał uwagi na chłodne strugi ulewy, przylepiające mu do czoła strąki czarnych włosów, nie dostrzegał mijających go aut, nie słyszał jęku syren ani zawodzeń ogarniętych paniką gości. Raz po raz przypominał sobie w myślach słowa, które usłyszał od Margo i Frocka. Otworzył i zamknął usta, po czym postąpił naprzód, jakby chciał wrócić do muzeum. Wreszcie odwrócił się powoli, otulił szczelniej przemoczoną marynarką chude ramiona i w zamyśleniu odmaszerował w ciemność.

## *Rozdział pięćdziesiąty*

Margo aż podskoczyła, gdy w korytarzu rozbrzmiało echo drugiego wystrzału.

— Co się dzieje? — zawołała. W ciemności poczuła, jak palce Frocka zaciskają się mocniej na jej dłoni.



Na zewnątrz rozległ się tupot biegnących stóp. Nagle w szczelinie pod drzwiami pojawiła się żółta poświata.

— Woń słabnie — wyszeptała. — Sądzi pan, że sobie poszło?

— Margo — odparł półgłosem Frock — uratowałaś mi życie.

Ryzykowałaś własne, aby mnie ocalić.

Rozległo się ciche pukanie.

— Kto tam? — zapytał spokojnie Frock.

— Pendergast — padło w odpowiedzi, a Margo natychmiast podbiegła, aby otworzyć drzwi. Agent FBI stał w korytarzu; w jednej dłoni trzymał wielki rewolwer, w drugiej pomięty plik planów architektonicznych. Nieskalany, dobrze skrojony czarny garnitur kontrastował z jego twarzą pokrytą smugami brudu. Zamknął za sobą drzwi.

— Cieszę się, widząc was oboje całych i zdrowych — powiedział, omiatając snopem światła Margo, a następnie Frocka.

— Na pewno nie tak bardzo jak my pana! — zawołał Frock. — Zeszliśmy tu, aby pana odnaleźć. Czy to pan strzelał?

— Tak — odparł Pendergast. — Przypuszczam, że to wy mnie nawoływaliście? Słyszałem was, ale niestety nie mogłem odpowiedzieć.

— Usłyszał mnie pan! — rzekł Frock. — Więc to dlatego wiedział pan, gdzie nas szukać.

Pendergast pokręcił głową.

— Nie. — Podał Margo latarkę i zaczął rozwijać pomięte plany. Margo dostrzegła, że było na nich wiele odręcznych zapisków.

— Nowojorskie Towarzystwo Historyczne nie ucieszy się widząc, z jaką swobodą poczytałem sobie z ich własnością — zauważył oschle agent.

— Pendergast — zasyczał Frock. — Margo i ja odkryliśmy, czym jest ten zabójca. Musi pan mnie wysłuchać. To nie istota ludzka ani żadne znane nauce zwierzę. Proszę mi pozwolić wyjaśnić.

Pendergast uniósł wzrok.

— Doktorze Frock, nie trzeba mnie przekonywać.

— Doprawdy? — Frock zamrugął. — To znaczy, że pomoże nam pan w przerwaniu bankietu na górze i wyprowadzeniu gości z muzeum?

— Już na to za późno — rzekł Pendergast. — Rozmawiałem przez krótkofalówkę z porucznikiem D'Agostą i innymi. Kłopoty z zasilaniem dotknęły nie tylko obszar piwnic, lecz całe muzeum. System bezpieczeństwa zawiódł, grodzie awaryjne zostały opuszczone.

— To znaczy... — zaczęła Margo.

— To znaczy, że muzeum zostało podzielone na pięć odizolowanych od siebie sektorów. My znajdujemy się w drugim. Wraz z gośćmi w Sali Niebiańskiej. I potworem.

— Co się stało? — zapytał Frock.

— Jeszcze zanim wysiadło zasilanie i opadły grodzie, w jednej z sal wybuchła panika. Na terenie wystawy odnaleziono zwłoki. Trupa policjanta. Większość gości zdołała się wydostać, ale trzydzieści, czterdzieści osób wciąż jest uwięzionych w Sali Niebiańskiej. — Uśmiechnął się ze smutkiem.

— Ja też parę godzin temu odwiedziłem tę wystawę. Chciałem rzucić okiem na figurkę Mbwuna, tę, o której mówiłaś. Może gdybym zamiast od frontu wyszedł tylnym wyjściem, sam odnalazłbym to ciało i zapobiegł całemu temu koszmarowi. Tak czy inaczej udało mi się zobaczyć posążek, doktorze Frock. Jest po prostu wspaniały. Kubek w kubek oryginał, tyle że

dużo mniejszy. Możecie mi wierzyć. Wiem, co mówię.

Frock patrzył na niego z rozdziawionymi ustami.

— Widział pan to? — wyszeptał po chwili.

— Tak. Do niego właśnie strzelałem. Byłem akurat za załomem korytarza, gdy usłyszałem pańskie nawoływanie. I nagle poczułem okropny smród. Wpadłem do najbliższego składziku i patrzyłem, jak to przechodzi tuż obok. Następnie wyszedłem na korytarz i oddałem strzał, ale kula ześlizgnęła się po czaszce tego stwora. Potem zgasły światła. Skręciłem za róg i ujrzałem to coś wężące i manipulujące przy tych drzwiach. — Pendergast otworzył bębenek rewolweru i wyjąwszy dwie zużyte łuski, włożył do komór nowe naboje. — Stąd wiedziałem, że jesteście właśnie tutaj.

— Boże — rzekła Margo. Pendergast włożył broń do kabury.

— Strzeliłem ponownie, ale miałem trudności z wymierzeniem i paskudnie chybiłem. Pobiegłem za nim w głąb korytarza, ale ten stwór jakby rozpląnął się w powietrzu. Podejrzewam, że musiał wbiec na klatkę schodową na końcu korytarza.

Z tej ślepej uliczki nie ma innego wyjścia.

— Panie Pendergast — rzekł z przejęciem Frock. — Proszę mi powiedzieć, jak dokładnie wyglądało to stworzenie?

— Widziałem je tylko przez chwilę — powiedział powoli Pendergast.

— Było niskie, przysadziste, wyglądało bardzo potężnie. Poruszało się na czworakach, ale mogło podnosić się do pionu. Częściowo jego ciało porośnięte jest szczecina.

Wydał wargi, pokiwał głową.

— Było ciemno. Powiedziałbym jednak, że twórca figurki dokładnie

wiedział, co chce przedstawić.

W świetle latarki Pendergasta Margo ujrzała dziwną mieszaninę strachu, rozbawienia i triumfu, malującą się na twarzy Frocka.

W chwilę później dało się słyszeć dobiegające z góry echo kilku stłumionych wybuchów.

Zapadła krótka cisza, a potem już znacznie bliżej rozległy się kolejne odgłosy, ostrzejsze, bardziej donośne i rozdzierające huki wystrzałów.

Pendergast uniósł wzrok, nasłuchując z przejęciem.

— D'Agosta! — powiedział. Wyjął rewolwer i upuszczając plany, wybiegł na korytarz.

Margo popędziła ku drzwiom i oświetliła latarką korytarz.

W cienkim snopie światła ujrzała Pendergasta mocującego się z drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową. Ukląkł, by obejrzeć zamek, po czym wstał i wymierzył w drzwi parę solidnych kopniaków.

— Zatrzaśnięte na amen — stwierdził po powrocie. — Wydawało mi się, że te odgłosy wystrzałów dochodziły z klatki schodowej. Najwyraźniej pociski z policyjnych śrutówek musiały uszkodzić framugę i zamek. Nie da się ich otworzyć. — Włożył broń do kabury i sięgnął po krótkofalówkę. — Poruczniku D'Agosta! Vincent, słyszysz mnie? — Odczekał chwilę, po czym pokręcił głową i wsunął radio do kieszeni marynarki.

— Zatem jesteśmy tu uwięzieni? — spytała Margo. Pendergast pokręcił głową.

— Nie sędzę. Spędziłem całe popołudnie w tych korytarzach i tunelach, usiłując ustalić, w jaki sposób tej bestii udawało się unikać naszych patroli. Plany, które zdobyłem, powstały pod koniec ubiegłego stulecia, są bardzo skomplikowane i pełne sprzeczności, ale można z ich

pomocą odnaleźć wyjście z muzeum, właśnie przez piwnice. Ponieważ na górze wszystkie drogi ewakuacji zostały odcięte, nie ma sensu, abyśmy tam wracali. Mamy natomiast z tego sektora muzeum kilka możliwości przedostania się do niższych piwnic.

— To znaczy, że moglibyśmy wyprowadzić ludzi z odciętego sektora powyżej, a potem wynieść się stąd wszyscy razem! — zawołała Margo.

Pendergast miał ponurą minę.

— To oznacza również, że i bestia jest w stanie odnaleźć drogę do sutereny. Jeżeli o mnie chodzi uważam, że choć grodzie awaryjne są w stanie skutecznie odciąć nam drogę wyjścia, nie powstrzymają zbyt długo naszej bestii. Podejrzewam, że to stworzenie ukrywa się w tych piwnicach dostatecznie długo, że ma swoje własne, sekretne przejścia i jest w stanie przemieszczać się po całym muzeum, a przynajmniej po jego niższych poziomach, jak mu się żywnie podoba. Zna to miejsce jak własną kieszeń.

Margo skinęła głową.

— My też uważamy, że przebywa w naszym muzeum od lat. I chyba wiemy, w jaki sposób oraz dlaczego się tu znalazło.

Pendergast przez dłuższą chwilę przyglądał się Margo.

— Chciałbym, abyście opowiedzieli mi wszystko, co wiecie na temat tej istoty i postarajcie się to zrobić możliwie jak najszybciej.

Gdy odwrócili się, by wrócić do składziku, Margo w oddali usłyszała dudnienie przypominające przeciągły, cichy grzmot. Zamarła, uważnie nasłuchując.

Grzmot zdawał się przypominać ludzki głos, szloch lub może krzyk, nie potrafiła stwierdzić nic bardziej konkretnego.

— Co to takiego? — wyszeptała.

— To odgłosy zdesperowanych ludzi — odparł Pendergast —  
zbiegających po schodach i rozpaczliwie walczących o życie.

### *Rozdział pięćdziesiąty pierwszy*

W słabym świetle sączącym się przez okratowane okno laboratorium Wright z trudem mógł dostrzec kształt starego regału. Całe szczęście, że to laboratorium znajdowało się na terenie drugiego sektora — pomyślał. Nie po raz pierwszy cieszył się, że zatrzymał to pomieszczenie, otrzymawszy awans na dyrektora. Dzięki temu będą mieli teraz gdzie się skryć i odpocząć przez chwilę. To była idealna, bezpieczna przystań. Sektor drugi został całkowicie odcięty od reszty muzeum, a oni wszyscy stali się więźniami. Z chwilą awarii komputera głównego opuszczone zostały wszystkie grodzie zabezpieczające, jak również kraty antywłamaniowe i specjalne wzmocnione żaluzje. Tak przynajmniej twierdził ten niekompetentny glina, D'Agosta.

— Ktoś słono za to zapłaci - wymamrotał pod nosem Wright. A potem wszyscy umilkli. Teraz, gdy przestali uciekać, zaczęli z wolna pojmować ogrom poniesionej klęski.

Wright postąpił naprzód, przetrząsając jedną szafkę za drugą, aż w końcu znalazł to, czego szukał.

— Ruger trzydzieści osiem magnum - rzekł, ważąc rewolwer w dłoni.

— Świetna broń. Mogłaby nawet powstrzymać szarżującego słonia.

— Nie jestem pewien, czy zdoła zatrzymać to, co zabiło Ippolita —

mruknął Cuthbert. Stał przy drzwiach laboratorium, nieruchoma sylwetka przyobleczona w czerń.

— Nie martw się, Ian. Ta broń ma naprawdę wielkiego kopa. Kupiłem ją po tym, jak stary Shorter został napadnięty przez włóczęgę. Zresztą ten stwór i tak tu nie przyjdzie. A gdyby nawet, drzwi są wykonane z dębiny i mają dwa cale grubości.

— A co z tymi? — Cuthbert wskazał na drzwi na tyłach gabinetu.

— Prowadzą do Sali Dinozaurów Epoki Kredowej. Są, podobnie jak te, wykonane z solidnej dębiny. — Zatknał rugera za pas. — Głupcy, schodzić do piwnic jak stado lemingów. Powinni mnie byli posłuchać.

Znów zaczął szperać w szufladzie i wyjął z niej latarkę.

— Świetnie. Nie korzystałem z niej od lat.

Zapalił latarkę, pojawił się słabiutki promień. Wright pomachał ręką, w której trzymał długi, cylindryczny przedmiot.

— Obawiam się, że baterie są dość słabe — wtrącił Cuthbert. Wright zgasił latarkę.

— Użyjemy jej tylko w ostateczności.

— Proszę! — odezwała się nagle Rickman. — Proszę jej nie gasić. Jeszcze chociaż przez chwilę. — Siedziała na stołku pośrodku pokoju, to zaciskając, to rozluźniając ręce. — I co teraz zrobimy, Winstonie? Musimy mieć plan.

— Wszystko w swoim czasie — powiedział Wright. — Najpierw muszę się napić. To plan A. Mam nerwy w strzępach. — Przeszedł na drugi koniec pomieszczenia i poświeciwszy latarką, wyjął ze starego kredensu butelkę.

Zabrzęczało szkło.

— Ian? — zapytał Wright.

— Ja dziękuję — odparł Cuthbert.

— Lavinia?

— Nie, nie, nie mogłabym.

Wright wrócił i usiadł przy stole roboczym. Nappełnił szklaneczkę i opróżnił ją trzema łykami. Po chwili nappełnił ją ponownie. W jednej chwili pokój wypełnił się ciepłym, przyjemnym aromatem szkockiej whisky.

— Nie przesadz, Winstonie — ostrzegł go Cuthbert.

— Nie możemy tu pozostać w ciemnościach — odezwała się zdenerwowana Rickman. — Gdzieś na tym piętrze musi znajdować się wyjście.

— Przecież mówiłem, że wszystkie wyjścia zostały odcięte — burknął Wright.

— A co z Salą Dinozaurów? — spytała Rickman, wskazując na tylne drzwi.

— Lavinio — odezwał się Wright — z tej sali jest tylko jedno wyjście, obecnie zablokowane przez gródź awaryjną. Jesteśmy całkowicie odcięci. Ale nie martw się, to, co zabiło Ippolita i innych, nie pójdzie za nami. Wybierze łatwiejszą zdobycz, grupę idiotów szwendających się po tunelach.

Rozległ się odgłos przełykania, a potem stuknięcie szklanki odstawianej gwałtownie na stół.

— Uważam, że powinniśmy zostać tu jeszcze pół godziny i przeczekać. Potem wrócimy na teren wystawy. Jeśli do tego czasu nie zostanie przywrócone zasilanie i nie otworzą się grodzie, wydostaniemy się stąd inną drogą. Znam jeszcze jedno wyjście. Przez wystawę.



— Wydaje się, że zna pan wszystkie tutejsze kryjówki — powiedział Cuthbert.

— To było moje laboratorium, lubię tu od czasu do czasu przychodzić, znaleźć się możliwie jak najdalej od przyprawiających o ból głowy spraw administracyjnych i być blisko mych ukochanych dinozaurów. — Zachichotał i znowu się napił.

— Rozumiem — rzucił kwaśno Cuthbert.

— Część wystawy Przesady została rozmieszczona w tak zwanej Niszy Trylobitów. Wiele lat temu spędziłem tam mnóstwo czasu. Za jedną z ekspozycji trylobitów znajdowało się przejście do głównego korytarza, „Broadwayu”. Drzwi wiele lat temu zabito deskami, aby zrobić miejsce dla jeszcze jednej gabloty ekspozycyjnej. Jestem pewien, że przy tworzeniu Przesądów po prostu zabito je dyktą i pomalowano. Wystarczy solidny kopniak, a w razie konieczności zawsze można przestrzelić zamek.

— Brzmi sensownie — przyznała Rickman.

— Nie przypominam sobie, abym słyszał o jakichś drzwiach na terenie wystawy — mruknął z powątpiewaniem Cuthbert. — Ochrona z pewnością musiałaby o nich wiedzieć.

— Przecież mówię, że to było wiele lat temu — uciał Wright. — Zabito je deskami i zapomniano o nich.

Zapadła długa cisza, Wright znów nalał sobie drinka.

— Winstonie — rzekł Cuthbert — odstaw już tę szklaneczkę. Dyrektor pociągnął długi łyk i opuścił głowę na piersi. Jego ramiona obwisły.

— Ianie — odezwał się w końcu. — Jak to się mogło stać? Jesteśmy zrujnowani, chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

Cuthbert milczał.

— Nie grzebmy pacjenta przed postawieniem diagnozy — rzekła Rickman, dziwnie się ożywiwszy. — Właściwe public relations mogą naprawić nawet najgorsze szkody.

— Lavinio, nie mówmy tu o kilku trujących tabletkach od bólu głowy — warknął Cuthbert. — Mamy w budynku pół tuzina trupów, a może nawet więcej, a jakby tego było mało, burmistrza uwięzionego w pułapce bez wyjścia. Za kilka godzin wiadomości o nas znajdą się we wszystkich wieczornych dziennikach w całym kraju.

— Jesteśmy zrujnowani — powtórzył Wright. Z jego gardła wyrwał się zduszony szloch. Mężczyzna oparł głowę o blat stołu.

— Niech to szlag — jęknął Cuthbert i sięgnąwszy po butelkę i szklankę dyrektora, odstawił je z powrotem do kredensu.

— To koniec, prawda? — wyszeptał żałośnie Wright, nie unosząc głowy.

— Tak, Winstonie, to koniec — przytaknął Cuthbert. — Szczerze mówiąc, będę rad, jeśli uda mi się wydostać stąd żywy.

— Proszę, Ian, czy możemy już stąd wyjść? Proszę! — rzuciła błagalnie Lavinia. Wstała i podeszła do drzwi, które zamknął za nimi Wright i otworzyła je powoli.

— Nie były zamknięte! — krzyknęła.

— Boże drogi — rzekł Cuthbert, podrywając się z miejsca. Wright, nie unosząc głowy, sięgnął i wyjął z kieszeni klucz.

— Pasuje do jednych i drugich — wybełkotał. Rickman drżącą dłonią przekręciła klucz w zamku.

— Co zrobiliśmy nie tak? — zapytał zbolałym głosem Wright.

— To oczywiste — odparł Cuthbert. — Pięć lat temu mieliśmy szansę

rozwikłać tę sprawę.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała Rickman, wracając do nich.

— Wiesz doskonale. Mówię o zniknięciu Montague. Powinniśmy byli zająć się tą sprawą, zamiast udawać, że nic się nie wydarzyło. Cała ta krew przy skrzyniach Whittleseya, zniknięcie Montague. Teraz już możemy się domyślać, co go spotkało. Trzeba było jednak wtedy się tym zająć.

Pamiętasz, Winstonie? Siedzieliśmy w twoim gabinecie, gdy zjawił się Ippolito z tą posępną wiadomością. Kazałeś zmyć podłogę i zapomnieć o całym incydencie. Umyliśmy ręce i łudziliśmy się, że ktoś lub coś, co zabiło Montague, już więcej nie wróci.

— Nie było dowodów, że ktokolwiek został zabity! — jęknął Wright, unosząc głowę. — I nie było dowodów, że cokolwiek stało się Montague. To mógł być bezpański pies, cokolwiek. Skąd mieliśmy wiedzieć?

— Nie wiedzieliśmy. Ale dowiedzielibyśmy się, gdybyśmy pozwolili, by Ippolito powiadomił policję o odkryciu tej wielkiej plamy krwi. Ty, Lavinio, o ile sobie przypominam, również przystałaś na to, aby zmyć krew i zapomnieć o wszystkim.

— Ian, nie było sensu wszczynać niepotrzebnego skandalu. Wiesz doskonale, że ta krew mogła pochodzić z wielu źródeł — odparła Rickman. — Poza tym, to właśnie ty uparłeś się, aby przenieść te skrzynie. To ty martwiłeś się, że wystawa może wywołać niepotrzebne zainteresowanie wyprawą Whittleseya, to ty zabrałeś dziennik, a potem poprosiłeś, bym go przechowała aż do zamknięcia ekspozycji. Dziennik nie bardzo pasował do twoich teorii, nieprawdaż?

Cuthbert parsknął.

— Jak mało wiesz. Julian Whitdesey był moim przyjacielem. W każdym razie kiedyś nim był. Pokłóciliśmy się o pewien jego artykuł i nie zdążyliśmy już tego naprawić. Wyjechał do Amazonii. Teraz zresztą i tak jest już na to za późno. Nie chciałem, aby dziennik Whittleseya ujrział światło dzienne z obawy, by jego teorie nie stały się przedmiotem niedwuznacznych szyderstw i kpin.

Odwrócił się i spojrzał na dyrektora do spraw public relations.

— Zrobiłem to wszystko, aby ochronić przyjaciela, który nieco zagalopował się w swoich teoriach. Nie chodziło mi o tuszowanie zbrodni. A co z doniesieniami o potworze? Winstonie, każdego roku otrzymywałeś co najmniej kilka zgłoszeń od ludzi, którzy widzieli lub słyszeli coś dziwnego, pracując w muzeum po godzinach. Nigdy nic z tym nie zrobiłeś, zgadza się?

— Skąd mogłem wiedzieć? — padła bełkotliwa odpowiedź. — Kto by w to uwierzył. To były absurdalne doniesienia, wysane z palca...

— Czy moglibyśmy zmienić temat? — zawołała Rickman. — Nie chcę tu dłużej siedzieć w ciemnościach. Może wydostalibyśmy się przez okna? Mogliby rozpiąć dla nas na dole siatki zabezpieczające...

— Nie — odrzekł Wright, wzdychając głęboko i przecierając oczy. — Te pręty są ze specjalnie utwardzanej stali i mają kilka cali grubości.

Rozejrzał się dokoła.

— A gdzie moja szklanka i butelka?

— Dość już wypiełeś — rzekł stanowczo Cuthbert.

— Ty i to twoje angielskie moralizatorstwo. — Podniósł się ciężko i kołyszącym krokiem poczłapał w stronę kredensu.

Na schodach D'Agosta odwrócił się i spojrzał w stronę ciemnej sylwetki

Baileya.

— Dzięki — powiedział.

— Pan tu dowodzi, poruczniku.

Poniżej na stopniach stała spora gromadka ocalałych gości, pochlipujących i pociągających nosami. D'Agosta odwrócił się w ich stronę.

— W porządku — rzekł półgłosem. — Musimy działać szybko. Na następnym podejście napotkamy drzwi wiodące do piwnic. Zejdziemy tam i spotkamy się z osobami, które znają wyjścia z tych korytarzy. Czy wszyscy to zrozumieli?

— Jasno i wyraźnie — rozległ się głos należący, jak stwierdził D'Agosta, do burmistrza.

— Świetnie. — D'Agosta pokiwał głową. — No to idziemy. Ja pójdę z przodu, oświetlając drogę. Bailey, osłaniaj tyły. Gdybyś coś zauważył, daj mi znać.

Grupa powoli zaczęła schodzić po kamiennych stopniach. Na podejście D'Agosta odczekał, aż Bailey da mu znak, że wszystko w porządku. Następnie nacisnął dłonią klamkę.

Bez skutku.

Szarpnął ponownie, tym razem mocniej.

I znowu nic.

— Co u...? — Oświetlił klamkę światłem latarki. — Cholera — wymamrotał. I nieco głośniejszym głosem dorzucił: — Zostańcie tu wszyscy przez chwilę i zachowujcie się możliwie jak najciszej. Muszę porozmawiać z moim podwładnym. — Zaczął wchodzić po schodach.

— Posłuchaj, Bailey — zwrócił się do niego cichym tonem — nie

przedostaniemy się do piwnic. Kilka naszych pocisków uszkodziło drzwi i wypaczyło framugę na amen. Bez łomu ich nie sforsujemy.

Nawet w ciemnościach dostrzegł wyraz konsternacji na twarzy tamtego.

— I co teraz? — spytał sierżant. — Wracamy na górę?

— Niech się zastanowię — odparł D'Agosta. — Ile masz jeszcze naboji? Ja mam sześć w moim służbowym rewolwerze.

— Nie wiem, piętnaście, może szesnaście.

— Cholera — warknął D'Agosta. — Nie sądzę... Przerwał, błyskawicznie zgasił latarkę i przez chwilę czujnie nasłuchiwał. Słaby ruch powietrza przyniósł w dół schodów charakterystyczny koźli, mdlący odór.

Bailey przykląkł na jedno kolano i uniósł strzelbę do strzału. D'Agosta szybko odwrócił się do czekającej poniżej grupy gości.

— Wszyscy zejźcie natychmiast na podest, piętro niżej — syknął. — Szybko!

Rozległy się głosy i szemrania.

— Nie możemy tam zejść! — zawołał ktoś. — Zostaniemy uwięzieni w tunelach!

Odpowiedź D'Agosty zagłuszył wystrzał ze śrutówki Bailey a.

— Bestia z Muzeum! — ktoś wrzasnął, a grupa w popłochu rzuciła się do ucieczki, potykając się i zbiegając po schodach na dół.

— Bailey! — ryknął D'Agosta, któremu od huku wystrzałów dzwoniło w uszach. — Bailey, za mną!

Schodząc tyłem po schodach, w jednej ręce trzymając rewolwer, drugą zaś dotykając ściany, D'Agosta zwrócił uwagę, że gdy znaleźli się na poziomie podziemi, mur stał się chłodny i wyraźnie wilgotny. Nieco wyżej nad sobą dostrzegł ciemną, rozmytą sylwetkę Bailey'a, sapiącego jak

lokomotywa i klnącego na czym świat stoi. D'Agosta miał wrażenie, że upłynęła cała wieczność, zanim jego stopa dotknęła podestu sutereny. Wokoło zgromadzili się zdyszani, spanikowani goście. Po chwili dołączył do nich również Bailey.

— Bailey, co to, kurwa, było? — wyszeptał.

— Nie wiem — padła odpowiedź. — Poczulem ten okropny smród, a potem chyba coś zobaczyłem. Dwoje czerwonych ślepi w ciemnościach. To strzeliłem.

D'Agosta oświetlił latarką podest. Snop światła ukazał oczom ich wszystkich topornie ciosaną żółtą skałę i cienie. Wciąż czuć było odrażającą woń.

— No, dobra — rzekł D'Agosta. — Jesteśmy w suterenie. Ja wejdę do tuneli pierwszy, gdy dam wam znak, pójdziecie za mną.

Odwrócił się i poświecił na drzwi. Chryste pomyślał. — Te drzwi wyglądają jak z londyńskiej Tower. Poczerniałe, metalowe odrzwia wzmocnione były poziomymi pasami żelaza. Gdy je otworzył, na klatkę schodową wypłynęła struga chłodnego, nieco zatęchłego, wilgotnego powietrza. D'Agosta ruszył pierwszy. Usłyszawszy szum płynącej wody, cofnął się i poświecił w dół.

— Posłuchajcie wszyscy — zawołał. — Jest tu trochę mokro, będziemy musieli brodzić po kostki w wodzie, ale to nic wielkiego. Schodźcie pojedynczo, szybko, ale i ostrożnie. Za drzwiami natraficie na dwa stopnie. Zjedźcie po nich. Bailey, osłaniaj tyły. I, na miłość boską, zamknij za sobą drzwi.

Pendergast przeliczył pozostałe naboje, włożył je do kieszeni i spojrzął w stronę Frocka.

— To doprawdy fascynujące. I muszę przyznać, że wykazał się pan nie lada umiejętnościami detektywistycznymi. Przepraszam, że zwątpiłem w pańską teorię, profesorze. Frock machnął ręką.

— Skąd mógł pan wiedzieć? — zapytał. — Poza tym to nasza Margo odkryła najistotniejsze ze śladów i połączyła je w zwartą całość. Gdyby nie zbadała włókien wypełniających skrzynie, nigdy nie poznalibyśmy prawdy.

Pendergast skinął głową w stronę Margo, która siedziała na wielkiej, drewnianej skrzyni.

— Doskonała robota — pochwalił. — Przydałabyś się nam w laboratorium kryminalistyki w Baton Rouge.

— Zakładając, że pozwolilibym jej stąd odejść — rzekł Frock.

— I że w ogóle wydostaniemy się stąd żywi. Co jest w najlepszym razie mocno wątpliwe.

— I zakładając, że w ogóle zechciałabym odejść z muzeum — dodała Margo, czym zaskoczyła nawet samą siebie. Pendergast odwrócił się do niej.

— Wiem, że rozumiesz tę istotę lepiej ode mnie. Czy jednak wierzysz, że twój plan może się powieść?

Margo wzięła głęboki oddech i skinęła głową.

— Jeśli ekstrapolator się nie myli, ta bestia, polując, kieruje się raczej węchem niż wzrokiem. I jeśli pragnie tych roślin tak bardzo, jak sądzimy...

Przerwała i wzruszyła ramionami.

— To jedyny sposób.

Pendergast na chwilę zamarł w bezruchu.

— Jeśli dzięki temu ocalimy tych ludzi na dole, powinniśmy



spróbować. — Sięgnął po krótkofalówkę.

— D'Agosta? — rzucił, ustawiając kanał. — D'Agosta, tu Pendergast.

Słyszysz mnie?

Szum z głośnika. I nagle:

— Tu D'Agosta.

— Podaj swoją obecną sytuację i położenie.

— Spotkaliśmy tę waszą istotę — padła odpowiedź. — Wdarła się do Sali Niebiańskiej, zabiła Ippolito i jednego z rannych gości. Wyszliśmy na schody, ale drzwi do piwnic okazały się zablokowane. Musieliśmy zejść do sutereny.

— Zrozumiałem — odparł Pendergast. — Jakim dysponujecie uzbrojeniem?

— Mamy tylko jedną strzelbę i rewolwer.

— Wasza obecna pozycja?

— Suterena, jakieś pięćdziesiąt jardów od drzwi prowadzących na klatkę schodową.

— Posłuchaj uważnie, Vincencie. Rozmawiałem z profesorem Frockiem. Stwór, z którym mamy do czynienia, odznacza się wybitną inteligencją. Może nawet jest równie bystry jak ty lub ja.

— Mów za siebie.

— Jeśli znów go spotkacie, nie celuj w głowę. Kule odbijają się od jego twardego czerepu. Mierz w korpus.

Przez chwilę panowała cisza, po czym znów dał się słyszeć głos D'Agosty.

— Posłuchaj, Pendergast, musisz powiadomić o tym Cof-feya. Chce wysłać do budynku grupę specjalną i chyba nie bardzo zdaje sobie sprawę,

z czym właściwie ma do czynienia.

— Zrobię co w mojej mocy. Najpierw jednak pomówmy o tym, jak was stamtąd wyciągnąć. Ta bestia może was ścigać.

— Co ty nie powiesz.

— Mógłbym wyprowadzić was z muzeum przez sieć suterren. To nie będzie proste. Plany są bardzo stare i nie całkiem wiarygodne. Możecie natrafić na różne przeszkody, wodę...

— Już teraz brodzimy w wodzie po kostki. Posłuchaj, Pendergast, czy aby jesteś pewien tego, co mówisz? Tam na zewnątrz szaleje burza stulecia.

— Macie do wyboru, woda albo monstrum. Jest was czterdzieścioro, stanowicie najbardziej oczywisty cel. Musicie się przemieszczać i to naprawdę szybko, to jedyne wyjście.

— Dołączycie do nas?

— Nie! Postanowiliśmy zostać tutaj i odciągnąć tę bestię od was. Nie mam teraz czasu, aby ci wyjaśnić, w jaki sposób zamierzamy to zrobić. Jeśli nasz plan zadziała, przyłączymy się do was nieco później. Dzięki tym planom odkryłem kilka zapomnianych przejść z dwójki do suterreny.

— Chryste, Pendergast, tylko bądź ostrożny!

— Mam taki zamiar. A teraz posłuchaj. Czy znajdujecie się w długim, biegnącym prosto korytarzu?

— Tak

— Świetnie. Przy następnym rozwidleniu skręćcie w prawo. Jakies sto jardów dalej powinniście natrafić na kolejne. Gdy dotrzecie do drugiego rozwidlenia, wywołaj mnie. Zrozumiałeś?

— Naturalnie.

— Powodzenia. Bez odbioru. Pendergast szybko zmienił częstotliwość.

— Coffey, tu Pendergast. Słyszysz mnie?

— Tu Coffey. Do cholery, Pendergast, próbuję cię namierzyć już od...

— Nie ma teraz na to czasu. Wysyłasz grupę ratunkową?

— Tak. Lada moment wchodzi do akcji.

— To dopilnuj, żeby byli uzbrojeni w wielkokalibrową broń

automatyczną i mieli na sobie hełmy oraz kamizelki kuloodporne. Grasuje tu naprawdę wielkie i mordercze bydło. Widziałem je. Wałęsa się po sektorze drugim.

— Na miłość boską, ty i D'Agosta. Jeśli starasz się...

— Ostrzegam cię po raz ostatni — rzucił z przejęciem Pendergast. —

Masz do czynienia z czymś naprawdę potwornym i zabójczym Pamiętaj, jeśli zlekceważysz moje słowa, odpowiedzialność za to, co się stanie, spadnie wyłącznie na ciebie.

— Nie, Pendergast, zaczekaj! Rozkazuję ci... Pendergast wyłączył krótkofalówkę.



## *Rozdział pięćdziesiąty drugi*

Brnęli przez wodę, słabe światło latarek muskało nisko sklepiony sufit zarówno za, jak i przed nimi. Słaby podmuch powietrza omiatał ich twarze. D'Agosta był zaniepokojony. Teraz, gdy charakterystyczny smród nie obwieści im obecności bestii, stwór mógł pojawić się za nimi w każdej niemal chwili. Przystanął na chwilę, aby poczekać na Bailey'a.

— Poruczniku — rzekł burmistrz, łapiąc oddech — jest pan pewien, że gdzieś tam jest wyjście?

— Wiem tylko to, czego się dowiedziałem od agenta Pendergasta, sir. To on ma plany. Jednak z całą pewnością wiem, że nikt z nas nie ma ochoty wracać, skąd przyszliśmy.

D'Agosta i pozostali znów ruszyli naprzód. Ciemne, oleiste krople skapywały z półkoliście sklepionego, ceglanego sufitu. Ściany pokryte były naciekami wapienia. Wszyscy milczeli, z wyjątkiem jednej kobiety, pochlipującej cichutko.

— Pan wybaczy, poruczniku — rozległ się głos. Młody, wychudzony facet. Smithback.

— Tak?

— Zechciałby pan coś mi powiedzieć?

— To znaczy?

— Jak to jest, gdy od pana zależy życie czterdziestu osób, w tym także burmistrza Nowego Jorku? Jakie to uczucie?

— Co proszę? — D'Agosta przystanął na chwilę i obejrzał się przez ramię. — Nie powie mi pan, że mamy wśród nas pieprzonego pismaka!

— No cóż, ja... — zaczął Smithback.

— Niech pan zadzwoni na komendę i umówi się ze mną na wywiad w moim biurze.

D'Agosta poświecił latarką i odnalazł rozwidlenie tunelu. Wybrał prawą odnogę zgodnie z zaleceniem Pendergasta. Korytarz opadał pod lekkim kątem i woda przepływała tu nieco szybciej, szarpiąc za nogawki spodni, by ostatecznie odpłynąć w mroczną czeluść przed nimi.

Rana na ręce pulsowała tęnym bólem. Gdy z resztą grupy wszedł za kolejny załom korytarza, D'Agosta z ulgą stwierdził, że nie czuje już na twarzy podmuchów powietrza.

Obok nich przepłynęło nabrzmiałe truchło zdechłego szczura, objając się o nogi ludzi niczym leniwa, przyduża kula bilardowa.

Ktoś jęknął i próbował odkopnąć martwe zwierzę, ale nikt się nie uskarżał.

— Bailey! — zawołał D'Agosta.

— Tak?

— Widzisz coś?

— Gdybym zobaczył, pan dowiedziałby się o tym pierwszy.

— W porządku. Skontaktuję się z górą, sprawdzę, czy zrobili jakieś postępy w przywróceniu zasilania w budynku.

Sięgnął po krótkofalówkę.

— Coffey?

— Jestem. Pendergast właśnie bezczelnie się rozłączył. Gdzie jesteś?

— W suterenie. Pendergast ma plany. Prowadzi nas przez radio. Kiedy

włączą światło?

— D'Agosta, nie rób z siebie idioty. Przez niego wszyscy zginiecie. Nie wydaje się, aby zasilanie miało zostać przywrócone w najbliższym czasie. Wróćcie do Sali Niebiańskiej i czekajcie tam. Za parę minut do gmachu wejdzie przez dach brygada antyterrorystyczna.

— Wobec tego powinniście wiedzieć, że Wright, Cuthbert i dyrektor do spraw public relations są gdzieś na górze, najprawdopodobniej na trzecim piętrze. Tylko tam mogli dotrzeć tymi schodami.

— O czym ty mówisz? Nie zabraliście ich ze sobą?

— Nie chcieli pójść z nami. Wright miał inną propozycję i przekonał do niej tamtych dwoje.

— Wygląda na to, że mieli więcej oleju w głowie niż wy wszyscy razem wzięci. Czy z burmistrzem wszystko w porządku? Chciałbym z nim mówić.

D'Agosta przekazał krótkofalówkę burmistrzowi.

— Nic panu nie jest? — spytał z przejęciem Coffey.

— Z porucznikiem nie zginiemy. To bystry facet.

— Uważam, sir, że powinniście zawrócić do Sali Niebiańskiej i poczekać tam na ekipę ratunkową. Wysyłamy brygadę antyterrorystyczną, aby was stamtąd wyciągnąć.

— W pełni ufam porucznikowi D'Agoście. I pan także powinien.

— Tak, oczywiście, sir. Chciałbym zapewnić, że dołożymy wszelkich starań, aby bezpiecznie pana stamtąd wyprowadzić.

— Coffey?

— Tak?

— Prócz mnie są tu jeszcze trzy tuziny innych osób. Proszę o nich nie

zapominać.

— Ależ, sir, ja tylko chciałem, żeby...

— Coffey! Chyba mnie pan nie zrozumiał. Powinien pan dołożyć starań, aby wyciągnąć stąd nas wszystkich. Każde ludzkie życie jest jednakowo cenne.

— Tak jest, sir.

Burmistrz oddał radio D'Agoście.

— Czy mi się wydaje, czy ten Coffey to skończony kretyn? — mruknął pod nosem.

D'Agosta włożył krótkofalówkę do kabury przy pasie i ruszył dalej w głąb korytarza. Naraz przystanął, oświetlając latarką coś, co wyłoniło się z czerni na wprost nich. Były to zamknięte stalowe drzwi. Oleista woda przelewała się przez grube kraty w ich dolnej części. Podeszedł bliżej. Przypominały drzwi u podnóża schodów: grube, podwójnie wzmocnione, najeżone zardzewiałymi główkami wielkich ćwieków. Stara miedziana kłódka, pokryta warstwą grynszpanu, przełożona była przez grubą, metalowy pierścień przymocowany z boku drzwi. D'Agosta szarpnął za kłódkę, lecz nie przyniosło to żadnych rezultatów.

— Pendergast? — rzucił D'Agosta, ponownie sięgając po krótkofalówkę.

— Jestem. Słyszę cię.

— Minęliśmy pierwsze rozwidlenie, ale natknęliśmy się na stalowe drzwi. Są zamknięte.

— Zamknięte drzwi? Pomiędzy pierwszym i drugim rozwidleniem?

— Tak.

— I przy pierwszym rozwidleniu skręciliście w prawo?



— Tak.

— Chwileczkę. — Rozległ się szelest papieru.

— Vincencie, wróćcie do rozwidlenia i skręćcie w tunel po lewej.

Szybko!

D'Agosta obrócił się na pięcie.

— Bailey! Wracamy do ostatniego rozwidlenia. Ruszać się, wszyscy!

Jazda!

Cała grupa zawróciła, brnąc w posepnych nastrojach przez ciemną, oleistą wodę.

— Stać! — rozległ się głos Baileya od czoła grupy. — Chryste, poruczniku, czuje pan ten smród?

— Nie — rzucił D'Agosta i zaraz dodał: — Cholera — gdy w nozdrza uderzył go drażniący, słodkawy smród. — Bailey, będziemy musieli walczyć tu i teraz. Nie mamy wyboru! Już do ciebie idę! Wal w sukinsyna!

Cuthbert usiadł na stole roboczym i jakby od niechcienia zaczął stukać w poorany blat temperówką. Przy drugim końcu stołu siedział w bezruchu Wright, ukrywając twarz w dłoniach. Rickman stała przy maleńkim oknie, wspinając się na palcach.

Świeciła latarką przez kraty ochraniające szybę, włączając ją i wyłączając starannie wymanikiurowanym palcem.

Błyskawica oświetliła jej szczupłą sylwetkę, a zaraz potem wnętrze pomieszczenia wypełnił huk grzmotu.

— Ale leje — rzekła. — Nic nie widzę.

— I nikt nie widzi ciebie — powiedział ze znużeniem Cuthbert. — Tylko marnujesz baterię. Latarka może się nam jeszcze przydać.

Rickman westchnęła głośno i zgasła latarkę. Laboratorium znów

pograżyło się w ciemnościach.

— Ciekawe, co ten stwór zrobił z ciałem Montague? — rozległ się bełkotliwy głos Wrighta. — Pożarł je? — Zarechotał. — Gdzie moja whisky? Ian, ty cholerny Szkocie, gdzie schowałeś moją whisky?

Cuthbert wciąż stukał temperówką o blat.

— Pożarł je! Z odrobiną ryżu curry! Pilaw z Montague.

Wright zarechotał.

Cuthbert wstał, wyciągnął rękę i wyłuskał trzydziestkę ósemkę, którą Wright miał zatknietą za paskiem. Sprawdził bębenek i wsunął broń za swój pasek.

— Oddaj mi broń, ale już! — domagał się Wright. Cuthbert milczał.

— Jesteś łobuz i bandyta, wiesz, Ian? Zawsze byłeś bandytą i łobuzem, tępym, zazdrosnym łobuzem. Pierwszą rzeczą, którą zrobię w poniedziałek rano, będzie zwolnienie cię. W trybie natychmiastowym. Właściwie już teraz czuj się wylany. — Wright podniósł się niepewnie. — Jesteś wylany, słyszysz?

Cuthbert stał przy frontowych drzwiach laboratorium, nasłuchując.

— O co chodzi? Co się dzieje? — zapytała zaniepokojona Rickman.

Cuthbert uciszył ją, energicznie unosząc do góry prawą rękę.

Cisza.

Wreszcie Cuthbert odsunął się od drzwi.

— Wydawało mi się, że coś usłyszałem — odparł. Spojrzał na Rickman. — Lavinio? Mogłabyś podejść tu na chwilę?

— O co chodzi? — spytała drżącym głosem. Cuthbert odsunął ją na bok.

— Podaj mi latarkę — powiedział. — A teraz posłuchaj. Nie chcę cię

przestraszyć. Gdyby jednak coś się stało...

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Nie pozwoliła mu dokończyć. Była bliska hysterii.

— To coś, co morduje ludzi, wciąż jest na wolności. Nie mam pewności, czy jesteśmy tu bezpieczni.

— Ale te drzwi! Winston mówił, że mają dwa cale grubości...

— Wiem. Może nic się nie stanie. Jednakże drzwi na wystawę były znacznie grubsze i wolałbym przedsięwziąć niezbędne środki ostrożności. Proszę mi pomóc przesunąć ten stół pod drzwi. — Odwrócił się w stronę dyrektora.

Wright nieznacznie uniósł głowę, miał mętny wzrok.

— Jesteś zwolniony! Zabierz swoje rzeczy z biurka do siedemnastej w poniedziałek.

Cuthbert postawił Wrighta na nogi i posadził go na najbliższym krześle. Następnie przy pomocy Rickman przesunął stół pod wielkie, dębowe drzwi laboratorium.

— To powinno go choć na chwilę spowolnić — powiedział, otrzepując marynarkę. — Ja zaś zdążę przez ten czas, przy odrobinie szczęścia, oddać kilka strzałów. Gdyby zrobiło się gorąco, chciałbym, abyście wycofali się drugimi drzwiami do Sali Dinozaurów. Ukryjcie się tam. Z chwilą opuszczenia grodzi awaryjnych nie ma innego sposobu, aby się do niej dostać. W ten sposób od tego czegoś, co grasuje po naszym muzeum, będzie was oddzielało aż dwoje solidnych drzwi. — Cuthbert nerwowo rozejrzał się dokoła. — A tymczasem spróbujmy wybić to okno. Może ktoś usłyszy nasze wołanie.

Wright roześmiał się.

— To się wam nie uda. Nie macie szans. Szkło jest specjalnie hartowane, nietłukące.

Cuthbert przez chwilę myszkował po laboratorium, aż w końcu znalazł poręczny kawał żelaza. Gdy zamachnął się nim ukośnie pomiędzy prętami krat, metal odbił się od szyby i wyleciał mu z ręki.

— Niech to szlag — wymamrotał pod nosem, zacierając dłonie.

— Moglibyśmy przestrzelić szybę — debatował. — Masz zapasowe naboje?

— Już z tobą nie rozmawiam — wybełkotał Wright. Cuthbert zaczął gmerać w szafkach i szufladach.

— Nic — oznajmił po chwili. — Nie ma sensu marnować naboji na byle szybę. Mamy tylko pięć kul.

— Nic, nic, nic — czy to nie słowa króla Lira?

Cuthbert westchnął ciężko i usiadł. Pomieszczenie znów wypełniła cisza; słychać było jedynie szum wiatru, deszcz tłukący o szybę i odległy huk grzmotu.

Pendergast opuścił dłoń z krótkofalówką i odwrócił się do Margo.

— D'Agosta ma kłopoty. Musimy działać. I to szybko.

— Zostawcie mnie — zaproponował Frock. — Tylko bym was opóźniał.

— Szlachetny gest — przyznał Pendergast. — Ale potrzeba nam pańskiego bystrego umysłu.

Powoli, świecąc latarką na prawo i lewo, wyszedł na korytarz. Po chwili dał znak, że droga jest wolna. Ruszyli w głąb korytarza. Margo, najszybciej jak tylko mogła, pchała przed sobą wózek.

Frock od czasu do czasu dawał im wskazówki, którądy powinni iść,

wybierając możliwie najkrótszą drogę.

Pendergast przy każdym rozwidleniu dróg przystawał, dobywając broni. Co pewien czas nasłuchiwał i węszył, czy w powietrzu nie czuć charakterystycznej, odrażającej woni. Po kilku minutach zajął miejsce Margo i zaczął pchać wózek. Stażystka bynajmniej nie zaoponowała.

Skręcili za róg i znaleźli się naprzeciw drzwi do Strefy Chronionej.

Po raz chyba setny Margo odmówiła w duchu modlitwę, by jej plan się powiódł, aby nie okazało się, że przez własną głupotę skazała na okrutną śmierć ich troje i grupę uwięzioną w tunelach poniżej.

— Trzeci po prawej! — zawołał Frock, gdy znaleźli się w Strefie Chronionej. — Margo, pamiętasz szyfr?

Ustawiła kombinację, pociągnęła dźwignię i drzwi otworzyły się. Pendergast wszedł do środka i ukląkł obok mniejszej skrzyni.

— Zaczekaj! — rzekła Margo.

Pendergast przystanął i uniósł brwi w pytającym geście.

— Nie pozwól, by całe twoje ubranie przesiąkło tym zapachem — ostrzegła. — Nabierz włókna do marynarki.

Pendergast zawahał się.

— Proszę — powiedział Frock. — Wyjmuj je ze skrzyni za pomocą mojej chustki do nosa.

Pendergast przyjrzał się jej.

— No, cóż — mruknął posepnie — skoro nasz profesor może poświęcić chustkę do nosa za sto dolarów, ja mogę pozbyć się marynarki. — Wyjął krótkofalówkę oraz notes, wetknął je za pasek od spodni, po czym zdjął marynarkę.

— Od kiedy agenci FBI noszą markowe garnitury od Arma-niego? —

zapytała Margo żartobliwie.

— A od kiedy stażystki etnofarmakologii umieją rozpoznawać markowe garnitury? — odrzekł Pendergast, starannie rozkładając marynarkę na podłodze.

Następnie nabrał przez chustkę kilka garści włókien i rozsypał na materiale. Na koniec wcisnął złożoną chustkę do jednego rękawa, złożył marynarkę i związawszy rękawy, zrobił z niej zgrabny tobołek.

— Przydałby się sznurek, abyśmy mogli ciągnąć ten węzełek za sobą — wtrąciła Margo.

— Jedna ze skrzyń stojących w kącie jest opasana sznurem — zauważył Frock.

Pendergast omotał tobołek sznurem i dla pewności przeciągnął go po podłodze.

— Chyba się nie urwie — skonstatował. — Szkoda, że nikt od dłuższego czasu tu nie odkurzał. — Odwrócił się do Margo.

— Czy wydzielająca się z tego zawiniątka woń wystarczy, by przywabić monstrum?

Frock energicznie pokiwał głową.

— Ekstrapolator oszacował, że to stworzenie ma znacznie bardziej wrażliwy węch niż ludzie. Pamięta pan, że zdołało dotrzeć tropem skrzyń aż tu, do Strefy Chronionej.

— Jest pan pewien, że... ee... to, czym nasz stwór posilił się dzisiejszego wieczoru, nie zabiło jego głodu?

— Panie Pendergast, ludzki hormon stanowi jedynie mamy substytut tej rośliny. Ona jest dla tego stwora całym życiem. Jest wszystkim.

Frock znów pokiwał głową.

— Jeśli tylko zwietrzy woń włókien, natychmiast podąży ich tropem.

— Wobec tego ruszajmy — zaproponował Pendergast.

Uniósł w ręce sznurek, na końcu którego zwieszało się zawiniątko. —

Drugie zejście do korytarzy sutereny znajduje się kilkaset jardów stąd.

Jeśli macie rację, od tej pory nasze życie nie będzie warte funta kłaków.

Jesteśmy jak kurki na strzelnicy. Ten stwór będzie próbował dopaść nas.

Za wszelką cenę.

Popychając wózek, Margo wyszła za agentem na korytarz. Pendergast zamknął drzwi i już po chwili cała trójka ruszyła szybko w głąb korytarza, powracając do przepelnionych grobową ciszą tuneli Starych Piwnic.

## *Rozdział pięćdziesiąty trzeci*

D'Agosta brnął naprzód przez wodę, skulony, z rewolwerem wymierzonym w atramentową ciemność na wprost niego. Zgasił latarkę, aby nie zdradzić swego położenia. Woda wartko opływała jego uda, woń alg i wapienia mieszała się z gnilnym odorem stworzenia.

— Jesteś tam, Bailey? — wyszeptał w półmrok.

— Tak — padła odpowiedź. — Czekam przy pierwszym rozwidleniu.

— Masz więcej naboju niż ja. Jeśli przepędzimy tego skurwiela, chcę, abyś stanął na straży, podczas gdy ja wrócę i spróbuję paroma strzałami rozwalić tę cholerną kłódkę.

— Tak jest.

D'Agosta ruszył w stronę Bailey'a, od zimnej wody zaczęły mu drętwieć nogi. Wtem w czerni na wprost niego coś się zakotłowało, rozległo się głośne pluśnięcie, jedno, potem drugie, o wiele bliżej. Strzelba Bailey'a dwukrotnie plunęła ogniem, kilka osób z grupy jęknęło w głos.

— Jezu! — Usłyszał jęk bólu Bailey'a, a potem cichy chrzęst, wrzask Bailey'a i odgłosy gwałtownej szamotaniny, w wodzie, przed nim.

— Bailey! — zawołał, ale słyszał teraz jedynie szum płynącej wody. Wyjął latarkę i poświecił w głąb tunelu. Nic.



— Bailey!

Kilka osób z tyłu za nim płakało, ktoś zaczął zawodzić histerycznie.

— Cicho tam! — rzucił D'Agosta. — Nic nie słyszę! Krzyki zostały natychmiast stłumione. Poświecił latarką przed siebie, omiół słabym promieniem ściany i sufit, niczego jednak nie dostrzegł.

Bailey zniknął, a woń znów stała się prawie niewyczuwalna. Może Bailey trafił to bydlę. A może stwór wycofał się tylko na chwilę, spłoszony odgłosem wystrzałów. Poświecił latarką w dół i spostrzegł, że woda przepływająca wokół jego nóg zabarwiła się na czerwono. Zauważył też płynący z prądem strzęp niebieskiego, policyjnego munduru.

— Niech ktoś mi tu pomoże! — syknął przez ramię. Smithback natychmiast znalazł się tuż przy nim.

— Świeć latarką w głąb korytarza — polecił mu D'Agosta.

D'Agosta dotknął palcami kamiennego podłoża. Jak zauważył, poziom wody nieco się podwyższył, gdy się pochylił, musnęła jego pierś. Coś przepłynęło obok jego nosa, fragment Bailey'a, i na chwilę musiał się odwrócić.

Nie znalazł strzelby.

— Smithback — powiedział. — Muszę teraz wrócić, aby przestrzelić kłódkę. Nie możemy oddalać się zbyt od reszty grupy, gdy w pobliżu czai się ten stwór. Poszukaj w wodzie strzelby. Jeśli coś poczujesz lub usłyszysz, krzycz!

— Zostawia mnie pan tutaj samego? — zapytał Smithback z lekkim niepokojem.

— Masz latarkę. To potrwa tylko chwilę. Dasz radę?

— Spróbuję.

D'Agosta lekko uściskał ramię Smithbacka i zaczął się wycofywać. Jak na dziennikarza facet miał jaja. Gdy mijał grupę, ktoś schwycił go za rękę.

— Niech pan nam powie, co się dzieje — poprosiła zapłakana kobieta.

Delikatnie uwolnił dłoń z jej uścisku. Po chwili D'Agosta usłyszał, jak burmistrz mówi coś do niej kojącym tonem. Może następnym razem on też zagłosuje na tego starego twardziela.

— Cofnijcie się wszyscy — polecił i stanął przed drzwiami. Wiedział, że powinien stanąć w nieco większej od nich odległości, z u wagi na ewentualne rykoszety. Mimo że kłódka była gruba, w półmroku trudno było dobrze wymierzyć w nią.

Ustawił się kilka stóp od drzwi, przysunął lufę trzydziestki ósemki do kłódki i wypalił. Kiedy rozwiął się dym, ujrzał ziejący w kłódce okrągły, równy otwór. Stare żelastwo wciąż trzymało mocno.

— Kurwa mać — wysyczał, przykładając lufę do skobla, i wystrzelił raz jeszcze. Kłódka rozleciała się w drobny mak. Naparł całym ciężarem na drzwi.

— Niech ktoś mi pomoże! — zawołał.

Natychmiast prócz niego na drzwi rzuciło się jeszcze kilka osób. Zardzewiałe zawiasy wydały głośny zgrzyt, przez otwór zaczęła wlewać się woda.

— Smithback. Znalazłeś coś?

— Mam jego latarkę! — padła odpowiedź.

— Świetnie. A teraz wracaj do nas, tylko migiem!

Przechodząc przez drzwi, D'Agosta zauważył, że po ich drugiej stronie również znajduje się metalowy pierścień. Cofnął się i przepuścił grupę, odliczając w myślach. Trzydzieści siedem osób. Stracili Baileyę.

Smithback szedł na samym końcu.

— Dobra, a teraz zamknijmy te drzwi! — krzyknął D'Agosta. I znów, atakowane przez silny prąd wody, zamykane drzwi wydały przeciągły zgrzyt.

— Smithback, poświeć no tu jedną latarką. Może znajdziemy coś, żeby zablokować te drzwi.

Rozglądał się przez chwilę. Dobrze by było, gdyby zdołali przełożyć solidny kawałek metalu przez pierścień, zyskując w ten sposób prowizoryczny rygiel.

Odwrócił się do grupy.

— Potrzebuję czegoś, czegokolwiek, byle z metalu! — zawołał. — Czy ma ktoś z was coś, czego moglibyśmy użyć do zablokowania tych drzwi?

Burmistrz szybko obszedł całą grupę i po chwili wrócił do D'Agosty z niedużym naręczem rozmaitych metalowych przedmiotów.

W świetle latarki trzymanej przez Smithbacka D'Agosta przejrzał kolekcję spinek, grzebieni i naszyjników.

— Nic z tego się nie nadaje — mruknął pod nosem. Nagle z drugiej strony drzwi dobiegł ich głośny plusk wody i gardłowy pomruk. Przez otwory w dolnej części drzwi napłynęło powietrze przesycone dławiającym odorem. Dało się słyszeć ciche łupnięcie, zgrzyt zawiasów i drzwi zaczęły się otwierać.

— Chryste! Pomóżcie mi zamknąć te drzwi.

Tak jak poprzednio kilka osób rzuciło się na drzwi, domykając je własnym ciężarem. Rozległ się donośny grzechot, a potem głośniejszy łoskot; stwór stawił czoło ich naporowi i powoli, acz regularnie zaczął spychać ich w tył. Drzwi zaskrzypiały i uchyliły się jeszcze bardziej.

Na komendę D'Agosty na pomoc pchającym pospieszyli następni.

— Pchajcie!

Kolejny ryk, a potem uderzenie, którego moc raz jeszcze odepchnęła wszystkich w tył. Drzwi jęknęły pod wpływem przeciwstawnych sił, ale się otwierały, szczelina szerokości sześciu cali powiększyła się o kolejne dwa. Woń stała się nie do zniesienia. Patrząc, jak drzwi coraz bardziej się uchylają, D'Agosta dostrzegł przesuwające się po ich krawędzi trzy palce zakończone sierpowatymi szponami. Kształt macał wzdłuż krawędzi drzwi, a potem zamachnął się do przodu, na przemian to zaciskając, to rozprostowując szponiaste palce.

— Jezus Maria, Józefie święty. — D'Agosta usłyszał głos burmistrza.

Ktoś inny zaintonował drżącym głosem pieśń religijną. D'Agosta przysunął lufę broni do szczeliny i pociągnął za spust. Dał się słyszeć potworny ryk i ogromny kształt znikł w spienionej wodzie.

— Latarka! — zawołał Smithback. — Powinna pasować idealnie! Trzeba ją wcisnąć w pierścień!

— Zostanie nam tylko jedna — wysapał D'Agosta.

— Ma pan lepszy pomysł?

— Nie — odparł D'Agosta. I nieco głośniejszym głosem dorzucił: — Pchajcie, wszyscy!

Napierając ze wszystkich sił, domknęli wreszcie solidne drzwi, a Smithback przepchnął przez metalowy pierścień grubą latarkę. Weszła w otwór bez trudu, a jej świecący koniec zatrzymał się na stalowym skoblu. Gdy D'Agosta odzyskał oddech, usłyszeli kolejny łomot i choć drzwi zatrzęsły się w posadach, wytrzymały.

— W nogi! — zawołał D'Agosta. — Uciekajcie wszyscy! — Cała

grupa rzuciła się do ucieczki, brnąc i potykając się w coraz głębszej wodzie.

D'Agosta popchnięty z tyłu, potknął się i upadł na twarz w wartki nurt. Podniósł się i ruszył naprzód, usiłując ignorować głośnie ryki i dudnienie uderzającego w drzwi monstrem, był pewien, że słuchając ich, już wkrótce postradałby zmysły. Zamiast tego zmusił się do rozmyślania o latarce. To był solidny, policyjny model. Powinien wytrzymać. D'Agosta miał taką nadzieję. Cała grupa zatrzymała się przy drugim rozwidleniu tunelu. Ludzie dygotali i szlochali. Pora skontaktować się z Pendergastem. Niech nas wyprowadzi z tego pieprzonego labiryntu, pomyślał D'Agosta. Porucznik opuścił dłoń do biodra i nieomal z przerażeniem stwierdził, że kabura krótkofalówki jest pusta.

Coffey stał na posterunku ochrony, gapiąc się smętnie w monitor. Nie mógł się skontaktować z Pendergastem ani z D'Agostą. Uwięzieni w dwójce Garcia w Centrali Ochrony i Waters w Sali Komputerów wciąż zgłaszali się na wezwanie. Czyżby wszyscy inni zginęli? Na myśl o śmierci burmistrza i nagłówkach, które po takiej tragedii pojawiają się w gazetach, czuł dziwną pustkę w żołądku.

Płomień palnika acetylenowego gorejący przy srebrnej tafli grodzi zabezpieczającej przy wschodnim wejściu do rotundy rzucał upiorne cienie na wysokim, sklepionym suficie. Powietrze przesycone było kwaśną wonią topionej stali. W rotundzie zrobiło się dziwnie cicho. Przy grodzi wciąż prowadzono polowe amputacje kończyn, lecz wszyscy inni goście wrócili do swoich domów lub zostali przewiezieni do szpitali. Dziennikarzy zepchnięto wreszcie za policyjne blokady. W pobliskich uliczkach stały karetki z gotowymi do akcji lekarzami i pielęgniarkami.

Dowódca grupy specjalnej podszedł do Coffeya, zapinając na czarnym kombinezonie bojowym pas z amunicją.

— Jesteśmy gotowi — oznajmił. Coffey skinął głową.

— Proszę o szczegóły operacji.

Dowódca odsunął na bok telefony i rozłożył na blacie biurka plan budynku.

— Kontroler będzie prowadzić nas przez krótkofalówkę. Ma dokładne plany całego gmachu. Faza pierwsza: przebijemy otwór w dachu, o, tutaj i zejdziemy na czwarte piętro. Według speców od ochrony do wysadzenia tych drzwi wystarczy jeden ładunek. W ten sposób dostaniemy się do sąsiedniego sektora. Zejdziemy następnie w dół, na trzecie piętro, do tego tutaj pomieszczenia magazynowego. Znajduje się ono bezpośrednio nad Salą Niebiańską. W podłodze jest kłapa używana przez konserwatorów i obsługę do napraw i czyszczenia kandelabra. Opuścimy naszych ludzi i wywindujemy rannych na górę w specjalnej uprząży ratunkowej. Faza druga: ratujemy osoby przebywające w suterenie, burmistrza wraz z dużą grupą gości. Faza trzecia: szukamy tych, którzy mogą jeszcze znajdować się w obrębie sektora. O ile mi wiadomo, mamy uwięzione osoby w Sali Komputerów i Centrali Ochrony. Dyrektor muzeum, Ian Cuthbert i jak dotąd nie zidentyfikowana kobieta mogli udać się na któreś z wyższych pięter. Czy w sektorach nie znajdują się także pańscy agenci? Ten facet z filii agencji w Nowym Orleanie...

— Ja się nim będę martwił — uciął Coffey. — Kto opracował ten plan?

— My wszyscy przy współdziale Centrali Ochrony. Ten facet, Allen, ma bardzo dokładne plany poszczególnych sektorów. W każdym razie zdaniem speców od systemu bezpieczeństwa...

— Jasne. Kto dowodzi?

— Jak panu zapewne wiadomo, w sytuacjach kryzysowych dowódca grupy specjalnej SWAT...

— Chcę, abyście weszli tam i zabili sukinsyna. Czy to jasne?

— Sir, naszym podstawowym priorytetem jest ocalenie zakładników i ratowanie ludzkiego życia. Dopiero wtedy możemy zająć się...

— Ma mnie pan za idiotę? Jeśli zabijemy stworzenie, które tam szaleje, wszystkie nasze problemy zostaną rozwiązane. Zgadza się? To nie jest typowa sytuacja, do jakiej pan przywykł, i wymaga twórczego myślenia.

— W sytuacji kryzysowej, gdy w grę wchodzi zakładnicy, odbicie ich pozbawia zabójcę jego kart przetargowych...

— Czy przespał pan dzisiejszą odprawę? Nie mamy do czynienia z człowiekiem, lecz ze zwierzęciem.

— Ale ranni...

— Niech kilku pańskich ludzi wydostanie stamtąd tych cholernych rannych. Chciałbym jednak, aby reszta ruszyła w pościg za tym stworzeniem i zabiła je. Gdy już je uśmiercicie, będziecie mogli bez pośpiechu, spokojnie i bezpiecznie zająć się ratowaniem życia pozostałych osób wążających się po budynku. Oto całe pańskie zadanie. Wykonać.

— Tak jest. Jednakże zalecałbym...

— Zalecać się możecie do jakiejś panny. Róbcie, co do was należy. Rozkazy są jasne i zrozumiałe. Wykonajcie je solidnie. Zabijcie skurwysyna.

Dowódca spojrział na Coffeya ze zdziwieniem.

— Jest pan pewien, że mamy tu do czynienia ze zwykłym zwierzęciem?

Coffey zawahał się.

— Tak — odrzekł w końcu. — Niewiele o nim wiem, ale zabiło już parę osób.

Dowódca przez chwilę przyglądał się Coffeyowi.

— Taa — powiedział w końcu — cóż, niezależnie od tego, co to za stwór, dysponujemy dostatecznie wielką siłą ognia, by roznieść na strzępy stado głodnych lwów.

— Na pewno się wam przyda. Znajdźcie to coś. I rozwalcie.

Pendergast i Margo zajrzeli przez wąski tunel służbowy do sutereny. Jasny krąg światła z latarki agenta padł na powierzchnię płynącej warstko poniżej oleisto czarnej wody.

— Poziom się podwyższa — rzekł Pendergast. I odwrócił się do Margo.

— Jesteś pewna, że to stworzenie zdoła precyzyjnie się przez ten właz?

— Prawie — odrzekła Margo. — Jest bardzo zwinne. Pendergast cofnął się i ponownie spróbował połączyć się przez radio z D'Agostą.

— Coś się stało — powiedział. — Porucznik od kwadransa nie daje znaku życia. Odkąd natrafili na te zamknięte drzwi. — Znow spojrzał przez ukośnie biegnący tunel do wnętrza sutereny, poniżej.

— Jak zamierzasz przywabić to stworzenie? Jest tu tyle wody, zapach się nie utrzyma.

— Myśli pan, że przeszli tędy już jakiś czas temu, zgadza się? — spytała Margo.

Pendergast skinął głową.

— Gdy ostatni raz z nim rozmawiałem, D'Agosta mówił, że jego grupa znajduje się pomiędzy pierwszym a drugim rozwidleniem tuneli —



wyjaśnił. — Zakładając, że nie musieli wrócić, powinni już dawno minąć to miejsce.

— Wydaje mi się — zaczęła Margo — że jeśli rzucimy trochę tych włókien na wodę, prąd zanieś je do tej istoty.

— Musimy założyć, że to stworzenie jest dostatecznie bystre, by zorientować się, że włókna płyną z prądem. W przeciwnym razie zamiast pójść pod prąd, może po prostu podążać za nimi, a wtedy nici z naszego planu.

— Uważam, że jest całkiem bystre — odezwał się Frock. — Nie powinien pan myśleć o nim jak o zwierzęciu. Powiedziałbym, że może on nawet dorównywać inteligencją człowiekowi.

Pendergast przez chustkę wyjął z zawiniątka garść włókien i rozsypał je u wejścia do tunelu. Kolejną wrzucił przez otwór poniżej na wodę.

— Nie za dużo — ostrzegł Frock. Pendergast spojrział na Margo.

— Sypniemy jeszcze parę włókien, aby płynąc z prądem, utworzyły wyraźnie wyczuwalny trop, a potem przeniesiemy tobolek z powrotem do Strefy Chronionej i będziemy czekać. Pułapka zostanie zastawiona.

Dosypał jeszcze kilka włókien i zawiązał węzełek.

— Sądząc po szybkości nurtu — ocenił — włókna powinny dotrzeć do istoty nie dalej niż w ciągu kilku minut. Jak szybka powinna być, waszym zdaniem, jego reakcja?

— Jeśli program ekstrapolacyjny nie myli się — odparł Frock — ten stwór może poruszać się z ogromną prędkością, trzydzieści mil na godzinę, a może nawet szybciej, zwłaszcza gdy kierują nim silne impulsy. Wygląda na to, że nie jest w stanie oprzeć się pragnieniu spożywania tych włókien. To potrzeba silniejsza niż wszystkie inne. W tych tunelach nie

zdoła rozwinąć pełnej szybkości, byłoby mu wówczas trudniej wyłapywać zapach pozostawiony przez włókna, ale wątpię, aby woda mogła go w znacznym stopniu spowolnić. A ponadto Strefa Chroniona znajduje się niedaleko.

— Rozumiem — rzekł Pendergast. — Niezbyt to miła perspektywa. Niechaj ten, co do walki gotów, do boju staje, czas bowiem nadszedł.

— Ach — mruknął Frock, kiwając głową. — Alcaeus. Pendergast pokręcił głową.

— Anakreon, doktorze. To co, ruszamy?

## *Rozdział pięćdziesiąty czwarty*

Smithback trzymał latarkę, lecz jej promień prawie nie przenikał wszechobecnej ciemności. D'Agosta idący nieco z przodu ścisnął w dłoni rewolwer. Tunel ciągnął się w nieskończoność, czarna woda przepływała obok nich, niknąc w oddali pośród mroku. Albo wciąż jeszcze schodzili, albo podwyższał się poziom wody. Smithback czuł jej napór na udach.

Spojrzał na posępne, ciemne oblicze D'Agosty, pokryte smugami krwi Bailey'a.

— Już dłużej nie mogę — jęknął ktoś idący z tyłu. Smithback usłyszał znajomy głos burmistrza, głos polityka, uspokajający, kojący, mówiący to, co każdy z nich chciałby teraz usłyszeć. I znów się chyba udało.

Smithback zerknął przez ramię na coraz bardziej skonsternowaną grupę. Wysokie kobiety w balowych sukniach zdobionych klejnotami, biznesmeni w średnim wieku ubrani w smokingi, gromada młodych

yuppie, głównie bankierów i prawników. Teraz znał ich już wszystkich, zapamiętał nawet nazwiska i zawody. I oto byli tu, poniżeni jak upadłe anioły, błakając się po ciemnym labiryncie podziemnych tuneli, utyłani w błocie i szlamie, ścigani przez drapieżną bestię.

Smithback, choć zmartwiony, wciąż myślał racjonalnie. Wcześniej rzeczywiście przeżył chwile prawdziwej grozy, gdy okazało się, że plotki o Bestii z Muzeum są prawdziwe. Teraz jednak, zmęczony i przemoczony, bardziej niż samej śmierci obawiał się, że może umrzeć, nie napisawszy swojej książki. Zastanawiał się, czy oznaczało to, że był odważny, tchórzliwy czy zwyczajnie głupi. Tak czy inaczej zdawał sobie sprawę, że to, co działo się z nim tu i teraz, było warte fortunę. Wieczór literacki w Le Cirque. Good Morning, America; Today Show; Donahue; Oprah.

Nikt inny nie był w stanie opisać tej historii, nikt nie znał jej „od podszewki” tak jak on. I jeszcze uznają go za bohatera. To on, William Smithback junior, z latarką w dłoni wypatrywał potwora, podczas gdy D'Agosta wrócił, by przestrzelić kłódkę.

To on, Smithback, wymyślił, aby zablokować drzwi latarką. Był prawą ręką porucznika D'Agosty.

— Poświeć tam, na lewo. — Z rozmyślenia wyrwał go głos porucznika.

Smithback natychmiast wypełnił polecenie. Nic.

— Wydawało mi się, że widzę jakiś ruch, tam, w ciemności — mruknął D'Agosta. — Ale to chyba tylko cień.

Boże — pomyślał Smithback — obym tylko przeżył, by móc cieszyć się swoim sukcesem.

— Czy mi się zdaje, czy poziom wody znacznie się podniósł? —

zapytał.

— Podwyższa się i to coraz szybciej — odrzekł D'Agosta. — Pendergast nie powiedział, jak mamy iść dalej.

— Nie powiedział? — Smithback poczuł, że jego wnętrzności zmieniają się w wodę.

— Miałem skontaktować się z nim przy drugim rozwidleniu — wyjaśnił D'Agosta. — Ale po drodze, gdzieś przed drzwiami, zgubiłem krótkofalówkę.

Smithback poczuł kolejną, silniejszą falę obmywającą mu nogi. Rozległ się głośny krzyk i pluśnięcie.

— Wszystko w porządku — zawołał burmistrz, kiedy Smithback skierował promień latarki za siebie.

— Ktoś upadł. Prąd przybiera na sile.

— Nie możemy im powiedzieć, że zabłądziliśmy — wyszeptał Smithback do D'Agosty.

Margo otworzyła drzwi do Strefy Chronionej, szybko zajrzała do środka i skinęła głową. Pendergast przestąpił próg, ciągnąc za sobą węzełek.

— Niech go pan zamknie w skarbcu ze skrzyniami — rzekł Frock. — Chcemy zatrzymać bestię w środku na tyle długo, abyśmy zdążyli zamknąć główne drzwi.

Margo otworzyła wejście do skarbcza, podczas gdy Pendergast, spacerując w tę i z powrotem po całym pomieszczeniu, pozostawił na posadzce złożony wzór śladu zapachowego.

Następnie obydwójce wrzucili zawiniątko do środka i zamknęli ozdobne drzwi skarbcza.

— Szybko — rzuciła Margo. — Na drugą stronę korytarza. Nie

zamknawszy głównych drzwi Strefy Chronionej, przeszli

przez korytarz do składziku, gdzie magazynowano kość słoniową. Nieduże okienko w drzwiach wybito dawno temu, otwór przesłonięto kawałkiem tektury. Margo otworzyła drzwi kluczem Frocka, po czym Pendergast wprowadził do środka wózek z doktorem. Margo zapaliła latarkę Pendergasta, ustawiła na najwęższy promień i położyła latarkę na framudze nad drzwiami, kierując światło w stronę Strefy Chronionej. Wreszcie długopisem przebiła nieduży otwór w tekturze i rzuciwszy ostatnie spojrzenie w głąb korytarza, weszła do środka.

Składzik był spory, z mnóstwem miejsca i pełen słoniowych kości. Większość szkieletów rozebrano, spoczywające na półkach ciemne, wielkie kości wyglądały jak przyduże drewna opałowe. W odległym kącie stał jeden cały szkielet, mroczna klatka z kości, zakrzywione kły błyszcząły w bladym świetle.

Pendergast zamknął drzwi, po czym zgasił lampkę górniczą.

Przez dziurę zrobioną w kartonie. Margo miała doskonały widok na korytarz i otwarte drzwi Strefy Chronionej.

— Niech pan spojrzysz — rzekła do Pendergasta, odsuwając się od drzwi. Pendergast postąpił naprzód.

— Doskonale — mruknął po chwili. — Latarka będzie go oślepić dopóty, dopóki nie wsiądą baterie. — Cofnął się od drzwi. — Co sprawiło, że przypomniałaś sobie o tym pomieszczeniu? — zapytał.

Margo zaśmiała się wstydlive.

— Kiedy we środę zabrał nas pan na dół, zauważyłam te drzwi z napisem PACHYDERMAE i zastanawiałam się, jak to możliwe, że przez tak małe drzwi może się zmieścić czerep słońca.

Podeszła bliżej.

— Będę obserwować przez otwór — zaproponowała. — Niech pan się przygotuje. Lada moment będzie pan musiał wybiec na korytarz, aby zamknąć drzwi i uwięzić tego stwora w Strefie Chronionej.

Z ciemności za nimi dobiegło chrząknięcie Frocka.

— Panie Pendergast?

— Tak?

— Pan wybaczy, że spytam, ale w jakim stopniu jest pan obeznany z bronią palną?

— Prawdę mówiąc — wyjaśnił agent — przed śmiercią mojej żony każdej zimy spędzałem kilka tygodni w Afryce Wschodniej, polując na grubego zwierza. Moja żona była zapaloną łowczynią.

— Ach — odparł Frock. Margo wychwyciła ulgę w jego głosie. — Tego stwora trudno będzie zabić, ale nie uważam, by było to niemożliwe. Ja sam nigdy nie przepadałem za myślistwem. Niemniej współpracując ze sobą, powinno się nam udać.

Pendergast skinął głową.

— Niestety rewolwer nie jest w tym przypadku najodpowiedniejszą bronią. Przydałby się teraz sztucer myśliwski na naboje typu nitro express .375. Bardzo by mi także pomogło, gdybym znał słabe miejsca tej bestii.

— Sądząc po wynikach ekstrapolacji — rzekł Frock — możemy przypuszczać, że ta istota odznacza się mocną strukturą kostną. Przekonał się pan osobiście, że nie można jej zabić strzałem w głowę. Strzelając w bark lub usiłując dosięgnąć serca, też nic nie wskóramy, kula bowiem niemal na pewno odbije się od jednej z masywnych kości lub ugrzęźnie w

grubej tkance mięśniowej. Gdyby zaszedł pan go z boku, mógłby pan strzelić mu w serce od tyłu, ponad przednią łapą. Jednakże istnieje ryzyko, że kula natrafi na twardą jak stal kość żebrową. Gdy teraz o tym myślę, trudno mi wyobrazić sobie jakąś część ciała tej istoty, która byłaby podatna na zranienie, a równocześnie mogła okazać się jej słabym punktem. Śmiertelny okazałby się zapewne strzał w brzuch, ale zanim by się wykrwawiła, ta istota z pewnością srodze dałaby nam wszystkim popalić.

— Niezbyt pocieszające — mruknął Pendergast. Frock poruszył się nerwowo w ciemności.

— Mamy zatem nie lada kłopot. Na chwilę zapadła cisza.

— Chyba jest pewien sposób — odezwał się Pendergast.

— Tak? — spytał z ożywieniem Frock.

— Przed kilkoma laty polowaliśmy z żoną w Tanzanii na bushbucka.

Woleliśmy polować tylko we dwoje, bez tragarzy broni, mieliśmy ze sobą tylko sztucery .30.30. Zasadziliśmy się na antylopę nad rzeką, aż tu nagle wypadł na nas wielki bawół. Najwyraźniej kilka dni wcześniej został zraniony przez kłusownika. Afrykańskie bawoły są jak muły, nigdy nie zapominają urazy, a każdego człowieka z bronią traktują jednakowo.

Siedząc w półmroku i słuchając opowieści Pendergasta w oczekiwaniu na pojawienie się koszmarnego monstrum, Margo przez chwilę poczuła się dziwnie i nierealnie zarazem, jakby zdarzenia te rozgrywały się gdzieś obok, poza nią.

— Zwykle, gdy polujesz na bawołu — ciągnął Pendergast — mierzy się w łeb, poniżej rogu, albo w serce. W tym przypadku .30.30 to za mały kaliber. Moja żona, która była lepszym strzelcem ode mnie, wykonała



jedyny manewr możliwy w tej sytuacji. Przyklękła i wystrzeliła do zwierzęcia w taki sposób, aby je zatrzymać.

— Zatrzymać?

— Nie strzelasz, aby zabić. Zamiast tego robisz wszystko, aby unieruchomić zwierzę. Celujesz w przednie nogi, pęciny, kolana. Innymi słowy, gruchoczesz tyle kości, ile tylko się da, aż zwierzę nie będzie w stanie dalej się poruszać.

— Rozumiem — rzekł Frock.

— Ta taktyka ma jeden feler — zauważył Pendergast.

— To znaczy...?

— Musisz być wyborowym strzelcem. O wszystkim decyduje celność oddanych strzałów. Musisz zachować niewzruszony spokój i opanowanie, strzelać, nie oddychając, regularnie, pomiędzy kolejnymi uderzeniami serca, i to w sytuacji, gdy szarżuje na ciebie rozjuszona bestia. Każde z nas miało czas, aby wypalić po cztery razy. Ja popełniłem błąd, mierzyłem w pierś i dopiero po drugim strzale zorientowałem się, że moje kule tylko grzęzną w mięśniach. Potem wycelowałem w nogi. Raz chybiłem, za drugim moja kula jedynie musnęła kość, nie łamiąc jej. — Pokręcił głową. — Dałem tego dnia marny popis moich umiejętności strzeleckich.

— I co się stało? — spytał Frock.

— Moja żona na cztery oddane strzały trafiła aż trzykrotnie.

Zgruchotała obie przednie golenie bawołu i uszkodziła mu także górną kość prawej nogi. Zwierzę przekoziółkowało i znieruchomiło o kilka jardów od miejsca, gdzie klęczeliśmy. Wciąż żyło, ale nie mogło się poruszać. „Zapłaciłem frycowe”, jak to się mówi w gwarze myśliwskiej.

— Szkoda, że nie ma tu z nami pańskiej żony — powiedział Frock.

Pendergast milczał.

— Też żałuję — dodał po chwili.

W pomieszczeniu znowu zapadła cisza.

— Świetnie — odezwał się w końcu Frock — zrozumiałem, w czym problem. Ta bestia posiada pewne niezwykle przymioty, które należałoby poznać, jeśli ma ją pan „zatrzymać”. Po pierwsze, tylne kończyny są prawie na pewno pokryte łuskami lub pancernymi płytami kostnymi. Wątpię, aby zdołał je pan przebić kulami ze swojego rewolweru. Według moich szacunków pancerz kostny obejmuje górną i dolną część kończyny aż po kość śródstopia.

— Rozumiem.

— Będzie pan musiał mierzyć nisko, w pierwszy lub drugi człon kości stopy.

— W najniższe kości w kończynie — mruknął Pendergast.

— Tak.

— Powinny być one odpowiednikami pęcín u konia. Proszę celować poniżej niższego stawu. Właściwie sam staw powinien być w miarę wrażliwym miejscem.

— To trudny strzał — ocenił Pendergast. — Prawie niemożliwy, gdyby ta bestia zaczęła na mnie szarżować.

Zapadła krótka cisza. Margo wciąż czuwała przy otworze, niczego jednak nie zauważyła.

— Sądzę, że bardziej podatne na zranienie są u tej istoty przednie kończyny — ciągnął Frock. — Według ekstrapolatora są znacznie słabsze. Doradzałbym strzał w kości nadgarstkowe i śródrećzne.

— Przednie kolano i dolna część nogi — rzekł Pendergast, kiwając

głową. — To nie będzie proste. Jak pan ocenia, w jakim stopniu trzeba okulawić to stworzenie, aby je unieruchomić?

— Trudno powiedzieć. Obie przednie kończyny i przynajmniej jedna tylna. Niestety. A nawet wówczas będzie się jeszcze w stanie czołgać. — Frock zakasłał. — Da pan radę?

— Aby mieć jakąkolwiek szansę, potrzebowałbym co najmniej stu pięćdziesięciu stóp dystansu strzeleckiego w razie szarży potwora. Idealnie byłoby, gdybym zdołał oddać pierwszy strzał, zanim stwór zdąży się zorientować. To w znacznym stopniu by go spowolniło.

Frock zamyślił się przez chwilę.

— W muzeum jest kilka prostych korytarzy długości od trzystu do czterystu stóp. Niestety obecnie większość z nich została odcięta przez te cholerne grodzie. Niemniej wydaje mi się, że w sektorze drugim powinien być dostępny przynajmniej jeden o dostatecznej długości. Na parterze, w sekcji osiemnastej, zaraz za rogiem, tuż przy sali komputerów.

Pendergast skinął głową.

— Zapamiętam — powiedział. — Na wypadek, gdyby ten plan się nie powiódł.

— Chyba coś usłyszałam! — syknęła Margo. Wszyscy zamilkli. Pendergast zbliżył się do drzwi.

— Właśnie przed chwilą dostrzegłam jakiś cień na końcu korytarza — wyszeptała stażystka.

Zapadła kolejna, długa cisza. Margo usłyszała ciche — klik — gdy Pendergast odbezpieczył broń.

— Jest tutaj — szepnęła Margo. — Widzę je. — I jeszcze ciszej dodała: — O Boże.

Pendergast nieomal dotknął wargami jej ucha.

— Odsuń się od drzwi! Cofnęła się, prawie nie oddychała.

— Co ono robi?

— Zatrzymało się przy drzwiach do Strefy Chronionej — odparł cicho Pendergast. — Weszło na chwilę do środka, ale zaraz stamtąd wyszło. Szuka. I węszy.

— Jak wygląda? — zapytał z przejęciem Frock.

Zanim odpowiedział, Pendergast zawahał się przez chwilę.

— Tym razem widzę go o wiele lepiej. Jest wielki, masywny.

Chwileczkę, odwraca się w tę stronę... Boże drogi, cóż za potworny widok... to... Spłaszczony pysk, małe, czerwone ślepia, rzadka sierść na górnej części ciała. Identycznie jak u tej figurki. Zaraz, zaraz... idzie w tę stronę.

Nagle Margo zorientowała się, że cofnęła się aż pod samą ścianę. Spod drzwi dobiegło głośnie sapanie i odgłosy węszenia. A potem wszyscy poczuli słodkawy fetor zgnilizny. Osunęła się na podłogę, w ciemność, otwór w tekturze zamigotał niczym gwiazda. Latarka Pendergasta świeciła coraz słabiej. Światło gwiazd... rozległ się cichy głos w umyśle Margo.

Zaraz potem na otwór padł mroczny cień i wszystko szerniało.

Coś głucho uderzyło w drzwi, stare drewno głośnie zaskrzypiało. Zagrzechotała poruszona klamka. Zapadła długa cisza, potem z zewnątrz dobiegł odgłos czegoś ciężkiego, poruszającego się w szybkim tempie i ostry, suchy trzask, gdy istota napała na drzwi.

Głos pod czaszką Margo stał się nagle słyszalny.

— Pendergast, zapal lampkę górniczą! — zawołała. — Skieruj światło na tę bestię!

— O czym ty mówisz?

— To nocny drapieżnik, zgadza się? Prawdopodobnie nie znosi światła.

— Zgadza się! — zakrzyknął Frock.

— Nie zbliżajcie się! — ostrzegł Pendergast. Margo usłyszała cichy szcęk, a potem światło lampki górniczej na chwilę ją oślepiło. Gdy odzyskała wzrok, ujrzała Pendergasta klęczącego na jednym kolanie, z bronią wymierzoną w drzwi, pośrodku których pojawił się silny, żółty krąg światła.

Znów rozległ się chrzęst ustępującego pod naporem drewna. Margo dostrzegła spadające na podłogę pomieszczenia drzazgi, odłupane z poszerzającej się szczeliny w górnej części drzwi. Widać było wyraźnie, że drzwi wygięły się do środka.

Ponownie dał się słyszeć rozdzierający bębenki trzask rozszczepianych desek, i drzwi, niemal pęknięte na dwoje, wpadły do wnętrza pomieszczenia, ledwie trzymając się na wpół wyrwanych z framugi zawiasów.

Margo przywarła plecami do ściany z taką siłą, że wydawało jej się, iż lada moment pęknie jej kręgosłup.

Usłyszała krzyk Frocka, pełen zdumienia, zaskoczenia i zgrozy. Stwór przykucnął w progu, potworna sylwetka skąpana w jasnym świetle; i nagle z gardzieli monstrum dobył się głęboki, donośny ryk, istota pokręciła głową i wycofała się.

— Nie zbliżajcie się! — rzucił Pendergast. Kopnięciem odsunął na bok wyłamane drzwi i ostrożnie wyszedł na korytarz. Margo usłyszała huk wystrzału i zaraz potem drugi. Potem nastąpiła cisza. Wydawało się, że upłynęła cała wieczność, zanim Pendergast wrócił do pomieszczenia i

gestem dał im znak, by ruszyli za nim. W korytarzu widać było niknący za rogiem ślad małych, czerwonych kropeł.

— Krew! — powiedział Frock i stękając, pochylił się. — A więc zranił je pan.

Pendergast wzruszył ramionami.

— Być może. Ale nie ja pierwszy. Ślad krwi prowadzi od strony sutereny. Widzicie? Porucznik D'Agosta lub któryś z jego ludzi musiał zranić to stworzenie, lecz go nie unieruchomił. Poruszało się z naprawdę zdumiewającą szybkością.

Margo spojrzała na Frocka.

— Czemu nie złapało przynęty? Frock odnalazł jej spojrzenie.

— Mamy do czynienia z istotą wykazującą się isticie pierwotną inteligencją.

— Chce pan powiedzieć, że ten stwór wyczuł, iż chcemy go zwabić w pułapkę? — wtrącił z niedowierzaniem w głosie Pendergast.

— Mam pytanie. Czy pan, agencie Pendergast, dałby się złapać na ten numer?

Pendergast milczał.

— Chyba raczej nie — odparł po chwili.

— No, właśnie — rzekł Frock. — Nie doceniliśmy tej istoty. Musimy przestać o niej myśleć jak o głupim zwierzęciu. Cechuje ją inteligencja dorównująca naszej. Czy dobrze zrozumiałem, że zwłoki odnalezione na wystawie zostały ukryte? Ta bestia wie, że na nią polujemy. Najwyraźniej nauczyła się ukrywać swoje ofiary. Poza tym — zawahał się — odnoszę wrażenie, że obecnie mamy do czynienia z czymś więcej aniżeli ze zwyczajnym głodem. Możemy założyć, że nasz stwór na pewien czas

zaspokoił głód hormonami swoich ludzkich ofiar. Został jednak zraniony. Jeśli przyjąć analogię do bawołu z pańskiej opowieści, ta istota może być nie tylko wygłodniała, lecz również rozjuszona.

— I uważa pan, że wybrała się na polowanie — dokończył półgłosem Pendergast.

Frock pozostał w bezruchu. Wreszcie niemal niedostrzegalnie pokiwał głową.

— Kto na kogo teraz poluje? — zapytała Margo. Nikt z nich nie odpowiedział na to pytanie.

## *Rozdział pięćdziesiąty piąty*

Cuthbert raz jeszcze sprawdził drzwi. Były zamknięte na klucz i trzymały mocno. Zapalił latarkę i oświetlił nią Wrighta, bezwładnie siedzącego na krześle i gapiącego się w podłogę. Zgasił latarkę. Cały pokój cuchnął whisky. Słyszeć było tylko bębnienie kropel deszczu o zakratowane okno.

— Co zrobimy z Wrightem? — zapytał półgłosem.

— Bez obaw — odrzekła Rickman nerwowym, spiętym głosem. — Powiemy prasie, że jest chory, odeślemy go do szpitala i ustalimy termin konferencji prasowej na jutro po południu...

— Nie myślałem o tym, co zrobimy, kiedy się już stąd wydostaniemy. Mam na myśli chwilę obecną. Gdyby zjawiała się tutaj ta bestia.

— Proszę, Ian, nie mów tego. To mnie przeraża. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby do tego dojść. Z tego co wiemy, od lat ukrywa się w piwnicach. Czemu właśnie teraz miałyby opuścić swą kryjówkę?

— Nie wiem — odrzekł Cuthbert. — To mnie właśnie niepokoi.

Ponownie sprawdził rugera, zakręcił bębenkiem, zwolnił i zaciągnął



bezpiecznik. Pięć kul.

Podszedł do Wrighta i potrząsnął go za ramię.

— Winstonie?

— Nadal tu jesteś? — wybełkotał Wright, spoglądając na niego mętным wzrokiem.

— Winstonie, chciałbym, abys zabrał Lavinie do Sali Dinozaurów. Chodźcie.

Wright odtrącił dłoń Cuthberta.

— Dobrze mi tu, gdzie jestem. Może utnę sobie drzemkę.

— Wobec tego idź do diabła — mruknął Cuthbert. Usiadł na krześle naprzeciwko drzwi.

Rozległ się krótki dźwięk, grzechot, jakby ktoś poruszył klamką. Cuthbert poderwał się z rewolwerem w dłoni. Podszedł do drzwi i przystanął nasłuchując.

— Chyba coś słyszę — rzucił cicho. — Lavinio, wejdź do Sali Dinozaurów.

— Boję się — wyszeptała. — Proszę, nie każ mi iść tam samej.

— Rób, co mówię.

Rickman podeszła do drugich drzwi i otworzyła je. Zawahała się.

— No, idź!

— Ian... — wykrztusiła błagalnie Rickman Z tyłu za nią Cuthbert widział majaczące w ciemności wielkie szkielety dinozaurów. Ogromne, czarne żebra i rzędy spiczastych kłów zaśniły w blasku błyskawicy.

— Do jasnej cholery, wejdźże tam, kobieto.

Cuthbert wciąż nasłuchiwał. Coś miękkiego otarło się o drzwi. Nachylił się, przykładając ucho do gładkiego drewna. Może to tylko wiatr.

Nagle potężne uderzenie odrzuciło go w głąb pokoju. Cuthbert usłyszał dochodzący z sali obok przeraźliwy krzyk Rickman.

Wright wstał chwiejnie.

— Co to było? — zapytał.

Cuthbert, któremu potwornie dzwoniło w uszach, podniósł rewolwer z podłogi, wstał i pobiegł w przeciwny koniec pomieszczenia.

— Przejdź do Sali Dinozaurów! — ryknął do Wrighta. Ten oparł się ciężko o krzesło.

— Co to za okropny smród? — spytał.

Znowu coś uderzyło w drzwi, trzask pękającego drewna przypominał huk karabinowego wystrzału. Palec Cuthberta instynktownie zacisnął się na spuście, broń wypaliła, z sufitu posypał się tynk.

Kustosz opuścił rewolwer, jego dłonie drżały. Cholera, tylko zmarnowałem kulę. Niech to szlag, szkoda, że nie znał się lepiej na broni palnej. Ponownie uniósł rewolwer, próbując wycelować, ale okropnie trzęsły mu się ręce. Nie panował nad nimi. Muszę się uspokoić — pomyślał. Wziąć parę głębokich oddechów. Mierzyć w vitalne punkty. Cztery strzały.

Do pokoju stopniowo powróciła cisza. Skamieniały Wright stał oparty o krzesło.

— Winston, ty idioto! — wysyczał Cuthbert. — Przejdź do sali obok!

— Skoro każesz — rzekł Wright i poczłapał ku drzwiom. Najwyraźniej strach przywrócił mu zdolność poruszania się.

Cuthbert znów usłyszał cichy dźwięk, drewno zaskrzypiało. Stwór napierał na drzwi. Rozległo się kolejne przerażające TRACH — i rozłupane niemal na dwoje, wyrwane z zawiasów drzwi wpadły do pokoju.

Stół został zepchnięty na bok. W półmroku korytarza coś się pojawiło, trójpalczasta, szponiasta łapa sięgnęła przez otwór, chwytając rozszczerzone drewno. Przy wtórze głośniego trzasku ostatni fragment drzwi został wyrwany i odrzucony w ciemność. Cuthbert ujrzał czającą się w progu ogromną sylwetkę.

Wright, wpadając do Sali Dinozaurów, nieomal przewrócił Rickman, która pojawiła się w progu, pociągając nosem i szlochając.

— Zastrzel to, Ian, błagam, zabij to! — krzyknęła. Cuthbert czekał, wpatrując się w muszkę na końcu lufy.

Wstrzymał oddech. Cztery strzały.

Dowódca brygady antyterrorystycznej przemykał po dachu, miękki, koci kształt odcinający się na tle ciemnogramatowego nieba. Kontroler na ulicy poniżej kierował jego kolejnymi posunięciami.

Coffey stał obok kontrolera pod plandeką z brezentu. Obaj trzymali w dłoniach podgumowane, wodoodporne krótkofalówki.

— Ziemianka do Czerwonej Jedyńki, przesun się jeszcze o pięć stóp na wschód — rzucił kontroler do krótkofalówki, spoglądając w górę przez elektroniczną lornetkę z noktowizorem. — Jesteście prawie na miejscu. — Uważnie przyjrzał się planom muzeum rozłożonym na blacie stołu pod płytą z pleksi. Trasa drużyny SWAT została zaznaczona na czerwono.

Ciemna postać ostrożnie przesunęła się po pochyłym dachu, wokół niej migotały światła West Side, poniżej ciągnęła się wstęga rzeki Hudson, przy Museum Drive błyskały koguty karetek, pojazdów interwencyjnych i radiowozów, ciągnące się wzdłuż Riverside Drive budynki apartamentowe skrzyły się niczym rozrzucone na ziemi kryształki.

— Świetnie — rzekł kontroler. — Jesteś na miejscu, Jedyńka. Coffey

zauważył, jak dowódca przykląkł, szybko, sprawnie i cicho zakładając ładunki wybuchowe. Jego drużyna czekała sto jardów dalej, tuż za nimi ekipa medyczna. Z ulicy dobiegł jęk syren.

— Założone — powiedział dowódca. Wstał i zaczął powoli cofać się, rozwijając przewód detonatora.

— Kiedy będziesz gotów, odpalaj — rzucił Coffey. Agent patrzył, jak wszyscy znajdujący się na dachu, jak na komendę płasko położyli się.

Błysnęło, a w chwilę potem rozległ się suchy, ostry trzask. Dowódca odczekał chwilę i ruszył naprzód.

— Czerwona Jedyńka do Ziemiarki, mamy otwór zejściowy.

— Wykonać — polecił Coffey.

Drużyna SWAT, a za nią ekipa medyczna, zeszły przez otwór do wnętrza budynku.

— Jesteśmy w środku — rozległ się głos dowódcy. — Znajdujemy się w korytarzu czwartego piętra, idziemy dalej zgodnie z planem.

Coffey czekał niecierpliwie. Spojrzał na zegarek: kwadrans po dziewiątej. Tamci byli uwięzieni wewnątrz bez prądu przez najdłuższe dziewięćdziesiąt minut jego życia. Wciąż nie dawała mu spokoju przerażająca wizja martwego burmistrza, z wyprutymi wnętrznościami i z wyżartym mózgiem.

— Jesteśmy przy grodzi awaryjnej sektora trzeciego, czwarte piętro, sekcja czternasta. Gotowi do założenia ładunków.

— Wykonać — rzekł Coffey.

— Zakładamy ładunki.

D'Agosta i jego grupa nie zgłaszali się od ponad pół godziny. Boże, gdyby coś się stało burmistrzowi, nikogo by nie obchodziło, kto faktycznie

ponosił za to wszystko odpowiedzialność. Wina spadnie na Coffeya. Tak to już było w tym mieście. Tak długo trwało, zanim osiągnął obecną pozycję, był niezwykle ostrożny, a teraz te sukinsyny wszystko mu odbiorą. Wszystko przez tego Pendergasta. Gdyby nie zaczął bruździć na obcym terenie...

— Ładunki założone.

— Kiedy będziesz gotów, odpalaj — powtórzył Coffey. To Pendergast spieprzył sprawę, nie on. Bądź co bądź on był tu dopiero od wczoraj. Może jednak nie obwinia go o tę niebywałą aferę. Zwłaszcza gdyby Pendergast się nie pokazał. Ten skurwiel potrafiłby wmówić mułowi, że może chodzić na dwóch nogach.

Zapadła długa cisza. Do uszu Coffeya nie doszło echo cichych eksplozji, kiedy czekał na kolejne zgłoszenie dowódcy drużyny pod przemoczonym brezentem.

— Czerwona Jedyńka do Ziemiarki, mamy drogę wolną — rozległ się głos dowódcy.

— Wykonać. Wejdźcie do środka i zabijcie to bydlę — rzekł Coffey.

— Jak już wcześniej mówiłem, naszym podstawowym zadaniem jest ewakuacja rannych — oznajmił beznamiętnym tonem dowódca.

— Wiem! Ale, na miłość boską, spieszcie się! Róbcie to jak najszybciej!

Z całej siły wdusił w swojej krótkofalówce guzik nadawania.

Dowódca wyszedł z klatki schodowej, rozejrzał się bacznie dokoła, po czym dał znak swoim ludziom, aby poszli za nim. Jedna po drugiej z mroku wyłaniały się ciemne postaci z maskami przeciwgazowymi na czołach; kombinezony bojowe zlewały się z cieniami, na karabinkach

szturmowych M-16 i bullpupsach mieli nasadzone bagnety bojowe.

Zamykający tyły niski, krępy oficer dźwigał sześciostrzałowy granatnik kaliber .40, krótką, groźnie wyglądającą broń z potężnym bębnem u dołu, przywodzącą nieco na myśl stare „rozpylacze” z lat czterdziestych.

— Jesteśmy na trzecim piętrze — dowódca poinformował kontrolera.

— Przechodzimy na podczerwień. Przed nami Sala Małp Mniejszych.

Z krótkofalówki dobiegł głos kontrolera.

— Wejdźcie w głąb sali, siedemdziesiąt stóp na południe, po czym dwadzieścia stóp na zachód, znajdziecie się przy drzwiach.

Dowódca odpiął od pasa nieduże czarne pudełko i nacisnął guzik. Z urządzenia wystrzelił cienki jak ołówek promień lasera.

Omiótł promieniem całe wnętrze pomieszczenia, sprawdzając odczyty odległości. Uzyskawszy właściwy, ruszył naprzód i powtórzył tę czynność, kierując światło lasera na zachodnią ścianę.

— Czerwona Jedyńka do Ziemiarki. Drzwi w polu widzenia.

— Świetnie. Wykonać.

Dowódca podszedł do drzwi i przywołał swoich ludzi.

— Drzwi są zamknięte. Zakładamy ładunki.

Drużyna szybko obłożyła klamkę dwoma niedużymi wałeczkami utoczonymi z plastyku, po czym wycofała się na bezpieczną odległość, rozwijając przewód detonatora.

— Ładunki założone.

Rozległo się ciche łup! i drzwi rozwarły się na oścież.

— Kłapa powinna znajdować się dokładnie przed wami, pośrodku pomieszczenia magazynowego — oznajmił kontroler.

Usunąwszy kilka zagradzających im drogę sprzętów, dowódca i jego

ludzie odsłoniли znajdującą się w podłodze klapę. Zwolniwszy zaciski zatraskowe, dowódca podniósł metalowy pierścień i szarpnął klapę z całej siły. Uniosła się w górę. Do składziku wpłynęło nieco zatechłe powietrze. Dowódca wychylił się do przodu. W Sali Niebiańskiej, poniżej, nic się nie poruszało.

— Otworzyliśmy klapę — powiedział dowódca. — Wygląda nieźle.

— W porządku — rozległ się głos Coffeya. — Zabezpieczyć salę.

Wyślijcie na dół ekipę medyczną i ewakuujcie rannych. Szybko.

— Tu Czerwona Jedyńka, zrozumiałem.

Kontroler powrócił do udzielania niezbędnych wskazówek.

— Zerwijcie warstwę tynku ze środkowej części północnej ściany.

Znajduje się pod nią ośmioletowa belka wspornikowa, możecie przymocować do niej liny.

— Zrobi się.

— Ostrożnie. Do sali poniżej macie sześćdziesiąt stóp. Dowódca i jego drużyna pracowali szybko, przebili się przez warstwę tynku, odsłaniając belkę nośną, przymocowali do niej łańcuchy, przyłączyli karabińczyki, bloczek i wyciąg. Jeden z antyterrorystów zamocował do drugiego łańcucha drabinę sznurową i opuścił ją przez otwór do wnętrza sali.

Dowódca znów się wychylił, oświetlając promieniem silnej latarki wnętrze spowitej w półmroku sali.

— Tu Czerwona Jedyńka. Mamy tu kilka ciał — powiedział.

— Ani śladu tego stworzenia? — zapytał Coffey.

— Nie widać go. Jest natomiast około dwunastu ciał. Zamontowaliśmy już drabinę.

— To na co czekacie?

Dowódca zwrócił się do ekipy medycznej:

— Gdy będziemy gotowi, damy wam znać. Zaczniecie opuszczać składane nosze. Wyciągniemy ich stąd jednego po drugim.

Zacisnął dłonie na sznurach drabinki i zaczął schodzić, wślizgując się do otworu w podłodze. Reszta drużyny podążyła za nim. Dwóch antyterrorystów zajęło pozycje po bokach, aby w razie konieczności osłaniać kolegów ogniem z broni automatycznej, dwóch innych ustawiło trójnogi z lampami halogenowymi, podłączając je do opuszczonych na linach, przenośnych generatorów. Niebawem wnętrze sali skąpane zostało w silnym świetle.

— Zabezpieczyć wejście i wyjście! — zawołał dowódca. — Ekipa medyczna, możecie schodzić!

— Raport? — z krótkofalówki dobiegł głos Coffeya.

— Zabezpieczyliśmy salę — odparł dowódca. — Ani śladu żadnych zwierząt. Wpuszczamy ekipę medyczną.

— Świetnie. Musicie znaleźć to stworzenie, zabić je i odszukać grupę burmistrza. Sądzymy, że zeszli do piwnic schodami znajdującymi się na zapleczu za podium.

— Zrozumiałem, Ziemiańska — rzucił dowódca.

Kiedy ucichł głos Coffeya, dowódca usłyszał stłumiony, lecz wyraźny, charakterystyczny odgłos wystrzału.

— Czerwona Jedyńska do Ziemiańska, usłyszeliśmy właśnie odgłos wystrzału. To był strzał z broni krótkiej. Wydaje się, że dochodził gdzieś z góry.

— Ruszajcie tam natychmiast! Niech to jasna cholera! — pieklił się Coffey. — Weź pan swoich ludzi i ruszaj na górę, ale już! Musicie to



dopaść!

Dowódca zwrócił się do swoich ludzi.

— W porządku. Czerwona Dwójka, Czerwona Trójka, dokończcie tu zadanie i zabezpieczcie pomieszczenie. Weźcie granatnik. Reszta za mną.

## *Rozdział pięćdziesiąty szósty*

Lepka, oleista woda sięgała już Smithbackowi do pasa. Nawet utrzymanie równowagi było wyczerpujące. Nogi mu już dawno zdrętwiały i cały dygotał.

— Poziom wody podnosi się cholernie szybko — rzekł D'Agosta.

— Nie sądzę, abyśmy musieli jeszcze przejmować się tym stworzeniem — powiedział Smithback z nadzieją w głosie.

— Może i nie. Sam wiesz — odezwał się powoli D'Agosta. — Zareagowałeś bardzo szybko, blokując te drzwi latarką. Chyba ocaliłeś życie nam wszystkim.

— Dzięki — mruknął Smithback, żywiąc wobec D'Agosty coraz większą sympatię.

— Tylko żeby ci woda sodowa nie uderzyła do głowy — ostrzegł D'Agosta.

— Wszyscy cali? — porucznik zwrócił się do burmistrza. Burmistrz wydawał się bardzo zmęczony.

— Nie jest dobrze. Kilka osób jest bardzo słabych. Tracą równowagę z wyczerpania albo pod wpływem wstrząsu, a może jedno i drugie. Co dalej? Którędy teraz?

Patrzył na nich wyczekująco.

D'Agosta zawahał się.

— Nie mogę za nic ręczyć — odezwał się w końcu. — Smithback i ja sprawdzimy najpierw prawą odnogę.

Burmistrz obejrzał się, lustrując wzrokiem resztę grupy, po czym przysunął się do D'Agosty.

— Posłuchaj, pan — rzekł cichym, błagalnym tonem. — Wiem, że zabłądziliście. I wy też wiecie, że zgubiliście drogę. Jeśli jednak uświadomią to sobie pozostali, nie zechcą iść dalej. Woda jest bardzo zimna, poziom szybko się podwyższa, nie możemy tak tutaj stać. Może pójdziemy wszyscy? To nasza jedyna szansa. Nawet gdybyśmy mieli zawrócić, połowa z tych ludzi nie da rady brnąć pod prąd. Jest zbyt silny, a oni nazbyt osłabieni.

D'Agosta przez chwilę patrzył na burmistrza.

— W porządku — odezwał się po chwili. I odwrócił się do pozostałych. — Posłuchajcie — rzekł donośnym tonem. — Wejdziemy teraz wszyscy do prawej odnogi tunelu. Utwórzcie łańcuch, złapcie się za ręce. I trzymajcie mocno. Idźcie tuż przy samej ścianie, w środku korytarza prąd jest za silny. Gdyby ktoś się poślizgnął, niech krzyczy, ale

pod żadnym pozorem nie wolno rozerwać łańcucha. Czy to jasne? Tak?  
No to ruszamy.

Ciemny kształt wolno, ostrożnie przestąpił roztrzaskane drzwi, miękko jak kot omijając ostre, drewniane drzazgi. Cuthbert poczuł w nogach nieprzyjemne mrowienie. Chciał strzelać, ale dłoń odmawiała mu posłuszeństwa.

— Odejdź, proszę — powiedział ze spokojem, który zadziwił nawet jego samego.

Stwór zatrzymał się nagle i spojrzał na niego. W półmroku Cuthbert nie widział nic, prócz wielkiej, potężnej sylwetki i małych, czerwonych ślepi. Wydawały się dziwnie inteligentne.

— Nie rób mi krzywdy — poprosił Cuthbert. Stwór nie poruszył się.

— Mam broń — wyszeptał Cuthbert. Wycelował starannie. — Jeżeli odejdiesz, nie będę strzelał — rzekł półgłosem.

Stworzenie odstąpiło w bok, lecz wciąż patrzyło na Cuthberta. Jeden niewiarygodnie szybki ruch i już go nie było.

Cuthbert cofnął się w panice, jego latarka potoczyła się po podłodze. Odwrócił się energicznie. Wokoło panowała cisza. Pomieszczenie przepełnione było odorem potwora. Cuthbert nie pamiętał, jak udało mu się dotrzeć do Sali Dinozaurów, lecz gdy się tam znalazł, przytomnie zaraz zamknął za sobą drzwi.

— Klucz! — zawołał. — Lavinio, na miłość boską! Rozejrzył się dziko po ciemnej sali. Pośrodku pomieszczenia wznosił się wielki szkielet dinozaura. Tuż przed nim dostrzec można było mroczną sylwetkę triceratopsa z nisko opuszczonym łbem; wielkie, czarne rogi lśniły w słabym świetle.

Usłyszał szloch, a potem wciśnięto mu w dłoń klucz. Szybko włożył go do zamka i przekręcił.

— Chodźmy — powiedział, odprowadzając ją od drzwi, obok szponiastej łapy tyranozaura. Weszli głębiej w mrok. Nagle Cuthbert odciągnął Lavinie na bok i zmusił, by ukucnęła. Kustosz rozejrzył się uważnie, wyteżając zmysły. W Sali Dinozaurów ery kredowej panowała grobowa cisza. Do tego mrocznego sanktuarium nie dochodziły nawet odgłosy ulewy. Jedyne światło wpływało przez wysokie, wąskie okienka.

Otaczały ich szkielety małych struthiomimusów; stado ustawiono w formacji obronnej przypominającej układ piątki na kości domina, naprzeciw nich stał monstrualny szkielet drapieżnego dryptosaurusa z opuszczonym łbem, rozwartą paszczą i wyciągniętymi do przodu długimi szponami. Cuthbertowi zawsze podobała się skala i dramatyzm tej sali, teraz jednak budziła w nim nieprzepartą grozę. Obecnie wiedział już, co znaczy być ściganym.

Z tyłu, za nim, wejście do sali zablokowane było ciężką, stalową płytą grodzi awaryjnej.

— Gdzie Winston? — wyszeptał Cuthbert, spoglądając pomiędzy kośćmi dryptozaura.

— Nie wiem — jęknęła Rickman, ściskając go za ramię. — Zabiłeś to?

— Chybiłem — wyszeptał. — Puść mnie, proszę. Muszę mieć wolną rękę i dogodną pozycję do strzału.

Rickman puściła go i odpełzła, by położyć się w pozycji płodowej pomiędzy dwoma struthiomimusami. Szlochała cichutko.

— Cicho! — zasyczał Cuthbert.

W sali znów zapadła głęboka cisza. Rozejrzył się dookoła, usiłując

przeniknąć wzrokiem ciemność. Miał nadzieję, że Wright ukrył się w którymś z mrocznych zakamarków.

— Ian? — rozległ się zduszony głos. — Lavinio?

Cuthbert odwrócił się i ze zgrozą spostrzegł Wrighta opierającego się o ogon stegozaura. Winston zakołysał się, ale zdołał utrzymać równowagę.

— Winston! — wyszczał Cuthbert. — Ukryj się gdzieś! Wright jednak wolnym, chwiejnym krokiem ruszył w ich kierunku.

— Czy to ty, Ianie? — zapytał ze zdziwieniem. Zatrzymał się i na chwilę oparł się o jedną z gablot. — Niedobrze mi — rzucił mimochodem.

Nagle w korytarzu można było usłyszeć potworny, rozdzierający trzask. W chwilę potem rozległ się kolejny, jeszcze głośniejszy łoskot.

Cuthbert w półmroku dostrzegł ziejącą strzępiastą dziurę w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowały się drzwi do gabinetu Wrighta. Wyłonił się z niej ciemny kształt.

Z tyłu, za nim, Rickman krzyknęła i ukryła twarz w dłoniach. Poprzez szkielet dryptozaura Cuthbert spostrzegł ciemny kształt przemykający jak błyskawica po parkiecie. Kustosz sądził, że zmierza w jego kierunku, lecz potężny, mroczny kształt skręcił nagle w stronę słabo teraz widocznego Wrighta.

Dwa cienie zlały się w jeden.

Cuthbert usłyszał wilgotny chrzęst, głuchy trzask, krzyk, a potem zapadła cisza.

Cuthbert uniósł broń i spróbował wymierzyć pomiędzy żebrami szkieletu.

Istota podniosła się, trzymając coś w pysku, potrząsnęła łbem. i po chwili w sali rozległ się odgłos łapczywego ssania.

Cuthbert zamknął oczy, pociągając za spust.

Ruger szarpnął się w jego dłoni, kustosz usłyszał huk wystrzału i cichy trzask, suche echo odbiło się od ścian wielkiej sali. Cuthbert zorientował się, że dryptozaurowi brakuje kawałka żebra. Rickman jęknęła i zakwiliła jak dziecko.

Ciemny kształt wielkiego stworzenia zniknął.

Upłynęło kilka chwil, a Cuthbert poczuł, że zaczyna tracić zmysły.

Nagle w błysku pioruna kustosz spostrzegł bestię sunącą jak burza tuż pod ścianą w jego kierunku; czerwone ślepia wlepiały wzrok w jego twarz.

Dłoń z rewolwerem zatoczyła wąski łuk, palec zacisnął się na spuście. Cuthbert zaczął strzelać na oślep, jego broń trzy razy plunęła ołowiem, każdemu wystrzałowi towarzyszył biały błysk rozświetlający znajdujące się wokoło rzędy półek pełnych mrocznych czaszek, zębów i pazurów, prawdziwa bestia rozplynęła się nagle pośród tego bezmiaru dzikich, wymarłych już istot i nagle rozległ się głuchy szcęk, gdy kurek natrafił na komorę, w której znajdowała się łuska zużytego już naboju.

Jak we śnie Cuthbert usłyszał nagle ludzkie głosy, dochodzące od strony dawnego laboratorium Wrighta. I nagle rzucił się do ucieczki, nie zważając na przeszkody, wypadł przez zniszczone drzwi, przebiegł przez laboratorium Wrighta i znalazł się w ciemnym korytarzu na zewnątrz. Usłyszał swój własny krzyk, a oczy poraził mu blask silnej latarki. Ktoś chwycił go i przyszpilił do ściany.

— Uspokój się. Nic ci nie jest. Spójrzcie, cały jest ubabrany krwią!

— Nie celuj w niego — powiedział ktoś inny.

— To nie ten, którego ścigamy?

— Nie, mówili, że to zwierzę. Mimo to lepiej nie ryzykować.

— Przestań się szarpać!

W gardle Cuthberta narastał kolejny krzyk.

— To jest w sali obok! — krzyknął. — Pozabija was wszystkich! Ono wie, ma inteligentne oczy! To spojrzenie... widać, że ono wie!

— Ale co wie?

— Nie gadaj z nim. Facet majaczy.

Cuthbert w jednej chwili przestał się szamotać. Jego ciało zwiotczało.

Dowódca postąpił naprzód.

— Czy w sali obok jest jeszcze ktoś? — zapytał oschle, potrząsając kustosza za ramię.

— Tak — odrzekł po chwili Cuthbert. — Wright. Rickman. Dowódca uniósł wzrok.

— Winston Wright? Dyrektor muzeum? Zatem pan musi być dyrektorem Cuthbertem. Gdzie jest Wright?

— To go pożera — odparł Cuthbert. — Wyżera jego mózg. Wyżera i wyżera. Jest w Sali Dinozaurów za laboratorium. W środku jest przejście.

— Zabrać go z powrotem do Sali Niebiańskiej, niech ekipa medyczna wyprowadzi go stąd — polecił dowódca dwóm członkom swojego zespołu. — Wy trzej, jazda. Ale migiem. — Sięgnął po krótkofalówkę. — Czerwona Jedyńka do Ziemiarki, odnaleźliśmy Cuthberta. Właśnie go odsyłamy.

— Są w tym laboratorium, o, tutaj — rzekł kontroler, wskazując miejsce na planie. Teraz, gdy brygada weszła do budynku, wraz z Coffeyem przeniósł się do RPD, gdzie byli osłonięci od deszczu.

— Laboratorium czyste — z radia dobiegł monotony głos dowódcy. — Wchodzimy do Sali Dinozaurów. Prowadzące tam drzwi także zostały

sforsowane.

— Wejdźcie tam i wykończcie to! — ryknął Coffey. — Tylko uważajcie na doktora Wrighta. I nie rozłączajcie się. Chcę być z wami w stałym kontakcie!

Coffey czekał w napięciu, z radia ustawionego na wolną częstotliwość dobiegały szумы i trzaski. Usłyszał także szczęk broni i ciche szepty.

— Czujecie to? — Coffey przysunął się bliżej. Byli już prawie na miejscu. Zacisnął dłoń na krawędzi stołu.

— Tak — padła odpowiedź. Głośny grzechot.

— Zgasić światło i trzymać się w cieniu. Czerwona Siódemka, zabezpieczysz szkielet od lewej. Czerwona Trójka, pójdziesz z prawej, Czerwona Czwórka, wycofaj się pod ścianę, zabezpieczysz tamten obszar.

Zapadła długa cisza. Coffey słyszał ciężkie oddechy i ciche kroki. Nagle rozległ się nerwowy szept.

— Piątka, spójrz, tu ktoś leży. Coffeyowi zaparło dech.

— Nie ma głowy — rozległ się głos. — Pięknie.

— Tu jest jeszcze ktoś — znów szept. — Widzisz? Leży między tymi dinozaurami.

Znów szczęk i grzechot broni, szepty, oddechy.

— Czerwona Siódemka, zabezpiecz nam odwrót. Nie ma stąd innego wyjścia.

— To wciąż może tu być — powiedział ktoś.

— Nie idź dalej, Czerwona Piątka.

Coffeyowi zbieleły kłykie. Czemu, u licha, nie zrobią z tym raz na zawsze porządku? Ci faceci to same mięczaki. Banda starych bab.

Znów grzechot metalu.



— Coś się tam rusza! Spójrzcie! — Ktoś krzyknął tak głośno, że Coffey aż podskoczył nerwowo, a zaraz potem z radia dobiegł odgłos salwy z broni automatycznej. Hałas był tak silny, że na linii wskutek przeładowania znów pojawiły się tylko trzaski. Połączenie zostało przerwane.

— Cholera, cholera, cholera — powtarzał raz po raz Coffey. W pewnej chwili usłyszał krzyk, ale zaraz rozległy się szumy, grzechot pistoletów maszynowych i znów cichy szum.

Jakiś brzęk — co to było? Roztrzaskane kości dinozaurów sypiące się na posadzkę?

Coffey poczuł ulgę. Czymkolwiek to było, nie mogło tego przeżyć. Nic nie byłoby w stanie przetrzymać takiej nawały ognia. Tamci nie próżnowali, zasypali bydlaka gradem ołowiu. Koszmar dobiegł końca. Coffey usiadł wygodniej w fotelu.

— Czerwona Piątka! Hoskins! O cholera! — z radia dobiegł głos dowódcy.

Jego krzyk zagłuszony został przez staccato broni maszynowej i kolejną falę szumów. A może to był wrzask?

Coffey poderwał się i odwrócił do stojącego za nim agenta. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. W oczach agenta malowała się zgroza.

— Czerwona Jedyńka! — wrzasnął do mikrofonu. — Jedyńka, czy mnie słyszysz?

Słyszać było tylko szum.

— Odezwij się do mnie, Jedyńka! Czy ktoś mnie słyszy? Ktokolwiek! Gorączkowo manipulując kanałami, odnalazł częstotliwość drużyny w

Sali Niebiańskiej.

— Sir, ewakuujemy właśnie ostatnie ciała — rozległ się głos jednego z lekarzy.

— Tylne straż brygady SWAT odtransportowała właśnie doktora Cuthberta na dach. Przed chwilą usłyszeliśmy strzały dochodzące z góry. Czy konieczna będzie dalsza ewakuacja... ?

— Wynoście się stamtąd! — warknął Coffey. — Zabierajcie dupy w troki! Jazda stamtąd, ale już, i wciągnijcie na górę drabinę!

— Sir, ale co z resztą zespołu? Nie możemy ich zostawić...

— Oni nie żyją! Czy to jasne? To rozkaz!

Upuścił radio i odchylił się do tyłu, kierując wzrok za okno. Pod budynek muzeum podjechała powoli wielka ciężarówka z kostnicy.

Ktoś poklepał go po ramieniu.

— Sir, agent Pendergast chce z panem mówić. Coffey wolno pokręcił głową.

— Ale ja nie chcę rozmawiać z tym palantem. Jasne?

— Sir, on...

— Nigdy więcej nie wspominaj przy mnie tego nazwiska. Kolejny agent otworzył tylne drzwi i zajrzał do środka, jego garnitur był cały przemoknięty.

— Sir, wynosimy właśnie zwłoki...

— Co? Co? O kim mówisz?

— O ludziach z Sali Niebiańskiej. Siedemnaście trupów. Nikt nie ocalał.

— A Cuthbert? Facet, którego wyprowadziliście z laboratorium? Czy zdołał się wydostać?

— Właśnie opuścili go z dachu na ulicę.

— Chcę z nim mówić.

Coffey wyszedł na zewnątrz i minął pierścień karetek. Prawie nie myślał. Jak to możliwe, że cała brygada antyterrorystyczna dała się wyróżnić jak stado młodych wieprzków?

Podeszło dwóch pielęgniarzy z noszami.

— Pan Cuthbert? — Coffey spytał leżącego na nich mężczyznę.

Mężczyzna rozejrzał się dokoła. Miał mętny wzrok. Lekarz ominął Coffeya, rozciął koszulę Cuthberta, obejrzał jego twarz, zajrzał do oczu.

— Ma pan na sobie krew — powiedział. — Jest pan ranny?

— Nie wiem — odrzekł Cuthbert.

— Oddech trzydzieści, tętno sto dwadzieścia — oznajmił pielęgniarz.

— Nic panu nie jest? — zapytał lekarz. — To pańska krew?

— Nie wiem.

Doktor obejrzał pospiesznie nogi Cuthberta, dotknął jego krocza i szyi.

Następnie odwrócił się do pielęgniarza.

— Zabrać go na obserwację. — Pielęgniarze otoczyli nosze.

— Cuthbert! — zawołał Coffey, biegnąc tuż obok niego. — Widziałeś to?

— To? — powtórzył Cuthbert.

— To cholerne stworzenie!

— Ono wie — rzekł Cuthbert.

— Co wie?

— Wie, co się dzieje, doskonale zdaje sobie sprawę, co jest grane.

— To znaczy?

— Ono nas nienawidzi — dodał Cuthbert.

Kiedy pielęgniarze otwierali drzwi karetki, Coffey zawołał:

— Jak ono wyglądało?

— Miało głęboki smutek w oczach — odrzekł Cuthbert. —

Niezmierzony smutek.

— To wariat — rzucił w przestrzeń Coffey.

— Nie zdołasz tego zabić — dodał z niezmaconym przekonaniem Cuthbert. Drzwi karetki zamknęły się.

— Akurat! — warknął Coffey. I zawołał za odjeżdżającą karetką: — Zabiję to ścierwo! A ciebie pieprzę, Cuthbert!

## *Rozdział pięćdziesiąty siódmy*

Pendergast opuścił krótkofalówkę i spojrzał na Margo.

— Ten stwór wybił właśnie niemal całą brygadę antyterrorystyczną.

Sądząc po tym, co usłyszałem, zabił także doktora Wrighta. Coffey wycofał pozostałych i nie odpowiada, gdy go wywołuję. Chyba uważa, że to wszystko moja wina.

— Musi nas wysłuchać! — zaperzył się Frock. — Teraz wiemy już, co trzeba zrobić. Wystarczy, że sprowadzą tu ekipę z silnymi reflektorami!

— Chyba wiem, co się dzieje — rzekł Pendergast. — Facet jest załamany, nic mu nie wychodzi, szuka kozła ofiarnego. Nie możemy liczyć na jego pomoc.

— Boże — jęknęła Margo — doktor Wright... — Przyłożyła dłoń do ust. — Gdyby mój plan się powiódł... gdybym wszystko dokładnie przemyślała, może ci wszyscy ludzie żyliby nadal.

— A może porucznik D'Agosta, burmistrz i cała reszta w tunelach pod nami byliby martwi — odezwał się Pendergast. Spojrzał w głąb korytarza. — Przypuszczam, że obecnie moim obowiązkiem jest wyprowadzić was z muzeum całych i zdrowych. Może powinniśmy podążyć tą samą drogą, którą zasugerowałem D'Agoście. Naturalnie zakładając, że plany są aktualne i nie zabłądzili gdzieś po drodze. Spojrzał na Frocka.

— Nie, to się nie uda.

— Idźcie! — zawołał Frock. — Nie możecie zostać tu tylko ze względu na mnie!

Pendergast uśmiechnął się pod nosem.

— Nie o pana chodzi, doktorze. To przez tę psią pogodę. Wie pan, że tunele sutereny są zalewane podczas ulewnych i długotrwałych deszczy. Na paśmie policyjnym usłyszałem, jak ktoś mówił, że od godziny w mieście trwa prawdziwe oberwanie chmury. Gdy rzucałem włókna na wodę, zauważyłem, że jej poziom ma co najmniej dwie stopy wysokości, a silny prąd kieruje ją na wschód. Biorąc pod uwagę silny przybór wód w rzece, z uwagi na ulewę, już wkrótce wszystkie tunele zostaną całkiem zalane. Nie moglibyśmy tam zejść, nawet gdybyśmy chcieli. — Pendergast

uniósł brwi. — Jeśli D'Agosta wciąż jest gdzieś w tych tunelach, jego szanse przetrwania są teraz bliskie zeru.

Odwrócił się do Margo.

— Może dla was obojga byłoby najlepiej, gdybyście zostali tutaj, w Strefie Chronionej. Wiemy, że ten stwór nie jest w stanie sforsować wzmocnionych drzwi. Za kilka godzin na pewno w całym budynku zostanie przywrócone zasilanie. Wydaje mi się, że w Sali Komputerów i w Centrali Ochrony wciąż mogą być uwięzieni ludzie. Wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo. Sporo się od was dowiedziałem na temat tej istoty. Znamy jej mocne i słabe punkty. Oba te miejsca znajdują się w pobliżu długiego, ogólnodostępnego korytarza. Gdy wy dwoje będziecie tu bezpieczni, ja mógłbym dla odmiany wybrać się na małe polowanie.

— Nie — ucięła Margo. — Sam nie da pan rady.

— Może i nie dam rady, panno Green, ale i tak mam szczerzy zamiar spróbować.

— Idę z panem — stwierdziła stanowczo.

— Nic z tego. — Pendergast stanął wyczekująco przy otwartych drzwiach Strefy Chronionej.

— Ten stwór odznacza się wysoką inteligencją — powiedziała. — Nie wydaje mi się, aby w pojedynkę miał pan szansę go pokonać. Jeśli tak pan sądzi tylko dlatego, że jestem kobietą...

Pendergast wyglądał na zaskoczonego.

— Panno Green, jestem wstrząśnięty, że ma pani o mnie tak złe mniemanie. Rzecz w tym, że nigdy dotąd nie była pani w podobnej sytuacji. Bez broni nic pani nie zwojuje.

Margo rzuciła mu buńczuczne spojrzenie.

— Ocaliłam pański tyłek w magazynie, każąc panu zapalić lampkę — przypomniała z dumą.

Agent uniósł brew.

Z ciemności dobiegł głos Frocka.

— Pendergast, niech pan nie zgrywa tępego południowca. Proszę wziąć ją ze sobą.

Pendergast odwrócił się do niego.

— Jest pan pewien doktorze, że da pan sobie radę? — zapytał. — Jeżeli mamy mieć choć cień nadziei na sukces, będziemy musieli zabrać obie latarki i lampkę górniczą.

— Oczywiście! — wykrzyknął Frock, odprawiając ich ruchem ręki. — Po tak wielu emocjach odrobina wytchnienia dobrze mi zrobi.

Pendergast wahał się jeszcze przez chwilę, po czym uśmiechnął się z rozbawieniem.

— Doskonale — powiedział. — Margo, zamknij doktora w Strefie Chronionej, zabierz mu klucze, to, co zostało z mojej marynarki, i chodźmy.

Smithback machnął silnie latarką. Światło zamigotało, pojaśniało na chwilę, ale zaraz znowu przygasło.

— Jeżeli stracimy światło, będzie po nas — mruknął D'Agosta. — Wyłącz latarkę, będziemy zapalać ją co pewien czas, aby sprawdzić nasze położenie.

Maszerowali w ciemnościach, powietrze przepełniał szum rwącej wody. Smithback szedł pierwszy, za nim D'Agosta, trzymając dziennikarza za rękę, która, jak reszta jego ciała, nieomal całkiem straciła czucie.

Nagle Smithback wyteżył słuch. W mroku wychwycił nowy, całkiem inny dźwięk.

— Słyszysz to? — zapytał. D'Agosta nasłuchiwał.

— Chyba coś słyszę — odpowiedział.

— Brzmi jak... — Smithback zamilkł.

— Szum wodospadu — dokończył D'Agosta. — Ale cokolwiek to jest, znajduje się spory kawałek drogi stąd. W tunelu dźwięk niesie się daleko. Nie mów o tym nikomu.

Grupa w milczeniu brnęła przez wodę.

— Światło — zarządził D'Agosta.

Smithback zapalił latarkę, oświetlił pusty tunel przed nimi i zaraz ją zgasił. Dźwięk był teraz głośniejszy, o wiele głośniejszy. Poczul gwałtowniejsze szarpnięcie, prąd wzmagal się.

— Cholera — rzekł D'Agosta.

— Na pomoc! — rozległ się głos kobiety. — Poślizgnęłam się. Niech mi ktoś pomoże!

— Niech ją ktoś złapie! — zagrzemiał burmistrz.

Smithback zapalił latarkę i poświecił do tyłu. Kobieta w średnim wieku walczyła z rwącym nurtem, jej długa suknia wieczorowa rozpostarła się na oleistej powierzchni wody.

— Wstań! — krzyczał burmistrz. — Zaprzyj się nogami!

— Pomocy! — wołała kobieta.

Smithback włożył latarkę do kieszeni i ugiął lekko nogi, by zrównoważyć napór wody. Kobieta płynęła wprost na niego. Machnęła ręką i oplotła ramieniem jego udo, zamykając je w silnym uścisku.

Smithback poczuł, że zaczyna tracić równowagę.



— Zaczekaj! — krzyknął. — Nie szarp się! Trzymam cię! Zaczęła kopać nogami i oplotła nimi jego kolana. Smithback puścił dłoń D'Agosty i pochylił się do przodu; tracąc równowagę, jeszcze zastanawiał się, jaką siłę musiała mieć ta kobieta.

— Wciągasz mnie pod wodę! — rzucił, będąc już po pas w wodzie i czując, jak prąd ciągnie go w dół. Kątem oka dostrzegł D'Agostę brnącego w jego stronę. Kobieta w przypływie ślepej paniki zaczęła wspinać się po nim, wpychając mu głowę pod wodę. Uniósł ją i mokry materiał jej sukni przylepił mu się do twarzy, zaklejając nos i usta, wywołując dezorientację i, co nieuniknione, odcinając dopływ powietrza. Dziennikarz zaczął się dusić. Ogarnęło go ogromne zmęczenie. Po raz drugi poszedł pod wodę; w jego uszach rozbrzmiewał dziwny, pusty ryk.

Nagle jego głowa znów znalazła się nad wodą, krztusząc się i kaszląc, zaczął wypluwać wodę. Z tunelu przed nimi dochodził przeraźliwy wrzask. Ktoś trzymał go z całej siły. D'Agosta.

— Tej kobiecie nie możemy już pomóc — rzekł D'Agosta. — Straciliśmy ją. Idziemy.

Po chwili dobiegło ich echo jej przerażających wrzasków, słabnące w miarę jak prąd wody znosił ją coraz dalej i dalej. Niektórzy z gości krzyczeli i próbowali dawać jej wskazówki, aby mogła się uratować, inni po prostu szlochali w rozpacz.

— Pospieszcie się, wszyscy! — zawołał D'Agosta. — Trzymajcie się tuż przy samej ścianie. Idziemy dalej i cokolwiek się stanie, nie wolno wam przerwać łańcucha. Trzymajcie się jeden drugiego za ręce, z całej siły.

Pod nosem zaś wyszeptał do Smithbacka:

— Powiedz mi, że nie zgubiłeś latarki.

— Nie, nadal ją mam — odparł Smithback, sprawdzając, czy działa.

— Musimy iść dalej albo stracimy wszystkich, co do jednego — mruknął D'Agosta. I wybuchnął krótkim, szyderczym śmiechem.

— Wygląda na to, że tym razem to ja tobie ocaliłem życie. Wobec tego, Smithback, jesteście kwita.

Smithback milczał. Próbował zagłuszyć echo pełnych udreki, przeraźliwych wrzasków, coraz cichsze i zniekształcone załamaniem tunelu. Szum rwącej wody brzmiał teraz znacznie wyraźniej i wydawał się dziwnie złowrogi.

Ten wypadek osłabił morale całej grupy.

— Nic się nam nie stanie, jeśli tylko będziemy mocno trzymać się za ręce — tłumaczył burmistrz. — Nie wolno nam przerwać łańcucha!

Smithback chwycił dłoń D'Agosty najmocniej, jak tylko potrafił.

Ruszyli dalej w mrok.

— Światło — rzucił D'Agosta.

Smithback zapalił latarkę. I nagle cały jego świat się zawałił.

Sto jardów przed nimi wysokie sklepienie sufitu opadało ukośnie, by połączyć się z wąskim, półkolistym, przedłużonym otworem odpływowym. Poniżej dostrzec można było kaskadę spienionej, rozszalałej wody, która z rozdzierającym rykiem wdzierała się do leja i spływała w mroczną otchłań. Unosząca się w górę gęsta chmura rozbryźniętych kropeł otaczała omszałą gardziel czeluści ciemną, lodowatą mgiełką. Smithbackowi, gdy ujrzał ten widok, dosłownie i w przenośni opadła szczęka. Wszystkie jego nadzieje na napisanie bestsellera, wszystkie jego marzenia, nawet wola przetrwania, sczeżyły w jednej chwili,

poszły na dno wraz z kaskadami wody opadającymi w głąb czarnego wiru.

Jak przez mgłę uświadomił sobie nagle, że dochodzące z tyłu okrzyki nie są oznakami przerażenia, lecz radości. Odwrócił się i ujrzał całą gromadkę gapiącą się w górę na coś, co znajdowało się nad jego głową. W miejscu, gdzie sklepiony półkoliście ceglany sufit stykał się ze ścianą tunelu, ział czarny otwór, mierzący około trzech stóp kwadratowych.

Z jego wnętrza wystawał koniec zardzewiałej, żelaznej drabinki wpuszczonej w starą, ceglana ścianę.

Śmiech i okrzyki radości ucichły równie nagle, jak się rozległy, gdy kolejne osoby uświadomiły sobie okrutną prawdę.

— Za wysoko. Ni cholery, nie ma mowy, abyśmy zdołali jej dosięgnąć  
— zawyrokował D'Agosta.

## *Rozdział pięćdziesiąty ósmy*

Oddalili się od Strefy Chronionej i ostrożnie, powoli weszli po schodach. Pendergast odwrócił się do Margo, przyłożył palec do ust i wskazał widoczne na podłodze karmazynowe rozbryzgi krwi. Pokiwała głową: bestia uciekając przed światłem z ich lampy, pobiegła w tę stronę. Przypomniała sobie, że zaledwie dzień wcześniej szła tą samą drogą ze Smithbackiem, aby ominąć strażnika. Ruszyła za Pendergastem. Zgasiała lampkę, delikatnie uchyliła drzwi na parter i wyszła w ciemność, trzymając przerzucone przez ramię zawiniątko z włóknami.

Agent przystanął na chwilę, oddychając głęboko.

— Nic nie czuję — wyszeptał. — Którędy do Sali Komputerów i Centrali Ochrony?

— Chyba powinniśmy teraz skręcić w lewo — odparła Margo. — A potem przejść przez Salę Wczesnych Ssaków. To niedaleko. Zaraz za rogiem, przy Centrali Ochrony znajduje się długi korytarz, o którym mówił panu doktor Frock.

Pendergast na chwilę zapalił latarkę i poświecił w głąb korytarza.

— Nie ma śladów krwi — mruknął. — Ten stwór udał się ze Strefy Chronionej na górę, minął ten podest i obawiam się, że zmierza wprost do doktora Wrighta. — Odwrócił się do Margo. — Jak proponujesz, abyśmy go tutaj przywabili?

— Znów użyjemy włókien — odrzekła.

— Poprzednim razem nie dał się nabrać.

— Tym razem nie staramy się złapać go w pułapkę. Chcemy tylko wywabić go za załom korytarza. Pan będzie na końcu tego korytarza z bronią gotową do strzału. Rozrzucimy trochę włókien na podłodze.

Zrobimy, jak to się mówi... na drugim końcu.

— Zasłonę dymną.

— Tak, właśnie. A my będziemy kryć się po przeciwnej stronie, w ciemnościach. Kiedy nadejdzie, oślepię go światłem lampki górniczej, a pan zacznie strzelać.

— Doskonale. Tylko skąd będziemy wiedzieć, kiedy ten stwór nadejdzie? Jeśli korytarz jest faktycznie tak długi, jak twierdzi doktor Frock, możemy nie wyczuć go na czas. Margo milczała.

— To jest pewien problem — przyznała. Przez chwilę żadne z nich się nie odezwało.

— Na końcu korytarza jest przeszklona gablota — powiedziała Margo. — Miały się tam znaleźć nowe książki pisane przez pracowników muzeum, ale Rickman nie kwapiła się, by przygotować taką ekspozycję. Gablota nie jest zamknięta. Można by włożyć do niej zawiniątko. To stworzenie łąknie krwi, ale jeszcze bardziej pragnie tych włókien. Próbując otworzyć gablotę, z pewnością narobi hałasu. Gdy usłyszysz trzask, zaczniesz strzelać i po krzyku.

— Wybacz — rzekł po chwili namysłu Pendergast — ale to wydaje mi się nazbyt oczywiste. Znowu musimy zadać sobie pytanie: gdybym ja natknął się na coś takiego, czy zorientowałbym się, że to pułapka? W tym przypadku odpowiedź brzmi: tak. Musimy wymyślić coś subtelniejszego. Każda nowa pułapka z użyciem włókien w charakterze przynęty z pewnością wyda się temu stworzeniu podejrzana.

Margo oparła się o zimną, marmurową ścianę korytarza.

— Ten stwór ma równie dobry słuch jak i węch — stwierdziła.

— No więc?

— Może najlepsze będzie najprostsze rozwiązanie. My sami odegramy rolę przynęty. Będziemy hałasować. Mówić głośno. Niech ten stwór uzna, że jesteśmy łatwą zdobyczą.

Pendergast skinął głową.

— Jak pradwa odciągająca lisa, udając, że ma złamane skrzydło. Skąd będziemy wiedzieć, że to jest w korytarzu?

— Będziemy mieć stale zapalone latarki. Wodząc światłem po ścianach i w głąb korytarza. Ustawimy je na najsłabszy promień, tak, by zirytować stwora, ale go nie spłoszyć. Dzięki temu zdołamy go zobaczyć. Stwór będzie myślał, że rozglądamy się dokoła, szukając drogi. Kiedy już na nas ruszy, ja zapalę lampkę górniczą, a pan zacznie strzelać.

Pendergast zastanawiał się przez chwilę.

— A co z możliwością, że nadejdzie od innej strony? Że zajdzie nas od tyłu?

— Korytarz kończy się wejściem służbowym do Sali Ludów Pacyfiku — wyjaśniła Margo.

— Wobec tego w razie zagrożenia znajdziemy się w ślepej uliczce — zaproponował Pendergast. — Nie podoba mi się to.

— Nawet gdybyśmy nie byli w ślepej uliczce — odparła Margo — i tak nie zdołalibyśmy uciec, w przypadku gdyby pan chybił. Według ekstrapolatora ten stwór potrafi dorównać szybkością chartowi.

Pendergast zastanawiał się przez chwilę.

— Wiesz co, Margo, to może się udać. Plan jest zwodniczo prosty i oczywisty jak martwa natura Zurbarana albo symfonia Brucknera. Skoro ta istota wybiła niemal całą drużynę SWAT, prawdopodobnie nie uważa ludzi za godnych siebie przeciwników. A lekceważenie wroga to pierwszy krok

do nieostrożności.

— Na dodatek jest ranna, co może ją nieco spowalniać.

— Tak, jest ranna. Sądzę, że D'Agosta postrzelił ją pierwszy, i być może chłopcy z brygady antyterrorystycznej też wpakowali jej kilka kulek. Kto wie, może ja także ją trafiłem, co do tego nie można mieć pewności. Tak czy inaczej, Margo, fakt, że jest ranna, czyni tę istotę nieskończenie bardziej niebezpieczną. Wolałbym raczej ścigać dziesięć zdrowych lwów niż jednego rannego. — Wyprostował się i sięgnął po broń. — Prowadź, proszę. Stojąc tak w ciemnościach, z tym pakunkiem na plecach, czuję się nieswojo. Od tej pory będziemy używać wyłącznie latarki. Bądź bardzo ostrożna.

— Czemu nie da mi pan lampki górniczej? W ten sposób mógłby pan przez cały czas trzymać broń w ręku. Gdybyśmy niespodziewanie spotkali się z tą bestią, będziemy musieli przepłoszyć ją światłem.

— Jeśli jest ciężko ranna, wątpię, by cokolwiek było ją w stanie spłoszyć — odparł Pendergast. — Ale proszę, weź ją, jeśli chcesz.

Przeszli cicho przez korytarz, skręcili za załom muru i przez służbowe drzwi weszli do Sali Pradawnych Ssaków. Margo miała wrażenie, że jej miękkie kroki brzmią niczym huk wystrzałów na polerowanej, kamiennej posadzce.

W świetle latarki rzędy przeszklonych gablot połyskiwały mętnawo: wielki łoś, tygrysy szablozębe, wielkie wilki. Pośrodku galerii miały swoje miejsca szkielety mastodonta i włochatego mamuta. Margo i Pendergast skierowali się cichcem ku wyjściu z sali. Pendergast trzymał broń w gotowości.

— Widzi pan te drzwi na końcu, z napisem WEJŚCIE SŁUŻBOWE?

— wyszeptała Margo. — Za nimi rozciąga się korytarz, w którym mieści się Centrala Ochrony, biura i Sala Komputerów. Za rogiem jest korytarz, gdzie może pan rozciągnąć swoją zasłonę dymną. — Zawahała się. — Jeśli ten stwór już tam jest...

— ...pożałuję, że nie zostałem w Nowym Orleanie, panno Green.

Po wyjściu do sekcji 18 znaleźli się w wąskim korytarzu z drzwiami po obu stronach. Pendergast poświecił latarką przed siebie: nic.

— To tu — rzekła Margo, wskazując drzwi po lewej. — Centrala Ochrony.

Mijając je, Margo usłyszała dochodzące ze środka czyjeś głosy. Przeszli obok następnych drzwi z tabliczką KOMPUTER GŁÓWNY.

— Są jak kaczki na strzelnicy — powiedziała Margo. — Czy nie powinniśmy... ?

— Nie — padła odpowiedź. — Nie ma czasu.

Skrećili za załom korytarza i zatrzymali się. Pendergast poświecił w głąb korytarza.

— A co to takiego? — zapytał. Światło latarki przesunęło się gładko po znajdującej się w połowie korytarza stalowej grodzi awaryjnej. Srebrne refleksy światła zdawały się otwarcie z nich sobie podrwiwać.

— Nasz dobry doktor pomylił się — rzekł Pendergast. — W połowie tego korytarza musi przebiegać granica drugiego sektora.

— Ile wynosi odległość? — spytała beznamiętnie Margo. Pendergast wydał wargi.

— Powiedziałbym od stu do stu dwudziestu pięciu stóp, nie więcej. Odwróciła się do agenta.

— Czy to wystarczy? Pendergast nawet nie drgnął.



— Nie. Ale będzie musiało. Chodźmy, panno Green, czas zająć pozycje.

W RPD robiło się coraz tłoczniej. Coffey rozpiął kołnierzyk koszuli i gwałtownym gestem poluzował krawat. Wilgotność musiała wynosić ze 110 procent. Od dwudziestu lat nie widział takiej ulewy. Studzienki były pozalewane, rynsztoki zmieniły się w rwące strumienie, wozy interwencyjne po kołpaki zanurzone były w wodzie.

Tylne drzwi furgonetki otworzyły się, pojawił się w nich mężczyzna w kombinezonie polowym brygady specjalnej.

— Sir...?

— Czego?

— Ludzie dopytują się, kiedy wracamy do budynku.

— Kiedy wracacie? — krzyknął Coffey. — Czyście poszaleli? Sześciu waszych ludzi dopiero co tam zginęło, zostali rozerwani na kawałki, zostały z nich tylko krwawe ochłapy!

— Ale, sir, w środku nadal są ludzie. Może moglibyśmy... Coffey odwrócił się do niego, jego oczy miały złowrogie błyski, z ust pryskały kropelki śliny.

— Nic nie rozumiecie? Nie możemy tam wrócić. Wysłaliśmy tam ludzi, nie wiedząc, z czym będą mieć do czynienia. Musimy najpierw przywrócić zasilanie, uruchomić wszystkie systemy i dopiero wtedy...

Do furgonetki przez otwarte drzwi zajrzał policjant.

— Sir, otrzymaliśmy właśnie raport, że w rzece Hudson pływa trup. Ciało zauważono przy Boat Basin. Wygląda, jakby zostało wymyte z jednego z tych wielkich kanałów burzowych.

— A kogo, kurwa, obchodzi...

— Sir, ta kobieta ma na sobie wieczorową suknię i wstępnie została zidentyfikowana jako jedna z zaginionych uczestniczek bankietu.

— Co? — Coffey był zbity z tropu. To niemożliwe. — Ktoś z grupy burmistrza?

— Jedna z osób uwięzionych w budynku. O ile wiemy, wszystkie pozostałe przy życiu kobiety przed dwiema godzinami zeszły do tuneli piwnicznych.

— Znaczy się z burmistrzem?

— Chyba tak, sir.

Coffey poczuł, że zaczyna puszczać mu pęcherz. To nie mogła być prawda. Ten pieprzony Pendergast. Pieprzony D'Agosta. To wszystko ich wina. Nie usłuchali go, przez swoją nieodpowiedzialność rozłożyli cały jego plan i posłali tych wszystkich ludzi na pewną śmierć. Burmistrz nie żyje. Zapłacą mu za to. Dadzą głowy, jak nic.

— Sir?

— Precz — uciął Coffey. — Wynoście się obaj. — Drzwi zamknęły się.

— Tu Garcia, odbiór. Czy ktoś mnie słyszy? — dobiegło z radia.

Coffey odwrócił się i wdusił palcem przycisk nadawania.

— Garcia, co się dzieje?

— Nic, ale wciąż nie ma światła. Jest tu ze mną Tom Allen. Chce z panem mówić.

— Dawaj go.

— Mówi Allen. Panie Coffey, trochę się tu niepokoimy. Nie możemy nic zrobić, dopóki nie zostanie przywrócone zasilanie. W nadajniku Garcii zaczynają szwankować baterie. Chcielibyśmy, aby pan nas stąd wyciągnął.

Coffey wybuchnął nieprzyjemnym, piskliwym śmiechem. Agenci przy konsoletach wymienili niepewne spojrzenia.

— Ja miałbym was stamtąd wyciągnąć? Posłuchaj, Allen, to wy, geniusze, narobiliście całego tego bałaganu. Przysięgaliście, że system będzie działał, że wszystko ma odpowiednie zabezpieczenia i w ogóle. Sami się ratujcie. Burmistrz nie żyje, a ja straciłem już więcej ludzi niż... halo?

— To znowu Garcia, sir. Ciemno tu jak w kominie, a mamy tylko dwie latarki. Co się stało z grupą specjalną, którą tu wysłaliście?

Coffey w jednej chwili przestał się śmiać.

— Garcia? Oni prawie wszyscy dali się zabić. Słyszysz mnie? Nie żyją. To coś powypruwało im flaki. To wszystko wina Pendergasta, D'Agosty, pieprzonego Allena i twoja zapewne też. Nasi ludzie robią tu, co mogą, aby przywrócić zasilanie. Mówią, że to da się zrobić, ale zajmie dobre parę godzin. Rozumiesz mnie? Załatwię to cholerne stworzenie, które pałęta się po muzeum, ale zrobię to po swojemu i w swoim czasie, kiedy ja uznam to za stosowne. Póki co, siedźcie tam i czekajcie. Nie wyślę na śmierć kolejnych moich ludzi, aby ratowali wasze żalodne tyłki.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Wlazł! — warknął Coffey, wyłączając radio.

Do furgonetki wszedł agent i ukucnął obok Coffeya. Poświata z monitorów podkreśliła ostre rysy jego twarzy.

— Sir, właśnie otrzymałem wiadomość, że jedzie tu wiceburmistrz. I dzwonią do pana z biura gubernatora. Chcą usłyszeć raport z dotychczasowego przebiegu operacji.

Coffey zamknął oczy.

Smithback spojrział w górę na drabinę, której dolny, zardzewiały szczebel zwieszał się co najmniej cztery stopy nad jego głową. Może gdyby nie było wody, spróbowałby podskoczyć, lecz gdy jej poziom sięgał mu do piersi, takie rozwiązanie nie wchodziło w grę.

— Widzisz tam coś? — spytał D'Agosta.

— Nie — odrzekł Smithback. — Światło jest słabe. Nie potrafię powiedzieć, jak wysoko to sięga.

— W takim razie zgaś latarkę — wysapał policjant. — Daj mi chwilę na zastanowienie.

Zapadła długa cisza. Smithback poczuł kolejną falę rozlewającą się wokół jego ciała. Woda wciąż przybierała w szybkim tempie. Jeszcze stopa i wszyscy zostaną uniesieni z prądem ku...

Smithback pokręcił głową, wolał o tym nie myśleć.

— Skąd, u diabła, cała ta woda? — burknął pod nosem.

— Ta suterena znajduje się poniżej koryta rzeki Hudson — wyjaśnił D'Agosta. — Przy silniejszej ulewie zdarzają się przecieki.

— Przecieki, jasne — może nawet po gwałtowniejszym oberwaniu chmury w korytarzach stoi z pół metra wody. Ale przecież nas tu zalewa. Tam na zewnątrz chyba ludzie zaczynają już budować arki.

D'Agosta nie odpowiedział.

— Do diabła z tym — rozległ się głos. — Niech ktoś wejdzie mi na barana. Wespniemy się na górę jedno po drugim.

— Nic z tego! — uciał D'Agosta. — To za wysoko. Nie uda się!  
Smithback kaszlnął i chrząknął.

— Mam pomysł! — oznajmił. Zapadła cisza.

— Spójrzcie, ta stalowa drabinka wygląda na całkiem mocną — rzekł z

przekonaniem w głosie. — Gdybyśmy pospinali nasze paski razem i przerzucili zrobioną z nich pętlę przez dolny szczebel drabinki, moglibyśmy zaczekać, aż poziom wody podniesie się na tyle, abyśmy zdołali go dosięgnąć.

— Nie wytrzymam tak długo! — krzyknął ktoś. D'Agosta łypnął spode łba na pisarza.

— Smithback, to najgłupszy pomysł, jaki miałem okazję usłyszeć — warknął. — Poza tym połowa z tu obecnych mężczyzn nosi zamiast pasów szarfy.

— Ale pan ma pas — odparował Smithback.

— Owszem, mam — rzucił krótko D'Agosta. — Skąd jednak pewność, że poziom wody podniesie się dostatecznie wysoko, abyśmy zdołali dosięgnąć drabinki?

— Proszę spojrzeć — rzekł Smithback, oświetlając latarką ścianę poniżej dolnego metalowego szczebla. — Widzi pan tę przebarwienia? To mi wygląda na granicę linii wodnej. W przeszłości co najmniej raz poziom wody sięgnął tak wysoko. Jeśli na zewnątrz faktycznie szaleje burza stulecia, jest szansa, że woda wyniesie nas na odpowiednią wysokość. D'Agosta pokręcił głową.

— Nadal uważam, że to czyste szaleństwo — powiedział — ale chyba lepsze to niż czekanie na śmierć. Posłuchajcie! — zawołał. — Mówię teraz do mężczyzn! Kto ma dziś na sobie pasek, niech go zdejmie i przekaże do mnie!

Gdy dostarczono mu paski, D'Agosta pospinał je jeden z drugim, zaczynając od tego, który miał najszerszą klamrę.

Następnie przekazał je Smithbackowi, który oplótł nimi ramiona. Zaparł

się mocno obiema nogami, by nie przewrócił go silny prąd, odchylił się do tyłu i zamachnął się, mierząc w najniższy szczebel. Dwanaście stóp skóry wpadło do wody, chybiając celu o kilka stóp. Ponowił próbę i znów spudłował.

— Daj mi to — rzekł D'Agosta. — To męska robota i trzeba ją wykonać po męsku.

— Niech to cholera! — warknął Smithback, odchylając się niebezpiecznie i wykonując kolejny rzut. Tym razem Smithback uchylił się, gdy ciężka sprzączka opadła wahadłowo w dół, po czym przesunął koniec połączonych pasków przez otwór w klamrze i ściągając mocno, zadzierzgnął prowizoryczną pętlę wokół dolnego szczebla drabinki.

— No, dobra, słuchajcie wszyscy — rzekł D'Agosta. — Udało się. Teraz musicie utworzyć jeden żywy łańcuch. Chwyćcie się nawzajem za ręce i nie puszczajcie, żeby nie wiem co. Gdy podniesie się poziom wody, wypchnie nas w górę, ku drabince. Będziemy informować was na bieżąco, ile jeszcze zostało. Mam nadzieję, że to cholerstwo wytrzyma — mruknął, patrząc z powątpiewaniem na prowizoryczną linę.

— I że poziom wody podniesie się dostatecznie wysoko — dorzucił Smithback.

— Gdyby nawet, nie omieszkał pana o tym poinformować. Smithback już miał na końcu języka ciętą ripostę, lecz ostatecznie zrezygnował z niej. Wartki nurt opływał jego pierś, wdzierał się pod pachy, szarpał ubranie. Smithback poczuł również powolny, lecz nieubłagany napór z dołu, gdy jego stopy zaczęły tracić kontakt z gładkim, kamiennym podłożem tunelu.

## Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Garcia patrzył, jak krąg światła z latarki Allena przesuwają się wolno w tę i z powrotem po nieczynnej konsoli. Nesbitt, strażnik pełniący służbę przy monitorach, siedział skulony za biurkiem pośrodku centrali ochrony. Błat mebla pokryty był licznymi plamami po kawie. Obok Nesbitta siedział Waters i chudy wypłosz-programista z Sali Komputerów. Obaj zastukali do drzwi centrali ochrony dziesięć minut temu, nieomal przyprawiając trzech znajdujących się w środku mężczyzn o atak serca. Obecnie programista siedział w ciemnościach, nie mówiąc ani słowa, obgryzał paznokcie i pochlipywał. Waters położył służbowy rewolwer na biurku i nerwowo kręcił bronią.

— Co to? — zapytał nagle, zatrzymując rewolwer w półobrocie.

— O co ci chodzi? — spytał posepnie Garcia.

— Chyba słyszałem jakiś hałas w korytarzu — rzekł Waters, nerwowo przelitykając ślinę. — Jakby ktoś przebiegł obok.

— Stale słyszysz jakieś odgłosy, Waters — mruknął Garcia. — To przez ciebie teraz tu siedzimy.

Zapadła krótka, nieprzyjemna cisza.

— Na pewno dobrze słyszałeś, co mówił ten Coffey? — Waters znów się odezwał.

— Jeśli ten stwór wybił całą brygadę antyterrorystyczną, może teraz przyjdzie po nas.

— Nie myśl o tym — rzekł Garcia. — I przestań o tym mówić. To się stało trzy piętra nad nami.

— Nie do wiary, że też Coffey mógł nas tak tu zostawić, na pewną śmierć...

— Waters, jeżeli się nie zamkniesz, odeślę cię z powrotem do Sali Komputerów.

Waters zamilkł.

— Wywołaj jeszcze raz Coffeya — polecił Garcii Allen. — Musimy się stąd wydostać, i to jak najszybciej.

Garcia powoli pokręcił głową.

— Nic z tego. Facet sprawiał wrażenie, jakby był w sztok pijany. Może nie wytrzymał napięcia Musimy tu zostać, dopóki ktoś po nas nie przyjdzie.

— Kto jest jego szefem? — naciskał Allen. — Daj mi radio.

— Mowy nie ma. Baterie awaryjne są na wykończeniu. Allen już miał zaprotestować, gdy nagle zmarszczył brwi.

— Chyba coś poczułem — powiedział. — Jakaś woń. Garcia wyprostował się na krześle.

— Ja również. — Sięgnął po strzelbę. Zrobił to powoli, jak ktoś, kto właśnie przebudził się z długiego snu.

— To ta bestia! — zawołał na całe gardło Waters. Wszyscy w jednej chwili zerwali się z miejsc. Krzesła z trzaskiem runęły na podłogę. Rozległ się odgłos uderzenia i siarczyste przekleństwo, gdy ktoś wyrznął w kant stołu, zaraz potem na podłodze roztrzaskał się strącony w panice monitor. Garcia sięgnął po krótkofalówkę.

— Coffey! Ten stwór jest tutaj!

Coś zaskrobało w drzwi, a potem poruszyło klamkę. Garcia poczuł ciepły strumień zalewający uda i uświadomił sobie, że właśnie stracił



panowanie nad pęcherzem. Nagle drzwi zostały wepchnięte do wewnątrz i pękły pod wpływem potężnego uderzenia W ograniczonej ścianami, spowitej mrokiem przestrzeni Garcia usłyszał, jak ktoś stojący tuż przy nim żarliwie zaczyna się modlić.

— Słyszałaś to? — wyszeptał Pendergast. Margo poświeciła latarką w głąb korytarza.

— Coś słyszałam.

Zza załomu korytarza dobiegł trzask pękającego drewna.

— Forsuje drzwi — rzekł Pendergast. — Musimy odwrócić jego uwagę. Hej! — zawołał.

Margo schwyciła go za ramię.

— Tylko niech pan nie mówi nic, czego wolałby pan, aby ten stwór nie zrozumiał.

— Panno Green, nie czas na żarty — uciał Pendergast. — Ten stwór z całą pewnością nie zna angielskiego.

— Nie wiem. I tak sporo ryzykujemy, pokładając wiarę w wyniki analizy ekstrapolatora. Ten stwór posiada wysoce rozwinięty mózg i może ukrywać się w muzeum od wielu lat, nasłuchując z rozmaitych mrocznych zakamarków. Możliwe, że rozumie niektóre słowa. Lepiej nie kusić licha.

— Wedle życzenia — szepnął Pendergast. I już głośniejszym głosem dodał: — Gdzie jesteś? Słyszysz mnie?

— Tak! — odkrzyknęła Margo. — Ale zabłądziłam. Pomocy! Czy ktoś nas słyszy?

Pendergast zniżył głos.

— Ten stwór na pewno nas usłyszał. Teraz możemy już tylko czekać.

— Przykląkł na jedno kolano, w prawej dłoni ścisnął kolbę rewolweru,

lewą dłonią objął prawy nadgarstek.

— Świeć w stronę załomu korytarza, błędź światłem, tak jakbyś się zgubiła. Kiedy zobaczę to stworzenie, dam ci znak. Zapalisz wtedy lampkę górniczą i niezależnie od wszystkiego skierujesz jej promień na potwora. Jeśli jest rozjuszony i jeśli poluje teraz wyłącznie z chęci zemsty, musimy go za wszelką cenę zatrzymać. Trzeba go unieruchomić wszelkimi możliwymi sposobami. Mamy tylko sto stóp korytarza, aby go zatrzymać, okulawić i zabić. Jeżeli ta istota porusza się tak szybko, jak przypuszczasz, może pokonać ten dystans w ciągu paru sekund. Nie możesz się zawahać ani wpaść w panikę.

— Parę sekund — powiedziała Margo. — Rozumiem.

Garcia ukląkł przed tablicą monitorów, dotknął policzkiem kolby śrutówki, lufę skierował w ciemność. Na wprost niego majaczył zarys drzwi. Za nim stał Waters, przyjmując postawę strzelecką.

— Kiedy wdrze się do środka, strzelaj i ani na moment nie przestawaj — rzucił Garcia. — Ja mam tylko osiem naboí. Spróbuję strzelać tak, abyś zdążył choć raz przeładować bębenek, zanim się do nas zbliży. I zgaś tę latarkę. Chcesz zdradzić nasze położenie?

Inni w Centrali Ochrony, Allen, programista i Nesbitt, cofnęli się pod przeciwległą ścianę i ukucnęli pod wygaszoną planszą systemu zabezpieczeń muzeum.

Waters dygotał jak osika.

— To coś rozwaliło całą brygadę antyterrorystyczną — wykrztusił łamiącym się głosem.

Dał się słyszeć kolejny trzask, drzwi jęknęły przeciągle, zgrzytnęły pękające zawiasy. Waters krzyknął, poderwał się i cofnął się w ciemność,

porzucając służbowy rewolwer na podłodze.

— Waters, ty sukinsynu, wracaj natychmiast!

Garcia usłyszał przyprawiający o mdłości trzask kości o metal, gdy Waters, dając nura pod przeciwległą ścianę, wyrzwał głową o kant biurka.

— Nie pozwól, by mnie dopadł! — zawołał.

Garcia zmusił się, by odwrócić się w stronę drzwi. Usiłował uspokoić rozdygotane dłonie. Odrażający smród potwora wypełnił jego nozdrza, a drzwi zadygotały pod wpływem kolejnego silnego uderzenia. Nie chciał ujrzeć tego, co próbowało się dostać do wnętrza pomieszczenia. Zaklął i wierzchem dłoni otarł spocone czoło. Jeżeli nie liczyć szlochów Watersa, w pokoju panowała głucha cisza.

Margo poświeciła latarką w głąb korytarza, usiłując naśladować nie skoordynowane ruchy kogoś desperacko poszukującego wyjścia. Światło omiotło ściany i podłogę, prześlizgując się po gablotach wystawowych. Serce waliło jej w piersi jak oszalałe, oddech miała krótki i przyspieszony.

— Na pomoc! — zawołała ponownie. — Zgubiłam się! — Miała wrażenie, że jej własny głos brzmi dziwnie ochryple.

Zza załomu korytarza nie dochodziły żadne dźwięki. Stworzenie nasłuchiwało.

— Halo? — zawołała, z trudem wydobywając z siebie głos. — Jest tam kto?

Echo jej głosu rozplynęło się w korytarzu. Czekwała, uważnie lustrując półmrok, wypatrując najdrobniejszy ruch.

W oddali z mroku zaczął wyłaniać się ciemny kształt, promień latarki nie sięgał tak daleko. Ruch ustał. Wydawało się, że stwór podniósł głowę. Po chwili dobieg ich dziwny, wilgotny dźwięk, jakby węszenie.

— Jeszcze nie — wyszeptał Pendergast.

Ciemny kształt zbliżył się do załomu korytarza. Odgłosy węszenia przybrały na sile. Margo poczuła drażniący, przyprawiający o mdłości fetor.

Bestia zrobiła kolejny krok.

— Jeszcze nie — szepnął Pendergast.

Dłoń Garcii drżała tak bardzo, że z trudem zdołał włączyć przycisk krótkofalówki.

— Coffey! — wysyczał. — Coffey, zgłoś się, na miłość boską! Słyszysz mnie?

— Mówi agent Slade z zewnętrznego posterunku dowodzenia. Z kim rozmawiam?

— Mówię z Centrali Ochrony — powiedział Garcia przyspieszonym, ochrypłym głosem. — Gdzie jest Coffey? Gdzie Coffey?

— Agent specjalny Coffey jest chwilowo niedysponowany. Od teraz ja przejmuję dowodzenie operacją aż do przybycia dyrektora miejscowego oddziału biura. Jaka jest wasza sytuacja?

— Jaka jest nasza sytuacja? — Garcia roześmiał się drwiąco.

— Najkrócej można powiedzieć, że już po nas. Ten stwór jest pod drzwiami. Próbuje się tu wdrzeć. Nie zajmie mu to wiele czasu. Błagam, przyślijcie grupę specjalną.

— Cholera! — zaklął Slade. — Dlaczego mnie nie powiadomiono?

Garcia usłyszał w tle czyjeś głosy.

— Garcia? Macie broń?

— Co mi po strzelbie? — wyszeptał Garcia. Był bliski łez. —

Przydałaby się raczej pieprzona bazooka. Proszę, pomóżcie nam.

— Garcia, usiłujemy pozbierać tu wszystko do kupy. Robimy, co w naszej mocy. Dowodzenie i kontrola wzięły w łeb. Wytrzymajcie jeszcze trochę. To nie jest w stanie sforsować drzwi centrali, prawda? Są z metalu, nieprawdaż?

— Są z drewna, Slade, to zwyczajne drzwi, jak każde inne na tym piętrze! — wykrztusił Garcia. Łzy strużkami spływały mu po twarzy.

— Drewniane? Co to, u licha, za miejsce? Garcia, posłuchaj uważnie. Nawet jeśli zaraz kogoś do was wyślemy, dotarcie tam zajmie im dwadzieścia minut.

— Błagam...

— Musisz wziąć się w garść. Nie wiem, z czym macie do czynienia, Garcia, ale trzymaj się. Bądź dzielny. Dotrzemy do was najszybciej, jak się da. Zachowaj zimną krew i celuj...

Garcia osunął się na podłogę zrozpaczony. Jego palec zsunął się z guzika krótkofalówki. Sytuacja była beznadziejna. Już po nich. Ich chwile były policzone.

## *Rozdział sześćdziesiąty*

Smithback ścisnął pas, zbliżając się o kolejnych kilka cali do reszty grupy. Poziom wody — skonstatował, podnosił się szybciej niż dotychczas. Poza tym nic się nie zmieniło. Fale napływały co kilka minut i choć prąd nie przybierał na sile, ryk z końca tunelu stawał się coraz bardziej ogłuszający. Najstarsi, najślabsi i ci, co pływali najgorzej, znajdowali się tuż za Smithbackiem, ściskając w dłoniach linę z pasków, pozostali byli nieco dalej, zbici w zwartą gromadkę, desperacko usiłując utrzymać się na wodzie. Wszyscy milczeli, nie mieli już sił, by płakać, jęczeć ani nawet mówić. Smithback uniósł wzrok: jeszcze dwie stopy i zdoła dosięgnąć drabinki.

— Na zewnątrz musi szaleć matka wszystkich burz — mruknął D'Agosta.

Był tuż za Smithbackiem, podtrzymując starszą kobietę.

— Oberwanie chmury zaczęło się już podczas bankietu — dorzucił. — Cała przyroda sprzysięgła się przeciwko nam — rozeźmiał się słabo.

Smithback leniwie uniósł wzrok i zgasił latarkę. Jeszcze osiemnaście

cali.

— Smithback, przestań się bawić latarką, dobra? — rzucił D'Agosta z irytacją w głosie. — Sam ci powiem, kiedy masz sprawdzić odległość.

Pisarz poczuł napór kolejnej fali, która cisnęła go na ceglany mur tunelu. Kilka osób stęknęło na głos, nikt jednak nie odłączył się od reszty grupy. Gdyby lina z pasów puściła, w pół minuty potopiliby się wszyscy. Smithback starał się o tym nie myśleć.

Drżącym, lecz pełnym determinacji głosem burmistrz zaczął opowiadać grupie historię. Traktowała ona o kilku powszechnie znanych osobach z Ratusza. Smithback, pomimo iż temat wydawał się nader ciekawy, był coraz bardziej senny, wiedział, że to jeden z pierwszych objawów hipotermii.

— Dobra, Smithback. Sprawdź drabinę — oschły ton D'Agosty w jednej chwili wyrwał go z odrętwienia.

Poruszał latarką i zapalił ją, świecąc w górę. Przez ostatni kwadrans poziom wody podniósł się o kolejną stopę, dzięki czemu koniec drabinki znalazł się niemal w ich zasięgu. Smithback z niejakim zadowoleniem oddał kilka kolejnych pasów właścicielom.

— Posłuchajcie, co zrobimy — rzekł D'Agosta. — Ty wejdiesz na górę pierwszy. Ja pomogę pozostałym i wespnę się po drabince na końcu. W porządku?

— W porządku — odparł Smithback, silne dreszcze nieco go ożywiły.

D'Agosta naprężył pas, po czym złapał dziennikarza w tali i podźwignął w górę. Smithback sięgnął ręką i zacisnął palce na najniższym szczeblu drabinki.

— Daj mi latarkę — polecił D'Agosta.

Smithback podał mu ją i złapał się szczebla drugą ręką. Podciągnął się lekko, ale zaraz osunął się w dół, gdy mięśnie jego ramion i pleców przeszły bolesny skurcz. Wziął głęboki oddech i ponownie się podciągnął, tym razem chwytając się drugiego szczebla.

— A teraz złap za szczebel — zwrócił się do kogoś D' Agosta. Smithback oparł się o drabinę, z trudem chwytając oddech. Po chwili uniósł wzrok i zacisnął dłonie na trzecim szczeblu. Odpocząwszy kilka sekund, przeniósł dłonie o szczebel wyżej. Zaczął przesuwac stopę, by oprzeć ją na pierwszym szczeblu.

— Uważajcie, by nie stanąć komuś na palcach! — ostrzegł D'Agosta.

Czyjaś dłoń postawiła jego stopę na metalowym szczeblu. Pisarz poczuł się przez chwilę jak w niebie. Sięgnął ręką w dół i pomógł starszej kobiecie. Następnie czując, że odzyskuje siły, odwrócił się i zaczął piąć się pod górę.

Drabina kończyła się u wylotu wielkiej, biegnącej poziomo rury, w miejscu gdzie kopułowe sklepienie stykało się ze ścianą tunelu. Pisarz bez wahania zbliżył się do rury i zaczął wczołgiwać się w ciemność.

Natychmiast jego nozdrza zaatakowała nieprzyjemna woń zgnilizny i rozkładu. Ścieki — pomyślał. Na chwilę zatrzymał się, ale zaraz znów ruszył dalej.

Dotarłszy do końca rury, ujrzał przed sobą nieprzeniknioną czerń. Zdecydowanie przesunął nogi do przodu i opuścił je poza krawędź otworu. Nieco ponad pół metra poniżej końca rury jego stopy napotkały twarde, ziemiste podłoże. Nie mógł uwierzyć swemu szczęściu, zresztą poszczęściło się im wszystkim — pomiędzy piwnicą a suteroną znajdowało się dotąd nieznanne pomieszczenie bliżej nieokreślonych



rozmiarów. Zapewne to jakiś palimpsest architektoniczny, z dawna zapomniany produkt uboczny jednej z wielu rekonstrukcji starego muzeum. Wypełził na zewnątrz i przesunął się o kilka cali do przodu, szurając stopami po twardym, ubitym podłożu. Powietrze przesycone było odrażającą wonią, ale nie był to smród bestii i pisarz przyjął ten fakt z prawdziwą ulgą. Pod jego stopami pękały z trzaskiem jakieś suche przedmioty — gałęzie? Z tyłu dochodziły stęknienia i ciężkie oddechy kolejnych osób wspinających się po drabince i czołgających się przez rurę. Słabe światło latarki D'Agosty dochodzące z dołu nie było w stanie rozproszyć panujących tu ciemności.

Odwrócił się, ukląkł u wylotu rury i pomógł wydostać się z niej kolejnym osobom, odprowadzając je na bok i ostrzegając, by nie zapuszczały się zbyt daleko w mrok.

Ludzie wychodzili z rury pojedynczo i wyczerpani siadali pod ścianą, usiłując odzyskać oddech. W całym pomieszczeniu, jeśli nie liczyć przyspieszonych, ciężkich oddechów, panowała kompletna cisza.

Wreszcie Smithback usłyszał głos pełznącego przez rurę D'Agosty.

— Chryste, co to za smród? — wymamrotał porucznik. — Ta cholerna latarka już całkiem wysiadła. Wyrzuciłem ją do wody. No dobra, ludzie — dorzucił nieco głośniejszym głosem, wstając. — Chciałbym was policzyć.

Odgłos kapiącej wody przyprawił Smithbacka o szybsze bicie serca, lecz po chwili pisarz zorientował się, że to tylko D'Agosta wyżył swą przemoczoną marynarke.

Kolejne osoby, jedna po drugiej, wymieniły swoje nazwiska.

— Świetnie — rzekł D'Agosta. — Teraz musimy zorientować się, gdzie właściwie jesteśmy. Może będziemy musieli poszukać przejścia na

wyższy poziom, na wypadek gdyby woda nadal się podnosiła.

— Wydaje mi się, że tak czy inaczej powinniśmy jak najszybciej wynieść się stąd — rzekł ktoś. — Okropnie tu cuchnie. Ciekawe, co tak śmierdzi.

— Bez światła będzie to raczej trudne — odparł Smithback. — Będziemy musieli iść gęsiego.

— Mam zapalniczkę — powiedział ktoś. — Mam sprawdzić, czy działa?

— Ostrożnie — odezwał się inny głos. — Ten smród przywodzi mi na myśl metan.

Smithback skrzywił się, gdy falujący żółtawy płomyk rozświetlił wnętrze pomieszczenia.

— Jezus Maria! — ktoś krzyknął.

Zaraz potem pomieszczenie znów pograżyło się w mroku; dłoń trzymająca zapalniczkę cofnęła się mimowolnie. Smithback zdążył jednak przez mgnienie oka ujrzeć przerażający obraz tego, co ich otaczało. Widok ten zmroził mu krew w żyłach.

Margo wyteżyła wzrok, wpatrując się w szarość, powoli wodząc światłem latarki po ścianach, a jednocześnie celowo omijając bestię, która, przykucnąwszy w kącie, bacznie ich obserwowała.

— Jeszcze nie — wymamrotał Pendergast. — Zaczekaj, aż pokaże się nam cała.

Istota zamarła w bezruchu, zdawało się, że trwa to w nieskończoność, była cicha i nieruchoma jak kamienny gargulec. Margo widziała łypiące na nich z półmroku małe, czerwone ślepia. Od czasu do czasu oczy znikwały, ale zaraz się pojawiały, to stwór mrugał powiekami.

Istota zrobiła kolejny krok naprzód i znów znieruchomiła, jakby rozważała podjęcie decyzji; jej potężne ciało zastygło w pełnej napięcia gotowości.

I nagle rzuciła się naprzód, gnając przez korytarz w ich kierunku dziwnymi, przerażającymi skokami.

— Teraz! — zawołał Pendergast.

Margo uniosła dłoń do hełmu górniczego i w jednej chwili wewnątrz korytarza zalało silne światło. Niemal natychmiast usłyszała ogłuszające bang!, gdy rewolwer w dłoni Pendergasta plunął ogniem. Stwór na ułamek sekundy przystanął, a Margo zauważyła, że zmrużył powieki i oślepiony światłem potrząsnął łbem. Odwrócił się lekko, jakby chciał ugryźć się w zad, gdzie dosięgła go kula. Margo poczuła, że traci kontakt z rzeczywistością: widok bladego, podłużnego, przeraźliwie rozciągniętego łba, długa biała smuga pozostawiona przez kulę Pendergasta powyżej oczu monstrum, potężne kończyny przednie, pokryte gęstym futrem i kończące się długimi, zakrzywionymi pazurami, krótsze kończyny tylne, pomarszczona skóra sięgająca aż do pięciopalczastych, szponiastych łap. Sierść była zmierzwiona, pozlepiana zaschniętą krwią, na łuskach pokrywających tylne łapy można było również dostrzec świeże, szkarłatne krople.

Bang! Prawa łapa stwora została szarpnięta do tyłu, a Margo usłyszała przeraźliwy ryk wściekłości. Istota odwróciła się, by na nich spojrzeć i rzuciła się naprzód; ze szczęk najeżonych ostrymi kłami ściekały strużki lepkiej, gęstej śliny.

Bang! Kolejny strzał — i pudło — a stwór zbliżał się coraz bardziej, szedł jak burza, przyspieszając z przeraźliwym wyrachowaniem.

Bang!

Margo ujrzała, jak coś szarpnęło tylną łapę stwora i monstrum nieznacznie zwolniło biegu. Mimo to nie zatrzymało się; wydało przeraźliwy skowyt, zjeżyło sierść na grzbiecie i zaszarżowało na nich ze zdwojoną zajadłością.

Bang! Rewolwer wypalił, lecz stworzenie nie zwolniło biegu i w tej samej chwili Margo nie miała już wątpliwości, że ich plan nie wypalił, mieli czas na oddanie jeszcze tylko jednego strzału, a pojedyncza kula na pewno nie zdoła powstrzymać ataku potwora.

— Pendergast! — krzyknęła, cofając się niepewnie pod ścianę; kask górniczy na jej głowie przekrzywił się, promień światła miast w ślepią stwora mierzył teraz w sufit, a Margo z przerażeniem dostrzegła malującą się w czerwonych, złowieszczo inteligentnych oczkach mieszaninę wściekłości, żądz i posępnego triumfu.

Garcia siedział na podłodze, wyteżając słuch i zastanawiając się, czy głos, który słyszał, był prawdziwy — i czy prócz nich w tym koszmarze został uwięziony ktoś jeszcze — czy może przemęczony umysł stroił sobie zeń żarty.

Wtem pod drzwiami rozbrzmiał zupełnie inny dźwięk, głośny huk powtórzył się raz i drugi.

Podniósł się z podłogi. To nie może być prawda. Sięgnął po krótkofalówkę.

— Słyszysz to? — rozległ się głos za jego plecami. Głośny huk powtórzył się dwukrotnie, po czym zapadła krótka cisza, a zaraz potem rozdzierający odgłos zabrzmiał raz jeszcze.

— Jak mi Bóg miły, w korytarzu ktoś strzela! — zawołał Garcia.

Pełna niepewności, ponura cisza przedłużała się.

— Zatrzymało się — wyszeptał Garcia.

— Czy zdołali to załatwić? Czy udało im się to zabić? — wykrztusił Waters.

Cisza przedłużała się. Garcia ścisnął w dłoniach strzelbę, łożysko i obudowa spustu były śliskie od potu. Pięć lub sześć strzałów, tyle tylko usłyszał. A to stworzenie wybiło niemal całą brygadę antyterrorystyczną.

— Udało im się? Sądysz, że to zabili? — wyszeptał Waters. Garcia nasłuchiwał z uwagą, ale z korytarza nie dobiegł żaden dźwięk. To było najgorsze, co mogło ich spotkać, nowe nadzieje, rozbudzone w ich sercach, okazały się płonne. Czekał. Coś zaskrobało w drzwi.

— Nie — wyszeptał Garcia. — To powróciło.

## *Rozdział sześćdziesiąty pierwszy*

— Podaj mi tę zapalniczkę! — warknął D'Agosta. Smithback, cofając się na oślep, ujrzał nagle błysk kamienia i odruchowo zasłonił oczy.

— Chryste... — usłyszał jęk D'Agosty. Zaraz potem Smithback drgnął

gwałtownie, gdy coś schwyciło go za ramię i postawiło na nogi.

— Posłuchaj, Smithback — zasyczał mu wprost do ucha D'Agosta. — Nie możesz teraz spanikować. Musisz pomóc mi utrzymać tych ludzi w ryzach.

Smithback czknął i zmusił się, by otworzyć oczy. Klepisko na wprost niego zasłane było małymi i dużymi kośćmi, niektóre z nich były kruche i potrząskane, z główek innych wciąż jeszcze zwieszały się kawałki chrząstek.

— To nie gałęzie — powtarzał Smithback pod nosem. — To nie gałęzie. — Światło znów zgasło. D'Agosta oszczędzał płomień.

Kolejny błysk. Smithback rozejrzał się dziko dookoła. To, co odkopnął w bok, było szczątkami psa, sądząc po rozmiarach, teriera, szkliste, niewidzące oczy, jasna sierść, małe, brązowe sutki sterczące w dwóch równoległych rzędach i upiornie rozdarty brzuch. Na podłodze rozwłózione były także inne truchła: kotów, szczurów i innych stworzeń, zbyt zmasakrowane lub nie żyjące nazbyt długo, by można je było rozpoznać. Z tyłu za nim ktoś zaczął przeraźliwie krzyczeć.

Światło znów zgasło, ale zaraz ponownie się pojawiło nieco dalej w przodzie. D'Agosta ani na chwilę nie przystanął.

— Smithback, chodź ze mną — rozległ się jego głos. — Wszyscy patrzcie przed siebie. Nie rozglądajcie się. Idziemy.

Kiedy Smithback powoli zaczął stawiać jedną stopę za drugą, ostrożnie, by nie nastąpić na jakieś ohydztwo walające się po podłożu, kątem oka spostrzegł coś, co przykuło jego uwagę. Odwrócił głowę i skierował wzrok ku ścianie po prawej. Wzdłuż ściany, na wysokości męskiego barku biegła niegdyś rura lub może przewód wentylacyjny, lecz już dawno temu

przestał on istnieć, szczątki leżały roztrzaskane na podłodze, na wpół zagrzebane w odchodach. Ciężkie, metalowe wsporniki rury pozostały przyśrubowane do ściany, wystając z niej niczym rybie ości.

Z metalowych sztyftów zwieszały się ludzkie ciała, ich kształty zdawały się falować w mętnej poświacie płomyka. Smithback ujrzał to, lecz nie od razu się zorientował, że wszystkie ciała zostały zdekapitowane. Na podłodze poniżej stały nieduże, zniszczone przedmioty, które bez wątpienia musiały być ludzkimi głowami.

Ciała znajdujące się najdalej musiały wisieć tu najdłużej, bardziej przypominały kościotrupy aniżeli ludzkie zwłoki, prawie nie miały na sobie mięśni oraz tkanek. Smithback odwrócił wzrok, lecz zanim to uczynił, jego mózg odebrał jeszcze jedną porażającą w swej zgrozie informację; na nadgarstku najbliższego z trupów znajdował się niezwykle zegarek w kształcie zegara słonecznego. Zegarek Moriarty'ego.

— Boże... mój Boże — powtarzał raz po raz Smithback. — Biedny George.

— Znałeś tego faceta? — mruknął posepnie D'Agosta. — Cholera, ależ to świństwo się nagrzewa!

Płomyk zgasł raz jeszcze, a Smithback natychmiast przystanął.

— Co to za miejsce? — zawołał płaczliwie ktoś idący z tyłu za nimi.

— Nie mam pojęcia — odburknął D'Agosta.

— Ja wiem — rzekł beznamiętnie Smithback. — To spiżarnia.

Płomyk znów się pojawił. Pisarz znów ruszył naprzód, zdecydowanie przyspieszając kroku. Z tyłu za nim burmistrz mechanicznym i martwym głosem ponaglał do marszu pozostałych.

Naraz światło znowu zgasło, a dziennikarz zastygł w bezruchu.

— Doszliśmy do ściany — z ciemności dobiegł głos D'Agosty. — Jeden z korytarzy biegnie ukośnie w dół, drugi natomiast stromo pod górę. Pójdziemy tym drugim.

D'Agosta znów pstryknął zapalniczką i podążył naprzód. Smithback trzymał się tuż za nim. Wkrótce nieprzyjemna woń przestała być wyczuwalna. Podłoże stało się miękkie i rozmyte. Smithback poczuł, a może tylko mu się zdawało, powiew chłodnego wiatru na policzku.

D'Agosta roześmiał się.

— Chryste, ależ tu przyjemnie.

Rozległ się donośny, rozdzierający dźwięk, a potem podwójne — łup, łup, dochodzące z góry. Przez krótką chwilę omiótł ich snop silnego, jasnego światła, po czym polały się na nich strugi błotnistej wody.

— Właz! — krzyknął D'Agosta. — Udało się nam! Kurwa, nie wierzę, udało się nam!

Wspiął się po drabince i napał na okrągłą płytę włazu.

— Jest przymocowana — wysapał. — Nie uniosłoby jej nawet dwudziestu chłopów.

— Pomocy! — zaczął wołać na całe gardło, wspiąwszy się na szczyt drabinki i przykładając usta do jednego z otworów we włazie. — Na miłość boską, niech nam ktoś pomoże!

I nagle zaczął się śmiać, zawisł na metalowych szczeblach, upuszczając zapalniczkę. Smithback także osunął się na ziemię i usiadł pod ścianą kanału, śmiejąc się i płacząc na przemian; nie był w stanie się opanować.

— Udało się nam — rzucił D'Agosta, usiłując pohamować śmiech. — Smithback! Dokonaliśmy tego! Daj pyska, Smithback, ty pieprzony pismaku, kocham cię i mam nadzieję, że zarobisz na tej aferze grube



miliony.

Smithback usłyszał czyjś głos dochodzący z ulicy powyżej.

— Słyszałeś to? Chyba ktoś krzyczał.

— Hej, wy tam! — zawołał D'Agosta. — Chcecie zarobić nagrodę?

— Słyszałeś? Tam na dole ktoś jest. Ee!

— Słyszysz, co mówię? Wyciągniecie nas stąd?

— Za ile? — zapytał ktoś inny.

— Za dwudziestaka! Wezwij straż pożarną, niech nas stąd wydostaną.

— Pięćdziesiąt dolców albo sobie pójdziemy. D'Agosta nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Niech będzie pięćdziesiąt! A teraz wyciągnijcie nas stąd, do cholery!

Odwrócił się i rozłożył szeroko ręce.

— Smithback, przywołaj wszystkich, niech tu podejda. Panie i panowie, burmistrzu Harper, witajcie z powrotem w Nowym Jorku!

Do drzwi znów coś zaskrobało. Garcia mocniej docisnął kolbę strzelby do policzka, pochlipując bezgłośnie. To znów próbowało wedrzeć się do środka. Wziął głęboki oddech i ustabilizował strzelbę.

Nagle uświadomił sobie, że skrobanie zostało zastąpione pukaniem. Rozległo się ponownie, tym razem głośniejsze, a zaraz potem Garcia usłyszał przytłumiony głos.

— Jest tam kto?

— A kto pyta? — odparł z niemałym trudem Garcia.

— Agent specjalny Pendergast. FBI.

Garcia nie mógł w to uwierzyć. Po otwarciu drzwi ujrzał wysokiego, szczupłego mężczyznę patrzącego nań ciepło i ze spokojem, jego blade oczy i włosy lśniły w ciemnym korytarzu. Wyglądał jak widmo. W jednej

ręce agent trzymał latarkę, a w drugiej wielki rewolwer. Jedną stronę twarzy miał zbryzganą krwią, jego koszulę pokrywały szkarłatne rorschachowskie plamy. Obok stała niewysoka kobieta o mysiobrazowych włosach, w kasku górniczym na głowie; jej twarz, włosy i sweter pokrywało jeszcze więcej ciemnych, wilgotnych plam.

Pendergast wreszcie się uśmiechnął.

— Zrobiliśmy to — rzekł krótko.

Dopiero uśmiech na twarzy Pendergasta pozwolił Garcii zorientować się, że krew na ciałach obojga nie była ich własną.

— Jak... ? — wykrztusił.

Minąwszy go, weszli do środka, gdzie pod wygasłą mapą systemu bezpieczeństwa muzeum stali inni, sparaliżowani ze zgrozy i niedowierzania.

Pendergast wskazał latarką na fotel.

— Zechce pani spocząć, panno Green.

— Dziękuję. — Kask na głowie Margo przechylił się do przodu. — Ależ z pana dżentelmen.

Pendergast usiadł.

— Ma ktoś może chustkę? — zapytał. Podszedł do niego Allen, wyjmując jedną z kieszeni. Pendergast podał ją Margo, która wytarła krew z twarzy i oddała mu ją. Pendergast starannie otarł dłonie i twarz.

— Jestem wielce zobowiązany, panie...

— Allen. Tom Allen.

— Panie Allen. — Pendergast oddał czerwoną od krwi chustkę Allenowi, a ten machinalnie zaczął wkładać ją do kieszeni, gdy nagle zmitygował się i natychmiast ją upuścił. Spojrzał na Pendergasta.

— Czy to coś nie żyje?

— Tak, panie Allen. Jest martwe jak głaz.

— Pan je zabił?

— Zrobiliśmy to wspólnie. Powiedziałbym, że to raczej panna Green zabiła tego stwora.

— Proszę mi mówić Margo. Ale to pan Pendergast oddał zabójczy strzał.

— No tak, ale to ty, Margo, powiedziałaś mi, gdzie mam mierzyć. Nigdy bym na to nie wpadł. Wszystkie dzikie zwierzęta, lew, bawół wodny, słoń, mają oczy umieszczone po bokach głowy. Gdy na ciebie szarżują, nie myślisz o strzale w oko, bo jest on po prostu niewykonalny.

— Ta istota natomiast — wyjaśniła Margo, zwracając się do Allena — miała układ twarzy typowy dla naczelnych. Oczy umieszczone z przodu głowy dla zapewnienia stereoskopowego widzenia. Bezpośrednia droga do mózgu. A biorąc pod uwagę niezwykle grubość czerepu, kula, która trafiła do mózgu tego stwora, musiała odbijać się od wewnętrznych ścianek czaszki aż do całkowitego wytracenia swojej prędkości.

— Zabił pan to stworzenie strzałem w oko? — spytał z niedowierzaniem Garcia.

— Trafiłem je kilkakrotnie — rzekł Pendergast — ale było zwyczajnie zbyt silne i zbyt rozjuszone. Nawet nie zdążyłem przyjrzeć mu się uważniej, chyba odłożę to na później — na znacznie później — ale chyba śmiało mogę powiedzieć, iż żaden inny strzał nie zdołałby powstrzymać go, zanim by nas dopadł.

Pendergast dwoma palcami poprawił węzeł krawata — jest niesamowicie pedantyczny, pomyślała Margo, a przecież jego białą

koszulę pokrywały plamy krwi i strzępy szarej materii mózgu. Nigdy nie zapomni widoku mózgu tej istoty, wypryskującego przez okrwawiony, pusty oczodół, było to coś pięknego i przerażającego zarazem. W gruncie rzeczy właśnie te oczy, te upiorne, wściekłe oczy podsunęły jej ów desperacki pomysł, gdy rozpaczliwie cofała się w stronę końca korytarza, aby jak najdalej od tego gnilnego smrodu i tchnienia jak z rzeźni.

Skrzyżowała ramiona na piersiach i zadygotała.

Widząc to, Pendergast skinął na Garcie, aby dał jej służbową marynarkę.

Agent zarzucił jej marynarkę na ramiona.

— Uspokój się, Margo — rzekł, klękając przy niej. — Już po wszystkim.

— Musimy uwolnić doktora Frocka — wykrztusiła posiniałymi wargami.

— Za chwilę, za chwilę — rzekł uspokajająco Pendergast.

— Mamy złożyć raport? — zapytał Garcia. — Baterie są strasznie słabe, ale na jeden krótki raport powinny wystarczyć.

— Tak, i trzeba będzie wysłać grupę, aby wyprowadziła z tuneli porucznika D'Agostę — powiedział Pendergast. Zmarszczył brwi. — Mam wrażenie, że nie ominie mnie niewątpliwa przyjemność kolejnej rozmowy z Coffeyem.

— Śmiem wątpić — wtrącił Garcia. — Wygląda na to, że tam na zewnątrz nastąpiła nieoczekiwana wymiana szefostwa.

Pendergast uniósł brwi.

— Naprawdę?

— Naprawdę. — Garcia podał Pendergastowi krótkofalówkę.

— Teraz wszystkim dowodzi niejaki Slade. Zechce pan czynić honory?

— Wedle życzenia — odrzekł Pendergast. — Cieszę się, że ominie mnie rozmowa z agentem specjalnym Coffeyem. Obawiam się, że nie należałaby ona do przyjemnych. Nie znoszę, gdy mnie ktoś obraża i bywam wówczas nader uszczypliwy. — Pokręcił głową. — Wiem, że to paskudny nawyk, ale jakoś nie mogę się go pozbyć.

*Rozdział sześćdziesiąty drugi*

Cztery tygodnie później

Kiedy zjawiała się Margo, Pendergast i D'Agosta byli już w gabinecie Frocka. Pendergast oglądał coś, co leżało na niskim stoliku, podczas gdy Frock opowiadał mu o czymś z ożywieniem. D'Agosta kręcił się niespokojnie po pokoju, wydawał się znudzony, podnosił rozmaite przedmioty, lecz zaraz odkładał je na miejsce. Lateksowy odlew pazura spoczywał pośrodku biurka doktora niczym upiorny przycisk do papieru. Wielki tort, kupiony przez Frocka na okoliczność rychłego wyjazdu Pendergasta, czekał pośrodku oświetlonego słonecznym blaskiem pokoju, biały lukier powoli zaczął się roztopiać.

— Kiedy byłem tu ostatnio, miałem okazję skosztować raków, były przepyszne — mówił Frock, trzymając Pendergasta za łokieć. — O, Margo — powiedział, odwracając się z wózkiem. — Wejdz i popatrz sobie.

Margo przez chwilę spacerowała po pokoju. Do miasta na dobre zawitała wiosna i przez wielkie, łukowato sklepione okna dostrzec można było błękitną, roziskrzoną słońcem wstęgę płynącej na południe rzeki Hudson. Na deptaku poniżej pojawiły się pierwsze grupki amatorów joggingu.

Ogromna rekonstrukcja łapy stwora leżała na niskim stoliku, obok pochodzącej z okresu kredowego płytki ze skamieniałymi odciskami. Frock przyglądał się im z lubością.

— Jeśli nawet nie pochodzą z tej samej rodziny, to na pewno należą do jednego gatunku — powiedział.

— I ten stwór faktycznie ma u tylnej łapy pięć palców. Jeszcze jedno ogniwo łączące go z figurką Mbwuna.

Margo przyjrzała się im z uwagą, podobieństwa nie wydawały się jej tak oczywiste.

— Ewolucja fraktalna? — spytała niepewnie. Frock odwrócił się do niej.

— To możliwe. Jednak aby mieć pewność, należałoby przeprowadzić gruntowne badania.

Skrzywił się.

— Oczywiście to niemożliwe, skoro rząd skonfiskował szczątki tej istoty i wywiózł je Bóg wie dokąd i po co.

W ciągu miesiąca, jaki upłynął od ceremonii otwarcia wystawy i feralnego bankietu, opinia publiczna zrazu zareagowała gwałtownym szokiem, który poprzez niedowierzanie, nieufność, fascynację przeszedł ostatecznie w łagodną akceptację. Przez pierwsze dwa tygodnie prasa trąbiła o bestii, prześcigano się w wymyślaniu historii na jej temat, lecz sprzeczne wersje historii, podawane przez ocalałych, wywołały lawinę niepewności i ogólnego zamieszania. Kontrowersje mogłoby ułagodzić tylko jedno, — zwłoki stwora, lecz zostały natychmiast zabrane, wywiezione z muzeum wielkim, białym furgonem na rządowych numerach i odtąd nikt ich już więcej nie widział. Nawet Pendergast nie miał rzekomo pojęcia, dokąd mogli go przewieźć. Niebawem opinia publiczna zainteresowała się całkiem inną stroną tej tragedii, a mianowicie ofiarami w ludziach i procesami grożącymi producentowi muzealnego systemu bezpieczeństwa oraz, w mniejszym stopniu, policji i samemu muzeum. „Time” opublikował artykuł pod kontrowersyjnym tytułem: Jak bezpieczne są nasze placówki państwowe? Obecnie ludzie zaczęli postrzegać istotę jako wybryk natury, mutanta, jedyny w swoim rodzaju fenomen biologiczny, dziwoląga w rodzaju ryb trzonopłetwych, które od czasu do czasu odnajdywane są w sieciach przez rybaków łowiących na



dużych głębokościach. Zainteresowanie zaczęło słabnąć, w programach telewizyjnych nie pokazywano już wywiadów z ocalałymi uczestnikami bankietu, wstrzymano produkcję planowanego serialu animowanego, w sklepach z zabawkami zaczęły zalegać ruchome figurki przedstawiające Bestię z Muzeum.

Frock rozejrzał się dokoła.

— Proszę wybaczyć mój brak gościnności. Czy ktoś ma ochotę na sherry?

W odpowiedzi rozległo się ciche:

— Nie, dziękuję.

— Raczej nie, chyba że ma pan na popitkę 7-Up — odrzekł D'Agosta.

Pendergast pobladł i spojrzał w jego stronę. D'Agosta wsunął do ręki lateksowy odlew pazura.

— Obrzydliwe — powiedział.

— Jeszcze jak — potaknął Frock. — To coś rzeczywiście było po części gadem, a po części przynależało do naczelnych. Nie chcę zagłębiać się w szczegóły, pozostawię to Gregowi Kawakicie, który zajął się analizą danych znajdujących się w naszym posiadaniu, ale wydaje się, że to gadzie geny przydały tej istocie siły, szybkości oraz masy mięśniowej. Geny naczelnych były odpowiedzialne za jej inteligencję i być może także uczyniły ją endotermiczną. Ciepłokrwistą. Niewiarygodna kombinacja.

— Taa, oczywiście — rzekł D'Agosta, odkładając odlew. — Ale czym właściwie było to coś? Frock zachichotał.

— Drogi przyjacielu, nie posiadamy dostatecznej ilości danych, aby móc to stwierdzić. Nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czym naprawdę był ten stwór. A jako że najwyraźniej był on ostatnim przedstawicielem

swojego gatunku, może nigdy się tego nie dowiemy. Otrzymaliśmy właśnie oficjalny raport o stanie tepui, skąd pochodziło to coś. Cały płaskowyż został doszczętnie zniszczony. Roślina, którą żywiła się ta istota, nawiasem mówiąc nazwana przez nas pośmiertnie *Lilicaea mbwunensis*, przestała istnieć. Już jej nie ma. Wskutek robót górniczych zatruciu uległy rozległe tereny bagien otaczające tepui. Nic nie wskazuje, by w lasach równikowych natrafiono na jakikolwiek ślad istnienia innych, podobnych do naszego, stworzeń. Choć zazwyczaj tego typu degradacja środowiska budzi we mnie głęboki wstręt i odrazę, wydaje się, że w tym przypadku grabieżcza gospodarka wydobywcza położyła kres wielkiemu zagrożeniu nie tylko dla życia okolicznych Indian, lecz dla całej ludzkości — Westchnął. — Gwoli bezpieczeństwa — i wbrew zaleceniom, FBI zniszczyła cały zapas włókien wypełniających oraz próbek roślin znajdujących się w naszym muzeum. W tej sytuacji możemy chyba śmiało stwierdzić, że nasza tajemnicza roślina przestała istnieć.

— Skąd wiadomo, że to coś było ostatnim przedstawicielem swego gatunku? — zapytała Margo. — Przecież nie możemy zaręczyć, że gdzieś tam nie ma ich więcej.

— To raczej mało prawdopodobne — odparł Frock. — Tepui było swoistą enklawą ekologiczną, unikalnym miejscem, w którym rośliny i zwierzęta na przestrzeni milionów lat wytworzyły jedyną w swoim rodzaju wzajemną współzależność.

— I z pewnością nie ma więcej takich stworzeń w samym muzeum — dodał Pendergast, podchodząc do nich. — Dzięki planom odkrytym przeze mnie w Towarzystwie Historycznym zdołaliśmy odizolować cały system podziemnych tuneli i gruntownie je przeczesać, jeden po drugim

Odnaleźliśmy wiele rzeczy mogących zainteresować archeologów urbanistyki, ale nie odkryliśmy żadnych śladów mogących wskazywać na istnienie innych stworzeń tego gatunku.

— Po śmierci wyglądało tak żałośnie — wtrąciła Margo. — Wydawało się takie smutne i samotne. Prawie było mi go szkoda.

— Było samotne — rzekł Frock — samotne i zagubione. Pokonało cztery tysiące mil od rodzinnej dżungli, podążając śladem ostatnich ocalałych okazów jego drogocennej rośliny, która utrzymywała je przy życiu i uwalniała od bólu. Było przy tym bardzo, ale to bardzo złe i dzikie. Zauważyłem co najmniej tuzin otworów po kulach w ciele zabitego stwora, zanim je zabrali.

Drzwi otworzyły się i pojawił się w nich Smithback, teatralnie machający szarą kopertą trzymaną w jednej dłoni i wielką butelką szampana w drugiej ręce. Wyjął z koperty plik kartek, unosząc je wysoko w górę.

— Panie i panowie, mam kontrakt na książkę! — rzucił z uśmiechem.

D'Agosta skrzywił się i odwrócił, ponownie sięgając po odlew pazura.

— Mam wszystko, czego chciałem, i uczyniłem mojego agenta bogatym — piał Smithback.

— Siebie również — rzekł D'Agosta sprawiający wrażenie, jakby chciał użyć pazura przeciwko pisarzowi.

Smithback chrząknął teatralnie.

— Postanowiłem przekazać połowę honorarium na utworzony właśnie fundusz śp. funkcjonariusza Johna Bailey'a. Pieniądze zostaną przekazane jego rodzinie.

D'Agosta odwrócił się do dziennikarza.

— Spadaj — burknął.

— Mówię serio — rzekł Smithback. — Połowę honorarium. Nie licząc naturalnie zaliczki — dorzucił pośpiesznie.

D'Agosta postąpił krok w jego stronę i spojrzawszy na niego, rzekł:

— Możesz liczyć na pełną współpracę z mojej strony.

— Dzięki, poruczniku. Będzie mi potrzebna.

— Od wczoraj kapitanie — rzekł Pendergast.

— Kapitan D'Agosta? — spytała Margo. — Otrzymał pan awans?

D'Agosta skinął głową.

— Szef twierdzi, że to nie mogło przytrafić się lepszemu glinie ode mnie. — Wskazał na Smithbacka. — Chciałbym przeczytać, co masz do powiedzenia na mój temat, zanim to trafi na łamy prasy, Smithback.

— Chwileczkę — powiedział tamten. — Etyka dziennikarska nakazuje...

— Do diabła z tym! — wybuchnął D'Agosta. Margo odwróciła się do Pendergasta.

— Zapowiada się bombowa współpraca — zauważyła. Pendergast pokiwał głową.

Rozległo się ciche pukanie i zza drzwi do gabinetu wsunęła się głowa Grega Kawakity.

— Och, bardzo przepraszam, doktorze Frock — powiedział.

— Pańska sekretarka nie uprzedziła mnie, że jest pan zajęty. O wynikach możemy pomówić kiedy indziej

— Nonsens! — zawołał Frock. — Wejdz, Gregory. Panie Pendergast, kapitanie D'Agosta, to Gregory Kawakita. Jest on autorem ESG, programu ekstrapolacyjnego, który pozwolił nam tak trafnie określić profil naszego

stworzenia.

— Jestem panu wielce zobowiązany — rzekł Pendergast. — Bez niego nie byłoby nas dziś tutaj.

— Bardzo dziękuję, ale ten program był w rzeczywistości tworem genialnego umysłu doktora Frocka — odparł Kawakita, zerkając na tort. — Ja tylko połączyłem poszczególne elementy w całość. Poza tym ekstrapolator nie zdołał wielu rzeczy przewidzieć. Choćby tego, że oczy tej istoty są, jak u naczelnych, osadzone z przodu głowy.

— No, no, Greg, sukces przydał ci pokory — wtrącił Smithback — Tak czy inaczej — ciągnął, odwracając się do Pendergasta — mam do pana kilka pytań. Szampana tego rocznika nie dają za darmo, wie pan o tym doskonale — Spojrzał wyczekująco na agenta FBI. — Czyje ciała odnaleźliśmy w kryjówce tego stwora?

Pendergast wzruszył lekko ramionami

— Chyba świat się nie zawali, jeśli to powiem, choć na razie proszę wstrzymać się z publikacją tych danych aż do otrzymania oficjalnego zezwolenia. Udało się nam zidentyfikować pięć, spośród ośmiu ciał. Dwa należały do bezdomnych, którzy zakradli się do Starych Piwnic, prawdopodobnie szukając schronienia przed mrozem którejs zimowej nocy. Kolejną ofiarą był cudzoziemiec, turysta, jego nazwisko widniało na liście osób zaginionych Interpolu. Był tam także, o czym doskonale wiecie, George Monarty, zastępca kustosa, podległy bezpośrednio łanowi Cuthbertowi.

— Biedny George — wyszeptała Margo. Od tygodni starała się nie myśleć o ostatnich chwilach Moriarty'ego i jego przegranej, finałowej walce z bestią Umrzeć w ten sposób, a potem zostać powieszonym na

haku jak połeć mięsa.

Pendeigast odczekał chwilę i podjął przerwany temat

— Piąte ciało zidentyfikowano na podstawie karty dentystycznej jako należące do niejakiego Montague, pracownika muzeum, który zaginął przed kilkoma laty

— Montague! — rzucił Frock. — A więc ta historia była prawdziwa

— Tak — odparł Pendergast. — Wydaje się, że pewne osoby z kierownictwa muzeum Wright, Rickman, Cuthbert i być może Ippolito podejrzewali, że w podziemiach muzeum coś się zagnieździło. Gdy w Starej Piwnicy odkryto wielką plamę krwi, zamiast powiadomić policję po prostu kazali ją zmyć. Nawet kiedy okazało się, że zaginął jeden z ich pracowników, zamiast powiązać oba te fakty, cała grupa postanowiła zatuszować sprawę. Nie zrobiono nic, by ją wyjaśnić. Mieli również powody, by przypuszczać, że to stworzenie było w jakiś sposób związane z ekspedycją Whittleseya. Prawdopodobnie to z ich powodu podjęto decyzję o przeniesieniu skrzyń. Patrząc z perspektywy, było to potwornie nierozważne posunięcie. To właśnie ono stało się bezpośrednią przyczyną całej serii zabójstw.

— Naturalnie ma pan rację — powiedział Frock, podjeżdżając do biurka.

— Wiemy, że ta istota cechowała się wybitną inteligencją. Zdawała sobie sprawę z zagrożeń wynikających z faktu, gdyby odkryto jej obecność w muzeum. Chyba musiała w znacznym stopniu hamować swą typowo dziką naturę, aby przetrwać. Od tego zależało jej życie, a miała ona silny instynkt samozachowawczy. Gdy dotarła do muzeum, była zdesperowana, może nawet dzika, zabiła Montague, ujrawszy go wśród

artefaktów i roślin. Później jednak bardzo szybko nauczyła się ostrożności. Wiedziała, gdzie znajdują się skrzynie i miała spory zapas roślin, przynajmniej do jego wyczerpania — a pamiętajmy, że w skrzyniach włókien było pod dostatkiem — nie musiała się martwić, że zabraknie jej pożywienia. Zresztą jadła raczej niewiele. Rzecz jasna rośliny te zawierały silnie stężoną dawkę hormonów. Bestia zresztą raz na jakiś czas urozmaicała sobie dietę. Szczury żyjące w piwnicach, koty zbiegłe z wydziału zajmującego się zachowaniami zwierząt... raz czy dwa także istoty ludzkie, które miały pecha i zawędrowały do zakazanych, sekretnych miejsc w podziemiach muzeum. Ten stwór wszelako za każdym razem starannie maskował swoje poczynania, ukrywał ofiary i przez dobre kilka lat pozostawał niemal całkiem nie zauważony. — Doktor poruszył się lekko w fotelu, wózek zaskrzypiał głośno. — I wtedy to się stało. Przeniesiono skrzynie, a następnie zamknięto je pod kluczem w Strefie Chronionej. Bestię najpierw zaczął trawić głód, później natomiast wściekłość. Być może desperacja zrodziła w niej morderczą furję skierowaną przeciwko tym, którzy pozbawili ją roślin, przeciw istotom, które mogły stać się, skądinąd marnym substytutem tego, co jej odebrali. Szał stawał się coraz silniejszy, aż w końcu bestia zaczęła zabijać.

Frock wyjął chustkę i otarł spocone czoło.

— Mimo to nie utraciła całej swej racjonalności — ciągnął. — Pamiętajcie, jak ukryła zwłoki policjanta na wystawie? Choć opanowała ją żądza krwi i nieprzeparty głód hormonów zawartych w roślinach, zachowała dostatecznie trzeźwy umysł, by wiedzieć, że mordując, ściągnie na siebie niepotrzebną uwagę. Być może planowała zawlec zwłoki Beauregarda do swojej kryjówki. Najprawdopodobniej nie była w stanie

tego zrobić, wystawa znajdowała się daleko poza obszarami, gdzie zwyczajowo grasowała, tak więc zdecydowała się ukryć ciało. Bądź co bądź chodziło jej tylko o obszar podwzgórza, reszta to tylko mięso.

Margo wzdrygnęła się.

— Niejednokrotnie zastanawiałam się, czemu ten stwór w ogóle zjawił się na tej wystawie.

Frock uniósł palec wskazujący.

— Ja również. I chyba już znam powód. Pamięta pan, agencie Pendergast, co jeszcze znajdowało się na tej ekspozycji?

Pendergast wolno pokiwał głową.

— Oczywiście. Figurka Mbwuna.

— Właśnie — rzucił Frock. — Figurka przedstawiająca samą bestię. Jedyne ogniwo łączące tę istotę z jej domem, który, nawiasem mówiąc, bezpowrotnie utraciła.

— Nieźle pan to sobie wykombinował — rzekł Smithback. — Skoro jednak Wright i Cuthbert wiedzieli o tym stworze, jakim cudem zdołali powiązać go z ekspedycją Whittleseya?

— Chyba potrafię odpowiedzieć na to pytanie — odezwał się Pendergast. — Oni, rzecz jasna, wiedzieli, co było przyczyną tak długiego opóźnienia w dostawie skrzyń drogą wodną z Belem do Nowego Jorku, dowiedzieli się tego w taki sam sposób jak pan, Smithback.

Pisarz wydawał się poruszony.

— No, ale... — zaczął. — Ja...

— Poza tym przeczytali dziennik Whittleseya. Znali także związane z Mbwunem legendy. Potem, kiedy Montague — osoba przydzielona do skatalogowania zawartości skrzyń — zniknął, a przy jednej z nich odkryto



wielką plamę krwi, nie potrzeba było geniusza, by połączyć jedno z drugim. Zresztą... — dodał z tajemniczą miną — Cuthbert w pewnym sensie potwierdził moje przypuszczenia. Na tyle, na ile był w stanie, ma się rozumieć.

Frock skinął głową.

— Zapłacili straszliwą cenę. Winston i Lavinia nie żyją, Cuthbert przebywa na obserwacji psychiatrycznej... Brak mi słów, by wyrazić tę tragedię.

— To fakt — odezwał się Kawakita. — Nie jest jednak tajemnicą, że to właśnie pańską kandydaturę uważa się niemal za pewniaka na stanowisko nowego dyrektora muzeum.

I kto to mówi — pomyślała Margo. Frock pokręcił głową.

— Wątpię, Gregory, aby zaproponowano mi tę posadę. Gdy sprawa przycichnie, do głosu dojdą racjoniści. Ja jestem nazbyt kontrowersyjną postacią. Poza tym dyrektorski stołek w ogóle mnie nie interesuje. Zebrałem tyle materiałów, że niezwłocznie zabieram się do pisania nowej książki.

— Jedyne, o czym nie wiedzieli doktor Wright i pozostali — ciągnął Pendergast — właściwie nikt tutaj o tym nie wiedział, to, że zabójstwa nie zaczęły się w Nowym Orleanie. Podobne popełniono w Belem, w magazynie, gdzie składowano skrzynie przed przeniesieniem ich na statek. Dowiedziałem się o tym, prowadząc śledztwo w sprawie masakry na frachtowcu.

— To musiał być pierwszy przystanek tej istoty na drodze do Nowego Jorku — powiedział Smithback. — Cóż, w ten sposób ta historia zatoczyła chyba pełny krąg. — Podszedł z Pendergastem w stronę sofy. — Wydaje

mi się, panie Pendergast, że dzięki temu rozwiązana zostaje ostatnia zagadka, a mianowicie co stało się z Whittleseym.

— Nie ulega wątpliwości, że zabiło go to stworzenie — odparł Pendergast.

— Przepraszam, czy mógłbym skosztować kawałek tego tortu? Smithback położył mu dłoń na ramieniu.

— Skąd pan wie?

— Że to stworzenie zabiło Whittleseya? Znaleźliśmy w jego kryjówce pewną... pamiątkę.

— Naprawdę? — Smithback wyjął dyktafon.

— Niech pan go schowa, panie Smithback. Tak. Tym czymś był przedmiot, który Whittlesey nosił stale na szyi. Medalion w kształcie podwójnej strzały.

— Taki sam jak symbol w jego dzienniku! — wtrącił Smithback.

— I w nagłówku listu, który wysłał do Montague! — dodała Margo.

— Był to herb rodowy Whittleseyów. Odnaleźliśmy go w kryjówce tej istoty, a raczej jego część. Nigdy nie dowiemy się, dlaczego to stworzenie zabrało ten drobiazg do Stanów aż z Amazonii, ale tak się właśnie stało.

— Odnaleźliśmy tam również szereg innych artefaktów — rzekł D'Agosta, pałaszując kawałek tortu. — A także stertę strąków nasiennych Maxwella. Ta istota była zapalonym zbieraczem.

— To znaczy? — spytała Margo, podchodząc do okna i wyglądając na zewnątrz.

— Rzeczy, których nikt nie spodziewałby się tam znaleźć.

Kluczyki od samochodu, garść monet, żetony do metra, a nawet piękny złoty zegarek kieszonkowy. Odnaleźliśmy właściciela, jego nazwisko było

wryte na wewnętrznej stronie koperty i powiedziano nam, że zgubił go trzy lata temu. Został okradziony podczas wizyty w muzeum. — D'Agosta wzruszył ramionami.

— Może kieszonkowiec znajduje się wśród ciał, których nie zdołaliśmy zidentyfikować. A może nigdy go nie odnajdziemy.

— Ta istota zawiesiła zegarek na łańcuszku, na gwoździu wbitym w ścianę swojej kryjówki — rzekł Pendergast. — Lubiła ładne rzeczy. To chyba kolejna oznaka inteligencji.

— Czy wszystko, co zgromadziła, pochodziło z wnętrza muzeum? — zapytał Smithback.

— O ile możemy to stwierdzić, tak — odparł Pendergast. — Nic nie wskazuje, by ta istota mogła — lub chciała — opuszczać mury muzeum.

— Nie? — mruknął Smithback. — A co z wyjściem, do którego prowadził pan D'Agostę?

— To on je odnalazł — rzucił krótko Pendergast. — Mielicie wszyscy mnóstwo szczęścia.

Smithback odwrócił się, by zadać D'Agoście kolejne pytanie, Pendergast zaś wykorzystał okazję, by wstać i pójść po tort.

— Bardzo miło z pana strony, że urządził pan na moją cześć to przyjęcie — powiedział, wracając od stołu.

— Ocalił nam pan życie — odrzekł Frock. — Uznałem, że tort będzie doskonałym prezentem pożegnalnym od nas dla pana, poza życzeniami szczęśliwej podróży, ma się rozumieć.

— Obawiam się zatem — ciągnął Pendergast — że to przyjęcie nie jest do końca usprawiedliwione.

— A to czemu? — spytał Frock.

— Całkiem możliwe, że nie opuszczam Nowego Jorku na stałe. W oddziale nowojorskim FBI przewiduje się spore zmiany kadrowe na najwyższych szczeblach.

— Chce pan powiedzieć, że Coffey nie dostanie awansu? — rzucił drwiąco Smithback.

Pendergast pokręcił głową.

— Biedny pan Coffey — mruknął. — Mam nadzieję, że spodoba mu się na naszej placówce w Waco. Tak czy inaczej burmistrz, który stał się wielkim miłośnikiem tu obecnego kapitana D'Agosty, uważa, że mam sporą szansę na ciepłą posadkę w Wielkim Jabłku.

— Moje gratulacje! — zawołał Frock

— To jeszcze nic pewnego — ostudził jego entuzjazm Pendergast. — Poza tym sam nie wiem jeszcze, czy chcę tu pozostać. Aczkolwiek przyznaję, to miasto ma wiele uroków.

Wstał i podszedł do łukowato sklepionego okna, gdzie stała Margo, przyglądając się rzece Hudson i zielonym wzgórzom Palisades w oddali poza nią.

— Jakie masz plany, Margo? — zapytał. Odwróciła się do niego.

— Postanowiłam zostać w muzeum, dopóki nie skończę mojej dysertacji.

Frock wybuchnął śmiechem.

— Prawda jest taka, że nie pozwoliłem jej odejść — powiedział.

Margo uśmiechnęła się.

— Właściwie otrzymałam ofertę pracy z uniwersytetu Columbia. Miałabym zacząć od przyszłego roku. Asystentura profesorska. Columbia to dawna Alma Mater mojego ojca. W tej sytuacji nie pozostaje mi nic

innego, jak przyjąć tę propozycję.

— Wspaniałe nowiny! — zawołał Smithback. — Musimy to uczcić dziś przy kolacji.

— Dziś? Przy kolacji?

— W Cafe des Artistes o dziewiętnastej! — odparł. — Musisz przyjść i basta. Jestem światowej sławy pisarzem albo wkrótce nim będę. Szampan się grzeje — dorzucił, sięgając po butelkę.

Frock wyjął kieliszki, a pozostali zebrali się wokół niego. Smithback odchylił butelkę pod kątem i mierząc w sufit, odkorkował. Rozległo się głośne puf!

— Za co wypijemy? — zapytał D'Agosta, gdy kieliszki zostały napełnione.

— Za moją książkę — zaproponował Smithback.

— Za agenta specjalnego Pendergasta, oby szczęśliwie dotarł do domu — rzekł Frock.

— Za George'a Moriarty'ego. Na zawsze pozostanie w naszej pamięci — powiedziała półgłosem Margo.

— Za George'a Moriarty'ego. Zapadła cisza.

— Boże, pobłogosław nam wszystkim — zaintonował Smithback.

Margo odpłaciła mu lekkim kuksańcem.

*Epilog*

*Rozdział sześćdziesiąty trzeci*

## Long Island, pół roku później

Królik drgnął, gdy igła zagłębiła się w jego zadzie. Kawakita patrzył, jak ciemna krew wypełnia strzykawkę.

Umieścił zwierzątko z powrotem w klatce, po czym przeniósł krew do trzech pojemników testowych wewnątrz wirówki. Otworzył wirówkę, umieścił pojemniki w bębnie i zamknął pokrywę. Przekręciwszy przełącznik, wsłuchał się w szum powoli przeradzający się w jęk, przy wtórze którego, pod wpływem siły obrotu, krew w próbnikach rozdzielana była na poszczególne jej składniki.

Usiadł na krześle i rozejrzył się dokoła. Gabinet tonął w kurzu, światło było słabe, ale Kawakita lubił takie warunki. Po co zwracać na siebie uwagę.

Na początku było mu bardzo ciężko: znalezienie właściwego miejsca, zebranie sprzętu, opłacanie czynszu. To niewiarygodne, ile żądano za opuszczone, stare magazyny w Queens. Najtrudniej było mu zdobyć komputer. Zamiast kupić cały sprzęt, udało mu się w końcu podłączyć „na lewo”, za pośrednictwem linii telefonicznej, do komputera głównego w akademii medycznej Sokołowa.

Było to względnie bezpieczne miejsce, skąd mógł wprowadzać w czyn swój program ekstrapolacyjny.

Zajrzał przez brudne okno do warsztatu poniżej. Ogromne pomieszczenie tonęło w ciemnościach i było niemal puste, jedyne światło napływało od strony akwariów ustawionych na metalowych regałach pod przeciwległą ścianą. Słyszał ciche bulgotanie filtrów. Światło ze

zbiorników rzucało na podłogę słabą, zielonkawą poświatę. Dwa tuziny, mniej więcej. Wkrótce będzie potrzebował więcej. Jednakże pieniądze stawały się dla niego coraz mniejszym problemem.

To zdumiewające — pomyślał Kawakita, najlepsze rozwiązania bywają zwykle najprostsze. Gdy zdołasz na nie wpaść, wydają się oczywiste. Jednakże to umiejętność dostrzegania owych rozwiązań odróżnia geniusza od przeciętnego naukowca.

Tak samo było z zagadką Mbwuna. On, Kawakita, jako jedyny nabrał pewnych podejrzeń, dokonał spostrzeżeń, które potwierdziły jego teorię, a teraz ją udowodni.

Jęk wirówki przycichł i niebawem na urządzeniu zaczęła mrugać monotonnie czerwona lampka z napisem PROCEDURA ZAKOŃCZONA. Kawakita wstał, otworzył pokrywę i wyjął pojemniki. Królicza krew rozdzieliła się na trzy składniki — bezbarwną surowicę na samej górze, cienką warstwę białych ciałek pośrodku i grubą warstwę czerwonych krwinek na spodzie. Ostrożnie pobrał surowicę, po czym przeniósł próbki na szkiełka mikroskopowe.

Na koniec dodał do nich rozmaite odczynniki i enzymy. Jedno ze szkiełek zabarwiło się na fioletowo. Kawakita uśmiechnął się. To było takie proste.

Odkąd Frock i Margo wypaprali mu wszystko przed bankietem, jego dotychczasowy sceptycyzm przerodził się w gwałtowną fascynację. Wcześniej nie zwracał uwagi na ich słowa, koncentrował się na czymś innym. Kiedy jednak tego wieczora dotarł na Riverside Drive i na własne oczy widział tłumy rozhisteryzowanych gości, którym udało się wydostać z muzeum, zaczął intensywnie myśleć. Później, gdy Frock ogłosił



rozwiązanie zagadki, zaciekawienie Kawakity wzrosło jeszcze bardziej. Przyznać należy, iż jego sytuacja z wiadomych powodów była w tej kwestii o wiele trudniejsza niż, dajmy na to, tych wszystkich, którzy byli tamtej nocy w muzeum i w ciemnościach toczyli bój z potworem.

Jednak, niezależnie co było tego przyczyną, w rozwiązaniu zagadki zaprezentowanym przez doktora i spółkę pojawiły się pewne luki, nieścisłości i drobne uchybienia, które wszyscy najwyraźniej przeoczyli.

Wszyscy z wyjątkiem Kawakity.

On zawsze był skrupulatnym i dokładnym badaczem, ostrożnym, lecz pełnym nienasyconej ciekawości. Te jego cechy mu już kiedyś pomogły — na Oksfordzie i później, gdy rozpoczął pracę w muzeum. I teraz znów się przydały.

Ostrożność zmusiła go do założenia specjalnych zabezpieczeń chroniących jego program. To po pierwsze. Po drugie, chciał dowiedzieć się, do czego inni mogli wykorzystywać jego ekstrapolator.

Nic dziwnego, że postanowił wrócić i sprawdzić, czego dokonali Margo i Frock. Wystarczyło, że wcisnął kilka klawiszy i program odtworzył wszystkie pytania postawione przez doktora i Margo, wszystkie wprowadzone przez nich dane i uzyskane wyniki.

To właśnie te dane doprowadziły go do prawdziwego rozwiązania zagadki Mbwuna. Przez cały czas było ono w ich zasięgu, poznaliby je, gdyby wiedzieli, jakie pytania należy zadać. Kawakita nauczył się je stawiać. I wraz z otrzymaniem odpowiedzi dokonał niewiarygodnego odkrycia.

Ktoś cicho zapukał do drzwi magazynu. Kawakita zszedł po schodach na parter, poruszając się w półmroku cicho i bez odrobiny wahania.

— Kto tam? — wyszeptał ochryple.

— Tony — rozległ się czyjś głos.

Kawakita bez wysiłku odsunął żelazny rygiel i otworzył drzwi. Do magazynu wszedł jakiś mężczyzna.

— Ciemno tu — powiedział. Był niski, chudy, a kiedy szedł, wyraźnie poruszał ramionami. Rozglądał się nerwowo dokoła.

— Nie zapalaj światła — rzucił ostro Kawakita. — Za mną. Dotarli do końca magazynu. Stał tam długi stół z kilkoma włączonymi lampami podczerwonymi. Na blacie rozrzucone były schnące włókna. Na skraju stołu stała nieduża waga. Kawakita zgarnął kilka włókien i zważył je, odjął kilka, potem parę dorzucił. Następnie włożył włókna do plastikowej, hermetycznie zamykanej torebki.

Spojrzał wyczekująco na gościa. Mężczyzna sięgnął do kieszeni spodni i wyjął kilka pomiętych banknotów. Kawakita przeliczył je: pięć dwudziestek. Skinął głową i podał tamtemu torebkę. Mężczyzna chwycił ją gwałtownie i zaczął gorączkowo otwierać.

— Nie tutaj! — warknął Kawakita.

— Przepraszam — rzekł mężczyzna. Ruszył w stronę drzwi najszybciej, jak to było możliwe przy tak słabym oświetleniu.

— Spróbuj większe dawki — zaproponował Kawakita. — Zaparz je we wrzątku, to wzmacnia stężenie. Podejrzewam, że rezultat powinien cię zadowolić.

Mężczyzna skinął głową.

— Zadowolisz — rzekł powoli, jakby smakował to słowo.

— Więcej będę miał dla ciebie na wtorek — powiedział Kawakita.

— Dziękuję — wyszeptał mężczyzna i wyszedł. Kawakita zamknął

drzwi i zasunął rygiel. To był długi dzień, a on, choć czuł się skonany, nie mógł już doczekać się zmierzchu, kiedy odgłosy miasta przycichną i wszystko spowiją ciemności.

Noc coraz szybciej stawała się jego ulubioną porą dnia.

Odkąd odtworzył uzyskane przez Frocka i Margo rezultaty ekstrapolacji, wszystkie elementy układanki zaczęły gładko trafiać na swoje miejsca. Potrzebował już tylko jednego włókna tej szczególnej rośliny. Zadanie to okazało się nadspodziewanie trudne. Strefę Chronioną gruntownie wysprzątało, skrzynie opróżniono z artefaktów i spalono wraz z materiałem wypełniającym. Laboratorium, gdzie Margo prowadziła wstępne badania, wyglądało teraz jak po wielkich porządkach, prasę do roślin zniszczono. Nikomu jednak nie przyszło na myśl, aby opróżnić torebkę Margo, tę słynną torebkę, wewnątrz której panował legendarny już bałagan. Na ten temat na Wydziale Antropologii krążyła całą masą bardziej lub mniej wydumanych historyjek. Margo osobiście wrzuciła torebkę do pieca w muzealnej spalarni. Uczyniła to w kilka dni po tragedii na otwarciu wystawy.

Do tego czasu jednak Kawakita zdołał wykraść z niej cenne włókno.

Pomimo wielu innych trudności najwięcej kłopotu sprawiło mu wyhodowanie rośliny z jednego tylko włókna. To było prawdziwe wyzwanie. Sprawdzian dla jego umiejętności oraz wiedzy zarówno z botaniki, jak i genetyki. Kawakita włożył w to zadanie cały swój zapał i trud, poświęcił mu wszystko, zarzucił nawet pracę naukową i wziął z dawna odkładany urlop. W końcu, niecałe pięć tygodni temu osiągnął upragniony sukces. Pamiętał uczucie wszechogarniającego triumfu, które poczuł, kiedy na dnie wyłożonego agarem naczynia laboratoryjnego

pojawiło się małe, zielone kolanko. Obecnie miał już cały zapas tych roślin rosnących w zbiornikach i zaszczepionych reowirusem.

Tym samym, osobliwym reowirusem, który mógł liczyć sobie sześćdziesiąt pięć milionów lat. Roślina okazała się być zabójczo piękną odmianą lilii wodnej, kwitnącą niemal bez przerwy, wielkie, ciemnofioletowe kwiaty ozdobione były żyłnymi przydatkami i jasnożółtymi pręcikami. Wirus skoncentrowany był w twardej, włóknistej łodydze. Kawakita zbierał dwa funty tygodniowo i ilość ta sukcesywnie wzrastała.

Kothoga wiedzieli o tej roślinie wszystko, pomyślał Kawakita. To, co zdawało się błogosławieństwem, okazało się być ich plagą. Odwiecznym przekleństwem. Starali się kontrolować moc rośliny, lecz bez powodzenia. Legenda tłumaczyła to chyba najlepiej — diabeł nie dotrzymał swojej części umowy i jego dziecię, Mbwun, ogarnął amok. Obróciło się przeciwko swoim panom. Nie można go było kontrolować.

Kawakicie się uda. Testy z króliczą surowicą udowodniły, że odniesie sukces. Ostatni element układanki trafił na swoje miejsce, kiedy ten gliniarz, D'Agosta, podczas przyjęcia pożegnalnego dla agenta FBI opowiedział, co znaleziono w kryjówce istoty — odkryto tam, jak się okazało, medalion z podwójną strzałą, należący do Juliana Whittleseya. Według nich stanowiło to dowód, że monstrum zabiło Whittleseya. Dowód. Niezły żart.

Raczej stanowiło to dowód, że potworem był sam Whittesey.

Kawakita doskonale pamiętał dzień, kiedy ostatecznie zrozumiał to wszystko. Było to jak apoteoza, objawienie. To tłumaczyło wszystko. Istotą, Bestią z Muzeum, Tym Który Chodzi Na Czworakach, był

Whitdesey. Dowód znajdował się w jego zasięgu, był nim program ekstrapolacyjny. Kawakita umieścił po jednej stronie ludzkie DNA, po drugiej zaś DNA z reowirusem. I zażądał przedstawienia formy pośredniej.

Komputer opracował profil takiej istoty: Tego Który Chodzi Na Czworakach.

Reowirus w roślinie był doprawdy zdumiewający. Całkiem możliwe, że istniał on we względnie nie zmienionej postaci od ery mezozoicznej. W odpowiedniej ilości mógł doprowadzić do zaistnienia niesamowitych w swojej naturze zmian morfologicznych. Wszyscy wiedzieli, że najmroczniejsze, najbardziej odosobnione obszary lasów równikowych skrywają w sobie liczne gatunki nie odkrytych dotąd roślin, mogących doprowadzić do przełomu we współczesnej nauce.

Kawakita jednak już napotkał swój cud. Po zjedzeniu włókien i zakażeniu reowirusem Whitdesey przeistoczył się w Mbwuna.

Mbwun, nazwa, którą Kothoga nadali cudownej i przerażającej roślinie, a także istotom, w które przemieniali się jedzący ją ludzie.

Kawakita teraz potrafił już sobie wyobrazić pewne elementy sekretnej religii Kothoga. Rośliny te były przekleństwem, którego plemię równocześnie potrzebowało i z całego serca nienawidziło. Istoty chroniły Kothoga przed ich wrogami, lecz z drugiej strony one same stanowiły śmiertelne zagrożenie dla swoich panów. Całkiem możliwe, że Kothoga utrzymywali na raz tylko jedno takie stworzenie, większa ich liczba mogłaby się okazać nazbyt niebezpieczna. Kult oscylował wokół samej rośliny, jej uprawy i zbiorów. Kulminacją ceremonii było bez wątpienia wyhodowanie nowej istoty, nakarmienie pod przymusem włóknami rośliny niechętną temu ludzką ofiarę. W początkowej fazie wymagane było

podawanie ofierze dużych ilości włókien, aby reowirus mógł ogarnąć cały organizm i zapoczątkować gruntowny proces jego przemiany. Po zakończeniu transformacji roślina miała być spożywana przez Mbwuna w znacznie mniejszej ilości i dopełniana, rzecz jasna, innymi proteinami. Niemniej spożywanie tej rośliny było dla Mbwuna niezbędne. W przeciwnym razie pojawiał się dojmujący ból, niekiedy nawet szaleństwo, nieodłączne objawy towarzyszące nieudanym próbom odzyskania przez ciało dawnego kształtu.

Naturalnie zanim by do tego doszło, nastąpiłby zgon odmień-ca. W tej rozpaczliwej sytuacji trudno się dziwić, że istota może próbować odnaleźć, jeśli to możliwe, substytutu dla jedynej w swoim rodzaju rośliny — okazuje się, że jest nim do pewnego stopnia ludzkie podwzgórze z wytwarzanymi tam hormonami.

W ograniczonej, przynoszącej ukojenie ciemności, nasłuchując bulgotu i szumu akwariów, Kawakita mógł domyślać się, jaki dramat rozegrał się w sercu amazońskiej dżungli. Kothoga, po raz pierwszy spotykający się z białym człowiekiem. Wspólnik Whittleseya, Crocker, bez wątpienia pierwszy wpadł w ich ręce. Może stwór był już stary albo bardzo słaby? Może Crocker zabił tę istotę z karabinu — członkowie ekspedycji byli wszak uzbrojeni — zanim zdążyła wyprać mu wnętrzności? A może nie.

Kiedy jednak Kothoga odnaleźli Whittleseya, wynik tego spotkania, zdaniem Kawakity, mógł być tylko jeden.

Zastanawiał się, co czuł Whittlesey, być może skrepowany w rytualny sposób i karmiony na siłę dziwną rośliną zarażoną reowirusem, której próbki uczony pobrał zaledwie przed kilkoma dniami. Może napoili go wywarem z liści tej rośliny, a może zwyczajnie zmusili do zjedzenia

zasuszonych włókien. Ewidentnie próbowali dokonać z białym człowiekiem tego, co nie udało im się w przypadku ich ziomeków — stworzyć potwora, którego mogliby kontrolować. Monstrum, które nie dopuści do płaskowyzu budowniczych szosy, poszukiwaczy złóż oraz górników, którzy zamierzali wdrzeć się na tepui od południa i unicestwić ich.

Stworzenie, które będzie siał terror wśród okolicznych plemion, równocześnie chroniąc ich szczerp, które na zawsze zapewni Kothoga bezpieczeństwo i odosobnienie.

Lecz mimo to cywilizacja jednak nadeszła wraz ze wszystkimi jej koszmarami.

Kawakita wyobraził sobie dzień, kiedy to się stało: istota, będąca ongiś Whittleseyem, kryjąca się w dżungli, widząca ogień spadający z nieba, wypalający tepui, zabijający Kothoga, obracający w popiół bezcenne rośliny. Tylko jemu udało się zbiec. I tylko on wiedział, gdzie po zagładzie dżungli może znaleźć życiodajne włókna. Wiedział, ponieważ sam je tam wysłał.

A może Whittleseya już tam nie było, kiedy tepui stanęło w ogniu. Może Kothoga i tym razem nie byli w stanie kontrolować istoty, którą stworzyli. Możliwe, że Whitdesey w swym nowym, żalosno-przeraźliwym stanie opracował własny plan i nie przewidywał w nim służenia Indianom w charakterze krwawego anioła zemsty. Może chciał po prostu wrócić do domu. Tak czy inaczej opuścił Kothoga, a ci niebawem zostali unicestwieni przez bezlitosną maszynę postępu.

Kawakita w znacznej mierze nie zwracał uwagi na szczegóły antropologiczne. Interesowała go potęga zawarta w roślinie oraz

możliwość jej ujarznienia.

Zanim będziesz w stanie kontrolować istotę, musisz nauczyć się kontrolować źródło.

I właśnie dlatego — pomyślał Kawakita — odniosę sukces tam, gdzie Kothoga się nie udało. Kontrolował źródło. Tylko on wiedział, jak wyhodować tę wymagającą i delikatną lilię bagienną pochodzącą z samego serca amazońskiej dżungli. Tylko on znał właściwe pH wody, właściwą temperaturę, właściwe oświetlenie, właściwą dawkę odżywek. Tylko on wiedział, jak zaszczepić roślinę reowirusem.

Będą od niego uzależnieni. A on, za sprawą genetycznej manipulacji dokonanej za pomocą surowicy królika, zdoła oczyścić wirusa, wydobyć całą jego podstawową moc i zreorganizuje go, równocześnie usuwając większość niezbyt przyjemnych skutków ubocznych.

Tak mu się przynajmniej wydawało. Miał nadzieję, że zdoła tego dokonać. To były epokowe odkrycia. Wszystkim wiadomo, że wirusy wprowadzają do komórek swoich ofiar własne DNA. Zwykle owo DNA w takich sytuacjach wydaje zarażonym komórkom polecenie wytworzenia kolejnych wirusów. Tak właśnie dzieje się ze wszystkimi wirusami znanymi człowiekowi, począwszy od grypy, a skończywszy na AIDS.

Ten wirus był inny. Wprowadzał do komórek ofiary cały garnitur genów, gadzich genów. Starożytnych gadzich genów, liczących sobie sześćdziesiąt pięć milionów lat odnajdywanych obecnie u pewnych gekonów i kilku innych gatunków. Zawierał on w sobie również zapożyczone geny naczelnych, bez wątpienia ludzkie, pozyskane w ciągu tego długiego, bądź co bądź, okresu. Wirus, który kradnie genom swego nosiciela i wprowadza go do kolejnych swoich ofiar.



Genom ten, zamiast wytwarzać kolejne wirusy, przetwarzał ofiarę. Zmieniał jej wygląd fizyczny, krok po kroku dokonywał gruntownej transformacji ofiary w krwiożercze monstrum. Wirusy wydawały maszynerii ciała polecenia dokonania zmian w strukturze kostnej, układzie gruczołów dokrewnych, kończynach, skórze, włosach oraz organach wewnętrznych. Całkowicie zmieniały one zachowanie, wagę, szybkość i inteligencję ofiary. Wyostrzały jej powonienie i słuch w sposób wręcz niewyobrażalny, lecz osłabiały równocześnie wzrok, jak również głos. Dawały jej olbrzymią siłę, rozmiary i szybkość, pozostawiając jej prawie nietknięty cudowny, hominidalny mózg. Krótko mówiąc, narkotyk — wirus — przekształcał ludzką ofiarę w przerażającą maszynę do zabijania. Nie, słowo „ofiara” nie całkiem pasowało do osoby zarażonej tym wirusem. Lepszym określeniem byłby chyba symbiont. Zarażenie wirusem traktowane było jako przywilej. Dar. Podarunek od Grega Kawakity.

To było piękne. Tak, to było naprawdę wspaniałe.

Możliwości inżynierii genetycznej wydawały się nieograniczone.

Kawakita miał już kilka pomysłów na wprowadzenie usprawnień.

Nowe genomy, które reowirus mógł wprowadzać do organizmu żywiciela. Genomy zarówno ludzkie, jak i zwierzęce. Kawakita kontrolował, które geny i komu miały zostać podane. Kontrolował to, czym miał stać się dany żywiciel. W przeciwieństwie do prymitywnych, przesądnych i ciemnych Kothoga panował nad samą przemianą — dzięki nauce.

Ciekawym efektem ubocznym zażywania rośliny było porównywalne do narkotycznego odurzenie: czysty, mocny odlot bez „spadów”, który towarzyszył zażywaniu wielu innych tego typu środków. Być może właśnie ta właściwość sprawiła, że ktoś kiedyś sięgnął po tę roślinę po raz

pierwszy, a potem zaczął ją hodować. Kawakicie ów efekt uboczny zapewnił stały dopływ gotówki na dokonywanie jego badań. Początkowo nie chciał sprzedawać narkotyku, lecz potrzeby finansowe okazały się silniejsze i uczyniły ów proceder niezbędnym dla jego dalszych prac.

Uśmiechnął się na myśl o tym, jakie to było proste. Wśród osób tworzących elitarny klub wybrańców zażywających ten narkotyk nadano mu nazwę „Szkliwo”. Rynek był chłonny i Kawakita mógł sprzedawać tyle towaru, ile zdołał wyprodukować. Szkoda, że rozchodził się on szybciej, niż Kawakita nadążał z produkcją.

Zapadła noc. Kawakita zdjął okulary przeciwsłoneczne i odetchnął powietrzem przesyconym bogatą mieszanką woni magazynu, subtelnym aromatem włókien, zapachem wody, kurzu i substancji poddawanych procesom chemicznym, łączącymi się w jedno z odorem zgnilizny, dwutlenku siarki i całą masą innych woni. Przewlekłe alergie, na które cierpiał, przeszły mu, jak ręką odjął. To chyba zasługa tutejszego powietrza. Nigdzie nie jest tak czyste jak na Long Island — pomyślał, krzywiąc się. Zdjął przyciasne buty i z zadowoleniem podkulił palce.

Dokonał najbardziej zdumiewającego kroku naprzód w dziedzinie genetyki od czasu odkrycia podwójnej spirali DNA. Za te wybitne osiągnięcia bez wątpienia przyznano by mu Nagrodę Nobla.

Gdyby wybrał tę właśnie drogę.

Na co komu jednak Nagroda Nobla, skoro w perspektywie jest do zdobycia cały świat?

Znów rozległo się pukanie do drzwi.